

Powieść jak porywająca melodia. Wyśmienicie napisana i pełna emocji. Kocham każde słowo!

DANIELLE L. JENSEN, autorka *Królestwa Mostu*.

Rzeka zaklęta

REBECCA
ROSS

PRZEŁOŻYŁA EWA SKÓRSKA

REBECCA
ROSS

Rzeka
zaklęta

przełożyła Ewa Skórska

YOU &
YA

Tytuł oryginału: ***A River Enchanted***

Projekt okładki: © *Fecit Studio/Szymon Wójciak*

Redakcja: *Beata Turska*

Redaktor prowadzący: *Agata Then*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lingventa (Aleksandra Zok-Smoła, Barbara Milanowska)*

© 2022 by Rebecca Ross LLC.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

© for the Polish translation by Ewa Skórska

ISBN 978-83-287-2523-2

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

*Dla moich braci – Caleba, Gabriela i Luke’a,
którzy zawsze znają najlepsze historie*

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA Pieśń dla wody

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

CZĘŚĆ DRUGA Pieśń dla ziemi

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE

CZĘŚĆ TRZECIA Pieśń dla wiatru

ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCIE

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
PODZIĘKOWANIA

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Pieśń
dla wody*



ROZDZIAŁ PIERWSZY



Najbezpieczniej przepływać ocean nocą, kiedy światło gwiazd i księżyc kładzie się na wodzie... W każdym razie to właśnie wpajano mu w dzieciństwie; Jack nie wiedział, czy dawne przekonania wciąż się sprawdzają.

Minęła północ, a on właśnie dotarł do Woe, wioski rybackiej na północnym wybrzeżu kontynentu. Domy na palach stały przekrzywione, każdą okiennicę zaryglowano przed wyjąłym nieustępliwie wiatrem, nawet tawerna była zamknięta – ogień zgaszony, beczki z piwem dawno zaczopowane. Kręciły się jedynie bezpańskie koty, chłęcząc mleko zostawione dla nich na schodach, a przy nabrzeżu kołysały się kogi oraz łodzie.

Pogrążona w ciemności wioska spała mocno.

Dziesięć lat temu przeprowił się przez ocean po raz pierwszy i zarazem ostatni – z wyspy na kontynent, dwie godziny przy sprzyjającym wietrze – i przyplłynął właśnie tu, do tej wioski. Przez srebrzystą od gwiazd wodę przewiózł go stary żeglarz, chudy i szerniały od dziesięcioleci spędzonych w słońcu i wietrze, człowiek, którego nie przerażała myśl o podejściu łodzią do wyspy.

Jack dobrze pamiętał, jak pierwszy raz postawił stopę na kontynencie. Miał wtedy jedenaście lat i od razu pomyślał, że pachnie tutaj inaczej, nawet nocą. Wilgotnymi linami, rybami, drzewnym dymem, butwiejącym papierem... Nawet ziemia pod stopami wydawała się dziwna, im dalej na południe, tym bardziej twarda i sucha.

– Czemu nie słyhać głosów na wietrze? – spytał żeglarza.

– Tu nie ma takich rzeczy, mały – odparł mężczyzna i pokręcił głową, gdy myślał, że chłopiec nie patrzy.

Minął jakiś czas, nim Jack pojął, że dzieci urodzone i wychowane na wyspie Cadence uważa się za dziwne i zdziczałe. Niewielu wyspiarzy

przybyło na kontynent tak, jak zrobił to on, jeszcze mniej zostało na nim tak długo.

Nawet teraz, po upływie dziesięciu lat, Jack pamiętał swój pierwszy kontynentalny posiłek i to, jak okropnie smakował. Pamiętał, jak pierwszy raz wszedł na uniwersytet, zaskoczony jego ogromem i muzyką, która odbijała się echem na korytarzach. Pamiętał chwilę, w której pojął, że już nigdy nie powróci na wyspę.

Jack westchnął, wspomnienie rozsypało się w pył.

Było późno. Podróżował od siedmiu dni i wreszcie znalazł się tutaj, gotów do ponownej przeprawy. Musiał tylko znaleźć tamtego starego rybaka.

Przebiegł ulicę, usiłując sobie przypomnieć, gdzie mógł mieszkać żeglarz sprzed dziesięciu lat. Koty rozbiegły się, spłoszone, po nierównym bruku poturlała się pusta butelka, jakby za nim podążała. W końcu na skraju miasta Jack dostrzegł drzwi, które wydały mu się znajome. Na ganku wisiała latarnia, która rzucała słabe światło na obłazącą czerwoną farbę. Tak, drzwi na pewno były czerwone, przypomniał sobie Jack. I ta mosiężna kołatka w kształcie ośmiornicy. To był dom tamtego dzielnego starca.

Jack stał niegdyś dokładnie w tym samym miejscu, niemal widział dawnego siebie: chudego, schłostanego wiatrem chłopca, który marszczył brwi, żeby ukryć łzy w oczach.

– Chodź, mały – powiedział wtedy żeglarz; zadokował łódź i prowadził Jacka po schodkach do czerwonych drzwi. Był środek nocy i panował przejmujący chłód, kontynentalne powitanie. – Będziesz spał tutaj, a rano ruszysz powozem na południe, do swojego uniwersytetu.

Jack skinął głową, ale nie zmrużył oka tamtej nocy. Leżał na podłodze w domu żeglarza, otulony tartanem, miał zamknięte oczy i potrafił myśleć tylko o wyspie, o księżycowych ostach, które wkrótce zakwitną, o tym, jak nienawidził matki za to, że go tu wysłała.

Z czasem udało mu się wyrosnąć z tamtego bólu i zapuścić korzenie w obcym miejscu – a jednak wciąż czuł żal i złość do rodzicielki.

Wszedł na chybotałe schodki, zastukał i czekał. Wiatr wciskał mu włosy w oczy, a on, głodny i zmarznięty, niecierpliwił się, zupełnie jakby dobijał się do zajazdu, a nie do obcego domu w środku nocy. Znów uderzył mosiężną ośmiornicą. I jeszcze raz. Nie ustawał, dopóki nie usłyszał stłumionego

przekleństwa i dźwięku odryglowywanych zamków. Nieznajomy człowiek uchylił drzwi i spojrzał na niego zmrużonymi oczami.

– Czego chcesz?

Jack od razu wiedział, że to nie był żeglarz, którego szukał: mężczyzna był zbyt młody, nawet jeśli słońce i wiatr zdążyły już odcisnąć piętno na jego twarzy. Sądząc po zapachu ostryg, dymu i taniego piwa, który płynął z domu, nieznajomy był rybakiem.

– Szukam żeglarza, który przewiezie mnie na Cadence – odparł Jack. – Mieszkał tu i wiele lat temu przeprowadził mnie z wyspy na kontynent.

– To musiał być mój ojciec – odpowiedział szorstko rybak. – Ale on nie żyje, więc nie może cię zabrać. – Chciał zamknąć drzwi, ale Jack wsunął stopę w szparę i na to nie pozwolił.

– Bardzo mi przykro. Przeprowadzisz mnie?

Przekrwione oczy rozszerzyły się, rybak parsknął śmiechem.

– Na Cadence? Nie, nic z tego.

– Boisz się?

– Boję? – Śmiech rybaka urwał się jak zbutwiała lina. – Nie wiem, gdzieś był przez kilka ostatnich lat, ale klany na wyspie bardzo pilnują swoich terytoriów i nie życzą sobie przybłądów. Jeśli jesteś na tyle głupi, by się tam wybierać, to wyślij kruka ze swoją prośbą, a potem czekaj na zgodę tego lairda, któremu zawracasz głowę, a że tam na wyspie czas płynie inaczej, spodziewaj się, że trochę to potrwa. Albo zaczekaj do kolejnej wymiany w czasie jesiennej równonocy, wtedy z portu rusza koga z tym wszystkim, czego lairdowie zażądali z kontynentu, i wraca z towarami z wyspy. Tak, tak będzie najlepiej.

Jack bez słowa wyjął z kieszeni płaszcz list, wręczył go rybakowi. Ten zmarszczył brwi i oglądał pergamin w świetle latarni.

Chłopak znał wiadomość na pamięć, przeczytał ją niezliczoną ilość razy od czasu, gdy dotarła do niego tydzień temu.

Twoja obecność wymagana w domu natychmiast, sprawa bardzo pilna. Wróć na Cadence ze swoją harfą.

Poniżej podpis lairda, a pod nim sygnet Alastaira Tamerlaina, odcisnięty w ciemnoczerwonym atramencie i zmieniający prośbę w rozkaz.

Po dziesięciu długich latach prawie bez kontaktu z klanem Jacka zawezwano do domu.

– Jesteś Tamerlainem, tak? – spytał rybak, oddając list. Jack dopiero teraz pomyślał, że mężczyzna raczej nie umie czytać. Ale rozpoznał herb.

Skinął głową, a rybak przyjrzał mu się uważniej.

Jack pozwolił na to, bo wiedział, że wygląda całkiem zwyczajnie. Był wysoki i chudy, jakby całe lata głodował; składał się z samych ostrych kantów i nieugiętej dumy. Miał czarne oczy, brązowe włosy i bladą cerę od tych wszystkich godzin poświęconych studiom i tworzeniu muzyki. Ubrany był w szarą koszulę i spodnie, teraz brudne od tłustego jedzenia w tawernie.

– Wyglądasz jak jeden z nas – oznajmił rybak.

Jack nie wiedział, czy traktować to jako obrazę, czy jak komplement.

– Co masz na plecach? – spytał rybak podejrzliwie.

– Harfę – odparł chłodno Jack.

– To wyjaśnia sprawę. Przybyłeś tu na naukę?

– W istocie. Jestem bardem. Uczyłem się na uniwersytecie w Faldare. Czy teraz przeprowadzisz mnie na wyspę?

– To cię będzie kosztować.

– Powiedz ile.

– Nie chcę pieniędzy. Chcę kuty dirk z Cadence – rzucił rybak. – Kindżał, który przetnie wszystko: liny, sieci, łuski... i szczęście rywala.

Prośba o zaczarowaną klingę nie zdumiała Jacka; te ostrza można było wykuć wyłącznie na Cadence, ale słono kosztowały.

– Tak, mogę to dla ciebie zorganizować – odparł chłopak, niemal bez wahania. Pomyślał o srebrnym sztylcie swojej matki. Zawsze nosiła go przy boku, choć Jack nigdy nie widział, żeby go używała. Wiedział za to, że sztylet jest zaczarowany, poświatę dało się dostrzec kątem oka: leciutka mgiełka, niczym światło ognia wbite w stal.

Jack nie wiedział, ile jego matka zapłaciła Unie Carlow za stworzenie dla niej tej klingi. Ani jak Una odchorowała jej wykucie.

Wyciągnął rękę, rybak ją uściśnął.

– Dobrze więc – podsumował mężczyzna. – Wyruszmy o świcie.

Znów chciał zamknąć drzwi, a Jack znowu nie cofnął stopy.

– Musimy płynąć teraz – rzekł twardo. – Póki jest ciemno. To najbezpieczniejszy czas na przeprawę.

Rybak się zachnął.

– Czyś ty oszalał? Nie popłynę tam w środku nocy nawet za sto czarodziejskich dirków!

– Zaufaj mi. Kruki mogą dostarczać wiadomości do lairdów w ciągu dnia, a koga handlowa może wyruszyć w pierwszy dzień sezonu, ale najlepszy czas na przeprawę to noc, kiedy księżyc i gwiazdy odbijają się w oceanie. – *A duchy wody łatwo dają się uspokoić*, dodał w myślach.

Rybak patrzył na niego, Jack czekał. Stałby tu całą noc i cały następny dzień, gdyby musiał, i mężczyzna chyba to wyczuł, bo ustąpił.

– Dobrze. Za dwa dirki z Cadence przewiozę cię dzisiaj w nocy. Bądź przy mojej łodzi za kilka minut. To tamta, ostatnia z prawej.

Chłopak zerknął przez ramię na ciemne nabrzeże. Księżycowe światło kładło się na masztach i kadłubach, a Jack dojrzał skromną rybacką łódź – tę samą, którą dziesięć lat temu płynął na kontynent.

Odsunął się od progu i rybak zamknął drzwi.

Czyżby go oszukał, zgodził się tylko po to, żeby wreszcie pozbyć się intruza? Mimo wątpliwości Jack szedł zdecydowanie do nabrzeża, wsłuchany w wiatr. Nie kryły się w nim żadne głosy, ale był silny, prawie pchał go po mokrej drodze.

Jack dotarł do łodzi, poczuł na twarzy rozbryzg fal i spojrzał w ciemność. Na oceanie migotała smuga światła, srebrna ścieżka, którą należało podążać, żeby dotrzeć do Cadence. Sierp księżycy wisiał na obliczu nieba jak uśmiech, otoczony piegami gwiazd. Najlepsza byłaby pełnia, ale Jack nie mógł czekać, aż księżyc urośnie.

Nie wiedział, dlaczego jego laird wzywał go na wyspę, ale nie spodziewał się dobrych nowin.

Wpatrywał się w noc, szukając zarysów wyspy, chociaż wiedział, że nawet z portu ledwie je widać. W świetle dnia Cadence przypominała plamę atramentu na horyzoncie, tam, gdzie niebo stykało się z oceanem.

Jack miał wrażenie, że minęła godzina, nim zobaczył zbliżające się światełko latarni. Rybak szedł pod wiatr pochylony, ze zmarszczonymi brwiami, w ciężkim płaszczu.

– Lepiej, żebyś dotrzymał słowa, bardziej. Za te wszystkie kłopoty chcę dwa dirki.

– Dotrzymam. Gdyby tak się nie stało, wiesz, gdzie mnie znaleźć – rzucił szorstko Jack.

Rybak spojrzał spode łba, skinął na swoją łódź.

– Właż do środka.

W ten sposób po dziesięciu latach Jack opuścił kontynent.



Początkowo ocean był wzburzony.

Jack trzymał się relingów, czując, jak skręca mu się żołądek, kiedy łódź unosiła się i opadała w groźnym tańcu. Fale nie przestawały biec w ich stronę, ale rybak rozcinał je swoją mocą, wypływając coraz dalej w morze. Podążał za światłem księżyca, jak sugerował Jack, i wkrótce ocean się wygładził. Wiatr nadal wył, ale to wciąż był wiatr z lądu, niosący w swoim oddechu tylko zimną sól.

Jack zerknął przez ramię. Światła Woe zamieniły się już w małe punkciki, a on wiedział, że za chwilę wejdą na wody wyspy. Czuł to, zupełnie jakby Cadence mu się przyglądała, wypatrywała go w ciemności, skupiała się na nim.

– Miesiąc temu woda wyrzuciła na brzeg ciało człowieka – odezwał się rybak, przerywając jego zadumę. – Napędził nam wszystkim stracha.

– Słucham?

– Breccanin, sądząc po tatuażach na rozdętej skórze. Niebieski tartan znalazł się na łodzi niedługo po nim. – Mężczyzna zamilkł, nie przestając machać wiosłami, które zanurzały się i wynurzały w hipnotycznym rytmie. –

Poderżnęli mu gardło, pewnie ludzie z twojego klanu, a potem wyrzucili biedaka do oceanu. Żebyśmy to my posprząтали bałagan, kiedy przyplływ przyniesie zwłoki na nasz brzeg.

Jack w milczeniu patrzył na rybaka, ale dreszcz przeszył go aż do kości. Nawet po tych wszystkich latach z dala od domu nazwa związana z wrogim klanem zdjęła go grozą.

– Możliwe, że to jego pobratymcy – przemówił Jack. – Breccanie słyną z krwiożerczości.

Rybak się zaśmiał.

– Miałbym uwierzyć w bezstronność Tamerlaina?

Jack mógłby opowiedzieć mu o najazdach. O tym, jak Breccanie przekraczali granicę klanu i okradali Tamerlainów mroźną zimą, jak plądrowali, ranili i rabowali bez wyrzutów sumienia... Nienawiść wezbrała w nim i uniosła się niczym dym, gdy przypominał sobie, jak bardzo bał się ich jako dziecko.

– Jak w ogóle zaczęła się ta waśń, bardzie? – naciskał rybak. – Czy ktoś jeszcze pamięta, czemu się nienawidzicie, czy po prostu podążacie ścieżką, którą wytyczyli wasi przodkowie?

Jack westchnął. Chciał po prostu szybko i spokojnie dopłynąć do wyspy, ale tak, znał tę historię. Pradawną, przesiąkniętą krwią sagę, która przesuwawała się w jedną lub drugą stronę niczym konstelacje na niebie, w zależności od tego, kto ją opowiadał – Wschód czy Zachód, Tamerlainowie czy Breccanie.

Nurt wody złagodniał, a wycie wiatru ustąpiło miejsca szeptowi. Nawet księżyc jakby zszedł niżej, zachęcając do podzielenia się tą legendą. Rybak również to wyczuł, milczał, wiosłując teraz wolniej; czekał, aż Jack zacznie opowieść.

– Przed klanami wyspę zamieszkiwały duchy – zaczął Jack. – Duchy ziemi, powietrza, ognia oraz wody; to one dały Cadence życie i równowagę. Ale wkrótce poczuły się samotne i zmęczone słuchaniem własnych głosów i oglądaniem wciąż tych samych twarzy. Wtedy północny wiatr zepchnął z kursu i rozbił o skały statek. Płynął nim zaciekły i arogancki klan Breccanów, który chciał podbić nową ziemię.

Niedługo potem południowy wiatr zepchnął z kursu i poprowadził na wyspę inny statek. To byli Tamerlainowie i oni również znaleźli na Cadence dom, a duchy błogosławiły pracę ich rąk.

Na początku panowała zgoda. Od czasu do czasu między klanami dochodziło do sprzeczek i starć, ale na ogół na wyspie udawało się utrzymać równowagę – z Breccanami na Zachodzie i Tamerlainami na Wschodzie. Aż pewnego dnia Joan Tamerlain, lairdess ze Wschodu, zapragnęła zjednoczyć wyspę, a gdy laird Breccanów ujrzał, jaka jest piękna, on również zaczął marzyć o harmonii. Zostań moją żoną, poprosił Fingal, i niechaj połączą się dwa nasze klany.

Joanna wyszła za niego i zamieszkała na Zachodzie, ale mijały dni, Fingal zwlekał z formalnym zawieraniem pokoju, zaś Joan przekonała się, jacy Breccanie są twardzi i okrutni; nie umiała się do nich dostosować. Przygnębiona rozlewem krwi, próbowała wprowadzać zwyczaje Wschodu w nadziei, że przyjmą się na Zachodzie z korzyścią dla jej nowego klanu. Jednak Fingala rozgniewały jej starania, sądził, że osłabi to jego ludzi, i nie zgodził się na żadne obce nowinki.

Niedługo później pokój zawisł na włosku i Joan pojęła, że Fingal nie zamierza zjednoczyć wyspy. Mówił jedno, ale za jej plecami robił drugie i Breccanie zaczęli najeżdżać Wschód i okradać Tamerlainów. Joan tęskniła za swoim domem i pragnęła pozbyć się Fingala – wkrótce opuściła dom swojego męża, lecz nie odjechała daleko, dogonił ją pośrodku wyspy.

Kłócili się i walczyli, Joan wyciągnęła dirk i odcięła się od męża – od imienia, ślubów, ducha i ciała, ale nie od serca, bo jej serce nigdy nie należało do Fingala. Zraniła mu szyję w miejscu, które niegdyś całowała wśród nocy, śniąc o Wschodzie. To było ledwie draśnięcie, ale to właśnie przez nie z Fingala szybko wysączało się życie, aż poczuł, że jego koniec jest bliski. Upadając, pociągnął ją za sobą i wbił w jej pierś własny sztylet – by przebić serce, którego nigdy nie zdołał zdobyć.

Przeklęli i siebie, i swoje klany, i umarli spleceni, jedno splamione krwią drugiego, w miejscu, gdzie Wschód styka się z Zachodem. Duchy poczuły rozłam, granica klanu została wytyczona, a ziemia wypła krew śmiertelników, ich walkę i gwałtowną śmierć. Zgoda stała się odległym marzeniem. I dlatego od tamtej pory Breccanie wciąż rabują i napadają, głodni tego, co do nich należy, a Tamerlainowie wciąż się bronią. To dlatego podcinają sobie gardła i przebijają serca klingami.

Rybak przestał wiosłować, zasłuchany, jednak kiedy Jack zamilkł, otrząsnął się i płynęli dalej.

Jack spojrział w dal – po raz pierwszy od długich dziesięciu lat ujrział wyspę.

Była ciemniejsza od nocy, niczym cień na tle oceanu i gwiazdzistego nieba. Długa i nierówna, rozciągała się przed nimi niczym smok śpiący na falach. Serce Jacka ścisnęło się zdradziecko. Wkrótce będzie stąpał po ziemi, na której wyrósł, a nie wiedział, czy ma się spodziewać serdecznego przyjęcia, czy też nie.

Od trzech lat nie napisał do matki.

– Wszyscy jesteście tam pomyleni, ot co – mruknął rybak. – Ze wszystkimi tymi banialukami i gadaniem o duchach.

– Nie czcicie duchów? – spytał Jack, chociaż znał odpowiedź. Na kontynencie nie znali duchów czterech żywiołów, była tylko patyna bogów oraz świętych, wyrzeźbionych w sanktuariach kirków.

Rybak prychnął.

– Czyś ty kiedy widział ducha na oczy, chłopie?

– Widziałem dowody na ich istnienie – odpowiedział ostrożnie Jack. – Nieczęsto ukazują się śmiertelnikom. – Przypomniały mu się wielogodzinne włóczęgi po wzgórzach, kiedy tak bardzo pragnął dojrzeć ducha wśród wrzosów. Nigdy się nie udało.

– Dla mnie to nic innego jak bzdury.

Jack nie odpowiedział; łódź powoli dopływała do wyspy.

Widział już porosty świecące złotem na wschodnich skałach, wyznaczające linię brzegową Tamerlainów. Wspomnienia Jacka ożyły, przywołując osobliwe rośliny, wiry i jaskinie, które tak pociągały wszystkie dzieciaki. Jack również badał wybrzeże niezliczoną ilość razy, doprowadzając Mirin do rozpacz, i za dnia, i w nocy, gdy porosty świeciły niczym drobinki słońca porzucone na skałach.

Znosiło ich. Chociaż rybak napierał na wiosła, oddalali się od porostów, jakby łódkę ciągnęło ku ciemnemu fragmentowi zachodniego wybrzeża.

– Płyniemy na wody Breccanów – zauważył Jack przez ściśnięte gardło. – Tam, wiosłuj w tamtą stronę...

Rybak napał mocniej, kierując łódkę we wskazaną stronę, ale poruszali się boleśnie powoli. Coś było nie tak i gdy tylko Jack pojął, że mają problem, wiatr umilkł, a ocean stał się szklisty i gładki niczym lustro. Zapanowała wwiercająca się w mózg cisza, od której włoski zjeżyły mu się na karku.

Stuk.

Rybak przestał wiosłować, jego wytrzeszczone oczy były wielkie jak księżyc w pełni.

– Słyszałeś?

Jack podniósł dłoń. *Bądź cicho*, chciał powiedzieć, ale powstrzymał się, czekał, aż ostrzeżenie pojawi się znowu.

Stuk. Stuk. Stuk.

Czuł to w podeszwach butów. Coś było w wodzie i stukało długimi pazurami od spodu. Szukało słabego miejsca.

– Matko bogów... – wyszeptał rybak, pot załśnił mu na twarzy. – Co tak stuka?

Jack przełknął ślinę. Gdy pazury stukały w dno, szukając miejsca, w którym mogą przebić kadłub, czuł, jak pot spływa mu po czole, a jego mięśnie naprężają się niczym struny harfy.

Wszystko przez tę pogardę ludzi z kontynentu. Rybak obraził wodne duchy, które być może zebrały się w morskiej pianie, by posłuchać legendy, i teraz obaj za to zapłacą: łódź zatonie.

– Czcisz duchy? – spytał Jack niskim głosem, wpatrując się w rybaka.

Ten tylko wytrzeszczał na niego oczy. Przez jego twarz przemknął strach i rybak zaczął odwracać łódź, wiosłując w kierunku Woe.

– Co robisz?! – zawołał Jack.

– Nie płynę dalej. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą twoją wyspą i tym, co nawiedza te wody!

Jack zmrużył oczy.

– Zawarliśmy umowę.

– To wyskakuj za burtę i płyn do brzegu albo wracaj ze mną.

– W takim razie twoje dirki będą wykute tylko w trzech czwartych, tak?

– Możesz je zatrzymać.

Jack zaniemówił. Rybak prawie wyprowadził ich z wód wyspy, a Jack nie mógł wrócić na kontynent! Nie teraz, kiedy znalazł się tak blisko domu, gdy zobaczył złote porosty i posmakował zimnej słodczy gór...

Stanął i obrócił się w łodzi, nie dbając o to, że się rozkołysała. Mógłby pokonać tę odległość, gdyby zostawił płaszcz i skórzany worek z ubraniami. Mógłby dopłynąć do brzegu, ale znalazłby się na wrogich wodach.

I musiał wziąć harfę, laird Alastair o nią prosił.

Szybko otworzył bagaż i wyjął instrument, ukryty w pokrowcu z olejowanej skóry. Słona woda mogła go zniszczyć... Jack wiedział, jak z tego wybrnąć.

Kopał głębiej, aż wyciągnął tartan Tamerlainów, którego nie zakładał, odkąd opuścił wyspę.

Matka utkała go dla niego, gdy miał osiem lat i zaczął wdawać się w bójki w szkole. Kiedy wrócił do domu z pękniętym żebrem i podbitym okiem, bez słowa podeszła do krosna i zaczęła tkać, wplatając we wzór zaklęcie. Pracowała dniami i nocami, aż skończyła, a on włożył tę zaczarowaną tkaninę i pewnego dnia wrócił z lekcji zachwycony: prześladowca chciał walnąć go w brzuch i złamał sobie rękę.

Ten kawałek materiału tylko wyglądał niewinnie. Był miękki, gdy leżał na podłodze, ale mocny jak stal, jeśli miał ochronić serce albo płuca.

Albo harfę, która za chwilę miała się kapać w słonej wodzie.

Jack zawinął ją w wełnę i z powrotem wsunął do futerału.

Musiał po prostu popłynąć do brzegu, zanim rybak zabierze go jeszcze dalej w morze.

Zrzucił płaszcz, objął harfę i wyskoczył za burtę.

Woda, przejmująco zimna, wybiła mu powietrze z płuc, ocean go pochłoniął. Jack wynurzył się, łapiąc oddech; włosy miał przyklejone do twarzy, spierzchnięte usta szczypały od soli. Rybak odpływał coraz dalej, zostawiając na wodzie strach.

Jack splunął za nim i zwrócił się w stronę wyspy. Modląc się, żeby duchy wody okazały się dla niego łaskawe, zaczął płynąć do Cadence.

Wpatrywał się w złociste porosty, jakby chciał z ich pomocą przyciągnąć się do bezpiecznego brzegu Tamerlainów, jednak fale zwróciły się przeciw niemu i przyływ zawrócił ze śmiechem. Jack znalazł się pod wodą, targany prądem.

Póki nie pojął, że udaje mu się zaczerpnąć powietrza za każdym razem, gdy dociera na powierzchnię, w jego żyłach pulsował przeszywający strach. Biorąc oddech po raz trzeci, już wiedział, że duchy się z nim bawiły – gdyby naprawdę chciały go utopić, byłoby po nim.

Jakżeby inaczej, pomyślał, zmagając się z przyływem. Jego powrót do domu musiał zostać okupiony wysiłkiem. Powinien się spodziewać takiego właśnie przyjęcia.

Skaleczył dłoń o rafę, stracił lewy but, ale wciąż obejmował harfę i próbował wywalczyć sobie drogę na powierzchnię; otworzył oczy w ciemności i zobaczył kobietę, płynącą obok niego. Błysnęły łuski, długie włosy łaskotały mu twarz.

Zadrzał i prawie zapomniał, że ma płynąć.

W końcu fale się nim znudziły i wypłuły go na piaszczysty odcinek plaży – jedyna łaska, jaką mu okazały. Czołgając się i wykrztuszając słoną wodę, już wiedział, że znalazł się na ziemi Breccanów, i ta myśl niemal go obezwładniła. Potrzebował chwili, by się podnieść i zorientować, w którą stronę ma biec...

Widział granicę klanu: jakiś kilometr od miejsca, w którym stał, z piasku wyrastał rząd skał, ostrych jak kły, i ciągnął się aż do oceanu, gdzie schodził pod wodę. Odległy blask porostów wzywał go, by biegł, biegł najszybciej, jak potrafi!

I Jack pobiegł. W jednym mokrym bucie omijał płataninę wyrzuconego przez wodę drewna i mały wir, migoczący jak sen, który zaraz ma się urwać. Przeczłogał się pod skalnym łukiem, który zasyczał, ześlizgnął się z głazu pomarszczonego mchem i nareszcie dotarł do granicy klanu.

Wspiął się szybko po skałach wilgotnych od morskiej mgły, rozorał bardziej skaleczenie na dłoni i przedostał się na bezpieczny grunt, na ziemi Tamerlainów. Tu wreszcie mógł odetchnąć. Stanął na piasku i zmusił się do wdechu, głębokiego i powolnego. Porosty wciąż świeciły. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć ognistego pnącza...

W jednej chwili panowały spokój i cisza, zakłócanie jedynie szumem przypływu, a w następnej Jack został zwalony z nóg i uderzył o ziemię razem z harfą. Z rozciętej wargi popłynęła krew, gdy szamotał się pod ciężarem kogoś, kto go trzymał.

Tak rozpaczliwie pragnął dotrzeć na Wschód, że zupełnie zapomniał o Straży Wschodu!

– Mam go! – usłyszał młody głos napastnika, chyba gorliwego chłopaczka.

Jack charczał, ale nie potrafił wykrztusić nawet słowa. Napastnik przestał zgniatać mu pierś, a bard poczuł, jak dwie stalowe dłonie zamykają się na jego kostkach i wloką go przez plażę. Wyciągnął rękę, rozpaczliwie próbując dosięgnąć swojej harfy. Będzie musiał pokazać tartan Mirin, bo list lairda został w płaszczu na łodzi. Ciężkie ręce nie chciały go jednak słuchać i mógł jedynie pozwolić się dalej ciągnąć.

– Mam go zabić, kapitanie? – spytał żarliwie chłopak.

– Może. Daj go tam.

Ten głos! Głęboki niczym wąwóz ze śladową ilością mirtu, tak przeraźliwie znajomy, nawet po tych wszystkich latach z dala od domu.

Nie mogło być inaczej, pomyślał Jack, zaciskając powieki, żeby do oczu nie dostawał się piasek.

W końcu chłopak przestał go wlec i Jack leżał na plecach, wyczerpany.

– Był sam?

– Tak, kapitanie.

– Ma jakąś broń?

– Nie.

Cisza. I zaraz potem chrzęst butów na piasku. Ktoś nad nim stanął. Jack ostrożnie otworzył oczy i nawet w ciemności rozpoznał strażnika, chociaż jego twarz oświetlały jedynie gwiazdy.

Patrzył na niego Torin Tamerlain.

– Daj mi swój dirk, Roban – rozkazał Torin, a szok Jacka zmienił się w przerażenie.

Torin go nie poznał! Zresztą co w tym dziwnego? Kiedy rozmawiali po raz ostatni, Jack miał dziesięć lat, zawodził, a z jego twarzy wystawało trzynaście ostowych igieł.

– Torin... – wykrztusił Jack.

Torin zawahał się, nadal ściskając dirk.

– Coś powiedział?

Jack podniósł rękę.

– To ja... Jack Tamer... lain.

Torin zastygł, jego klinga zawisała nad Jackiem niczym omen, który za chwilę spadnie. A potem warknął:

– Przynieś latarnię, Roban.

Chłopak ruszył pędem i szybko wrócił, latarnia kołysała się w jego dłoni. Torin wziął ją i opuścił, światło rozlało się po twarzy Jacka.

Bard zmrużył oczy. Obliznął spuchniętą wargę, poczuł krew i czekał zmartwiały.

– Na duchy! – odezwał się w końcu Torin, odsuwając latarnię. Przed oczami Jacka tańczyły jaskrawe plamy. – Nie wierzę!

Torin Tamerlain musiał zobaczyć jakiś ślad tego ciemnookiego, płacznego chłopca, którym Jack był dziesięć lat temu, bo odrzucił głowę

i się roześmiał.



– Co tak leżysz? Wstawaj i pozwól mi się lepiej przyjrzeć!

Jack niechętnie spełnił prośbę Torina. Wstał i otrzepał piasek z przemoczonego ubrania, krzywiąc się, gdy zaboląła go zraniona dłoń.

Odwlekając to, co nieuchronne, i nie mając odwagi spojrzeć na strażnika, którym kiedyś tak bardzo pragnął zostać, Jack wpatrywał się w swoje stopy, jedną bosą, drugą w mokrym buciku, i w skaleczenie na dłoni. Jednak czuł na sobie wzrok Torina i w końcu musiał spojrzeć mu w oczy.

Ze zdumieniem odkrył, że są tego samego wzrostu, równie wysocy. Ale na tym kończyło się podobieństwo.

Torin był zbudowany jak wyspiarz: szerokie bary, mocny tors, solidne, lekko wygięte nogi, umięśnione ręce i duże dłonie – prawa nadal trzymała rękojeść dirka. Kwadratową twarz wieńczyła przystrzyżona broda, niebieskie oczy były szeroko rozstawione, a nos krzywy od bójek. Długie włosy, zebrane do tyłu w dwa warkocze, wciąż miały kolor pszenicy. Nosił takie same ubrania, jak te, które pamiętał Jack: sięgającą kolan ciemną wełnianą tunikę, skórzaną kurtkę nabijaną srebrnymi ćwiekami; strażniczy tartan w brązie i czerwieni, przewieszony przez pierś, spiął broszą z herbem Tamerlainów. Nie miał spodni, bo niewielu mężczyzn na wyspie je nosiło. Podtrzymywane przez rzemienie buty z niegarbowanej skóry sięgały kolan.

Jack zastanawiał się, jak Torin go teraz widzi. Za chudy, za słaby, za bardzo przygarbiony? Błady od ślęczenia nad książką? Stare, zniszczone ubrania, zmęczone oczy?

Torin Tamerlain skinął z uznaniem głową.

– Wyrosłeś, chłopcze. Ile masz teraz lat?

– Jesienią skończę dwadzieścia dwa.

– Dobrze, bardzo dobrze... – Torin zerknął na Robana, który stał nieopodal i przyglądał się podejrzliwie. – W porządku, Roban. To swój. Chłopak Mirin.

Roban, na oko piętnastoletni, chyba przeżył szok.

– Jesteś synem Mirin? – zawołał łamiącym się głosem. – Często o tobie mówi! Jesteś bardem!

Jack ostrożnie skinął głową.

– Dawno nie widziałem barda! – emocjonował się Roban.

– No cóż – odezwał się Jack z nutą irytacji. – Mam jedynie nadzieję, że nie złamałeś mojej harfy na granicy klanów.

Uśmiech Robana zgasł, chłopak stał jak sparaliżowany, dopóki Torin nie wysłał go po instrument. Gdy pobiegł, Jack podążył za Torinem do małego ogniska w gardzieli nabrzeżnej jaskini.

– Siadaj, Jack – zarządził Torin, rozpiął swój tartan i rzucił go Jackowi ponad ogniem. – Wytrzymaj się.

Jack złapał materiał i od razu poczuł, że to jeden z zaczarowanych splotów Mirin. *Jaką tajemnicę Torina tu umieściła?*, pomyślał z irytacją, ale był zbyt przemarznięty, żeby się wzbraniać; owinał się wełnianym tartanem i wyciągnął ręce do ognia.

– Jesteś głodny? – zapytał Torin.

– Nie, w porządku. – Jego żołądek wciąż nie mógł się uspokoić po przeprawie przez wodę, strachu przeżytych na ziemiach wrogów i napaści Robana. Bard zobaczył, że drżą mu dłonie, Torin również to spostrzegł. Podał Jackowi manierkę i sam usiadł przy ogniu.

– Zauważyłem, że przybyłeś z Zachodu – powiedział Torin z nutą podejrzliwości.

– Niestety. Rybak z kontynentu, który przeprowił mnie tutaj łodzią, okazał się tchórzem. On zawrócił, a ja resztę drogi pokonałem wpływ i prąd zniósł mnie na Zachód.

Pociągnął z manierki krzepiący łyk. Wrzosowe piwo podziałało orzeźwiająco, rozgrzało krew. Wziął drugi i poczuł się znacznie pewniej – to zasługa tego, co uwarzono na wyspie; tutejsze napoje i jedzenie smakowały dziesięć razy lepiej niż te na kontynencie.

Zerknął na Torina. Teraz, w świetle ogniska, dostrzegł herb kapitana na jego broszy: skaczący jelen z rubinem w oku. Zauważył też bliznę na lewej dłoni.

– Pod moją nieobecność awansowałeś na kapitana – zauważył, zupełnie niezdziwiony; Torin od początku był najbardziej faworyzowanym strażnikiem.

– Trzy lata temu. – Twarz Torina się wygładziła, powróciły dawne wspomnienia. – Kiedy ostatni raz cię widziałem, Jack, byłeś tego wzrostu i miałeś...

– Trzynaście igieł ostu w twarzy – dokończył sucho Jack. – Czy Straż Wschodu nadal urzęduje to wyzwanie?

– Co trzecią równonoc wiosenną. Ale nie widziałem jeszcze, żeby ktoś skończył tak poraniony.

Jack patrzył w ogień.

– Widzisz, zawsze chciałem zostać strażnikiem – przemówił. – Tamtej nocy próbowałem dowieść, że jestem godny Wschodu.

– Upadając twarzą w naręcze ostów?

– Nie upadłem. Ktoś mi je cisnął w twarz.

Torin zmarszczył brwi.

– Kto?

Twoja słodka kuzynka, chciał odpowiedzieć, ale przypomniał sobie, jak bardzo Torin lubił Adairę. Na pewno myślał, że byłaby niezdolna do tego okrucieństwa.

– Nikt ważny – mruknął Jack, choć Adaira była, ni mniej, ni więcej, jak dziedziczką Wschodu.

Już miał spytać o nią Torina, ale zmienił zdanie. Od lat nie myślał o swojej dawnej rywalce, która teraz ma już pewnie męża, może nawet dzieci, i jest jeszcze bardziej kochana niż w młodości.

Jack pojął, że w jego wiedzy ziele spora dziura. Nie wiedział, co działo się na wyspie, kiedy go nie było, bo pławił się w muzyce. Nie wiedział, dlaczego teraz laird Alastair go wezwał. Nie wiedział, ile najazdów się wydarzyło i czy Breccanie wciąż stanowili zagrożenie, kiedy nadchodził lód.

Ośmielony, spojrzał Torinowi w oczy.

– Każdego zbłąkanego, który przekroczy granicę klanu, czeka natychmiastowa śmierć?

– Nie zabiłbym cię, chłopcze.

– Nie o to pytam.

Torin milczał, lecz nie odwrócił wzroku. Światło ognia migotało na jego ostrych rysach, ale w jego oczach nie było żalu czy wstydu.

– To zależy. Niektórzy zbłąkani Breccanie rzeczywiście dali się zwieść złośliwym duchom, zbłądzili i nie chcieli zrobić nic złego. Inni to zwiadowcy.

– Doszło ostatnio do jakichś najazdów? – zapytał Jack nagle zdjęty strachem, że Mirin, mieszkająca tak blisko zachodniego terytorium, okłamywała go w swoich listach.

– Od zeszłej zimy ani jednego, ale spodziewam się jakiegoś wkrótce, gdy tylko nadejdą chłody – odparł Torin.

– A ten ostatni, gdzie miał miejsce?

– W zagrodzie Elliottów – wyjaśnił Torin, ale patrzył ostro, jakby zaczynała do niego docierać niewiedza Jacka. – Martwisz się o mamę? Farmy Mirin nie najechano od czasu, gdy byłeś chłopcem.

Jack pamiętał tamto zdarzenie, choć był tak mały, że czasem się zastanawiał, czy mu się to nie przyśniło. Oddział Breccanów przybył pewnej zimowej nocy, a ich konie zamieniły na podwórzu śnieg w błoto. Mirin trzymała Jacka w kącie izby, jedną ręką przyciskając do piersi jego twarz, żeby nie patrzył, w drugiej ściskając miecz. Jack słuchał, jak Breccanie zabierali wszystko, co chcieli – prowiant na zimę, żywy inwentarz z obórki, kilka srebrnych marek. Potłukli garnki, wyrócili stopy tkanin Mirin i wynieśli się, wiedząc, że za chwilę wpadnie tutaj Straż Wschodu. Odeszli tak szybko, jakby byli pod wodą i musieli wstrzymywać oddech.

Nie zrobili krzywdy Mirin ani Jackowi, nie rozmawiali z nimi. Mieszkańcy byli nieważni, ledwie cienie w kącie. Mirin nie rzuciła im wyzwania, stała spokojnie, oddychała głęboko, ale Jack pamiętał bicie jej serca. Z uchem przy jej piersi słuchał, jak jej serce tłucze się niczym zamknięty w klatce ptak.

– Dlaczego wróciłeś do domu, Jack? – spytał cicho Torin. – Myśleliśmy, że już nigdy nie wrócisz. Uznaliśmy, że zostałeś bardem na kontynencie i urządziłeś tam sobie życie.

– Przybyłem tutaj na krótko. Laird Alastair mnie wezwał.

Torin uniósł brwi.

– Naprawdę? Teraz?

– Tak. Wiesz dlaczego?

– Chyba wiem, czemu cię wezwał – powiedział Torin, wpatrując się w barda. – Dzieje się coś złego, co ciąży nad całym klanem.

Puls Jacka przyspieszył.

– Nie widzę, jak mógłbym pomóc w kwestii najazdów...

– Nie chodzi o najazdy – odparł Torin i gdy znów spojrzął na Jacka, jego oczy znieruchomiały, jakby ujrzał upiora. – Dzieje się coś znacznie gorszego.

Roban schylił głowę, a Jack poczuł chłód, wkradający się pod skórę. Przypominał sobie, jak smakuje strach doświadczany na wyspie. Poczucie zagubienia, kiedy ziemia się przesuwała. Burze, które mogły rozszaleć się w jednej chwili. Duchy, życzliwe dzisiaj i złośliwe jutro; ich kapryśną naturę, zmienną jak rzeka.

Cadence zawsze była nieprzewidywalna i niebezpieczna, cudowności istniały tu obok koszmarów. A jednak nic nie mogło przygotować go na to, co powiedział mu Torin.

– Chodzi o dzieci, Jack. Nasze dziewczynki przepadają bez śladu.

ROZDZIAŁ DRUGI



Bywało, że Sidra widziała przy stole widmo pierwszej żony Torina; zwykle działo się to na styku pór roku, gdy w powietrzu wyczuwało się zmiany. Donella Tamerlain, skąpana w porannym świetle, w skórzanej zbroi i tartanie, patrzyła, jak Sidra stoi przy ogniu i szykuje Maisie śniadanie.

Czasami Sidra czuła się niegodna, jakby Donella ją oceniała – czy nowa kobieta dobrze opiekuje się jej córką i mężem? Ale zwykle miała wrażenie, że widmo po prostu dotrzymuje jej towarzystwa, bo jej dusza przywiązała się do tego domu, do tej ziemi. Dwie kobiety, jedną zmarłą, drugą żyjącą, połączyła miłość, ziemia i krew; nic dziwnego, że Donella ukazywała się tylko jej.

– Trzeba wysłać Maisie do szkoły tej jesieni – oznajmiła Sidra i zamieszała owsiankę. Dom spowijała cisza, świt dopiero przecierał oczy, wiatr szeptał swoje pierwsze poranne plotki. Donella milczała i Sidra zerknęła na nią. Zjawa zajmowała swoje ulubione krzesło przy stole, płowe włosy spływały jej na ramiona, a zbroja migotała w świetle, niemal przezroczysta.

Donella była tak piękna, że czasami Sidrę przeszywał ból.

Zjawa potrząsnęła głową.

– Wiem – westchnęła Sidra. – Uczyłam ją już liter i umie czytać.

Rzecz w tym, że wszystkie dzieci na wyspie musiały zacząć chodzić na zajęcia w Sloane zaraz po szóstych urodzinach. Donella zdawała sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie żyła od pięciu lat.

– Można to opóźnić, Sidro – przemówiła, a widmowy głos był echem jej głosu za życia. Sidra to wiedziała, choć wtedy jej nie znała. Obrwały w życiu bardzo różne ścieżki, które w przedziwny sposób doprowadziły je do tego samego miejsca.

– Myślisz, że powinnam zacząć uczyć ją mojego rzemiosła? – zapytała Sidra zaskoczona. – Zawsze sądziłam, że chcesz przekazać Maisie swoje dziedzictwo.

Zjawa uśmiechnęła się melancholijnie w świetle wschodzącego słońca.

– W przyszłości Maisie widzę nie miecz, lecz coś innego.

Sidra przestała mieszać i pomyślała o Torinie, który był uparty jak wół. W noc poślubną usiedli naprzeciwko siebie na łóżku, w pełni ubrani, i rozmawiali o Maisie i jej przyszłości, o tym, jak będą ją wychowywać. Torin chciał, żeby jego córka chodziła do szkoły, gdzie miała się nauczyć wszystkiego: strzelać z łuku, czytać i liczyć, ostrzyć miecz, powalić człowieka na ziemię, zemleć jęczmień i owies, a także śpiewać, tańczyć oraz polować. Torin nawet się nie zająknął, że Sidra mogłaby przekazać Maisie swoje rzemiosło, swoją wiedzę o ziołach, żeby nauczyła ją uzdrawiania.

Jakby wyczuwając jej wątpliwości, Donella powiedziała:

– Maisie już się uczy, obserwując cię, Sidro. Lubi pielęgnować ogród u twego boku. Lubi pomagać ci, kiedy przygotowujesz leki i mikstury. Dzięki tobie może zostać wspaniałą uzdrowicielką.

– I ja lubię jej towarzystwo. – Sidra skinęła. – Ale muszę porozmawiać o tym z Torinem. – A nie miała pojęcia, kiedy znów go zobaczy.

Wiedziała za to, jak bardzo jest oddany Straży Wschodu. Czuwał nocą, a w dzień spał w ciemnych, cichych wnętrzach zamku, ponieważ chciał być z innymi strażnikami. Rozumiała jego zaangażowanie, rozumiała, jak on się czuje – czemu miałyby spać w domu, skoro jego strażnicy spali w koszarach?

Od czasu do czasu przychodził do niej i do Maisie zjeść kolację, która dla nich była śniadaniem, ale nawet wtedy miłość i uwagę poświęcał córce, a Sidra robiła wszystkie te rzeczy, dla których się z nią ożenił – zajmowała się gospodarstwem, opiekowała dzieckiem. Co jakiś czas, zanim księżyc w pełni się rozwinął lub osłabł i gdy Maisie odwiedzała dziadka w gospodarstwie obok, Torin przychodził do niej. Ich stosunki były zawsze przelotne i spontaniczne, jakby Torin miał dla niej tylko kilka chwil. A jednak zawsze był czuły i uważny, a czasem leżał z nią w łóżku, gładząc dzikie sploty jej włosów.

– Myślę, że zobaczysz go ponownie wcześniej, niż myślisz – odezwała się Donella. – A on niczego ci nie odmówi, Sidro.

To ją zaskoczyło, pomyślała, że Donella przesadza. Gdy jednak zastanowiła się, czy kiedykolwiek prosiła o coś Torina, zrozumiała, że robiła to bardzo rzadko.

– Dobrze – powiedziała. – Poproszę go. Już wkrótce.

Drzwi wejściowe się otworzyły, Donella zniknęła, a Sidra odwróciła się zaskoczona i ujrzała ni mniej, ni więcej, tylko właśnie Torina. Wszedł do chaty wysmagany wiatrem i zarumieniony, tunikę miał wilgotną od rosy, buty zapiaszczone. W jednej chwili odnalazł ją wzrokiem, jakby dokładnie wiedział, gdzie ją znajdzie: przy ogniu, szykującą śniadanie dla jego córki.

– Z kim rozmawiasz, Sid? – Zmarszczył czoło, omiatając izbę spojrzeniem.

– Z nikim – odparła poruszona. Torin nie miał pojęcia o odwiedzinach jego zmarłej żony, a ona chyba nigdy nie zdobędzie się na odwagę, by mu o nich powiedzieć. – Jesteś w domu? Czemu?

Torin się zawahał. Nigdy nie pytała, dlaczego przyszedł, wiadomo było, że przychodził głodny po całej nocy, że chciał coś zjeść i przytulić córkę.

– Pomyślałem, że zjem z tobą i Maisie – odparł i dodał ciszej: – I przywiódłem gościa, który potrzebuje twojej uwagi.

– Gościa? – Sidra upuściła łyżkę. Gdyby słuchała wiatru tego poranka, usłyszałaby plotkę, którą niósł ponad wzgórzami. Ale była zbyt zajęta rozmową z pierwszą miłością Torina.

Obeszła stół, przeciąg poruszył jej rozwiane włosy i zatrzymała się, dopiero gdy do chaty wszedł młody mężczyzna. Pochylony, zgarbiony, trzymał coś, chyba jakiś instrument ukryty w skórzanym futerale, i serce Sidry podskoczyło z radości. Dopiero potem zobaczyła, w jakim jest stanie: na ramionach miał wprawdzie tartan Torina, ale ubranie, mokre i zniszczone, wisiało na nim jak zły los. Mężczyzna rzucał długi cień, utkany ze zmartwień i pretensji.

Dla takich chwil właśnie żyła: by pomagać, leczyć i rozwikływać tajemnice.

– Wiem, kim jesteś – powiedziała z uśmiechem. – Jesteś synem Mirin.

Nieznajomy zamrugał i wyprostował się, zdumiony, że go poznała.

– Jack Tamerlain – mówiła dalej Sidra, przypominając sobie jego imię. – Pewnie nie pamiętasz, ale wiele lat temu ty i twoja mama odwiedziliście moją rodzinną chatę w dolinie Stonehaven, by kupić wełnę. Mój kot utknął na starym wiązcie na podwórzu, a ty byłeś na tyle miły, że wspiąłeś się i ściągnąłeś go bezpiecznie na ziemię.

Jack wciąż wyglądał na zdumionego, ale w końcu jego twarz się wygładziła, a na ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Pamiętam... Twój kot chciał wydrapać mi oczy.

Sidra roześmiała się, w izbie zrobiło się jaśniej.

– Tak, nasza stara rozwydrzona buraska... Ale zajęłam się wtedy twoimi zadrapaniami i wygląda na to, że wykonałam kawał dobrej roboty.

W chacie zapadła cisza. Sidra uśmiechała się do Jacka, czując na sobie wzrok Torina. Spojrzała na niego i zobaczyła w jego oczach dumę, co ją zaskoczyło; zawsze miała wrażenie, że nie przypisywał większego znaczenia jej umiejętnościom. Ona była uzdrowicielką, on strażnikiem, każde z nich zajmowało się swoich fachem. Poza tymi rzadkimi momentami, kiedy potrzebował szwów lub nastawienia złamanego nosa; wtedy oddawał się, choć niechętnie, w jej ręce i pod jej opiekę.

– Wchodź śmiało, Jack – odezwała się, żeby przybysz poczuł się mile widziany; Torin zamknął drzwi. – Śniadanie zaraz będzie gotowe, a tymczasem... Torinie, może znajdziesz Jackowi jakieś ubranie?

Torin skinął na Jacka, by poszedł za nim. Większość ubrań trzymał w koszarach, ale najlepszą odzież miał w domu, w skrzyni wyłożonej gałązkami jałowca: tuniki, kurtki, nieliczne spodnie, kilka tartanów.

Sidra spiesznie nakryła do stołu, wyciągając zapasy, które zawsze trzymała w pogotowiu na wypadek, gdyby Torin znienacka do nich dołączył. Postawiła gotowane jajka, osełkę masła, słodką śmietankę, gomółkę koziego sera i dzbanuszek miodu z polnych kwiatów, półmisek z szynką i śledzie, bochenek chleba i słoik galaretki porzeczkowej, a na koniec garnek z owsianką. Nalewała właśnie herbatę, gdy Torin wrócił do izby, trzymając instrument tak, jakby ten chciał go ugryźć. Sidra już miała spytać, skąd wytrzasnął Jacka, gdy drzwi sypialni otworzyły się z hukiem i wybiegła Maisie z rozczochranymi brązowymi lokami, bosymi stópkami kłapiąc na podłodze.

– Tatusiu! – zawołała i skoczyła do Torina, nie zwracając uwagi na instrument.

– Moje słodkie dziewczątko! – Szeroko uśmiechnięty Torin złapał ją jedną ręką i posadził sobie na biodrze, a ona objęła go nóżkami i łapkami tak mocno, jakby miała go już nigdy nie puścić.

Sidra podeszła do nich, ostrożnie biorąc instrument od Torina i słuchając, jak ojciec i córka rozmawiają ze sobą po swojemu. Mąż pytał o kwiaty, które Maisie zasadziła w ogródku, o jej lekcje pisania, aż wreszcie nadszedł moment, na który Sidra czekała.

– Tatusiu, zgadnij, co się stało!

– Co się stało, kochanie?

Maisie zerknęła przez jego ramię na Sidrę, uśmiechając się łobuzersko. *Na duchy dołu, co za uśmiech!*, pomyślała Sidra, a jej serce przepełniło się miłością do tego dziecka. Poczowała to w tej chwili tak mocno, że odebrało jej dech. Nawet jeśli dziewczynka nie wyszła z jej łona, Sidra zawsze myślała, że pochodzi z jej duszy.

– Wypadł ci przedni ząb! – ucieszył się Torin, widząc puste miejsce w uśmiechu Maisie.

– Tak, tatusiu, ale nie o tym chciałam powiedzieć. – Maisie uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a Sidra się przygotowała na to, co zaraz się wydarzy. – Flossie ma kocięta!

Torin uniósł brwi i spojrzał na Sidrę; oto ojciec, który znalazł się na bardzo niepewnym gruncie.

– Naprawdę? – powiedział, nadal wpatrzony w Sidrę; wiedział, że to ona zastawiła na niego tę pułapkę. – To wspaniale, Maisie!

– Prawda? A Sidra powiedziała, że muszę zapytać ciebie, czy możemy wszystkie zatrzymać!

– Sidra tak powiedziała? – Torin w końcu spojrzał na córkę, a Sidra poczuła rumieniec na policzkach, ale spokojnie postawiła instrument Jacka na jego krześle i wróciła do nalewania herbaty. – Sidra kocha koty, prawda?

– Ja też je kocham, tatku! – zapewniła energicznie Maisie. – Są takie słodkie! I chcę zatrzymać wszystkie kociątka, mogę, tatusiu, mogę?

Torin milczał przez chwilę, Sidra znów poczuła żar jego spojrzenia, gdy przechodziła od filiżanki do filiżanki.

– Ile jest tych kociąt, Maisie?

– Pięć, tatku.

– Pięć?! Chy... chyba nie da się zatrzymać wszystkich, słonko – powiedział Torin, a Maisie jęknęła. – Posłuchaj mnie, kochanie. A co z innymi gospodarstwami, które potrzebują dobrego kota do pilnowania ogródka? Co z innymi dziewczynkami, które nie mają kociąt, które mogłyby kochać? Podziel się i oddaj cztery kotki innym dziewczynkom, sobie zostaw jednego.

Maisie skuliła się, naburmuszona, Sidra postanowiła się włączyć.

– Moim zdaniem to świetny plan, Maisie. Zawsze będziesz mogła pójść i odwiedzić inne kociątka.

– Obiecujesz? – upewniła się dziewczynka.

– Obiecuję.

Maisie, znów uśmiechnięta, uwolniła się z objęć Torina i siadła na swoim krześle, gotowa na śniadanie, a Sidra odwróciła się do ognia, zawiesiła czajnik na haku. Poczuła, że Torin podchodzi do niej, i usłyszała, jak szepcze jej we włosy:

– Jak mam ci sprowadzić psa stróżującego, skoro całą zagrodę przejmują koty?

Sidra wyprostowała się.

– Już ci mówiłam, Torinie. Nie potrzebuję psa stróżującego.

– Po raz setny, Sid... Chcę, żebyś miała psa. Żeby pilnował ciebie i Maisie w nocy, gdy mnie nie ma.

Sprzeczali się o to przez cały sezon i Sidra wiedziała, dlaczego Torin tak się przy tym upiera. Każda kolejna ciepła spokojna noc tylko przybliżała ich do nieuchronnego najazdu. A gdyby nawet nie istniało zagrożenie ze strony Breccan, były jeszcze złośliwe duchy. Kłopoty wędrowały ostatnio po wyspie, obecne w powietrzu, wodzie, ziemi i ogniu. Przepadły dwie dziewczynki i Sidra czuła to samo, co Torin: oboje bali się, że duchy mogłyby porwać Maisie. Jednak Sidra nie wierzyła, żeby pies stróżujący mógł tu w czymś pomóc.

Poza tym pies mógłby odstraszyć duchy podwórka, nawet te dobre, a ona głęboko wierzyła w duchy ziemi – dzięki temu potrafiła leczyć najgorsze rany i choroby. Rozmyślała nad tym bardzo długo i bała się, że jeśli pozwoli Torinowi sprowadzić psa, zwierzak przegoni z ogrodu te dobre duchy, dzięki którym jej zioła, kwiaty i warzywa rosły obficie, pozwalając jej wyżywić i uzdrawiać społeczność, pozwalając Maisie rosnąć zdrowo. Gdyby pozwoliła ściągnąć tu psa do ochrony, duchy mogłyby myśleć, że jej wiara osłabła, i kto wie, czym by to skutkowało.

Wychowywano ją w przekonaniu, że duchy są dobre, za to wiara Torina z biegiem lat się załamywała; rzadko mówił o nich coś miłego, osądzał wszystkie przez pryzmat kilku złośliwych. Za każdym razem, gdy Sidra o nich wspominała, Torin sztywniał, słuchał jednym uchem.

Może obwiniał duchy o przedwczesną śmierć Donelli?

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Mam już całą ochronę, jakiej potrzebuję.

– I co ja mam na to powiedzieć? – powiedział cicho. Czuła, że jest zły. Rzadko tu bywał, więc wiedział, że nie mówiła o nim.

– Obrażasz się, choć nie ma ku temu powodu – odparła łagodnie. – Twój ojciec jest tuż obok, w razie jakichś kłopotów pójdę do niego.

Torin wziął głęboki oddech, ale nie powiedział już ani słowa. Przyglądał się uważnie, jakby próbował odczytać coś z jej twarzy i z jej emocji. Minęła dobra chwila, nim się odsunął, na razie ustępując, i usiadł na swoim krześle u szczytu stołu. Maisie paplała o kociętach, on słuchał, ale zerkał na Sidrę, jakby szukał sposobu, żeby ją przekonać do psa.

Sidra przypomniała sobie o Jacku, dopiero gdy drzwi od pokoju skrzypnęły, Maisie przerwała opowieść w pół słowa i spojrzała na gościa.

– Kim jesteś? – wypaliła.

Jack, niezrażony jej bezpośredniością, podszedł do stołu, znalazł swoje krzesło z instrumentem i usiadł sztywno, wystrojony w odzież Torina. Zapięty na ramieniu tartan wydawał się ciężki i krępujący, luźna tunika mogłaby pomieścić dwóch takich jak on. – Jestem Jack. A ty?

– Maisie. To jest mój tata, a to Sidra.

Sidra poczuła, że Jack na nią patrzy. *Sidra*. Nie mama albo mamusia. Cóż, nigdy nie rościła sobie do tego pretensji. To była część jej ustaleń z Torinem: wychowywała Maisie i kochała ją całym sercem, ale nie kłamała i nie udawała, że jest jej rodzoną matką.

Każdej wiosny Sidra zrywała bukiet kwiatów i zabierała dziewczynkę na grób Donelli, opowiadając jej o matce – jaka była piękna, dzielna i biegła w walce. Mówiła Maisie, jak jej rodzice trenowali i walczyli na terenie zamku, najpierw jako rywale, potem przyjaciele i wreszcie kochankowie, chociaż czasem ścisnęło jej to gardło.

– A ty jak poznałaś tatusia? – pytała nieodmiennie Maisie, delektując się opowieściami.

Czasem Sidra opowiadała jej, gdy siedziały w wysokiej trawie i promieniach słońca, a czasem zapisywała tę sagę, dużo mniej porywającą niż ballada o Torinie i Donelli.

Ale to już była historia na inny dzień.

– Co to jest? – dopytywała się Maisie, wskazując instrument Jacka.

– Harfa.

Sidra dopiero teraz zauważyła, że Jack podtrzymywał lewą dłoń.

– Jesteś ranny, Jack?

– Drobiazg – odparł Jack i w tym samym czasie Torin oznajmił:

– Jest. Możesz spojrzeć, Sid?

– Oczywiście. – Sidra sięgnęła po swój koszyk. – Maisie, może pokaż tacie kocięta?

Maisie zerwała się z radością, chwyciła Torina za rękę i pociągnęła przez tylne drzwi. Po ich wyjściu w izbie zapanowała cisza; Sidra podeszła do Jacka z maściami i płótnem.

– Mogę zająć się twoją ręką?

Jack odwrócił dłoń.

– Tak. Dziękuję.

Przysunęła krzesło bliżej niego i zaczęła całą procedurę. Delikatnie zmyła piasek i brud i właśnie zaczynała wypełniać skaleczenie maścią, gdy Jack przemówił:

– Jak długo ty i Torin jesteście razem?

– Prawie cztery lata. Wyszłam za niego, gdy Maisie miała rok. – Owijała jego rękę płótnem i czuła wzbierające w nim pytania. Był wędrowcem, który właśnie wrócił do domu i z trudem składał w całość nowe wiadomości. – Pierwszą żoną Torina była Donella Reid. Ona również należała do straży. Zmarła, rodząc Maisie.

– Bardzo mi przykro.

– Tak, to był wielki cios. – Sidra wyobraziła sobie Donellę i pojęła, że Jack siedzi w jej krześle. Promienie słońca, które wcześniej przenikały zmarłą strażniczkę, teraz ozłacały Jacka. *Wygląda jak Mirin*, pomyślała Sidra, co znaczyło, że nie mógł przypominać swego tajemniczego ojca. Ojca, o którym nadal plotkowano.

– Bardzo proszę. – Sidra skończyła swoje dzieło. – Dam ci maść i miód, musisz opatrywać skaleczenie rano i wieczorem przez trzy dni.

– Dziękuję... Jak mogę się odwdzięczyć za twoją dobroć?

Sidra się uśmiechnęła.

– Myślę, że wystarczyłaby pieśń, kiedy już zagoi się twoja dłoń. Maisie z przyjemnością posłuchałaby muzyki, dawno nie cieszyliśmy się takim luksusem.

Jack skinął głową, ostrożnie zginając palce.

– Będę zaszczycony.

Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i do izby wrócił huragan: Torin i Maisie. Sidra spostrzegła na knykciach męża kilka świeżych zadrapań i irytację w jego oczach – zasługa kociąt.

– Jedźmy – rzucił szorstko, jakby się spieszył.

Sidra usiadła i naczynia zaczęły krążyć między nimi. Jack jadł niewiele, drżały mu dłonie i miał przekrwione oczy. Torin mówił o wyspie, a Sidra zdała sobie sprawę, że bard nie miał żadnych świeżych wiadomości. Nieśmiało pytał o lairda Alastaira, o plony, o straż i napięcie z Zachodem.

– Często martwię się o mamę, mieszka sama tak blisko granicy klanu... – powiedział. – Dobrze słyszeć, że wszystko jest w porządku.

Sidra spojrzała na Torina: czyżby Jack nie wiedział?... Już otworzyła usta, kiedy Torin chrząknął i zmienił temat. Wycofała się. Jeśli nie wiedział, nie ona powinna go poinformować.

Gdy skończyli posiłek, Torin wstał.

– Chodź, Jack, idę do miasta i mogę cię odprowadzić. Najlepiej będzie, jeśli najpierw zobaczysz się z lairdem, a potem z mamą, zanim wiatr przeniesie kolejne plotki.

Jack skinął głową.

Maisie już zanosila sztuce i filizanki do beczki z wodą, a Sidra poszła z mężczyznami do wyjścia. Jack szedł ścieżką przez ogród, Torin został.

– Mam nadzieję, że czwórka tych kociaków znajdzie nowy dom, zanim znów przyjdę – powiedział, trochę się drocząc.

Sidra oparła się o framugę, wiatr plątał jej ciemne włosy.

– Są za małe, żeby oddzielać je od matki.

– W takim razie ile to jeszcze potrwa?

– Przynajmniej miesiąc.

Skrzyżowała ramiona, ich mocne spojrzenia się spotkały. Tak, sprawdzała go, chciała wiedzieć, kiedy następnym razem do niej przyjdzie: ile czasu miała

na przygotowanie wszystkich argumentów za zatrzymaniem Maisie w domu.

– To długo – stwierdził.

– Niekoniecznie – odparła, chociaż jego wzrok mówił co innego.

– Może ty i Maisie zaczniecie już szukać ludzi, którzy chcą kociaków?

– Oczywiście. – Sidra się uśmiechnęła. – Wykorzystamy ten czas najlepiej, jak się da.

Torin spojrział na jej usta, na jej zawadiacki, krzywy uśmiezek... I odwrócił się, nie mówiąc już nic więcej. Zmierzał ścieżką przez zioła, na chwilę tylko zatrzymał się przy bramie, przesunął ręką przez włosy. I choć już na nią nie spojrział, Sidra wiedziała.

Wiedziała, że wróci do niej na długo przed upływem miesiąca.



Bard pamiętał drogę do Sloane nawet po dziesięciu latach nieobecności, ale grzecznie poczekał, aż Torin się do niego przyłączy; jego koń szedł za nim.

Jack czuł się dziwnie w rzeczach Torina. Zapięta na ramieniu peleryna była ciężka, tunika zmieściłaby dwóch takich jak on, buty spadały z nóg, ale za to nie czuł się nagi. Trochę się w środku zżymał, ale czuł wdzięczność, bo ubranie chroniło go przed wiatrem, który wiał ze wschodu, suchy, zimny, wypełniony szeptami. Zamknął uszy na plotki, ale raz czy dwa słyszał chyba *zabłąkany bard wrócił...*

Wkrótce wszyscy będą wiedzieli, również jego matka. Tego spotkania Jack bał się najbardziej.

– Jak długo planujesz zostać? – Torin zerknął na niego.

– Na lato – odparł Jack i kopnął kamyk, choć tak naprawdę nie wiedział, ile to potrwa. Torin wspomniał, że dwie dziewczynki zniknęły w ciągu dwóch tygodni i choć to było straszne, Jack nadal nie potrafił zrozumieć, jak mógłby się przydać. Chyba że miałby zagrać na harfie dla klanu w ramach żałoby, ale zdaniem Torina wierzono, że dziewczynki się znajdują, kiedy tylko duchy się uspokoją i oddadzą je światu śmiertelników.

Bez względu na to, czego laird od niego potrzebował, Jack chciał zrobić to szybko i wrócić na uniwersytet, gdzie jego miejsce.

– Czekają na ciebie obowiązki na kontynencie? – spytał Torin, jakby wyczuł myśli Jacka.

– Tak. Jestem asystentem i mam nadzieję zostać profesorem w ciągu pięciu lat. – Jeśli tylko czas spędzony na wyspie nie zniszczy jego szans. Pracował długo i ciężko, by zdobyć to stanowisko, uczyć prawie setkę studentów tygodniowo i oceniać ich kompozycje. Niespodziewany wyjazd mógł dać szansę innemu asystentowi na odebranie mu zajęć i zajęcie jego miejsca.

Na samą myśl skręcił mu się żołądek.

Minęli gospodarstwo ojca Torina, Graeme’a Tamerlaina, który był bratem lairda. Jack zauważył, że podwórze zarosły chwasty, a dom wygląda na zaniedbany. Drzwi wejściowe obramowała pajęczyna, pnącza wiły się po kamiennych ścianach; Jack zastanowił się, czy ojciec Torina w ogóle jeszcze żyje. Potem przypomniał sobie, że Graeme Tamerlain na starość stał się odludkiem i rzadko opuszczał dom, nie przychodził nawet na uczyty w sali zamkowej, kiedy gromadziła się tam cała wschodnia część Cadence.

– Twój ojciec?... – Jack się zawahał.

– Ma się całkiem dobrze – odrzekł Torin stanowczo, jakby w ogóle nie chciał mówić o ojcu, jakby zaniedbana zagroda była czymś normalnym.

Szli dalej, droga wznosiła się i opadała, wraz z układem wzgórz, porośniętych bujną wysoką trawą, soczyście zieloną po wiosennych burzach. Naparstnice wyciągały się ku słońcu, ich główki tańczyły z wiatrem, a szpaki wlatywały i śpiewały na tle niskich chmur. Poranna mgła w oddali rozwiewała się, ukazując nieskończenie niebieski, rozświetlony ocean.

Jack chłonał to piękno, jednocześnie usiłując się przed nim chronić. Nie podobało mu się, że na wyspie znowu poczuł, że żyje, że jest sobą, zupełnie jakby do niej należał, chociaż chciał pozostać obojętnym obserwatorem. Śmiertelnikiem, który mógł przychodzić i odchodzić wedle życzenia, nie doświadczając przy tym żadnego bólu.

Znów pomyślał o zajęciach i swoich uczniach. Paru z nich nie mogło się pogodzić z myślą, że w lecie go nie będzie, większość odetchnęła z ulgą. Zastłynął jako jeden z najsurowszych asystentów – jeśli studenci mieli brać udział w jego zajęciach, chciał mieć pewność, że naprawdę rozwiną swoje umiejętności.

Myślami wciąż był na kontynencie, gdy on i Torin dotarli wreszcie do Sloane.

Miasto wyglądało tak, jak je zapamiętał: ubita droga przeszła w starty bruk, wijący się wśród budynków, domy stały blisko siebie, kamienne, z dachami

krytymi strzechą. Nad kuźnią unosił się dym, rynek tętnił życiem, a pośrodku miasta wznosił się zamek, forteca z ciemnych kamieni, spowita sztandarami. Herb Tamerlainów łopotał na balustradach, zdradzając, jaki wiatr wiał tego popołudnia.

– Chyba ludzie cieszą się, że tu jesteś, Jack – powiedział Torin.

Jack, zaskoczony, zaczął się rozglądać.

Ludzie zatrzymywali na nim wzrok, gdy przechodził. Starzy rybacy, którzy siedzieli pod rozciągniętymi żaglami i naprawiali sieci spracowanymi dłońmi. Piekarze z koszami jeszcze ciepłych *bannocks*, owsianych chlebków. Mleczarki z wiadrami. Chłopcy z drewnianymi mieczami i dziewczęta niosące książki i kołczany strzał. Kowale między uderzeniami młotem w kowadło.

Nie zwalniał kroku i nikt nie ośmielił się go zatrzymać. Nie pojmował tej ekscytacji, tych uśmiechów, którymi go odprowadzali.

– Nie rozumiem dlaczego – zauważył sucho.

Jako chłopiec nie był lubiany i źle go traktowano, bo nie miał ojca. Jeśli Mirin wysłała go do miasta po chleb, piekarz dawał mu spalony bochenek. Jeśli na targ po nową parę butów, szewc dawał mu zużyta, z przetartymi rzemieniami, które nie doczekałyby zejścia śniegów. Jeśli Mirin dała mu srebrną markę na miodownik, dostałby to ciasto dopiero wtedy, gdyby upadło na ziemię.

Bękart, słyszał w szeptach częściej niż własne imię. Niektóre kobiety na rynku przyglądały się podejrzliwie, doszukując się rysów własnego męża, chociaż Jack stał się lustrzanym odbiciem matki, a niewierność na Cadence była rzadkością.

Kiedy Mirin zaczęła tkać zaczarowane tartany, ci, którzy traktowali Jacka z niechęcią, nagle stali się nieco bardziej uprzejmi – nikt nie mógł rywalizować z jej rękodziełem. Ona poznawała najmroczniejsze sekrety swoich zleceńodawców, oni wciąż nie znali jej sekretu. Ale wtedy Jack nosił już w sobie wszystkie urazy, wdawał się bójki w szkole, wybijał szyby kamieniami, nie chciał kupować od niektórych sprzedawców, gdy Mirin posyłała go na targ.

A teraz ludzie cieszyli się z jego obecności, jakby tylko czekali na dzień, w którym powróci do domu jako bard. Dziwne.

– Zostawię cię tutaj, Jack – rzekł Torin, gdy dotarli na dziedziniec zamku. – Ale przypuszczam, że wkrótce się zobaczymy?

Jack skinął głową, sztywny i zdenerwowany.

– Jeszcze raz dziękuję za śniadanie. I za ubranie. Każę je zwrócić najszybciej, jak zdołam.

Torin skinął mu ręką i poprowadził konia do stajni, a strażnicy wpuścili Jacka do zamku.

Sala, cicha i opuszczona, wydawała się idealnym miejscem na spotkania duchów. Gęste cienie przyczały się w kątach i pomiędzy krokwiami, światło wpadało tylko przez wysokie okna, rysując na podłodze jasne kwadraty. Stoły pokrywał kurz, ławy chowały się pod nimi, palenisko było zimne i wymiecione. Jack pamiętał jeszcze, jak przychodził tu z Mirin jako chłopiec w każdą pełnię księżyca, jak ucztowali i słuchali Lorny Tamerlain, która grała na harfie i śpiewała. Raz w miesiącu to miejsce tętniło gwarem, raz w miesiącu klan spotykał się, żeby razem świętować po kolejnym miesiącu pracy.

Być może tradycja ustała po śmierci lady Lorny, pomyślał ze smutkiem Jack. I nie było na wyspie żadnego barda, który zająłby jej miejsce, przekazywał pieśni i legendy klanu.

Przeszedł przez salę aż do stopni podestu. Wielki gobelin przedstawiający księżycę, charty i góry rozpościerał na ścianie swoje piękne kolory i misterne szczegóły. Laird Alastaira, który stał na podeście i wydawał się częścią gobelinu, Jack zauważył dopiero wtedy, kiedy ten się poruszył.

– Jack Tamerlain! – odezwał się laird z uśmiechem. – Nie wierzyłem dziś plotkom wiatru, ale muszę przyznać, że bardzo miło cię widzieć.

Jack przykląkł z szacunkiem.

Ostatni raz widział lairda w dzień wyjazdu; gdy Jack miał wejść na łódź, by przepłynąć na kontynent, Alastair stał obok niego na brzegu, z ręką na jego ramieniu. Jack nie chciał, by laird myślał, że on się boi – Alastair był wielkim człowiekiem z postury i charakteru, chociaż często się uśmiechał i śmiał – i dlatego wsiadł dzielnie do łodzi, wstrzymując łzy, dopóki wyspa nie rozplynęła się w nocnym niebie.

Człowiek, który witał Jacka w tej chwili, wyglądał zgoła inaczej.

Alastair Tamerlain był blady i bardzo chudy, ubranie wisiało luźno na jego ciele. Włosy, niegdyś czarne jak krucze pióra, przybrały matowy odcień szarości, oczy straciły blask, nawet gdy się uśmiechał, zaś jego donośny głos

ochrypł i wydawał się cichszy. Laird wyglądał jak człowiek, który od lat toczył bitwę bez wytchnienia.

– Lairdzie... – powiedział niepewnie Jack. Dlaczego go zawezwano? Czyżby śmierć czyhała na władcę Wschodu?

Jack czekał z pochyloną głową, aż Alastair zbliży się do niego. Podniósł oczy dopiero wtedy, gdy poczuł dłoń na ramieniu. Szok musiał odbić się na jego twarzy, bo Alastair się roześmiał.

– Wiem, wiem, zmieniłem się bardzo, odkąd ostatni raz mnie widziałeś, Jack. Czas robi ludziom takie rzeczy... Chociaż dla ciebie lata na kontynencie były znacznie łaskawsze.

Jack uśmiechnął się samymi wargami; poczuł złość, że Torin nie wspomniał o zdrowiu lairda przy śniadaniu.

– Wróciłem, panie, tak jak mnie prosiłeś. Jak mogę ci służyć?

Alastair milczał. Zamrugął, marszcząc w zakłopotaniu brwi, i w tej przeraźliwej ciszy Jack poczuł, jak zalewa go groza.

– Nie spodziewałem się ciebie, Jack. Nie prosiłem o powrót.

Harfa w ramionach ciążyła Jackowi niczym kamień młyński. Myśli pierzchły; bard nadal klęczał i wpatrywał się w lairda pustym wzrokiem.

To nie Alastair go wezwał, choć to jego sygnetu użyto w liście.

Zatem kto?

Milczał, choć tak bardzo pragnął wykrzyczeć swoją frustrację. Wtedy dostrzegł ruch.

Jakaś postać pojawiła się na podeście, jakby wyłaniając się wprost ze splotów gobelinu, z księżycowych gór. Wysoka i smukła, miała na sobie suknię w kolorze burzowych chmur i czerwony tartan na ramionach. Jej ruchom towarzyszył szelest, gdy zbliżała się do miejsca, w którym klęczał.

Jack podniósł wzrok.

Twarz, z piegami, wysokimi kośćmi policzkowymi, ostrym podbródkiem, budziła nie tyle zachwyt, co szacunek. Była zarumieniona, jakby kobieta szła wśród blanek, rzucając wyzwanie wiatrom; włosy o barwie światła księżycy tworzyły koronę warkoczy. Wplecione w nią drobne kwiatki ostów wyglądały jak gwiazdy; chyba nie bała się ich ukłucia.

Widział w niej tę dziewczynkę, którą była kiedyś, którą gonił po wzgórzach pewnej wiosennej nocy, którą wyzwiał na pojedynek za naręcze ostów.

Adaira.

Patrzyła na niego równie intensywnie jak on na nią. Szok zgasł i wybuchło w nim oburzenie; płonęło tak gwałtownie, że prawie nie mógł oddychać, gdy pomyślał, czym zapłacił za ten powrót do domu. Tytuł, reputacja, ukoronowanie lat trudów, poświęcenia i ciężkiej pracy rozwiały się niczym dym. I porzucił to wszystko nie dla lairda, co jeszcze mógł jakoś przełknąć, ale dla *niej* i jej zachcianek.

Poczuła w nim tego dzikiego chłopca, który ją ścigał, teraz starszego i twardszego, poczuła jego narastający gniew.

Odpowiedziała chłodnym uśmiechem triumfu.

ROZDZIAŁ TRZECI



Jack Tamerlain – przywitała go Adaira. Jej głos brzmiał inaczej; gdyby usłyszał go w ciemności, nie odgadłby, do kogo należy. – Co za niespodzianka.

Nie odpowiedział, ale patrzył jej prosto w oczy.

– Zapomniałem, że jesteście starymi przyjaciółmi – odezwał się Alastair zadowolony i wyciągnął rękę do córki. Podeszła bliżej, tak blisko, że jej cień okrył klęczącego Jacka.

– W istocie. – Adaira oderwała wzrok od Jacka i obdarzyła ojca szczerym uśmiechem. – Ale nie było go tak długo, że powinnam chyba na nowo poznać go z wyspą.

– Nie przypu... – zaczął Jack i urwał, gdy Alastair spojrzał na niego, unosząc brew.

– Bardzo dobry plan – oznajmił laird. – Chyba że miałbyś coś przeciwko, Jack?

Miał, i to dużo; niewygłoszony protest utknął mu w gardle, gdy Jack pokręcił głową.

– Doskonale! – Adaira znowu się uśmiechnęła. Widziała, co się z nim dzieje, ale w niczym jej to nie przeszkadzało, więcej, chyba sprawiało radość. Dała Jackowi znak, żeby wstał, jakby miała władzę, by mu rozkazywać. Bo czyż tak nie było? Przecież zmusiła go, żeby porzucił swoje zobowiązania i w pośpiechu wrócił do domu.

Tak, mieszkał na kontynencie ostatnie dziesięć lat, kształcąc się na barda i zapominając o więzach z Cadence, ale teraz, gdy spojrzał na Adairę, wszystko wróciło. Nosił nazwisko Tamerlain – jedyne, jakie miał – jak pelerynę i wiedział, że winien jest wierność i Adairze, i swojemu lairdowi.

Wstał.

– Mam nadzieję, że wkrótce uświetnisz tę salę swoją muzyką, Jack – przemówił Alastair, tłumiąc głęboki, mokry kaszel.

– To byłby zaszczyt – odparł Jack, patrząc, jak laird przyciska knykcie do ust i zamyka oczy, jakby czuł ból.

– Idź i odpocznij, ojciec. – Adaira dotknęła jego ramienia.

Alastair opuścił dłoń i ze zmęczeniem uśmiechnął się do córki. Ucałował ją w czoło, po czym wyszedł.

– Chodź ze mną, Jack. – Adaira odwróciła się i przeszła przez sekretne drzwi, których wcześniej nie zauważył, a on, rozgniewany, mógł tylko podążać za nią labiryntem korytarzy, wbijając wzrok w jej warkocze i osty, które nosiła niczym klejnoty.

Powiniem wiedzieć, że to ona.

Prawie wybuchł śmiechem, gdy Adaira zaprowadziła go do wewnętrznego ogrodu i zatrzymała się na płytach porośniętych mchem. Niemal na nią wpadł; kiedyś była wyższa, z przyjemnością odkrył, że teraz on ma nad nią przewagę kilku centymetrów.

Odwróciła się do niego; oboje milczeli, powietrze między nimi znieruchomiało.

– Nie wiedziałeś, że to ja – odezwała się w końcu, rozbawiona.

– Nie przyszło mi to do głowy – odparł ostro. – Choć mogłem się domyślić, że jesteś zdolna do podrobienia podpisu swojego ojca. Rozumiem, że zdjęłaś mu też sygnet. We śnie czy może go odurzyłaś? Przyznaję: zbrodnia doskonała. W przeciwnym razie nie stałbym tutaj.

– A zatem dobrze, że się do tego posunęłam – odparła ze spokojem, który jeszcze mocniej wytrącił go z równowagi.

Zrozumiał, że Adaira wydobywa z niego to, co najgorsze, że znów zachowywał się jak jedenastolatek. Postanowił się nie odzywać, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będzie żałował, póki nie dodała:

– Nie wezwałabym cię, gdyby nie było to coś ważnego.

– Jak śmiesz? – zachnął się. – Jak śmiesz mówić mi, co jest ważne, skoro właśnie odciągnęłaś mnie od zobowiązań, bez skrępowania wdzierając się w moje życie? Czego ode mnie chcesz, Adairo? No? Powiedz, żebym mógł spełnić twoje żądanie i wrócić na kontynent.

Nadal niewzruszona, wpatrywała się w niego intensywnie, przenikając wzrokiem jego ciało, kości i ścięgna, docierając do wnętrza, zupełnie jakby mierzyła jego wartość. Jack cofnął się, czując się nieswojo pod tym

spojrzeniem. Chłodna, milcząca i opanowana wobec jego gniewu Adaira wyglądała tak, jakby niczego innego się po nim nie spodziewała.

– Mam ci wiele do powiedzenia, Jack, ale nie tutaj, gdzie wiatr mógłby porwać moje słowa – oznajmiła i zaczęła iść krętą ścieżką. – Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz cię widziałam.

Nie chciał wracać do tamtej chwili pomiędzy nimi, ale nie miał wyjścia, skoro patrzyła wyzywająco i ściągnęła go właśnie tu, do ogrodu.

Ostatni raz widział ją w noc przed opuszczeniem Cadence. Mirin rozmawiała z Alastairem i Lorną w zamku, a Jack błąkał się, ponury i zły, aż znalazł drogę do ogrodu oświetlonego gwiazdami. Zastał tam Adairę i z przyjemnością ciskał w nią kamykami przez krzaki róż, dopóki nie znalazła jego kryjówki.

Ale zamiast uciec i się poskarżyć, czego się spodziewał, złapała go za tunikę i wyzwała na pojedynek. Tłukli się pośród kwiatów i pnączy, miażdżąc rośliny, tarzając się na ziemi; Jack był zaskoczony jej siłą i zaciekłością, jakby tylko czekała, aż ktoś jej dorówna. Paznokcie darły mu skórę, łokcie waliły w żebra, włosy kłuły go w twarz.

Zupełnie jakby doskonale wiedziała, co on czuje, jakby stanowili lustrzane odbicia... Nie, to niedorzeczne, skoro miała wszystko, czego jemu brakowało... Ją uwielbiano, nim gardzono, ona była idealna, on krnąbrny. I dlatego musiał ją pokonać, dlatego w końcu przygniótł ją do ziemi – i odchylił się, widząc własną wściekłość w jej oczach. I wtedy powiedziała...

– Tak, pamiętam twoje pożegnanie: gardzisz moim istnieniem, plugawie imię Tamerlain i masz nadzieję, że już nigdy nie powrócę na wyspę. – Jack przywołał jej słowa pozornie obojętnym tonem, znów czując ból, jakby tamto pożegnanie wsączyło się w jego kości. Nigdy nie był osobą, która łatwo wybaczona i zapomina.

Adaira słuchała go uważnie.

– Przepraszam za wszystko, co mówiłam ci tamtej nocy. – Znów go zaskoczyła. – Sam widzisz, że musiałam sfałszować rozkaz ojca, bo dla mnie nigdy byś tu nie wrócił.

– Racja – rzekł i widział, jak zmrużyła z niedowierzaniem oczy, jakby nie ufała jego szczerości, jakby dziwiła się, że się z nią zgadzał. – Nigdy nie wróciłbym tu dla ciebie, Adairo.

– To właśnie powiedziałam – wycedziła przez zęby.

W końcu, pomyślał Jack i zwolnił kroku. Nareszcie obudził jej temperament.

– Ale tylko dlatego, że zbudowałem już sobie życie na kontynencie.

Adaira przystanęła na ścieżce.

– Jako bard?

– Tak, lecz nie tylko. Niedługo zostanę profesorem na uniwersytecie.

– A więc uczysz?

– Setki studentów w ciągu jednego semestru. W ciągu ostatniej dekady przez moje ręce przepłynęła niekończąca się muzyka, także ta, którą sam stworzyłem.

– Spore osiągnięcie – stwierdziła i widział, jak światło w jej oczach przygasało. – Lubisz uczyć?

– Oczywiście, że tak – odpowiedział, choć czasami tego nienawidził. Nie należał do ulubionych asystentów i co jakiś czas wyobrażał sobie, jak odrzuca ciężące mu oczekiwania i zostaje wędrownym bardem, który słucha legend i umieszcza je w pieśniach. Wyobrażał sobie, jak zbiera opowieści i ożywia miejsca na wpół martwe albo zapomniane, i zastanawiał się, czy ucząc na uniwersytecie, zamknięty w kamiennych ścianach, nie staje się ptakiem, trzymanym w żelaznej klatce.

Takie myśli były niebezpieczne.

To na pewno jego krew wyspiarza: pragnąć życia na krawędzi, bez odpowiedzialności i zobowiązań; pozwalać, żeby wiatr przenosił go z miejsca na miejsce...

Jack odepchnął te myśli, bał się, że Adaira zobaczy je w jego oczach.

– Teraz rozumiesz, jak ciężko było mi porzucić dzieło mojego życia dla jakiegoś sekretnego celu. Chcę wiedzieć, dlaczego wezwałeś mnie do domu. Czego ode mnie chcesz, dziedziczko?

– Powiem tak – zaczęła, a Jack się spał. – Jesteś bardem, ja nie jestem twoim opiekunem, a ty nie jesteś do mnie przywiązany; możesz przychodzić i odchodzić, kiedy ci się spodoba. I jeśli chcesz odejść jeszcze dziś, to... Odejdź, Jack. Znajdę kogoś innego, kto spełni moją prośbę.

Zamilkła, ale Jack czuł, że to jeszcze nie koniec. Czekał.

– Lecz jeśli mam być szczerą – mówiła dalej, spoglądając mu prosto w oczy – to tak, potrzebuję cię. Klan cię potrzebuje. Czekaliśmy dziesięć

długich lat, abys wrócił do domu, i dlatego proszę: zostań i pomóż nam w tej trudnej chwili.

Był oszołomiony tym, co właśnie mu powiedziała, stał i patrzył na nią. A w jego wnętrzu odezwał się jakiś straszny głos: *odejdz*. Myślał o krętych korytarzach swojej uczelni, wypełnionych światłem i muzyką. Myślał o studentach: jak się uśmiechali, z jaką determinacją uczyli się gry na instrumentach, które oddał w ich ręce.

Odejdz.

To było kuszące, ale jej słowa pociągały go znacznie bardziej. Potrzebowała właśnie jego, a to go zaintrygowało. Chciał wiedzieć dlaczego.

Ruszył za nią.

Zaprowadziła go do małej wewnętrznej komnaty, pozbawionej okien – w niej mogli poruszać wszelkie tematy, bo wiatr nie był w stanie skrać wypowiedzianych tu słów. Na stole paliło się mnóstwo świec, w palenisku trzaskał płomień. Jack stanął przy zamkniętych drzwiach i patrzył, jak Adaira podeszła do stołu i nalała im odrobinę whisky. Gdy zbliżyła się do niego ze szklanką w ręku, zawahał się; blask ognia uderzył w szkło, ogarniając jej dłoń bursztynowym światłem.

– To propozycja pokoju czy łapówka? – Uniósł brew.

Odpowiedział mu szczery uśmiech, w kącikach oczu pojawiły się delikatne zmarszczki.

– Może jedno i drugie? Pomyślałam, że ucieszy cię smak wyspy. Słyszałam, że kontynentalny trunek jest raczej mdły.

Jack przyjął szklankę i zrozumiał, że Adaira czeka na toast.

Chrząknął i rzekł szorstko:

– Za Wschód.

– Za Wschód – powtórzyła i stuknęła się z nim szklanką. Zaczekała, aż weźmie pierwszy łyk, spływający po gardle niczym płomień starożytnego ognia, i dodała:

– Witaj w domu, stary wrogu.

Jack zakasłał, oczy mu załzawiły, a w nosie piekło, ale szybko się opanował.

To już nie jest mój dom, chciał powiedzieć, ale słowa rozpuściły się w jej uśmiechu.

Zajęła skórzany fotel przy kominku, wskazała drugi naprzeciw siebie.

– Usiądź, Jack.

To, o co chciała go prosić, musiało być naprawdę poważne, skoro poła go whisky i kazała usiąść. Jack przysiadł na brzegu fotela, jakby zaraz miał się zerwać, i położył własną harfę na kolanach.

Adaira wpatrywała się w niego, opuszką palca przesuwając po brzegu szklanki, a on przyjrzał się jej dłoniom. Nie zobaczył obrączki, ale czasem to nie obrączka stawała się symbolem ślubów, bywało, że partnerzy przecinali złotą monetę i każde nosiło swoją połówkę na szyi... Oczy Jacka powędrowały w górę; kwadratowy dekolt sukni odsłaniał zagłębienia przy obojczykach, ale nie było tam żadnego naszyjnika. Czyżby wciąż była niezamężna?

– Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, Jack – odezwała się, a on znów spojrzał jej w oczy.

– Nie zmieniłem się?

– Pod pewnymi względami tak. Lecz pod innymi... Myślę, że poznałabym cię wszędzie. – Pociągnęła łyk whisky, jakby to wyznanie ją odsłoniło. Jack patrzył, jak przełyka, niepewny, co miałby odpowiedzieć.

Usiłując zachować spokój, dopił swoją whisky.

– Dolać ci? – zapytała.

– Nie.

– Masz zabandażowaną dłoń. Jesteś ranny?

Jack poruszył palcami; dzięki pomocy Sidry prawie nie czuł bólu.

– To tylko draśnięcie, duchy morza nie były zbyt gościnne.

Adaira zacisnęła wargi, jakby powstrzymując słowa cisnące się na usta.

– Powiesz mi, Adairo? – spytał, gubiąc się w domysłach, dlaczego dziedziczka go potrzebuje. Chciał mieć to już za sobą i móc stąd wyjść.

– Tak – odparła, zakładając nogę na nogę. – Przypuszczam, że polubiłeś życie na kontynencie, skoro nigdy nas nie odwiedziłeś, a skoro masz wiele obowiązków na uniwersytecie, pozwól, że będę szczerą: nie wiem, jak długo będę cię potrzebować.

– Na pewno możesz to określić mniej więcej – rzekł, tłumiąc irytację. Żył według harmonogramu i nie cierpiał takiej niepewności. – Tydzień? Miesiąc?

Jeśli nie wrócę przed rozpoczęciem jesiennego semestru, stracę stanowisko na uniwersytecie.

– Naprawdę nie wiem, Jack. W grę wchodzi wiele czynników, nad którymi nie mam kontroli.

W pierwszej chwili pomyślał, że ściągnęła go do domu, by zagrał dla jej ojca – laird wydawał się ciężko chory. A może chciała, żeby grał na pogrzebie?... Jack poczuł nabożną cześć na myśl, że wtedy Adaira stanie na czele klanu.

Jego wzrok powędrował do ostów w jej warkoczach.

– Widziałeś się już z Torinem, prawda? – zapytała.

Jack zmarszczył brwi.

– Tak. Skąd?...

– Wiatr – przypomniała mu. – Czy mój kuzyn wspomniał o zaginionych dzieciach?

– Owszem. Ale nie mówił wiele, tyle tylko, że obwinia duchy.

Adaira spojrzała w bok.

– Dwa tygodnie temu Eliza Elliott zaginęła, gdy wracała ze szkoły. Przeszukaliśmy całe akry ziemi od szkoły do jej chaty, nie znaleźliśmy nic. Ma ledwie osiem lat... – Spojrzała mu w oczy. – Na pewno pamiętasz, jak to jest na wyspie, Jack.

Pamiętał.

Duchy nie miały władzy nad drogami, bo te opierały się magii, ale mogły bawić się trawą, skałami, wiatrem, wodą i drzewami. Mogły przemienić trzy wzgórza w jedno albo jedno w cztery, chociaż nawet wtedy istniały sposoby, żeby zapamiętać ukształtowanie terenu i wiedzieć, jakie jego elementy są podatne na zmiany, a jakie nie. Dzieci, które zeszyły z drogi i nie znały tej tajnej mapy, potrafiły zaginać na wiele godzin.

– Wierzysz, że duchy ją omamiły? – spytał.

Przytaknęła.

– Niecały tydzień później zaginęła inna dziewczynka, dziesięcioletnia Annabel Ranald. Matka mówi, że poszła doglądać owiec i nie wróciła. Przeszukaliśmy teren aż do północnego wybrzeża, przeszukaliśmy chatę, każdą jaskinię i jezioro, wzgórze i doliny – ani śladu.

Jack westchnął i przesunął dłonią po włosach.

– Brzmi niepokojąco i bardzo mi przykro... Ale wciąż nie rozumiem, jak mógłbym pomóc.

Adaira zawahała się.

– To, co teraz ci powiem, musi zostać pomiędzy nami, Jack. Jesteś gotów dotrzymać tajemnicy?

– Jestem – powiedział, a gdy wciąż się wahała, spytał zirytowany: – Nie ufasz mi?

– Gdybym ci nie ufała, nie wezwałabym cię do domu.

Czekał w napięciu, a ona odetchnęła głęboko.

– Gdy mama jeszcze żyła... opowiadała mi ciekawe historie – zaczęła. – O duchach ziemi i o duchach wody. Uwielbiałam te opowieści i ceniłam je bardzo, ale nigdy nad nimi nie rozmyślałam – do czasu, kiedy ona umarła i tata zachorował, a ja zrozumiałam, że zostanę sama, ostatnia ze swojego rodu; do czasu, gdy Eliza Elliott zaginęła. Torin i ja poszliśmy do mojego ojca, żeby zasięgnąć rady; przyjęliśmy za pewnik, że ktoś z klanu zrobił coś, co rozgniewało duchy, i dlatego zabrały dziecko, by nas ukarać. Mój ojciec polecił Torinowi, żeby nadal przeszukiwał Wschód swoimi śmiertelnymi siłami, żeby miał oczy i uszy otwarte, by w każdej chwili być w stanie ujrzyć portal duchów, który go przeniesie na drugą stronę. Lecz gdy Torin poszedł, ojciec polecił mi, żebym przypomniała sobie legendę o Ream, Pani Morza, którą mama często śpiewała w sali. Tak też zrobiłam, choć od lat nie myślałam o pieśniach mamy, bałam się bólu, jaki w sobie niosły. Rozmyślałam o Ream, wynurzającej się z piany przypluwów, i nadal nie wiedziałam, co zdaniem mojego ojca miałam zrozumieć. Pojęłam to dopiero kilka pieśni później.

Umilkła, a Jack spytał bez tchu:

– Co to było, Adairo?

– W opowieściach i pieśniach mama... opisywała duchy w najdrobniejszych szczegółach. Jak wyglądały. Jak brzmiały ich głosy. Jak tańczyły i jak się poruszały. Zupełnie jakby je widywała, jakby jej się ukazywały.

Jack przypomniał sobie kobietę w morzu, włosy łaskoczące mu twarz. Zadrżał.

– I tak było?

– Tak – szepnęła Adaira. – Wiedział o tym tylko mój ojciec. Bard może przyciągnąć duchy w postaci, w jakiej się ukazują, ale tylko harfą i wyłącznie głosem śmiertelnika. To stara wiedza przekazywana na wyspie od lat i z szacunku dla duchów utrzymywana w ukryciu.

– Czemu twoja matka dla nich śpiewała? – spytał Jack, czując, jak pocą mu się dłonie.

– Spytałam o to ojca; powiedział, że była to gwarancja naszego dobrostanu na Wschodzie. Że cieszyliśmy się łaską duchów, bo jej uwielbienie sprawiało im przyjemność. Dzięki temu plony były obfite, woda spływająca z gór czysta, ogień nigdy nie gasł w najciemniejsze i najmroźniejsze nawet noce, a wiatr nie zanosił naszych słów wrogom.

Jack poczuł ciężar jej słów. Wiedział już, czemu go wezwała, ale chciał to od niej usłyszeć.

– Dlaczego ściągnęłaś mnie do domu, Adairo?

Zarumieniona, spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę, żebyś zagrał balladę mojej matki na swojej harfie. Żebyś przywołał duchy morza i żebym ja mogła je spytać o zaginione dzieci. Wierzę, że potrafia mi pomóc odnaleźć Elizę i Annabel.

Milczał, ale jego serce waliło z siłą grzmotu, a myśli wirowały niczym liście porwane wiatrem.

– Mam kilka obaw, Adairo.

– Powiedz mi o nich.

– A jeśli duchy odpowiedzą na muzykę i okażą się wrogie? – zapytał. Początkowo martwił się o siebie, teraz jeszcze bardziej o nią. Była jedyną spadkobierczynią, jedynym dzieckiem lairda. Gdyby coś ją spotkało, Wschód pograżyłyby się w rozpacz; Jack nie chciał przykładać do tego ręki, nie chciał patrzeć, jak duchy morza ją topią.

– Zagramy w nocy, kiedy księżyc i gwiazdy świecą na wodzie – powiedziała, jakby przewidziała, że o to spyta.

Kiedy duchy morza pozwalają się łatwo uspokoić.

Jackowi w niczym to nie pomogło. Przypomniawszy sobie dźwięk szponów, stukających w kadłub łodzi rybaka, szukających słabego miejsca. Niewyraźną postać kobiety w wodzie, śmiejącej się z niego, kiedy rozpaczliwie płynął do

brzegu. Czy naprawdę chciał przyciągnąć tego ducha swoją muzyką? Przywołać śpiewem tę niebezpieczną istotę?

– A jeśli nie zareagują na dźwięk mojej muzyki, mojego głosu? – spróbował jeszcze. – Jeśli pamiętają, jakim szacunkiem darzyły twoją mamę, i odmówią ukazywania się mnie, bardowi, wygnanemu przez własny klan?

– Nigdy nikt cię nie wygnał, Jack. – Adaira przyglądała mu się intensywnie, w końcu szepnęła: – Boisz się?

Tak, myślał rozpaczliwie.

– Nie – powiedział.

– Będę tam razem z tobą, u twojego boku – zapewniła. – Ojciec zawsze był z moją matką, kiedy grała. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Niesamowicie, jak bardzo jej uwierzył w tym momencie, wbrew ich trudnej przeszłości. A jednak jej pewność podziałała jak wino, odprężyła go. Już rozumiał, dlaczego klan ją uwielbiał, podążał za nią, czcił ją.

– Może to ci pomoże – mówiła dalej. – Tata wyjaśnił mi to w ten sposób: mama nigdy nie grała z niewiarą w sercu. Duchy przychodziły do niej nie tylko po to, żeby słuchać muzyki, ale żeby poczuć jej uwielbienie, ponieważ tego właśnie pragną: naszej czci i naszej wiary. Naszego zaufania do nich.

Jack miał chęć parsknąć szyderczym śmiechem: jak miał wielbić istoty, które kradły dzieci? Przełknął jednak te słowa, przypominając sobie stare opowieści Mirin. Nie wszystkie duchy były złe. Nie wszystkie duchy były dobre. Ale żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo, mądrze było bać się ich wszystkich.

Nie chciał wierzyć w to, co powiedziała, odezwała się w nim kontynentalna część jego duszy, chłodna i logiczna, zawsze przynosząca rozsądne odpowiedzi. Ale potem pomyślał, że jeśli Adaira ma rację i duchy zwrócą dziewczęta, będzie mógł wrócić na uniwersytet w ciągu tygodnia.

– Dobrze więc – rzekł. – Zagram dla ciebie i dla klanu, dla tych dwóch zaginionych dziewcząt. Gdzie jest muzyka twojej mamy?

Adaira wstała i zaprowadziła go do południowej wieżyczki zamku, do przestronnej komnaty, którą Jack widział po raz pierwszy.

Na półkach, wykutych w ścianach, piętrzyły się książki, czarno-biały marmur podłogi tworzył szachownicę wygładzoną tak, że Jack mógł zobaczyć swoje odbicie, jakby stał na wodzie, a przez trzy duże okna wpadało słońce.

Dębowy stół pokrywały pergaminy, kałamarze i pióra, zaś na środku komnaty umieszczono dużą, kunsztowną harfę – połyskliwe struny aż prosiły się, by na nich zagrać.

Jack podszedł, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Wiedział, do kogo należała, jako dziecko słuchał często jej dźwięków. Z pietyzmem przesunął dłonią po ramieniu harfy i pomyślał o Lornie.

– Dobrze utrzymana... – Spodziewał się, że będzie pokryta kurzem, że drewno rozszczelniło się pod ciężarem strun. – Grasz na niej? – Sama wizja Adairy, siedzącej przy tej harfie i błędzącej palcami po strunach, obezwładniła go. Czemu?

– Prawie nie – wyznała. – Lata temu mama nauczyła mnie, jak o nią dbać i jak trącać struny, ale moje dłonie nigdy nie przejęły muzyki.

Jack patrzył, jak Adaira podchodzi do stołu, jak szpera wśród pergaminów. Przyniosła mu kilka kartek.

To była ballada, *Pieśń o przyływach*. I chociaż nuty i słowa milczały na pergaminie, czekając, aż oddech i palce tchną w nie życie, im dłużej Jack myślał o tej muzyce, tym większy czuł niepokój.

Było w niej coś groźnego; nie potrafił tego opisać, ale jego krew od razu wyczuła niebezpieczeństwo, ukąszenie uspiionej mocy. Dreszcz przeszedł mu po skórze.

– Potrzebuję czasu na przygotowanie – rzekł.

– Ile?

– Daj mi dwa dni na przestudiowanie pieśni. W tym czasie moja dłoń się zagoi... Za dwa dni będę mógł grać.

Skinęła. Nie wiedział, czy ją ucieszył, czy raczej rozczarował, poczuł za to ciężar, jaki dźwigała przyszła pani Wschodu. Teraz już nie zazdrościł jej statusu i władzy.

– I gdzie miałbym to grać?

– Na wybrzeżu. Przyjdź do Skały Topielca o północy, pojutrze. Pamiętasz, gdzie to jest, stary wrogu?

W dzieciństwie kąpali się tam godzinami. Czy wybrała to miejsce, bo wiązało się ze wspomnieniami ważnymi dla nich obojga? Pamiętał, jak przeskakiwali fale, jak ścigali się do brzegu, jak bardzo chciał ją wtedy pokonać.

– Oczywiście. Potrafię jeszcze poruszać się po wyspie.

Uśmiechnęła się tylko.

Jack bardzo starannie schował muzykę Lorny do futerału.

– Pewnie nie możesz się już doczekać, kiedy zobaczysz Mirin?

– Tak. – Jack odwrócił oczy. – Jeśli to już wszystko, będę szedł do niej.

– Na pewno ogromnie się ucieszy.

Jack nie odpowiedział, ale serce ciążyło mu jak kamień. Kiedy zaczął naukę na kontynencie, Mirin pisała do niego co miesiąc, a on, ukryty w schowku na miotły, płakał za każdym razem, kiedy czytał jej słowa. Budziła się w nim tęsknota i chciał wrócić na wyspę, nie chodził na zajęcia w nadziei, że profesorowie odeślą go do domu. Nie zrobili tego, zdeterminowani, by doprowadzić jego talent do rozkwitu. Dziki chłopak z wyspy, który swoje nazwisko zawdzięczał hojności lairda.

Z biegiem lat Jack poświęcił się muzyce, coraz bardziej przywykając do życia na kontynencie; listy Mirin stawały się coraz rzadsze, aż w końcu przychodziły tylko raz w roku, gdy złociły się liście, uderzał mróz i Jack stawał się starszy o kolejny rok. Matka i syn oddalili się od siebie, chociaż nigdy nie byli bardzo blisko: Jack rozpaczliwie chciał się dowiedzieć, kim był jego ojciec, a Mirin równie zawzięcie strzegła sekretu, nie zdradzając go również w listach.

– Nie wątpię. – Jego głos ociekał teraz sarkazmem.

Musiała to zauważyć, ale nic nie powiedziała.

– Dziękuję ci za pomoc, Jack. Możesz spotkać się ze mną jutro w południe?

– Nie widzę przeszkód.

Adaira przechyliła głowę.

– Nie posiadasz się ze szczęścia, że wróciłeś do domu, prawda, stary wrogu?

– To miejsce nigdy nie było moim domem.

Nie skomentowała, ale popatrzyła łagodniej.

– Do zobaczenia jutro.

Odeszła, a on został jeszcze przez kilka minut, ciesząc się samotnością.

Światło zmieniło barwę, zrobiło się późno i nie mógł już odsuwać tego, co nieuchronne.

Najwyższa pora, by zobaczył się z Mirin.



Jako chłopiec uwielbiał błyskawicznie przemieszczać się po wzgórzach. Szybko odkrył, które wzniesienia wypłaszczają się, a które mnożą, które rzeki zmieniają bieg, a które zanikają, które drzewa się przesuwają, a które tkwią nieruchomo. Zawsze wiedział, jak znaleźć drogę powrotną, gdyby duchy próbowały go zwodzić.

Jednak zejście z bezpiecznej drogi od razu pierwszego dnia po powrocie nie było mądre.

Wyspa wyglądała inaczej, niż zapamiętał. Szedł na Zachód, krocząc przez wzgórze, buty Torina obcierały mu pięty i nagle teren wokół stał się dziki i bezkresny. Nawet jeśli kiedyś kochał to miejsce ze wszystkimi jego obliczami, teraz było mu obce.

Każdy kilometr rozciągał się w dwa, wzgórze zrobiły się strome i skaliste, pośliznął się i rozciął sobie kolana. Szedł i szedł, aż popołudnie ustąpiło miejsca wieczorowi, a cienie wokół niego stały się zimne i niebieskie.

Na niebie zapłonęły już gwiazdy, a on nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Południowy wiatr niósł płataninę szeptów, ale Jack był zbyt rozkojarzony, by ich słuchać; serce zatłukło mu w gardle, kiedy rozpętała się burza. Szybko schował muzykę Lorny do futerału i szedł dalej przez błotniste strumienie i kałuże.

Nic dziwnego, że dzieci się tu gubią, myślał ze złością i przypomniał sobie, jak bardzo czasem nienawidził tego miejsca i jego nieprzewidywalności. W końcu stanął, przemoczony i wściekły.

– Zabierzcie mnie! – rzucił wyzwanie duchom, które go mamili. Duchom ziemi, powietrza, wody i ognia. Polanom, górcom, bezdennym jeziorom, każdemu zakątkowi tej wyspy, która rozciągała się przed nim, lśniąc w deszczu. Rozjarzonym gwiazdom i rozpędzonemu wichrowi.

Jeśli duchy zabrały tamte dziewczynki dla zabawy, czemu zwlekały teraz? Czekał, ale nic się nie działo.

W końcu wiatr przegnał chmury i niebo znów migotało konstelacjami, tak jakby żadnej burzy nigdy nie było.

Jack szedł dalej; stopniowo zaczął rozpoznawać otoczenie i odnalazł zachodnią drogę.

Prawie dotarł do Mirin.

Jego matka mieszkała na skraju wspólnoty, gdzie zawsze mogło dojść do najazdu, nawet latem, lecz mimo zagrożenia upierała się, by tam pozostać. Była sierotą, dopóki pewna wdowa nie przyjęła jej do siebie, by nauczyć ją tkactwa. Wdowa dawno nie żyła, dom i ziemia należały teraz do Mirin i były wszystkim, co kiedykolwiek dostała.

Przez zamknięte okiennice przebijało się światło paleniska.

Jack znalazł wąską ścieżkę, prowadzącą do jej podwórka, i czuł się tak, jakby szedł nią wczoraj. Trawa muskała mu kolana, powietrze pachniało słodko woskownicą i ostro dymem, który płynął z komina, rozmazując gwiazdy.

Dotarł do bramy, wszedł na podwórze i rozejrzał się w ciemności. Widział grządki warzyw, dojrzewających latem. Przypomniał sobie, ile czasu spędził na tych zagonach, siejąc, sadząc i zbierając plony, jak narzekał, jak opierał się prośbom matki.

Chory z niepokoju podszedł do drzwi.

Na progu stała ofiara dla duchów ziemi – niewielki chlebek, teraz przemoknięty od deszczu, dwie żółdziowe czapeczki z dżemem i masłem. Znając pobożność Mirin, nie zdziwił się tym poczęstunkiem, szedł ostrożnie, żeby nic nie potraścić.

Drząc od stóp do głów, w końcu zapukał.

Minęła dłuższa chwila; zaczął się zastanawiać nad noclegiem w stodole obok chaty albo w spichlerzu z zapasami na zimę, kiedy Mirin otworzyła drzwi i ich oczy się spotkały.

W jednej paraliżującej sekundzie w umyśle Jacka wydarzyło się tysiąc rzeczy. To przecież jasne, nie mogła się ucieszyć. Wszystkie kłopoty, jakie jej sprawiał jako krnąbrny, półdziki chłopiec, cały ten ból, wszystkie...

– Jack... – powiedziała cicho Mirin, jakby cały dzień czekała na to pukanie.

Musiała usłyszeć szepty wiatru; Jack poczuł się winny, że nie przyszedł tutaj od razu.

Stanął przed nią, niepewny, co powiedzieć ani dlaczego na jej widok tak ścisnęło mu gardło. Równie szczupła jak kiedyś, twarz miała zmizerniałą, zapadnięte policzki. Włosy, takie same jak jego, miały teraz więcej srebra przy skroniach.

– To naprawdę ty, Jack? – zapytała z ręką przy piersi.

– Tak, mamó – odparł. – To ja.

Otworzyła szerzej drzwi, oświetlając go, i objęła, mocno, bardzo mocno, z niepojętą radością; poczuł się przytłoczony.

Całe lata żywił do niej urazę za wszystkie tajemnice, za to, że nigdy nie powiedziała mu, kim był jego ojciec. Jednak im dłużej go przytulała, tym bardziej rozluźniał się węzeł w jego piersi. Uścisnął ją, obezwładniony ulgą i ogrzany jej ciepłem, lecz jego harfa pozostała między nimi jak tarcza.

Mirin odsunęła się, oczy jej płonęły.

– Niech ci się przyjrzę! – Oglądała go rozpromieniona, a on zastanawiał się, jak bardzo się zmienił. Czy widziała w nim teraz siebie, czy może jego ojca?

– Wiem, jestem za chudy... – Zarumienił się.

– Nie, Jack. Wyglądasz doskonale. Chociaż muszę ci znaleźć jakieś bardziej pasujące ubrania! – Roześmiała się zachwycona. – Co za niespodzianka, że przyjechałeś! Nie spodziewałam się, myślałam, że może dopiero jak skończysz asystenturę... Co cię sprowadziło do domu?

– Wezwał mnie laird – odpowiedział Jack. To nie do końca prawda, ale nie chciał na razie mówić o Adairze.

– Dobrze, że jesteś, Jack, wchodź, wchodź! Wygląda na to, że złapała cię burza?

– Tak. Zgubiłem się po drodze, chciałem być wcześniej.

– Może nie powinieneś jakiś czas wędrować przez wzgórza. – Mirin zamknęła drzwi, Jack tylko prychnął.

To było dziwne: chata jego matki zupełnie się nie zmieniła, wyglądała tak samo jak w dniu, w którym wyjechał.

Krosno nadal stanowiło ośrodek głównej izby. Było tutaj jeszcze przed chatą, zbudowaną z drewna pozyskanego z pobliskiego lasu, Aithwood.

Wzrok Jacka błędził po dywaniku, utkanym z trawy, po niedopasowanych meblach, koszach z farbowaną przędzą i kaskadach niedawno utkanych tartanów oraz szali. Nad paleniskiem wisały pęki suszonych kwiatów, stała tu rodzina srebrnych świeczników; nad ogniem wisiał kociołek z zupą. Krokwie sufitowe nosiły ślady pocisków procy; Jack spojrzał w górę na małe wgłębienia w drewnianych belkach i z sentymentem przypomniał sobie, jak leżał i strzelał w sufit rzeczynymi kamykami.

– Jack? – odezwała się Mirin, tłumiąc kaszel.

Dźwięk tego mokrego kaszlu przywołał złe wspomnienia, Jack spojrzał na nią. Załamywała ręce; jej twarz wydawała się blada w świetle ognia.

– O co chodzi, mamó?

Przełknęła ślinę.

– Chcę, żebyś kogoś poznał. – Mirin spojrzała na zamknięte drzwi jego dawnej sypialni. – Chodź do nas, Frae.

Jack zamarł: drzwi uchyliły się i wyszła dziewczynka. Miała bose stopy, nieśmiały uśmiech i długie kasztanowe włosy, ujarzmione dwoma warkoczami.

W pierwszej chwili pomyślał, że to uczennica Mirin, ale dziewczynka od razu podeszła do niej, obejmując jego matkę w przeraźliwie znajomy sposób. Mała nieznajoma uśmiechnęła się do Jacka, patrzyła zaciekawiona.

Nie, niemożliwe... Ale im dłużej patrzył na dziewczynkę, tym głośniej biło jego serce.

Spojrzał na Mirin, która spuściła wzrok, drżącą dłonią gładziła miedziane włosy dziecka.

I wtedy padły słowa, które weszły w Jacka jak ostrze, i potrzebował całej siły woli, żeby nie zgiąć się wpół.

– Jack?... To twoja młodsza siostra, Fraedah.

ROZDZIAŁ CZWARTY



Patrzył na dziewczynkę – na siostrę, swoją siostrę – i jakimś cudem zdołał z siebie wydusić:

– Miło cię poznać, Fraedah. Jestem Jack.

– Witaj. – Frae uśmiechnęła się, ukazując dwa dołeczki w policzkach. – Mów mi Frae. Wszyscy moi przyjaciele tak robią.

Jack skinął głową, paliła go cała twarz, nie mógł przełknąć śliny.

– Mama mówiła, że mam starszego brata, który jest bardem – ciągnęła dziewczynka. – Powiedziała, że wkrótce wrócisz, ale nie wiedziałyśmy kiedy. Tak bardzo chciałam cię poznać!

Jack zmusił się do uśmiechu, który wypadł bardziej jak grymas, i popatrzył zmrużonymi oczami na Mirin, która w końcu podniosła wzrok.

– Frae? – Odchrząknęła. – Śpij dzisiaj w moim pokoju, dobrze? Porozmawiasz z Jackiem jutro przy śniadaniu.

– Dobrze, mamu – powiedziała Frae posłusznie, puszczając Mirin. – Dobranoc, Jack.

Nie odpowiedział, nie zdołał znaleźć słów, nawet gdy uśmiechnęła się do niego raz jeszcze, a potem wsunęła się do sypialni Mirin i zamknęła za sobą drzwi.

Jack milczał głucho, patrząc na matkę.

– Jesteś głodny? – spytała nieśmiało Mirin. – Zostawiłam dla ciebie zupę na ogniu...

– Nie.

Umierał z głodu, ale w tej chwili żołądek miał ściśnięty, apetyt znikł. Jeszcze nigdy nie czuł się bardziej nieswojo i nie na miejscu. Strzelił oczami w stronę wyjścia, jakby szukał drogi ucieczki.

– Mogę spać w stodole...

– Co? Nie, Jack – powiedziała stanowczo Mirin, stając mu na drodze. – Śpisz w swoim dawnym pokoju.

– Ale teraz to pokój Frae.

Frae. Jego młodszej siostry, której istnienie Mirin starannie przed nim ukrywała. Zacisnęła zęby, paznokcie wbiły się w dłonie.

– Dlaczego nic mi o niej nie powiedziałaś? – wysyczał.

– Chciałam, Jack – odparła Mirin cichym głosem, jakby się bała, że Frae może usłyszeć. – Naprawdę chciałam. Tylko... nie wiedziałam, jak to zrobić.

Patrzył na nią chłodno. Chciał odejść i Mirin musiała wyczuć w nim chęć ucieczki.

Wyciągnęła dłoń i delikatnie dotknęła jego twarzy.

Wzdrygnął się, choć tak bardzo chciał zobaczyć i poczuć tę jej miłość do niego. Miłość, którą widział w jej dłoniach, kiedy dotykała włosów Frae, taką naturalną i bez wysiłku.

Lata, których doświadczali oddzielnie, poczuł w tej chwili niczym oderwaną kończynę. Czas, którego nie zdołają odzyskać, który oddalił ich od siebie. Mirin dała mu życie i wychowywała przez jedenaście lat, ale to profesorowie z kontynentu, ich muzyka ukształtowali go takim, jakim był teraz.

Mirin opuściła rękę, jej ciemne oczy zaciągnęły się smutkiem; Jack bał się, że jego matka zaraz się rozpłacze.

Gardło wciąż miał ściśnięte, ale zdołał powiedzieć:

– Byłbym wdzięczny za jakieś suche ubrania, jeśli masz.

– Tak, oczywiście. – Mirin rozluźniła się, odetchnęła z widoczną ulgą. – Mam dla ciebie ubrania, zawsze miałam nadzieję, że wrócisz, więc... Chodź, Jack. – Weszła do jego dawnej sypialni.

Jack sztywno podążył za nią i patrzył, jak otwiera drewniany kufer u stóp łóżka, jak wyjmuje stosik idealnie złożonych strojów, płową tunikę i zielony tartan.

– Uszyłam je dla ciebie poprzedniej wiosny – powiedziała, patrząc na ubrania. – Musiałam się domyślać, ile masz wzrostu, ale chyba dobrze odgadłam.

– Dziękuję – odparł sztywno. Był odrętwiały, zmęczony za dużym, mokrym odzieniem Torina, był głodny, wyczerpany i przytłoczony

świadomością posiadania siostry oraz prośbą Adairy. Chciał wreszcie być sam.

Mirin musiała to wyczuć, bo wyszła bez słowa i zamknęła za sobą drzwi.

Jack westchnął i w końcu opuścił gardę. Skrzywił się z bólu, zacisnął powieki, a potem odetchnął kilka razy, powoli i głęboko, aż poczuł, że już może otworzyć oczy i rozejrzeć się po swoim dawnym pokoju.

Na biurku płonęła świeca, rzucając słabe światło na kamienne ściany. Książki z jego dzieciństwa stały w równym rzędzie; zastanawiał się, czy Frae je przeczytała. Zaskoczyło go, że jego proca nadal wisi na gwoździu obok niewielkiego kilimu, który musiał należeć do jego siostry. Podłogę pokrywała trzciniowa mata, w jednym kącie stało łóżko, przykryte jego starym kocem z dzieciństwa. Mirin utkała go dla niego – ciepłe okrycie, chroniące przed chłodnymi nocami.

Sunął po nim wzrokiem, zatrzymując się na czymś obok poduszki.

Zmarszczył brwi, podszedł bliżej – leżał tam bukiet polnych kwiatów. Czyżby Frae zerwała je specjalnie dla niego? *Na pewno nie*, pomyślał. A jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego matka i siostra czekały na niego przez cały dzień, od chwili, w której wiatr przyniósł wiadomość.

Odłożył harfę, z ulgą uwalniając się od jej ciężaru, rozebrał się i włożył ubrania, które przygotowała Mirin. Ku jego zaskoczeniu pasowały idealnie; wełna była ciepła i miękka, a tartan otulał go niczym objęcia.

Jack siedział jeszcze chwilę w swoim pokoju, próbując uporać się z emocjami. Gdy udało mu się odzyskać spokój i wrócił do izby, czekała na niego miska z kolacją.

Tym razem nie odmówił i usiadł przy ogniu na krześle ze słomianym oparciem. Zupa pachniała szpikiem, cebulą i pieprzem, i całą tą zieleniną, którą Mirin hodowała w swoim ogrodzie. Poczekał, aż zniknie para, i dopiero wtedy zaczął jeść, delektując się bogactwem smaku, aromatem dzieciństwa. Przez chwilę miał wrażenie, że czas zamigotał, przynosząc błysk przeszłości.

– Wróciłeś do domu na dobre? – zapytała Mirin, siadając na krześle naprzeciw niego.

– Wracam na kontynent przed rozpoczęciem jesiennego semestru – oznajmił, wbrew ostrzeżeniom Adairy.

Skinęła, splatając palce.

– Cieszę się, że tu jesteś, nawet jeśli tylko na chwilę. Opowiedz mi o uniwersytecie. Jak tam jest? Podoba ci się?

Mógłby jej opowiedzieć wiele rzeczy. Mógłby zacząć od samego początku, kiedy nienawidził uniwersytetu, nauka przychodziła mu z trudem, chciał zniszczyć swoje instrumenty i wrócić do domu.

Ale być może o tym już wiedziała, wyczytała to w jego listach między wierszami.

Mógł jej opowiedzieć, jak się wszystko zmieniło na trzecim roku, kiedy kazano mu bardzo dbać o ręce i zapuścić paznokcie, kiedy stawał się jakby nową istotą, a najbardziej cierpliwy z profesorów zaczął uczyć go gry na harfie i Jack wreszcie odnalazł swój cel.

– Jest w porządku – odparł. – Pogoda jest przyjemna, jedzenie bez zarzutu, mam dobre towarzystwo.

– Jesteś tam szczęśliwy?

– Tak – rzucił odruchowo.

– To dobrze. – Mirin siadła przy ogniu. – Nie chciałam wierzyć Lornie, gdy mówiła, że na kontynencie będzie ci się dobrze powodzić. A jednak miała rację.

Jack wiedział, że Tamerlainowie sfinansowali jego studia; czesne kosztowało dużo, Mirin nie mogłaby sobie na to pozwolić. Do tej pory zachodził w głowę, czemu właśnie jego wybrano spośród wszystkich dzieci na całej wyspie. Może laird liczył, że nauka z dala od domu ujarzmi tego dzikiego, krnąbrnego chłopca, który nie miał ojca? A może to Lorna miała nadzieję, że Jack powróci i zostanie bardem Wschodu, jak ona kiedyś?

Nie chciał teraz o tym myśleć. Najwyższy czas spytać o coś Mirin. Odsunął miskę i odwrócił twarz od ognia, spojrzął na matkę.

– Ile lat ma Frae?

Mirin odwróciła się do ognia.

– Osiem.

Osiem. Przez te wszystkie lata, które spędził na kontynencie, pogrążony w muzyce, miał w domu młodszą siostrę.

– Zakładam, że jest moją przyrodnią siostrą?

Mirin znów wykręcała ręce, patrzyła na płomienie.

– Nie. To twoja rodzona siostra.

To wyznanie przyniosło ból i ulgę zarazem, Jack nie wiedział, które z tych uczuć było silniejsze. Spytał o coś jeszcze – coś, co wbiło się klinem między niego i matkę.

– Rozumiem, że Frae wie, kto jest naszym ojcem?

– Nie, nie wie – szepnęła Mirin. – Przepraszam cię, Jack, ale wiesz, że nie mogę o tym mówić.

Nigdy wcześniej za nic nie przeproszała... Jack był tak wstrząśnięty, że pozwolił wygasnąć tej starej kłótni, myśląc teraz o jednej jedynej rzeczy.

Miał młodszą siostrę, a na Cadence zniknęły małe dziewczynki.

To poważnie komplikowało jego plany, które zakładały, że zagra dla duchów wody i opuści wyspę. Żeby odejść, musiałyby mieć pewność, że Mirin i Frae są bezpieczne.

– Słyszałem, że na wyspie są kłopoty – powiedział. – Dwie dziewczynki zniknęły.

– Tak. Ostatnie dwa tygodnie były bardzo ciężkie. – Mirin przesunęła palcem po swoich ustach. – Pamiętasz te dawne historie, które ci opowiadałam? Stare jak sama wyspa bajki na dobranoc?

– Pamiętam.

– Tego zawsze bałam się najbardziej: że będziesz wędrował po wzgórzach i omami cię jakiś duch. Że pewnego dnia nie wrócisz do domu i zaginiesz bez śladu. Opowiadałam ci te historie, żebyś trzymał się dróg, nosił kwiaty we włosach, darzył szacunkiem ogień i wiatr, ziemię i morze. Bo wierzyłam, że one cię ochronią.

Te historie bywały straszne i bywały zabawne. Ale żadnej z nich nie wykuto ze stali.

– Jedną z zaginionych dziewcząt jest Eliza Elliott – kontynuował, uważnie obserwując reakcję matki. – Zagroda Elliottów jest sześć kilometrów stąd, mamo.

– Wiem, Jack.

– Co robisz, żeby Frae nie była następna?

– Frae jest tu ze mną bezpieczna.

– Skąd masz taką pewność? – naciskał. – Duchy są takie zmienne, nie można im ufać, nawet gdy wydają się wyjątkowo przyjazne.

Mirin zaśmiała się gorzko.

– Naprawdę chcesz mnie uczyć, jakie są duchy, Jack? Ty, zawsze taki niechętny magii? Ty, który dziesięć lat spędziłeś poza wyspą?

– Spędziłem, bo mnie odesłałaś – przypomniał cierpko.

Jej uraza osłabła i Mirin nagle wydała mu się starsza, bardziej wątpa i bezbronna... Spojrzał na krosno.

– Nadal tkasz zaczarowane tartany, mamó. – Ton jego głosu był oskarżycielski, choć miał brzmieć łagodnie.

Nic nie mówiąc, patrzyła mu prosto w oczy.

Jej dar tkania zaczarowanych tartanów był nierozzerwalnie związany z magią duchów ziemi i wody: rodził się w trawie i jeziorach, które dawały owcom pożywienie, przenikając do miękkiej wełny, strzyżonej, przędzonej i farbowanej, aż stawała się nitką, którą Mirin brała do ręki i tkła, wplatając w nią zaklęcie i zmieniając ją w stal. Jego matka była naczyniem magii, magia przechodziła przez nią, ponieważ Mirin wierzyła i duchy uznały ją za godną tej mocy.

Ale miało to swoją cenę – tkanie magii nadwyrężało zdrowie. Jack pamiętał, jak w dzieciństwie oblewał go zimny strach na myśl, że ona umrze i go zostawi. Teraz czuł się z tym jeszcze gorzej.

– Klan ich potrzebuje, Jack – wyszeptała. – Takie jest moje rzemiosło i mój dar.

– Ale to cię wykańcza! Na wszystkie duchy, masz teraz Frae! Co się z nią stanie, jeśli umrzesz?

Czy oddano by mu siostrę pod opiekę? Czy wylądowałyby w sierocińcu w Sloane, tam, skąd wyszła Mirin?

– Nic mi nie jest. Sidra dostarcza mi balsam, który łagodzi kaszel.

– Mamó, to nie wystarczy. Powinnaś poważnie rozważyć porzucenie magii, zostawić tę zagrodę i przenieść się do miasta, gdzie będziesz bezpie...

– Nie oddam tej zagrody. – Głos matki, twardy niczym krzemień, ciął jego słowa. – Zasłużyłam na to miejsce, jest moje i pewnego dnia odziedziczy je Frae.

Jack wypuścił głośno powietrze. A więc Mirin uczyła Frae swojego rzemiosła... Ten dzień stawał się coraz gorszy, a on czuł, jakby w jego palce wplątywało się coraz więcej nici, z którymi nie mógł sobie poradzić.

– Ale nie uczysz jej, jak tkać zakłęcia, prawda?

– Zacznę, kiedy będzie już pełnoletnia – ucięła Mirin. Widział, że była zła: wstała i zaczęła gasić świece na gzymsie nad kominkiem. Rozmowa dobiegła końca, Jack patrzył, jak płomień ginął pod opuszkami palców jego matki jeden po drugim; czy pożałowała teraz jego wizyty?

Czemu nie zostałem na kontynencie?, jęknął w duchu. Ale wtedy nie dowiedziałby się o istnieniu Frae, o zaginionych dzieciach ani o tym, jak bardzo jego klan teraz go potrzebował.

Gdy Mirin zgasła ostatnią świeczkę i przeszyła go wzrokiem, Jack znieruchomiał.

– Twoja siostra bardzo się cieszyła na to spotkanie. Proszę, bądź dla niej miły.

Jack zaniemówił. Czy matka uważała go za potwora?

Nie pozwoliła mu odpowiedzieć: wyszła do swojego pokoju, zostawiając Jacka samego i oszołomionego przy gasnącym ogniu w palenisku.



Coś wyrwało go gwałtownie ze snu. Żar w palenisku migotał wspomnieniem ognia, smużył się leciutki dym. Jack nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest, dopóki nie rozpoznał chaty swojej matki. Coś go obudziło. Może dziwny sen.

Oparł głowę o krzesło, wpatrzony w ciemność. Noc była cicha – z wyjątkiem dziwnego grzechotania, jakby ktoś szarpał okiennicą w jego dawnej sypialni.

Jack wstał i wszedł do pokoju z gęsią skórą na ramionach. Okiennice znowu załomotały, jakby ktoś próbował wdrzeć się do pokoju. Pokoju, który teraz należał do jego siostry.

Krew huczała mu w uszach, kiedy szedł wpatrzony w okno. Porzucone na podłodze ubrania chwyciły go za nogi niczym sidła, Jack potknął się i z hukiem upadł na biurko.

W jednej chwili grzechotanie ustało. Jack podbiegł do okna i otworzył je, wściekły i przerażony, omiótł wzrokiem podwórze i spostrzegł falujący cień, który błyskawicznie rozwiął się w ciemności. Czy to było złudzenie? Czy powinien ruszyć za nim? Ale jaką bronią można by zranić ducha? Czy stał przebiłaby serce wiatru? Rozciąła falę oceanu? Zmusiła duchy do ugięcia się przed śmiertelnikami?

Już miał skoczyć przez okno, gdy silny północny podmuch uderzył go w twarz, wpadł do pokoju. Bard zacisnął powieki, broniąc się przed tym ostrym tchnieniem, choć nie było w nim szeptów.

– Jack?

Odwrócił się szybko: Mirin stała na progu z lampą w ręku.

– Coś się stało? – Spojrzała na okno za nim.

Wiatr szumiał w pokoju, szarpiąc kilimem na ścianie, poruszając pergaminami na biurku. Jack zatrzasnął okiennice, które znowu zagrzechotały.

Może tylko wyobraził sobie intruza? Ale jeszcze przed chwilą nie było żadnego wiatru, noc wydawała się cicha i spokojna.

Jack próbował uspokoić oddech, stłumić dziki błysk w oczach.

– Usłyszałem jakiś hałas za oknem.

Mirin zerknęła na okiennice. Jack spostrzegł błysk srebra przy jej biodrze: zaczarowany dirk, przytroczony do pasa.

– Widziałeś coś? – zapytała ostrożnie.

– Cień – odparł. – Ale nie udało mi się rozeznaczyć, co to było. Czy Frae?... – Zawiesił głos.

– Śpi – odpowiedziała Mirin, ale popatrzyła na niego niespokojnie.

Bez słowa weszli do ciemnej głównej sypialni, świeca w ręku Mirin rzucała krąg słabego światła, złociła kasztanowe sploty śpiącej Frae.

Jack poczuł odrobinę ulgi i zawrócił do wyjścia; Mirin odprowadziła go do progu i szepnęła:

– Widocznie to tylko wiatr.

– Pewnie tak... – Ale wątpliwości zostawiły w ustach kwaśny posmak. – Dobranoc, mamó.

– Dobranoc, Jack – wyszeptała i zamknęła drzwi.

Jack wszedł do swojego dawnego łóżka. O kwiatach Frae przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy zaszeleściły przy jego uchu. Wziął je delikatnie do ręki i zamknął oczy, próbując wmówić sobie, że noc jest spokojna i pogodna... A jednak coś czaiło się na obrzeżach, coś złowrogiego, czyhającego na swój moment.

Nie mógł zasnąć, bo ciągle o tym myślał.

Duch przyszedł po jego siostrę.

ROZDZIAŁ PIĄTY



Jack wstał o świcie, żeby jak najszybciej znaleźć Torina i powiedzieć kapitanowi o dziwnym grzechotaniu w nocy. Chciał wymknąć się z chaty, zanim Mirin się obudzi, ale ona go wyczuła: czekała na niego w izbie, przy krośnie, a nad ogniem bulgotała owsianka.

– Zjesz z nami śniadanie? – zapytała, nie odrywając wzroku od splotu.

Jack zawahał się, szukając jakiejś wymówki, gdy drzwi się otworzyły. Weszła Frae z koszykiem jajek na ramieniu, wpuszczając powiew chłodnego, porannego powietrza. Rozjaśniła się na jego widok.

– Dzień dobry! – powiedziała, a potem, nagle zawstydzona, podeszła do stołu i przestawiała filiżanki, starając się nie patrzeć na niego.

Nie mógł teraz wyjść. Mirin czekała sztywno, Frae bała się spojrzeć, jakby obie spodziewały się, że wyjdzie, a jednak miały szaloną nadzieję, że zostanie.

Usiadł przy stole i widział, jak jego siostra uśmiechnęła się szeroko.

– Zrobiłam ci herbatę – wyznała, a potem spytała szeptem: – Lubisz chyba herbatę, prawda?

– Bardzo – odparł Jack.

– Jak to dobrze! Mama mówiła, że pewnie tak, skoro mieszkałeś tak długo na kontynencie, ale nie miałyśmy pewności. – Frae wzięła rękawicę, zdjęła czajnik z haka nad ogniem i ostrożnie naląła Jackowi herbaty. Zaskoczyła go jej gotowość, pewność siebie, to, jak łatwo poruszała się po kuchni i po zagrodzie. Pamiętał wyraźnie, że gdy on miał osiem lat, nie lubił tych wszystkich obowiązków, które Mirin na niego nakładała, tupał i marudził, gdy musiał zbierać jajka, nakrywać do stołu albo zmywać naczynia.

Nic dziwnego, że tak chętnie oddała go na kontynent.

– Dziękuję, Frae. – Ujął w dłonie ciepłą filiżankę.

Dziewczynka odstawiała czajnik i przyniosła dzbanuszek ze śmietanką i garnuszek z miodem. Nucąc sobie, zносиła inne rzeczy. Mirin przyłączyła się

do nich. Niosąc kociołek z owsianką, napełniła miski, a Frae przyniosła jeszcze boczek i grzyby, gotowane jajka, owoce, pokrojony chleb i masło.

To była prawdziwa uczta, przygotowana wyłącznie dla niego.

Ich pierwszemu wspólnemu posiłkowi towarzyszyła niezręczna cisza. Mirin i Jack jedli w milczeniu, a Frae co i rusz rozchylała usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tak się tym przejmowała, że w końcu tylko wsuwała do ust łyżkę owsianki.

– Chodzisz codziennie do szkoły w mieście? – spytał ją Jack.

– Nie, tylko trzy razy na tydzień. W pozostałe dni jestem tu, z mamą, uczę się rzemiosła.

Jack spojrzał na Mirin, odpowiedziała mu czujnym wzrokiem spod rzęs. Wczorajsza kłótnia wisiała między nimi jak pajęczyna.

– Widziałeś już Adairę? – spytała Frae.

Jack prawie zakrztusił się herbatą; odchrząknął i wysilił się na uśmiech.

– Tak, widziałem.

– Kiedy ją widziałeś? – Mirin zerknęła z ciekawioną; Jack spokojnie sięgnął po kromkę chleba.

– Wczoraj rano.

– Przyjaźniliście się? – wypytywała Frae takim tonem, jakby Adaira była duchem, któremu należy oddawać cześć. – Zanim wyjechałeś do szkoły?

Jack rozsmarował na kromce kawał masła, Mirin spojrzała na niego spode łba.

– Chyba można tak powiedzieć. – Wziął wielki kęs w nadziei, że rozmowa o Adairze dobiegła końca.

Jednak matka nadal uważnie mu się przyglądała, jakby właśnie zaczynała rozumieć, kto tak naprawdę wezwał go z powrotem. Jack pomyślał, że nie zajrzał wczoraj do ballady Lorny, i nadal czuł niepokój na myśl, że miałby grać tę niesamowitą muzykę.

– Zjesz z nami dzisiaj kolację? – Mirin przerwała jego niespokojne myśli. Wdychała parującą herbatę, trzymając filiżankę w długich, szczupłych palcach. Chyba ledwie tknęła owsiankę.

Jack skinął głową.

– Pewnie masz dzisiaj bardzo dużo zajęć? – Głos Frae podniósł się o oktawę, zdradzając, jak bardzo chciała z nim porozmawiać.

Jack spojrzał jej w oczy.

– Rzeczywiście chciałem zrobić dziś kilka rzeczy. Czemu pytasz, Frae?

– Nic, nic – wybąkała dziewczynka zaczerwieniona, pakując do ust kolejną łyżkę owsianki.

Widać było, że chce go o coś poprosić i że nie śmie tego wyrazić. Jack był bratem zaledwie kilka godzin, a już chciał, żeby czuła się przy nim swobodnie, żeby nie bała się z nim rozmawiać, żeby się nie wstydziła... Zrozumiał, że marszczy brwi, i spróbował złagodzić wyraz twarzy.

– Chcesz, żebym w czymś ci pomógł? – Spojrzał na nią, ona popatrzyła na Mirin, a jego matka utkwiała wzrok w owsiance i westchnęła.

– Nie, Jack. – Podniosła na niego oczy. – Ale dziękuję ci, że pytasz.

Frae oklapła i Jack wyczuł, że obie nie chcą go o nic prosić. No dobrze. W takim razie będzie musiał odkryć ich potrzeby w inny sposób, nie pytając i nie czekając, aż je wyrażą.

Frae wstała od stołu jako pierwsza, zebrała puste naczynia i włożyła je do wiadra z wodą. Gdy Mirin już miała się podnieść, Jack, sam tym zaskoczony, zerwał się i wyjął jej miskę z rąk.

– Pozwól, ja to zrobię – powiedział, a Mirin, wstrząśnięta, ustąpiła. Jack widział, jaka jest zmęczona i wyczerpana, w misce została nieruszona owsianka. Martwił się.

Dołączył do Frae przy zmywaniu, a ona sapnęła cicho, kiedy włożył miski do wody.

– Ja to robię – powiedziała, jakby chciała z nim o to walczyć.

– Wiesz co, Frae?

– Co? – spytała po króciutkim wahaniu.

– Kiedyś ja to robiłem, jak byłem w twoim wieku. Co powiesz na to, że ja będę zmywał, a ty będziesz wycierać?

Wydawała się zakłopotana, ale on już podał jej umytą miskę i Frae ją wytarła. Pracowali sprawnie, a gdy już sprzątnęli ze stołu, Jack poprosił:

– Pokażesz mi podwórko, siostrzyczko? Dawno nie byłem w domu, nie pamiętam już, co i jak.

Uszczęśliwiona Frae rzuciła się do drzwi, wróciła po szal, gdy Mirin jej przypomniała, i wybiegła na dwór. Pokazywała Jackowi wszystkie zioła, owoce i warzywa, jej głos rozbrzmiewał jak słodki dzwonek, a Jack cierpliwie słuchał, acz powoli skręcał na północną stronę domu, gdzie przez otwarte na oścież okiennice wlewało się do jego sypialni światło.

Oglądał uważnie okno i pas trawy, rozciągający się między domem i ogrodzeniem. Wydawało mu się, że widzi odciski butów, nieco większych niż jego własne, ale znów powiał wiatr z północy, poruszył trawę i zatarł jakiegokolwiek ślady. Czy to wszystko mu się przyśniło? Stał przy oknie, nie mógł zignorować tego niepokoju.

– Frae? Czy słyszałaś kiedyś, żeby ktoś pukał w okiennice twojej sypialni? W środku nocy?

Frae stanęła obok niego, zmarszczyła brwi.

– Nie, dlaczego? – A potem krzyknęła cicho i dodała spieszenie: – Przepraszam, że zajęłam twój pokój! Mam nadzieję, że nie jesteś zły!

Jack zamrugął zaskoczony.

– Nie, wcale nie jestem zły, Frae. Właściwie nie potrzebuję już pokoju.

Zmarszczyła miedziane brewki i zaczęła się bawić końcówkami warkoczy, chyba nerwowy tik.

– Ale dlaczego? Nie chcesz z nami zostać?

Czemu jej pytanie przeszło go niczym włócznia? Nagle poczuł, że nie chce jej rozczarować, chociaż nigdy wcześniej nie przejmował się takimi rzeczami.

– Mogę mieszkać w pokoju z mamą – dodała jeszcze, przekonując go, by pozostał. – Naprawdę.

– Widzisz... muszę wrócić do mojej szkoły – powiedział, patrząc, jak na jej twarzy gaśnie nadzieja. – Ale będę z wami przez całe lato.

Obiecał jej to od razu bez zastanowienia, nie pamiętając, że jeszcze wczoraj chciał wyjechać przed upływem tygodnia. I teraz nie mógł już złamać obietnicy złożonej młodszej siostrze.

Lato to dla dziecka bardzo długi czas; Frae uśmiechnęła się i zerwała w trawie kilka fiołków. Jack przyglądał się, jak delikatne paluszki muskają płatki, jak złoty pyłek barwi ich skórę.

– Znalazłem wczoraj wieczorem polne kwiaty przy poduszce – powiedział Jack. – Zebrałaś je dla mnie, Frae?

Przytaknęła, a w policzkach znów pojawiły się dołeczki.

– Dziękuję. To był bardzo przemyślany prezent.

– Mogę ci pokazać, gdzie je zebrałam! – zawołała i niespodziewanie wzięła go za rękę, jakby robiła to już setki razy wcześniej. – Tędy, Jack. Wiem, gdzie rosną najlepsze kwiatki!

I pociągnęła go delikatnie, zupełnie nieświadoma jego wzruszenia.

– Poczekaj chwileczkę, Frae. – Ukląkł przy niej, teraz jego oczy znalazły się na jej poziomie. – Obiecasz mi coś?

Przytaknęła ufnie.

– Zapewne nigdy się to nie zdarzy, ale jeśli kiedykolwiek usłyszysz grzechotanie okiennic, jakby coś próbowało je otworzyć... obiecuj mi, że do nich nie podejdziesz – poprosił Jack. – Że obudzisz mamę i zostaniesz przy niej.

– Albo mogę obudzić ciebie, prawda, Jack?

– Prawda. Możesz przyjść do mnie zawsze, jak się czegoś boisz albo czujesz się niepewnie. I nawet jeśli wychodzisz tylko na podwórko, zawsze mów mamie, gdzie jesteś, i bądź w zasięgu wzroku, a jeśli idziesz zrywać kwiaty, nie chodź sama. Możesz mi to obiecać?

– Obiecuję. Ale mama już mi to powiedziała.

– To bardzo dobrze. – Skinął jej, a w duchu powiedział sobie, że musi, musi tu zostać, dopóki tajemnica zaginionych dzieci nie zostanie rozwiązana, musi w tym pomóc, nawet gdyby miało to trwać dłużej niż do jesieni.

– Czy to się właśnie stało z Elizą i Annabel? – spytała smutno Frae. – Jakiś duch zapukał do ich okien?

Jack się zawahał. Nie chciał jej niepotrzebnie straszyć, ale przypomniał sobie słowa Adairy: jedna dziewczynka zaginęła, kiedy wracała ze szkoły, druga – gdy doglądała owiec na pastwisku. Wrócił myślami do historii, które kiedyś opowiedziała mu Mirin, legend, w których duchy – często te życzliwe – dobrze się czuły na podwórzu, a nawet były mile widziane w środku, gdy w palenisku rozpalono ogień. Jednak nigdy nie słyszał, żeby któryś podszedł do domu i próbował się wedrzeć. Wprawdzie duchy często przyjmowały dary pozostawione dla nich na gankach, ale wydawało się, że te najbardziej

niebezpieczne wolały trzymać się z dala od ludzkich domostw, na wolności, gdzie ich moc była największa.

– Nie jestem pewien, Frae.

– Mama mówi, że duchy na naszym podwórku są dobre i że dopóki jestem w domu, na drogach albo w szkole, nie mogą mnie omamić. Że czuwają nade mną, zwłaszcza kiedy noszę tartan.

Jack spojrział na jej szal, krzywo zawiązany nad obojczykami, zielony od letnich pokrzyw i paproci, z nitką marzanowej czerwieni, złotem porostów. Kolory duchów ziemi, zbierane, kruszone i moczone na barwniki. Zastanawiał się, jaka tajemnica została wpleciona w ten wzór, i po raz pierwszy ucieszył się z umiejętności Mirin.

Uśmiechnął się do swojej siostry.

– Mama ma rację. A teraz pokaż mi, gdzie rosną najlepsze kwiaty.



Torin, w tunice sztywnej od deszczu, z oczami przekrwionymi po nieprzespanej nocy, szedł brzegiem bagien, szukając zaginionych dziewczynek. Zauważył Jacka: bard stał przy skałach, czekał na rozmowę. Kapitan wraz ze swoimi strażnikami niespiesznie przeczesywał mokrą trawę, płosząc poranne świerszcze, aż w końcu do niego dotarł. Zauważył w jego ciemnych włosach kwiat, ale nie skomentował; a więc syn Mirin wiedział już, że ma siostrę.

– Żadnych śladów? – zapytał Jack.

Torin potrząsnął głową.

– Żadnych.

– Może powinniście przeszukać zachodnie wzgórze, aż do zagrody mojej mamy.

– Dlaczego? – Zabrzmiało to sceptycznie, myślał o tym, jak duchy udaremniały jego poszukiwania. Najpierw wiatr szarpał trawę, potem zerwała się burza, zostawiając po sobie kałuże, zacierając wszelkie ślady.

Obawiał się najgorszego – że nie zdoła odnaleźć dzieci. Rozmowa z matką Elizy wciąż tłukła mu się w czaszce jak zgruchotane kości.

Dlaczego duchy zabrały moją córkę? Mogę dobić z nimi targu i ją odzyskać?

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć zrozpaczonej kobiecie, ale jej słowa skierowały jego myśli ku rzeczom bardziej niebezpiecznym i ryzykownym.

Jack milczał, czekał, aż Torin na niego spojrzy. Wiatr rzeźbił ścieżkę pomiędzy nimi, ale tego ranka nie było w nim szeptów.

– Słyszałem coś dziwnego ostatniej nocy – zaczął Jack i Torin słuchał uważnie opowieści o grzechotaniu okiennic, o cieniu, który uciekł na wzgórze.

– Widziałeś je? – dopytywał się. – Jak wyglądały? Czy to były duchy wody czy ziemi?

– Widziałem oddalający się cień – poprawił Jack. – Nic więcej nie potrafię o nim powiedzieć. Ale zastanawiam się nad czymś innym... Czy duchy są teraz bardziej bezczelne? Podchodzą do domów bez zaproszenia?

– Rzadko się to zdarzało, ale słyszałem, że robiły coś takiego w przeszłości. I jeśli do twojego okna naprawdę zastukał duch... To znak, że robią się coraz bardziej bezwzględne i okrutne, próbują wykraść dziecko z jego domu.

Jack zmarszczył brwi.

– I szykują się kłopoty w królestwie duchów?

– Może. Ale nie ma żadnego pewnego sposobu, aby się dowiedzieć; skoro nie chcą się ujawnić i przemówić, możemy się tylko zastanawiać. – Torin skinął na strażników, żeby podeszli. – Jeśli uważasz, że coś może się ukrywać na zachodnich wzgórzach, poszukamy tam.

Torin wytyczył drogę i już kierował się w stronę zagrody Mirin, kiedy Jack go powstrzymał.

– Ale nie myślisz, że to był zwiadowca Breccan, prawda?

Torin zatrzymał się i pozwolił strażnikom przejść obok niego, nim odpowiedział.

– Gdyby to był jakiś Breccanin, już bym o tym wiedział. Nikt nie przekracza granicy klanu bez mojej wiedzy. – Pokazał lewą rękę, tę, na której widniała blizna.

Trzy lata temu Alastair mianował Torina kapitanem Straży Wschodu i po ceremonii Torin wyciągnął rękę, a laird przeciął mu dłoń swoim mieczem – stałą zaklętą świadomością. Ból wszedł głęboko, znacznie głębiej niż jakikolwiek inny, wlał się w ścięgna i kości i nie ustawał, jakby laird rozciął mu rękę na dwie części. Niosąc w sobie ten ból, Torin wędrował granicami

wschodniej Cadence: jej surowym wybrzeżem, linią między Wschodem i Zachodem. Pozwalał, żeby jego krew spadała do wody i na ziemię – tak samo, jak robił to poprzedni kapitan straży.

Żaden przybysz nie mógł postawić stopy na Wschodzie tak, żeby Torin tego nie poczuł. Jego krew była przywiązana do tej wody i ziemi.

Mógł powiedzieć, że ostatniego zwiadowcę dorwał na południowym brzegu Cadence, niedaleko miejsca, w którym Roban zaatakował Jacka tamtej nocy... Ale nie zrobił tego.

Nie powiedział, że był to breccański wojownik, który głupio wierzył, że Torin nie wyczuje intruza we wschodnim przypływie. Nie powiedział, że Breccanin był uzbrojony i zaciekle walczył z Torinem na piachu i że potem Torin przesłuchiwał go w tej samej jaskini, w której dał Jackowi swój tartan i poczęstował wrzosowym piwem. Nie powiedział, że ponieważ Breccanin milczał i nie zdradził żadnych planów, Torin zabił go i wrzucił jego ciało do oceanu.

Nie powiedział nikomu o tamtej nocy. Nawet Sidrze.

Zostawił teraz barda, ruszył szlakiem, który jego strażnicy wytyczyli na wzgórzu, i zrozumiał, że musi zadać sobie pytanie: czego szukał? Wstążki, buta, skrawka ubrania? Odcisku stóp, który dokąś by go zaprowadził? Pomocnego ducha, który by mu się ukazał i doprowadził do dziewczynek? Ciała? Do tej pory nie znalazł nic, ale może dlatego, że poległ na swoich fizycznych ograniczeniach.

Dołączył do strażników na drodze i wysłał ich do Mirin z nakazem przeszukania jej ziemi, a sam podążał za nimi, wzrokiem omiatając gęstą trawę oraz ślady jeleni. Już bardzo blisko zagrody Mirin natknął się na skalisty jar, którego nigdy wcześniej nie spotkał, wąski i głęboki. Płynęła w nim rzeka.

Czy mogłaby doprowadzić mnie do portalu?, pomyślał. Od dzieciństwa pragnął odnaleźć takie przejście, znaleźć się po drugiej stronie, wejść do królestwa duchów.

Poczuł, że musi przeszukać jar, zsunął się więc po stromym brzegu i wszedł w płytki nurt. Podążał krętym korytem i niespodziewanie natknął się na chatkę na kamienistym brzegu. Mała i prosta, zbudowana ze splecionych gałęzi i winorośli, z otworem na dym w omszałym dachu, ukazywała się patrzącemu dopiero wtedy, kiedy jej się uważnie przyjrzał.

Przystanął. Kto mógł tu mieszkać? Włoski zjeżyły mu się na karku, jakby to miejsce było świętą ziemią, na której gromadziły się duchy... Ostrożnie, z dłonią na rękojeści miecza podszedł do chatki i zapukał do drzwi.

– Proszę – zawołał delikatny i melodyjny głos młodej kobiety.

Torin pchnął drzwi, ale został na progu. Nigdy nie widział duchów, słyszał tylko ich szepty na wietrze, czuł ich ciepło w ogniu, wdychał ich zapach w trawie, pił ich hojność w wodzie z jeziora. Nie wiedział więc, czego ma się spodziewać, gdy jego wzrok przyzwyczajał się do przyćmionego światła.

– Boisz się? – zaśmiała się kobieta, której wciąż nie potrafił dostrzec. – Wejdź do środka. Nie jestem duchem, jeśli tego się obawiasz.

Wszedł ostrożnie, schylając się, żeby nie uderzyć głową w omszałe nadproże.

W pierścieniu kamieni palił się torf, dając mały ogień. Na stoliczku dostrzegł stos książek, kociołek z owsianką i miskę z jeżynami. Na półce ustawiono wyrzeźbione figurki, kosz z chrustem stał obok bujanego fotela, na którym siedziała bardzo stara kobieta o srebrnych włosach – jej wykręcone dłonie strugały cienki kawałek drewna.

Torin patrzył na nią zdezorientowany, ale ona nie odrywała wzroku od swojej pracy. Pewny ruch noża, padające na podłogę strużyny drewna. Wyglądało to prawie tak, jakby rzeźbiła jego podobiznę...

– Ach, to szanowany kapitan Straży Wschodu – powiedziała kobieta, rozpoznając jego tartan i herb, a jej głos wciąż był młody i żywy. – Nie spodziewałeś się, że tak wyglądam, co?

Nie odpowiedział, stał w gotowości.

– Stara jak czas, tak pewnie myślisz – kontynuowała. – Z głosem, który nie pasuje do wyglądu.

– Kim jesteś? – zapytał Torin.

Przestała strugać i przeszła go wyblakłymi niebieskimi oczami.

– Nie znasz mnie, nie należę do twoich czasów, kapitanie. Dlatego moje ciało się zestarzało, a głos nie.

– Z jakich czasów pochodzisz?

Wskazała głową półkę z figurkami.

– Wybierz jedną, a odpowiem ci, ale wybierz mądrze, kapitanie. Słucham tych, którzy znajdują drogę do moich drzwi i przychodzą tu z przeszłości,

teraźniejszości i przyszłości, ale wtedy mogę rozmawiać z nimi tylko przez chwilę.

Torin chciał ją zapytać o zaginione dzieci, lecz się powstrzymał. Odwrócił się do półki i przyjrzał się kolekcji. Dużo, bardzo dużo figurek kobiecych, męskich, zwierzęcych, wystruganych ze wszystkich rodzajów drewna. W końcu jego wzrok zatrzymał się na postaci dziewczyny. Figurka miała długie, rozpuszczone włosy, ozdobione kwiatami, jedna jej ręka spoczywała na sercu, drugą wyciągała zapraszająco. Torin delikatnie wziął ją do ręki, wspominając dzień, w którym poślubił Sidrę. Polne kwiaty, które wieńczyły jej głowę, ich zbłąkane płatki w jej włosach kilka godzin po ceremonii, kiedy siedzieli razem na łóżku, pili wino i rozmawiali do późnej nocy.

Wziął gwałtowny oddech.

– Czy moja żona tu była? – Pokazał rzeźbiarce piękną figurkę.

Staruszka uśmiechnęła się do niego.

– A jesteś poślubiony Lady Whin, Pani Dzikich Kwiatów?

– To duch? – Torin przyjrzał się figurce i zobaczył, że na opuszkach jej palców również kwitną kwiaty. – Nie wiedziałem, że są tak podobne do nas.

– Niektóre z nich tak, kapitanie. Niektóre nie. I pamiętaj... uważaj, o co pytasz. Kiedy już opowiem swoją historię, mogę odpowiedzieć na tylko jedno twoje pytanie.

– Opowiedz mi zatem swoją historię.

– Byłam panną służebną Joan – wyjaśniła rzeźbiarka. – Poszłam za nią, gdy poślubiła Fingala Breccanina, towarzyszyłam jej na Zachodzie.

Oczy Torina się rozszerzyły. Znał legendę o lairdess swojego klanu, która chciała zaprowadzić pokój na wyspie. Joan Tamerlain żyła dwa wieki temu.

– W czasach sprzed granicy klanów było tam pięknie... Wzgórza porastały wrzosa i dzikie kwiaty, z gór spływały zimne, czyste strumienie, morze obfitowało w ryby. A jednak ponad tymi ziemiami rozciągał się jakiś cień. Breccanie często walczyli między sobą, udowadniając wyższość jakiegoś rodu, ludzie nie tracili czujności nawet we śnie, nawet krewni rzadko sobie ufali. Nigdy w życiu nie widziałam takiego rozlewu krwi i w końcu nie mogłam znieść życia w tym miejscu. Poprosiłam Joan, aby zwolniła mnie z przysięgi służby, a ona zrobiła to, bo rozumiała. Każdej nocy obie śniłyśmy o Wschodzie, tęskniąc za domem.

Wyjechałam, ona została, ale po powrocie do domu moja rodzina wyrzuciła mnie za złamanie przysięgi złożonej Joan. Błąkałam się bez środków do życia, aż dotarłam do jeziora w dolinie, uklęknęłam, napiłam się i zobaczyłam coś w jego wodach. Błysk złota.

Byłam głodna i zmęczona, potrzebowałam tego złota, by przeżyć. Weszłam do wody i zaczęłam płynąć w kierunku dna, ale za każdym razem, kiedy już miałam dotknąć złota, ono zapadało się jeszcze głębiej. Poczułam, jak płoną moje płuca, brakowało mi tchu. Kiedy miałam popłynąć w górę, ku powierzchni, pojawił się przede mną duch jeziora, pocałował mnie w usta i nagle mogłam oddychać w wodzie. Płynęłam dalej, odrzucając własną śmiertelność, aż do serca jeziora, coraz głębiej i głębiej, przyciągana obietnicą złota.

Zamilkła i jej dłonie zamarły. Torin stał, zahipnotyzowany opowieścią, figurka Joan kołysała się w jego dłoni.

– A jednak nie osiągnąłeś tego złota – odezwał się.

Kobieta popatrzyła mu w oczy.

– Nie. – Jej głos był zgrzytliwy i słaby, jakby starzał się wraz z opowieścią. – Pojęłam, że te wody nie mają dna i wkrótce w nich przepadnę, omamiona przez ducha jeziora. Zawróciłam i popłynęłam ku górze, z trudem docierając do światła. A gdy wypłynęłam na powierzchnię, odkryłam, że minęło sto lat. – Obojętnie wróciła do swojej pracy. – Moich krewnych dawno pogrzebano, Joan zginęła, spleciona z lairdem Breccan, przeklinając Zachód, tak jak on rzucił klątwę na Wschód. Ich krew splamiła ziemię, a magią duchów zachwiały właśnie i granica klanów.

Od tego czasu magia paliła się jasno w rękach Breccan i mogliby bez uszczerbku na zdrowiu okiełznać zaklęcia, wplatać je w tkaniny, wykuwać w stali – ale działało się to kosztem ich duchów. Plony były ubogie, woda mętna, ogień nie dawał ciepła, a wiatr ciął ostro. Klan Breccan stał się potężnym i głodnym klanem, zamieszkującym surowe ziemie.

Na ziemiach Wschodu zaś magia przepływała swobodnie w duchach wszystkich żywiołów i choć Tamerlainowie oswojenie jej przypłacali chorobą, ich ogrody kipiały obfitością, wody były czyste, wiatr spokojny, a ogień dawał ciepło i blask. Klan Tamerlainów stał się zamożny i zamieszkiwał żyzną krainę, ale był narażony na cierpienie.

Torin milczał, chłonąc jej opowieść, choć wiedział o klątwie. To dlatego Breccanie nie mieli żadnych zapasów w czasie zimy, dlatego tak wielu Tamerlainów wymagało opieki jego żony.

Zerknął na kobietę, zastanawiając się, ile pytań zdoła zadać, nim jej głos ostatecznie zgaśnie.

- Czy duchy wyspy przychodzą cię odwiedzić?
- Czasami. Kiedy są w potrzebie.
- Nie widziałaś przypadkiem jakiegoś z dwiema dziewczynkami?
- Czego duch mógłby chcieć od śmiertelnych dzieci?

Torin się zniecierpliwił.

- Czy istnieje sposób, żeby przywołać duchy? Skłonić je, by się ukazały?
- Jeśli nawet – jej słowa stawały się coraz mniej wyraźne – nie znam go, kapitanie.

Wyczuł, że jej czas mijał, głos zanikał. Chciał jej zadać jeszcze wiele pytań, ale musiał to zrobić następnym razem.

Jak znajdę drogę powrotną do tego miejsca?, zastanawiał się. Wiedział przecież, że jar jest zaklęty, że będzie zmieniać się i przemieszczać. Spojrzał na figurkę Lady Whin. Niesamowite, jak bardzo przypominała Sidrę. Może ona stanie się przewodnikiem?

- Mogę ją zatrzymać? – zapytał.

Kobieta skinęła głową, skupiona na swojej pracy, jakby już go tutaj nie było.

Torin wyszedł z chatki – drzwi zamknęły się za nim same – i schował figurkę do kieszeni, myśląc, że powinna spodobać się jego córeczce.

Zaczął iść w górę rzeki i usłyszał, jak zmienia się szmer wody.

Zerknął przez ramię i zamarł – stało się dokładnie to, czego się obawiał.

Rzeka zmieniła swój bieg ledwie o cal, chatka zniknęła.



Właśnie wyszedł z wąwozu i kierował się na północ, kiedy zauważył Robana, który pędził do niego przez wrzosowisko.

Torin wiedział, że coś jest nie tak, i pobiegł do młodego strażnika.

– Co się stało, Roban? – zapytał, choć już znał odpowiedź.

Widział pot ściekający z czoła chłopaka i panikę w jego oczach, widział wyczerpanie po nieustających poszukiwaniach – dzień po dniu, noc po nocy – które nie przyniosły zupełnie nic.

– Obawiam się, że znów to samo, kapitanie – wykrztusił Roban. – Kolejna dziewczynka zniknęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



Sidra przemierzała ulice Sloane z koszem medykamentów na ramieniu. Przed każdymi drzwiami, które mijiała, stał na progu poczęstunek dla duchów. Pojednania i modlitwy w postaci rzeźbionych figurek i małych stosików torfu, na których mógł tańczyć ogień, dzwoneczków wykonanych z linek na ryby i muszelek, żeby wiatr mógł usłyszeć własny oddech, jeśli tędy przebiegał. Były tam malutkie chlebki – *bannocks* – i filiżanki mleka dla duchów ziemi oraz solone śledzie i biżuteria z muszelek dla duchów wody.

Rozpacz wisiała nad ulicami niczym mgła i Sidra pozwoliła swoim myślom wędrować w mroczne miejsca.

Myślała o dwóch dziewczynkach, Elizie i Annabel, wciąż nieodnalezionych, i wyobraziła sobie, że przejęły je duchy. Czy dziewczynki mogły stać się drzewem, które nie starzeje się w ludzki sposób, ale zgodnie z porami roku? Kępą kwiatów odradzającą się każdej wiosny i każdego lata i więdnącą z pierwszym przymrozkiem? A może pianą morską całą wieczność rozpryskującą się na nabrzeżu, albo płomieniem tańczącym w palenisku, skrzydlatym wiatrem wzdychającym na wzgórzach? Czy po takiej przemianie mogłaby powrócić do swojej ludzkiej rodziny i czy wtedy pamiętałaby rodziców, swoje ludzkie wspomnienia i śmiertelne imię?

Czując, jak zalewa ją żal, spojrzała znów na ulicę. Przyjeżdżała do Sloane dwa razy w tygodniu, odwiedzała swoich pacjentów. Pierwsza miała być Una Carlow; Sidra podążała za pieśnią młota uderzającego w kowadło.

Dotarła do kuźni i stała przez chwilę w słońcu, patrząc na kobietę, która wykuwała ze stali długie ostrze. Powietrze było gęste od zapachu gorącego metalu, iskry strzelały w górę. Każde uderzenie rezonowało w głowie Sidry, aż w końcu Una zgasła ostrze w korycie z wodą i para uniosła się z sykiem.

Wyjęła miecz i podała go swojemu uczniowi, czerwonemu na twarzy i spoconemu od pompowania miecha. Ogień płonął w kuźni przez cały czas, żar nigdy nie wygasnął; jeśli ktoś znał ogień Cadence, jego temperament, potęgę i tajemnice, to właśnie Una.

Una była jedyną kowalką na Wschodzie, która nie bała się wbijać zaklęć w swoją stal. Brała sztabę i tajemnicę, topiła je razem w gorącym ogniu i tworzyła z nich jedność na kowadle. Po ukończeniu zaklętej klingi zawsze miała gorączkę, czasem nie mogła opuścić łóżka przez kilka dni.

– Sidra! – przywitała ją kowalka i zdjęła grube skórzane rękawice. – Jak się macie, ty i Maisie?

– Dobrze – odparła Sidra, rozumiejąc, o co tak naprawdę pyta ją Una, wyczuwając troskę: Maisie była dziewczynką w miejscu, w którym przepadały dziewczynki. – W tej chwili jest z Graeme’em. Cieszę się, że może się nią zająć, kiedy ja przyjeżdżam do miasta.

– Całe szczęście. – Una podeszła do niej na progu kuźni.

– A twoje dzieci? – Sidra sięgnęła do koszyka i wyjęła eliksir, który miał pomóc Unie. – Dawno ich nie widziałam.

– Za szybko rosną. – Kowalka się uśmiechnęła. – Ale wszystko dobrze. Kiedy nie są w szkole, spędzają czas ze mną w kuźni albo z Ailsą w stajni, a moja żona przekazuje im wszystkie końskie sekrety.

Sidra skinęła, w pełni rozumiejąc tę ostrożność. Nawet jeśli syn i córka Uny i Ailsy byli nastolatkami, musieli przestrzegać surowych zasad wprowadzonych nagle w związku z zaginięciami.

Postawiła słoik z eliksirem na wyciągniętej dłoni Uny, a kowalka spytała niespodziewanie:

– Myślałaś kiedyś, że jesteśmy jedynie nieświadomymi uczestnikami gry duchów? Że przedstawiają nas jak pionki na planszy, że nasza rozpacz czy niepokój sprawiają im przyjemność?

Sidra sięgnęła w głąb siebie i wiedziała, że ona myśli to samo, jednak jej pobożna natura szybko stłumiła te groźne myśli. A jeśli ziemia wyczuje tę nieufność w czasie pielęgnacji ogródka, miazdzenia ziół, szykowania maści?

– To niebezpieczna myśl – odezwała się. – Że mogą czerpać przyjemność z dręczenia nas.

– Czasami, kiedy patrzę na ogień w kuźni, wyobrażam sobie, jak mogłaby wyglądać nieśmiertelność. Gdy nie boisz się umrzeć, kiedy tańczysz i płoniesz przez całą wieczność. I myślę, że to musi być strasznie nudne i że zrobisz wszystko, żeby znowu poczuć, że żyjesz.

– Tak – szepnęła Sidra, ale za bardzo lękała się powiedzieć coś więcej i Una to wyczuła.

– Nie chcę cię zatrzymywać – powiedziała. – Dziękuję ci za pomoc. Jutro będę wykuwać zaczarowane ostrze, eliksir pomoże mi znieść efekty uboczne.

Sidra pożegnała się i szła dalej, odwiedzając kolejnych swoich pacjentów, aż do miasta wpadł silny poryw północnego wiatru. Zatrzymała się na środku ulicy i patrzyła, jak szarpie dymem, jak przewraca kosze na rynku, zatrząskuje drzwi i okiennice.

Splątał jej czarne włosy i usłyszała jego szept, niczym poszum skrzydeł.

Wiatr przyniósł wieści.



Jack czekał na Adairę w zamku. Przyszedł w południe, tak jak go prosiła, a służący zaprowadził go do wieży muzycznej, twierdząc, że córka lairda przyjdzie od razu tutaj. Zniecierpliwiony chodził wzdłuż półek z książkami, przeglądał je, potem wybrał kilka tomów. Znalazł książkę wypełnioną muzyką, którą szybko rozpoznał – ballady klanu, pieśni, które Lorna śpiewała niegdyś podczas uct.

Uśmiechnął się, czytając nuty. Z sentymentem wracał do pieśni, które ukształtowały jego dzieciństwo, do dzikich dni wędrówek po wrzosowiskach, odkrywania nadmorskich jaskiń. Z przyjemnością stwierdził, że nawet dziś, po latach, ta muzyka nadal budzi ciepłe wspomnienia, przywraca go do chwil, kiedy siedział w sali i zachwycał się tymi balladami, kiedy jeszcze nie myślał, że sam mógłby zostać bardem, kiedy nawet nie marzył, że pewnego dnia zgłębi tajniki instrumentów.

Zamknął w końcu zakurzony tom i odstawił go na półkę – pewnie od lat nikt nie brał tych książek do ręki... Jack poczuł smutek na myśl o tym, jak cichy stał się Wschód bez Lorny.

Podszedł do stojącej na środku harfy, ale powstrzymał się od grania. Zauważył, że stół jest niemal pusty – zniknęły z niego wszystkie karty i książki, leżał jedynie zapieczętowany list.

Bard przyjrzał mu się z ciekawością. Prócz imienia Adairy widniał na nim herb: dwa miecze w pierścieniu z jałowca. Znak Breccan.

Cofnął się, zaalarmowany. W jakim celu zachodni klan miałby do niej pisać?

Jack krążył po pokoju, myśląc o liście. Czego od niej chcieli? Proponowali małżeństwo? Zapragnęli pokoju po dziesięcioleciach walki? Czy wyspa mogłaby się zjednoczyć?

Zatrzymał się przy wyjściu na balkon, wspominając legendę o Joan Tamerlain, konającej obok Fingala Breccanina.

Czekał już godzinę – gdzie się podziewała Adaira?

Widział stąd główną ulicę Sloane, sunął po niej spojrzeniem i zobaczył jakieś zamieszanie. Ludzie gromadzili się na rynku, kilka osób dokądś pobiegło, sprzedawcy zaczęli zamykać swoje kramy. Chyba nawet skończono przed czasem lekcje w szkole i odprowadzano uczniów do domów.

Jack szukał Frae wśród dzieci, ale nie dostrzegł jej jasnych, rdzawych włosów. *Jest dzisiaj z Mirin*, przypomniał sobie, a napięcie w jego ramionach zelżało. Jest w domu, bezpieczna.

Zmarszczył brwi, patrząc, jak ulice pustoszeją, w końcu wyszedł z zamku – bo Adaira i tak już pewnie nie przyjdzie – i dostał się na rynek.

– Co się dzieje? – spytał kobietę, która zamykała piekarnię.

– Nie słyszałeś? Znowu zginęła dziewczynka.

– Kto? – spytał ostro Jack.

– Nie wiem. Podano kilka nazwisk, ale czekamy na potwierdzenie od kapitana.

Żołądek Jacka opadł, krew zastygła w żyłach, myśli rozpadły się jak stłuczone szkło.

Na kontynencie bał się tylko porażki: że źle wypadnie na lekcji, że nie skończy studiów, że nie zdoła zadowolić kochanki. Martwił się jedynie o siebie i swoje sprawy, przez te wszystkie lata pochłonięty wyłącznie sobą. Ale odkąd wrócił do domu, zrozumiał, że nie można żyć samą muzyką, że są inne rzeczy, na których mu zależało i których potrzebował – nawet jeśli był to dla niego taki sam szok, jak to, że po długiej zimie znowu kwitną kwiaty. Poczuł, jak ożywa w nim największy strach, ten, który narodził się ledwie kilkanaście godzin wcześniej.

A może to jednak Frae?... Nie tracił już ani chwili.

Biegł, biegł drogą, nie zwalniając ani na chwilę, chociaż oddech palił go w płucach, choć kłuło go w boku. Biegł aż do domu, przeskoczył przez ogrodzenie i wpadł gwałtownie do domu swojej matki.

Stanął jak wryty, zostawiając błotniste ślady na podłodze: Mirin stała przy krośnie i zaskoczona tym dramatycznym wejściem, patrzyła na niego ogromnymi oczami.

Frae, z kwiatami wplecionymi w warkocze, siedziała na kanapie. Czytała książkę.

Wpatrywał się w siostrę, jakby nie ufał własnym oczom, dygocząc od stóp do głów, a potem zamknął za sobą drzwi. Poczł ulgę, po której od razu przyszło poczucie winy – to nie Frae, zaginęło jakieś inne dziecko.

– Jack? – odezwała się Mirin. – Jack, co się stało?

– Myślałem... – Nie potrafił wykrztusić słowa, przełknął, ciężko dyszał. – Słyszałem, że znów zaginęła dziewczynka.

– Która? – zawołała Frae, zatraskując książkę.

– Nie wiem, nie podano nazwiska. – Jack zobaczył strach na jej twarzy, patrzył, jak światło zgasło w jej oczach, i poczuł się z tym okropnie. – Może to tylko plotka, może wcale nic się nie stało. Wiesz, jak wiatr lubi plotkować.

Mirin popatrzyła na córkę.

– Wszystko będzie dobrze, Frae.

Buzia dziewczynki wykrzywiła się do płaczu, Jack patrzył przerażony.

Nie wiedział, co mógłby powiedzieć, i zdążył się już nauczyć, że czasami słowa nie wystarczają. Poszedł do swojego pokoju; harfa wciąż tkwiła w futerale, czekała na uwolnienie.

Przyniósł instrument do głównej izby, siadł na krześle naprzeciwko dziewczynki. Kilka łez spłynęło po jej policzkach, ale otarła je szybko, gdy zobaczyła, co Jack trzyma w ręku.

– Chcesz posłuchać piosenki, Frae?

Skinęła gwałtownie, odsuwając z oczu zbłąkane kosmyki, jakby nie chciała przegapić żadnej nuty.

– To będzie zaszczyt grać dla ciebie i mamy. – Jack oparł się pokusie i nie spojrzł na Mirin, która opuściła czólenko swojego krosna. – Ale muszę cię ostrzec, Frae... Pierwszy raz gram na wyspie i być może nie zabrmi to tak dobrze jak na kontynencie.

Tak naprawdę chciał powiedzieć, że po raz pierwszy zagra w obecności Mirin, i obawiał się, że matka nie zachwyci się jego rzemiosłem, tym, na co poświęcił długie lata. A Mirin, która nigdy i za nic nie odchodziła od krosna

w połowie tkania, odsunęła się i dołączyła do nich, siadając obok Frae na otomanie.

– Powiemy ci. – Frae pociągnęła nosem. Rzęsy miała wilgotne, ale łyzy ustały. Przyglądała się z uwagą, jak Jack wyjmuje harfę, która pierwszy raz miała poczuć powietrze wyspy.

Zdobył tę harfę na piątym roku studiów. Zbudowana z wierzby rosnącej przy grobie młodej dziewczyny, była lekka i odporna, a jej dźwięk był słodki, chłodny i melodyjny. Na bokach miała wypalony rysunek liści i winnych gron, skromny i prosty w porównaniu z tym, jak zdobili harfy jego koledzy. Ale już wtedy wiedział, że tak właśnie ma wyglądać.

Jack dokręcał kołki, sprawdzał trzydzieści mosiężnych strun i myślał o tych wszystkich godzinach na kontynencie, godzinach grania na tej harfie, wydobywania z niej smutnych, rzewnych tonów. Z trzech rodzajów muzyki, jakie mogła dać harfa, Jack wybrał pieśni elegijne, jednak w tej chwili nie chciał pogłębiać smutku Frae. Teraz powinien wybrać radość lub spoczynek albo je połączyć, tworząc pieśń, która niesie nadzieję.

Stary tartan leżał na jego kolanach, gdy stroił harfę. Materiał przyciągnął wzrok Mirin.

Jack oparł harfę o lewe ramię.

– Co wam zagrać?

Jego matka i jego siostra milczały.

– Cokolwiek – odparła w końcu Frae i Jack domyślił się, że nie znała żadnych starych ballad. Lorny nie było i muzyka na wyspie poszła w zapomnienie. Od razu pomyślał o balladach, które przeglądał dzisiaj, wszystkich pieśniach, których słuchał jako chłopiec. Dzieciństwo Frae zostało okradzione z tej muzyki.

Zaczął grać i śpiewać jedną z pierwszych pieśni, których się nauczył: *Balladę o porach roku*. Energia i radość wiosny zmieniała się w łagodność lata, potem w ogniste staccato jesieni i wreszcie w smutną elegancję zimy – Jack nie mógł jednak oprzeć się smutkowi. Gdy skończył, a ostatnia nuta drżała jeszcze w powietrzu, Frae zaczęła bić brawo jak szalona, a Mirin otarła łyzy z oczu.

Jack pomyślał, że nigdy nie czuł się tak spełniony.

– Jeszcze jedną! – prosiła Frae.

Mirin pogładziła jej włosy.

– Teraz pora na tkanie, Frae. Mamy pracę do wykonania.

Frae oklapła, ale bez marudzenia poszła za matką do krosna, tęsknie spoglądając na harfę w rękach Jacka.

A on pomyślał, że przecież mógłby grać dalej, snuć melodie, kiedy one tkwały.

Grał pieśń za pieśnią, a Mirin i Frae pracowały przy krosnach. Kilka razy dziewczynka odrywała wzrok od pracy, spoglądała na niego, ale Mirin jej nie karciała.

Kiedy Jack w końcu odłożył harfę, było już późne popołudnie. Grzmoty dudniły w oddali, a wiatr trzaskał okiennicami, w powietrzu wisiał deszcz. Bard sięgnął do futerału i wyjął pergamin, który otrzymał wczoraj od Adairy.

Nie znał dziewczynek, które zaginęły. Nie wiedział, co się stanie, gdy zagra tę zaklętą muzykę; czy duchy odpowiedzą, czy nie. Ale zawsze chciał dowieść, że jest godny Tamerlainów, marzył o tym, by go chcieli, pragnął poczuć, że do nich przynależy.

Muzyka już mu to kiedyś dała – dom i cel.

Mirin i Frae tkwały, a on z uwagą studiował *Pieśń przyptywów*.



Zaginiona dziewczynka nazywała się Catriona Mitchell i miała ledwie pięć lat.

Najmłodsza córka rybaka i krawcowej pomagała ojcu naprawiać sieci nad oceanem, a potem poszła się pobawić ze starszym rodzeństwem na północnym wybrzeżu. Żadne z nich nie widziało, żeby się oddalała, a jednak Torin znalazł ślady jej stóp na piasku tuż przed nadejściem przyptywu.

Podążył tymi śladami. Była na brzegu sama, nim zdecydowała się wspiąć na trawiaste wzgórze, gdzie Torinowi trudniej było odnaleźć trop. Badał trawę i skały i zastanawiał się, czemu dziewczynka zostawiła rodzeństwo w dole, gdy nagle jego wzrok przykuł błysk czerwieni.

Torin przykucnął. Obawiał się, że to krew, ale rozsunął trawy i zobaczył, że to tylko kwiat: cztery karmazynowe płatki, żyłkowane złotem. Piękny i nieznany, kapitan nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego.

Przyglądał mu się ze ściągniętymi brwiami. Znał dobrze wschodni krajobraz, znał rośliny, które kwitły po tej stronie wyspy, a ten kwiat był dziwny, nie na miejscu, jakby jakiś duch specjalnie go tu zostawił, jakbyś ktoś miał go znaleźć... Czym był? Znakiem portalu prowadzącego na drugą stronę?

Podniósł go delikatnie – zerwany kwiat leżał na ziemi. Czy właśnie jego zobaczyła Catriona, to dlatego wspięła się na wzgórze?

Kapitan szukał dalej, wypatrywał śladów. Dokąd poszła? Udało mu się znaleźć kilka odcisków małych stópek: prowadziły na wzgórze, ledwie musnęły trawę, ale zaraz potem zniknęły. I koniec, żadnych znaków, nic, poza jeszcze jednym kwiatkiem, który czerwienił się na ziemi jak kropla krwi.

Torin podniósł go, uważając, żeby nie zgnieść płatków, a potem przeszukał ziemię, pobliskie kamienie, kępy trawy – wypatrywał przejścia. To na pewno duchy otworzyły tu portal, zapraszając dziewczynkę do swojego królestwa. Co innego mogłoby się z nią stać?

Poczuł szarpnięcie w żołądku, strach, który nauczył się oswajać już dawno temu, a jednak w tej chwili pojął, że musi upewnić się, że Maisie jest bezpieczna, zobaczyć ją na własne oczy.

Rozkazał strażnikom oznaczyć szlak i dalej przeszukiwać okolicę, a sam pojechał do domu.

Obawiał się, że Sidra może być nadal w mieście, a jednak z ulgą zastał ją przy kuchennym stole. Z czarnymi włosami zebranymi w luźny warkocz i ziołami rozłożonymi przed nią jak mapa, której nigdy nie potrafił odczytać, szykowała eliksiry dla swoich pacjentów.

Od razu podniosła na niego oczy.

– Torin! Masz jakieś wieści?

Ta nadzieja w jej oczach... Zamknął za sobą drzwi.

– To Catriona Mitchell, zaginęła dziś rano. Znalazłem urywający się ślad i coś, co chcę ci pokazać. Potrzebuję twojej pomocy.

Sidra od razu odstawiała moździerz i podeszła do niego na środku izby. Torin wyjął dwa czerwone kwiatki ze skórzanej sakiewki, położył je na dłoni żony.

– Możesz mi powiedzieć, co to za kwiaty? – spytał.

Sidra studiowała je uważnie, ściągnęła brwi.

– Nie. Nigdy wcześniej ich nie widziałam, Torinie. Gdzie je znalazłeś?

Opowiedział jej, nagle wyczerpany i pokonany. Kolejna dziewczynka zniknęła na jego warcie, kolejne dziecko, po którym został jedynie dziwny kwiat.

Catriona miała tylko pięć lat, tyle co Maisie.

Podniósł wzrok. Mógł zajrzeć do sypialni, bo Sidra zostawiła otwarte drzwi. Maisie spała w łóżku, zatopiona w marzeniach.

Podszedł bliżej, oparł się o framugę, patrzył, jak śpi. Zabolało go w piersi.

– Torinie? Chciałbyś chwilę odpocząć? – spytała cicho Sidra.

Westchnął, odwracając się do żony. Sięgała po czajnik i wyjęła talerzyk herbatników z melasą. Ostatni normalny posiłek jadł przy tym stole, kiedy przyprowadził do domu Jacka.

– Nie, nie mam czasu – wyszeptał. Bał się, że jeśli obudzi Maisie, nie zdoła już wyjść z domu.

Sidra odstawiła czajnik, patrzyła na niego zmartwiona. Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przy stole, zerknął na czerwone kwiaty, które położyła na drewnianej deseczce do krojenia. Wyraźnie odcinały się od ziół, chciały być zauważone.

– Nie wiem, co robić, Sid – wyznał, a jego słowa miały smak popiołu. – Nie wiem, jak znaleźć te dziewczynki. Nie wiem, jak sprawić, by duchy je wydały. Nie wiem, jak pocieszyć rodziny.

Sidra podeszła i objęła go w pasie, a Torin nachylił się do niej, zamknął oczy i wciągnął w nozdrza zapach jej włosów. Potrzebował tego. Choć przez chwilę.

– Spróbuję dowiedzieć się czegoś o tych kwiatach, Torinie. – Sidra odsunęła się trochę, żeby spojrzeć w jego zmęczone oczy. – Nie porzucaj nadziei. Znajdziemy te dziewczynki.

Skinał, ale jego krucha wiara rozsypała się w ciągu tych tygodni.

Nie potrafił już wierzyć. Pocałował palce Sidry i wyszedł.

Słońce świeciło jasno, ale chmury na zachodzie nasączyły się ołowiem. Nadciągała kolejna burza, która jeszcze bardziej utrudni szukanie śladów.

Już miał dosiąść konia, gdy jego wzrok padł na wzgórze po lewej stronie, porośnięte wrzosami, ze ścieżką pośrodku. Torin uznał, że winien jest Graeme'owi wizytę.

Ostatni raz widział się z ojcem kilka lat temu. Rzadko go odwiedzał: wspomnienia nawiedzały dom jego dzieciństwa niczym zjawy, Torin nie lubił tam przychodzić. On i ojciec zawsze mieli różne spojrzenie na świat, ale ostatecznie rozdzielił ich potajemny ślub – rodzina Donelli nie akceptowała Torina.

Robisz błąd, Torin, oznajmił Graeme, gdy zorientował się w planach syna. Musisz prosić o zgodę jej rodziców, nim złożysz jej przysięgę.

Torin, dwudziestoletni zakochany chłopak, nie przejmował się radami ojca. On i Donella zrobili to, co chcieli, wywołując duże wzburzenie w klanie i niemal rujnując szanse Torina na stopień kapitana.

Po śmierci Donelli dni Torina stały się ponure jak zima, która nie miała się już skończyć. Maisie była niemowlęciem, płakała w jego ramionach i Torin w desperacji poszedł z córką do Graeme'a.

Pomóż mi, ojcze. Co powinienem robić? Ona cały czas płacze, nie umiem z nią postępować.

Wyrzucił to wszystko z siebie, a potem się rozplakał, jakby przerwał tamę. Nie płakał, gdy Donella wykrwawiła się na śmierć po porodzie. Nie płakał, kiedy jej owinięte całunem ciało składano do grobu. Nie płakał, gdy po raz pierwszy trzymał na rękach Maisie. I wszystkie te łzy popłynęły teraz, gdy oddał córkę w ramiona ojca, wyznając swoją nieudolność.

Jak to się stało? Jak to się stało, że Donella odeszła, on miał dziecko i nie wiedział zupełnie, jak się nim zająć, i był sam. Nie tak sobie to wyobrażał.

Graeme trzymał Maisie, tak samo zszokowany płaczem syna jak on sam. Torin usiadł na krześle ojca w głównej izbie, obezwładniony i wyczerpany, a gdy Graeme przemówił, zeszywniał.

Twoja córka potrzebuje czulej ręki, Torinie. Znajdź jej matkę. Kobieta z wyspy, która ci pomoże.

Znajdź. Zupełnie jakby rosła na drzewie, jakby była owocem, który można zerwać.

Ledwie trzy miesiące po śmierci jego żony.

Torin wyrwał Maisie z rąk ojca i wyszedł, przysięgając sobie, że nigdy nie zwróci się do niego po pomoc.

Tego wieczoru kruk przyniósł Torinowi list pod drzwi. Wiedział, że to od ojca; Graeme nie opuszczał zagrody od czasu, kiedy matka Torina ich

porzuciła.

Podgrzej kozie mleko. Sprawdź na swoim nadgarstku, czy nie jest za gorące, zanim je podasz. Noś ją i śpiewaj jej, kiedy płacze. Upewnij się, że w nocy śpi na plecach.

Torin podarł list na kawałki i wrzucił do paleniska, ale zrobił to, co zalecił mu Graeme. Z czasem Maisie płakała mniej, ale Torinowi i tak ciężko było sobie z nią poradzić. Kilka miesięcy później niespodziewanie spotkał w dolinie Sidrę.

I oto znów szedł do zagrody ojca, i znów był w rozpacz. Dotarł na szczyt wzgórza i wszedł na podwórko zarośnięte chwastami, chociaż Sidra pielęgnowała ogród Graeme'a raz w tygodniu. Torin spostrzegł, że dach wymaga naprawy, okiennice wiszą krzywo, na okapie jakiś ptak uwił sobie gniazdo, a beczka na deszczówkę wygląda tak, jakby miała się rozsypać. Ale gdy Torin podszedł do drzwi, wszystko się zmieniło.

Chwasty cofnęły się z szelestem, odsłaniając kamienną ścieżkę. Pnącza próbujące pochłonąć dom zmieniły się w wiciokrzew, wspinający się po treliazu. Dzikie kwiaty rozkwitły pośród ziół, pajęczyny rozwiały się, zaś okiennice były teraz proste i świeżo pomalowane.

Torin patrzył na te zmiany z pokorą i wracał myślami do chwili, kiedy oceniał zagrodę ojca z oddali – zaniedbaną, źle utrzymaną – kiedy się zastanawiał, dlaczego ojciec tak to wszystko zapuścił. Dopiero teraz zobaczył, jak tu pięknie, jaki tu porządek.

Czy Sidra potrafiła dostrzec, jak naprawdę się sprawy mają?, zastanawiał się, ale gdy zobaczył schludne rządki warzyw, już zrozumiał, że tak. Prawdopodobnie widziała prawdziwe oblicze tego miejsca od samego początku.

Duchy ziemi, strzegące tego podwórka, musiały być bardzo sprytne.

– Sidra? Czy to ty? – odezwał się Graeme ze środka, zanim jeszcze Torin zapukał; podwórze musiało zdradzić jego obecność. – Powiedz Maisie, że jej statek gotowy. Wejdz, wejdz do środka! Właśnie miałem zrobić ciastka owsiane...

Torin wszedł.

W głównej izbie panował bałagan – tym razem jak najbardziej prawdziwy. Jego ojciec miał ogromną ilość rzeczy: całe stosy książek, sterty luźnych papierów, zamoknięte pergaminy z innej epoki poskładane w przypadkowe

stosy, eleganckie buty z kontynentu, ze sznurówkami, prawie nienoszone, kurtkę o barwie ognia, podbitą tartanem, słoiki ze złotymi spinkami, szkatułkę na biżuterię z perłami, należąca do matki Torina, mapę królestwa przypiętą do podłogi, bo ściany były już obwieszane wykresami, kilimami i rysunkiem północnych konstelacji. Przedmioty z dawnego życia Graeme'a, kiedy był ambasadorem wyspy na kontynencie.

Torin pokonał ten labirynt i dotarł do dużego stołu przy kominku, gdzie Graeme siedział z przezroczystą butelką w dłoniach, butelką, w której był mały skomplikowany statek.

– Torin... – Jego ojciec omal nie upuścił butelki, otworzył usta i wstał zaskoczony. – Czy Sidra i Maisie są z tobą? Skończyłem dla niej statek, zobacz, robiliśmy go razem, kiedy Sidra przyprowadzała ją w odwiedziny.

– Jestem sam – powiedział Torin i nie mogąc się powstrzymać, uważnie oglądał ojca.

Graeme wyglądał łagodniej i starzej niż pięć lat temu. Zawsze był barczysty i wysoki, tak jak jego brat Alastair, tylko ojciec Adairy miał ciemne włosy, kipiał energią i kochał broń, a Graeme miał jasną czuprynę, był powściągliwy i pociągały go książki. Jeden z braci został lairdem, drugi zaś jego wsparciem, przedstawicielem na Południu.

Ojciec miał teraz srebrną brodę i włosy zebrane w niechlujny warkocz, a na sobie pogniecione, choć czyste rzeczy. W kącikach jego oczu pojawiły się głębokie zmarszczki, świadczące o tym, że często się uśmiechał, pewnie wtedy, gdy odwiedzały go Sidra i Maisie.

Stanowił przeciwieństwo Alastaira, który z biegiem lat zbladł i wychudł; być może Graeme w ogóle by go teraz nie poznał.

– Po co przyszedłeś? – spytał ojciec tak grzecznie, jak tylko mógł.

– Po radę.

– Och. – Graeme ostrożnie umieścił butelkę na stojaku i przesunął dłońmi ocean bałaganu na stole. Flaszki czekające na wypełnienie, małe metalowe narzędzia, kawałeczki drewna, puszkę z farbą, skrawki materiału. *To w ten sposób wypełniał sobie dni*, pomyślał Torin. – Tutaj siadaj, siądź tutaj... Chcesz herbaty?

– Nie.

– Dobrze zatem. W czym ci mogę doradzić?

– Zaginęło kolejne dziecko – powiedział Torin i znów poczuł to w swoim pulsie, jakby czas uciekał. – Trzecia dziewczynka w ciągu trzech tygodni. Znalazłem tylko słaby odcisk stóp, ale jedyny ślad to dwa kwiatki tak czerwone, jakby jej krew zamieniła się w płatki. Szukamy od wielu dni i nocy w nadmorskich jaskiniach, w jarach, w górach, w dolinach między wzgórzami. Dziewczynki zniknęły, a ja muszę wiedzieć, co zrobić, by duchy je zwróciły.

– Duchy? – Graeme zmarszczył brwi. – Dlaczego duchy?

– Bo to one zabrały tę dziewczynkę, tak samo jak dwie poprzednie.

Graeme zamyślił się, odetchnął i stwierdził:

– Obwiniasz duchy.

Torin przesunął się na krześle, zniecierpliwiony.

– Tak, to jedyne wyjaśnienie.

– Czyżby?

– Jak inaczej *bairn* może zniknąć?

– No tak, w istocie.

– Odpowiesz mi czy nie? Na pewno masz jakąś wiedzę o duchach... w tym wszystkim. – Torin machnął ręką w stronę stosów pergaminów i książek. Przeważały śmieci z kontynentu, ale i tak... Graeme Tamerlain wiedział kiedyś wszystko. Znał najwspanialsze historie, zarówno o duchach, jak i śmiertelnikach. Mógłby zostać druidem, gdyby zechciał.

Graeme przecesał palcami brodę, pogrążony w myślach.

– Widzimy to, co zgadza się z naszą wiarą, Torinie, czy mówimy o duchach, czy czymś innym.

Torin poczuł się ugodzony – ojciec zawsze umiał go poniżyć i zirytować, sprawić, żeby znów poczuł się jak ośmiolatek.

– Wiem jedno: duchy potrafią siać spustoszenie, jeśli tylko chcą – odparł. – Nie dalej jak dziś rano rozmawiałem z kobietą, która wyglądała na dziewięćdziesiąt lat i przemawiała do mnie młodym głosem. Jak była jeszcze dziewczyną, zobaczyła błysk złota na dnie jeziora i popłynęła tam, ale jezioro wydawało się bez dna, a złoto okazało się sztuczką ducha wody. Kiedy wróciła na powierzchnię, minęło sto lat, wszyscy, których znała i kochała w poprzednim życiu, byli martwi i nie było tam dla niej miejsca.

– Smutna opowieść – przyznał Graeme z żalem. – I daję do myślenia: twoja odpowiedź leży w lekcji, którą ona przetrwała.

– Że co? Że duchy czerpią przyjemność z mamienia nas?

– Nie, oczywiście, że nie. Jest wiele dobrych duchów, dających życie i równowagę na wyspie.

– Jak w takim razie brzmi moja odpowiedź, ojczy?

Powiedz mi to wprost, chciał żądać Torin, ale powściągnął temperament, zaczekał na wyjaśnienia.

– Jeśli szukasz portalu, przejścia, które zaprowadzi cię do królestwa duchów – zaczął Graeme – potrzebujesz jednej z dwóch rzeczy: zaproszenia albo otwartych oczu.

– Ale moje oczy są otwarte – odpowiedział Torin po chwili zastanowienia.

– Znam tę ziemię, razem z jej kapryśną naturą. Przeszukałem każdy zagajnik, każdą jaskinię, każde...

– Tak, tak, i widziałeś to wszystko na własne oczy – przerwał Graeme. – Ale można patrzeć inaczej, Torin. Można inaczej poznać tę wyspę i tajemnice duchów.

Torin czuł, jak rumieniec pełźnie mu po twarzy.

– Jak zatem powinienem otworzyć oczy? – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

– Bo raczej nie mam co liczyć na zaproszenie.

Graeme przeglądał w milczeniu stos starych książek, w końcu znalazł tę, której szukał, i włożył ją w dłoń syna.

Torin liczył na jakąś mapę, na jakiś plan portali i ukrytych przejść, a tu... Co za rozczarowanie. W napisanej odręcznie książce brakowało połowy stron; te, które zostały, były pomarszczone od wody, poplamione popiołem, pogniecione, jak gdyby przeszła przez wiele rąk.

Zaczął czytać tekst i jego niechęć zniknęła, gdy spostrzegł imię: Lady Whin, Pani Dzikich Kwiatów. Czytał o duchu ziemi, dławiąc pokusę sięgnięcia po drewnianą figurkę, którą wciąż miał schowaną w kieszeni.

Lady Whin, Pani Dzikich Kwiatów, nigdy nie rwała się do współzawodnictwa, ale kiedy Rime z Moczarów zbudził się późno z zimowego chłodu, wyzwala go na pojedynek na wybrzeżu.

Rime z Moczarów, stateczny i dumny, przyjął wyzwanie – sądził, że zdoła ją pokonać z ostatnim księżycem Yore, kiedy serce chłodu bije jasno w powietrzu.

– Bajki dla dzieci? – Torin przekreślił stronę: dalsza część opowieści była rozmazana, ale i tak był pewien, że lady udało się przechytryć Rime’a z Moczarów. – Gdzie jest druga połowa książki?

– Zaginęła. – Graeme nalał sobie filiżankę herbaty.

– Nie wiesz, gdzie może być?

– Nie sądzisz, że wtedy próbowałbym ją odzyskać, synu? – Graeme dodał sobie sporo mleka do herbaty, patrząc Torinowi w oczy znad brzegu filiżanki.

– Weź ją, Torinie, i oddaj, kiedy przeczytasz. Chyba że Sidra i Maisie zechcą ją zatrzymać.

Torin tylko uniósł brwi, prawie nieurazony. Zauważył promień słońca na podłodze i zrozumiał, że został tu znacznie dłużej, niż zamierzał.

– Zatem Sidra i Maisie dziękują ci za książkę. – Uniósł zniszczony wolumin w geście pozdrowienia i zaczął przedzierać się przez bałagan do wyjścia.

Ku jego zaskoczeniu Graeme odprowadził go do drzwi, stanął na progu i patrzył, jak syn idzie przez ogród.

– Kiedyś należała do Joan Tamerlain – rzucił za nim Graeme. – Napisano ją na długo przed powstaniem granicy klanu.

Torin zatrzymał się przy bramie, zmarszczył brwi.

– O czym ty mówisz?

– O książce w twojej dłoni, synu.

Torin spojrzał na nią.

– Należała do Joan?

– Tak. I jest na Zachodzie.

– Co?

– Druga połowa książki – oznajmił Graeme i nie mówiąc już nic więcej, zamknął drzwi.



Tego wieczoru Jack siedział przy biurku, studiując balladę Lorny przy świetle świec. Nuty stały mu się bliskie, rozbrzmiewały w jego myślach, gotowe do zagrania. Właśnie miał zgasić świecę, gdy zagrzechotały okiennice.

Jack zamarł.

Nie miał ani miecza, ani sztyletu – choć z drugiej strony, jaka broń mogłaby zranić ducha? Czy stal przecięłaby serce wiatru? Rozdzieliła przypływ oceanu? Skłoniła duchy do ugięcia się przed śmiertelnikami?

Błądził wzrokiem po pokoju, aż znalazł na ścianie swoją starą procę. Zerwał się, chwycił ją, i chociaż nie miał żadnych pocisków, gniewnie pchnął okiennice.

Usłyszał skrzeczenie i trzepot skrzydeł.

Kruk! Jack uspokoił się, a ptak odleciał, zrobił okrążenie i wylądował na biurku, niezadowolony.

– Czego chcesz? – spytał i zauważył zwój pergaminu, przymocowany do kruczej łapy. Jack rozwinął delikatnie wiadomość. Ptak czekał.

Wybacz, że nie stawiałam się dziś na spotkanie: na pewno rozumiesz, że pochłonęło mnie zaginięcie Catriony. Jednak nadal chcę z Tobą porozmawiać, stary wrogu, więc pozwól, że tym razem to ja przyjdę do Ciebie. Spotkajmy się jutro wieczorem w domu Mirin, zanim zagrasz dla duchów.

Podpisu nie było, ale Jack wiedział, że to Adaira. Chyba spodziewała się odpowiedzi, bo kruk nadal czekał, świdrując go koralikami oczu.

Jack siadł przy biurku.

Przeprosiny przyjęte, pani. Moja siostra będzie zachwycona, a matka z całą pewnością przygotowuje dla Ciebie kolację – przyjdź głodna.

Twój jedyny i niepowtarzalny

S.W.

Zwinął pergamin i sznurkiem przymocował go do łapy kruka, a ptak zerwał się do lotu z trzepotem granatowych skrzydeł.

Tej nocy Jack śnił o duchach morza. Otwierał usta, żeby dla nich zaśpiewać, i tonął.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



Trzymaj procę, o tak. – Jack instruował siostrę. On i Frae stali na pastwisku zagrody w zakolu rzeki. W chłodnym wieczornym powietrzu czuło się aromaty pobliskiego Aithwood – słodycz żywicy, świeżość sosny, wilgoć dębów. Wiatr był spokojny, zbocze wzgórze upstrzone dzikimi orchideami.

Adaira powinna niedługo przybyć.

– Tak? – spytała Frae.

– Tak, właśnie tak. Weź rzeczny kamyk i umieść go w kieszonce procy. – Przyglądał się, jak siostra bierze kamień i wkłada go, gdzie trzeba, naciąga procę i mierzy w stare drewno obory. Strzelenie zajęło całą wieczność, a pocisk chybił celu.

– Spudłowałam – mamrotała rozczarowana.

– Każdy pudłuje na początku – uspokoił ją Jack. – Jak będziesz ćwiczyć, niedługo trafisz w cel.

Frae wzięła do ręki kolejny kamyk, strzeliła znowu i znów chybiła. Jack nie przestawał jej zachęcać, aż wszystkie kamyki, które zebrali, zniknęły w wysokiej trawie. Gdy szli ich poszukać, bard patrzył na rzekę: przecinała zachodnią część posiadłości Mirin, płytka, ale szeroka, rozgadana i pełna idealnych kamyków do strzelania z procy.

– Mama na pewno już ci mówiła – zaczął – żeby nigdy nie czerpać wody z tej rzeki, prawda?

Frae obserwowała pozornie nieszkodliwe wody rzeki, w których odbijało się zachodzące słońce.

– Tak.

– Wiesz dlaczego, Frae?

– Bo płynie z terenów Breccan. Ale mogę zbierać tutaj kamienie? Żeby strzelać z procy?

– Tak, tylko kamienie.

– Czy Breccanie już ją kiedyś zatruli, Jack? – Frae pochyliła się po kamyki.
– To znaczy rzekę.

Zawahał się, aż podniosła na niego oczy, takie same jak jego, szeroko osadzone i ciemne jak księżyc w nowiu. Z tą różnicą, że jej oczy lśniły niewinnością i Jack pragnął, żeby pozostały właśnie takie: pełne nadziei, cudów i dobroci. Żeby jego siostra nigdy nie doświadczyła wrogości i przykrości tego świata.

– Nie – odparł. – Ale zawsze istnieje taka możliwość.

– Dlaczego miałoby to zrobić, Jack?

Zbierał myśli, zaciskając usta.

– Wiem, że trudno to zrozumieć, siostró, ale Breccanie nie lubią nas, a my nie lubimy Breccan. Jesteśmy skłóceny już od wieków.

– Chciałabym, żeby było inaczej – westchnęła Frae. – Mama mówi, że Breccanie głodują, kiedy nadchodzi zima. Nie możemy po prostu podzielić się naszym jedzeniem?

Jack przystanął gwałtownie, z zapartym tchem wyobrażając sobie inny świat: wyspę, która została zjednoczona.

Frae zatrzymała się i spojrzała na niego. W jednej ręce trzymała procę, w drugiej kamienie, we włosy miała wplecione zwiędłe kwiatki.

– Ja też chciałbym, żeby było inaczej – odezwał się. – I może pewnego dnia tak się stanie, Frae.

– Mam nadzieję.

Wrócili do miejsca, w którym trenowali, i nauka zaczęła się na nowo. Jack chciał, żeby Frae miała broń i wiedziała, jak jej używać, żeby zawsze nosiła procę ze sobą, by móc się bronić, gdyby jakiś duch chciał ją porwać.

Wycelowała, strzeliła i tym razem trafiła w róg tarczy.

– Udało mi się! – zawołała, a Jack klaskał w dłonie.

– Piękny strzał, Frae.

Odwrócili się: Adaira stała kilka kroków dalej, przyglądając im się z uśmiechem. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię i pelerynę w kolorze umbrzy. Skórzana sakiewka zwisała jej z ramienia, a rozpuszczone, jedwabiście lśniące włosy opadały falami aż do pasa.

Jack prawie jej nie poznał: skąpana w złotym świetle zachodzącego słońca przestała wyglądać jak śmiertelniczka.

– Pani – wykrztusiła Frae z uwielbieniem. – Nie wierzę, że tu jesteś! Myślałam, że Jack tylko mnie nabiera.

Adaira się roześmiała.

– Nic podobnego. Jestem zaszczycona, że mogę spędzić z tobą wieczór, Frae.

– Chciałabyś strzelić z procy? – zapytała dziewczynka drżącym ze zdenerwowania głosem. Jack spojrzał na nią ciepło.

– Bardzo. – Adaira podeszła do nich.

Frae podała jej broń i wybrała idealny kamyk.

– Tak naprawdę to proca Jacka, pozwala mi jej używać.

– Och, już ją poznaję. – Adaira zerknęła w jego stronę.

Rzeczywiście, pomyślał Jack, utrzymując jej spojrzenie. Dawno temu miał postrach swoją procą.

Adaira przeniosła wzrok na Frae.

– Pokażesz mi, jak jej używać?

Jack patrzył, jak jego siostra wyjaśniała Adairze, jak trzymać, jak celować, jak ustawić kamień... Adaira strzeliła w sam środek tarczy.

Frae wyskoczyła w górę, krzyżąc z radości, Adaira uśmiechnęła się zadowolona.

– Duża przyjemność. – Oddała procę Frae. – Już rozumiem, czemu twój brat aż tak bardzo to kochał.

Jack prychnął.

– Frae! – zawołała Mirin ze szczytu wzgórza. – Chodź i pomóż mi dokończyć kolację!

Dziewczynka wydawała się zawiedziona, ale posłuchała. Chciała oddać procę Jackowi, ale ten odmówił.

– Zatrzymaj ją na razie, będziesz mogła ćwiczyć, kiedy tylko zechcesz – powiedział.

– Jesteś pewien? – Frae wytrzeszczyła na niego oczy.

– Jak najbardziej. Nie będę jej teraz potrzebował.

Ucieszona dziewczynka pobiegła na wzgórze, z dumą pokazując procę Mirin, gdy obie wracały do domu.

Jack i Adaira stali w zakolu rzeki, a gdy Adaira się odezwała, na niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy.

– Wygląda na to, że ona bardzo cię lubi, Jack.

– Jesteś zaskoczona? – Uśmiechnął się.

– Właściwie nie. Raczej zazdrosna.

Jack patrzył na jej profil, kiedy wpatrywała się w rzekę, jakby zahipnotyzowana jej tańcem.

Adaira uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Zawsze pragnęłam mieć siostrę albo brata, nigdy nie chciałam być jedynaczką. Zrzekłabym się prawa do rządów, gdybym dzięki temu zyskała horde rodzeństwa.

Jack dokładnie rozumiał, o czym teraz myśli. Na zamkowym cmentarzu, obok mogiły jej matki, były trzy małe groby, brat i dwie siostry, urodzone przed nią, martwe. Nawet to dziecko, które przyszło na świat minutę przed nią.

Adaira, ostatnie dziecko Lorny i Alastaira, była jedynym, które przeżyło.

– Wiesz, co klan mówi o tobie, Adairo? – przemówił łagodnie Jack. – Nazywają cię światłem. Naszą nadzieją. Twierdzą, że nawet duchy klękają, kiedy przechodzisz. Dziwię się, że kwiaty nie rosną na twoich śladach.

Zaśmiała się cichutko, ale widział jej melancholię, jakby ciążył jej smutek.

– W takim razie czujcie się oszukani. Obawiam się, że nie brakuje mi wad, a teraz znacznie więcej we mnie mroku niż światła.

Znów spojrzała mu w oczy. Powiał wschodni wiatr, zimny i suchy, uniósł włosy Adairy, płacząc je niczym srebrną sieć, niosąc ich zapach, zapach lawendy i miodu.

Pomyślał nagle, że chciałby poznać jej cienie, bo czuł własne, przenikające go aż do kości, wirujące samotnie od bardzo, bardzo dawna.

– Czy jest gdzieś miejsce, gdzie możemy porozmawiać na osobności? – zapytała.

Wiedział, że chodzi jej o wiatr: cokolwiek miała do powiedzenia, nie chciała, żeby bryza niosła jej słowa. Jack spojrzał na wzgórze, na dom Mirin.

Mógłby zabrać Adairę do swojego pokoju, ale nie wypadało przy matce i siostrze w kuchni. Miał lepszy pomysł i gestem poprosił, żeby Adaira poszła za nim na wzgórze.

Zaprowadził ją do spichlerza, okrągłego, kamiennego budynku z dachem pokrytym strzechą, gdzie Mirin trzymała zapasy na zimę. Pachniało kurzem, złotym ziarnem i suszonymi ziołami; on i Adaira stali twarzą w twarz w słabym świetle.

– Szukałaś zaginionej dziewczynki – stwierdził Jack.

Adaira westchnęła, na chwilę przymknęła oczy.

– Tak.

– Były jakieś znaki, dokąd mogła się udać?

– Nie, Jack.

– Martwię się o Frae – wyrwało mu się.

Twarz Adairy złagodniała.

– Ja również... Jesteś gotów zagrać dzisiaj wieczorem, jak zaplanowaliśmy?

Jack przytaknął, chociaż serce zabiło mu nerwowo, powróciły wczorajsze sny. Wpatrywał się w Adairę i myślał: *śniło mi się, że duchy chcą mnie utopić. A jeśli twój los jest teraz spleciony z moim?*

– Co się dzieje? – zapytała cicho, ochryple.

Czy zdążyła dostrzec coś w jego oczach, zanim odwrócił wzrok? Pokręcił głową.

– Nic. Bardziej gotów nie będę, skoro czuję się raczej jak mieszkaniec kontynentu niż wyspiarz.

Adaira przygryzła wargę, Jack wyczuł jej gotową ripostę.

– Chcesz mi coś powiedzieć, dziewczeczko?

– Powiedziałeś mi coś ostatnio, Jack – zaczęła. – Powiedziałeś: *to miejsce nigdy nie było moim domem.*

Jack stłumił jęk. Nie chciał o tym rozmawiać, palcami przegarnął włosy.

– Tak. I co z tego, Adairo?

Uważnie studiowała jego twarz, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

– I naprawdę w to wierzysz? Naprawdę z ręką na sercu możesz powiedzieć, że to kontynent jest twoim domem?

Zawahał się.

– Nie miałem wyboru. Musiałem uczynić go moim domem i wiesz o tym równie dobrze, jak wszyscy w klanie. Mój bezimienny ojciec nigdy się o mnie nie upomniał, a najbardziej na świecie chciałem przynależeć.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że czekamy, aż wrócisz, Jack? Czy kiedykolwiek pomyślałeś o nas, że tęsknimy, czekamy, aż znów wypełnisz salę w zamku muzyką?

Te słowa poruszyły mu krew, wystraszyły go. Poczł chłód i spojrzał na Adairę spode łba.

– Nie. Ani razu tak nie pomyślałem. Wierzyłem, że klan cieszy się, że się mnie pozbył.

– To znaczy, że zawiedliśmy – powiedziała Adaira. – I za to cię przepraszam.

Jack poruszył się, czując, jak pewna myśl nie daje mu spokoju. Nie chciał jej wypowiadać, ale słowa paliły nie do zniesienia.

– Wiesz, dlaczego twoi rodzice wysłali mnie na kontynent? Ze wszystkich dzieci, którym mogli dać taką szansę... czemu dali ją właśnie mnie?

– Tak. Jeszcze nie zrozumiałeś, że znam wszystkie sekrety Wschodu?

Serce Jacka przyspieszyło. Nie chciał błagać, ale Adaira nie odzywała się stanowczo zbyt długo.

– Więc dlaczego, dziedziczko?

– Powiem ci, Jack. Ale w tym celu muszę zabrać cię znowu w przeszłość. – Adaira założyła włosy za ucho.

Zamilkła, a jego zniecierpliwienie jeszcze wzrosło.

– A więc zrób to – zażądał cierpko.

– Na pewno pamiętasz tamtą noc – zaczęła Adaira – kiedy starliśmy się przy tamtym łanie ostów i kiedy goniłeś mnie przez wzgórza.

– Kiedy cisnęłaś mi w twarz naręczce ostów – sprostował sucho. Oczywiście, że widzieli tę historię z różnych perspektyw... I teraz, gdy stał blisko Adairy w dogasającym świetle letniego wieczoru i słuchał, jak wiatr wyje za drzwiami, przypomniał sobie tamtą noc bardzo żywo.

Miał dziesięć lat i tak bardzo chciał dowieść, że jest godzien Straży Wschodu. Wyzwanie księżycowego ostu urządzano co trzy lata; miało wyłonić tych, którzy doskonale znają wyspę oraz zagrożenia, jakie niesie ze sobą magiczna flora.

Poświęcił nawet trochę czasu i dzień wcześniej wędrował po wzgórzach, gdzie znalazł idealny łąn. Kiedy Torin zadał w róg o północy, zaczynając wyzwanie, Jack pobiegł od Earie Stone do sekretnego miejsca... i odkrył, że ktoś go ubiegł. Zerwała niemal wszystkie osty i rzuciła się do ucieczki. Gonił ją, myślał, że mogliby je podzielić, lecz Adaira obróciła się i cisnęła mu wszystkie w twarz.

Ból był straszny, niczym ogień uwięziony pod jego skórą. Jack padł na ziemię, Torin znalazł go wijącego się w trawie i zaprowadził do Mirin. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. Księżycowe osty to rośliny zaczarowane, ukłucie igłą nieodmiennie kończyło się koszmarem we śnie. Kiedy Mirin wyciągnęła już wszystkie igły z jego spuchniętej twarzy, Jack wycierpiał trzynaście strasznych nocy.

Na twarzy Adairy zamigotał uśmiech, uniosła kąciki warg.

– Wciąż pamiętam koszmary, które mi zafundowałaś, dziedziczko – mruknął.

– I myślisz, że tylko ty stałeś się ofiarą magicznych ostów, stary wrogu? Istnieje jeszcze druga, nieznaną ci stroną tej historii. Pobiegłam do domu, bo nie dałeś mi innego wyboru, zniszczyłeś moje szanse na wstąpienie do straży. Kiedy dotarłam do pokoju, zobaczyłam, że moje dłonie lśnią igielkami ostów. – Adaira podniosła ręce, jakby wciąż czuła ukłucia. – Było ich tyle, że nie mogłam ich wszystkich policzyć, nie mogłam też ich sama wydobyć. Poszłam do mamy, bo często nie spała do późnej nocy, a kiedy pokazałam jej dłonie, ona spytała: *Kto ci to zrobił, Adi?* A ja odpowiedziałam: *Chłopak o imieniu Jack.*

Zaczęła je usuwać, igła po igle, i powiedziała: *Mówisz o tym, który cichnie, kiedy moja muzyka zalewa salę.* Nie zrozumiałam wtedy, co miała na myśli, ale przy następnej pełni księżyca obserwowałam cię, gdy mama usiadła na podeście i zaczęła grać na swojej harfie. Obserwowałam, ale nie widziałam nic nadzwyczajnego, bo nie byłeś jedynym, który milkł, kiedy ona grała, nie byłeś jedynym, który łąknął pieśni. Wszyscy to robili. A jednak ona dojrzała w tobie płomień, blask, na który czekała. Wiedziała, kim się staniesz, na długo przed tym, kiedy ty to pojąłeś.

Niewielu z nas na wyspie potrafi władać muzyką; ona jest tutaj swoją własną panią i sama wybiera tego, kogo pokocha. A jednak moja matka widziała to w twoich dłoniach, słyszała pieśni, które były ci przeznaczone, zanim jeszcze ty usłyszałaś swoją pierwszą nutę. Możesz myśleć, że tu nie przynależałeś, ale nie ma nic dalszego od prawdy, Johnie Tamerlainie. Gdy wyjechałeś na uniwersytet, moja matka była zadowolona – jakby wiedziała, że powrócisz tu jako bard, kiedy nadejdzie pora.

Jack chłonał jej słowa, usztywniając się, kiedy Adaira mówiła o jego dłoniach, o blasku, a zwłaszcza gdy użyła nadanego mu imienia: John. Nienawidził imienia, którym Mirin pobłogosławiła jego narodziny, więc sam wybrał sobie imię Jack i nie reagował na nic innego.

– Co próbujesz mi powiedzieć, Adairo? – spytał łamiącym się głosem.

– Że moja matka wybrała cię na swojego następcę, dostrzegła w tobie przyszłego Barda Wschodu – wyszeptła Adaira. – Umarła, zanim mogła zobaczyć, jak wracasz w chwale, ale wiem, jak bardzo byłaby z ciebie dumna, Jack.

Nie spodobało mu się to. Nie podobało mu się patrzeć na swoją własną historię z innej perspektywy. Nie podobało mu się, jak głęboko cięły łagodne słowa Adairy.

– A więc moja przyszłość nigdy nie należała do mnie? – spytał. – Nie mogłem wybrać, gdzie zamieszkać, jak skończyć studia?

Zarumieniła się w zapadającym zmroku.

– Oczywiście, że masz wybór. Ale mogę ci coś zaproponować, Jack? Mogę prosić, żebyś został z klanem dłużej niż na lato? Na przykład na jeden rok? W sali panuje cisza od bardzo dawna, jesteśmy uwięzieni w tygodniach żałoby i smutku. Myślę, że twoja muzyka przywróciłaby nas do życia, przywróciła nadzieję.

Prosiła, żeby jego muzyka popłynęła przez wyspę tak, jak strumień powracający po długiej suszy. By grał na ucztach w czasie pełni księżyca, na pogrzebach, w święta i na zaślubinach. By grał dla młodego pokolenia, dla dzieci takich jak Frae, zupełnie nieznanających starych ballad.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Musiała zobaczyć jego szok, bo pospiesznie dodała:

– Nie musisz odpowiadać mi teraz ani nawet jutro. Ale mam nadzieję, że to rozważysz, Jack.

– Zastanowię się – odparł szorstko, jakby wcale nie miał zamiaru nic rozważać, ale jego umysł już pędził. Pomyślał o wieży muzycznej Lorny, z książkami i wielką harfą. I przypomniał mu się list, który widział na stole, zaadresowany do Adairy.

– Widziałem wczoraj coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

– Co takiego, Jack?

– Breccanie napisali do ciebie. Dlaczego?

Zawahała się, a do niego dotarło, że nie miał prawa poznać jej myśli i jej planów, nie należał do jej kręgu. Ale poczuł nagły ucisk żołądka i choć nie miał pojęcia, skąd się wziął, zdał sobie sprawę, że pragnie zaufania osoby, która całymi godzinami szukała zaginionych dziewcząt. Która wyjawiała mu swoje tajne plany i powierzyła muzykę zmarłej matki. Która dała mu szansę zająć pozycję, o jakiej mu się nawet nie śniło.

– Brzmisz, jakbyś był niezadowolony.

– Bo jestem! – wykrzyknął Jack. – Po co w ogóle do ciebie piszą?

– Może tylko mi odpisują, może ja napisałam pierwsza?

Jack się wyprostował.

– Dlaczego?

– Jeśli ci powiem, Jack, spodziewam się, że dla dobra klanu zachowasz to w tajemnicy. Czy rozumiesz?

Patrzył na nią.

– Może i jestem twoim starym wrogiem, ale nie powiedziałbym nikomu ani słowa.

Milczała i już pomyślał, że jednak nic mu nie powie, kiedy w końcu się odezwała:

– Chcę ustanowić wymianę między naszymi klanami.

Jack gapił się na nią.

– Wymianę?

– Tak. Wierzę, że jeśli w pokojowy sposób damy Breccanom to, czego potrzebują zimą, położy to kres najazdom.

Powróciły słowa jego siostry, usłyszał w głowie jej niewinny głos: *Mama mówi, że Breccanie są głodni, gdy nadchodzi zima. Czy nie możemy po prostu podzielić się z nimi naszym jedzeniem?*

– A co dostaniemy w zamian? – chrząknął Jack, bał się, że taki handel wyczerpie Tamerlainów, jeśli nie będą ostrożni. – Nie potrzebujemy od nich niczego.

Adaira przygryzła wargę.

– Jedyne, czego mają pod dostatkiem, to zaczarowane przedmioty, bo mogą tkać, kuć, czynić magię bez żadnych konsekwencji. Wiem, że to bez sensu prosić o zaczarowane klingi i tartany, jeśli chcemy pokoju, ale wiem też, że nasi ludzie tutaj cierpią, gdy tworzą takie rzeczy, i chciałabym ich odciążyć.

Mówiła o ludziach takich jak Mirin. Jak Una.

Jack milczał, ale tak naprawdę pragnął tego samego. Nienawidził tego, że matka nadwyręża zdrowie, tkając te niezwykle tartany. Pewnego dnia przeforsuje się za mocno, a kaszel, który próbowała ukryć, rozerwie ją od środka.

Gdyby udało się nawiązać wymianę handlową między dwoma klanami, Jack nie musiałby się już bać najazdu na zagrodę matki. Ten właśnie spichlerz, w którym teraz stali, a który dla Breccan był niczym zakazany owoc, stałby się bezpieczny.

Adaira opacznie odczytała jego milczenie.

– Nie pochwalasz tego, bardziej?

Zmarszczył brwi.

– Przeciwnie. Myślę, że to dobry pomysł, Adairo. Ale obawiam się, że Breccanie wcale nie chcą pokoju i mogą nas oszukać.

– Mówisz jak Torin.

Czy to miał być komplement, czy wręcz przeciwnie? Kiedyś chciał być taki jak Torin; prawie się zaśmiał, myśląc, ile ich teraz dzieli.

– Twój kuzyn nie pochwała tego pomysłu?

– Uważa, że sama próba będzie koszmarem. Największą przeszkodą jest granica klanu: czy to my wejdziemy na ich terytorium, czy pozwolimy im przejść na nasze? Tak czy inaczej, zdaniem Torina skończy się to jatką.

– I ma rację, Adairo.

Ściągnęła brwi. Jack obserwował ją, czuł, jak się w niej kotłuje. Już miała coś powiedzieć, kiedy usłyszeli głos Frae. Jack zerknął przez jedyne tu okno: siostra stała na tyłach domu, wykrzykując ich imiona.

Nie chciał, żeby Frae zobaczyła, jak wyłaniają się ze spichlerza, poczekał, aż odwróci się w stronę rzeki, i dopiero wtedy otworzył drzwi. Adaira wysunęła się, on wyszedł zaraz za nią; podeszli do bramy podwórza ramię w ramię, jakby przychodzili spoza zagrody.

– Jesteśmy, Frae – powiedziała Adaira.

Frae obróciła się jak fryga.

– Kolacja już gotowa – powiedziała, skubiąc końce warkoczy. – Mam nadzieję, że lubisz zupę z pobrażków, pani.

– Uwielbiam. – Adaira wzięła Frae za rękę.

Jack patrzył, jak uśmiech zakradł się na twarz dziewczynki; była przeszczęśliwa, że trzyma dłoń dziedziczki.

Rozgrzany w środku, poszedł za Frae, która wprowadziła ich w blask ognia.



Mirin przygotowała wspaniały poczęstunek. Najlepsze talerze i szklanki, najstarsze wino i wypolerowane srebra, które lśniły jak rosa. Obie gotowały przez większość dnia, szykując potrawy dla rodziny Mitchellów na czas ich żałoby; dom wciąż trzymał to ciepło, w powietrzu unosił się zapach owoców i błotnisty aromat pobrażków, które Jack zebrał w czasie odpływu.

Frae zerwała świeże kwiaty i zapaliła świece, Jack siadł na swoim krześle, Adaira zajęła miejsce naprzeciw niego. Mirin mówiła coś, ustawiając potrawy na stole, ale Jack myślał o tym wszystkim, co usłyszał od Adairy, i jej słowa były niczym nasiona, które zapadły w duszę i szukały miejsca, żeby się zakorzenić. Miały grać dla Wschodu. Zostać tutaj na cały rok. Jego klan miał handlować z wrogami.

– Nie wierzę, że jesteś u nas w domu! – powiedziała Frae.

Wyrwany z zamyślenia Jack patrzył, jak siostra nieśmiało uśmiecha się do dziedziczki.

– Wiem, że minęło bardzo dużo czasu od mojej wizyty – wyznała Adaira. – Ale pamiętam, kiedy się urodziłaś, Frae. Razem z mamą i ojcem przyszliśmy cię powitać na świecie.

– Trzymałaś mnie na rękach?

– Tak. Byłaś najlepszym *bairn*, jakie kiedykolwiek trzymałam. Zwykle dzieci płaczą w moich ramionach, ale nie ty.

Mirin zaczęła kasłać, próbując skryć to za dłonią. Uśmiech Adairy i Frae zgasł, Jack siedział nieruchomo, patrzył, jak matką wstrząsa mokry, głęboki kaszel, jak jej szczupłe ramiona drżą.

– Mamo? – Wstał wystraszony.

Mirin uspokoiła się i dała mu znak, żeby usiadł, ale dostrzegł błysk krwi, chociaż szybko wytarła dłoń o fartuch. Zmroziło go to, po raz pierwszy widział, żeby kasłała krwią. Przez te dziesięć lat jego nieobecności bardzo podupadła na zdrowiu.

– Nic mi nie jest, Jack. – I jakby nic się nie stało, upiła łyk wina i pokierowała rozmowę na inne sprawy, angażując Adairę. Jack powoli wypuścił powietrze i opadł na krzesło, zauważył jednak, że matka prawie nie jadła.

Po kolacji uprzątnął stół i umył naczynia. Nalegał, żeby Frae i Mirin zabawiały Adairę przy ogniu. Słuchał, jak rozmawiają, jak Frae z dumą pokazuje Adairze swoją procę, po czym wskazuje w górę i mówi:

– Widzisz te wszystkie otwory w krokwiach nad głową? Jack je zrobił.

Pomyślał, że to dobry moment, żeby wyjąć ciasto i nastawić wodę na herbatę.

– Czy na uniwersytecie uczyli cię, jak podawać herbatę i gotować? – zapytała z rozbawieniem Mirin, obserwując, jak Jack obsługuje czajnik.

– Nie – odparł, nalewając herbatę do filiżanek dla Frae i Mirin. Dla Adairy. – Ale kontynentalne jedzenie jest bez smaku, więc pewnego wieczoru zapytałem kucharza, czy mógłbym skorzystać z kuchni po godzinach i przygotować coś dla siebie na następny dzień. Zgodził się i zacząłem sobie gotować, kiedy tylko znalazłem czas między zajęciami. Pamiętałem wszystko, czego mnie nauczyłaś, mamo, chociaż kiedyś tak bardzo nie lubiłem gotować. Miód i śmietanka? – spytał spokojnie Adairę, podając jej filiżankę.

Siedziała na kanapie przy Frae, jej palce musnęły jego dłoń, kiedy przyjmowała herbatę.

– Tylko śmietanka – powiedziała, a on podszedł do maselnicy w rogu kuchni i przyniósł jej schłodzoną szklanę.

– Jack? Jack, ciasto! – wyszeptała Frae między palcami.

Mrugnął do niej, wrócił do kuchni i przyniósł deser, który on i Frae przygotowali tego popołudnia. Upiekli dwa placki, jeden dla siebie, drugi dla Mitchellów. Początkowo Jack czuł się dziwnie, piekąc dla ludzi, których nawet nie znał, a potem przypomniał sobie stary zwyczaj panujący na wyspie. Kiedy działo się coś doniosłego, kiedy ktoś umierał, żenił się, rozwodził, chorował, ktoś się rodził, klan zbierał się i szykował jedzenie, żeby wyrazić miłość do swoich pobratymców. Jack zapomniał, jak lubił tę tradycję, kiedy ludzie gromadzili się w chatach, przygotowując potrawy, które miały coś uczcić albo kogoś pocieszyć, kiedy rozbrzmiewał śmiech albo płynęły łzy.

Podał Adairze pierwszy kawałek i uśmiechnął się, gdy spojrzała nieufnie.

– To twoje dzieło?

– Owszem. – Stał blisko niej, czekał.

Adaira wzięła swoją łyżeczkę, trąciła ciasto.

– Co w nim jest, Jack?

– Och, co tam wrzuciliśmy, Frae? Jeżyny, truskawki, koślawki...

– Koślawki? – krzyknęła cicho dziewczynka. – Jakie koślawki?

– A także miód, masło i szczyptę szczęścia – odparł, patrząc na Adairę. – Wszystko, co lubiaś najbardziej, pani.

Adaira wpatrywała się w niego, niby spokojnie, ale widział, że stara się nie zaśmiać, i nagle go to poruszyło.

– Nie dodałam tam żadnych koślawek – zapewniła pospiesznie Frae.

– Och, słodziaku, wiem, że nie – Adaira uśmiechnęła się do niej. – Twój brat się ze mną drażni. Widzisz, kiedy byliśmy w twoim wieku, pewnego wieczoru w sali odbywała się wielka uczta. Jack przyniósł mi kawałek ciasta i powiedział, że przeprasza za coś, co zrobił wcześniej tego dnia. Wydawał się tak skruszony, że naiwnie mu uwierzyłam. Wzięłam kęs i zrozumiałam, że coś smakuje w tym placku bardzo dziwnie.

– Co to było? – spytała cichutko Frae, jak gdyby nie mogła wyobrazić sobie Jacka robiącego coś tak okropnego.

– Nazwał to koślawką, ale tak naprawdę w środku był atrament – wyjaśniła Adaira. – Przez tydzień miałam wysmarowane zęby i mocno chorowałam.

– Czy to prawda, Jack? – zawołała Mirin, z łoskotem odstawiając filiżankę na spodeczek.

– To prawda – wyznał i nim ktokolwiek zdążył zareagować, wziął talerzyk i łyżeczkę od Adairy i ukroił kawałek ciasta. Było pyszne: on i Frae zebrali owoce, rozwałkowali ciasto i rozmawiali o mieczach i książkach, i cielaczkach. Przełknął kęs i oznajmił: – Uważam, że ten placek jest wyjątkowy dzięki Frae.

Mirin wpadła do kuchni, by ukroić nowy kawałek ciasta dla Adairy, mamrocząc, jak to kontynent pozbawił Jacka wszelkich manier. Jednak Adaira zdawała się nie słyszeć, wzięła od Jacka talerzyk i łyżeczkę i jadła po nim.

Patrzył, jak przełyka kawałek, a kiedy uśmiechnęła się do Frae, mówiąc, że to najlepsze ciasto, jakie kiedykolwiek jadła, poczuł się bezbronny. Zaniepokojony zmarszczył brwi i poszukał schronienia w kuchni, gdzie Mirin gwałtownie wbiła nóż w ciasto.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś takiego córce lairda – mówiła osłupiała. – Ludzie pewnie myśleli, że wychowałam cię na dzikusa!

Tak naprawdę Adaira nigdy nie wyjawiała, co tak naprawdę się stało i pozostał bezkarny. Mirin nie wiedziała, bo Alastair i Lorna też nie wiedzieli. To była sprawa między nim i Adairą.

– Rozgość się, mamó – poprosił, ostrożnie biorąc od niej nóż. – I jeśli nie wstydzisz się tego, kim kiedyś byłem, zjedz ten kawałek ciasta.

Mirin sapnęła głośno, ale złagodniała, patrząc, jak przygotowuje dwa talerze, jeden dla niej, drugi dla Frae.

Został w kuchni, znów mył kilka czystych już talerzy, udając, że je wcześniej przeoczył. I słuchał, jak Adaira i jego siostra się śmieją, jak Mirin opowiada jakąś historię.

Tak właśnie spędzało się wieczory na wyspie: razem, przy ogniu, dzieląc się opowieściami, herbatą i śmiechem.

Jack nie mógł dłużej udawać, że zmywa naczynia, bez wzbudzania podejrzeń, dlatego zajął się szorowaniem blatu.

– Jack? – zawołała zniecierpliwiona Frae. – Powinieneś zagrać na harfie dla lady Adairy!

Zawahał się i spojrzał na Adairę, która się w niego wpatrywała.

– To wspaniały pomysł, Frae – powiedziała. – Ale powinnam wrócić do domu, nim wzejdzie księżyc.

Wstała i podziękowała Mirin za kolację, a Frae za ciasto.

– Wrócę niedługo na kolejny kawałek – obiecała, a dziewczynka zarumieniła się z dumy.

– Odprowadzę cię. – Jack otworzył drzwi i wszedł w spokój podwórka. Noc była chłodna, a on stał w ciszy, zanim dołączyła do niego Adaira.

Podeszli do bramy, gdzie stał uwiązany jej koń. Adaira odwróciła się, a Jack dopiero teraz zauważył, jak bardzo była zmęczona – jakby przez cały wieczór utrzymywała maskę na twarzy.

– O północy? – spytała.

– Tak. Przy Skale Topielca. Doskonale pamiętam, jak ją znaleźć.

Uśmiechnęła się tylko i dosiadła konia.

Jack stał pośród ziół i patrzył, jak odjeżdża, jak rozplywa się w mroku nocy. Wpatrywał się w ciemną przestrzeń między gwiazdami, oceniał księżyc. Do północy było jeszcze parę godzin – a wtedy zagra duchom przyplwów.

Wrócił do środka i poprosił Mirin, by opowiedziała mu pradawną historię.



– Jeszcze jedna! – poprosiła Maisie.

Sidrze zamykały się oczy. Leżała w łóżku pod kołdrą i czytała na głos przy świecach. Maisie przytuliła się do niej, kiedy ziewnęła, próbując zamknąć potarganą książkę, którą Torin przyniósł im od Graeme'a.

– Myślę, że pora spać, Maisie.

– Nie, jeszcze jedną!

Czasem w córeczce Torina ujawniał się jego temperament i z jej ust płynęły rozkazy. Sidra nauczyła się, że najlepiej reagować łagodnie; pogładziła Maisie po miodowych lokach.

– Jutro znów będzie na wszystko czas – powiedziała.

Maisie popatrzyła na Sidrę błagalnie.

– Jeszcze tylko jedno, Sidra... Proszę...

Sidra westchnęła.

– Niech będzie. Jeszcze tylko jedna, potem gasimy świecę.

Maisie uśmiechnęła się i usiadła, opierając głowę na ramieniu Sidry.

Bardzo ostrożnie przewróciła stronę; kartki ledwie się trzymały, niektóre z nich były luźne i nieczytelne.

– Tę! – zawołała Maisie, palcem uderzając w stronę.

– Ostrożnie, Maisie, to bardzo stara książka... – powiedziała Sidra, ale i jej wzrok przykuła ta właśnie historia. Na krawędziach tekstu namalowano kwiaty, kilka wypełniono złotym atramentem.

– Dawno temu, w pewien gorący letni dzień – zaczęła Sidra – Lady Whin, Pani Dzikich Kwiatów, przechadzała się po wzgórzach, szukając jednej ze swoich sióstr, Orenny. Orenna była znana jako jeden z najbardziej skrytych duchów ziemi i lubiła hodować swoje karmazynowe kwiaty w najbardziej niedostępnych miejscach – w kamiennych paleniskach, w korytach rzek, na wysokich, wietrznych zboczach Tilting Thom – ponieważ lubiła podsłuchiwać inne duchy, duchy ognia, wody i wiatru. Czasami zabierała ich sekrety i dzieliła się nimi ze swoimi bliskimi, z olchowymi dziewczętami, rodzinami skał, z eleganckimi krzewami dolin.

Whin i Earie Stone zrozumieli, co robi, a po skargach ognia i wody i groźbach wiatru zdecydowali, że muszą z nią porozmawiać. Whin odnalazła więc swoją siostrę, która sadziła kwiaty przy kominie domu śmiertelników.

– Rozgniewałaś ogień swoimi podstępami – wyjaśniła Whin. – Wzburzyłaś wodę i wiatr, a my musimy utrzymać pokój z naszymi braćmi.

Orenna wydawała się zszokowana.

– Oddaję tylko swoje piękno miejscom, które go potrzebują, takim jak ten komin.

– Możesz swobodnie kwitnąć w trawie na zboczach wzgórz, w ogrodach śmiertelników, pośród paproci – powiedziała Whin. – Ale inne miejsca masz zostawić w spokoju, żeby zajęły się nimi ogień, woda i wiatr.

Orenna skinęła, ale nie lubiła być karcona ani przez Whin, ani przez Earie Stone i następnego dnia wyhodowała swoje kwiaty na najwyższym szczycie wysepki, Tilting Thom. I chociaż góra należała do ziemi, wiatr władał tym miejscem swym potężnym oddechem i dowiedział się o oczach Orenny w skalnej rozpadlinie, wypatrujących, jak skrzydła wiatru wieją na północ i na południe, wschód i zachód, wykradających ich tajemnice. Wiatr zagroził, że zmiążdży górę, i Whin znowu musiała szukać swojej siostry.

Znalazła Orennę na wybrzeżu, sadzącą kwiaty w głębi lśniących wirów.

– Mówiłam ci już raz, teraz powtórzę – zaczęła Whin. – Możesz swobodnie kwitnąć w trawie na zboczach wzgórz, w ogrodach śmiertelników, pośród paproci, ale nigdzie indziej, siostró. Twoje sprawki sięją niezgodę.

Orenna nie posiadała się z dumy. Zgromadziła tyle wiedzy, obserwując poczynania innych duchów! Wiedziała, że to Whin jest Panią Dzikich Kwiatów, jednak myślała, że może rządzić lepiej niż jej siostra.

– Jesteś po prostu słaba, Whin, inne duchy to wiedzą i myślą, że mogą ci rozkazywać.

A wiatr zaniósł te wyniosłe słowa do Earie Stone, najstarszego i najmądrzejszego ze wszystkich duchów. Rozgniewany na Orennę, wezwał ją do siebie, a ona musiała go posłuchać. Przyszła i przyklękła, gdy Earie Stone spojrział na nią.

– Raz po raz odmawiałaś szacunku innym duchom, więc nie mam innego wyjścia, jak tylko cię zdyscyplinować. Odtąd będziesz rosła jedynie w suchej, twardej ziemi, gdzie woda może się ciebie wyprzeć, ogień może cię zniszczyć, a wiatr sprawi, że ugniesz się pod jego potęgą. Aby zakwitnąć, będziesz musiała oddać swoje źródło życia; przeciąć palec cierniem i pozwolić, by twoja boska krew spłynęła złotem do ziemi. I rzecz ostatnia: jeśli śmiertelnicy z tej wyspy zjedzą płatki twoich kwiatów, poznają twoje sekrety. Oto twoja kara, która może trwać jeden dzień, jeśli prawdziwie poczujesz skruchę, lub wieczność, jeśli twoje serce zapiecze się w gniewie i złości.

Orennę rozgniewał ten wyrok. Myślała, że jest dość silna, żeby się mu oprzeć, ale wkrótce odkryła, że jej kwiaty nie mogą już kwitnąć tam, gdzie chciała. Nawet bujna trawa, która zawsze serdecznie ją witała, nie mogła już udzielić swojej przestrzeni i Orenna musiała przeszukać całą wyspę, żeby znaleźć skrawek suchej ziemi na cmentarzu, gdzie i tak zdołała zakwitnąć dopiero wtedy, gdy ukłuła się palcem w cierni, a jej gęsta i złota krew wsiąknęła w ziemię.

Zakwitła, znacznie skromniej niż wcześniej, bezbronna, kiedy inne duchy odmówiły jej towarzystwa. Smutna i samotna, pewnego dnia przywołała do siebie śmiertelną dziewczynę, zbierającą polne kwiaty. Dziewczyna była zachwycona, ale wkrótce zjadła kwiaty i poznała wszystkie sekrety Orenny, tak jak przepowiedział Earie Stone.

Orenna nigdy nie wyraziła skruchy, tworząc swoje życie w ziemi, którą jej dano. Jest tam do dziś, jeśli ktoś jest na tyle szczęśliwy lub nieszczęśliwy, żeby ją znaleźć.

Opowieść skończyła się, a Sidra zamilkła. Maisie spała, w domu panowała cisza, a umysł Sidry tętnił myślami.

Ostrożnie zsunęła się z łóżka i otuliła Maisie kocami. Zniosła książkę Graeme'a i świeczkę do kuchni i stanęła przy stole. Wszystkie zioła i zapasy były na wierzchu, słoiki, sole, miód, ocet i cały szereg suszonych ziół. Dwa czerwone kwiaty, które przyniósł Torin, wciąż były tam, gdzie je zostawiła. Nie zwiędły, co zdradzało w nich magię, i Sidra studiowała je w świetle ognia, zerkając na legendę.

Nie raz i nie dwa chodziła po cmentarzach, ale nigdy nie widziała małych, karmazynowych kwiatów pośród nagrobków. A jeśli kwiat Orenny nie mógł kwitnąć w trawie, to te dwa ktoś musiał upuścić w miejscu, w którym zniknęła Catriona. Może ktoś je niósł właśnie po to, żeby połknąć płatki.

Powinna od razu rano powiedzieć o tym Torinowi. Chociaż...

Co by się stało, gdyby połknęła jeden?

Nie wiedziała. Wzdrygnęła się i wróciła do łóżka.

ROZDZIAŁ ÓSMY



Adaira czekała już na brzegu. Powietrze było zimne, za to księżyc świecił jasno, gdy Jack szedł w dół skalną ścieżką z harfą pod pachą. Chodziła tam i z powrotem, chyba równie niespokojna jak on, włosy miała splecione, żeby wiatr nimi nie targał.

– Gotowy? – zapytała, gdy stanął przed nią.

Przytaknął mimo niepokoju, wyjął harfę ze skórzanego futerału i przysiadł na wilgotnym kamieniu. Mały krab przemknął między jego butami, kilka martwych rybek leżało rozrzuconych jak fioletowe kwiaty, wiatr pachniał solą. Wydawało mu się, że widzi na piasku coś ciemnego i złowieszczonego, jakby krew, ale to była jedynie wyobraźnia.

Ustawił harfę na kolanach i oparł ją o lewe ramię, tuż nad szybko bijącym sercem. Kątem oka widział dziedziczkę.

Wszystko wydawało się takie nierealne. Adaira, wyprostowana, oświetlona gwiazdami, on, z drżącymi dłońmi, to, że właśnie miał zagrać balladę Lorny i przywołać duchy morza... Miał wrażenie, jakby ziemia drżała pod nim leciutko, przypływ stawał się łagodniejszy, gdy piana dosięgła jego butów, wiatr muskał mu twarz, nawet światło księżyca lśniło jaśniej w wodzie między skałami. Wszystko to – woda, powietrze, ogień i ziemia – wstrzymało oddech i czekało na jego uwielbienie.

Przesunął sztywnymi palcami po strunach harfy i wróciło nieproszone wspomnienie z kontynentu, kiedy siedział w alkowie uniwersytetu Bardic, a Gwyn, jego pierwsza miłość, siedziała przy jego boku, śledząc każdy ruch, a jej włosy łaskotały go w ramię, pachniały różami. Beształa go za komponowanie tak smutnych pieśni, a on nie powiedział jej, że czuje się bardziej żywy, gdy gra dla smutku. Dziwne... Jakby tamta chwila, dawna i spłowiata, należała do kogoś zupełnie innego, nie do Jacka Tamerlaina.

Nie mógł grać tej niesamowitej muzyki spięty i rozproszony, musiał znaleźć w sobie spokój. Wrócić do czasów, kiedy był chłopcem, a Cadence

całym jego światem. Kiedy kochał morze, wzgórza i góry, jaskinie, wrzosowiska i rzeki. Kiedy tak bardzo pragnął zobaczyć jakiegoś ducha.

Struny brzęknęły metalicznie i nuty Lorny zaczęły wsączać się w powietrze. Nie powstrzymując całego splendoru tej muzyki, grał i czuł, że nie jest już człowiekiem z krwi i kości, że powstał z morskiej piany, że wyłonił się pewnej nocy z oceanu, z przepastnych głębin, do których człowiek nigdy nie zajrzał, z miejsca, gdzie duchy przemykają swobodnie, bo są u siebie.

Wyśpiewał duchy morza, ponadczasowe istoty zamieszkujące zimne głębiny. Wyśpiewał je na powierzchnię, ku księżycowemu światłu, muzyką Lorny. Patrzył na przyptyw, który ustawał, zupełnie jak tamtej nocy, kiedy wrócił na Cadence. Patrzył na złote oczy tuż pod powierzchnią, na splecione palce dłoni i stóp. Duchy ukazały się im w swej fizycznej postaci, z kolczastymi płetwami i mackami, z włosami czarnymi jak atrament, ze skrzelami i opalizującymi łuskami, i rzędami zębów. Wynurzyły się z wody i zgromadziły blisko niego, jakby wołał je do domu.

Adaira zrobiła krok w jego stronę, a jej strach był niczym sieć. Prawie opuścił nutę. Dostrzegał dziewczinkę tylko kątem oka, a jednak pochłonęła całą jego uwagę. Zrobiła kolejny krok bliżej, jakby myślała, że duchy go zabiorą, a on lekko odwrócił głowę, by utrzymać ją w zasięgu wzroku. Tylko ona przypominała mu w tej chwili, że jest śmiertelnikiem, człowiekiem, i niezależnie od tego, jakie uczucia budziła w nim ta muzyka, nie był wodną istotą, choć nagle tego bardzo zapragnął.

Adaira, chciał powiedzieć, wpleść jej imię pomiędzy nuty, które tkąła, przędła jej matka. *Adaira...*

Duchy wyczuły, że jego uwaga przenosi się teraz na nią: kobietę o księżycowych włosach, której piękno było ostre jak brzytwa.

Teraz, gdy już ją zobaczyły, nie umiały o niej zapomnieć, nawet muzyka nie była w stanie odciągnąć ich uwagi. Serce Jacka zadrżało.

– To ona – przemówił jeden z duchów mglistym głosem. – To ona, to jest ona.

Pewnie myślą, że Adaira to Lorna. Jack zmierzał już do ostatniej zwrotki, ręce mu drżały, głos ochrypl lekko. Jak długo grał? Księżyc opuścił się niżej, duchy nie odrywały wzroku od Adairy.

Spójrzcie na mnie, grały jego palce między trącanymi strunami. Poświęćcie mi swoją uwagę.

Wszystkie błyszczące oczy od razu powróciły do niego. *Ach tak, zdawały się mówić, śmiertelny mężczyzna wciąż gra dla nas.* Znowu zasłuchały się, złagodniały, gdy Jack śpiewał. Wszystkie duchy znowu go uwielbiały.

Z wyjątkiem jednego.

Chudy i blady, stał wyprostowany pośrodku tej gromady ociekającej wodą, najbardziej przypominając ludzką kobietę. Jego skóra miała perłowy połysk, włosy – wodorosty, długie i gęste – okrywały ciało. Twarz miał ostrą, ale nos zadarty, wygięte usta i dwoje oczu, opalizujących jak muszle ostryg. W rękę trzymał harpun, paznokcie miał długie i czarne. Mógłby uchodzić za człowieka, gdyby nie skrzela na szyi i plamy złotych łusek w kilku miejscach na ciele – ślady magii, których duch nie zdołał zamaskować.

To była Ream, Pani Morza. Ta, która groziła zatopieniem rybackiej łodzi, przemknęła obok Jacka i śmiała się, gdy dopłynął.

Jack przyglądał się jej, ale Ream nie zwracała na niego uwagi. Wpatrywała się w Adairę.

Pieśń dobiegła końca.

Na chwilę zapadła cisza. Duchy chciały więcej, czuł to, ale on był pusty, wyspany do szpiku kości.

– Po co nas przywołałaś? – zapytała Pani Morza Adairę stłumionym, zniekształconym głosem. Jack pomyślał, że pod wodą na pewno brzmiał czysto i wyraźnie. – Czy pragniesz nas uwięzić i związać pieśnią śmiertelnika?

– Nie – odpowiedziała Adaira. – Potrzebuję twej mądrości i wiedzy, Pani Morza.

– W sprawie śmiertelników, jak mniemam?

– Tak.

Jack siedział bez ruchu i słuchał, jak Adaira mówi o niepokojących wydarzeniach, o zaginionych dzieciach, o tym, że nie wiadomo, gdzie dziewczynki mogą być i czy jeszcze żyją. Mówiła o trzecim dziecku, które zniknęło wczoraj, gdy bawiło się na brzegu z rodzeństwem.

W jej głosie nie było nawet cienia podejrzliwości, nic, co zdradzałoby, że ludzie obwiniają o porwania duchy przyływów.

– A cóż my mamy wspólnego ze śmiertelnymi dziećmi? – spytała Ream. – Wasze życie na łodzi dostarcza nam znacznie więcej rozrywki niż wciąganie was pod wodę, gdzie skóra wam się marszczy i musicie pozostać w bańce, żeby przeżyć.

Czyli kiedyś trzymali jakichś śmiertelników pod wodą, pomyślał Jack z błyskiem niepokoju.

Adaira, niespieszona, zrobiła krok w stronę wody, wyciągnęła dłonie.

– Mieszkacie w ogromnym morzu otaczającym naszą wyspę. Może coś widziałyście? Może byliście świadkami zniknięcia Annabel Randal i Elizy Elliott? Może rzuciło wam się w oczy, jak Catriona Mitchell spaceruje po brzegu?

Duchy popatrzyły na siebie, wydawały jakieś pomruki, poruszyły się, ale żaden nie odpowiedział. Czekwały, aż Ream przemówi w ich imieniu.

– Jeśli coś widziałyśmy lub zrobiłyśmy, dziewczeczko, nie możemy o tym powiedzieć.

– Dlaczego? – spytała zimno Adaira. Jack poczuł jej narastający gniew.

– Ponieważ zamknięto nam usta i nie możemy powiedzieć prawdy. – Głos Ream był teraz jeszcze bardziej niewyraźny, jakby coś trzymało ją za język. – Musisz poszukać odpowiedzi u tych, którzy są ponad nami.

Jack wstał, przyciągając wzrok Ream; popatrzyła na niego opalizującymi oczami.

– Kto stoi ponad wami? – spytał. Nie miał pojęcia, że wśród duchów istnieje jakaś hierarchia. Zaczął się szybko zastanawiać, czy mógłby przywołać z wody coś jeszcze...

– Rozejrzyj się wokół i ponad tobą, bardziej – odparła Ream. – My stoimy jedynie ponad ogniem. – Przeniosła wzrok na Adairę i z trudem wygłosiła: – Strzeż się, śmiertelniczko. Strzeż się krwi w wodzie.

Duchy zasyczały chórem jakby na potwierdzenie i nagle przypływ powrócił ze wzmożoną siłą. Ocean gnał do przodu, pędząc przed sobą wysokie fale; duchy zniknęły w pianie, a Jacka i Adairę zalała woda.

To się naprawdę dzieje, pomyślał Jack, trzymając się swojej harfy i gorączkowo machając nogami, by wydostać się na powierzchnię. *Duchy chcą nas utopić.*

Poczuł palce we włosach, ktoś szarpnął mocno. Otworzył oczy, spodziewając się, że zobaczy uśmiechniętą Ream, ze szpiczastymi zębami i wodorostami zamiast włosów, spodziewając się, że Pani Morza zechce go utopić, ale to była Adaira. Chwyliła go za ramię i pociągnęła ku powierzchni.

Udało im się, pokonali potęgę przyływu i wspięli się na Skałę Topielca, zanim fale wciągnęły ich pod wodę. Było tu wąsko i niewygodnie, ale nie mieli wyjścia: usiedli, opierając się o siebie plecami, i drżąc z zimna, czekali aż przyływ ustąpi.

Jack milczał, zdejmując nitki glonów ze strun harfy, ale w środku czuł się zdumiony tym, czego razem dokonali, on i Adaira. Wstrząśnięty potęgą ballady Lorny. Wszystkie duchy morza, o których słyszał tyle legend w dzieciństwie, pozbawione twarzy zjawy i mistyczne istoty, które tak rzadko ukazywały się śmiertelnikom... On i Adaira właśnie je zobaczyli. Rozmawiali z nimi.

Przywołali je.

Usiłował powściągnąć zachwyt, ale kiedy Adaira się roześmiała, Jack się uśmiechnął.

– Nie wierzę, że właśnie to zrobiliśmy! – powiedziała. – Raczej: że ty to zrobiłeś, bo ja tylko tam stałam.

– Rozmawiałś z nimi – zaprotestował Jack. – Na co mnie zabrakłoby już rozumu.

– Rozmawiałam. Ale i tak... to było zupełnie inne, niż się spodziewałam. – Zadrżała, przerażona i poruszona jednocześnie. – Dobrze się spisałeś, bardzo.

Jack parsknął, ale jej komplement przylgnał do niego. Już miał odpowiedzieć, gdy poczuł dziwny ból w głowie, tuż za oczami. Zacisnął powieki i wbił krawędzie dłoni w oczodoły, ale ból drżał niczym błyskawica, spływając po rękach aż do opuszek palców. Gdy ból dotarł aż do kości, zacisnął zęby. Miał jedynie nadzieję, że Adaira nie słyszy jego sapania.

Próbował oddychać powoli i głęboko i poczuł, jak coś kapie mu z nosa.

Dotknął wargi, na palcach pozostała ciemna plama krwi. Drżącą dłonią przyciskał do nosa róg mokrego tartanu, żeby zatamować krwawienie.

– Jack? Słyszałeś mnie? – przemówiła Adaira.

– Mhm. – Nagle nie chciał, żeby wiedziała. Nie chciał, by wiedziała, że krwawił, że przeszywa go ból, ale prawda uderzyła w niego jak topór: granie

dla duchów powodowało, że swym rzemiosłem tkął magię. Świadomość, że tak właśnie czuła się jego matka po ukończeniu zaczarowanego tartanu, była straszna.

– Wychodziłoby na to – mówiła dalej Adaira – że nie chcą mieć do czynienia z naszymi dziećmi. Ale jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Może należałoby zadać sobie pytanie, co śmiertelne dzieci mogłyby robić poza naszym światem? Założę się, że duchy mają dla nas jakieś zastosowanie, nawet jeśli stanowimy tylko rozrywkę.

– Zapewne... Jak myślisz, o co jej chodziło? Z tymi, którzy są wyżej od nich?

Jack przełknął ślinę, poczuł smak krwi, chrząknął.

– Kto to wie? Mogliśmy się spodziewać, że duchy nie powiedzą niczego wprost. – Jakby go słysząc, fala uderzyła mocno o skałę, ochlapała mu twarz. – Wielkie dzięki – mruknął rozdrażniony.

Krew przestała płynąć, ustało pulsowanie w czaszce, nie mijał za to ból w dłoniach. Pełen obaw, próbował zgiąć sztywne palce.

Adaira siedziała cicho, zagubiona w myślach, w końcu powiedziała:

– Chyba miała na myśli duchy ziemi i powietrza, że to one są ponad wodą. Nigdy o tym tak nie myślałam.

– Ja też nie.

Adaira, wciąż przywierając plecami do jego pleców, wzięła głęboki oddech.

– Jack?... Mógłbyś zagrać balladę mojej mamy dla duchów ziemi?

Zesztywniał.

– Twoja mama skomponowała balladę dla duchów ziemi?

– Tak.

– A dla duchów ognia i wiatru?

– Nigdy nie tworzyła dla nich muzyki. Przynajmniej ani ja, ani ojciec nic o tym nie wiemy.

Jack patrzył na spienioną wodę wokół nich, na harfę w swoich rękach, w plamę krwi na tartanie. Nie wiedział, jak powiedzieć Adairze, co teraz czuje: obezwładniającą mieszankę zachwyty, strachu, bólu i potęgi. Grać dla

duchów, bo uznały cię za godnego. Poczuć moc kryjącą się we własnych dłoniach i głosie. Doświadczyć ciepła magii rozlewającego się po całym ciele.

Niebezpieczne uczucie. I bardzo osłabi jego żywotność, jego zdrowie.

Alastair nie uprzedził Adairy o kosztach. Nie wiedziała, że jej matka oddawała swoje zdrowie, kawałek po kawałku, za każdym razem, gdy grała dla duchów. Wprawdzie Lorna zmarła po fatalnym upadku z konia, a nie z powodu wycieńczenia magią, jednak jej przeznaczenie płonęło niczym konstelacja na niebie, w tej chwili Jack widział to jasno. Pozycja Barda Wschodu była zaszczytem, ale płaciło się za nią straszną cenę – i nie wiedział, czy gotów jest ją zapłacić.

– Duchy na pewno wiedzą, gdzie są dziewczynki, który z nich je porwał i ukrywa – myślała na głos Adaira. – Widzą prawie wszystko, znają odpowiedzi. I skoro duchy wody mają zamknięte usta, musimy przywołać inne i z nimi porozmawiać. Jak myślisz?

– Myślę, że to jest nasz kolejny krok – przyznał Jack, nie wygłaszając tego, o czym oboje pomyśleli. Skoro nie istniała ballada dla wiatru, on musiał ją skomponować. Tylko czym by za to zapłacił? – Potrzebuję czasu, żeby przestudiować muzykę twojej mamy.

Potrzebuję czasu, żeby dojść do siebie po graniu dzisiaj.

– Przyjdź do zamku dziś w ciągu dnia, dam ci jej nuty.

Siedzieli w ciszy jeszcze jakiś czas, aż księżyc zaczął zachodzić, a fale się uspokoily.

W końcu Adaira zsunęła się do wody, opłynęła skałę, podniosła na niego wzrok.

– Zamierzasz przesiedzieć tu całą noc, bardziej?

– Aż do odpływu.

– Który, jak pewnie wiesz, jest o świcie?

Zignorował i ją, i pokusę, by dołączyć do niej w wodzie; spojrzał w niebo, usiłując ocenić czas. Kątem oka obserwował, jak Adaira unosi się pośród fal, jak na niego czeka – i zobaczył, jak w jednej chwili zniknęła w ciemnej wodzie. Nie odrywał wzroku od tego miejsca, czekał, aż się wynurzy, obserwował hipnotyczny ruch morza. Jednak ona się nie zjawiała i Jack wpadł w panikę.

– Adaira! – zawołał, lecz wiatr od razu porwał jej imię. – Adaira!

Żadnej odpowiedzi, żadnego śladu. Oczy bolały go od wpatrywania się w ciemność i blask fal i z jednej strony czuł, że Adaira go podpuszcza, a z drugiej bał się, że jakiś duch przyszedł po nią i trzyma ją tuż pod powierzchnią.

Wskoczył do wody, jedną ręką obejmując instrument przy piersi, drugą szukając gorączkowo. Jego dłoń cięła zimny wir pływu, a gdy ich palce się splotły, wiedział, że Adaira czekała tutaj na niego, przyczajona jak cierpliwy drapieznik. Wiedziała, że po nią przyjdzie, a on poczuł ulgę, złość i rozbawienie; przebili się na powierzchnię.

Z początku nic nie mówił, zmroził ją tylko wzrokiem, kiedy się uśmiechnęła, roześmiała. Jego zdradzieckie serce wsłuchiwało się w ten dźwięk.

– Śmiało – parsknął. – Ciesz się moim poddaniem.

– Powinieneś mi podziękować: właśnie uratowałam cię przed długą nocą na skale! – Puściła jego rękę, chlapanęła go w twarz, odpłynęła.

Próbował wyciągnąć rękę, złapać ją za kostkę, ale nie pozwalała, płynęła tuż przed nim, prowadząc go do przybrzeżnej ścieżki. Po chwili odwróciła się, spojrzała na niego.

– Zrobiłeś się strasznie powolny w wodzie, Jack.

Nie powiedział, że muzyka dla duchów go wyczerpała. Niech Adaira obwinia jego życie na stałym lądzie.

Płynął za nią do miejsca, gdzie ścieżka wspinała się między skały. Przypływ złagodniał. Adaira wyszła z wody, Jack został, czekał, aż dziewczynka odwróci się i spojrzy.

Wyciągnął rękę, nie wiedział, czy uda mu się wydostać bez jej pomocy.

– Pomożesz mi?

Adaira rozplotła warkocz, znowu się roześmiała.

– Myślisz, że urodziłam się wczoraj?

Podsunała mu pomysł tak wspaniały, że prawie się uśmiechnął.

– A możesz chociaż wziąć moją harfę? Po całym tym czasie w wodzie w końcu się wypaczy. – Podniósł instrument, Adaira przyjrzała się i Jack musiał skryć radość, gdy dziewczyna pochyliła się, żeby go chwycić.

Pociągnął, jak tylko jej palce zacisnęły się na drewnie. Adaira krzyknęła i wpadła do wody tuż nad jego głową. Nie mógł się powstrzymać: szeroki

uśmiech rozlał mu się na twarzy, gdy dziewczyna wyprysnęła spod wody.

– Zapłacisz za to – powiedziała, wycierając wodę z oczu. – Stary wrogu.

– Nie wątpię... Co to będzie, dziewczyczko? Smoła i pióra? Dyby? Mój pierworodny?

Wpatrywała się w niego przez chwilę, ze srebrnymi kropelkami wody na długich rękach. Morze oblewało im ramiona i Jack czuł jej palce obok swoich, gdy oboje poruszali rękami pośród fal.

– Może wymyślę coś znacznie, znacznie gorszego – powiedziała i uśmiechnęła się przy tych słowach. Nigdy wcześniej nie widział na jej twarzy tego uśmiechu. A może raz, dawno temu, kiedy byli dziećmi.

Znowu wróciły do niego dawne dni, upływające w morzu i jaskiniach, i noce spędzone na wędrówkach po dzikich miejscach, łąkach ostów, polanach i skałach na wybrzeżu. Dzięki Adairze przypominał sobie, jak to jest przynależeć do wyspy. Przynależeć do Wschodu.

Chciała, żeby został, by grać dla ich klanu, i Jack zaczynał myśleć, że może powinien skorzystać z tej propozycji.

Tylko przez rok, pełny obieg pór roku. Wystarczająco długo, by zobaczyć, jak Adaira przejmuje władzę po swoim ojcu.

Wyciągnął z jej włosów nitkę złotych glonów i przyznał się do tego sam sobie: z każdym dniem lubił ją trochę bardziej.

A to mogło mu przynieść tylko kłopoty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



Sidra śniła, że idzie brzegiem Cadence. Początkowo Maisie była tuż obok niej, ale potem zamieniła się w rybę i wskoczyła do morza, a Sidra została sama i stała na piasku przesiąkniętym krwią. Martwiła się o Maisie, dopóki nie zobaczyła Donelli. Z początku zaskoczyło ją, że Donella pojawiła się w jej śnie – pierwsza żona Torina nigdy przedtem tam nie wtargnęła. Sidra pomachała, gdy Donella Tamerlain podeszła do niej ubrana w zbroję, w brązowo-czerwonym tartanie straży.

– Donella? Czemu tu jesteś? – spytała niepewnie Sidra, a zdradzieckie serce zaczęło walić jak młotem. Czy wróciła, żeby odebrać jej Torina i Maisie?

– Sidra? Sidra, obudź się! – zawołała gorączkowo Donella, potrząsając jej ramię. – To sen. Obudź się!

Nigdy wcześniej jej nie dotknęła. Gdy poczuła na ramieniu lodowe zimno, Sidra krzyknęła i obudziła się, z pulsem tłukącym się w jej krtani.

Chata była ciemna i cicha, za oknami wył wiatr. Sidra leżała w łóżku, Maisie spała skulona blisko niej, wyczerpana po długim, dziwnym dniu.

Ramię nadal bolało, potarła je i spostrzegła ducha Donelli: unosił się przy łóżku, przezroczysty niczym strumień światła księżyca.

– Donella?

– Spiesz się, Sidra – odezwała się zjawa. Mówiła teraz ciszej, a jej głos był delikatny jak gasnąca muzyka. – On po nią idzie.

– Kto?

– Wstań i podejdź do dębowej skrzyni Torina. Na samym dole znajdziesz mały dirk. – Donella ponagliła Sidrę. – Przed śmiercią kazałam wykuć to ostrze dla Maisie. Weź dirk i biegnijcie z Maisie do zagrody Graeme’a. Spiesz się, spiesz się, Sidra, on jest coraz bliżej!...

Donella zniknęła w świetle księżyca na podłodze, Sidra nie wiedziała, czy nadal śni, ale zrobiła tak, jak nakazał jej duch: zsunęła się z łóżka i pobiegła

do kolejnej komnaty, uklękła przed dębową skrzynią Torina. Przeszukiwała jego ubrania i gałązki jałowca, aż znalazła dirk w skórzanej pochewce ukryty na samym dnie; jedno z dzieł Uny.

Sidra wzięła go i wróciła biegiem do sypialni, bosymi stopami uderzając w podłogę. Wiatr ucichł; Sidra wzięła Maisie w ramiona. Nie było czasu na wkładanie pończoch czy butów, na owijanie się płaszczem. Kiedy niosła Maisie na tyły, słyszała, jak otwierają się główne drzwi.

– Sidra?... – wymruczała Maisie, trąc oczy. – Gdzie idziemy?

– Idziemy odwiedzić dziadka – szepnęła Sidra, niosąc dziecko przez podwórze, usiłując poruszać się jak najciszej.

– Dlaczego? – spytała głośniej Maisie.

– Ciii, trzymaj się mnie mocno... – W świetle księżyca znalazła ścieżkę do domu Graeme'a, wspięła się na pagórek po kolana we wrzosach, zaczęła biec na drżących nogach. Przycisnęła Maisie do piersi, gorączkowo patrząc przez ramię.

Coś stało na jej podwórku, jakiś wysoki cień wyglądający jak mężczyzna. Przechylił głowę i poczuła, że na nią patrzy.

Przerażenie ścięło jej krew, gdy cień ruszył ku niej. Był niewiarygodnie szybki. Biegła pod górę, z dzieckiem w ramionach, biegła z całych sił, ale wiedziała, że nie zdoła uciec ciemności.

– Maisie, posłuchaj mnie. Chcę, żebyś pobiegła prosto do drzwi dziadka, zapukała w nie najmocniej, jak potrafisz, i poczekała, aż on ci otworzy. Ja będę tuż za tobą. – W piersi Sidry rozlał się ogień, gdy stawiała Maisie na ziemi. – Pamiętasz, jak bawimy się w ściganie? Teraz ja będę cię gonić, dlatego musisz biec najszybciej, jak umiesz, i nie oglądać się za siebie. Już!

Po raz pierwszy w życiu Maisie nie protestowała, wystartowała od razu, biegnąc pod górę, a Sidra wyjęła dirk i odwróciła się na spotkanie z duchem.

Zwolnił, gdy zobaczył, że czeka na niego ze stałą w dłoni.

– Kim jesteś? Czego chcesz? – Głos jej zadrżał.

Cień zatrzymał się kilka kroków dalej, zrozumiała, że na głowie ma kaptur, peleryną poruszył nagły podmuch.

– Daj mi córkę kapitana. Oddaj mi ją, a nie zrobię ci krzywdy.

Głos był niski i gładki, Sidra wyteżyła wzrok, próbując dojrzeć twarz.

– Najpierw będziesz musiał mnie zabić.

Rozległ się gardłowy śmiech, ale Sidra nie czuła strachu, stała twardo na ścieżce, boso, w samej koszuli, z niewielkim sztyletem w dłoni. Gdy cień skoczył, by powalić ją na ziemię, pchnęła ostrzem.

Przewidział jej ruch, zablokował ją ręką tak twardą, jakby była z ciała i krwi.

Nim zdążyła zareagować, cień wykręcił jej rękę. Ból był ostry, kiedy poleciała do tyłu, ale jakoś utrzymała się w pionie.

Potknęła się, ale odzyskała równowagę – cień biegł w górę szlaku, za Maisie. W ustach miała krew i dzwoniło jej w uszach, ale dogoniła go, wycelowała, wbiła mu ostrze w plecy.

Usłyszała trzask płaszcza, poczuła, jak ostrze ześlizguje się po kości, patrzyła, jak duch się obrócił, górując nad nią.

– Ty suko – wysyczał.

Podnosiła rękę, by uderzyć ponownie, ostrze odbiło gwiazdy i poczuła kopnięcie w pierś – ciężki but uderzył ją w mostek tak mocno, że nie mogła oddychać. Zgięta wpół, upadła we wrzosi i zaczęła się turlać w dół. Wypuściła dirk z rąk, próbując chwycić się czegoś i zatrzymać.

W końcu jej się udało; dyszała ciężko, silny ból przyćmiewał jej wzrok.

Musiała wstać. Musiała odnaleźć Maisie.

Próbowała się podnieść. Nie wiedziała, ile czasu minęło, wydawało się, że wszystko się zatrzymało – wiatr, księżyc, jej własne serce.

Stanął nad nią cień; usłyszała jęk, popatrzyła w górę: trzymał mocno Maisie.

– Maisie... – wychrypiła Sidra.

Wyciągnęła rękę, chciała oddać wszystko, ale nie zdołała się odezwać – poczuła uderzenie w bok głowy i runęła w ciemność.



Gdy ocknęła się z twarzą we wrzosach, pomyślała, że wszystko jej się śniło. Słońce szykowało się, żeby wzejść, panował straszliwy ziąb, ale niebo na wschodzie nabrzmiewało od światła. Ptak świergotał tuż obok, jakby ją nakłaniał, by otworzyła oczy, żeby wstała.

Powoli podniosła się na kolana. Bolała ją cała klatka piersiowa, we włosach, na boku twarzy poczuła zaschniętą krew, cały przód koszuli miała

czerwony. Wpatrywała się w swoją pierś, usiłując zrozumieć, co się stało, i wtedy wszystko do niej dotarło, a świadomość tego uderzyła ją mocniej niż but.

– Maisie! – wykrzyczała schrypniętym głosem. – Maisie!

Wstała, świat wirował przez chwilę: gasnące gwiazdy, wychodzące słońce, trzepot ptasich skrzydeł.

– Maisie! – Zaczęła przedzierać się przez wrzosowisko. Prawie nie czuła zmarzniętych rąk, widziała za to, jak zaczynają krwawić. – Maisie, odpowiedz! Gdzie jesteś? Maisie!

Dokąd zabrał ją duch?

Przełknęła szloch, gorączkowo szukając.

– Sidra? Sidra!

Zabolało ją w piersiach, spojrzała w górę i ujrzała ojca Torina na szczycie wzgórza.

Nie mogła mówić. Odkąd pamiętała, Graeme nie opuszczał swojego domu ani podwórza, a teraz pobiegł do niej ze wzgórza. Miała ściśnięte gardło.

– Sidra! – Dostrzegł ją. – Sidra, czy to ty? Wszystko w porządku, dziecko?

– Tato, ja... – Co mogła mu powiedzieć? Krew huczała jej w uszach, Graeme w końcu do niej dotarł. Musiała wyglądać znacznie gorzej, niż myślała, bo patrzył na nią ogromnymi oczami ze stężałą twarzą.

– Córko – wyszeptał. – Co się stało?

– Duch zabrał Maisie – powiedziała, z całych sił trzymając histerię na wodzy.

Graeme osłupiał.

– Duch? Duch ci to zrobił?

– Przyszedł po nią, walczyłam z nim, a on ją zabrał... Musimy szukać, ona wciąż może tu być... – Odwróciła się do wrzosowiska, chociaż każdy ruch, każdy oddech był jak nóż wbity w pierś. – Maisie! – krzyczała raz po raz, szukając jakiegoś śladu, portalu, skrawka ubrania, czegoś, za czym mogłaby podążać.

Graeme mocno chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– Sidra – powiedział. – Jesteś ranna. Najpierw musimy zająć się tobą, dziewczyno.

Zastygła. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo drżała i jak bardzo przemarzła, dopóki nie poczuła jego ciepła i siły. Ściągnęła brwi – czemu Graeme patrzył na nią przerażony? Spojrzała na swoją koszulę i zobaczyła krew, już pociemniałą, ale wciąż czerwoną, tak samo jak ta w jej żyłach.

– Nie jestem ranna – wyszeptała. – To... to nie jest moja krew. Pchnęłam go dirkiem i krwawił.

Spotkała się ze spojrzeniem Graeme'a. Pomyślała o historii, którą czytała Maisie na dobranoc. Opowieść o tym, że Orenna musiała ukłuć się w palec, żeby zakwitnąć, o jej krwi, gęstej i złotej.

– Duchy... – zaczęła Sidra i głos jej zamarł.

Graeme skinął ponuro głową.

– Nie krwawią jak śmiertelnicy.

Znów spojrzała na plamy krwi i poczuła się tak, jakby ziemia rozstąpiła się pod jej stopami.

To nie duch porwał dziewczynki.

To człowiek.

– Sidra – wychrypiał Graeme, nadal trzymając ją za rękę. – Trzeba wezwać Torina.

Serce jej zamarło. Omal nie rozplakała się na samą myśl, że miałyby opowiedzieć Torinowi, co się zdarzyło. Miała wychowywać, kochać i chronić jego córkę. To był powód, dla którego ją poślubił, wpleciony w jej przysięgę.

Zawiodła jego i zawiodła Maisie. Zawiodła nawet Donellę.

Jeszcze się chwiała, ale prawda powoli zaczęła do niej docierać: to nie duch porwał Maisie, to człowiek, który poruszał się z nieludzką prędkością. Nie potrafiła do końca tego zrozumieć, ale czuła, że teraz każda chwila jest na wagę złota.

– Dobrze – wyszeptała. – Zawołam go.

Graeme puścił jej rękę i nie mówiąc już ani słowa, czekał. Sidra weszła głębiej we wrzosa.

Słońce już wzeszło, mgła pełzła nad ziemią, odezwały się ptaki.

Sidra padła na kolana i łamiącym się głosem posłała imię na południowy wiatr.

– *Torin...*

CZĘŚĆ DRUGA

*Pieśń
dla ziemi*



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



Adaira stała w swojej sypialni przed oknem, patrząc na wschód słońca. Włosy wciąż miała wilgotne, a palce pomarszczone od wody. Ubrana jedynie w miękki szlafrok, wzdrygnęła się, wspominając, jak duchy wpatrywały się w nią głodnym wzrokiem.

Odwróciła się od swojego odbicia w szybie i rozbierając się po drodze, podeszła do kominka, gdzie czekała na nią kąpiel. Woda była letnia, ale to jej nie przeszkadzało.

Czasami pragnęła lodowatego uścisku zimy.

Patrzyła na fale wokół siebie, gdy usiadła i oparła się o miedzianą wannę. Myślała o słowach duchów, wspominała, jak głos Jacka łączył się z muzyką, którą jej matka napisała dawno, dawno temu. Bolało ją serce i nie wiedziała, czy to smutek z powodu odrodzonych melodii Lorny, czy frustracja. Tak wierzyła, że duchy morza pomogą jej odnaleźć dziewczynki. Tak liczyła, że wreszcie skończy to szaleństwo i nieszczęście zaginionych dzieci.

Nie znalazła się nawet o krok bliżej odkrycia tej tajemnicy, wszystko poplątało się jeszcze bardziej.

Wyczerpana, zakryła twarz dłońmi i przycisnęła opuszki palców do zamkniętych oczu.

To ona, mówiły duchy przyływów. To ona. Nawet teraz ich głosy odbijały się echem w pustce.

Nie, powinna była powiedzieć. Nie, nie jestem taka jak moja mama.

Uważaj na krew w wodzie, śmiertelniczko.

Odsunęła dłonie i otworzyła oczy. Wpatrzona w wodę, pomyślała o Jacku. Jak skoczył za nią mimo strachu przed morzem. Wydawał się zły, kiedy wypłynęli razem na powierzchnię, choć jednak bardziej przypominał kota, który wpadł do beczki z deszczówką. Wydawał się również zadowolony, jakby w końcu przypomniał sobie, kim jest – że urodził się na wyspie. A ona,

Adaira, zrobiła coś zupełnie niedorzecznego: roześmiała się i poczuła tak, jakby zerwało się w niej stado ptaków.

Wpatrywała się w swoje odbicie falujące w lustrze wody i myślała, co trzeba zrobić, żeby sprowokować do śmiechu tak powściągliwego mężczyznę jak Jack Tamerlain...

– Dość – szepnęła do siebie, sięgając po gąbkę i kostkę mydła. Szorowała skórę, ale nie zdołała usunąć wspomnień, gromadziły się niczym bąble.

Ostatni raz pływała w wodach wyspy z Callanem Craigiem, miała wtedy osiemnaście lat i szukała czegoś, co wypełniłoby jej samotność – uporczywą, bezkresną, pogłębioną jeszcze śmiercią matki. Znalazła na to lekarstwo w uczuciu do Callana.

Zadurzyła się. Spędzili razem wiele skradzionych godzin, uprawiając sparingi w zamku, galopując po wzgórzach, kochając się. Adaira wzdrygnęła się – jakże była wtedy naiwna, jaka chętna i ufna... Gdy ich związek się rozpadł, miała nadzieję, że z czasem rana się zagoi, a jednak stary ból powracał niczym reumatyzm zimą.

Odrzuciła te bolesne wspomnienia i zanurzyła się w wodzie, wstrzymując oddech. Tu panowała cisza, a jednak wciąż słyszała muzykę i głos Jacka. Chciałaby siedzieć i słuchać jego gry godzinami. Chciała zobaczyć, jak klan odradza się dzięki tej muzyce.

Chciała, żeby Jack został Bardem Wschodu.

Dziwne, jak odmienił go czas spędzony z dala od domu. Adaira najpierw zauważyła, jakie piękne ma dłonie, jak głęboki, bogaty jest jego głos. Za to zręczliwe usposobienie pozostało takie samo, tak samo patrzył spode łba i ścigał brwi.

Kiedy była dziewczynką, nie cierpiała go, nawet jeśli szybko się przekonała, że trudno nienawidzić czegoś, co trzyma cię przy życiu.

Wyszła z wanny, ubrała się i poszła do gabinetu, gdzie czekały na nią szczotka i lustro, ale jej wzrok przykuł list wsunięty pod słój z księżycowymi ostami. Pergamin był pomarszczony, a na wierzchu widniała pieczęć Zachodu.

Moray Breccanin znów do niej pisał, a ona nie wiedziała, czy chce to przeczytać.

W dniu, w którym podrobiła list do Jacka, wysłała również wiadomość dziedzicowi Zachodu, z propozycją wymiany handlowej. Moray odpowiedział szybko, pozytywnie, a nawet entuzjastycznie, co ją zaskoczyło.

Wyglądało na to, że po stuleciach sporów może im się uda osiągnąć pokój. Adaira bardzo na to liczyła, zmęczona najazdami i strachem, który zawsze towarzyszył zimie na Wschodzie. Marzyła o innej wyspie i zainicjowała tę zmianę.

Ojciec był wściekły.

Alastair Tamerlain twierdził, że otwieranie własnych magazynów przed Breccanami, nawiązywanie jakichkolwiek stosunków z klanem, który ich krzywdził, to głupota.

– Wiem, że wychowałeś mnie, by nigdy nie ufać Zachodowi – odparła. – Żebyśmy stali się samowystarczalni. Zresztą sama historia najazdów wystarczy, żebym gardziła Breccanami. Ale teraz ta nienawiść mnie już zmęczyła, czuję się stara i krucha, jakbym żyła tysiące lat, i chcę znaleźć inną drogę. Czy nigdy nie marzyłeś o pokoju, ojcze? Czy nie chciałeś, żeby wyspa znowu się zjednoczyła?

– Oczywiście, że marzyłem.

– Więc czy nie mógłby to być pierwszy krok w tym kierunku?

Alastair spojrział w bok, kiedy odpowiedział:

– Nie mają nic, czego moglibyśmy potrzebować, Adi, a handel nie powstrzyma najazdów zimą. Breccanie są żądni krwi.

Nie zgadzała się, ale w ciągu ostatnich dwóch lat ojciec osłabł tak bardzo, że nie wracała już do tego sporu, w obawie, że za bardzo go to obciąży.

Reakcja Torina wyglądała podobnie, ale jego stanowisko rozumiała. Jak taki handel miałby się odbywać, skoro istniała granica klanu? Gdzie konkretnie? Jeden fałszywy ruch ze strony któregoś z klanów i zaufanie zostałyby nadszarpnięte, a ktoś niewinny przypłaciłby to życiem.

Adaira sięgnęła po list. Zaginione dzieci pochłaniały ją tak bardzo, że prawie zapomniała o handlu oraz odpowiedzi Moraya. Przysunęła list do twarzy, wdychając zapach pomarszczonego pergaminu. Pachniał deszczem, jałowcem i czymś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać i co wzbudzało niepokój.

Złamała woskową pieczęć, otworzyła list i odczytała go przy świetle świtu.

Droga Adairo!

Mam nadzieję, że Ty i Twój klan macie się dobrze, ale minęły cztery dni, odkąd do Ciebie napisałem, i z niecierpliwością czekam na Twoją

odpowieź – czy przyjmiesz zaproszenie i odwiedzisz Zachód? Zaczęłem się zastanawiać, czy mój list w ogóle dotarł do Twoich rąk, i pozwolę sobie powtórzyć to, co napisałem wcześniej:

Ty i ja otrzymaliśmy szansę zmiany losu obu naszych klanów. Piszesz do mnie o pokoju, co wydawało się niemożliwe, uwzględniając historię, ale dałaś nam nadzieję, proponując handel. Dlatego chcę zaprosić Ciebie i tylko Ciebie na Zachód: przyjedź i zobacz nasze ziemie, przybądź i poznaj naszych ludzi. Wtedy ja podążę za Tobą na Wschód, również sam, bez broni, aby dać dowód mojego zaufania.

Co więcej, proszę Cię o spotkanie na granicy klanu za pięć dni. Przyniosę to, co mój klan ma najlepszego do zaoferowania, Ty również możesz przynieść coś podobnego i w ten sposób możemy rozpocząć nowe czasy na wyspie.

Spotkajmy się w południe na północnym wybrzeżu. Ja pozostanę po swojej stronie granicy, Ty po swojej. Wymiana towarowa będzie wymagała trochę wyobraźni, ale mam już plan. Uprzedź swoich strażników, że masz przyjść sama ze swoimi darami, więc mają pozostać z tyłu i poza zasięgiem wzroku. Moi strażnicy zrobią to samo, przyjdę na spotkanie sam i bez broni.

Dajmy przykład naszym klanom, że pokój jest możliwy, jednak musi być zbudowany na zaufaniu.

Czekam niecierpliwie na Twą odpowiedź,

Moray Breccanin

Dziedzic Zachodu

Przeczytała list już dwa razy, a potem trzeci, by się upewnić, że zrozumiała całą jego powagę. Drżącymi dłońmi złożyła pergamin i wyszła ze swojego pokoju.

Czy byłoby rozsądnie udać się w pojedynkę na Zachód? Dlaczego czuła ścisk żołądka za każdym razem, kiedy Moray wspominał o zaufaniu?

Potrzebowała rady.

Najpierw jednak musiała pomówić z Sidrą.



Sidra chodziła tam i z powrotem po pokoju Graeme'a, między stosami pergaminów i książek. Czekali na Torina. Każda minuta ciągnęła się jak godzina, Sidra miała serce w gardle.

Myślała tylko o Maisie. Gdzie ona jest? Czy jest ranna? Kto ją porwał?

– Sidra? – odezwał się łagodnie Graeme. – Nie chcesz się przebrać, dziecko? Mam trochę kobiecych strojów w tej dębowej skrzyni w rogu.

– Nie, nie, tato – odparła nieuważnie, pochłonięta zmartwieniem.

– Pomyślałem tylko... – Graeme urwał, sięgnął po karafkę whisky; ręce mu drżały, gdy nalewał do dwóch szklanek. – Torin może źle zareagować na tę krew na koszuli.

Sidra przystanęła, spuściła wzrok. Plama zdążyła zaschnąć, ale rozlewała się na całej klatce piersiowej, jakby ktoś ją dźgnął w serce.

– Tak, dobrze – wyszeptwała. Nie chciała, żeby Torin zobaczył ją w takim stanie. Kluczyła w labiryncie przedmiotów, aż dotarła do skrzyni w rogu i uklękła. Zimnymi palcami przesunęła po rzeźbieniach, podniosła wieko.

Wiedziała, co znajdzie w środku.

Emma Tamerlain porzuciła męża i syna prawie dwadzieścia jeden lat temu, Torin miał zaledwie sześć lat, gdy odeszła znienacka w nocy. Pochodziła z kontynentu, wyspa ją przerażała, wszystko było tu obce. Życie w takim miejscu, z dala od rodziny, okazało się zbyt trudne i Emma wróciła na stały ląd, nigdy więcej nie kontaktowała się i nie wracała.

Graeme wciąż trzymał jej ubrania, tak jakby w każdej chwili mogła się zjawić.

Sidra ze smutkiem przeglądała suknie, w końcu wyjęła koszulę nocną. Miała nadzieję, że Torin nie zorientuje się, do kogo należała – przecież prawie nigdy nie oglądał Sidry w takim stroju.

Podniosła ją; koszula, długa i wąska, pasowała na wysoką, szczupłą kobietę i Sidra wiedziała, że ze swoimi krągłościami się w nią nie zmieści. Zastanawiała się, co zrobić, gdy drzwi otworzyły się z hukiem, wstrząsając chatą, a wiatr wpadł do izby, rozrzucając papiery.

Sidra wiedziała, że to Torin, i zastygła, klęcząc, ściskając w dłoniach koszulę Nell. Widok zasłaniał jej parawan, ale bardzo wyraźnie słyszała słowa.

– Gdzie jest Sidra? – Torin dyszał ciężko, jakby biegł przez wzgórza. – Wszystko w porządku? Wstąpiłem po drodze do domu, ale żadnej z nich nie zastałem.

– Torin... – zaczął Graeme i urwał.

Sidra zacisnęła powieki. Nikt się nie odzywał, a ona tak bardzo chciała, żeby to był jedynie potworny koszmar, żeby mogła się zbudzić i nie musieć niszczyć życia Torina.

– Sid? – zawołał ją niespokojnie.

Upuściła ubranie jego matki i wstała sztywno. Ze wzrokiem wbitym w podłogę wyszła z za parawanu, żeby Torin mógł ją zobaczyć, i w dźwięczącej ciszy podniosła na niego wzrok.

Jego twarz była strasznie blada, w nieruchomych oczach widziała szok. Rozchylił usta, ale nic nie powiedział, tylko wciągnął szybko powietrze, jakby ktoś dźgnął go głęboko w bok.

Ruszył do niej przez zabałaganiony pokój, kopiąc bez pardonu książki i bibeloty. Już był przy niej, już ujmował w dłonie jej twarz. Palce przynosiły zapach wybrzeża, piasku i słonej wody, Sidra czuła ich siłę, czuła szorstkie, twarde odciski, a jednak trzymał ją delikatnie jak kruchy przedmiot.

– Co się stało? Kto ci to zrobił?

Przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło, oddychanie bolało, oczy paliły łzami.

– Torin... – wyszeptała.

A on już wiedział. Spiał się, gorączkowo przeszukując wzrokiem izbę.

– Gdzie jest Maisie? – zapytał.

Sidra wzięła głęboki wdech, czując ból w piersi, słowa nie dawały się sformułować.

– Gdzie Maisie, Sidra? – spytał jeszcze raz, patrząc na nią.

Nigdy nie widziała go tak przerażonego, jak teraz, kiedy patrzył na nią przekrwionymi, rozszerzonymi oczami.

– Przepraszam, Torin. Przepraszam...

Opuścił ręce, zrobił krok w tył, potknął się o jakieś buty. Oddychał ciężko, wcisnął palce we włosy, wydobył się z niego niski, gardłowy dźwięk... Kiedy znów spojrzął na żonę, jego twarz była chłodna i opanowana.

– Chcę, żebyś powiedziała wszystko, co zdarzyło się tej nocy. Jeśli mam znaleźć Maisie... muszę znać każdy szczegół, Sidra.

Wstrząsnęła nią ta powściągliwość, ale wiedziała, że to efekt przeszkolenia. Opanował emocje i przemawiał do niej jako kapitan straży, nie jako mąż.

Zaczęła opowiadać, pomijając tylko ostrzeżenie Donelli – nie zdołałaby mówić mu o niej w takiej chwili – i cieszyła się, że nie płacze.

Słuchał ze zmarszczonymi brwiami, nie odrywając od niej wzroku. Co kilka chwil spoglądał na jej zakrwawioną pierś, na kosmyki włosów, a Sidra zdała sobie sprawę, jak jej zimno.

– Duch przemówił? – chciał wiedzieć Torin.

Zawahała się, zerknęła na Graeme'a, o którym praktycznie zapomniała. Jej teść stał przy drzwiach, wciąż z dwiema szklankami whisky, i teraz skinął głową, dodając jej otuchy, żeby powiedziała Torinowi.

– To nie był duch – oznajmiła.

Ściągnął brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Powiedziała mu o krwi ducha.

– Jesteś pewna, Sidro? To nie twoja krew?

– Wbiłam mu nóż w plecy – powiedziała bez emocji. – To, co widzisz, to nie moja krew i nie krew ducha.

– Jeśli to był człowiek... – Słowa przeciskały się przez jego zęby. – Opisz mi go. Czy był wysoki? Jaki miał głos?

Ze wspomnień, zniekształconych ciemnością i przerażeniem, próbowała wyłuskać coś, co pomogłoby Torinowi.

Spijał słowa z jej ust, ale wyczuwała frustrację.

– Nie rozpoznałaś głosu, ale chciał właśnie mojej córki?

– Tak, Torin.

– Czyli musi mnie znać. Musi należeć do klanu, musiałem go spotykać albo trenować w straży... Musi znać Wschód... – Torin przycisnął knykcie do ust i zamknął oczy. Wyglądał okropnie blado, jakby odpłynęła z niego cała krew.

– Torin... – szepnęła Sidra, wyciągając do niego dłoń. Wiedziała, co teraz czuł, tę potworną świadomość, że to jakiś człowiek porywa dzieci, że to jakiś męczyzna wykrada małe dziewczynki. Po co?

Podniósł powieki. Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy i nie było w nich żadnej nadziei, żadnego pocieszenia. Było tylko cierpienie, za które czuła się odpowiedzialna. Powinna walczyć mocniej. Biec szybciej. Powinna była zawołać Graeme'a.

Opuściła rękę, ale Torin ujął jej dłoń i pociągnął przez pokój do wyjścia.

– Pokaż mi dokładnie, gdzie to się stało – powiedział.

Sidra szła szybko za nim, wciąż boso. Jasne słońce zaskoczyło ją, zmrużyła oczy, zorientowała się, że przy drodze czeka kilku strażników – na widok jej skrwawionej koszuli od razu ruszyli do przodu.

– To stało się tutaj, Torinie. – Zatrzymała się w połowie drogi ze wzgórza, gdzie pogniecione wrzosy dawały świadectwo jej walki. – Dźgnęłam go, a on... – Urwała, Torin spojrzał przenikliwie.

– Co zrobił, Sidra?

Wzdrygnęła się, zapragnęła się objąć.

– Kopnął mnie. W pierś. Upadłam, stoczyłam się ze zbocza i wtedy zgubiłam dirk.

Torin podążył tropem, klęknął w miejscu, gdzie Sidra się zatrzymała. Myślał intensywnie, badając ziemię, jego palce znalazły kilka kropli krwi na wrzosach. To dało Sidrze nadzieję, że mu się uda, że mimo wszystko znajdzie winowajcę. Gdy wstał, nie był już taki blady. Oczy mu płonęły, gdy szedł do niej twardo, jakby podjął jakąś decyzję.

– Chcę, żebyś została z moim ojcem do końca dnia – powiedział. – Chcę cię prosić, żebyś nie opuszczała jego zagrody. Rozumiesz, Sid?

Zmarszczyła brwi.

– Nie. Chciałam pomóc ci szukać, Torin.

– Wolę, żebyś została z Graeme'em.

– A ja chcę szukać. Nie chcę siedzieć zamknięta w domu, czekając na wiadomości.

– Posłuchaj mnie, Sidro. – Wziął ją za ramiona. – Zostałaś brutalnie zaatakowana, odniosłaś obrażenia. Musisz odpocząć.

– Nic mi nie...

– Nie zdołam skupić się na poszukiwaniach, jeśli będę się o ciebie martwił!
– Słowa cięły ostro jej determinację. – Proszę cię, ten jeden raz po prostu zrób

to, co mówię.

Odsunęła się, jego dłonie opadły z jej ramion. Torin westchnął, ale nie zatrzymał jej, gdy zaczęła wspinać się na wzgórze, a ona nie obejrzała się za siebie.

Przeszła przez bramę. Graeme stał w drzwiach, z dwiema tymi samymi szklaneczkami.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na jej twarz.

– Upiekę nam ciasteczka owsiane – powiedział i wszedł do środka.

Patrzyła za nim, wdzięczna za tę chwilę samotności, a potem weszła w głąb podwórza i zrozumiała, że tym razem złuda nie znika.

W ogrodzie panował nieład, chwasty rosły gęstymi kępami, pnącza pełzły ścieżką, wspinały się po domku, pajęczyny złociły się wszędzie. To nią wstrząsnęło. Do tej pory zawsze potrafiła przeniknąć wzrokiem przez ułudę... Cała miłość i troska, jaką obdarzyła tę ziemię, zniknęła, jakby nigdy jej nie było.

Rozpacz, którą przez cały ten czas spychała w dół, wezbrała. Sidra uklękła pośród chwastów, zaczęła płakać.

Moja wiara zniknęła, pomyślała. To dlatego podwórze było tak zmienione, dlatego widziała tylko zasłonę.

Patrzyła, jak wschód słońca złoci chwasty... i zaczęła je zawzięcie wyrywać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



Walenie do drzwi wstrząsnęło chatą. Wyrwany ze snu Jack siadł na łóżku, mrużąc oczy od słońca. Wciąż obolały od wplatania magii w muzykę, słuchał, jak ciężkie kroki dudnią w domu jego matki.

Pierwsza myśl – najazd Breccan – sprawiła, że zerwał się, zaplątany w koc. Pokój wirował, Jack musiał oprzeć się o ścianę i dopiero wtedy zrozumiał, że przecież jest środek dnia, a zachodni klan atakował wyłącznie nocą. Tuż za drzwiami usłyszał spokojny głos matki.

– Śpi – mówiła. – W czym mogę pomóc, kapitanie?

– Muszę się z nim zobaczyć, Mirin.

Jack wciąż opierał się o ścianę, gdy Torin otworzył drzwi.

– Śpisz o tej porze? – rzucił obcesowo i Jack wyczuł, że coś jest nie tak. Torin przeszukiwał jego pokój, zaglądał pod łóżko, do skrzyni.

– Spałem, póki nie wpadłeś – odparł Jack. – Coś się stało?

Torin odwrócił się do niego, machnął ręką.

– Podnieś tunikę.

– Co?!

– Chcę sprawdzić plecy.

Bard wytrzeszczał oczy, ale podciągnął szatę, zimna dłoń Torina przesunęła się po łopatkach i od razu ściągnęła tunikę w dół. Kapitan wypadł z pokoju, nim Jack zdążył wydusić choćby słowo.

Jack wszedł do izby: Mirin i Frae stały zatroskane, kilku strażników skończyło przeszukiwanie i wybiegło.

– O co chodzi? – zapytał Jack.

Mirin patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, Jack.

Ściągnął brwi, wrócił do sypialni, otworzył okiennice. Torin szedł szybko przez podwórze, najpierw sprawdził oborę, potem spichlerz.

Bard złapał tartan, zapiął go na ramieniu, zawiązał rzemienie butów pod kolanami i prawie zderzył się z Frae w izbie.

– Jack, mogę iść z tobą?

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli na razie zostaniesz z mamą – powiedział łagodnie. Nie chciał, żeby się martwiła, ale widział strach na jej twarzy.

– Gdzie ty się wybierasz? – zdenerwowała się Mirin. – Jesteś chory!

Po czym się domyśliła? Bo spał długo i był blady? A może wyczuła, jak muzyka go nadwyrężyła?

Spojrzał na nią, już stojąc na progu.

– Chcę zobaczyć, czy mogę jakoś pomóc Torinowi. Wrócę przed kolacją.

Zamknął drzwi, nim zdążyła zaprotestować, przeskoczył przez mur ogrodu, dogonił kapitana.

Rzucił jedno spojrzenie na twarz Torina i już wiedział, że jest źle.

– Kolejne dziecko?

Torin nie potrafił ukryć rozpaczy w bezlitosnym blasku słońca. Nie patrząc Jackowi w oczy, odpowiedział:

– Maisie.

Jack wciągnął gwałtownie powietrze.

– Tak mi przykro, Torin...

Kapitan szedł szybko dalej.

– Nie potrzebuję współczucia, potrzebuję rozwiązań.

– W takim razie pozwól mi pomóc. – Bard starał się dotrzymać mu kroku. Przypomniawszy sobie Maisie, jak siedziała obok przy śniadaniu, ledwie parę dni temu! Jaka była zaciekawiona i słodka, jak obdarzała go szczerbatym uśmiechem... Poczuli się okropnie. – Powiedz, co mam robić.

Torin zatrzymał się gwałtownie, jego strażnicy przeszli już do następnej zagrody.

Jack czekał, słuchając gwizdania wiatru. Spodziewał się, że Torin odeśle go do domu, bo nie jest wystarczająco silny ani dobry, by dołączyć do Straży Wschodu, ale wtedy kapitan spojrzał mu prosto w oczy i skinął głową.

– Dobrze więc – powiedział. – Chodź ze mną.



Jack miał już wszystkie odłamki tego, co się wydarzyło tej nocy, i nie dawała mu spokoju świadomość, że gdy on siedział na brzegu i śpiewał dla duchów wody, jakiś człowiek przeszedł przez wzgórza, pobił Sidrę i porwał Maisie.

Torin wydał rozkazy: strażnicy przeszukiwali wzgórza, doliny, góry, jaskinie, wybrzeże, ulice miasta, spichlerze i magazyny we wszystkich gospodarstwach. Badali wzgórze między jego ziemią a posiadłością ojca, szukając dalszych śladów krwi i zgniecionej butami trawy, poszukiwali mężczyzny z raną na plecach.

Bard już się przekonał, że wszyscy mogli być podejrzani.

Torin kazał strażnikom sprawdzić nawet własnych ojców, braci, mężów i przyjaciół. Wszystkich swoich krewnych, każdą gałąź i każdy korzeń drzewa genealogicznego. Podejrzewać tych, których kochali najbardziej, bo czasem miłość była jak pył w oczach – nie pozwalała dostrzec prawdy.

Sprawcą mógł być każdy mężczyzna z klanu.

W powietrzu unosił się ciężar niedowierzania, gdy rozeszły się wieści – zniknęło kolejne dziecko, a duchy były niewinne.

Jack przeszukał już pięć zagród i jedenaście różnych domów na tyłach, gdy przybyła Adaira. Podjechała na ubłoconym koniu, w prostej szarej sukni z czerwonym tartanem w poprzek piersi. Twarz miała zaróżowioną od wiatru, włosy uplecione w koronę. Zeskoczyła, zanim jeszcze klacz się zatrzymała, i podbiegła szybko do kuzyna.

Czyli już wiedziała o Maisie... Bard widział to na jej twarzy, kiedy rozmawiała z Torinem, tę panikę, rozpacz i strach. Rozmawiali przez chwilę, rzucając szybkie zdania ściszonymi głosami, gdy Adaira nagle oderwała wzrok od kuzyna i odnalazła Jacka na podwórzu. Patrzyła na niego chwilę, a jej twarz łagodniała.

Przywołała go, a on czuł się jak intruz naruszający prywatność.

– Jack – odezwała się Adaira. – Myślę, że powinniśmy powiedzieć Torinowi, co robiliśmy.

Uniósł brwi.

– Tak? – Myślał, że chodzi jej o przywołanie duchów, o zdradzenie tajemnicy, która przez całe lata należała wyłącznie do bardki i do lairda.

– Co znowu? – warknął Torin. – Co wy kombinujecie?

Adaira odwróciła się w stronę wiatru, wiejącego z południa.

– Potrzebujemy jakiegoś zacisznego miejsca. Niedaleko stąd jest jaskinia, idźcie za mną. – Wzięła wodze klaczy i podążyła w stronę wzgórz.

Jack ruszył za nią, Torin kazał strażnikom przeszukiwać kolejne zagrody, w końcu poszedł twardo za bardem.

Adaira doprowadziła ich do stromego wzgórza z nagimi skałami na zboczu. Mniej więcej w połowie drogi w górę kryła się jaskinia, którą ciężko było wypatrzeć. Jack stanął gwałtownie, widząc niewielkie, zacienione wejście.

Pamiętał ją. Kiedyś należała do jego ulubionych, głównie ze względu na niebezpieczną wspinaczkę.

– Adairo... – Chciał ją ostrzec, ale ona już wspinała się zręcznie i pewnie, nawet w długiej sukni i szalu. Jack patrzył i na myśl, że mogłaby się pośliznąć i spaść, ścisnął mu się żołądek.

Już po kilku chwilach stała przy wejściu, patrzyła na nich w dół.

– Idziesz, Torin? I ty, stary wrogu?

Jack zmarszczył brwi.

– Nie jesteśmy trochę za starzy na takie wybryki? Na pewno jest jakieś inne miejsce, bardziej odpowiednie do tej rozmowy.

Bez słowa zniknęła wewnątrz jaskini. Jack zerknął na Torina, który przyglądał mu się z dziwnym błyskiem w oczach.

– Ty pierwszy, bardzie – rzekł, nie pozostawiając mu wyboru.

Jack nie mógł w to uwierzyć: dorośli ludzie, a mieli biegać po skałach jak jakieś dziesięciolatki! Zaklął pod nosem i zbliżył się do ściany. *To nedorzeczne*, pomyślał, kiedy zaczął się wspinać. Omsknęła mu się noga, przytrzymał się, zaklął znowu i powoli ruszył w górę tą samą drogą, z której skorzystała Adaira.

W końcu dotarł do jaskini, dygocząc, i nie patrząc w dół, wszedł w chłodny półmrok pustej przestrzeni. Było ciemno, ale dostrzegł Adairę na kamiennej podłodze; podszedł, pochylony, i siadł naprzeciwko, opierając się plecami o skalną ścianę, stykając się z nią podeszwami butów.

Nie musieli czekać długo na Torina, wślizgnął się do jaskini mimo swojej wielkiej postury.

Siedzieli w niewielkiej, tajemniczej przestrzeni i Jack czekał, aż Adaira przemówi pierwsza. Słyszał kapanie wody gdzieś głęboko w sercu jaskini, wdychał zapach wilgotnej skały i zrozumiał, że wiatr nie mógł tu zajrzeć, że byli osłonięci przed jego wścibstwem i przenikliwością. Adaira wykazała się przezornością.

– Nie mówiłam ci o tym, Torinie – zaczęła – z dwóch powodów. Po pierwsze, nie wiedziałam, czy Jack wróci na wyspę, gdy go wezwę, i po drugie, nie wiedziałam, czy słowa mojego ojca były prawdą. Uważałam to za nierealne i chciałam mieć dowód, zanim dam ci jakąkolwiek nadzieję.

Torin patrzył spode łba.

– O czym ty mówisz, Adi?

Wzięła głęboki wdech i spojrzała na Jacka, jakby potrzebowała wsparcia, a gdy skinął jej głową, opowiedziała kuzynowi tę samą historię, którą niedawno usłyszał od niej jej stary wróg. Mówiła, jak bard śpiewał dla duchów morza i co one im powiedziały.

Torin zasapał, jego oczy płonęły w słabym świetle.

– Wezwałeś do siebie duchy?

Skinęła głową.

– Tak, Jack to zrobił. A teraz chcielibyśmy zawezwać duchy ziemi.

Bard wpatrywał się w kolana, czując na sobie wzrok Torina.

– Chcę przy tym być – zażądał kapitan.

– Przykro mi, kuzynie, ale to niemożliwe – powiedziała Adaira. – Możemy tam być tylko my, w przeciwnym razie duchy się nie ukazą.

– W takim razie chcę, żebyście zadali ziemi moje pytania. Pierwsze: wiemy już, że to nie duchy porywają dziewczynki, tylko człowiek. Kim on jest? Jak się nazywa? Gdzie mieszka? Czy działa sam, czy też ma współników? I drugie: gdzie ukrywa dziewczynki, jeśli jeszcze żyją? A jeśli nie... to gdzie są ich ciała?

Jack i Adaira słuchali go w milczeniu. Bard spojrzał na nią i wiedział, że oboje myślą o tym samym. Duchy wody nie odpowiedziały na to pytanie – a jeśli ziemia nie odpowie im również? Czy w ogóle zdołają spytać o to wszystko?

– Zrobimy wszystko, żeby uzyskać te odpowiedzi – obiecała Adaira.

– I jeszcze jedno – mówił dalej Torin. – Tam, gdzie zniknęła Catriona, znalazłem w trawie dwa czerwone kwiatki. Zerwane, ale nie zwiędnięte, moim zdaniem zaczarowane. Nigdy nie widziałem takich na Wschodzie i Sidra też ich nie rozpoznała, ale mam przeczucie, że napastnik zwabia nimi dzieci albo dzięki nim dostaje się tu niezauważony.

Adaira zmarszczyła brwi.

– Gdzie są te kwiaty?

– Ma je Sidra. Możesz wziąć jeden i pokazać go duchom. – Torin przeniósł wzrok na Jacka. – Jak szybko dasz radę zagrać?

Jack zawahał się, jeszcze o tym nie myślał. Wciąż czuł się słabo po zeszłej nocy i nadal nie miał w rękach muzyki Lorny.

– To może mi zająć parę dni... – odparł, żałując, że nie może zagrać od razu. – Potrzebuję trochę czasu na przestudiowanie muzyki.

– Jeszcze się jej nie przyjrzałeś?

– Nie, bo jej ode mnie nie dostał – wtrąciła się Adaira. – Planowałam przynieść mu nuty dzisiaj rano, ale usłyszałam o Maisie i pospieszyłam do ciebie, Torinie. Zabiorę Jacka do zamku i dam mu nuty.

Torin skinął głową.

– W porządku. Dziękuję ci, Jack.

I wyszedł, zostawiając Jacka i Adairę samych.

Jęknęła cicho, prawie niesłyszalnie, a Jack jej się przyjrzał. Adaira zrzuciła maskę pewnej siebie dziedziczki, która wie, jak rozwiązać zagadkę. Teraz wydawała się niepewna i niespokojna, udręczona i smutna. Gdy Jack spojrzał jej w oczy, nie odwróciła wzroku.

– Możesz pójść teraz ze mną? – spytała.

– Tak – odparł, chociaż wciąż czuł się obolały.

Puścił ją przodem, dzięki temu mógł patrzeć, którędy schodzi, i skorzystać z tej samej drogi. Zeskoczył, stanął znowu na twardym gruncie i spostrzegł, że Adaira siedzi już w siodle i czeka, unosząc brew.

– Spotkamy się na miejscu? – spytał, obchodząc klacz szerokim łukiem.

Adaira się uśmiechnęła.

– Nie. Będzie znacznie szybciej, jeśli pojedziesz ze mną.

Jack zawahał się, a klacz poderwała łeb i kopytem uderzyła w ziemię, jakby wyczuwała jego rezerwę.

– Chętnie się przejdę – odparł.

– Kiedy ostatni raz siedziałeś na koniu, Jack?

– Prawie jedenaście lat temu.

– W takim razie to świetny moment, żeby wskoczyć na grzbiet. – Adaira wysunęła stopę ze strzemienia, podsuwając mu je. – Wsiadaj, stary wrogu.

Czując, że to skończy się katastrofą, Jack jęknął, wsunął but w strzemię i się podciągnął. Usiadł z tyłu, niepewny, gdzie ma położyć ręce, co zrobić ze stopami. Adaira oparła się plecami o jego pierś, a on odchylił się lekko, tak że wiatr mógł wiać między nimi.

– Wygodnie? – zapytała.

– Jak nigdy wcześniej – odparł żartobliwie.

Adaira cmoknęła na klacz i ruszyli, a Jack poczuł, jak się usztywnił. Próbował się rozluźnić, pozwolić ciału dostosować się do stępa, gdy Adaira znów zacmokała i koń przeszedł w kłus. Skrzywił się, czując, jak wszystkie myśli wylatują mu z głowy.

– Za szybko – powiedział, próbując złapać się brzegów siodła.

– Trzymaj się, Jack.

– Co?

Cmoknęła po raz trzeci, koń wszedł w galop i Jack poczuł, że zaraz spadnie z siodła.

Nie było wyjścia: objął ją w pasie i przywarł do jej pleców. Adaira położyła mu dłoń na knykciach, ciepłą i krzepiącą, i przesunęła jego ręce do przodu, na linię pępka. Teraz ją obejmował, a jego palce znalazły się na gorsecie jej sukni.

Gdy dotarli na dziedziniec zamku, Jack był pewien, że postarzał się o kilka lat, a splątanych włosów już nigdy nie okiełzna żaden grzebień. Klacz zatrzymała się u wrót stajni i zarżała, oznajmiając ich przybycie. Dopiero wtedy bard rozluźnił swój kurczowy chwyt i puścił Adairę.

Zsiadła pierwsza, z gracją zeskakując na bruk, odwróciła się i wyciągnęła do niego rękę, bez słowa oferując mu pomoc.

Spojrzał na nią wilkiem, ale przyjął jej rękę, zaskoczony jej siłą i pewnością. Zsunął się niezgrabnie z końskiego grzbietu, skrzywił i wyprostował.

– Jutro wszystko cię będzie boleć – ostrzegła Adaira.

– Doskonale – mruknął, myśląc, że tylko tego mu brakowało.

Puścił jej dłoń i poszedł pierwszy, wiedział, dokąd Adaira chce go zabrać. Przez ogród przeszli w milczeniu i dotarli do komnaty muzycznej, miejsca, które zaczynał kochać. Otrzeptał swoje ubranie, zaś Adaira poprosiła służbę o podwieczorek.

– Wszystko dobrze, Jack? – Zerknęła na niego, kiedy szła do biurka.

Czyżby jednak zauważyła skutki ostatniej nocy?

– W porządku – odparł. – Chociaż spokojnie mogę poczekać kolejne jedenaście lat, zanim znowu wsiądę na konia.

Uśmiechnęła się, przekładając książki.

– Chyba nie mogę na to pozwolić.

– Nie?

Nie doczekał się odpowiedzi, ale chyba już jej nie potrzebował. Dostrzegł błysk zdecydowania w jej oczach, kiedy szła do niego z książką – kolejna jazda konna była tylko kwestią czasu.

– Proszę. Nuty znajdziesz między kartkami. – Adaira podała mu cienki tomik. – Rozumiem, że ze względu na Torina chciałbyś zrobić to jak najszybciej, ale jeśli potrzebujesz kilku dni na przestudiowanie muzyki, to daj sobie ten czas, Jack. Lepiej, żebyśmy byli przygotowani, kiedy wezwiemy duchy.

– Myślę, że najszybciej mogę być gotów za dwa dni – odparł, przyjmując książkę. Podziwiał okładkę, widział luźny pergamin między kartkami... Nie mógł się już doczekać spotkania z kolejną balladą Lorny. Zadrżał podekscytowany.

Dostał już to, czego potrzebował, i powinien odejść, a jednak nie potrafił się ruszyć, nie chciał tracić tak szybko towarzystwa Adairy... Podniósł oczy i napotkał jej spokojny wzrok.

– Wiem, że masz wiele do zrobienia – odezwała się. – Ale zostań przynajmniej na herbatę. Pozwól się poczęstować. Jesteś głodny?

Nie jadł dzisiaj śniadania, więc przytaknął. Dzień zaczął się od wtargnięcia Torina do pokoju i kończył złotym popołudniem w gabinecie Adairy. To wszystko wydawało się takie niesamowite.

Służący wniósł tacę z herbatą, podpłomykami, małymi pasztecikami, klinami sera i ciastkami owsianymi ze śmietaną i jagodami. Jack przyłączył się do Adairy przy stole, patrzył, jak nalewa jemu i sobie filiżankę herbaty. Przyjął ją, nałożył sobie smakołyk na talerz, a w jego głowie wirowały tysiące myśli.

Jedli tylko we dwoje. Mógł ją spytać o wszystko i wydawało mu się, że Adaira szczerze odpowie na każde pytanie, które odważy jej się zadać.

Tyle możliwości...

Chciał wiedzieć, czy ma jakieś wieści odnośnie do wymiany handlowej z Breccanami. Co robiła przez dziesięć lat, kiedy go nie było, i czy myślała o nim od czasu do czasu? Dlaczego nie wyszła za mąż, skoro Wschód aż kipiał od chętnych partnerów – czy dlatego, że chciała być sama? To było jak najbardziej w porządku, ale i tak się zastanawiał. I czy naprawdę chciała, żeby przez cały rok był ich bardem? A może chodziło jedynie o dobro klanu?

Chciał ją poznać – i ta świadomość była niczym ukłucie w boku.

Im dłużej przebywał na wyspie, im dłużej spał pod ogniem gwiazd i słuchał westchnień wiatru, im dłużej tu jadł i pił, tym gęstsza mgła przesłaniała jego pragnienia, aż w końcu nie mógł dojrzeć ścieżki, którą sobie wytyczył, bezpiecznej, zapewniającej mu cel i miejsce na stałym lądzie.

Zniechęcony, napił się herbaty.

Gdzieś w środku nadal pożądał tego bezpiecznego i przewidywalnego życia. Zostałby profesorem, zestarzał się, posiwiiał i stałby się jeszcze bardziej zręczliwy. Przekazywałby tajniki grania na instrumentach swoim studentom, uczyłby ich komponować muzykę.

Takie właśnie życie wyobrażał sobie dla siebie. Z minimalnym ryzykiem, szeregiem jednakowych dni i ujarzmioną muzyką. Wygodne, bezpieczne, *samotne* życie, bo nie znalazłby kochanki, która zniosłaby jego wyspiarską dziwaczność, jego dziką naturę.

Tego właśnie chciał?

– Jesteś nienaturalnie cichy, Jack – zauważyła Adaira, podnosząc filiżankę do warg; w kąciку jej ust została plamka śmietanki i teraz się na nią gapił. – Kiedyś oznaczałoby to, że coś knujesz.

Zamrugał i zadał jej najbezpieczniejsze ze swoich pytań – co zakrawało na ironię, skoro odnosiło się do ich wrogów.

– Czy Breccanie zgodzili się na propozycję handlu, dziedziczko?

– Tak. Ale przedstawili mi pewną prośbę.

– I jakąż to?

Oblizła usta i śmietanka zniknęła.

– Chcą, żebym odwiedziła Zachód.

Jack wziął to za żart i roześmiał się, ale zabrzmiało to dziwnie gorzko.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedziała ostro.

– Ani ja, Adairo. Może powinienem zaśpiewać ci balladę o Joan Tamerlain i o tym, jak jej los został przesądzony w chwili, w której postawiła stopę na Zachodzie? I o tym, jak Fingal, jej ponury mąż, i jego krwiożerczy klan doprowadzili do jej przedwczesnej śmierci?

– Znam historię mojej przodkini – powiedziała przez zęby. – Nie musisz mi jej śpiewać.

Poskromił sarkazm, bo widział, jak jej się to nie podoba, a chciał, żeby zrozumiała, co czuje.

Dopił herbatę, żeby dodać sobie odwagi, i spojrzał na Adairę, ale ona na niego nie patrzyła. Rozgniewana, odsunęła talerz i chyba chciała się podnieść.

– Adairo... – odezwał się łagodnie.

Znieruchomiała i spojrzała na niego.

– Tak?

– Rozumiem, że chcą gościć cię na Zachodzie, i być może warto byłoby przyjąć to zaproszenie. Byłabyś pierwszą z klanu Tamerlainów od prawie dwustu lat, która oglądałaby te ziemie. Być może pokój jest rzeczywiście w zasięgu ręki, a tobie pisane jest zjednoczyć wyspę. Z drugiej strony to może być nierozsądne, a Breccanie chcą cię skrzywdzić. Jesteś jedyną spadkobierczynią. Co stałoby się z klanem, gdybyś zginęła?

Milczała.

Nie zdołał nic odczytać z jej twarzy i spytał:

– A co myśli twój ojciec? Mówiłaś mu już o tym?

– O wizycie? Nie. Ale wyobrażam sobie, że jego rady byłyby dziwnie zbieżne z twoimi.

– Czy zatem bard nie może udzielać roztropnej rady?

Prawie się uśmiechnęła.

– Może staniesz się dla mnie jednym i drugim – bardem i doradcą?

– Czy to oznacza dwa razy większą zapłatę?

– Czy to oznacza, że przyjmujesz stanowisko Barda Wschodu?

– Biję się z myślami – odparł. – Ale nie o tym teraz rozmawiamy. Próbuję ci pokazać, że Breccanie mogą chcieć cię skrzywdzić, Adairo.

Odetchnęła.

– Nie sądzę, żeby tego właśnie chcieli.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Ponieważ oferuję im coś, czego nie mogą odrzucić. Potrzebują naszych zimowych spichrzów, naszych zapasów, gdy nadejdą chłody. Czemu mieliby mnie skrzywdzić, skoro jestem pierwszą z rodu Tamerlainów, która im to daje?

– Przecież i tak biorą to, co chcą, kiedy nadchodzi zima – protestował. – Nie potrzebują twojego pozwolenia.

– Ale może mają już tego dość i marzą o innym życiu, na wyspie, która nie jest już podzielona? – Wstała i podeszła do okna, Jack widział w szybie jej odbicie. – Za pięć dni mam się spotkać z Morayem Breccaninem na północnym wybrzeżu i przeprowadzić wymianę. To próba: zobaczymy, co Zachód może nam zaoferować, i sprawdzimy, czy są godni zaufania.

Jack słuchał bardzo uważnie, nie odrywając od niej wzroku. Czemu serce waliło mu tak, jakby przebiegł wschodnią część wyspy wzdłuż i wszerz? Chciał wykpić te wydumane fantazje o pokoju, ale już drugi raz ktoś skłaniał go do myślenia, że Cadence mogłaby się stać całością...

Tyle miał jej w tej chwili do powiedzenia, a jednak zamiast tego warknął:

– Kim jest Moray Breccanin?

– Dziedzicem Zachodu.

Genialnie, pomyślał Jack. Oczywiście, że dziedzic chciałby ją poznać.

– A więc: czy poprzesz mnie, jeśli zdecyduję się na wizytę? – zapytała.

– To zależy.

– Od czego, stary wrogu?

– Od tego, kogo weźmiesz ze sobą.

Znowu zamilkła, a on znów pomyślał, jak bardzo nie lubi takiej ciszy.

– Kogo wzięłabyś ze sobą? Torina i oddział strażników?

– Nikogo.

– Słucham?

Zatrzymała się i znów na niego spojrzała nieodgadnionym wzrokiem.

– Poprosili mnie, żebym przybyła sama na dowód zaufa...

– Och, u diaska! – krzyknął, zrywając się. Naczynia na stole zagrzechotały.

– Nie powinnaś nawet tego rozważyć!

– Wiem, że to brzmi nierozsądnie, Jack.

– To brzmi głupio i grozi śmiercią! Zapominasz, kim oni są!

– Nie zapomniałam i nie boję się ich! – krzyknęła, jakby tylko jej podniesiony głos mógł zamknąć Jackowi usta.

Tak też się stało.

Patrzył jej prosto w oczy i czuł, jak się cały spina.

Westchnęła, jakby zmęczona, i spokojnie mówiła dalej.

– Zatem radzisz mi, żebym nie jechała tam sama, jeśli w ogóle się na to zdecyduję. To zapewne oznacza, że będę potrzebować męża, zanim odwiedzę Zachód. W małżeństwie dwoje ludzi staje się jednością, prawda?

Tym razem Jack milczał. Poczł coś dziwnego, poczuł się tak, jakby usychał – ogarnęła go zazdrość, coś, czego rzadko doświadczał na kontynencie.

Może się rozchorował? Nie powinien był pływać nocą w oceanie... Ale gdy przypomniał sobie tę chwilę, kiedy razem wyrwali się na powierzchnię i Adaira się roześmiała, zrozumiał, że gdyby mógł cofnąć się w czasie, zrobiłby to jeszcze raz, i jeszcze, że skoczyłby za nią w morze. Może chodziło o to, że winien był jej oddanie jako przyszłej lairdess, a może wynikało to zupełnie z czegoś innego? Czegoś, co zbudziło jego duszę, rozdmuchało żar, rozpałiło w nim stary ogień...

Bogowie! Wciągnął ostro powietrze; musiał zdusić to uczucie już teraz, zanim się do końca wykluje, nim wyrosną mu skrzydła.

A może raczej pozwolić mu polecieć.

Gdyby ją poślubił, musiałyby zapomnieć o kontynencie, zrezygnować z planów, profesury, zostać z żoną i spędzić resztę życia na Cadence. W pierwszej chwili ta myśl przeszła go chłodem, zmroziła jego dumę – całe lata nauki i pracy zmarnowane! A potem Jack napotkał spojrzenie Adairy.

Nie, nie byłyby zmarnowane. Bo stałyby się Bardem Wschodu, ta wieża muzyczna należałaby do niego, a on grałby pieśni dla dzieci, takich jak Frae, i dorosłych, takich jak Mirin. Za dnia należałby do klanu, ale w nocy, gdy na niebie płoną gwiazdy, kładłby się obok Adairy i należałby tylko do niej, tak jak ona należałaby wyłącznie do niego.

Adaira nadal przyglądała mu się uważnie, studiując wyraz jego twarzy.

Przełknął ślinę. Czy ujrzała to samo? Wizję, w której stają się jednym, połączeni, związani, należący do siebie... Wtedy rzeczywistość powróciła do niego jak zimna fala. *Nie, na pewno nie*, pomyślał, a strach i pożądanie wzbierały w nim, ścierając się ze sobą. Na pewno nie pragnęła go w taki sposób, nawet jeśli powietrze między nimi iskrzyło. Na pewno zrobiłby głupstwo, gdyby się zgodził. W tym momencie Adaira uśmiechnęła się, a on pomyślał, że może by się i zgodził... Wyłącznie z poczucia oddania i obowiązku. Oczywiście, gdyby w ogóle go poprosiła.

– Nie pozwól, bym zajmowała ci czas i odrywała od muzyki, bardziej – powiedziała.

Chciała, żeby poszedł.

Wzburzony, zabrał ze stołu książkę. *Nie bądź śmieszny*, mówił sam sobie. *Adaira miałaby cię prosić, żebyś ją poślubił?* Pewnie nawet w ogóle nie brała go pod uwagę.

Nie skłonił się jej, nie powiedział nic na pożegnanie. Zbyt wściekły na uprzejmości, wyszedł szybko, a drzwi trzasnęły za nim.

To, że oprócz niego w ogrodzie jest również Alastair, ojciec Adairy, Jack odkrył dopiero wtedy, gdy prawie się z nim zderzył. Laird stał na kamiennej ścieżce obok róż, jakby czekał, aż Jack wyjdzie z wieży.

– Panie. – Bard stanął gwałtownie.

Alastair obdarzył go słabym uśmiechem.

– Jack. – Spojrzał na książkę w rękach Jacka. – Widzę, że masz muzykę Lorny.

Jack zawahał się, nagle czując się niezręcznie.

– T-tak... Dała mi ją Adaira.

Alastair zaczął iść chwiejnie i powoli.

– Chodź, Jack. Chciałem z tobą zamienić kilka słów.

Bardowi zasupał się żołądek. Poszedł za lairdem do zamkowej biblioteki; drzwi zamknęły się za nimi, izolując ich w ogromnym pomieszczeniu, pachnącym skórą i starym pergaminem. Alastair poszedł do dwóch foteli przy kominku, gdzie mimo letniego upału płonął ogień.

– Siadaj, Jack – odezwał się laird. – Nie zajmę ci dużo czasu.

Jack zajął miejsce, ostrożnie kładąc kompozycję Lorny na kolanach. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie, patrzył, jak laird nalewa im odrobinę whisky. Dłonie mu drżały, kiedy podał szklanekę Jackowi.

– Sidra mówi, że raz dziennie mogę się kapkę napić. – Uśmiechnął się. Wydawał się jeszcze bledszy i jakby chudszy, chociaż Jack widział go tak niedawno. – Staram się zachować tę przyjemność na specjalne okazje.

– Jestem zaszczycony, panie.

Alastair ostrożnie opuścił się na fotel i obaj napili się whisky.

Jack nie wiedział, czy Alastair poczuł niezadowolenie, czy ulgę na widok muzyki Lorny, i zastanawiał się, co mógłby powiedzieć, gdy laird przerwał ciszę.

– Morze było dzisiaj spokojne. Rozumiem, że poprzedniej nocy grałeś *Pieśń przyływów*?

– Tak, panie.

Alastair odchylił się w fotelu, uśmiechnął nostalgicznie.

– Dobrze pamiętam tamte czasy. Dni i noce, kiedy stałem blisko Lorny, słuchając, jak śpiewała dla duchów. Robiła to dwa razy do roku, raz dla morza i raz dla ziemi, żeby utrzymać łaskę duchów dla nas na Wschodzie... – Zamilkł, zatopiony we wspomnieniach, a jego ciemne oczy widziały teraz coś innego... Zamrugał, wracając do teraźniejszości, przeniósł ciemne oczy na Jacka. – Chciałem posłać ci wiadomość wcześniej, wkrótce po śmierci Lorny, lecz Adaira kazała mi poczekać. Nie przestawała wierzyć, że w końcu powrócisz tu z własnej woli.

Jack poruszył się, dłonie zaczęły mu się pocić. Nie wiedział, co powiedzieć, co myśleć o tej nadziei.

– Czy moja córka widziała, jak muzyka na ciebie oddziałuje? – Alastair zniżył głos.

– Nie, panie.

– Zdołałeś ukryć przed nią ból i krew?

Jack skinął głową.

– Powinienem był?...

– Ona nie wie o kosztach władania taką magią – przerwał mu delikatnie Alastair. – Nigdy jej nie powiedziałem, a Lorna trzymała efekty uboczne w tajemnicy.

– Powiedziałeś, panie, że Lorna grała dla duchów tylko dwa razy w roku? – spytał Jack z wahaniem.

– Tak. Jesienią dla morza, a na wiosnę dla ziemi. To część jej roli jako Barda Wschodu, choć klan nic o tym nie wiedział. – Nie wspomniał, żeby Lorna śpiewała dla ognia albo wiatru, pewnie nie bez powodu. – To dlatego wierzyłem, że duchy porywają nam dzieci; minęło dużo czasu, odkąd bard dla nich śpiewał; uznałem, że się gniewają.

Jack spojrział na książkę, skrywającą pergaminy z nutami, i poczuł się ich niegodny. Tak chciałby móc jeszcze raz zobaczyć Lornę, porozmawiać z nią jak muzyk z muzykiem...

– Adaira nie wie, co się z tobą dzieje, gdy grasz dla duchów. – Alastair przerwał zadumę Jacka. – Ale odkryje to, jeśli zdecydujesz się zostać Bardem Wschodu. Ta pozycja to wielki zaszczyt, ale zanim się zdecydujesz, dobrze się zastanów.

– Rozważę wszystko, o czym mi powiedziałaś, lairdzie – rzekł Jack. – I dziękuję, że mi powierzyłeś muzykę Lorny.

– Ona na pewno by właśnie tego chciała, cieszyłaby się, że grasz jej pieśni, i chciałaby zobaczyć, jak komponujesz własne.

Jack poczuł się zawstydzony. Przez całe swoje życie sądził, że nikt nigdy nie widział w nim nic wartościowego. A jednak Lorna Tamerlain to dostrzegła. I nawet poprzez swoją śmierć dawała mu wyjątkową szansę.

– No cóż. – Alastair sięgnął po karafkę whisky. – Już i tak długo cię zatrzymałem.

Jack wstał i zostawił lairda w bibliotece z drugą kapką whisky, obiecawszy nic nie mówić Sidrze. Zatrzymał się na dziedzińcu, gdzie hulał wiatr od

morza, i wziął głęboki wdech. Stał na omszałych kamieniach z zamkniętymi oczami i próbował uspokoić serce. Nie wiedział, jak długo tak tkwił, ale w końcu przypomniał sobie o tym, co ma zrobić, i zaintrygowany otworzył książkę, prześledził kompozycję Lorny. *Ballada dla ziemi.*

Muzyka zajmowała kolejne strony i była o wiele bardziej złożona niż ballada dla oceanu. Na dole ostatniej strony zauważył instrukcję. Ostrzeżenie, które dawało do myślenia.

Grać z najwyższą ostrożnością.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



Nie chciała oszukiwać Graeme'a, ale nie potrafiła pozostać u niego ani minuty dłużej – w południe przekonała go, żeby pozwolił jej wrócić do domu. Chciała się przebrać i zebrać zioła, żeby móc pracować, kiedy będzie czekała na Torina i jego wieści.

Ominęła wzgórze i podeszła do drzwi frontowych od strony drogi.

Na schodku przed domem piętrzyły się przykryte naczynia. Zupy, placki, bochenki *bannocks*, kremowa owsianka, ciasta, kiszone warzywa i owoce. Wpatrywała się w to wszystko zdumiona, zanim zrozumiała, że są dla niej, ponieważ Maisie zaginęła.

Jedzenie tylko jeszcze bardziej urealniło to, co się stało; ocierając łzy z twarzy, Sidra nie bez trudu zniosła wszystko do kuchni. Napiła się whisky i zjadła jedno ciastko owsiane Graeme'a, tylko na to pozwolił jej organizm. Żołądek miała związany w supeł. Dlaczego Torin nie rozumiał, że po prostu musi przejść się po wzgórzach, bo siedzenie i czekanie ją wykańczało? Musiała poszukać Maisie.

Zanim przeniosła do środka wszystko, co jej przyniesiono, i zamknęła drzwi wejściowe, zrobiło się południe. Sidra wpatrywała się w milczącą komnatę. W plamy światła na podłodze. Drobinki kurzu wirujące w powietrzu.

Bez Maisie było tutaj tak cicho... Zupełnie jakby domostwo straciło serce.

Usiadła przy kuchennym stole, oparła twarz na dłoniach i raz po raz odtwarzała w myślach wczorajsze wydarzenia. Co mogła zrobić inaczej? Przypomniała sobie ostrzeżenie Donelli: ona widziała, że mężczyzna już do nich idzie, wiedziała, że chce porwać Maisie.

Sidra podniosła głowę i szepnęła:

– Donella? Możesz się ze mną spotkać?

Czekała.

Duch rzadko odwiedzał ją częściej niż dwa razy w jednej porze roku i nigdy nie zjawiał się na zawołanie, ale Sidra wierzyła, że Donella znajdzie jakiś sposób, skoro chodziło tu o jej córkę.

Ale cisza trwała dalej, a potem ktoś zapukał do drzwi. Nie odpowiedziała, wciąż czekając na ducha.

Donella nie przyszła.

Niedługo będzie ją wzywał Graeme; Sidra westchnęła, zaczęła zbierać zioła – i wtedy je zobaczyła. Dwa czerwone kwiatki. Kwiaty Orenny.

Wzięła jeden w dłonie, oglądając jego małe płatki. Jak głosiła legenda, zjedzenie jednego oznaczało zdobycie sekretów ducha...

Bez chwili wahania włożyła kwiat do ust i połknęła.



Początkowo nie czuła nic. Kwiat miał smak oszronionej trawy z nutką żalu. Ale potem wciągnęła powietrze, raz i drugi, zupełnie jakby wdychała zimne zaklęcie.

Wstała, poruszyła dłońmi, czując w palcach mrowienie. Zamrugła i zobaczyła w powietrzu złote nitki. Pomyślała, że ma halucynacje, dopóki nie wyszła tylnymi drzwiami i nie zobaczyła ogrodu.

Widziała życie roślin, słaby blask ich istoty. Widziała linie biegnące głęboko w glebie – korzenie, wchodzące w katakumby zawiłych korytarzy. Widziała smugi w chmurach, szlaki wiatru.

Stała w tej glorii i chłonęła ją.

Moje oczy są teraz otwarte, pomyślała. Widzę oba królestwa.

Znajdowała się w świecie śmiertelników i domenie duchów jednocześnie, widziała, jak się nakładają. Ruszyła, jej bose stopy z szeptem dotknęły trawy. Przy każdym kroku czuła głębię ziemi, jej łagodny uśmiech i nieugiętą dumę. Czuła się nieważka, jakby nic nie mogło jej utrzymać.

Odwróciła się i spojrzała za siebie – jej stopy nie zostawiały żadnych śladów na ziemi ani na trawie.

A więc tak to zrobił, pomyślała. Dlatego nie zostawia śladów. Zjada kwiat i porywa nasze dziewczynki.

Zaczęła wracać na wzgórze, chociaż przyprawiało ją to o dreszcze, pot perlił jej się na czole, kiedy badała zgnieciony wrzos. Widziała, jak duch

płakał, gdy się przewróciła i kiedy spadała, jego łzy złościły się na trawie. Znów przeszukała okolicę i dostrzegła miejsca, w których Torin i jego strażnicy zaznaczyli początki czegoś, co uważali za ślad: wyglądało na to, że porywacz niósł Maisie na południe, ale Sidra nie była pewna.

Szła za palikami, którymi strażnicy wytyczyli ścieżkę, mając nadzieję, że nie natknie się na Torina. Jeszcze w domu Graeme'a zmyła krew z włosów i opatrzyła własne obrażenia, przebrała się nawet w luźniejszą, pasującą szatę Emmy i owinęła się wełnianą peleryną Graeme'a, żeby się ogrzać, ale zdawała sobie sprawę, że nadal wygląda dziko.

Nie przejmowała się.

Szła przez wzgórze, czując, że porusza się teraz szybciej, trzy razy szybciej niż normalnie, prawie się roześmiała, czując, jak buzuje w niej magia. Wyczuwała ludzi: dwa kilometry dalej, po prawej, było czterech strażników, po lewej, pięć kilometrów dalej, stała zagroda. Czowała te odległości w sobie i mogła się przemieszczać z dala od ludzi.

Szybko natrafiła na koniec wyznaczonej ścieżki, postanowiła iść dalej na południowy zachód, podążając za nitkami złota w trawie i powietrzu. Doprowadziły ją do zagajnika brzoź; zatrzymała się, zdezorientowana, gdy złota esencja rozbłysła fioletem na jednym pnieniu. Wyczuła pannę w tej brzozie; słyszała jej cichy lament – duch został ranny.

Sidra wyciągnęła palce, by dotknąć kory...

Nie dotykaj jej!, zagrzmiął głos w ziemi. Słowa przemknęły przez ciało Sidry i zabrała rękę, zanim zdążyła pocieszyć brzozową pannę.

Odsunęła się o krok, wyczuwając w tym miejscu smutek; drzewa były w udręce, a ona nie wiedziała dlaczego.

Szła dalej; było tyle różnych ścieżek, którymi mogła podążać, i nie miała żadnej pewności, że wybrała właściwą.

– Możecie zaprowadzić mnie do mojej córki? – zapytała, ale nie otrzymała odpowiedzi, chociaż wyczuwała nieufną uwagę duchów. – Możecie mi pokazać, gdzie ona jest?

Nagle poczuła, jak bardzo chce jej się pić. Nie mogła myśleć o czymś innym, zamknęła oczy, próbując odnaleźć najbliższego ducha wody. Wyczuła cichą, zimną obecność niewielkiego jeziora, tuż za wzgórzem, szybko je znalazła: wąskie, głębokie, niemal niewidoczne w odosobnionej dolinie.

Nie była tu nigdy wcześniej i słyszała, jak głos babci odbija się echem w jej pamięci.

Nigdy nie pij wody z nieznanых jezior.

Ale była tak spragniona! Jej usta i jej dusza potrzebowały orzeźwienia, uklękła więc na brzegu i nabrała w dłonie czystą, lodowatą wodę. Wzięła pierwszy łyk – słodki, jakby zmieszany z miodem; pociągnęła jeszcze jeden i wtedy dostrzegła w wodzie złotą przedzę, niteczki lnianych włosów. Zaalarmowana opuściła dłonie i spojrzała dalej, gdzie pojawiały się banieczki powietrza.

Maisie.

Maisie była w wodzie, trzymana tuż pod powierzchnią!

Sidra krzyknęła i zerwała z siebie pelerynę. Wbiegła do jeziora i zanurkowała, cięła wodę rozpaczliwymi pociągnięciami.

Już prawie dosięgła Maisie, gdy zrozumiała, że jej córka jest znacznie niżej, niż myślała. Zaklęła w myślach, wynurzyła się, żeby nabrać powietrza, i podążyła za złotymi smugami w dół, w głąb ciemnej wody.

I za każdym razem, kiedy wyciągała rękę, by chwycić Maisie, dziecko znajdowało się poza jej zasięgiem. Dziewczynka spadała coraz bardziej w głąb, jakby coś ciągnęło ją do środka jeziora, a Sidra z płonącymi otwartymi oczami raz po raz wyciągała rękę do córki, raz po raz bezskutecznie.

Płuca zaczęły ją palić, prawie nie miała już powietrza...

Spojrzała w górę – powierzchnia była daleko – zawahała się, jej czarne włosy plątały się jak jedwabne nitki na twarzy.

Kątem oka dostrzegła ruch – nie była sama, zobaczyła zbliżającego się ducha wody. Kobieta o półprzezroczystej skórze, ciemnoniebieskich płetwach i wielkich oczach z pionowymi źrenicami. Miała spiczaste zęby i długie jasne włosy, wyraźnie widoczne w tej ciemnej wodzie.

Strach i oburzenie wybuchły w Sidrze jak ogień.

To podstęp. Zwodzi mnie.

Zacisnęła powieki i zaczęła machać nogami, płynąc ku powierzchni. Czuła, jak wyciągają się do niej nitki ducha, jak proszą, żeby została, zatopiła się w miejscu, gdzie świat zrzucił swoją starą skórę, żeby odrodzić się w głębiach jeziora.

Rozpaczliwie płynęła w górę, woda robiła się cieplejsza; otworzyła oczy i podążyła za wyraźną wstęgą złota, jakby inny duch nakłaniał ją do wynurzenia. Bąbelki uciekały z jej ust, gdy walczyła o to, żeby je zamknąć, by nie nabrać w płuca haustu wody.

Nie zdołam...

Pomyślała o Torinie, ujrzała go zrozpaczonego na cmentarzu, jakby strzaskała ostatni jego kawałek.

Przebiła się na powierzchnię i wciągnęła powietrze.

Dygocząc, dopłynęła do brzegu, wyczołgała się po omszałych skałach z kaszlem i szlochem, leżała, czekając, aż serce się uspokoi. Duch wody ją oszukał, zrobił z niej głupca... Zasłoniła twarz i wybuchła płaczem. Tłumiła w sobie łzy od kilku godzin, teraz pozwoliła im płynąć.

Kiedy skończyły jej się łzy, zauważyła, że zrobiło się późno.

Wskoczyła do jeziora, kiedy słońce było w zenicie, teraz zachodziło za wzgórze, zostawiając tylko smugę światła na horyzoncie. Gwiazdy mrugały w górze i Sidra z trudem podniosła się, stanęła na chwiejnych nogach.

Ile czasu straciła? Ile dni minęło?

Spanikowana, zaczęła spieszyć do domu. Efekt kwiatu Orenny zniknął, drenując ją z energii; nie widziała już królestwa duchów, a głowa pękała z bólu.

Duchy ziemi musiały się nad nią ulitować, choć Sidra niechętnie im ufała – pięć wzgórz stało się jednym, kilometry się zagaściły, a skały ustąpiły, pozwalając jej szybko wrócić do zagrody.

Chciała pójść od razu do Graeme'a, pewnie się martwił jej długą nieobecnością, ale zauważyła światło w swoim domu.

Zatrzymała się – kto mógł w nim być? – i podążyła za światłem. Weszła przez tylne drzwi.



Torin siedział przy stole, czekając na powrót Sidry.

Czekał od godziny. Wykończony, z pękniętym sercem po długim dniu poszukiwań, poszedł o zmierzchu do Graeme'a i myślał tylko o tym, jak bardzo chce objąć, przytulić Sidrę.

Ale jej tam nie było.

Ojciec mówił z niepokojem, że w południe poszła do domu po zioła i już nie wróciła. Adaira chciała ją odwiedzić, ale Sidry nie było – Graeme przypuszczał, że została wezwana do jakiegoś pacjenta.

Torin zdławił panikę i popędził do siebie ze wzgórza – ale w domu zastał chłód, ciemność i mnóstwo nietkniętego jedzenia.

Nie wiedział, dokąd poszła, ale domyślał się, że szukała Maisie. Widział determinację w jej oczach, gdy się rozstawali, widział, jak wzburzył ją jego ostry rozkaz. Kapitan był teraz tak wyczerpany, że po prostu czekał na jej powrót w nadziei, że noc ściągnie ją do domu. On sam nie mógł już dziś dłużej szukać.

Zapalił świecę.

Patrzył na rozrzucone na stole zioła. Były dla niego zupełną tajemnicą.

Zobaczył zabawki Maisie, leżące w koszyku przy palenisku. Zamknął oczy, nie mógł znieść ich widoku.

Kocięta miauczały przy tylnym wejściu; zgrzytnął zębami, ale nalał mleka do miski, postawił ją na schodku.

Krążył niespokojnie po izbie, ale w końcu znów usiadł. Nie spał od dwóch dni, ledwo widział na oczy, a tego popołudnia sam się wykończył.

Moja córka zaginęła.

To było takie nierzeczywiste. Coś takiego przytrafiało się innym, lecz nie jemu.

Myślałeś tak samo, gdy umarła Donella, prawda?

Czuł się odrętwiały i zastanawiał się, kiedy to naprawdę do niego dotrze i co jeszcze mógłby zrobić. Przeszukał dom po domu, chatę po chacie, wszystkie zamkowe komnaty. Obejrzał dziesiątki pleców, szukając ранnego mężczyzny, nie znalazł ani jego, ani odpowiedzi, której szukał.

Pomyślał o Jacku i o tajemnicy, którą Adaira wyjawiała mu wcześniej.

Bard był ostatnią nadzieją Torina.

Myślał o tym, jak dawno nie słyszał muzyki, gdy tylne drzwi skrzypnęły – Torin zeszywniał, spojrział w stronę progu.

Weszła Sidra.

Była bosa i przemoczona do suchej nitki – przez moką koszulę Torin widział wszystkie linie i krągłości jej ciała – i wyglądała tak, jakby przed

chwilą się obudziła i nie miała pojęcia, co się stało, kiedy drzemała.

Zobaczyła go przy stole, zamknęła drzwi i zrobiła kilka kroków, ale nie podeszła blisko. Jej długie włosy ociekały wodą.

– Gdzie byłaś? – spytał. W jego głosie przebił się gniew – tak bardzo się o nią bał.

Sidra otworzyła usta, ale nie padły żadne słowa. Dygotała i Torin poczuł ból. Widział sińce na jej piersi, tam, gdzie napastnik ją kopnął.

Zacisnął pięści pod stołem.

– Sidra...

– Szukałam Maisie – powiedziała, spuszczać wzrok.

Wpatrywał się w nią, usiłując zrozumieć, co przed nim ukrywała.

Potrafił czytać z jej twarzy od chwili, kiedy ją poznał. Była kobietą o otwartym sercu, szczerą, prawdziwą i nieustraszoną. Pamiętał noc, kiedy po raz pierwszy trzymał ją w ramionach, dotykał jej nagiej skóry, kiedy zaprosiła go do swojego łóżka, miesiąc po ślubie. Pamiętał zachwyty i rozkosz w jej oczach, gdy na niego patrzyła.

Przyglądał jej się teraz, gdy stała tutaj jak ktoś obcy, i nie umiał nic odczytać z jej twarzy. Nie wiedział, co ona myśli, co czuje, zupełnie jakby pomiędzy nimi wyrósł mur.

Podniosła na niego wzrok, jakby również czuła ten dystans, i spytała z rezerwą:

– Dlaczego tu jesteś, Torin?

– Przyszedłem, żeby być z tobą tej nocy, Sidra.

Zamrugła, zaskoczona, a do niego dotarło, jak niewiele nocy spędzili razem, nocy, często dzielonych z Maisie, która spała między nimi.

– Och... Nie... nie musiałeś.

Patrzył na nią, czując, jak krew huczy mu w skroniach. Chciała, żeby wyszedł?

– Mogę wyjść, jeśli wolisz.

– Nie, nie... Zostań, Torin. Nie powinniśmy być dzisiaj sami... I jest coś, o czym musisz wiedzieć.

Czemu nagle opadł mu żołądek? Torin przygotował się i wskazał na dziesiątki naczyń rozstawionych w całej kuchni.

– Oboje powinniśmy coś zjeść, ale najpierw musisz się przebrać, włożyć coś suchego.

Przytaknęła i poszła do sypialni, a Torin rozejrzał się, żeby sprawdzić, co mieli do jedzenia, i przyniósł na stół *bannock*, kociołek z zimnym gulaszem i butelkę wina, uważając, by nie naruszyć ziół Sidry.

Wróciła szybko, ubrana w koszulę sięgającą do podłogi; Torin zauważył, jak mocno zasznurowała ją na górze, żeby ukryć siniaki na piersi, jakby ich zupełnie nie było, i poczuł, jak ból przebija mu brzuch niczym włócznia. Nie chciał, żeby musiała coś przed nim ukrywać.

Spojrzała na gulasz.

– Mam go podgrzać?

Powinien był sam o tym pomyśleć; bez słowa rozpałił ogień w palenisku, Sidra zawiesiła kociołek na haku. Czekali, aż jedzenie się zagrzeje, Torin zerknął na nią.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – przypomniał.

– Tak. – Wzdrygnęła się i roztarła ramiona. – Wiem, co robi kwiat Orenny.

Patrzył, nie rozumiejąc, dopóki nie pokazała mu czerwonego kwiatka, tego, który nie tak dawno jej przyniósł.

Powoli opowiedziała mu o wszystkim. O legendzie, którą przeczytała w zniszczonej książce. O tym, jak przyszła do domu tylko po zioła i zmieniła plany, widząc karmazynowy kwiat. Jak smakowały płatki i jak otworzyły jej oczy na królestwo duchów.

Torin, najpierw wstrząśnięty, teraz zrobił się zły.

– Powinnaś była najpierw porozmawiać ze mną, Sid, zanim to zjadłaś. A co, gdyby był trujący?

Milczała, a w jej oczach czaiło się coś znacznie, znacznie gorszego.

– Myślę, że to mnie uratowało, Torin.

Słuchał o tym, jak płynęła za złudzeniem w głąb jeziora, i zlodowaciał z przerażenia. Wyobraził sobie, jak schodziła coraz niżej, coraz głębiej w ciemność, by wrócić po upływie stu lat, tak jak tamta kobieta, którą spotkał w chacie. Nie żyłby od dawna, jego kości zmurszałyby w grobie i nigdy by się nie dowiedział, co ją spotkało. Straciłby córkę i żonę w ciągu jednego dnia i to by go zabiło.

– Początkowo nie rozumiałam, że to tylko sztuczka – szeptała Sidra. – Ale potem zobaczyłam ducha, który chciał zostawić mnie w jeziorze, i tego, który pragnął, żebym wypłynęła. Gdyby nie Orenna, być może nadal pływałabym w tej głębinie... – Jej wzrok padł na ogień; gulasz zabulgotał, ale żadne z nich nie podeszło, by zdjąć go z paleniska. – Przepraszam, Torin. Nie chciałam, żebyście się z Graeme’em martwili, ale musiałam zrobić coś, żeby znaleźć Maisie. Nie zdawałam sobie sprawy, że minęło aż tyle czasu, wskoczyłam do jeziora w południe, a wypłynęłam o zmierzchu. Tak wierzyłam, że Maisie jest tam, w wodzie, wyglądało to zupełnie jak ona...

Torin wyciągnął rękę i pogładził jej włosy.

– Nie wracaj tam, Sidro. Nigdy już nie wracaj do tamtego jeziora.

Popatrzyła na niego i zobaczyła w jej oczach skruchę i żal, ale i bunt, i wiedział, że nie może jej rozkazywać, nawet jeśli miałoby go to boleć.

Odwróciła się, żeby zdjąć kociołek, nie pozwalając mu mówić dalej, zaniósła garnek do stołu, postawiła dwie miski.

Torin usiadł naprzeciw niej; próbował jeść, ale gulasz miał smak popiołu. Ułamał kawałek *bannocka* i podał Sidrze, widział, że i ona nie może jeść, nieuważnie rozgarnia swój gulasz łyżką.

Gdy postanowili się położyć, Torin miał w żołądku pełno kamieni.

Sidra zgasiła ogień, wsunęła się do łóżka, odwróciła się do niego plecami. Torin powoli zdjął buty i brudne ubrania i położył się obok niej. Zdmuchnął świecę i wpatrywał się w ciemność; Sidra leżała tyłem do niego, a odległość między nimi była jak przepaść.

Nie wiedział, jak ją przekroczyć, jak pocieszyć Sidrę, kiedy jego własna dusza była w rozpacz. Myśli, które dręczyły go za dnia, teraz również nie dawały spokoju. Wyobrażał sobie Maisie, przerażoną, skrzywdzoną. Gdzie ona była? Czemu nie mógł jej znaleźć?

Poczuł, jak jego ciało spina się jeszcze bardziej, nie mógł złapać oddechu, panika tłukła się w klatce jego żeber niczym skrzydlaty stwór, chciała go przejąć, ale on skupił się na tym, co wokół niego – miękkim materacu, zapachu lawendy na poduszce, na oddechu Sidry.

Pociągnęła nosem, jakby płakała i chciała to przed nim ukryć.

Myśli Torina wróciły do niej. Chciał jej dotknąć, ale nie wiedział, czy ona też tego chce. Skrępowany niepewnością, leżał nieruchomo i słuchał w bólu, jak cichnie, jak przestaje płakać.

Przypomniał sobie, jak zobaczył ją pierwszy raz cztery lata temu.

Jechał przez dolinę Stonehaven, gdzie bywał rzadko, to było jedno ze spokojniejszych miejsc na wyspie, zamieszkane przez pasterzy i wędrujące stada. Ostatni raz patrolował dolinę w pierwszym roku swojej służby w straży, a jednak tego dnia, wracając już z objazdu, wybrał właśnie ją.

Myślał o Maisie. Miała osiem miesięcy i w ciągu dnia opiekował się nią Graeme, ale ten układ nie mógł trwać wiecznie. Torin wiedział, że mógłby zrobić coś lepszego dla swojej córki. Że powinien.

Jego ogier, spłoszony cieniem, grą wiatru w gałęziach dębu, zrzucił jeźdźca z siodła i Torin wyładował twarzą w ziemi, czując, jak pulsuje mu lewy bark. Kiedy ostatni raz spadł z konia? Nie potrafił sobie przypomnieć.

Zmartwiały, wstał szybko i otrzepał się z nadzieją, że upadek widziały jedynie duchy, i zrozumiał, że ma zwichnięty bark. Zacisnął zęby.

Jeden z młodszych strażników pojawił się na drodze za nim.

– Przyprowadzić twojego konia, Torin?

– Nie.

Ogier podchodził do jednego z pasterskich domów, Torin dał znak strażnikowi, by jechał dalej, a sam ruszył po konia.

– Dobrze się składa! – zawołał za nim strażnik.

– Co takiego? – wymruczał Torin.

– Mieszka tam Senga Campbell z wnuczką.

Senga Campbell była zamkową uzdrowicielką, osobiście zajmowała się lairdem i jego rodziną i słynęła ze swoich umiejętności. Torin nie wiedział, że miała wnuczkę, i nie zrozumiał, co sugeruje mu jego strażnik.

– Świetnie. Czyli ma wnuczkę. – Torin podniósł rękę, krzywiąc się z bólu.

– Wiesz, jej wnuczka też jest uzdrowicielką i na pewno z przyjemnością nastawi ci bark... – Strażnik pojechał dalej rozbawiony, Torin zaklął i poszedł na podwórze Campbellów.

Dom wydawał się cichy, jakby nikogo nie było w środku. Torin stanął jak wryty, kiedy zobaczył ogród. Nigdy nie widział lepiej utrzymanego i piękniejszego warzywnika.

Przywiązał konia do bramy i poszedł do drzwi wejściowych, płosząc kota. Zapukał i nasłuchiwał, czy ktoś porusza się w domu.

Drzwi otworzyła Sidra.

Ubrana była w prostą, samodziałową suknię, na policzku miała smugę brudu. Długie czarne włosy spadały na ramiona, w ich lokach zabłąkał się kwiat. Wszystkie myśli rozpięchły się i osłupiały. Torin stał na progu bez słowa.

– Kto przyszedł, Sidra? – usłyszał z głębi domu głos Sengi.

– Nie wiem, jak się nazywa – odpowiedziała Sidra, a Torin przeżył szok. Nie przypuszczał, że ktoś może go nie znać, był bratankiem lairda i cenionym członkiem Straży Wschodu... – To mężczyzna, a jego koń właśnie wyjada marchewki w moim ogrodzie.

Torin się zaczerwienił.

– Wybacz... Ale wydaje mi się, że zwichnąłem sobie bark.

– Wydaje ci się? – powtórzyła i spojrzała na jego ramię. – Ach, tak. Rzeczywiście sobie zwichnąłeś. Wejdz do środka. Babcia ci pomoże...

– Czyżby to był Torin Tamerlain? – spytała Senga, rozpoznawszy jego głos.

Wszedł za Sidrą do chaty i zobaczył czcigodną uzdrowicielkę: siedziała przy stole, zgniatając zioła w moździerz. Ale to nie ona nastawiła mu bark. Zrobiła to Sidra.

Bardzo wyraźnie poczuł dotyk jej dłoni przez rękaw i zaskoczyło go to. Od tak dawna był odrętwiały, przez osiem miesięcy wegetował, a teraz dłonie Sidry stały się światłem słońca, które wypaliło otulającą go mgłę.

– To było coś zupełnie niezwykłego – powiedział, gdy Sidra zawiązała mu chustę na ramieniu. – Mam na myśli to, że koń zrzucił mnie z siodła, nie pamiętam, kiedy ostatni raz spadłem. Wiesz, coś takiego przytrafia mi się bardzo rzadko... A może nie wiesz, skoro widzisz mnie po raz pierwszy... – Jąkał się, jakby słowa kłuły go w język.

Sidra tylko się uśmiechnęła.

Jej babcia przysłuchiwała się rozmowie, chociaż siedzieli po drugiej stronie izby, obok tłącego się żaru paleniska. Senga przestała miażdżyć zioła i w domu zapadła cisza. Torin słyszał tylko śpiew ptaków, wpadający przez uchylone okiennice, i mruczenie trzybarwnego kota, leżącego na złożonym pledzie.

– Czemu nigdy wcześniej cię nie widziałem? – szepnął do Sidry.

Popatrzyła na niego, jej oczy miały kolor miodu z dzikich kwiatów. Miała piegi na policzkach, na nosie, jeden w kąciку ust.

Czuł, że powinien ją znać, że powinien pamiętać, czy widział ją już wcześniej, czy nie. Jej babcia często odwiedzała miasto i zajmowała się jego wujem i kuzynką. Czy nie powinna zabierać ze sobą uczennicy?

– Muszę powiedzieć – zaczęła Sidra cichym głosem – że widziałam cię już wcześniej, Torinie Tamerlainie. Lata temu, kiedy lady Lorna jeszcze żyła i grała dla klanu w wieczory biesiadne w sali zamkowej. I wydaje mi się, że ty i ja należeliśmy wtedy do różnych kręgów, prawda?

Nie wiedział, co powiedzieć... Miała rację. Co jeszcze przeoczył i pominął w przeszłości?

– A teraz? Czy teraz też bywasz w mieście, Sidro Campbell?

Odwróciła wzrok, dotknęła miski z ziołami, jakby potrzebowała tej chwili przerwy, i odpowiedziała:

– Moja babcia opiekuje się w mieście lairdem i jego córką. Ja zostaję w dolinie, żeby pomagać pasterzom i gospodarzom.

– I zapewne takim głupcom jak ja.

Uśmiechnęła się jeszcze bardziej, w lewym policzku ukazał się dołeczek.

– Tak... Takim jak ty również. – Świadoma obecności babci, powiedziała: – Pozwól, że odprowadzę cię do drzwi.

Torin poszedł za nią i zapytał, ile jest winien.

– Nic – odparła, opierając się o framugę drzwi. – Najwyżej kosz marchewek.

Nazajutrz Torin wysłał jej dwa kosze: jeden w zamian za te, które zjadł koń, i drugi, by wyrazić jej swoją wdzięczność.

Tak właśnie połączyła ich wyspa.

Sidra poruszyła się w łóżku, słuchał, jak obraca się na plecy, i poczuł ciepło jej ciała, gdy się dotknęli. Zesztywniała.

– Torin? – wyszeptała niepewnie.

– Jestem.

Nie mówiła nic więcej, lecz rozluźniła się; myślał, że zasnęła, póki nie wyszeptała:

– Jestem gotowa.

– Na co, Sid?

– Na to, żebyś przyprowadził mi psa.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY



Cały następny dzień Jack zajmował się pieśnią Lorny dla ziemi. Zebrał kawałeczki natury, trzymał je w rękach, wdychał zapach, studiował ich złożoność tak samo, jak studiował złożoność kompozycji Lorny. Napisała strofy dla traw, dla polnych kwiatów, dla kamieni, dla drzew, dla paproci. Balladę tworzyło wiele elementów i Jack chciał zgłębić je wszystkie: tak długo, jak będzie szanował ziemię i starał się ją uhonorować, nie będzie musiał się martwić, gdy zacznie grać.

Ale był jeden problem – wciąż bolały go dłonie, aż po opuszki palców.

Pomyślał o Mirin i jej kaszlu. Potrafiła go załagodzić, ale wymagało to pomocy drugiej osoby.

Jack nie chciał prosić o pomoc, ale jeśli miał zagrać długą balladę... potrzebował jej.

Wstał od biurka, spakował harfę i poszedł do domu Sidry.



Sidra szukała zapomnienia w pracy. W towarzystwie ziół nie zadreślała się tym, że Maisie gdzieś tam daleko jest przerażona, że być może nie żyje. Kiedy trzymała moździerz, nie rozpamiętywała napaści na wzgórzu, z którym do tej pory wiązała tylko dobre wspomnienia. Gdy łączyła składniki, nie myślała o tym, jak bardzo jej małżeństwo z Torinem było pełne napięcia, bo to, na czym je zbudowali, zniknęło.

Nie. Myślała o pokrzywach i bobrku, warzusze i podbiale, o czarnym bzie i pierwiosnku.

Nocą bała się samotności w chacie, ale za dnia chciała być u siebie, chciała pracować. Robić coś potrzebnego. Nie chciała czuć się zupełnie bezużyteczna.

Chciała tu być na wypadek, gdyby Maisie znalazła drogę do domu.

Torin i Straż Wschodu działali nieustrudzenie – odwiedzali zagrody, szukając porywacza i dzieci, na cmentarzach szukali kwiatów, a Sidra właśnie szykowała nową porcję eliksiru utrzymującego ich w przytomności i czujności mimo braku snu. Prawie skończyła, kiedy ktoś niepewnie zastukał do jej drzwi.

Przerwała pracę. Nie spodziewała się nikogo i z szybko bijącym sercem wyciągnęła rękę po nożyk.

– Sidra? – usłyszała głos.

Rozpoznała go, należał do Jacka Tamerlaina, barda. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek poprosi ją o pomoc.

Szybko otworzyła mu drzwi – stał na podwórku, mrużąc oczy w promieniach słońca. Przyniósł harfę, co ją zaskoczyło.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – zaczął z wahaniem.

– Nie, nie – odpowiedziała głosem zachrypniętym od płaczu i bezsennej nocy. – Jak mogę ci pomóc, Jack?

– Chciałem spytać, czy mogłabyś zrobić dla mnie eliksir.

Skinęła, zaprosiła go do środka i zamknęła drzwi. Jack stał przy stole i patrzył na jej zioła z takim zachwytem, jakby złapała tęczę i rozpostarła ją na drewnianym blacie.

– Chciałem ci powiedzieć, że jest mi ogromnie przykro. – Zerknął na nią. – Z powodu Maisie.

Znów skinęła, słowa nie chciały przejść przez ściśniętą krtani.

– I jeszcze, że robię wszystko, co mogę, by pomóc ją odnaleźć – dodał. Wyglądało na to, że chciał powiedzieć coś więcej, lecz się powstrzymał; podniósł rękę, jego ruch przykuł uwagę Sidry.

– Bolą cię ręce? – spytała.

– Tak. Kiedy gram pewne pieśni.

– To jedyne objawy?

– Nie, są jeszcze inne.

Słuchała, gdy je opisywał; widziała zbyt wiele dolegliwości spowodowanych magią, by nie rozpoznać teraz jednej z nich. I choć nie znała szczegółów, wyczuwała, że chodzi tu o jego rzemiosło, jego muzykę.

Czyżby wrócił do domu wyłącznie z powodu zaginionych dzieci? Wydawało się niedorzeczne, by utalentowany bard rzucił wszystko tylko po to, by rozwiązać zagadkę, która go nie dotyczyła, ale Sidra wiedziała, że w muzyce tkwi niewysłowiona moc. Pamiętała biesiadne noce w zamku w czasie pełni księżyca, to, jak chłonęła pieśni Lorny Tamerlain – jakby były powietrzem.

Ogarnął ją niespodziewany spokój, kiedy przyrządzała Jackowi dwa lekarstwa: maść do smarowania rąk i eliksir do picia na ból głowy. Nie mogła nic poradzić na krwotok z nosa, powiedziała mu o tym.

– Nic nie szkodzi, Sidro. Najbardziej martwię się o ręce.

Siadł na krześle i patrzył, jak pracuje, jak łączy różne składniki, tworząc maść.

– Pokaż mi dłonie, Jack.

Posłusznie odłożył harfę na kolana i wyciągnął ręce; Sidra rozprowadziła maść po wierzchu dłoni, po wszystkich knykciach i żyłach.

– Musisz chwilę poczekać, aż zacznie działać – uprzedziła, przekładając resztę maści do słoiczka, żeby mógł ją zabrać ze sobą.

Jack zamknął oczy, po minucie znowu zacisnął dłonie i uśmiechnął się.

– Tak, to ogromna ulga. Dziękuję, Sidro.

Podziała mu eliksir i maść, Jack schował oba słoiczki do kieszeni i spytał:

– Ile jestem ci winien?

– Nic nie jesteś mi winien. – Sidra wróciła do stołu.

– Obawiałem się, że tak właśnie powiesz. – Jack zaczął wyjmować swoją harfę. – Dlatego chciałbym zagrać dla ciebie, kiedy będziesz pracować. Jeśli pozwolisz.

Zaskoczył ją, patrzyła w oszołomieniu, jak opiera harfę o lewe ramię. Tak dawno nie cieszyła się muzyką. Tak dawno nie oddychała jej pięknem.

Uśmiechnęła się.

– Będzie mi ogromnie miło.

– Masz jakieś życzenia? – zapytał, strojąc harfę.

– Właściwie tak... Lorna grała pewną balladę w noce biesiad, chyba nazywała się *Ostatni jesienny księżyc*.

– Znam ją – odparł i zaczął grać.

Nuty wypełniły izbę, przeganiając smutek i cienie. Sidra zamknęła oczy, poczuła, jak muzyka przenosi ją do pewnej słodko-gorzkiej chwili. Miała szesnaście lat, włosy splecione w dwa długie warkocze z czerwonymi wstążkami; siedziała w sali zamkowej z babcią i słuchała, jak Lorna gra na swojej harfie tę właśnie pieśń.

To był ostatni raz, kiedy Sidra mogła cieszyć się ucztą w pełni księżyca.

Ojciec oznajmił, że stała się zbyt ponętna dla chłopaków z wyspy i że ma zostać w domu, zajmować się warzywnikiem i doglądać owiec, ukrytych w dolinie, a on będzie miał ją na oku. A przecież wcale nie chciała przyciągać uwagi chłopców, chciała tylko być z babcią, uczyć się sztuki uzdrawiania, chciała pławić się w muzyce Lorny, swobodnie poruszać się po wyspie, tak jak inne dziewczęta, nie obawiając się represji ze strony ojca.

Ale on się zmienił od czasu nagłej śmierci jej matki; rozgoryczony, pozwolił, by władzę przejął nad nim strach. To dlatego był dla niej tak surowy – bał się, że zostanie skrzywdzona, że porzuci obowiązek dla pasji i miłości, że tak samo jak jej matka przedwcześnie umrze.

Czy to nie zabawne, że mimo wszelkich wysiłków ojca, by utrzymać ją z daleka od klanu, Torin jednak znalazł drogę do jej drzwi?

Gdy poprosił, by za niego wyszła i pomogła mu w wychowaniu córki, nie wahała się. Pragnęła własnego domu, pragnęła opuścić dolinę, wyrwać się spod kontroli ojca.

Od tamtej pory nie wróciła do Stonehaven i nie rozmawiała z ojcem ani bratem. Nawet na pogrzebie babci.

Lekka bryza musnęła jej twarz, zobaczyła światło przez powieki.

Otworzyła oczy: drzwi były uchylone i na progu stała Adaira, unieruchomiona muzyką Jacka, która nadal snuła się w chacie. Przyjrzała się uważnie przyjacielce; nigdy wcześniej nie widziała u niej takiego wyrazu twarzy, jakby wszystkie jej pragnienia i tęsknoty zebrały się wszystkie naraz.

O tym, że ma publiczność, Jack dowiedział się dopiero wtedy, gdy dotarł do końca. Kiedy dźwięki ucichły, podniósł wzrok i zobaczył Adairę. Żadne z nich się nie odezwało, jakby oboje chcieli coś powiedzieć, ale nie mogli.

Sidra przerwała ciszę.

– To było piękne... Dziękuję, Jack.

Skinął jej głową i odłożył harfę.

– To ja dziękuję ci za pomoc, Sidro.

– Moje drzwi są dla ciebie zawsze otwarte. – Przyglądała mu się, gdy wstał i podszedł do progu; Adaira stanęła bokiem, on prześliznął się obok niej w pełnej ciszy, a powietrze między nimi trzeszczało.

Po wyjściu barda Adaira zamknęła drzwi i weszła do izby. Sidra wiedziała, że przyjaciółka chciała dotrzymać jej towarzystwa, pomóc w szykowaniu eliksiru dla strażników.

Dziedziczka rzuciła okiem na stół i podwinęła rękawy.

– Mów, co mam robić, Sid.

Czasem właśnie to Sidra kochała w niej najbardziej: że nie bała się pracy i zmęczenia, że tak chciała uczyć się nowych rzeczy, że była tak bezpośrednia.

Niczym młodsza siostra, której Sidra nigdy nie miała, a której tak zawsze pragnęła.

– Utrzymaj te zioła – poleciła, podsuwając moździerz.

Adaira miażdżyła rośliny z pasją i Sidra rozumiała, z czego to wynika. Niedająca spokoju potrzeba, żeby czymś się zająć, żeby robić coś potrzebnego.

– W czym mu pomogłaś? – zapytała po jakimś czasie Adaira.

– O kim mówisz, Adi?

– O Jacku, oczywiście. Po co przyszedł?

Sidra wzięła pustą buteleczkę, zaczęła wlewać eliksir.

– Wiesz, że nie mogę tego powiedzieć.

Adaira zacisnęła wargi. Na pewno chciałaby wyciągnąć to z Sidry i jako przyszła lairdess pewnie by mogła. Ale wiedziała, że Sidra nie wyjawia tajemnic swoich pacjentów.

Pracowały razem, sprawnie i w milczeniu, Adaira korkowała butelki. W końcu westchnęła ciężko:

– Potrzebuję twojej rady, Sid. – Zawahała się. – Nie chciałam cię tym obarczać, zwłaszcza teraz, kiedy i tobie nie jest lekko, ale czas mnie goni.

– Powiedz, co cię dręczy, Adi – poprosiła łagodnie Sidra.

Słuchała opowieści o handlu, o listach do Moraya Breccanina, o ewentualnej wyprawie na Zachód i o pierwszej wymianie handlowej, w czasie których dziedziczka miała być sama.

– Czasem martwię się, że wybieram złą drogę – westchnęła Adaira. – Że mój brak doświadczenia nas zgubi. Że jestem głupia ze swoimi mrzonkami o pokoju.

– Marzenia o pokoju nie są głupie – odparła szybko Sidra. – Dobrze robisz, szukając nowego życia dla naszego klanu. Zbyt długo żyliśmy w strachu i nienawiści, najwyższy czas, żeby to się zmieniło. Myślę, że wielu Tamerlainów czuje to samo i poszłoby za tobą, nawet jeśli oznaczałoby to kilka trudnych lat, kiedy będziemy próbowali zdefiniować na nowo, kim jesteśmy i czym powinna stać się nasza wspólna wyspa.

Adaira spojrzała na nią.

– Twoje słowa to duża ulga, Sidro... Ale ta wymiana to wciąż dla mnie duży problem.

– Opowiadaj.

– To oczywiste, że Breccanie potrzebują naszych zasobów, ale czego my potrzebujemy od nich? Ich zaczarowanych tartanów i mieczy, którymi nas atakują? Czy mogę prosić o takie rzeczy, skoro stoi to w sprzeczności z pokojem, który chcę ustanowić pomiędzy nami?

Sidra nie odzywała się, myślała intensywnie.

– O to właśnie z uporem pytają mnie mój ojciec i Torin – kontynuowała Adaira. – Breccanie nie mają nic, czego byśmy potrzebowali, a ten handel wzbogaci ich naszym kosztem, być może wcale nie powstrzymując najazdów. Tak myśli Torin: wymiana będzie działała przez jakiś czas, a gdy oddamy im już zapasy, zimą i tak nas zaatakują. To z kolei zaostrzy konflikt, jeszcze bardziej oddalając nas od perspektywy pokoju, którego pragnę.

– Torin może mieć rację – powiedziała Sidra. – I chociaż chciałabym cię zapewnić, że uzyskamy pokój bez wysiłku oraz przelewu krwi, musimy się z tym liczyć. – Jej wzrok omiótł stół, spoczął na ostatnim kwiatku Orenny w szklanej fiolce. Przeszył ją dreszcz i potarła mostek; zadrapania i siniaki swędziały, ciało zaczynało wracać do zdrowia. – Ale może jednak Breccanie mają coś, czego potrzebujemy.

Adaira zmarszczyła brwi.

– O czym mówisz, Sid?

Sięgnęła po fiolkę i trzymała ją pod światło w drżącej dłoni. Torin był taki pewien, że napastnik ukrywa się na Wschodzie, że do tej pory nie pozwalała

sobie o tym myśleć. Nikt nie przekroczył linii klanu – ale też nikt nie znalazł małych karmazynowych kwiatków na żadnym z tutejszych cmentarzy.

– Czy Torin mówił ci o tych kwiatkach?

– Bardzo krótko dziś rano – powiedziała Adaira. – Twierdził, że otwierają oczy na królestwo duchów i że miał je mężczyzna, którego szuka.

Skinęła głową.

– Mogą rosnąć tylko na suchej, udręczonej ziemi, gdzieś na wyspie, gdzieś na jakimś cmentarzu. Na Wschodzie nie udało nam się jeszcze znaleźć takiego miejsca.

Adaira oglądała kwiat, otworzyła szeroko oczy.

– I myślisz...

– Że mogą rosnąć na Zachodzie – dokończyła Sidra. – Nie mówiłam o tym Torinowi w nadziei, że znajdzie cmentarz tutaj. Ale jeśli Orenna rośnie na glebie Breccan... Nie tylko moglibyśmy zrobić użytek z jej płatków, ale i zyskalibyśmy informację, że Zachód ma jakiś związek z zaginionymi dziewczynkami.

Adaira wypuściła powietrze.

– Ale Torin nie wyczuł, żeby ktoś przekroczył granicę klanu.

– Nie, i może to dowodzić, że sprawcą jest ktoś z naszych. Ale może dzieje się coś, o czym nie wiemy, może sprawca potajemnie otrzymuje kwiaty z Zachodu?

Adaira przygryzła wargę i Sidra wyczuwała targający nią konflikt. W jej oczach paliła się gorączka, nie mogła już nie dostrzegać tego, co Sidra jej pokazała.

– Jak najlepiej byłoby zdobyć takie informacje? – zapytała Adaira.

Sidra ścisnęła fioletową kwiatkę w dłoni.

– Za trzy dni udasz się na spotkanie z Morayem Breccaninem na granicy klanu, zgodnie z jego prośbą. Bądź hojna, przynieś najlepszy owies, jęczmień, miód i wino. Cokolwiek on zaoferuje ci w zamian, przyjmij z wdzięcznością, ale potem spytaj go o ten kwiatek, powiedz, że chciałabyś dostać jego płatki. Jeśli powie, że go nie zna, sprawa skończona, bo nie dowiemy się, czy kłamie, czy mówi prawdę. Jeśli go zna, będziemy wiedzieć, że Zachód jest zamieszany, nawet jeśli chodzi tylko o przekazywanie kwiatów ponad granicą

klanu. Prawdopodobnie Moraya sprawdzisz już sama, odwiedzając Zachód. I myślę, że będziesz miała prawo zabrać kogoś ze sobą.

Adaira milczała chwilę.

– Zrobię tak, jak mówisz, Sid. Ale jak usprawiedliwię zabranie kogoś ze sobą?

Sidra spuściła wzrok, spojrzała na złotą obrączkę na swoim palcu. Ona i Torin bez wahania zawarli przysięgę krwi na swoim ślubie. Wygłosili pradawne słowa, nacięli dłonie i złączyli je razem, stykając ze sobą rany. *Kość z mojej kości, krew z mojej krwi*. Tę przysięgę niełatwo złamać, choć Sidra zaczęła się zastanawiać, jak długo ich śluby przetrwają teraz, bez Maisie.

– Breccanie mogą nie chcieć, żebyś zabrała ze sobą straż. – Sidra chrząknęła. – Albo ojca czy choćby służebnicę. Ale muszą się zgodzić, żebyś wzięła ze sobą męża.

Adaira zarumieniła się, jakby i jej przyszło to już do głowy. Do tej pory nie spieszyła się z zamążpójściem, co Sidra uważała za mądre, ale nadszedł czas, by lairdess Wschodu wzięła sobie partnera. Jeśli miała wykuć ten trudny i może krwawy pokój, potrzebowała kogoś, kto będzie jej towarzyszył. Szedł u jej boku. Słuchał zwierzeń. I pocieszał w długie, samotne noce.

Sidra nie musiała pytać, kogo Adaira brała pod uwagę.

Wiedziała.



Resztę dnia Adaira poświęciła rozmyśleniu – dnia, w którym wędrowała po wzgórzach, szukając jakiegoś znaku, dnia, w którym Torin i strażnicy wciąż nic nie znaleźli, mimo nieustannych przesłuchań i poszukiwań. Adaira zrozumiała, że już nic nie zmieni jej decyzji, a im dłużej będzie zwlekała, tym będzie gorzej. Postanowiła ruszyć do przodu.

Zaczekała na wschód księżyca, licząc, że noc doda jej odwagi, włożyła ciemną suknię i pelerynę i szukając drogi wśród gwiazd, pojechała do zagrody Mirin.

Zsiadła z konia na drodze i zostawiła go przy drzewie. Cicho przemierzała podwórze, szukając okna od pokoju Jacka. Tak jak miała nadzieję, jeszcze nie spał. Światło świec przesączało się przez okiennice, a ona zbliżyła się niczym ćma przyciągnięta do ognia.

Mimo determinacji, teraz, już u celu, zawahała się i stanęła przy oknie.

Nie wierzę, że to robię, pomyślała w końcu i zapukała.

Już miała odwrócić się i uciec, gdy usłyszała, jak jej stary wróg ostrożnie otwiera okiennice, jak patrzy w mrok z niezadowoleniem, które ustąpiło miejsca niedowierzaniu.

– Adaira?

– Muszę z tobą pomówić, Jack.

Spojrzał na swój pokój, potem znów na nią, stojącą w świetle księżyca.

– Teraz?

– Tak. To nie może czekać.

– W takim razie wchodź, tylko cicho. Nie chcę, żebyś obudziła mamę. – Wyciągnął do niej rękę i Adaira przyjęła ją, zaskoczona tym, jak ciepłe były jego dłonie.

Uniosła suknię, a Jack wciągnął ją przez okno; jej buty zgrzytnęły na blacie biurka, pokrytym najdziwniejszymi rzeczami. Gałązki, kamienie, kępki mchu, warkocze trawy, zwiędłe polne kwiaty... Zeszła na podłogę, wciąż trzymając go za rękę, i odwróciła się, by się przyjrzeć tym dziwnym zbiorom.

– Co to ma być? – spytała.

– Przygotowania. Jutro po południu powinienem być gotów zagrać dla ziemi.

– Dobrze – powiedziała.

Jack puścił jej rękę i poruszył palcami, jakby dotyk sprawił mu przykrość – chociaż może chodziło o coś innego? Patrzyła, jak podszedł do łóżka, na którym leżała muzyka Lorny. Zebrał luźne arkusze i wygładził koc, proponując Adairze, żeby usiadła.

– Wolę stać – powiedziała, gdy odwrócił się do niej. – Ale ty lepiej usiądź.

Jack spojrzał podejrzliwie.

– Czemu?

– Zaufaj mi.

Posłuchał, co ją zaskoczyło. Siadł na krawędzi łóżka, ostrożnie kładąc nuty jej matki przy poduszce.

– Dobrze zatem. Czy teraz możesz mi już powiedzieć, dlaczego zakradasz się do mojego domu w nocy niczym złodziej?

Uśmiechnęła się, ale zwlekała z odpowiedzią, chodząc po jego sypialni, oglądając ją. Jack w milczeniu przyzwalał na to, mężnie znosząc te oględziny. Spodziewała się, że będzie protestował, ponaglał ją, był przecież taki niecierpliwy, ale kiedy wreszcie stanęła przed nim, wpatrywał się w nią nieprzeniknionym wzrokiem swoich czarnych oczu, jakby się domyślał, dlaczego przyszła.

To wywołało dreszcz.

Serce jej przyspieszyło, gdy uklękła przed nim na jedno kolano – to było coś, czego nie zrobiłaby dla żadnego mężczyzny poza swoim ojcem.

Jack bacznie jej się przyglądał i nie wiedziała, czego właściwie się po nim spodziewała. Śmiechu? Przekleństwa? Zmarszczenia brwi? Wzgardy? Nic takiego się nie stało, tylko na nią patrzył. I wiedziała, że rozumiał, jaki wielki był to z jej strony gest.

Włosy spłynęły na ramiona, osłaniając ją, a jednak odwaga się w niej zachwiała. *On się nigdy na to nie zgodzi*, pomyślała, ale było już za późno. I tak wiedział, do czego zmierza, a ona była zbyt dumna, by zmienić kurs.

– Johnie Tamerlainie... – zaczęła.

– Mam na imię Jack.

Adaira zamrugła, zdumiona, że właśnie przerwał jej oświadczenia.

– Twoje nadane i legalne imię brzmi John.

– A jednak nazywam się Jack.

– Dobrze więc – powiedziała przez zęby i poczuła rumieniec na policzkach.

– Jacku Tamerlainie. Połącz się ze mną handfastem. Ślubuj mi i bądź moim mężem przez rok i jeden dzień, a także później, jeśli oboje będziemy tego chcieli.

Jack milczał, jakby czekał, że powie mu coś więcej. Adairę rozboleło kolano, czekała na odpowiedź i przeszywał ją strach. Kiedy milczenie przeciągało się, odetchnęła.

– Co ty na to, Jack? Daj mi odpowiedź, żebyś mogła wstać.

Przeciągnął ręką przez włosy, mierzwiąc je jeszcze bardziej, i patrzył na nią poważnie. Widać było, że toczy się w nim walka.

– Czemu, Adairo? Czemu mnie o to prosisz? Ponieważ potrzebujesz kogoś, kto pójdzie z tobą na Zachód?

– Tak – odparła, nie wyjawiając mu wszystkiego. Że czuła się samotna i czasami przytłaczały ją obowiązki, które jej powierzono. Chciała, żeby ktoś ją objął, przytulił i wysłuchał. Stawiał przed nią wyzwania, rozśmieszał ją, ożywiał. Pragnęła mieć obok siebie kogoś, komu mogła zaufać.

Patrzyła na Jacka i widziała w nim to wszystko. Nie kochała go, ale może z czasem go pokocha. Jeśli staną się jednym.

– Wiesz, kim jestem – powiedział płaskim głosem.

– Bardem?

– Bękartem. Nie mam ojca, nie mam dumnego rodu, nie mam ziemi. Nie mam nic, co mógłbym ci dać, Adairo.

– Możesz mi dać bardzo wiele – odparła i od samej myśli o jego muzyce kręciło jej się w głowie. Na duchy dołu, nie miał pojęcia o mocy, którą władał.
– A to, co wymieniłeś, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia.

– Ale ma dla mnie. – Jack przycisnął pięść nad sercem i nachylił się, znaleźli się na odległość oddechu. – Ludzie będą wzburzeni, że chcesz mnie poślubić. Że wybrałeś mnie, najmniej godnego ze wszystkich mężczyzn na Wschodzie.

– Niech sobie będą – powiedziała Adaira. – Niech się burzą, niech gadają, niech mówią, co tylko chcą. Szybko im się znudzi, zobaczysz. A wtedy... wtedy będziemy już tylko ty i ja, i prawda. Bo tylko to się liczy.

Przyglądała się jego twarzy – delikatnym zmarszczkom między brwiami od tego surowego spojrzenia, złączonym wargom, kosmykom brązowych włosów nad lewym okiem – i widziała, że wciąż nie czuł się przekonany, wciąż rozważał, czy ją przyjąć, czy nie. Nie wiedziała, co robi, jeśli odmówi. Tak naprawdę nie potrzebowała go; mogła rządzić Wschodem samodzielnie, mogła poprosić innego mężczyznę, by ją poślubił i towarzyszył jej na Zachodzie. Ale ze zdumieniem odkryła w jakimś ukrytym miejscu głęboko w środku, że... że chce, żeby to był właśnie on.

Uważała, że *handfast* będzie rozsądniejszy i lepszy dla nich obojga – małżeństwo na próbę, trwające jeden rok i jeszcze jeden dzień. Jeśli znowu się znienawidzą, będą mogli się rozstać i po wygaśnięciu umowy nie będą już związani przysięgą. Będą również mogli zostać małżeństwem na zawsze i złożyć przysięgę krwi, jeśli tego właśnie zechcą.

– I to wszystko – odezwał się – poślubienie starego wroga, związanie się właśnie ze mną, człowiekiem stojącym znacznie niżej od ciebie, cały ten

ambaras wyłącznie po to, by odwiedzić Zachód i nawiązać handel z wrogami? Dlaczego nie wybrałaś partnera, który mógłby cię chronić, na przykład kogoś ze straży?

Co za uporczywa logika, pomyślała. Co mogła mu powiedzieć? Że widzi go na wylot? Że chwycił się logiki, by utrzymać emocje na wodzy? Ale zobaczyła też ból w jego oczach – ukrywał ranę. Nigdy nie czuł swojej przynależności, nie czuł się potrzebny, pamiętała, co jej mówił.

– Masz rację – powiedziała. – Mogłam wybrać kogoś ze straży i z nim się związać. Mogłam wybrać każdego innego mężczyznę na Wschodzie. Był tylko jeden problem, Jack.

Nie odezwał się i czuła tę jego rozpaczliwą walkę, żeby jej nie prosić o wyjaśnienia, nie wypytywać, pozostać obojętnym...

– O jakim problemie mówisz, Adairo? – przemówił w końcu.

– Żaden z nich nie jest mężczyzną, którego pragnę – powiedziała bez tchu.

Już bardzo dawno nie czuła się tak przeraźliwie obnażona. Rumieniec zaczął rozlewać się po jej skórze – bo Jack milczał.

– Wiem, że czeka na ciebie życie na stałym lądzie – dodała spieszenie. – Wiem, że nasz *handfast* trzymałby cię tu dłużej, niżbyś chciał. Ale klan cię potrzebuje. Możesz przyjąć płaszcz Barda Wschodu. Nawet jeśli postanowimy rozwiązać nasze małżeństwo po roku i jednym dniu, pozostaniesz bardem, jeśli wciąż będziesz tego chciał.

Nie poruszył się.

Musiała się pomylić. Widocznie wciąż jej nie cierpiało – jej i klanu.

Już miała wstać, ale on wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, i zawahał się, nim jego palce dosięgły jej włosów.

– Poczekaj, Adairo. Poczekaj.

Zaczekała, myśląc, że przed upływem tej szalonej nocy jej kolano będzie zupełnie odgniecione. Ale oto ujrzała, jak uśmiech przejmuję jego twarz, i oszołomiło ją jego piękno, obietnica lśniąca w człowieku, który rzadko się uśmiechał.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, Adairo.

– Najlepiej tak albo nie, Jack.

Zasłonił dłonią usta, ukrywając rozbawienie, i wpatrywał się w nią czarnymi jak ocean oczami. Ale wstał, ujął jej dłoń i podniósł ją z kolan.

– W takim razie moja odpowiedź brzmi tak – wyszeptał. – Poślubię cię na jeden rok i jeszcze jeden dzień.

Jej ulga była tak potężna, że Adaira prawie się osunęła. Pojęła, że on stoi blisko niej, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

– To dobrze. I jeszcze jedno, bardziej. – Zrobiła lekki krok w tył, choć ich dłonie nadal były splecione. – Mam warunek.

– Bogowie! – wymruczał Jack. – Nie mogłaś mi go podać, zanim poprosiłaś mnie o *handfast*?

– Nie, ale nie będziesz miał nic przeciwko. – Zerknęła na łóżko za nim, a słowa prawie stanęły jej kością w gardle. – Kiedy już będziemy małżeństwem, śpimy oddzielnie, przynajmniej na razie. – Spojrzała mu znowu w oczy i nie wiedziała, czy widzi w nich rozczarowanie, czy ulgę. Jego twarz była niczym muzyka, której nie umiała odczytać.

– Zgadzam się. – Uścisnął jej dłoń i puścił. – A teraz ja chciałbym ci coś powiedzieć.

Adaira czekała, a serce biło jej stanowczo zbyt szybko. Jack patrzył tak, jakby miał wyjawić jej coś straszego.

– No? – rzuciła, gotowa na najgorsze. – Co takiego?

– Po co taki pośpiech?

Adaira zmarszczyła brwi, ale widziała rozbawienie w jego oczach.

– Już i tak wystawiłeś moją cierpliwość na sporą próbę.

– Och, może przez minutę... Za to będziesz mnie miała przez cały rok i jeszcze jeden dzień, więc chyba było warto?

– Czas pokaże. – Uśmiechnęła się.

Jack prychnął i skrzyżował ręce na piersi; Adaira czuła, że ta wymiana zdań sprawiała mu przyjemność.

– No to może zaczekam z moją wiadomością do jutra?

– Jutro i bez tego będzie się dużo działo. – Adaira przygryzła wargę, żeby go nie błagać.

Uśmiechnął się. Nigdy nie widziała w nim takiej radości i prawie wyciągnęła rękę, żeby przesunąć palcami po jego twarzy.

– W takim razie oznajmię ci to teraz, dziedziczko. Będę zaszczycony, mogąc grać dla klanu jako Bard Wschodu.

Przełknęła ślinę, usiłując ukryć uniesienie, ale uśmiech już rozkwitł na jej wargach, łzy zapiekły w oczach.

– Cieszę się, Jack. Urządzimy specjalną ceremonię i wtedy...

– Nie, bez ceremonii – przerwał delikatnie. – Zostając twoim mężem, jednocześnie stanę się bardem klanu. Nie sądzisz, że tak byłoby najlepiej?

Przytaknęła, pocierając obojczyk.

– Tak, masz rację. Dzięki temu klan nie będzie miał zbyt wielkich oczekiwań – od razu będzie wiadomo, że zostajesz bardem na rok i jeden dzień. Być może zdecydujesz się odejść, jeśli zerwiemy śluby i... tak, klan powinien o tym wiedzieć.

Jack milczał przez chwilę, nie odrywając od niej wzroku.

– Myślę, że mogę to już powiedzieć: nie wrócę na kontynent, Adairo.

Przyjęła jego słowa i schowała głęboko w sobie.

– Jesteś pewien, Jack?... Może za kilka miesięcy jeszcze zmienisz zdanie...

– Jestem. Gdybym chciał wrócić, to już bym to zrobił.

– Cały klan... Wszyscy się ucieszą z tej wiadomości.

– Tak... Kiedy ma się odbyć *handfast*?

– To musi stać się szybko.

– Jak szybko?

Zawahala się.

– Za dwa dni?

– Pytasz mnie czy stwierdzasz, Adairo?

– Za trzy dni mam się spotkać z Morayem Breccaninem na granicy klanów, gdzie ma dojść do wymiany towarów – powiedziała. – Chciałabym, abyś był tam ze mną jako mój mąż.

Patrzył na nią z rozchyłonymi ustami. Wiedziała, że to dzieje się szybko, wyczuwała, że Jack się waha, i martwiła się, że poprosiła go o zbyt wiele w ciągu jednej nocy.

– Czyli jutro gramy dla ziemi – zaczął wyliczać na palcach. – Pojutrze weźmiemy ślub, a dzień później idziemy na granicę klanów, żeby tam umrzeć?

– Nie umrzemy. Ale tak, taki właśnie jest plan, jeśli nie wymagam zbyt wiele.

– Nie wymagasz. Chociaż muszę przyznać, że trochę kręci mi się w głowie...

– No to chyba już pójdę – wyszeptała. – Musisz trochę odpocząć.

Cichy głosik w środku powiedział, żeby się przygotowała. Że nad ranem Jack zmieni zdanie, a ona znów znajdzie się w punkcie wyjścia.

Już kiedyś ją zwiedziono niedotrzymanymi obietnicami i teraz zapragnęła się przed tym chronić, znów wskoczyć w swoją starą zbroję.

– Przyjdę do ciebie jutro, zaraz po południu – powiedział jeszcze Jack. – Rano mam coś do zrobienia, ale potem będę mógł grać.

– Oczywiście. Dziękuję ci, Jack.

Jack bez słowa oczyścił środek biurka, żeby mogła wejść, nie deptając jego zbiorów. Znowu podał jej rękę, a ona znów przyjęła ją zimnymi jak lód palcami, wspięła się na blat i wyslizgnęła się przez okno. Zeskoczyła w trawę i zatrzymała się na chwilę, niepewna, czy powinna pożegnać się ze swoim oblubieńcem.

Odwróciła się: stał wsparty o biurko i patrzył na nią, jakby próbował sam siebie przekonać, że to nie sen. Płomień świecy ogrzewał jego twarz ciepłym światłem, zapalał w oczach gwiazdy.

Nie, pomyślała, zakładając kaptur i ukrywając twarz. Żadne słowa nie były tu potrzebne.



Odpisała Morayowi tej samej nocy, wkrótce po powrocie od Jacka. Siedziała przy biurku w swojej sypialni i słuchała trzasku ognia w kominku, słuchała wiatru uderzającego o szyby. Wyjęła arkusz pergaminu, wybrała świeże pióro i otworzyła dzbanuszek z atramentem.

Drogi Morayu,

otrzymałam Twój list i zgadzam się na spotkanie z Tobą na granicy klanów za trzy dni w południe na północnym wybrzeżu. Przyniosę to, co mój klan ma najlepszego do zaproponowania, i chętnie zobaczę, co Zachód

oferuje w zamian. Tak, jak napisałeś: niech ta wymiana stanie się pierwszym krokiem w stronę pokoju i nowej epoki na naszej wyspie.

Poprosiłeś mnie, bym przybyła sama – przybędę bez straży i bez broni, będzie ze mną tylko mój mąż, możemy wówczas omówić moją wizytę na Zachodzie.

Czekamy na to spotkanie twarzą w twarz.

Adaira Tamerlain

Dziedziczka Wschodu

Zapieczerowała list herbem klanu i patrzyła, jak wosk twardnieje. Wybiła północ, gdy wstała i zniosła list do woliery, gdzie wybrała najpiękniejszego kruką i wysłała go z wiadomością.

Puściła swoje słowa i patrzyła, jak skrzydła niosą je na Zachód w najciemniejszą godzinę nocy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



Frae stała obok i patrzyła, jak Mirin tka na krosnach. Był to zwykły tartan, który nie krył w sobie żadnej tajemnicy – tego splotu Frae miała się nauczyć, dopiero kiedy stanie się pełnoletnia. Ale już teraz nie umiała nadążyć za wszystkimi nitkami i choćby nie wiadomo jak się starała, nie widziała tego, co jej matka. Nie potrafiła dostrzec, jak można ożywić wzór, ale z obowiązku przyglądała się pracy Mirin.

Izbę wypełniały stukot czółenka i stęchła woń wełny; znajomy dźwięk i zapach rozproszyły ją, przestała skupiać się na pracy. Stłumiła ziewnięcie, pozwalając myślom swobodnie błądzić.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, ucieszyła się z tej przerwy. Chciała, żeby to był Jack, ale on już nie pukał, kiedy wracał do domu, poza tym naprawiał właśnie obórkę. Frae poszła otworzyć drzwi.

To był Torin.

Przez chwilę wpatrywała się w kapitana, zastanawiając się, po co przyszedł. Może wrócił, żeby znowu przeszukać dom? Wtedy zauważyła czarno-białego psa *collie*, ziejącego przy jego nodze.

– Dzień dobry, Fraedah – odezwał się Torin. – Czy mama jest w domu?

Frae skinęła nieśmiało głową, otworzyła drzwi szerzej.

Torin kazał psu usiąść i poczekać na schodku, a potem przeszedł przez próg. Frae zamknęła drzwi, niepewna, co ma zrobić. Czy powinna wyjść? A może zostać?

– Kapitanie – przywitała go Mirin, odwracając się od krosna. – W czym mogę pomóc?

– Przyszedłem dać ci zlecenie, Mirin.

– Potrzebujesz kolejnego tartanu, w stylu poprzednich? – Mirin skinęła córce głową.

To był znak i Frae pospieszyła nastawić wodę, bo mama zwykle proponowała herbatę wszystkim swoim gościom.

– Nie, tym razem nie dla mnie – rzekł Torin. – Dla Sidry.

Frae słuchała, jak Torin opisywał szal, który zamawiał, po cichu napełniła garnek i zaniósła go do paleniska. Umiała już poruszać się bezszelestnie, jak cień; przestała się skradać tylko na chwilę, żeby zawiesić kociołek na haku i dorzucić drewna do ognia.

Od tartanu rozmowa przeszła do czegoś, co stało się parę nocy temu. Frae znała tylko fragmenty tej historii, jakby nikt nie chciał, by poznała całość, wiedziała jednak, że Sidrę ktoś zaatakował – Sidrę, którą Frae uważała za jedną z najpiękniejszych osób na wyspie.

– Jak ona się czuje? – pytała Mirin.

– Dochodzi do siebie – odparł kapitan, a Frae pomyślała, że jego głos brzmiał inaczej niż zwykle, jakby brakowało mu tchu. – Wciąż szukam.

– Żadnych śladów?

Potrząsnął głową.

Frae zadrżała, postawiła na tacy dwa kubki i zerknęła na matkę. Mirin intensywnie patrzyła na kapitana.

– Odnośnie do tartanu, Mirin... Chciałbym, żeby był mocny niczym stal. Żeby chronił ją, gdy mnie przy niej nie będzie.

Frae stłumiła okrzyk: chciał, żeby tartan był zaczarowany.

Mirin popatrzyła na nią i Frae znów rozpoznała znak: miała wyjść, ale nie oddalać się z bezpiecznego podwórka. Szybko napełniła dwie filiżanki herbatą i postawiła je na stole między Mirin a kapitanem, chociaż oboje stali.

– Dziękuję – powiedział do niej Torin ze smutnym uśmiechem, a Frae poczuła się ważna i najbardziej na świecie pragnęła zostać w tym pokoju i usłyszeć sekret, który Torin chciał wpleść w tartan.

– Pójdę pozbierać jajka, mamó – powiedziała i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Pies czekał posłusznie na Torina, a ona pogładziła go nieśmiało i poszła do obórki.

Jack klęczał przy obórce i Frae pobiegła do niego, ożywiona. Pracował cały ranek, ustawiał kamienie i naprawiał okna, świeżą słomą przykrywał dach. Dziewczynka miała nadzieję, że mu się uda, martwiła się, że ich trzy krowy

nie będą miały dobrego schronienia przed deszczem albo śniegiem, albo ostrym wiatrem z północy.

– Jack! – zawołała, przechodząc przez murek.

Podniósł wzrok. Miał splątane włosy i opaloną twarz. *Wygląda teraz zupełnie inaczej*, pomyślała Frae. Tamtej nocy, gdy go poznała, wyglądał smutno i blado, jakby mogła porwać go bryza, a teraz jego skóra pociemniała od słońca, oczy patrzyły jaśniej i wydawało się, że nie ugnie się przed niczym.

– Mama cię przysłała, siostrzyczko? – spytał z uśmiechem.

Kochała jego uśmiech prawie tak mocno jak muzykę. Kochała jego uśmiech, bo wywoływał jej własny za każdym razem.

– Tak. Mogę pomóc?

– Proszę bardzo.

Uklękła obok niego i patrzyła, jak pracuje.

– Tak się czuję, jakbyś zawsze był z nami – powiedziała. – Aż trudno sobie przypomnieć, jak to było, zanim wróciłeś do domu.

Miała nadzieję, że nigdy nie odejdzie. Chciała, żeby został.

– Miło mi to słyszeć, Frae. Pomożesz mi wiązać słomę?

Razem dzielili złote naręczka, które Jack miał wnieść po drabinie na dach i przymocować je tam żerdziami.

– Tak się denerwowałam – wypaliła Frae.

– Czym, siostrzo?

Otarła ręce z kurzu i spojrzała na Jacka.

– Że mnie nie polubisz.

Zamrugnął, wydawał się oszołomiony, jakby go uderzyła. Może nie powinna była tego mówić? Spuściła wzrok, jej palce zgniatały źdźbło, a on wyciągnął rękę i leciutko, czule ujął jej brodę.

– Niemożliwe. Zawsze chciałem mieć taką siostrę.

Uśmiechnęła się i już miała coś powiedzieć, kiedy tylne drzwi chaty zamknęły się z hukiem. Wzdrygnęli się, Mirin nigdy, przenigdy nie trzaskała drzwiami... A teraz szła szybko przez podwórze, przez ogród w ich kierunku.

– Ojej – szepnęła Frae, zrywając się na równe nogi.

Jack uspokoił ją, położył jej dłoń na ramieniu.

– Johnie Tamerlainie! – krzyknęła Mirin i tym razem trzasnęła furtką tak mocno, że ta odbiła się, skrzypiąc w proteście. Matka była już prawie przy nich i Jack wstał powoli.

– Masz kłopoty? – spytała go cicho Frae, skubiąc koniec warkocza.

– Chyba tak – odparł.

Mirin przystanęła gwałtownie, cały swój gniew zwracając na Jacka.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? No słucham! Po tym, jak ją poślubisz?

Frae rozchyliła usta, zszokowana i odwróciła się, żeby spojrzeć na Jacka. Jej brat się żenił? Nie wiedziała, czy jest podekscytowana, czy zdruzgotana.

Jack wytrzymał płonące spojrzenie Mirin, ale ścisnął ramię Frae, jakby prosił bezgłośnie, żeby została przy nim. Frae przysunęła się bliżej niego.

– Oczywiście, że nie, mamó. Dopiero co mnie poprosiła.

– Kiedy to jest? Kiedy będzie ślub?

– To nie ślub. To *handfa*...

Mirin sfrustrowana uniosła rękę.

– To będzie ślub, synu. Żenisz się z dziedziczką.

Frae krzyknęła cicho, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodeczki i zasłoniła dłonią usta, kiedy Jack i Mirin na nią spojrzeli.

Jej brat żenił się z Adairą!

Uwielbiała Adairę. Chciała być dokładnie taka jak ona, gdy dorośnie. Chciała być wszędzie tam, gdzie dziedziczka.

Serce zaczęło jej walić z podniecenia, nie mogła ustać w miejscu, chciało jej się tańczyć!

– Małżeństwo to nie zabawa, Jack – kontynuowała Mirin głosem, który Frae rzadko słyszała, cienkim, wysokim, ostrym jak brzeg noża.

Jack przestąpił z nogi na nogę, prychnął i Frae poczuła jego gniew.

– Wiem, czym jest małżeństwo, mamó, i nie podchodzę do niego lekko.

– Kochasz ją?

Milczał, a Frae w napięciu splatała palce i wpatrywała się w niego, czekając, aż powie tak.

– Zależy mi na niej – wyznał w końcu. – Poprosiła mnie o to, a ja robię to, ponieważ ona tego pragnie.

Spojrzenie Mirin leciutko złagodniało i dziewczynka wiedziała, że najgorsze minęło. Matka położyła rękę na gardle, jakby chciała uspokoić puls.

– Co z twoim uniwersytetem, Jack?

Frae zacisnęła powieki, czekając na odpowiedź. Czy wtedy zabrałby ze sobą Adairę? Frae nienawidziła kontynentu już teraz, a gdyby odebrał jej brata i Adairę, to już sama nie wiedziała, co by zrobiła. Chciała błagać Jacka, żeby pozostał, musiała przygryźć wargę, żeby słowa same się nie wyrwały.

– Skończyłem z nauczaniem – powiedział głucho. – Nie chcę tam wracać.

Frae prawie podskoczyła, czuła, jak wzbiera w niej wesołość, ale powstrzymywała ją, wpatrywała się w brata. Czy to znaczyło, że zostawał na zawsze?

– I czym chcesz się tu zająć? – spytała Mirin. – Oprócz bycia mężem Adairy?

– Poprosiła mnie, bym został Bardem Wschodu.

Teraz już Frae nie mogła się powstrzymać: krzyknęła z radości i rzuciła się na brata. Czasem Jack się usztywniał, gdy go obejmowała, ale nie dziś: przytulił ją mocno, a Frae była tak szczęśliwa, że wcisnęła twarz w jego tunikę i zaczęła płakać.

– To wielki zaszczyt... – powiedziała Mirin. – A zatem: kiedy jest ślub?

Jack zawahał się i powiedział bardzo, bardzo cicho, tak cicho, że Frae prawie go nie usłyszała:

– Jutro.

– Jutro?! – krzyknęła Mirin.

– To decyzja Adairy, nie moja.

– I co zamierzasz na siebie włożyć?!

– Ubranie, jak sądzę.

Mirin trzepnęła go, ale prawie się uśmiechnęła i napięcie między nimi zniknęło.

– Przez ciebie do reszty osiwieję, Jack! Spójrz na siebie! Jak w ogóle udało ci się ją przekonać?

Westchnął, a Frae mu się przyjrzała. Widziała brudne paznokcie, drzazgi pod skórą, złote nitki siana w jego włosach.

Wyglądał, jakby wreszcie naprawdę był tutaj razem z nimi.

– Adaira mnie poprosiła, a ja się zgodziłem, to wszystko.

Mirin to nie przekonało, ale Frae już zrozumiała: widziała światło w swoim bracie i wiedziała, dlaczego Adaira go wybrała.

– Rozumiem, że muszę przygotować ci strój na ślub – oznajmiła Mirin, opierając ręce na biodrach. – I to jak najszybciej.

– Tylko żadnych czarów, mamó – uprzedził ją. – Będę nosił tylko zwykłe ubrania.

– A twoje włosy wymagają przycięcia – mówiła dalej, nie słuchając go. Jack się odsunął, gdy chciała wyciągnąć słomę z jego czupryny.

– Moim włosom nic nie potrzeba... – Zaczął się wycofywać w kierunku tylnego wejścia, jakby chciał uciec.

Frae szła za nim jak cień, aż do jego sypialni, gdzie zaczął pakować harfę.

Dokąd on idzie?, zastanawiała się i wtedy do niej dotarło – no tak, przecież do Adairy! Jaki on był szczęśliwy, teraz mógł ją widywać, kiedy chciał!

– Och, Jack! – Frae tańczyła wokół niego. – To jak spełnienie marzeń!

Uśmiechnął się, wziął stosik pergaminów i schował do futerału na harfę. Denerwował się. Czemu?

I wtedy znów coś do niej dotarło, i to było jak cios w brzuch.

– O nie! – krzyknęła.

Jack przestał się pakować, spojrzał na nią.

– Co się stało, Frae?

– O nie... – powtórzyła, czując, jak rozpada się jej radość, i przesunęła opuszkami palców po twarzy. – Jak poślubisz Adairę, to nie będziesz już z nami mieszkać!

Jack uklęknął przed nią z harfą pod pachą i popatrzył łagodnie.

– Naprawdę nie wiem, co przyniosą najbliższe dni, sostro... Ale mogę obiecać jedno: nigdy nie będę daleko od ciebie.

Frae przytaknęła, ufała mu, a on dotknął jej podbródka, znów wywołując uśmiech.

Tylne drzwi skrzypnęły, dało się słyszeć kroki Mirin i Jack się skrzywił.

– A teraz muszę lecieć – wyszeptał. – Zanim mama mnie złapie.

– Nie powinieneś uciekać przed mamą, Jack – zbeształa go Frae i patrzyła ogromnymi oczami, jak jej starszy brat wchodzi na biurko.

– Jack?!

Przycisnął palec do ust, mrugnął do niej i zaraz potem zniknął za oknem.

– Frae? – Mirin pchnęła drzwi do sypialni. – Frae, dokąd poszedł twój brat?

Dziewczynka nadal wpatrywała się w okno.

– Myślę, że poszedł się zobaczyć z Adairą.

Mirin westchnęła ciężko.

– Ślub, jutro! Na duchy dołu, co ten chłopak sobie w ogóle myśli?

Frae poczuła mrowienie w palcach, radość znów zaczęła w niej wzbierać, z zachwytu chciało jej się tańczyć...

I nagle to wszystko zupełnie ją przytłoczyło – odwróciła się, wtuliła się w bok Mirin i rozplakała.



Wieści rozprzestrzeniały się niczym ogień.

Jack szedł ulicą Sloane, czując każde spojrzenie jak ukłucie szpilką. Nie przystawał, nie patrzył na nikogo, a szepty spływały po nim jak deszcz.

Dlaczego?, zastanawiał się klan. *Dlaczego Adaira wybrała właśnie jego?*

Właśnie, dlaczego?, myślał Jack, gdy wprowadzono go do sali, gdzie miał czekać na Adairę. Usiadł przy jednym z zakurzonych stołów, ściągnął brwi i zabębnił palcami w drewno.

Wciąż nie wierząc, że Adaira poprosiła go, żeby ją poślubił, i że on się zgodził, wiedział już na pewno, że po prostu nie może wrócić na kontynent. Jego matka była chora, miał małą siostrę, Adaira go pragnęła, a wyspa uznała go za swojego mimo tych wszystkich lat spędzonych z dala od niej. I grał dla duchów morza...

Zmienił się. Spojrzał na swoje dłonie, brudne od pracy. W swoim akademickim życiu nigdy nie pokrywał strzechą dachu, nie przerzucał łopata gnoju, nie naprawiał murku. Jego dłonie były jego źródłem utrzymania i choć brzmiało to idiotycznie, nie mógł sobie pozwolić na złamanie paznokcia, a jednak cieszył się, że naprawił obórkę. Jego ręce potrafiły dać więcej, niż był w stanie sobie kiedyś wyobrazić.

– Przyszedłeś mi powiedzieć, że zmieniasz zdanie, bardziej?

Jej głos był niczym hak, który ściągnął jego uwagę. Jack wstał i się odwrócił.

Adaira stała w przejściu między stołami. Dzisiaj jej warkocze upięte były w koronę, księżycowy oset wetknięty za ucho niczym róża, a pod oczami widniały cienie. *Być może nie mogła spać*, pomyślał Jack, podziwiając karmazynowy haft na jej sukni.

– Niczego nie zmieniam, choć przyznaję, że zastanawiałem się, czy nie był to tylko sen. – Spojrzał jej w oczy. Zaskoczył go ten błysk w jej źrenicach, światło księżycy na stalowym ostrzu. Jakby spodziewała się, że zmieni zdanie, że ją rozczaruje. To musiała być jakaś dawna rana, ktoś kiedyś złożył jej obietnicę, a potem ją złamał. – Nie cofnę swojego słowa, Adairo.

Uspokoila się i podeszła bliżej, dostrzegła harfę.

– Jesteś gotów?

Skinął, chociaż czuł trochę niepokoju. Miał wprawdzie maść i eliksir w futerale na harfę, ale nie wiedział, czego się spodziewać. Jednocześnie pragnął i obawiał się znów grać dla duchów. Podążył za Adairą na zalany słońcem dziedziniec. Ku jego rozpaczy szli do stajni.

– Nie możemy się przejść? – spróbował.

– Tak będzie szybciej – odparła Adaira, dosiadając jabłkowitzą klacz. – I ludzie nie będą nas nękać na ulicach.

Miała rację, ale Jack wciąż się wahał.

– Wybrałam dla ciebie najłagodniejszego konia. – Wskazała na gniadego wałacha, który czekał obok. – Ostatni raz zrzucił kogoś co najmniej siedem lat temu.

Spojrzał na nią spod oka, ale wsiadł.

Jechali razem do Earie Stone, serca wschodniej Cadence, gdzie wzgórza zaczynały zmieniać się w góry.

Zostawili konie spętane przy potoku i wspięli się na wzgórze. Na szczycie spoczywał dumnie wielki kamień, olchy otaczały go kołem niczym tańczące panny.

– Zupełnie jakby to było wczoraj, prawda, stary wrogu? – powiedziała Adaira z tęsknotą, przechodząc pod gałęziami.

Wiedział, o czym mówiła. On też to czuł, czas zdawał się zaginać na tej świętej ziemi. Prawie dwanaście lat temu on i Adaira ścięli się o kępę ostów niedaleko stąd.

Stał pod olchą z dala od kamienia i patrzył, jak Adaira obchodzi drzewa.

– Przepraszam. – Popatrzyła na niego. – Chyba do tej pory nie przeprosiłam cię za to, że cisnęłam ci w twarz moje osty i porzuciłam cię na pastwę losu.

– Ustalmy, że nigdy nie były twoje – droczył się Jack. – Ukradłeś je z mojej tajnej kępy. I jak widzę, wciąż to robisz. – Wskazał kwiat w jej włosach; Adaira zatrzymała się blisko niego.

– Byłbyś zadowolony, gdybyśmy podzielili się tą kępą po równo, bardziej?

– Nie. Nie chcę połowy niczego. Chcę całość.

Adaira nie odrywała od niego wzroku i wzięła głęboki oddech, jakby chciała powiedzieć mu coś wprost. Może przyznać, że istnieje między nimi coraz większe napięcie – Jack liczył, że ona powie to pierwsza. Za każdym razem, gdy ją widział, czuł je bardziej, niczym struny harfy naciągnięte od żebra do żebra.

– Jesteś gotów, by zagrać? – zapytała.

Westchnął, ukrywając rozczarowanie. Ale przecież po to tu był: miał zaśpiewać dla ziemi. Nie po to, żeby nazywać swoje uczucia do Adairy.

Zastanawiał się, jak usiąść, twarzą do kręgu olch czy raczej do kamienia; w końcu siadł na trawie przodem do kamienia i położył harfę na kolanach. Dopiero wtedy Adaira zajęła miejsce kilka metrów od niego.

Przebiegł palcami po strunach, wypełniając umysł obrazami ziemi. Stare, kruszące się kamienie i splątane trawy, dzikie kwiaty i chwasty, małe drzewka, głęboko zapuszczające korzenie, wyrastające na potężne drzewa. Barwa ziemi, jej zapach, uczucie, kiedy trzymasz ją w zagłębieniu dłoni. Głos gałęzi kołyszących się na wietrze; wznoszący się i opadający teren, wierny i stały.

Zaczął śpiewać i zacisnął powieki, nie chciał widzieć ukazujących się duchów. Słyszał jednak, jak trawa szemrze obok jego kolan, jak konary drzew mruczą nad nim, słyszał zgrzyt dwóch pocieranych kamieni. A potem usłyszał cichy okrzyk Adairy i otworzył oczy.

Duchy gromadziły się wokół niego i słuchały, a on grał i śpiewał, i patrzył, jak olchy stają się pannami o długich ramionach i włosach z liści, jak trawa

i przylaszczki splatają się na podobiznę ludzkich chłopców, małych, zielonych i okrągłych. Kamienie budziły się z długiego snu, pokazując swe starcze twarze, dzikie kwiaty łamały swoje łodygi, łącząc się w postać kobiety o długich ciemnych włosach, oczach o barwie wiciokrzewu i skórze fioletowej jak wrzos, który kwitł na wzgórzach. W żółtym wianku z janowca czekała przy Earie Stone, którego pradawne oblicze nadal się formowało.

Jack grał balladę Lorny i czuł, jakby sam powoli zapadał się w ziemię. Kończyny stawały się ciężkie, pochylał się niczym kwiat, więdnący pod ostrym słońcem... Jakby zasypiał. Wydawało mu się, że widzi polne kwiaty rozkwitające na jego opuszkach palców, płatki odrywały się, gdy trącał struny, i od razu odrastały. Nie mógł poruszyć stopami oplecionymi przez korzenie drzew, jego włosy zamieniały się w trawę, długą, zieloną i splątaną, a gdy muzyka dobiegła końca, z trudem przypominał sobie, że jest śmiertelnikiem, człowiekiem. Ktoś zbliżył się do niego – kobieta, jasna jak spadająca gwiazda – i poczuł kojący chłód jej dłoni na swojej twarzy.

– Proszę – przemówiła kobieta, lecz nie do niego. Zwracała się do ducha dzikich kwiatów o długich ciemnych włosach, w żółtym wieńcu. – Proszę, ten mężczyzna należy do mnie. Nie możesz go sobie zabrać.

– Dlaczego, śmiertelniczko? – spytał z ziemi któryś z pierwszoków i brzmiało to, jakby kosa ścinała letnią trawę. – Dlaczego siedziałaś tak daleko od niego? Myśleliśmy, że śpiewa, byśmy go wzięli.

Jack wyrwał się z mgły: Adaira klęczała przy nim, dłonią przesuwając po jego ręce. Z przerażeniem zauważył, że on sam staje się ziemią – trawą, kwiatami, korzeniami... Harfa wypadła z jego mrowiących dłoni, dyszał ciężko i patrzył, jak jego ciało wraca.

– On jest mój i grał, by was tutaj ściągnąć – oznajmiła spokojnie Adaira. – Bardzo chcę z wami porozmawiać, duchy ziemi – jeśli tylko się zgodzisz, Lady Whin, Pani Dzikich Kwiatów.

Whin patrzyła na Adairę przez długą chwilę i przeniosła miodowe oczy na Earie Stone i jego starą twarz. On też obserwował Adairę.

– To ona – przemówiła Whin lekkim, zwiewnym głosem.

– Nie, to nie może być ona – odparł Earie, a jego słowa chrzęściły żwirem.

– A jednak – upierała się Whin. – Długo czekałam na tę chwilę. – Znów przeniosła wzrok na dwoje śmiertelników. Jack poczuł, jak Adaira drży.

– Jestem Adaira Tamerlain – oznajmiła mocnym głosem. – Mój bard przywołał was, abym mogła poprosić was o pomoc.

– Jaką pomoc, śmiertelna pani? – zapytała jedna z olchowych panien.

– Na Wschodzie zaginęły cztery dziewczynki – zaczęła Adaira. – Robimy wszystko, żeby je odnaleźć, żeby mogły wrócić do swoich rodzin. I dlatego chciałabym was o coś zapytać.

– Nie wiem, czy zdołamy ci odpowiedzieć, Adairo z rodu Tamerlain – odparła Whin. – Ale pytaj, jeśli będziemy mogli mówić, odpowiemy.

– Możecie mi powiedzieć, gdzie są te dzieci?

Whin potrząsnęła głową.

– Nie. Ale możemy wyjawić, że są wszystkie razem w jednym miejscu.

– A więc żyją? – Adaira straciła dech.

– Żyją i są całe i zdrowe.

Jack poczuł, jak przepływa przez niego ulga. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się bał informacji o ich śmierci.

– A człowiek, który je porwał? – zapytała spieszenie Adaira. – Kim jest i czy działa sam?

Whin spojrzała na Earie Stone, dzikie kwiaty trzepotały przy każdym jej ruchu, spływały z jej włosów, ramion. Jack wyczuł, że duchy chcą się wycofać; jego występ nie był dość potężny, by utrzymać je długo w ich postaciach.

– Nie możemy powiedzieć, kim on jest, ale nie działa sam – odparła Whin.

Adaira chciała pytać dalej, żądać wyjaśnień, Jack widział to w jej zaciśniętych szczękach, w jej pięściach...

– Możesz mi powiedzieć, gdzie rośnie Orenna?

Przez twarz Whin przemknął ból; otworzyła usta, ale z jej warg wysypały się tylko polne kwiaty. Pierwiosnkowi chłopcy u jej stóp zaczęli się rozplątywać, olchowe panny z jękiem przemieniły się w drzewa.

– Proszę! – zawołała Adaira, puściła Jacka i uknęła przed Earie Stone i Whin. – Proszę, pomóżcie mi, poprowadźcie! Gdzie znajdę te dziewczynki?

– Och, śmiertelna kobieto – powiedziała ze smutkiem Whin, zanikając. – Nie mogę ci powiedzieć, moje usta zamknięte są na prawdę. Musisz szukać odpowiedzi gdzie indziej...

– Gdzie? W wietrze? – zawołała Adaira, ale nie dostała już odpowiedzi.

Duchy ziemi znów stały się drzewami, kamieniami, trawą i kwiatami. Jedynym dowodem, że im się ukazały, była kępa wrzosów w miejscu, gdzie stała Whin.

Jack, bezsilny i obolały, wpatrywał się w Earie Stone i myślał tylko o tym, co powiedziała Lady Whin na początku.

To ona.

Niemal dokładnie to samo, co mówiły im wcześniej duchy wody.

Przesunął wzrok na Adairę: klęczała, opierając się na dłoniach, nieszczęśliwa i zagubiona, i wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

– Adairo – wychrypiał. – Adairo, wszystko będzie dobrze. Ziemia powiedziała nam coś, na co prawie straciliśmy nadzieję: że dziewczynki żyją i mają się dobrze. Znajdziemy je, to tylko kwestia czasu.

Uspokajała się powoli. Podniosła się i wzięła głęboki oddech.

– Masz rację – powiedziała, patrząc w gałęzie drzew. – Ale jestem tak straszliwie zmęczona...

– Zabiorę cię do domu – obiecał, otrzepując tunikę z trawy. Poruszył dłońmi, ale nic go nie bolało, nawet głowa. Może tym razem nie odchoruje używania magii? Postanowił zachować butelkę z eliksirem na później.

Popatrzyła na niego.

– Przepraszam, nie powinnam mówić takich rzeczy. Wszyscy jesteśmy zmęczeni...

– Nie przepraszaj. Zawsze możesz mi powiedzieć, co myślisz.

Spojrzała na niego bezbronnym wzrokiem. Jej ojciec umierał, nie umieli odnaleźć zaginionych dzieci... Widział jej wyczerpanie i gasnącą nadzieję, widział, jak bardzo chciała być silna dla klanu, dla Torina i Sidry. Ale była tylko jedną kobietą, Jack i tak był zdumiony tym, jak dobrze się trzyma.

Wstał, czuł się wydrenowany i kręciło mu się w głowie, może dlatego, że prawie sam przemienił się w ziemię?

Graj ostrożnie, ostrzegła Lorna. Teraz już rozumiał.

Podał rękę Adairze, pomagając jej wstać.

– Jedźmy do Torina – powiedziała. – Na pewno czeka na informacje, czego się dowiedzieliśmy.

Podeszli do swoich koni. Jack wsiadł i pomyślał, że nazajutrz żeni się z Adairą i zupełnie nie ma pojęcia, czego się spodziewać.

– Jaki jest plan na jutro? – spytał, ujmując wodze.

– Nie mam żadnego planu – odparła, ruszając. – Wymyślam to na bieżąco.

Jack parsknął, jego wałach potruchtał za nią. Bard już miał rzucić coś złośliwego, gdy ból zapalił się bielą w jego głowie, zabierając mu oddech. Przez chwilę widział jedynie przeraźliwą jasność błyskawicy. Sięgnął po futerał z harfą i poczuł, jak strasznie bolą go ręce, jakby godzinami trzymał je w śniegu.

Adaira mówiła coś, jadąc przed nim. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego stanu.

Gdy poczuł ostry ból w nosie, a potem zobaczył krew, wiedział, że będzie potrzebował pomocy Adairy. Ledwie widział na oczy, nie był w stanie otworzyć futerału i sięgnąć po lekarstwo.

– Adaira... – szepnął.

Świat zawirował. Jack myślał, że uniósł się w powietrzu, dopóki nie rąbnął w ziemię, uderzając się boleśnie w ramię. Trawa łaskotała mu twarz, pachniało gliną, szumiał wiatr...

– Jack? Jack!

Adaira potrząsała nim, a jej głos dobiegał z tak daleka, jakby dzieliły ich całe kilometry.

– Elik sir – wychrypiał z trudem, mrugając. – W futerale.

Słuchał, jak go szukała. Minęła przeraźliwie długa minuta, zanim wsunęła palce w jego włosy, uniosła mu głowę, przystawiła butelkę do jego ust.

Elik sir były słodki i gęsty niczym miód.

Przełknął raz, drugi, trząśł się, ale ból zaczął słabnąć. Zamrugał znowu i zobaczył przed sobą twarz Adairy.

– Jeszcze? – zapytała.

– Za... zaczekaj.

Ból za oczami przygasał, ale głowa bolała nadal, równie mocno jak dłonie. Nie zdziwiłby się, gdyby spod paznokci wyrastały mu szpony.

Powiedział Adairze o maści; znalazła ją w futerale, wcierała mu ją w palce, knykcie, wewnątrz dłoni... To, że dotykała go w taki sposób, hipnotyzowało go;

jęknął głucho.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim doszedł do siebie, ale gdy tylko mógł unieść głowę, spostrzegł, jaka była na niego wściekła.

– Ty głupi, nieodpowiedzialny, wkurzający bardziej – wykrzyczała. – Powinieneś być mi powiedzieć!

Westchnął, opadając na trawę. Adaira siedziała blisko niego, ciepło jej ciała wsączało się w niego.

– Adairo... Nie spierajmy się o to...

– Próbuję pojąć, co tobą kierowało. Jak mogłeś ukrywać przede mną coś tak ważnego?

Nie umiał jej odpowiedzieć. Czy chodziło o dumę? Strach, że zabroni mu grać? Świadomość bycia hipokrytą? Pragnienie odnalezienia dzieci bez względu na koszt?

Milczała tak długo, że spojrzał na nią. Na jej twarzy malował się ból, Jack zrozumiał, że powraca myślami do swojej matki, widział, jak łączy fakty.

– Przez te wszystkie lata moja mama w tajemnicy grała dla duchów... Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, ile musiało ją to kosztować. A powinnam.

– Razem z twoim ojcem trzymali to w tajemnicy, Adairo. Skąd mogłaś wiedzieć?

– Były takie momenty, że nagle chorowała, wiosną i jesienią, dostawała gorączki i bolały ją dłonie. Musiała leżeć w łóżku przez kilka dni i zawsze powtarzała, że to tylko zmiana pogody i że wkrótce poczuje się dużo lepiej.

Jack słuchał i miał wrażenie, że coś pęka mu w piersi. Nienawidził patrzeć na jej smutek, na ból, jaki zadawała jej prawda. Ale nim zdążył coś powiedzieć, Adaira spojrzała mu w oczy i delikatnie wsunęła palce w jego włosy.

– W ogóle nie powinnam była cię o to prosić – wyszeptała. – Ta muzyka nie jest warta twojego zdrowia, Jack.

– Jeśli nie ja, to kto? – zdołał odpowiedzieć, choć jej pieszczota niemal go ogłuszyła. – Wiesz równie dobrze jak twój ojciec, że Wschód potrzebuje barda. Duchy domagają się pieśni tylko dwa razy w roku i to zdołam zrobić bez trudu.

Nic nie mówiła, nadal trzymając palce w jego włosach. Przyglądał jej się, ale w tej chwili była bardzo daleko, zagubiona w myślach.

– Przepraszam... Powinienem ci powiedzieć, ale nie chciałem, żeby stało się to przeszkodą w znalezieniu dzieci.

Westchnęła.

– Twoje zdrowie jest dla mnie ważne, rozumiesz?

– Myślałem, że zdołam sam się tym zająć. Na własną rękę.

Rozumiała. Rozumiała tę potrzebę ukrycia bólu i słabości.

– To się dzieje wtedy, gdy grasz dla duchów? – zapytała.

– Tak. Kiedy gram dla ludzi, nic się nie dzieje.

Adaira nie odpowiedziała, patrzyła, jak wiatr znowu porusza gałęziami. Jack wiedział, o czym ona myśli: będą musieli zawezwać duchy wiatru. Ziemia nie dała im odpowiedzi, jakich się spodziewali, więc nie było wyboru; Jack wiedział, że Adaira przedłoży dobro klanu nad jego zdrowie, i rozumiał to. Zgadzał się zostać Bardem Wschodu, nie spodziewał się niczego innego.

Jednak Lorna nie grała nigdy dla duchów wiatru, stojących najwyżej w tej hierarchii, najpotężniejszych... Jack miał straszne przeczucie, że one nie tylko wiedzą, gdzie są dziewczęta, ale również zapieczętowały usta innym duchom – i teraz on będzie musiał skomponować dla nich własną balladę. Zadrżał na samą myśl, ile mogło go to kosztować. Skoro ziemia prawie go pochłonęła, jak wiatr zareaguje na tę muzykę?

– Jeśli handel z Breccanami się powiedzie – przemówiła Adaira – jeśli uda nam się ustanowić pokój na wyspie, może wtedy magia nie będzie pociągać za sobą takich kosztów, a ty będziesz mógł śpiewać dla duchów, nie czując bólu, Mirin tkąć, a Una wykuwać ostrza.

Kilka dni temu wyśmiałyby takie myśli, dziś czuł, jak się zmienia, jak wzbiera to w nim niczym fala.

Co mi zrobiłaś?, zastanawiał się, patrząc na Adairę.

– Gdzie chcemy wziąć ślub? – zapytała nagle Adaira. – Może ustalmy teraz, skoro to ma się stać już jutro.

Ta nagła zmiana tematu prawie rozśmieszyła Jacka.

– W zamku?

– Myślę, że to powinno być gdzieś na dworze... I chcę, żeby ceremonia była niewielka, bardzo prywatna. Tylko nasza najbliższa rodzina. Nie chcę publiczności, a jeśli ślub będzie w zamku, ściągnie tam cały klan.

Jack zadrzał. Tak, to by było przerażające.

Zastanawiali się w milczeniu i wtedy Adaira uśmiechnęła się do niego, przyspieszając rytm jego serca.

– Już wiem. – Uśmiechnęła się do niego. – Już wiem, gdzie powinniśmy złożyć nasze śluby, stary wrogu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



Jack czekał na Adairę przy łanie ostów. Niebo było szare i zachmurzone, ostry wiatr wiał ze wschodu. *Idealna pogoda, żebyśmy stali się jednym*, pomyślał, przeczesując palcami włosy. Dzięki lekarstwu Sidry nie czuł już bólu w dłoniach, za to nie spał w nocy i bolała go głowa. Nie wiedział tylko, czy ten niepokój był następstwem grania dla duchów, czy tego, że miał się ożenić.

Grzmot zamruczał w oddali, nadciągała burza, a Jack powstrzymał się, żeby nie krążyć niespokojnie. Torin stał obok niego, podobnie jak Mirin i ojciec Adairy, laird Alastair, który był tak słaby, że przyniesiono mu krzesło, by mógł usiąść w czasie ceremonii.

Upływały kolejne minuty – może Adaira jednak go wystawi? Nie wytrzymał w końcu i przeszedł się wśród kwitnących ostów, białych jak śnieg. Nic się tu nie zmieniło, wszystko wyglądało tak samo jak tamtej nocy jedenaście lat temu, kiedy się starli.

– Jack... – Mirin wyciągnęła rękę, żeby poprawić tartan, który teraz wisiał krzywo; złota brosza zsunęła się z ramienia.

Pozwolił jej. Wiedział, że i ona się denerwuje. Że przez długie godziny tkąła jego ślubny strój. Przywdziała go w najdelikatniejszą wełnę – kremową tunikę, miękką i leciutką, i czerwony tartan, który miał na sobie po raz pierwszy. Torin podarował mu skórzaną kurtkę, nabijaną srebrnymi ćwiekami, z wytłoczonym wzorem winorośli, zaś Alastair – złotą broszę, wysadzaną rubinami. Rodowa pamiątka, pewnie warta fortunę.

Jack próbował pozbyć się dręczącego uczucia, że nie jest godzien, ale nie dawało mu ono spokoju, kazało zwątpić w siebie i w to, co robił – aż przypomniał sobie, co Adaira powiedziała mu wtedy w nocy, klęcząc na podłodze.

Żaden z nich nie jest mężczyzną, którego pragnę.

Nie zdawała sobie sprawy, jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa.

Wzrokiem błdził po wzgórzach. Teren rozpościerał się przed nim niczym pergamin pełen nut, okraszony wrzosami i janowcem. Światło zaczynało przygasać z nadchodzącym zmierzchem, zaś Adaira nadal się nie zjawiła.

Powinien był nalegać na ślub w zamku – bezpiecznym, przewidywalnym miejscu, gdzie duchy nie mogłyby ich oszukać. Wyobraził sobie, jak paprocie, skały i trawa ukazują się, stają między nim i Adairą. A jeśli sprowadziły Adairę na manowce i będzie tu stał wśród tych ostów i czekał do północy?

– Spokojnie, Jack – odezwał się Torin. – Zaraz tu będzie.

Jack powstrzymał się od riposty; zwrócił twarz do wiatru i zamknął oczy. Powietrze było świeże i słodkie, pachniało deszczem; wiatr powiał nagle, wzruszył mu włosy, jakby chciał je przeczesać.

Usłyszał, jak Frae woła jego imię, i otworzył oczy; serce mu przyspieszyło.

Adaira szła pośród traw, z Sidrą i Frae po obu stronach, trzymając je za ręce. Patrzył, jak się zbliża, idzie w jego stronę – w pięknej czerwonej sukni, z wieńcem kwiatów na rozpuszczonych włosach – i prawie stracił przytomność, nie mógł oddychać i nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że szła właśnie do niego...

A ona... kroczyła blada, ze spuszczonego wzrokiem utkwionym we wrzosach i wchodziła na wzgórze z taką determinacją i spokojem, jakby szła na śmierć.

Jack czekał, nie odrywając od niej oczu. *Popatrz na mnie, Adairo, chciał powiedzieć. Spójrz na mnie.*

Dzieliło ich pięć kroków, kiedy wreszcie podniosła wzrok. Patrzyła teraz tylko na niego i rumieńce powoli powracały na jej policzki, rozkwitając jak róże w świetle gwiazd. Stała, piękna i dumna w tym szarym, dziwnym świetle, i wydawała mu się istotą nie z tej ziemi, a on sam był tylko cieniem.

Im dłużej na nią patrzył, tym większy spokój go ogarniał, rozlewał się w jego ciele, gasił wzburzenie. Wyciągnął do niej rękę w niemej prośbie i wciąż nie wierzył, że to się faktycznie dzieje, dopóki Sidra i Frae jej nie puściły, dopóki Adaira nie ujęła w milczeniu jego dłoni.

Jej palce na rozgorączkowanym cieple jego skóry były szokująco zimne, niczym dotyk zimy w parnym powietrzu.

Spojrzała na chmury kłębiące się w górze i Jack poczuł, jak ona drży. To złagodziło jego własne drżenie, ścisnął mocniej jej rękę w nadziei, że to uspokoi ich oboje. *Jeśli mamy utonąć, zróbmy to spleceni.*

Popatrzyła na niego tak, jakby usłyszała jego myśli, i nie odrywała już oczu, ponieważ wreszcie go zobaczyła – jego, starego wroga. Na jej ustach zatańczył delikatny uśmiech, a on, widząc to, odetchnął z ulgą. Mimo ciężaru ostatnich kilku dni nadal potrafił go wywołać, nie mówiąc nawet jednego słowa.

Wtedy to zrozumiał: oto właśnie dokonała najśłodszej zemsty – miał się z nią związać, ślubować jej z czystym sercem. Zachwycił się nią.

Torin coś powiedział, ale Jack nie słyszał ani słowa. Adaira przejechała kciukiem po jego knykciach.

– Mam być pierwsza? – szepnęła, a on skinął głową, obawiając się, że nie zdoła mówić.

Mirin podała długi pasek tartanu Torinowi, a Jack zobaczył, że ich rodziny, jego i Adairy, stają blisko nich w luźnym kręgu. Jakby brali ich w objęcia.

Gdy Adaira wypowiadała swoją przysięgę, Torin przełożył pasek tartanu przez ich dłonie.

– Ja, Adaira Tamerlain, biorę sobie ciebie, Jacku, za męża. Pocieszę cię w smutku, podniosę twoją głowę i stanę się twoją siłą, gdy będziesz słaby. Będę śpiewać razem z tobą w radości, będę cię szanować, będę przy tobie i dla ciebie przez rok i jeden dzień, i dłużej, jeśli duchy nam pobłogosławią.

Myśli Jacka zawirowały. Mirin uczyła go wczoraj wieczorem tej przysięgi, ale w tej chwili miał w głowie zupełną pustkę. Zapadła cisza. Adaira oderwała od niego wzrok, rozluźniła uścisk. Wyobraził sobie, że mogłaby odejść, i blokada puściła, słowa popłynęły niczym pieśń, której nauczył się dawno temu.

– Ja, Jack Tamerlain, biorę sobie ciebie, Adairo, za żonę. Pocieszę cię w smutku, podniosę twoją głowę i stanę się twoją siłą, gdy będziesz słaba. Będę śpiewać razem z tobą w radości, będę cię szanować, będę przy tobie i dla ciebie przez rok i jeden dzień, i dłużej, jeśli duchy nam pobłogosławią.

Torin przełożył tartan jeszcze raz, co miało symbolizować przysięgę Jacka, zaś Alastair podał złotą monetę. Przełamano ją i każdą połówkę nawleczono na łańcuszek; jedną laird zawiesił na szyi córki, drugą na szyi Jacka.

Adaira nie chciała, żeby to obrączki symbolizowały ich śluby, może czuła, że Jack ma szczególne podejście do swoich dłoni. Tak naprawdę Jackowi nie zależało ani na obrączce, ani na monecie – dopóki nie poczuł łańcuszka na

swojej skórze, swojej złotej połówki tak blisko serca. Teraz cieszył się, że miał coś namacalnego, coś, co symbolizowało jego śluby wobec Adairy.

– Ogłaszam zatem, że staliście się jednym – oświadczył Torin, a Frae zaklaskała z radości. – Czy chcecie przypieczętować przysięgę pocałunkiem?

Jack poczuł, jak dłoń Adairy sztywnieje w jego dłoni. Dziedziczka odchyliła się i lekko zmrużyła oczy; nie omawiali tego, ale było jasne, że pocałunek był ostatnią rzeczą, jakiej by chciała.

Po sekundzie wahania Jack podniósł ich złączone dłonie i przez tartan pocałował knykcie Adairy.

I to już było wszystko. Ledwie pięć minut, a pod Jackiem ugięły się nogi na myśl o tym, jak bardzo zmieniło się jego życie.

Mirin całowała jego żonę w policzki, Sidra ścisnęła mu rękę, a on nie miał pojęcia, co będzie dalej. Nie spali w jednym łóżku, nie urządzali uczyty weselnej. *Nie chcę uroczystości*, powiedziała mu wczoraj. *To zbyt ciężkie dni, zbyt ponure na takie rzeczy*.

– Możemy wrócić do zamku? – spytał Alastair, któremu Torin pomógł wstać z krzesła.

– Ale... – zaczęła Adaira i zmarszczyła brwi. – Tato, mówiłam, że nie chcę uczyty.

– Adairo... – przemówił laird z szorstką czułością. – Jesteś moją jedyną córką i następczynią. Naprawdę myślałaś, że zdołasz się zaręczyć bez niewielkiej uroczystości?

Adaira spojrzała na Sidrę i Torina.

– To zbyt mroczne dni na to, żeby się cieszyć.

– Dni mogą być mroczne – powiedziała Sidra – ale wy macie prawo się weselić. Chcemy świętować razem z tobą.

– Może twój bard zagra dla nas pieśń, Adi? – Torin uniósł brew, spojrzał na Jacka.

Jack nie był przygotowany na to, że ma zagrać dla klanu. Ale teraz wszyscy patrzyli na niego i zrozumiał, że w cichości ducha czekał na tę chwilę.

– Oczywiście – odparł, nerwowo poprawiając tartan.

– A zatem chodźmy, zanim spadnie deszcz – zarządził Torin i niewielka grupka podążyła do zamku.

Jack był zaskoczony zgromadzeniem na dziedzińcu; na widok jego dłoni związanej z dłonią Adairy podniosły się wiwaty.

Nie zatrzymał się, torując sobie drogę przez tłum, prowadził Adairę do sali. Nie widział nikogo innego, tylko ją, czuł jej zimną rękę w dłoni, jej bliskość u swojego boku, słyszał jej westchnienie, szelest jej karmazynowej sukni przy każdym kroku.

Rzucano na nich płatki kwiatów, miękkie i pachnące, które niczym śnieg zostawały w ich rozwianych wiatrem włosach.

Gdy Jack i Adaira wkroczyli do sali zamkowej jako mąż i żona, by zacząć uroczystą ucztę, burza wreszcie się rozpętała.



Zajął miejsce obok niej na podeście, przy stole lairda. Ich ręce – jego lewa dłoń i jej prawa – były nadal złączone dwoma węzłami; Jack patrzył na ich splecione palce.

– Chciałbyś nas rozwiązać, bardziej? – zapytała Adaira. Podniósł wzrok. Przyglądała mu się z lekkim uśmiechem.

– Powinienem?

– Nie, jeszcze nie. Powinniśmy zostać związani, dopóki nie zabiorę cię do łóżka, ale będę musiała zerwać z tradycją i puścić cię dużo wcześniej. – Wskazała podium, na którym już czekała piękna harfa Lorny.

To była ostatnia chwila ich intymności; gdy na dworze rozpętała się burza, ludzie wlewali się do sali, a ich śmiechy i rozmowy dudniły niczym grzmoty za oknem. Było ciepło i wilgotno, gwarnie i radośnie, a Jack czuł się przytłoczony tym, że jego życie nagle splotło się ściśle z tyloma innymi.

Służący wnosili dania: półmiski łososa, świeżych ostryg, przegrzebków i wędzonych małży ustawiano na stołach obok dziczyzny z jarzębinową galaretką i jagnięciny z cytrynami. Następnie wniesiono *bride's pie* – małe paszteciki z cielęciny i baraniny, jabłek, cynamonu, porzeczek oraz brandy. Następnie misy z *colcannon*, potrawą z kapusty, marchewki i ziemniaków z brązowym masłem, a także misy z frytkami, jęczmiennymi kluskami i ciastkami owsianymi. Potem przyszły desery – florety migdałowe i pudding, biszkopty oraz kremy, ciastka miodowe, kruche ciasteczka i beza z jagodami.

Jack nigdy w życiu nie widział naraz tyle jedzenia. Żołądek nadal miał ściśnięty wzruszeniem po ceremonii, ale gdy Adaira zaczęła nakładać na swój

talerz, poszedł za jej przykładem. Szybko odkrył jednak, że nie ma czasu na jedzenie: każdy chciał zamienić słowo z córką lairda i jej mężem. Nie miał wyjścia, musiał pozwolić, by jedzenie na talerzu wystygło.

Ludzie podchodzili do podestu, by się im pokłonić. Niektórzy byli szczerze zachwyceni i wzruszeni, inni nie umieli ukryć zdumienia, jeszcze inni traktowali Jacka jak przybysza z kontynentu. Znosił to wszystko i sam mówił niewiele, rozmowę zostawiając Adairze.

Nastąpiła chwila przerwy w tym korowodzie i Jack mógł wreszcie wsunąć do ust kilka przegrzebków, gdy poczuł, jak Adaira ściska mocniej jego dłoń, jakby nie chciała go alarmować, ale nie mogła się powstrzymać. Podniósł wzrok i zobaczył młodego mężczyznę wchodzącego na podest.

Przystojny, z twarzą ogorzałą od wiatru i słońca, jasne włosy spadały mu miękkimi falami na ramiona. Jego oczy w kolorze letniej trawy patrzyły wyłącznie na Adairę.

Skłonił się jej głęboko, z ręką na sercu; Jack od razu zauważył jego brudne palce, chociaż knykcie miał zdarte, jakby szorował je godzinami, próbując usunąć plamy. Mężczyzna podniósł głowę i wpatrzył się w Adairę głodnym, pełnym tęsknoty wzrokiem.

Jacka przeszył nagły, lodowaty ból.

– Lady Adairo – odezwał się nieznajomy, a jej imię zabrzmiało w jego ustach jak pieśń, jak obietnica. Tak mógł mówić tylko człowiek, który który towarzyszył jej w wielu chwilach, który znał ją również intymnie.

Adaira zeszywniała, przemówiła głosem pustym, bez emocji:

– Callanie.

Mężczyzna przełknął, zdenerwowany, lecz gdy się uśmiechnął, ból Jacka tylko się pogłębił.

– Minęło wiele czasu, od kiedy ostatnio się widzieliśmy...

Nie odpowiedziała, patrzyła na niego bez wyrazu, ale mocniej ścisnęła rękę Jacka.

Jack chrząknął.

– Mam wrażenie, że się nie znamy?

Callan spojrzał na niego uważnie.

– Wybacz. Tak, nasze ścieżki się nie przecięły, zanim wyjechałeś na kontynent. Jestem Callan Craig. – I znów przeniósł wzrok na Adairę.

– I co robisz na wyspie? – Jack nie ustępował, potajemnie sunąc kciukiem po dłoni Adairy.

– Kopię rowy i zbieram torf.

Cięzka praca, do której nikt na wyspie się nie rwał, którą dostawali przestępcy i ci, co popadli w niełaskę.

Zapadła niezręczna cisza. Jack nie wiedział, o co jeszcze mógłby zapytać; potrafił się już tylko zastanawiać, co takiego skazało Callana Craiga na zbieranie torfu i kopanie rowów. Czuł teraz ten zapach bagien, ostry, niedający się zmyć żadną ilością wody i mydła.

– Jak się miewają twoja żona i córka? – zapytała w końcu Adaira uprzejmie, tak jak rozmawiała ze wszystkimi tej nocy. A jednak w jej słowach było coś więcej: przypomnienie i ostrzeżenie.

Callan patrzył na nią, w jego oczach pojawiła się iskra żalu.

– Dobrze, dziewczeczko. Moja żona przesyła ci pozdrowienia i ma nadzieję, że będziesz miała szczęśliwe małżeństwo.

– Przekaż jej zatem moje podziękowania.

Callan skłonił się znowu i zszedł z podestu. W chwili, gdy odwrócił się od nich, Adaira sięgnęła po kieliszek letniego wina i wypła je. Jack przyglądał jej się kątem oka.

– Wszystko w porządku? – szepnął.

Adaira sięgnęła po bursztynową butelkę wina, która stała między nimi, naląła sobie kolejny kieliszek i przysunęła do twarzy, wachając jego słodycz.

– Nic mi nie jest – odparła ze wzrokiem utkwionym w tłumie.

Jack również spojrział na salę: Callan Craig siadł przy pobliskim stole na kozłach, skąd miał doskonały widok na Adairę.

Bard poczuł, jak na jego twarzy pojawia się wrogi wyraz, i ukrył to, pijąc wino. Odstawił z brzękiem pusty kielich i pociągnął Adairę za rękę; popatrzyła na niego.

– Rozwiąż mnie – powiedział.

Wpatrywała się w niego, jakby wahała się, czy go puścić, a potem wstała. Samo to, że się poruszyła, uciszyło głośne rozmowy i wszyscy spojrzeli na nią.

– Moi dobrzy ludzie ze Wschodu – przemówiła z uśmiechem. – Dziś wieczorem łamię tradycję i puszczam mojego oblubieńca na długo przed udaniem się do łóżka, aby mógł dla nas wszystkich zagrać. – Odwróciła się do Jacka i rozwiązała tartan, który ich łączył; ten intymny gest wywołał szepty w tłumie.

Jack wstał. Cały klan patrzył na niego, gdy szedł do miejsca, gdzie na podeście czekała na niego harfa. Usiadł na stołku i odetchnął, a cały ciężar oczekiwań niemal złamał jego pewność siebie. Ale widział Mirin i Frae nieopodal, lairda Alastaira, Torina i Sidrę, Unę i Ailsę oraz ich dorosłe dzieci. To był jego dom – ci ludzie z ich zaczarowanymi tartanami i dirkami, ze smutkiem i radością, opowieściami, obawami i marzeniami. To był jego klan i należał do nich, nawet jeśli wrócił tu jako obcy.

Położył dłonie na strunach i zaczął grać pieśń radości. Jego nuty rozbrzmiewały w zamkowej sali, pełne życia i wesołości, ale nie uśmierzały szalejącej w nim burzy. Callan Craig, który wciąż tak bezwstydnie gapił się na Adairę, wyprowadził go z równowagi. Jack odważył się zerknąć na nią i zobaczył, że patrzy tylko na niego, na swojego męża, jakby był jedyną osobą w tej sali.

Światło ognia i cienie tańczyły na jej obojczykach; połówka złotej monety błyszczała na piersi jak spadająca gwiazda. Białe włosy zwieńczone koroną kwiatów opadały na jej plecy i ramiona miękkimi falami.

Znów uderzyła go jej ostra uroda i przegapił nutę; otrząsnął się, chyba nikt tego nie zauważył – z wyjątkiem Adairy, która uśmiechnęła się, jakby usłyszała jego błąd. Musiał przestać na nią patrzeć, zanim muzyka rozpadnie się w jego rękach.

Przeniósł wzrok na struny i przypomniał sobie, dla kogo gra: robił to dla klanu, nie dla niej.

Muzyka płynęła dalej.



Frae nie posiadała się ze szczęścia, kiedy zobaczyła, jak służący wnoszą harfę do sali. Przez cały dzień zalewały ją najróżniejsze uczucia, miała być świadkiem na zarękowinach swojego brata, miała odprowadzić Adairę do ostów. Tak bardzo się bała, że to tylko sen, że obudzi się i odkryje, że to wszystko – nawet powrót Jacka do domu – tylko jej się śniło.

Ale to i tak było nic w porównaniu z tym, że miał zagrać dla klanu.

Niecierpliwiła się na ławie obok Mirin, podskakiwała, nie mogąc się już doczekać. Gdy popłynęły pierwsze nuty, sala wydawała się budzić z długiego snu. Kolory gobelinów znów były żywe, rzeźby w drewnianych belkach zdawały się poruszać, ogień strzelił w górę w kominku, pochodnie płonęły jaśniej, cienie tańczyły łagodnie i delikatnie.

Wyspa poruszyła się, ożywiła; zafascynowana Frae obserwowała jej przebudzenie, mogłaby przysiąc, że czuje pod stopami dudnienie, jakby kamienie rozkoszowały się muzyką jej brata.

Pieśń skończyła się zbyt szybko, ale poproszony o zagranie kolejnej, zrobił to. Zagrał w sumie trzy, w ostatniej dodał śpiew.

Frae zalała duma, a gdy grzmot oklasków wypełnił salę, zerwała się i klaskała jak w gorączce, chciała wszystkim powiedzieć: *to mój brat, mój brat!*, zwłaszcza gdy Jack podniósł się i skłonił przed klanem, a wszyscy wstali, żeby oddać mu cześć. Mirin znów miała łzy w oczach, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszała muzykę syna. Wytarła je, zanim zdążyły opaść.

Frae już dawno nie czuła się tak szczęśliwa.

Tak bardzo się bała, od kiedy zaczęły ginąć jej przyjaciółki. Dziewczynki, z którymi chodziła do szkoły, które czasem mijala w mieście lub na drodze. Chciała, żeby wszystko skończyło się dobrze, żeby się odnalazły.

A teraz, gdy słuchała muzyki swojego brata, odzyskała nadzieję.

Nie rozumiała, jak to możliwe, ale czuła, że to właśnie jego muzyka je uratuje.



Adaira była zmęczona celebracją. Uczta zaczęła cichnąć, ogień przygasał. Nie chciała żadnej uroczystości, żadnych tańców, zabaw ani toastów na swoim ślubie. Wciąż nie mogła zrozumieć, jak ojciec zdołał zorganizować ucztę bez jej wiedzy.

Może zaplanował to razem z Torinem już choćby po to, żeby Jack zagrał dla klanu. Adaira wyczuła to, tę zmianę w sercach. Jakby muzyka barda była balsamem i pocieszeniem. Światłem i pokojem.

Nawet teraz, kilka godzin później, czuła w sobie wszystkie jego pieśni.

Zerknęła na niego, zobaczyła, jaki jest zmęczony.

– Pójdziemy? – Wyciągnęła do niego rękę.

Przytaknęła i splótł ich palce, jakby tylko na to czekał.

– Torin i Sidra, i kilka innych par odprowadzą nas do mojej komnaty – wyjaśniła cicho Adaira, gdy schodzili z podestu. – Zgodnie z tradycją powinni czekać pod drzwiami, dopóki nie skonsumujemy małżeństwa, ale zapowiedziałam już Sidrze, żeby nie zostawali. Mówię to tylko po to, żebyś nie czuł się speszony ich obecnością.

Jack nie zdążył jej odpowiedzieć. Kiedy przemierzali salę, ludzie wiwatowali, rzucali im lekko już zwiędłe kwiaty. Adaira szła z uśmiechem, ale poczuła ulgę, gdy wreszcie zostawili salę za sobą. Podążyli za nimi Sidra i Torin, Una i Ailsa oraz kilka innych małżeństw.

Spieszyła się, wchodząc z Jackiem po schodach – za chwilę znajdą się w pokoju, wreszcie będzie mogła odetchnąć. Ailsa, która była dla Adairy jak ciotka, śmiała się z tego jej pośpiechu.

Zupełnie niespeszona, obejrzała się przez ramię i odparła śmiało:

– Myślę, że czekałam już zbyt długo.

Jack zakaszłał, na pewno czuł się zakłopotany; Adaira nie odważyła się na niego spojrzeć.

Wszyscy się zaśmiali, z wyjątkiem Torina.

I wreszcie dotarli do drzwi sypialni.

Adaira otworzyła je i prawie wciągnęła swojego nowego męża przez próg. Podziękowała parom za eskortę i zamknęła drzwi – teraz byli już tylko ona i Jack. Żadnych wścibskich spojrzeń, żadnych sceptycznych oczu, żadnych rozmów, pytań i analiz.

Oparła się o drzwi, odetchnęła i poczuła na sobie spojrzenie Jacka. Kwietna korona przekrzywiła się, jej ciało było ciężkie jak z żelaza. Poczekała, aż Sidra zabierze grupę świadków spod jej drzwi, i dopiero wtedy puściła dłoń Jacka, weszła głębiej do pokoju, trąc wewnątrz dłoni. Jack pozostał przy drzwiach, jakby nie miał pojęcia, co robić.

– Wchodź, Jack – powiedziała Adaira. Stała przy kominku. Ogień płonął, dając ciepłe, zapraszające światło.

Kątem oka widziała, jak Jack bada jej sypialnię, tak samo jak ona badała jego sypialnię tamtej nocy, kiedy się oświadczyła.

Przeszedł obok jej dużego łóżka, kotary były odsłonięte, widać było kołdry i poduszki. Dzikie kwiaty leżały na jej pościeli, a wśród nich przezroczysta szata, którą musiały ułożyć dla niej pokojówki. Jack pewnie ją zauważył, ale spokojnie przeniósł wzrok na gobelin, który wisiał obok, i na drewniane panele zdobiące ściany, przedstawiające lasy, charty, fazy księżyca i winorośle. Niektóre były już bardzo stare i zniszczone, starsze niż zamek, lecz Adaira kochała je i nie pozwoliła ojcu ich wymienić.

Potem Jack oglądał regały, zastawione książkami, podszedł do uchylonych okien, przez które wsączało się świeże nocne powietrze z nutą słodczy po burzy. Podziwiał gwiazdy, które płonęły na niebie, i odległy blask oceanu.

Adaira zastanawiała się, o czym myślał, gdy dołączył do niej przy kominku, i nie wiedziała, czemu jej serce przyspieszyło, gdy do niej podszedł. Nie zapraszała go do łóżka i nie wiedziała, kiedy to się stanie, ale teraz czuła, że może to nastąpić wcześniej, niż sądziła.

Skupiła się na tym, żeby nalać im czerwonego wina, pachnącego owocami, podała jeden kielich Jackowi i powiedziała:

– Nie było aż tak źle, prawda?

Wziął od niej puchar i nie uśmiechnął się, ale jego głos zabarwił humor.

– Przez chwilę było groźnie.

– Tak?

– Myślałem, że mnie wystawisz – wyznał.

– Czyli miałabym cię prosić o rękę, a potem się nie zjawić? – spytała rozbawiona.

Spojrzał na nią, w jego oczach odbijało się światło ognia.

– Czułem się tak, jakbym czekał na ciebie wieczność.

Nie odezwała się, jego słowa wywołały rumieniec. Gdy Jack wciąż nie odrywał od niej wzroku, stuknęła się z nim kielichem, by odwrócić jego uwagę.

– Za ciebie, za mnie i za ten rok i dzień, które należą do nas.

Wypili; Adaira czuła, jak jej zmęczenie znika, i pomyślała, że to z powodu Jacka, który był tak uważny i stał tu, jakby czekał na rozkazy.

W brzuchu jej zaburczało tak głośno, że jej mąż musiał to słyszeć.

– Niewiele jadłam w czasie uczyty – powiedziała nieśmiało.

– Ja też padam z głodu.

Odstawiła swoje wino, by zadysponować kolacją, i wkrótce służący przynieśli dwie tace z jedzeniem, które pozostało po uczcie weselnej, i ustawili je na okrągłym stoliku przed paleniskiem. Jack i Adaira usiedli w swoich pomiętych ślubnych ubraniach przed tańczącym ogniem i w końcu najedli się do syta.

Nie rozmawiali, ale w tej ciszy nie czuło się napięcia i Adaira zdała sobie sprawę, że ich milczenie może być tak samo swobodne jak rozmowa czy nawet kłótnia.

– Mam prośbę – powiedział w końcu bard, odsuwając swój talerz na bok.

– Tak, Jack?

Zawahał się, wpatrzony w swoje wino. Spięła się, tak, spodziewała się, że ją zawiedzie, że wystawi ją w jakiś sposób, chociaż, niby dlaczego? Ale wołała pozostać czujna.

– Wiem, że nie będziemy spać razem – zaczął, zerkając na nią. – I zastanawiałem się, czy pozwoliłabyś mi nocować w domu mamy, żebym mógł czuwać nad nią i nad Frae, dopóki nie odnajdziemy zaginionych dziewczynek i nie zostanie wymierzona sprawiedliwość. W dzień jestem twój, ale w nocy... chciałbym zostać z nimi.

Zaskoczył ją; złagodniała, widząc jego zmartwienie i obawę.

– Oczywiście. Chcesz iść do nich jeszcze dzisiaj?

– Nie – zaśmiał się lekko. – Założę się, że mama obdarłaby mnie żywcem ze skóry, gdybym we własną noc poślubną wrócił do swojej starej sypialni. Na pewno doszłaby do wniosku, że byłem beznadziejnym kochankiem, plotki by się rozeszły i... nie.

Adaira się uśmiechnęła.

– Już rozumiem... Chcesz w takim razie, żebym wysłała do nich strażnika?

– Zastanawiałem się nad tym, ale nie. Jeśli przysłałabyś straż do mojej siostry, musiałabyś pilnować każdej dziewczynki na Wschodzie. Nie, nie chcę żadnych specjalnych przywilejów za to, że jesteśmy razem.

– Rozumiem, o czym mówisz. – Skinęła głową. – Ale daj mi znać, jeśli zmienisz zdanie. I nie potrzebujesz mojej zgody, żeby nocować w domu swojej mamy.

– Nie potrzebuję? – zdziwił się. – Jesteś moją żoną i moją lairdess.

– W rzeczy samej... – szepnęła. – Jak to się stało?

Uśmiechnął się, jakby czuł to samo zdumienie i ten sam zachwyty.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, Adairo.

Znowu zapadła cisza i Adaira poczuła, jak jest późno. Zbliżała się północ, a mieli za sobą długi, niezwykle dzień.

– Chciałbym spytać cię o coś jeszcze. – Jack przerwał ciszę.

Wiedziała, o co mu chodzi. Spodziewała się tego, usłyszała to w jego głosie, w drzeniu niepewności.

Odetchnęła i spojrzała w ogień.

– A więc spytaj mnie, a ja ci odpowiem, Jack.

– Kim on jest?

Chodziło mu o Callana Craiga.

Potarła brew i zorientowała się, że wciąż ma na głowie kwietną koronę. Zdjęła ją i położyła na stole.

– Nie musisz mi odpowiadać, jeśli nie chcesz – dodał szybko Jack.

– To moja pierwsza miłość. Miałam osiemnaście lat i byłam bardzo samotna. Dochodziłam do siebie po śmierci matki, a Callan był tuż obok... Zakochałam się w nim szybko i lekkomyślnie, naiwnie wierzyłam w każdą obietnicę, jaką mi dał. Był wszystkim, czego pragnęłam, i myślałam, że on czuje to samo, że kocha mnie tak, jak ja pokochałam jego. Ale niektóre serca stworzone są po to, żeby je łamać, czyż nie, bardzie?

– Jeśli jest im to pisane – rzekł Jack – pękają i potem stają się jeszcze silniejsze.

– Mówisz jak człowiek, który doświadczył czegoś podobnego – zauważyła.

Teraz to on odwrócił wzrok w stronę bezpiecznego ognia. I choć chciała poznać fragmenty jego przeszłości, pomyślała, że nic jej teraz nie powie. A wtedy on zaczął opowiadać.

– Była koleżanką z uniwersytetu, na tym samym roku co ja. Mieliśmy razem kilka zajęć i spostrzegłem ją na długo przed tym, jak ona zauważyła mnie. Pewnego dnia usłyszała, jak gram na harfie, i zaczęła ze mną rozmawiać coraz częściej. Pokochała moją muzykę. Moje uczucia były znacznie głębsze niż jej i z początku nie umiałem zrozumieć, co robię źle, a potem do mnie dotarło: kochała muzykę od zawsze. To muzyka inspirowała ją i stanowiła

wyzwanie, miała nigdy nie zblaknąć, nie zestarzeć się i nie zdradzić. Ze mną było inaczej. Z trudem zdobywałem przychyłność muzyki – która została mi narzucona – i nawet gdy udało mi się ją zdobyć w jakimś stopniu, nigdy nie poczułem się godny jej piękna. Ale do rzeczy. Morał tej przydługiej opowieści brzmi: zdałem sobie sprawę, że muzyka zawsze będzie dla niej ważniejsza, i próbowałem się znieczulić i zmienić w kamień. A teraz zdałem sobie sprawę, że lepiej jest żyć i czuć, nawet jeśli ma się to zakończyć rozstaniem, niż być zimnym i na wpół martwym głazem, spękanym z urazy.

– Wypiję za to – wyszeptała Adaira i uniosła swój kielich.

Szkło uderzyło o szkło i oboje wypili, a ona czuła się tak, jakby zniknęła między nimi przegroda, jakby to wyznaczenie było pierwszym krokiem do uzdrowienia, do złączenia rozbitych kawałków w całość.

Teraz zobaczyła go lepiej w tych zamglonych latach, kiedy on mieszkał na kontynencie, a ona wędrowała po wyspie.

Chciała dowiedzieć się jeszcze więcej, ale kazała sobie poczekać. Nawet jeśli nie będzie go przy niej przez najbliższe noce, będzie jej towarzyszył za dnia.

Siedzieli jeszcze czas jakiś w przyjemnej ciszy, a gdy ogień zaczął przygasać, Adaira zmusiła się do wstania.

– Zatrzymałam cię tu o wiele za długo. – Wygładziła swoją suknię ślubną.
– Wymiana będzie nazajutrz i powinnam pozwolić ci odpocząć. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Jack ruszył do drzwi, ale ona chrząknęła, przykuwając jego uwagę.

– Mamy sekretne drzwi łączące nasze komnaty. – Uśmiechnęła się łobuzersko, podnosząc haczyk przy drewnianym panelu po drugiej stronie jej pokoju. Oczy Jacka rozszerzyły się, gdy patrzył, jak uchyla się tajne skrzydło, ukazując ciemny korytarz.

Adaira weszła do środka, schylając się pod zasłoną pajęczyny; Jack poszedł za nią.

Krótki korytarz kończył się drzwiami do drugiego pokoju; Adaira otworzyła je i pozwoliła Jackowi wejść do jego nowej sypialni. Wyglądała podobnie: duża i przestronna, z malowanymi panelami i książkami, z kominkiem, w którym żar prawie wygasł, z łóżkiem i wielkim gobelinem u wezgłowia.

– Czy to ci wystarczy? – zapytała.

– Aż nadto. – Zerknął na nią. – Dziękuję.

Skinęła i zaczęła zamykać drzwi.

– W takim razie śpij dobrze, Jack. – Zamknęła panel, nim zdążył jej odpowiedzieć, ale stała tam przez chwilę, w mroku korytarza, myśląc o tym, jakie życie może być dziwne. Jak jej dni będą wyglądać teraz inaczej, gdy Jack będzie mieszkał po drugiej stronie tajnego przejścia.



Jack stał w swoim nowym pokoju.

Popatrzył na łóżko, o wiele dla niego za szerokie, i podszedł do biurka, na którym leżały stopy pergaminów; jego harfa spoczywała obok na podłodze. Przystudiował półki z książkami i drewniane panele, podszedł do kominka, dorzucił polano do ognia. A potem usiadł na skórzanym fotelu i poczuł ukłucie tęsknoty.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz tworzył muzykę.

Na kontynencie jego kompozycje skłaniały się ku smutkowi i lamentom, pieśniom o zagładzie. Co stanie się z jego muzyką tutaj, na wyspie, w co będą chciały uformować się jego nuty teraz, kiedy był w domu?

Był wyczerpany, lecz w pełni świadomy, łóżko zachęcało, żeby odpocząć, ale Jack wiedział, że i tak nie zaśnie.

Wstał i wrócił do biurka. Usiadł przy nim, wybrał pióro i otworzył szklany kałamarz wypełniony orzechowym atramentem.

Wracał myślą do tego, co zdarzyło się dzisiaj. Jak słodko smakował wschodni wiatr, gdy muskał włosy Adairy, kiedy stała przed nim i wypowiadała przysięgę.

Wyobraził sobie skrzydła szybujące ponad wzgórzami i bijące o gwiazdy. Wyobraził sobie, jak wykradają słowa i niosą je przez wrzosowiska, jak gonią deszcz i tańczą razem z dymem.

Powoli przypominał sobie te lata, które kiedyś chciał pogrzebać.

Zaczął pisać pieśń dla duchów wiatru.

ROZDZIAŁ SZESNASTY



W południe było już parno. W gorącym słońcu podnosiła się mgła, za chwilę miała się odbyć pierwsza wymiana handlowa między Wschodem a Zachodem. Jack stał obok Adairy w starej chacie rybackiej, przed nimi skrzynia z najlepszymi zbożami, miodem, mlekiem i winem Tamerlainów. Mieli znieść te dobra na ścieżkę prowadzącą na północne wybrzeże, na spotkanie z Morayem Breccaninem. Jediną przeszkodę stanowił Torin, który nie pozwalał im wyjść z chaty.

– To głupie, Adi – mówił ze złością. – Powinnaś pozwolić mi pójść z tobą.

– Już o tym rozmawialiśmy, Torin – odparła krótko. Była wyczerpana; zeszłej nocy udało im się przespać ledwie kilka godzin w oddzielnych łózkach. – Podobnie jak on, mam podejść nieuzbrojona i bez straży.

– Tak jest, żeby mógł zatopić w tobie strzałę – warknął Torin, chodząc tam i z powrotem. – A mnie tam nie będzie, nie zdołam temu zapobiec ani nawet zobaczyć, jak to się dzieje.

Adaira przyglądała mu się w milczeniu.

– Czego się obawiasz, Torinie? Nadaj temu lękowi nazwę, żebyś mogła cię uspokoić.

Torin wyprostował się i spojrzał na kuzynkę płonącymi oczami. Zaciśnął szczęki.

I w tej pełnej napięcia chwili Jack przejrzał go, jakby kapitan był ze szkła. Torin nie chciał, żeby ktokolwiek myślał o nim, że jest słaby, że nie może czegoś zrobić. To musiała być cecha Tamerlainów, duma przekazywana we krwi, pokolenie za pokoleniem, kiedy musisz wydawać się niezwyciężony, ukryć wszystkie słabości.

– Jeśli cię zabiją – rzekł Torin cicho – spalę cały Zachód do gołej ziemi. Nie oszczędzę żadnego Breccanina.

– Będziesz zabijał niewinne kobiety i ich dzieci, Torinie? – sparowała Adaira i od razu mówiła dalej: – Boisz się, że mnie stracisz, i rozumiem twój

strach, bo i ja tego doświadczałam. Ale choć mogę być twoją przyszłą lairdess, nie jestem tylko twoją własnością. Należę do całego klanu i decyzję o dzisiejszym handlu podjęłam dla dobra wszystkich Tamerlainów.

Torin westchnął.

– Adi...

– Znajdę też odpowiedź, której tak uporczywie szukamy – mówiła dalej i wyjęła z gorsetu niewielki kwiatek, zamknięty w fiolce. Jack wiedział, co to jest, Adaira pokazała mu go dziś rano w czasie śniadania.

Spojrzenie Torina stało się jeszcze bardziej mroczne.

– To Sidra cię namówiła?

– Sidra udzieliła mi rady, której rozpaczliwie potrzebowałam. – Adaira schowała kwiat Orenny. – Chcę znaleźć miejsce, w którym rośnie ten kwiat, żeby pomógł nam rozwiązać tę zagadkę. Odzyskać Maisie.

Torin milczał, a Jack wykorzystał ten moment, by mu się przyjrzeć. Ubranie kapitana wydawało na luźniejsze, jakby schudł; twarz miał bladą i kilka srebrnych nitok błyszczało w jego blond włosach. Czy udało mu się przespać spokojnie choć jedną noc, zjeść porządny posiłek od porwania Maisie? Wciąż nie wiedział, co dzieje się z jego córką, i to go wykańczało; Jack poczuł dojmujący smutek. Torin wziął oddech i powiedział:

– Kiedy jakiś Breccanin przekracza granicę klanu, wiem o tym pierwszy. Sidra wspomniała mi, że jej zdaniem Zachód może być w to wszystko uwikłany, ale moim zdaniem to niemożliwe.

– Mogą przekazywać kwiaty jednemu z naszych ludzi, nie przekraczając granicy – zauważyła Adaira.

– Nadal nie widzę, jak mieliby to robić.

– Właśnie dlatego musisz mi pozwolić na spotkanie z Morayem – odparła.

– Żebym mogła odkryć, jak posłać skrzynię z towarem na Zachód bez przekraczania granicy klanu.

Torin nie odpowiedział, ale widać było, że nadal chce protestować, sfrustrowany; Adaira dokończyła łagodnie:

– Ty i twoi strażnicy cały czas szukacie dziewczynek. Pozwól, żebym w ten sposób ci pomogła.

Torin w końcu przytaknął i odsunął się, odsłaniając im drogę.

– Już czas, Jack – zwróciła się do niego Adaira. – Pomóż mi nieść tę skrzynię.

Jack złapał z jednej strony, Adaira z drugiej, razem wyslizgnęli się z chaty i rozpoczęli ostrożną wędrówkę w dół skał.

Torin z kilkoma zaufanymi strażnikami pozostał z tyłu, pilnując, żeby nikt nie zbliżył się do Jacka i Adairy, nie wpadł na ich trop. Wymianę z Zachodem trzymano w ścisłej tajemnicy, dopuszczając do niej tylko nielicznych.

Jack nie wiedział, czego się spodziewać; ze względu na Adairę silił się na optymizm, chociaż raczej zgadzał się z Torinem. Jedno wiedział na pewno: jaskinia, do której zmierzali, była niebezpieczna – napełni się wodą, kiedy nadejdzie przyptyw.

W końcu dotarli nad brzeg oceanu. Wiał wiatr z zachodu, rozgrzany ciekawością, ptaki z krzykiem nurkowały do lustra wody, fale napływały i odpływały, zostawiając na lądzie kawałki muszli i kosmyki wodorostów. Miękki piasek skrzypiał pod butami, skrzynia obijała się Jackowi o nogę; w oddali majaczyła granica klanu, łańcuch skał zdawał się falować w ciepłym powietrzu.

Jack przypomniał sobie powrót na wyspę, kiedy ocean wyrzucił go na południowe wybrzeże Breccan, kiedy nieumyślnie wtargnął na ich ziemię. Nikt go wtedy nie dopadł, nikt mu nie groził, choć wiedział, że zachodni klan też ma swoją straż. Pomyślał, że zachowanie tajemnic na Cadence jest niemożliwe; że Mirin słusznie chowała je w splocie tartanów, jedynym miejscu, w którym były w miarę bezpieczne...

Dotarli do granicy, krawędzi Wschodu, szli wzdłuż skał do jaskini, jej prawie niewidocznego wejścia; Jack musiał zmrużyć oczy, by je zobaczyć. Wszedł do środka, Adaira za nim. Byli pierwsi, woda sięgała im już po kolana. Jack wzdrygnął się, gdy wlała mu się do butów. Ujął skrzynię i postawił ją na skale, żeby nie zamokła.

W jaskini panował mrok, zimne powietrze pachniało solą. Stali w małej, okrągłej przestrzeni, kilka nitek światła słonecznego wpadało przez szczeliny nad ich głowami.

Jackowi nie podobało się to miejsce; było groźne i mogło ich utopić, jeśli nie będą czujni wobec przyptywu. Usłyszał słowa Ream, Pani Morza, tak wyraźne, jakby stała z nimi w jaskini. *Strzeż się krwi w wodzie.* Czyżby duchy

zobaczyły przeblysk przyszłości? Przewidziały miejsce spotkania i próbowały ostrzec Adairę?

Bard poruszył się niespokojnie.

Czekanie stawało się nie do zniesienia. Jack spojrział na Adairę. Tego dnia, wśród pośpiechu przygotowań, ledwie jej się przyjrzał. Mógł nadrobić to teraz.

Miała na sobie zieloną suknię i zaczarowany tartan, który naprawiła jej Mirin. We włosy wplotła srebrne łańcuszki i maleńkie kamyki szlachetne. Połówka monety błyszczała na jej szyi, ogłaszając jej status; on miał taką samą.

Pomyślał, jaka jest piękna, i prawie jej to powiedział. Prawie powiedział jej, jak się cieszy, że go poprosiła – że go wybrała – by teraz stał przy niej w takiej chwili jako jej partner. Chwili, która mogła się rozwinąć na sto różnych sposobów, mogła być początkiem lub końcem. Adaira chciała, żeby to był właśnie on.

Poczuła jego spojrzenie, zmarszczyła brwi.

– Coś nie tak, bardziej?

Pokręcił głową, ale wziął ją za rękę, splótł ich palce. I znów spojrział na drugą stronę jaskini.

Minęło kilka minut i wreszcie Jack usłyszał przesuwane kamyki i szuranie butów po skałach. Przygotował się: Moray Breccan wkroczył do zachodniej części jaskini.

Był wysoki i szczupły, miał ciemnoblonde włosy i wyraziste, twarde rysy. Jego pierś przepasywał niebieski tartan, na przedramionach łączyły się tatuaże o barwie indygo, dawna blizna błyszczała na policzku, przecinając splecioną brodę. Niósł lniany worek i wąską łódkę wyłobioną z pnia. Owca

Pod pewnymi względami wyglądał dokładnie tak, jak Jack sobie go wyobrażał: wojownik z historią walk na bladej skórze. Pod innymi jego wygląd go zaskoczył. Przybysz miał na sobie to, co i Jack – tunikę, tartan i pas, skórzane buty wiązane pod kolanami. Gdyby nie podkreślony dumnie niebieski kolor i tatuaże, mógłby uchodzić za jednego z ich klanu... Potem pojawił się uśmiech – rozlał się na jego twarzy, gdy Moray stanął kilka kroków od nich i patrzył na Adairę.

Jack nie wiedział, co myśleć. Czy ten uśmiech był przyjazny, czy drapieżny? Ścisnął mocniej rękę Adairy.

– Dziedziczko – przemówił Moray szorstkim głosem, który przywiódł Jackowi na myśl rozcinane drewno. – Nareszcie spotykamy się twarzą w twarz.

– Morayu – przywitała go Adaira. – Dziękuję za przybycie. To jest mój mąż, Jack.

Oczy Breccanina przesunęły się na Jacka.

– Miło mi – rzekł Moray i już znów patrzył na Adairę. Tylko nią był zainteresowany; Jack poczuł, jak żołądek skręcił mu się w supeł.

– Czy nie dziwne, dziedziczko – kontynuował – że ty i ja oddychaliśmy tym samym wiatrem i deptaliśmy tę samą ziemię, pływaliliśmy w tych samych wodach i spaliśmy pod tymi samymi gwiazdami, a jednak wychowano nas na wrogów?

Adaira milczała, ale Jack czuł, jak wciąga powietrze.

– Nasza wyspa została podzielona dawno temu decyzją naszych przodków. Liczę jednak, że Cadence może znów stać się całością, i wierzę, że ta wymiana stanie się pierwszym krokiem do przywrócenia równowagi. Sprowadziliśmy to, co najlepsze, ze Wschodu jako znak naszej dobrej woli. To tylko wstęp do tego, co możemy zaoferować twojemu klanowi, jeśli pokój zostanie utrzymany.

– A my jesteśmy wdzięczni za twą życzliwość, Adairo – rzekł Moray. – I również mamy coś, co możemy ofiarować w nadziei, że będzie to wystarczająco godna wymiana.

– W takim razie zróbmy to – zarządziła Adaira i się zawahała. Nie mogła przekroczyć granicy klanu, kryjącej się pod wodą. Moray też nie. Zapewne byłoby to fizycznie możliwe, ale po obu stronach rozdzwoniłyby się dzwonki alarmowe – dla Torina, który krążył na wzgórzu i tylko czekał na pretekst, by się tu zjawić, i dla strażników Moraya, którzy, jak sądził Jack, również znajdowali się gdzieś w pobliżu.

– Długo rozmyślałem, jak moglibyśmy bezpiecznie przeprowadzić tę pierwszą wymianę, nie stawiając stopy na nie swojej ziemi – odezwał się Moray. – Stąd łódź. Chodź, staniesz w wodzie naprzeciw mnie, ja włożę moje dobra do łódki i przekażę ci je. Jeśli przyjmiesz to, co zaoferowałem, umieść w łodzi to, co przynieśliście, a ja przeciągnę łódkę na swoją stronę.

Jack stał w milczeniu obok Adairy i oboje patrzyli, jak Moray przygotowuje łódź. Przywiązał linę do rufy i umieścił w środku swoją torbę,

lina zwisała w jego pokrytych tatuażami rękach i łódka popłynęła w ich stronę. Pokonała granicę klanu, znalazła się na wodach Wschodu. Jack chwycił ją, stabilizując, Adaira otworzyła worek.

Wyjęła duży koc, utkany z najdelikatniejszej wełny, zabarwionej na żywy fiolet, z nitkami złota we wzorze. Jack pomyślał, że jest zaczarowany; czyżby wszyscy Breccanie spali pod zaczarowanymi tkaninami?

– Ten koc zapewnia ciepło zimą i chłodzi latem – wyjaśnił Moray. – Chroni również przed wszelkim złem, które mogłoby dopaść człowieka w nocy.

– Jest piękny – powiedziała Adaira. – Dziękuję.

Następnie wyjęła butelkę, w której chlupotał bursztynowy płyn. Podniosła ją do światła, a Moray powiedział:

– To jest *gra*, sfermentowany napój, czczony na Zachodzie. Spożywamy go tylko w obecności tych, którym ufamy.

Adaira skinęła głową, doceniając dar, i sięgnęła po ostatni przedmiot. Jack patrzył spod zmarszczonych brwi, jak wyjmuje fragment poroża.

– Nie mogłem przynieść ci dirku – wyjaśnił Moray – bo ustaliliśmy, że na pierwsze spotkanie przyjdziemy nieuzbrojeni. Ale trzymasz w ręku rękojeść, Adairo. Powiedz mi, jakiej zaczarowanej klingi pragniesz, a każę ją dla ciebie wykuć.

Adaira studiowała w milczeniu fragment poroża. Mogła prosić o tyle rzeczy... Jack słyszał o ostrzach, w których zaklęte były przerażenie, zmęczenie, pomieszanie. Krążyły opowieści o mieczach kradnących radosne wspomnienia tym, których cięły. Większość zaczarowanych kling kryła w sobie straszne rzeczy i emocje, którymi napastnik chciał obdarzyć wroga.

Jack wyczuł, że to próba: Moray chciał dać jej broń, co było dziwne, dopóki Jack nie zdał sobie sprawy, że w ten sposób sprawdzą determinację Adairy w dążeniu do pokoju. Jakąż pokusę stanowiła breccańska stal!... Poprosić Breccanina o wykucie broni, której Tamerlainowie mogliby użyć przeciwko nim...

Adaira odłożyła przyszłą rękojeść do worka, spojrzała na Moraya.

– Wykuj mi ostrze z zaklęciem, które sam wybierzesz, zaufam twojemu osądowi.

Moray skinął głową, jego twarz nie ujawniała nic, ale wydawało się, że Adaira odpowiedziała prawidłowo.

– Jack, przyniesiesz mi naszą skrzynię? – szepnęła.

Jack skinął głową, zabrał koc i butelkę. Poziom wody groźnie się podnosił, teraz sięgała im już do pasa; Jack z trudem dobrnął do skały. Położył tam dary Breccanina, chwycił skrzynkę i wrócił do Adairy.

Ona też czuła podnoszący się przypływ i szybko ładowała ich dobra do łodzi. Worek owsa. Worek jęczmienia. Dzban mleka. Słoik miodu z soczystym plastrem. Butelka wina o barwie krwi. Smak Wschodu.

– Gotowe – oznajmiła Adaira, a Moray przyciągnął łódkę do siebie.

Dotknął każdej z tych rzeczy, a gdy znów spojrział na nich nad wodą, jego twarz ogrzał uśmiech.

– Dziękuję ci, Adairo. To wielka hojność z twojej strony i ze strony twojego klanu – rzekł. – A teraz chciałbym się spytać: kiedy będziesz mogła odwiedzić Zachód? Zarówno moja matka, jak i ojciec bardzo chcieliby cię poznać i dowiedzieć się więcej o wymianie, o której marzysz.

Żadnych wstępów, prosto do sedna. Jack spał się, czekał na odpowiedź Adairy. Wciąż uważał, że to zły pomysł. Nawet gdyby wyruszył z nią... jak miałby ją chronić? Nie był Torinem. Nie był strażnikiem. Był muzykiem, który tracił siły witalne, grając dla duchów.

– Być może za jakiś miesiąc albo trochę dłużej – odpowiedziała Adaira. – W tej chwili nie mogę podać ci konkretnej daty.

Chciała najpierw rozwiązać zagadkę zaginionych dzieci, pojął Jack. Nie zamierzała opuścić Wschodu, dopóki dziewczynki nie wrócą do swoich rodzin.

– Dobrze zatem – rzekł Moray. – Możemy poczekać, choć uważam, że musimy ustalić miejsce, w którym odbywał się będzie przyszły handel, a najlepszym sposobem będzie twoja wizyta. Nie przypuszczam, żebyśmy mogli nadal przekazywać sobie towary w oceanie.

– Nie... I naprawdę chcę zobaczyć Zachód i waszych ludzi. Ale może najpierw ty mógłbyś odwiedzić nas?

O, *właśnie*, pomyślał Jack. Niech Breccanie pierwsi podejmą to ryzyko.

Moray uśmiechnął się szeroko.

– Obawiam się, że to niemożliwe z kilku powodów, a najważniejszy jest ten, że mój klan nigdy by na to nie pozwolił, biorąc pod uwagę, ilu Breccan zginęło na ziemi Tamerlainów z rąk twojego kapitana oraz jego strażników.

Jeśli jednak moi ludzie zobaczą, że przychodzisz do nas pierwsza, Adairo... to by wszystko zmieniło.

– Nie widzę w tym logiki – rzucił cierpko Jack. – Twoi ludzie zginęli na Wschodzie tylko dlatego, że musieliśmy się bronić przed waszą przemocą.

Moray przesunął na niego wzrok.

– Doprawdy? Może zapytaj waszego kapitana. Spytaj go, ilu niewinnych Breccan zabił przez te wszystkie lata.

Te słowa zmroziły bardowi krew w żyłach. Choć na jego skórę wystąpił pot, dłonie miał lodowate. Przypomnił sobie swoją pierwszą noc na Cadence, rozmowę z Torinem w jaskini.

Każdego zbłąkanego, który przekroczy granicę klanu, spotyka natychmiastowa śmierć?

– W takim razie ja przybędę do was pierwsza – powiedziała szybko Adaira, usiłując załagodzić sytuację. – Napiszę, kiedy będę już potrafiła określić datę. Tymczasem mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, Morayu.

– Mów, dziedziczko.

Pokazała mu fiolkę z kwiatem Orenny.

– Szukałam tego kwiatu na Wschodzie i zastanawiałam się, czy może go poznajesz. Czy kwitnie na Zachodzie? Jeśli tak, to chciałabym włączyć go do naszych przyszłych wymian.

Moray zmrużył oczy.

– Z tej odległości nie widzę zbyt dokładnie – Jack omal nie przewrócił oczami – ale nie, nie poznaję. Popytam ludzi w klanie, może wiedzą. Jak on się w ogóle nazywa?

– Orenna. – Adaira ścisnęła fiolkę w dłoni. – Ma cztery karmazynowe płatki ze złotymi żyłkami. Jest zaczarowany, pozostaje świeży długo po zerwaniu. Będę wdzięczna za wszelką radę albo informację na jego temat.

– Zrobię, co będę mógł, dziedziczko... Teraz muszę już iść, ale będę czekał na wiadomość od ciebie, tak?

Skinęła głową.

Spotkanie nareszcie dobiegło końca, a oni przeżyli je, nie doznając szwanku. Jack odsunął się od kamieni. Nie chciał odwracać się do Moraya plecami, lecz Adaira już to zrobiła, podnosząc skrzynkę, magiczny koc i butelkę jakiegoś dziwnego alkoholu.

Jack podsunął jej skrzynkę i włożyła do niej zdobycze. Wyszli, zostawiając Moraya w jaskini, nadal majstrującego przy swojej łodzi.

Wracali po własnych śladach odcisniętych w piasku, choć przypyływ już się podnosił i niedługo miał je zmyć.

Wiatr ucichł i powietrze było dziwnie spokojne.

– Myślisz, że on kłamał, Jack? – spytała cicho. – W kwestii Orenny?

Jack oparł skrzynkę o drugie biodro.

– Nie jestem pewien. Zachowywał się inaczej, niż myślałem.

– To prawda... Nie wiem jeszcze, co o nim myśleć – zgodziła się Adaira. – Ale jeśli udało nam się dzisiaj czegoś dowiedzieć, to tego, że można przekazywać produkty przez granicę klanu, nie alarmując Torina. Sama myśl jest mi nieprzyjemna, ale ktoś z naszych może potajemnie otrzymywać kwiaty z Zachodu, wykorzystując przypyływ, dokładnie tak, jak my dzisiaj.

Ta świadomość musiała budzić niepokój.

Kiedy już prawie dotarli do skalnej ścieżki w górę, Jack zauważył:

– Podsumowując: chcą dać nam koce, których nie potrzebujemy, i alkohol, żeby nas rozpić. Wyśmienita wymiana, jeśli mogę się tak wyrazić.

Adaira roześmiała się i w jej śmiechu zabrzmiało zaskoczenie i radość.

Jack odkrył, że uwielbia ten dźwięk.



Sidra stała na podwórzu, wpatrzona w warzywa, zioła i kwiaty. Nie podlewała ich, nie zbierała, chwasty zaczynały więc się po ziemi.

Powinna się tym zająć, powinna pracować, włożyć ręce w glinę.

Ale nie miała do tego serca.

Weszła do środka, a Yirr zwinął się na schodku i czuwał. Odstawiła koszyk i stanęła przy stole, wpatrzona w moździerz. Jej suszone zioła, lodygi, liście i kwiaty. Język, z którym dorastała, a który teraz wydawał jej się obcy, zaszyfrowany.

W domu było tak cicho... Chciała zatopić się w tej ciszy... Wpatrywała się w przestrzeń, dopóki drzwi nie skrzypnęły.

Yirr nie zaszczekał, by ostrzec ją, że ktoś wszedł na podwórko.

Serce Sidry podskoczyło do gardła, odwróciła się wystraszona i zobaczyła Torina. Twarz miał zarumienioną, nie wiedziała, od słońca czy od gniewu. Pachniał letnim wiatrem i trawą... Zobaczyła, że trzyma w ręku butelki z tonikiem, który zrobiła dla strażników, żeby wyostrzyć ich czujność i koncentrację.

Wiedziała, czemu je przyniósł, schyliła się zgnębiona i powiedziała:

– Przepraszam, Torin – powiedziała odruchowo. Było jej przykro, bo widziała ból w jego oczach, widziała, jak traci siły, jak się zadręcza, jak bardzo jest wyczerpany.

– Za co mnie przepraszasz? – rzucił opryskliwie, jakby miał już dość jej przeprosin. – Możesz zrobić moim strażnikom świeży napar?

Nie chciała robić nic swoimi rękami, straciła wiarę i ziemia o tym wiedziała. Ale skinęła, wzięła od niego buteleczki, ustawiła na stole.

– Przyniosę wam nowy zapas do koszar.

– Zaczekam.

Chciał patrzeć jej na ręce. Nigdy wcześniej tego nie robił... Sidra poczuła niepokój, zaczęła zbierać świeże zioła.

– Może usiądź – zaproponowała. – To trochę potrwa.

Miała nadzieję, że zmieni zdanie i odejdzie. Zawsze był ktoś, kto potrzebował go bardziej niżli ona. Inne sprawy bardziej naglące niż te jej.

Torin odsunął krzesło i siadł.

Milczał całe pięć minut, a Sidra mieszała zioła.

– Gdyby jakiś ranny Breccanin zapukał do twoich drzwi – zaczął – pomogłabyś mu?

Podniosła oczy, nie wiedziała, jaką odpowiedź chciałby od niej usłyszeć... I wtedy zrozumiała, że przecież nie o to pytał, chciał ją poznać, chciał się o niej czegoś dowiedzieć, nawet jeśli byłoby to dla niego trudne i niezrozumiałe.

– Tak – powiedziała.

– Gdyby jakiś Breccanin zranił mnie, a potem zapukał do twoich drzwi, prosząc o pomoc dla siebie, uleczyłabyś go?

– Tak – wyszeptała.

– W takim razie przygotuj się – rzucił. – Szykuj swoje maści dla naszych wrogów, żeby leczyć ich rany i żeby leczyć te, które zadadzą nam.

– O czym mówisz, Torinie?

– O handlu, do którego popchnęłaś moją kuzynkę. Doszło do niego dzisiaj i według Adairy był to sukces. Teraz chce nawiązać stały handel z ich klanem, jakby jedno dobre spotkanie mogło zmyć cały strach i najazdy, którymi częstowali nas przez dziesięciolecia.

– I to jest takie potworne? Że twoja kuzynka marzy o pokoju?

Torin się pochylił.

– Nie sądzę, żeby Breccanie naprawdę go chcieli. Myślę, że chcą nas pozbawić zasobów, osłabić, a potem najechać Wschód.

Sidra przełknęła ślinę.

– Rozpoznali Orennę?

Oczy Torina pociemniały.

– Nie. Co oznacza, że jesteśmy równie daleko od odkrycia tej tajemnicy jak wczoraj. Chciałbym, żebyś mi zaufała, uwierzyła, że wykonuję swoją pracę, Sidro.

Teraz już była zła. Nie tylko oskarżył ją o udzielanie Adairze złych rad, ale insynuował, że się wtrąca w nie swoje sprawy.

– O co tak naprawdę ci chodzi, Torin? – Z hukiem odłożyła tłuczek na stół.
– Powiedz szczerze.

Nigdy wcześniej nie podniosła na niego głosu, nigdy nie kłócili się w taki sposób. I gdy ona zdawała się płonąć, on wycofał się w chłód.

– Wszystko, co zbudowałem własnymi rękami, ma się rozpaść – odezwał się cichym, schrypniętym głosem. – Miałem bronić Wscho-

du, w razie konieczności oddać za niego życie. Tak mnie wychowano, to dlatego mam tę bliznę na ręce. Oddałem tej sprawie całego siebie, tyle czasu i poświęcenia, że często czuję się tak, jakbym dawał Maisie i tobie jakieś ochłapy siebie, choć obie zasługujecie na znacznie więcej.

Te słowa ją zaskoczyły, jej gniew opadł, furia zgasła, zostawiając po sobie popiół.

– Prawda jest taka... moje ręce są splamione, Sidro. Pragnąłem przemocy i dobrowolnie piłem z jej kielicha. Biłem mężczyzn, którzy przekroczyli linię

klanu, biłem ich tak długo, aż się ugięli i poddali. A jeśli nie... zabijałem ich bez wahania. Podcinałem im gardła i przebijałem serca. Kradłem ich głosy i wrzucałem ciała do morza, jak gdyby woda mogła zmyć moje czyny.

Sidra milczała z mocno bijącym sercem.

– Dlatego kiedy ty mówisz o pokoju, kiedy Adaira mówi o pokoju, ja tego nie widzę. To sentyment nie do osiągnięcia w moim umyśle, skoro zrobiłem Breccanom to, co zrobiłem, aby zapewnić bezpieczeństwo Wschodowi. A jeśli w końcu dojdzie do tego handlu, na co liczy Adaira, będę musiał stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którzy ucierpieli od moich działań. Myślisz, że ucieszą się na mój widok, Sid? Że zechcą handlować z człowiekiem, który zabił ich syna albo pobił brata?

Torin wpatrywał się w swoje dłonie, jakby widział na nich krew; Sidra obserwowała go ze ściśniętym gardłem. Czowała, że on nie umie wyrazić swojej winy, i chociaż uzdrowicielka w niej pragnęła wygładzić jego czoło i słowami złagodzić ból, rozumiała, że ta ropiejąca rana wymagała otwarcia.

– Wiem, że zabijałeś ludzi, Torinie – odezwała się, przyciągając jego wzrok. – Widziałam krew na twoim tartanie, widziałam ją pod twoimi paznokciami. Widziałam ten udręczony błysk w twoim oku, nawet jeśli pojawiał się na chwilę. Wiem, że jesteś kapitanem straży i musisz nas chronić przed Zachodem, a to czasem wymaga zabijania. A jednak jest w tobie coś więcej niż przemoc i nie chcę, żebyś stał się człowiekiem, który zabija bez powodu, który pozwala, by zemsta wypełniła jego serce chłodem i goryczą.

Teraz to ona go zaskoczyła. Przez chwilę tylko na nią patrzył.

– Jak zatem można to powstrzymać? Co można zrobić, żeby serce nie zmieniło się w kamień?

– Jest inny sposób, by ochronić nasz klan. Droga, która odchodzi od zemsty i wrogości. Ale musisz próbować ją odnaleźć i dać przykład innym. – Urwała, odwróciła dłonie. – Nasze ręce mogą kraść, ale mogą dawać. Mogą krzywdzić albo pocieszać. Mogą ranić i zabijać albo uzdrawiać i ratować. Co wybierzesz dla swoich rąk, Torinie?

Odpowiedział przez zęby:

– To jest droga, którą szliśmy od zawsze. Droga, jakiej mnie uczono.

– Ale czasem musimy spojrzeć do wewnątrz i zmienić siebie – powiedziała. – Jeśli zabiłeś ludzi bez powodu, jeśli atakowałeś z zemsty tylko dlatego, że mieszkają po innej stronie wyspy, to musisz zajrzeć w głąb siebie,

zadać sobie pytanie, czemu to robięś, jaka jest tego cena i jak możesz to naprawić. Handel byłby dobrym sposobem, by to rozpocząć.

Zerwał się i zaczął chodzić po izbie, dysząc ciężko. Myślała, że wybiegnie, ale on zatrzymał się i znów na nią spojrział.

– A jeżeli nie zgadzam się z tym, co mówisz? Jeśli nie mogę się zmienić, by stać się tym, kim byś chciała? Czy utrata ciebie stanie się zapłatą za moje grzechy?

– Byłam z tobą przez cały ten czas – powiedziała cicho, a on złagodniał. – Na dobre i na złe. Kiedyś byliśmy tylko znajomymi, których połączył ślub. A jednak stałeś się dla mnie czymś więcej niż tylko słowami wypowiedzianymi w letnią noc. A ja nigdy nie należałam do osób, które kochają warunkowo.

– A jednak prosisz mnie o zmianę? – spytał, przyciskając pięść do serca.

Czy w ogóle usłyszał, co właśnie mu wyznała? Nigdy wcześniej tego nie powiedziała: że pokochała go głęboko i spokojnie. Całkowicie, ze wszystkimi jego bliźniami, błędami i jego chwałą.

Zrozumiała, że stoją na dwóch różnych górach, a pomiędzy nimi znajduje się dolina. To mogło złamać ich przysięgę, nawet mimo tego, co ona do niego czuła. Widzieli świat z przeciwnych stron i nie wiedziała, czy uda im się spotkać pośrodku.

– Nie widziałaś tego, co ja widziałem – mówił, jakby również poczuł to oddalenie. – Nie słyszałaś tego, co ja słyszałem. Nie głodowałaś po najeździe, nie patrzyłaś, jak twój spichlerz rabują, jak tracisz zapasy na całą zimę. Nie musiałaś wyciągać miecza i walczyć, Sidro.

– Nie musiałam – odparła Sidra, zastanawiając się, czy zobaczy jeszcze kiedyś ducha Donelli, czy to było ich ostatnie spotkanie. – Ale leczyłam rany spowodowane najezdami. I dlatego muszę to powiedzieć, Torinie... Co wywołało w tobie takie uczucia? Bo to nie brzmi tak, jakbym to ja prosiła cię o zmianę, ale jakby twoja krew i twoje kości bolały z tego powodu.

Zbladł i wpatrywał się w nią z zaciśniętymi zębami, a ona czuła, jak wyrasta między nimi przepaść.

– Przynieś eliksiry do koszar, kiedy będą gotowe – rzucił zimno, a potem odwrócił się i wyszedł; uciekał przed tym, co mu powiedziała.

Sidra stała jeszcze przez chwilę, nim opadła na krzesło.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak pokonana.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



Frae śniło się właśnie ciasto czekoladowe i śnieg, kiedy usłyszała, że koń chodzi po ogrodzie. Deptał po warzywach, szyję miał wygiętą, a z chrap wydostawały się obłoczki oddechu. Frae pomyślała, że koń należy do snu – zawsze chciała mieć konia, chociaż Mirin utrzymywała, że kurczęta i trzy krowy to już i tak aż nadto – do chwili, w której się przebudziła.

Otworzyła oczy i nasłuchiwała w ciemności. Obok niej spokojnie oddychała Mirin, ale tam, za okiennicami po jej lewej stronie rozległo się rżenie konia.

Usiadła, wstała cicho i podeszła do drzwi sypialni. Otworzyła je bezgłośnie i wślizgnęła się do izby, gdzie nadal tliło się drewno w palenisku, a krosno Mirin drzemało niczym wielka ciemna bestia. Chciała obudzić Jacka, ale uznała, że lepiej będzie sprawdzić, czy koń rzeczywiście był na ich podwórzu.

Frae podkraśniała się do drzwi z tyłu. Na górnej części skrzydła umieszczono okienko do wyglądanania, z żelazną kratką i przesuwany element; trochę za wysoko dla Frae, ale gdyby wspięła się na palce, mogłaby zerknąć... Wstrzymała oddech, spoconymi palcami próbowała odsunąć wąski kawałek, aż wreszcie poczuła świeże powietrze i zobaczyła gwiazdy lśniącej jak kryształy na czarnym niebie.

Stała na palcach i wyjrzała przez wąski otwór.

I od razu go zobaczyła: koń stał niedaleko, swobodnie pasąc się w ogrodzie, wielki i piękny, z siodłem i ogłowiem; srebrne sprzączki mrugały do niej w świetle gwiazd.

Czyli musi mieć jeźdźca, pomyślała z drzeniem, wzrokiem przeczesując ogród.

Mężczyzna wyglądał niczym posąg wśród ziół. Zalany światłem księżyca stał nieruchomo i cicho, twarzą w stronę domu i wpatrywał się w drzwi.

Opadła na pięty, wystraszona, ale pomyślała, że przecież nie mógł jej zobaczyć, zwłaszcza że na tył chaty padał cień.

Odwążyła się wyjrzeć jeszcze raz.

Nie zdołała dojrzeć rysów twarzy, ale widziała wyraźnie tatuaże na przedramionach i grzbietach dłoni, widziała tartan na jego piersi, który wydawał się niebieski, widziała przy pasie miecz.

W panice zasunęła panel, zamknął się z cichym szczękiem, który wydał się Frae przerażająco głośny; skulona cofała się powoli od drzwi.

Jak brzmiała pierwsza zasada? Być cicho. *Nie rób hałasu, jeśli przyjdą.*

Z gulą w gardle pobiegła do pokoju Jacka, otworzyła z impetem drzwi.

– Jack! – chciała zawołać, ale głos ją zawiódł, dziewczynka dopadła łóżka.
– Jack, obudź się!

– Mhm? – Przewrócił się na drugi bok. – Gdzie będziemy śpiewać?

Frae zamrugnęła stropiona, zrozumiała, że on mówi przez sen. Potrząsnęła brata za ramię.

– Jack!

Usiadł gwałtownie, wyciągnął rękę, dotknął jej twarzy.

– Frae? – spytał schrypniętym głosem.

– Z tyłu na podwórku stoi Breccanin! – wyszeptała.

Prawie ją przewrócił, kiedy się zerwał z łóżka. Wpadł do izby, Frae tuż za nim, stanął przy tylnych drzwiach i przesunął panel.

Czekała, wstrzymując oddech. Światło księżyca oblało twarz Jacka srebrem, gdy oglądał podwórze. Minęła cała wieczność, zanim spojrzał na nią i wyszeptał:

– Nie widzę nikogo. Gdzie on był?

– Właśnie tam! Stał i patrzył na dom, a jego koń zjadał nasze warzywa! – Podbiegła do niego i zerknęła przez kratę.

Jack mówił prawdę – Breccanina i konia już nie było.

Trochę z ulgą, trochę z rozczarowaniem, Frae oparła się o drzwi. Czy to wszystko jej się przywidziało?

– Był sam, Frae?

Zadrzała.

– Ja... Tak. Chyba tak.

– Gdzie mama trzyma miecz?

– U siebie, w dębowej skrzyni.

– Przyniesiesz mi go?

Skinęła głową i poszła do sypialni, po omacku znajdując drogę do skrzyni w rogu. Mirin nadal spała, a Frae przeglądała broń ułożoną w skrzyni – kołczan ze strzałami, łuk z cisowego drewna i wreszcie szeroki miecz w skórzanej pochwie. Wprawdzie rzadko używany, zakurzony i zmatowiały, jednak dziewczynka miała cichą nadzieję, że pewnego dnia, jak urośnie, Mirin podaruje jej tę klingę.

Wróciła do izby z mieczem w ręku i zobaczyła, że Jack otworzył drzwi i stał w progu, wpatrując się w podwórze.

– Co ty robisz? – wyszczała na niego. – Druga zasada brzmi: *zostań w domu, zarygluj drzwi i zaczekaj na Straż Wschodu!*

– Dziękuję, siostró. – Jack wziął miecz. – Sprawdzę podwórze, upewnię się, że nikogo tu nie ma, a ty obudź mamę i zostań z nią. Rozumiesz mnie, Frae? – dodał surowo.

Dziewczynka patrzyła na niego ogromnymi oczami i skinęła głową.

Jack wyciągnął miecz i klinga chłonęła srebrne księżycowe światło; gdy brat wyszedł na podwórze, Frae znowu wpadła w panikę.

– Jack! Proszę cię, zostań w domu! – błagała, choć tak naprawdę chciała pójść za nim.

Obrócił się na pięcie i położył palec na ustach.

Pierwsza zasada. *Nie wydawaj żadnego dźwięku.*

Frae przełknęła gulę w gardle i patrzyła wystraszona, jak Jack bezszelestnie idzie przez ogród, dopóki nie usłyszała za sobą kojącego głosu Mirin.

– Wszystko będzie dobrze, Frae.

Podskoczyła i odwróciła się: matka stała tuż za nią i również obserwowała Jacka.

– Widziałam konia i mężczyznę na podwórku – szepnęła Frae, Mirin spojrzała na nią. – To był Breccanin.

– Teraz?

– Parę minut temu, mamo.

Mirin przysunęła się i położyła jej ręce na ramionach; dziewczynka poczuła się bezpieczniej. Razem patrzyły, jak Jack idzie wokół podwórka, i Frae

w końcu to spostrzegła – furka była otwarta i przed chwilą skrzypnęła poruszona wiatrem. To było jedno z jej ostatnich zadań każdego dnia – upewnić się, że wszystkie furki są zamknięte.

– Furka! – zawołała, gdy Jack tam podszedł. – Mamo, furka jest otwarta!

– Ja też to widzę.

– Jack ją zamknie, prawda? – I wtedy zobaczyła z przerażeniem, jak jej brat wychodzi przez tę furkę, i zrozumiała, że zaraz zejdzie w dół wzgórza i że stracą go z oczu. – Jack! Jack, wracaj!

Krzyczała, nie zdając sobie sprawy, że krzyczy, dopóki Mirin nie uklęknęła i nie ujęła jej twarzy w zimne dłonie.

– Musimy być cicho, Frae. Pamiętasz o zasadach? Jackowi nic się nie stanie, nikomu z nas nic się nie stanie. Jesteśmy tu bezpieczni, ale musisz być cicho.

Frae przytaknęła, ale oddech przyspieszył i kręciło jej się w głowie.

– Chodź, rozpalimy ogień, zaparzemy herbatę i zaczekamy na twojego brata. – Mirin zamknęła tylne drzwi, nie ryglując ich, a Frae czuła się rozdarta, gdy szła za matką do paleniska.

Mirin rzuciła kłodę na żar, poderwała zmęczony płomień. Frae drżącymi rękami nasypała liści herbaty do siteczka, zniosła czajnik do paleniska. Woda właśnie zaczęła się gotować, kiedy Jack wrócił, wpadł do domu tylnymi drzwiami. Włosy miał splątane, twarz zarumienioną, a w oczach dziki, gniewny błysk.

– Jack? – odezwała się Mirin.

– Naliczyłem dziesięciu – odparł, złapał buty i stojąc na jednej nodze, z wysiłkiem wiązał rzemienie aż do kolan. – Jadą doliną tuż przy rzece, podążają za linią drzew na północ. Myślę, że do Elliottów.

– Przyjadą do nas? – spytała z drzeniem Frae.

– Nie, siostrzyczko. Już nas minęli. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

Ale przecież był jeszcze ten jeden Breccanin i jego koń, pomyślała dziewczynka, marszcząc czoło. Co tu robił? Na pewno nie był przywidzeniem.

– Dokąd idziesz, Jack? – zapytała Mirin spokojnym głosem, jakby nie czuła nic, ani strachu, ani ulgi, ani zmartwienia. Czasem Frae nie umiała odczytać emocji matki.

Jack skończył z rzemieniami, spojrzął w oczy Mirin.

– Idę do Elliottów.

– To cztery kilometry stąd, synu.

– Nie zamierzam tu siedzieć bezczynnie. Pobiegnę, może ziemia przyjdzie mi z pomocą. – Zerknął na klingę w dłoni. – Masz jakiś inny miecz, mamó?

– Nie. Łuk i kołczan.

– Mogę je wziąć?

Mirin nie odzywała się przez chwilę, w końcu popatrzyła na córkę.

– Przynieś swojemu bratu łuk i strzały.

Frae poszła do sypialni po raz drugi tej nocy i lodowatymi palcami wyjęła broń. Gdy wróciła, Mirin wiązała tartan na piersi Jacka, miał chronić jego serce i płuca. Był zaczarowany, Mirin utkała go dla niego rok temu. Jack wydawał się niezadowolony, ale Mirin przytrzymała mocno jego podbródek – co znaczyło, że była bardzo zła – i świdrując syna spojrzeniem, powiedziała:

– Założysz tartan i pójdiesz albo nie założysz i zostaniesz tu z nami, Jack. Co wybierasz?

Tak jak sądziła Frae, założył; nie rozumiała tylko, czemu aż tak bardzo nienawidził magicznych splotów. Podała mu łuk i kołczan, a serce waliło jej mocno w piersi.

Jack uśmiechnął się do niej, jakby nic się nie działo, i już spokojniej patrzyła, jak mocuje kołczan na ramieniu. Wręczył jej miecz i powiedział:

– Niedługo wrócę.

I wyszedł. Frae stała odrętwiała przy ogniu, a strach powrócił, nabrzmiewał jak uządlenie osy. Rękojeść miecza była ciepła i ciężka, wpatrywała się w nią, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała.

– Pamiętasz trzecią zasadę, Frae? – powiedziała Mirin, nalewając im herbaty.

Pamiętała. Głos matki wyrwał ją z przerażenia, jeszcze raz weszła do sypialni i zabrała z ławy swój tartan – również zaczarowany – utkany przez Mirin specjalnie dla niej.

Wróciła do ognia i stanęła przed matką, a Mirin otuliła tartanem jej szczupłe ciało, zawiązała go mocno na ramieniu.

– Gotowe – powiedziała Mirin. – Tak strażnicy noszą swoje tartany.

Frae próbowała się uśmiechnąć, ale oczy piekły ją od łez. Bała się i martwiła, chciała, żeby Jack był z nimi w domu.

Położyła miecz na stoliku i przytuliła się do matki na kanapie. Postanowiła nie zasnąć i nasłuchiwała. Wył wiatr, grzechotały okiennice, chata poskrzypywała, huczał ogień... Frae zadrżała, położyła głowę na kolanach Mirin, a matka gładziła jej włosy i nuciła wesołą piosenkę, której dziewczynka już dawno nie słyszała.

Odpłynęła w sen, a nieznajomy z niebieskimi tatuażami i wielkim koniem podążył za nią.



Torin po raz tysięczny wytyczał we wrzosach szlak. W niebie nad nim pulsowały gwiazdy i jaśniał księżyc, a on stał na wzgórzu między swoją chatą a chatą ojca, rozpaczliwie próbując dowiedzieć się, dokąd zabrano jego córkę.

Zawsze zaczynał w miejscu, gdzie Sidra dźgnęła sprawcę, a potem śledził jej upadek w dół wzgórza, a gniew palił mu szpik. Kimkolwiek był ten człowiek, Torin zamierzał znaleźć go i zabić, kończąc jego życie powoli. Klęczał w zgniecionym wrzosie i myślał o tym, jak Sidra leżała tu, nieprzytomna, duchy wiedzą, jak długo.

Wtedy zaboląa go lewa ręka, jakby zanurzył ją w lodowatej wodzie, i pulsowanie w dłoni nasiliło się, kradnąc mu oddech.

Torin czekał, aż ból ustąpi lub się rozleje, naliczył pięć fal – czyli pięciu intruzów. Zamknął oczy i zobaczył miejsce, w którym przeszli Breccanie. Zagroda Elliottów.

Ośmielili się przybyć latem, dzień po udanym handlu? Torin zganił sam siebie za to niedowierzanie.

Powinien był się tego spodziewać.

Odwrócił się i pobiegł do swojej chaty. Panował w niej mrok; Sidra, ku ogromnej uldze Torina, nocowała u Graeme'a. Nie chciał, żeby spała sama, a on nie mógł pozwolić sobie na długi sen. Łapał po parę godzin w ciągu doby, gdy zmęczenie było nie do zniesienia. Nauczył się jednak, jak zmuszać swoje ciało, jak znaleźć w sobie nic siły nawet wtedy, gdy docierał do kresu możliwości. Zrobił to teraz.

Znalazł swojego ogiera w stajni, osiodłał go i pogalopował zachodnim traktem przez wiatr. Kiedy droga skręciła na wschód, Torin zjechał z niej

i pokonał wzgórze, kierując się prosto do zagrody Elliottów.

Najazd może się skończyć, zanim dotrę na farmę, myślał z irytacją. Jeszcze nie zdublował strażników na granicy klanu, tradycyjnie czekał aż do jesiennej równonocy, kiedy pojawiały się pierwsze chłody. Ten niespodziewany atak zaskoczył go, Torin czuł się nieprzygotowany. Oczy mu łzawiły, gdy wiatr kasał go w twarz, szarpał włosy.

Nowy sezon pokoju, powiedziała Adaira z taką nadzieją, że Torin pragnął w to uwierzyć.

Głupiec. Nie powinien w ogóle pozwolić na to spotkanie, na oddanie wschodnich zapasów, na ujawnienie ich wiedzy o Orennie!...

Głos kuzynki pojawił się znowu, szeptał w jego umyśle. *Czego się boisz, Torinie? Nadaj temu strachowi imię, abym mogła cię uspokoić.*

Prawie krzyknął. Żołądek bolał go nieustannie od kilku dni, od chwili, gdy wszedł do Graeme'a i zobaczył Sidrę, pobitą i zdruzgotaną. Gdy zrozumiał, że Maisie porwano.

Boję się, że utracę wszystko, co kocham. Wschód, własne przeznaczenie. Ludzi wplecionych w jego życie.

Był zbyt dumny, by powiedzieć o tym Adairze, ale wyznał to wszystko teraz, kiedy gnał przez wzgórze. Nie chciał myśleć o tych, których stracił, ale nawiedzili go, niczym widma. Matka, którą słabo pamiętał, jej głos, czuły i smutny; był dzieckiem, kiedy go porzuciła. Donella, niegdyś taka żywa w jego pamięci, z biegiem lat coraz bledsza. Jak mocno uderzyła go jej śmierć... Maisie, jego własne dziecko, którego nie potrafił ochronić i którego nie umiał teraz odnaleźć. Sidra, połączona z nim przysięgą krwi, gdy wróciła do domu z przeklętego jeziora, przemoczona, rozkojarzona, zagubiona.

Stałeś się dla mnie czymś znacznie więcej niżli tylko słowami wypowiedzianymi w tamtą letnią noc.

Przez kilka ostatnich godzin powtarzał sobie te słowa nieskończoną ilość razy, tak często, że wryły się w jego myślach. Jej wyznanie nim wstrząsnęło; zawsze uważał, że jest o wiele lepsza od niego, nigdy nie liczył, że mógłby zasłużyć na jej miłość, i nie wiedział, jak pokazać jej teraz, że sam głęboko ją pokochał.

W tej chwili nie mógł się nad tym zastanawiać.

Był już prawie przy zagrodzie, kiedy jego uwagę przykuł cień, który przesuwiał się ścieżką przed nim, na zachód. Torin zorientował się, że to

człowiek, wyjął miecz i ponaglił swojego konia.

Biegający mężczyzna usłyszał tętent kopyt i odwrócił się z naciągniętym łukiem, Torin szykował się do ataku, gdy mężczyzna opuścił broń, uskoczył i przeturlał się, żeby nie stratował go koń.

Torin zawrócił ogiera w miejscu, omal nie spadając z siodła, przesunął wzrokiem po oświetlonej księżycem trawie. Nietrudno było go znaleźć, wysoki cień otrzepywał właśnie ubrania.

– Po raz drugi prawie mnie zabiłeś, kapitanie – usłyszał zrzędlawy głos. Nie było mowy o pomyłce, to musiał być Jack.

– Do licha, Jack! – Torin miał chęć go udusić. – Co tu robisz?

– Chcę pomóc Elliottom.

– Skąd wiedziałeś o najeździe?

– Dziesięciu Breccan przegalopowało obok chaty mojej mamy, w tę stronę.

Torin zmarszczył brwi.

– Dziesięciu? Wyczułem pięciu przekraczających granicę klanu.

Jack podszedł do konia i Torin zobaczył jego konsternację.

– Z całą pewnością naliczyłem dziesięciu.

Coś tu było nie tak, myślał Torin, biorąc głęboki oddech. Może nieuważnie policzył, zbyt zajęty myślami o Maisie i o Sidrze, kiedy zaboląła go dłoń.

– Podwiesz mnie? – spytał Jack.

– Powinieneś wracać do domu.

Bard zaśmiał się z goryczą.

– Nie dziś, kapitanie. Potrzebujesz mojej pomocy, a ja chętnie przeleję trochę krwi.

Torin nie mógł się z tym spierać, zwłaszcza że tracili czas. Podał Jackowi rękę, wciągnął go za siebie i nie upewniając się, czy bard mocno się trzyma, ruszył.

Widać było, że Jack dawno nie jeździł konno – trząsał się w siodle niczym worek ziemniaków.

Jednocześnie ujrzeli łunę na horyzoncie. Torin milczał ze zgrozą, a Jack wykrztusił:

– Bogowie, co to jest?

Torin nie odpowiedział. Wspięli się na wzgórze i zobaczyli, że chata Elliottów, spichlerz i obejście płoną. Napastnicy musieli niedawno podłożyć ogień, dym walił w górę wielkimi białymi kłębami. *Coś nowego*, pomyślał Torin, patrząc na dolinę. Do tej pory najazdy Breccan zawsze przebiegały według tego samego schematu: przekraczali granicę, napadali, kradli jedzenie, inwentarz, co popadło i uciekali. Szybko, gwałtownie, koniec. Nigdy nie zabijali, chociaż czasem ranili, i nigdy nie podpalali budynków.

– Dlaczego? – warknął Jack. – Dlaczego Zachód sam się sabotuje, skoro Adaira chce z nimi handlować?

– Nigdy się nie zmienią – odparł ze złością Torin.

Strażnicy już tutaj dotarli, mknęli na koniach, przeganiając ostatnich Breccan, a rodzina Elliottów biegła przez podwórze, ratując, co się tylko dało.

Breccanie uciekali, w galopie ciskając zapalone pochodnie na strzechy; zdumiony Torin naliczył jedenaście niebieskich tartanów.

Skierował konia w dół, do doliny, gdzie żar ognia powitał go niczym gorący letni dzień. Pożar rozlewał się w zastraszającym tempie, podsycany przez suchą słomę i wiatr. Torin zsiadł z konia z mieczem w ręku i polecił Jackowi zostać w siodle, gdzie był w miarę bezpieczny. Kapitan nie zamierzał pozwolić, by świeżo poślubiony mąż Adairy dał się zabić.

Torin nie oglądał się, żeby sprawdzić, co robi bard, ale obok niego przemknęła strzała i niegroźnie trafiła w chatę.

Breccanie, zadowoleni z rabunku i podpalenia, pędzili w stronę lasu, gdzie rozpływali się w ciemności jak tchórze.

Kapitan objechał płonący dom i zakasłał, powietrze było gęste, dym kłuł w oczy. Połowie strażników kazał czerpać wodę z pobliskiego strumienia i gasić pożar, drugiej połowie – ścigać Breccan w głąb Aithwood, aż do granicy klanu.

– Bierzcie jeńców! – krzyczał. Łaknął odpowiedzi.

W lesie drzewa rosły gęsto, powietrze było słodkie i ciemne. Torin zostawił konia i biegł, klucząc między pniami, przedzierając się przez kępy paproci, mijając niewielkie bajora, usadowione w leśnym podłożu. Granica klanu była już bardzo blisko; czuł, jak huczała w ziemi.

Pojął, że jest sam, że obok nie ma żadnego z jego strażników.

Zatrzymał się, wpatrując się w noc. Było cicho, słyszał tylko swój urywany oddech i puls dudniący mu w uszach.

Breccanin wyszedł prosto z ciemności, bezgłośnie, Torin dostrzegł go o ułamek chwili za późno, za późno podniósł miecz, żeby odbić cios. Stał Breccanina cięła mu przedramię, ból był jasny i bezlitosny.

Torin krzyknął cicho, padł na kolana, czuł, jak wsącza się w niego chłód – ostrze było zaczarowane. Odbił kolejny cios, odrzucając napastnika w tył, i znów został ukąszony w ramię, tuż poniżej chroniącego go tartanu.

Ten ból był inny, czegoś takiego kapitan nie czuł jeszcze nigdy. Wybuchł w głowie Torina, wysyłając rozkaz.

Uciekaj, ratuj się, zniknij stąd, uciekaj.

Torin nie mógł się przed tym bronić, wstał, zataczając się, rzucił miecz i pobiegł, popędzany strachem. Słyszał za sobą szyderczy, okrutny głos: *To dopiero kapitan!*, co tylko podsycało irracjonalny przymus ucieczki, ratowania się, ukrywania.

Stracił orientację, zagłębiając się jeszcze bardziej w knieję. Las skończył się raptownie i wyrzucił go w surowy krajobraz. Torin słyszał ryk oceanu, mgła płynęła od wody, zimna, gęsta i głodna.

Wpadł w jej objęcia.



Jack pędził przez podwórko Elliottów z wiadrem wody. Bezżyteczny jako łucznik, mógł chociaż gasić ogień. Chlusnął na huczące płomienie i pobiegł znowu, z innymi strażnikami. Od strumienia do podwórza, od podwórza do strumienia, biegał, brudny, spocony, obsypany sadzą i popiołem.

Chata nadal płonęła.

Wylał na ogień kolejne wiadro wody, usłyszał czyjeś zawrozczenie i się odwrócił. Grace Elliott klęczała, kołysząc się do przodu i do tyłu, jej mąż, Hendry, był przy niej, próbując ją pocieszyć. Dwaj synowie stali zszokowani, płomienie odbijały się w ich oczach.

Jack, przerażony, że ktoś mógł zostać w domu, podbiegł do rodziny.

– Wszyscy zdążyli wyjść?

– Tak – odpowiedział mu Hendry. – Wszyscy prócz Elizy. Zaginęła trzy tygodnie temu...

Jack kiwnął głową. Zaszło mu w ustach, oczy go szczypały.

Elliottowie ocalili starą krowę, wszystko inne stracili. Jack odszedł, spojrzał w ciemność. Oślepił go ogień, ale mógł dojrzeć Aithwood – gdzie byli teraz Torin i reszta jego strażników? Zdławił niepokój i postanowił biegać po wodę do strumienia, dopóki nie dostanie innego rozkazu.

Rozkaz przyszedł kilka minut później, gdy wiatr powiał z północy: ogień wybuchł z nową siłą, zwęglone ściany zaczęły trzeszczeć.

– Odsunąć się! – krzyknął któryś strażnik.

Gdy chata runęła w huku iskier i podmuchu piekącego żaru, Jack skoczył, by chronić Elliottów. Nie mógł zrobić nic więcej; siedział przy rodzinie na trawie i patrzył, jak pozbawiony pożywki ogień wreszcie zaczyna przygasać. Z lasu wyjechało kilku strażników, bard szukał wzrokiem Torina.

Nie schwytano żadnego z Breccan, wszyscy uciekli.

Torin nie pojawił się, nawet gdy gwiazdy zaczęły znikać jedna po drugiej; wschodnie niebo zaświeciło się złotem, kiedy kilku strażników podeszło do pogorzalców.

– Nadal czekamy na wieści od kapitana, ale czujemy, że najlepiej będzie, jeśli odprowadzimy was do zamku – przemówił jeden z nich. – Laird i dziedziczka będą chcieli się wami zaopiekować, dopóki zagroda nie zostanie odbudowana. Wsiadajcie na nasze konie, zabierzemy was do Sloane.

Grace Elliott skinęła głową, ściskając tartan przy szyi. Zmęczona, pokonana, z czerwonymi oczami, ruszyła do najbliższego konia. Już miała wsunąć stopę w strzemię, gdy nagle zamarła.

– Słyszeliście? – spytała, odwracając się w stronę pogorzeliska.

– To tylko wiatr, kochanie – odezwał się Hendry. Chciał zabrać ją jak najdalej od ognia i granicy klanu. – Pomogę ci wsiąść na konia...

– Nie, to Eliza – upierała się Grace, odpychając męża. – Eliza! Elizaaa!

Jackowi włosy podniosły się na karku, gdy patrzył, jak Grace Elliott kroczy przez trawę, wołając zaginioną córkę.

Hendry pobiegł za nią, mierzwiąc własne włosy.

– Grace, proszę cię, przestań...

– Nie słyszysz, Hendry? Ona nas woła!

Jack słuchał. Podeszedł bliżej ruin i serce zaczęło mu bić w gardle.

– Zaczekajcie! Ja też ją słyszę...

Wszyscy umilkli. Wiatr wył, a płomienie trzeszczały, ale teraz już wyraźnie dał się słyszeć słaby głos.

Podniosły się okrzyki. Strażnicy również to słyszeli, a może zobaczyli.

Grace i Hendry zerwali się do szaleńczego biegu, Jack, bracia zaginionego dziecka i strażnicy pędzili tuż za nimi. Przedarli się przez ruiny, znaleźli się po drugiej stronie podwórza, zwrócenii w stronę ciemnego, ponurego nieba na południu.

Przez leniwy taniec dymu Jack dostrzegł małą dziewczynkę zbiegającą ze wzgórza, dokładnie tą samą drogą, którą on i Torin dotarli do zagrody Elliottów, od strony domu Mirin. W brązowe włosy miała wplecione wstążki, sukienkę świeżą i czystą, lecz jej twarz, gdy ujrzała rodziców, była zalana łzami.

– Eliza! – krzyknęła Grace, porywając córkę w ramiona.

Ojciec i bracia skupili się wokół nich, Jack nie widział już dziewczynki, tylko płacz, radość i zachwyt całej rodziny.

Powoli osunął się na kolana, oszołomiony.

Odnalazło się zaginione dziecko.

Tuż po najeździe Breccan Eliza Elliott powróciła do domu.

CZĘŚĆ TRZECIA

*Pieśń
dla wiatru*



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



Graeme wyrwał ją z płytkiego snu, gdy położył jej dłoń na ramieniu.

– Sidra, dziewczyno... Adaira do ciebie przyszła.

Ocknęła się w jednej chwili, siadła prosto. Graeme odstąpił jej łóżko w rogu, sam spał na pryczy przy ogniu. Uzdrowicielka obeszła niepewnie zagracony stół i ujrzała Adairę w progu.

Od razu zrozumiała, że coś jest nie tak: twarz Adi była blada i zmartwiona.

– Co się stało? – zapytała niepewnie Sidra.

– Potrzebuję dzisiaj twojej pomocy w zamku – powiedziała Adaira. – Ubierz się i spotkajmy się na podwórzu. Przynieś swoje zioła.

Sidra skinęła głową, pospiesznie zakładając ubranie za drewnianym parawanem. Włożyła tę samą spódnicę i gorset, co i wczoraj, drżącymi rękami wiązała buty.

– Trzymaj, dziecko. – Graeme do niej podszedł, gdy wyszła z za parawanu, wręczył jej ciastko owsiane zawinięte w ściereczkę i podał koszyk z medykamentami. – Jeśli zostaniesz w zamku na noc, wyślij mi wiadomość, żebym wiedział.

– Tak zrobię, tato – obiecała, podziękowała mu za śniadanie i wyszła.

Adaira i dwaj strażnicy czekali na drodze, już na koniach. Sidra podeszła do Adairy i wsiadła za nią. Z koszykiem było jej niewygodnie, ale jedną ręką przycisnęła go do boku, drugą objęła smukłą talię Adairy.

– Co się stało? – spytała znowu. Pierwsza myśl, że stary laird umierał, nie dawała jej spokoju.

– Powiem ci, gdy dotrzemy do Sloane – obiecała Adaira, ponaglając konia.

Droga do miasta ciągnęła się w nieskończoność i gdy dotarli na dziedziniec, Sidra była już chora ze zmartwienia. Z pomocą Adairy zeszła na bruk i rozejrzała się, szukając Torina, lecz nigdzie go nie było. Poszła za

dziedziczką do sali i w dół krętymi korytarzami, dochodząc wreszcie do małego pokoju, gdzie mogli w spokoju porozmawiać.

Sidra stała w promieniach porannego światła i patrzyła, jak Adaira nalewa im obu whisky.

– O co chodzi, Adi? – spytała, biorąc szklanekę.

– Pij. Potrzebujesz tego.

Sidra nieczęsto próbowała whisky, ale teraz jednym haustem wypła palący płyn, czując, jak wyostrza jej zmysły. Zaciśnęła powieki, a potem spojrzała wyczekująco na Adairę.

Przyjaciółka patrzyła na nią zmęczonymi, udręczonymi oczami.

– Jedna z zaginionych dziewczynek odnalazła się dzisiaj rano.

Sidra drgnęła. Czują, jak ziemia porusza się pod jej stopami, gdy wyszeptała:

– Kto?...

– Eliza Elliott.

Słuchała opowieści o najeździe, płonących domach i cudownym powrocie Elizy, krążyła po niewielkim pokoju i aż rozsadzało ją od pytań. Czy jeśli Eliza wróciła, to znaczy, że Maisie wkrótce również wróci?...

– Myślę, że nasze dziewczynki są na Zachodzie, Sidro – podsumowała Adaira. – Że Breccanie znaleźli jakiś sposób, przekraczali granicę bez wiedzy Torina i wykradali je, jedną po drugiej.

Sidra stanęła. Myśl o Maisie, przetrzymywanej na Zachodzie, ścięła jej krew. Ale to miało sens, jakby ostatni kawałek układanki wylądował na swoim miejscu.

– To dlatego nie możemy znaleźć dzieci na Wschodzie... Bo przez cały czas były u Breccan.

Adaira przytaknęła.

– Myślę też, że Breccanie wykorzystują do tego moc Orenny, być może kwiat pozwala im swobodnie pokonywać granicę.

Sidra potarła czoło.

– Masz jeszcze ten kwiat, który ci dałam?

– Tak, ale boję się go zjeść i sprawdzić tę teorię. Więcej nie mamy, a moje przypuszczenia mogą być fałszywe.

– Co myśli o tym Torin?

Adaira zawahała się na sekundę.

– Dokładnie nie wiem... Ale wspomniał bardowi o czymś dziwnym w czasie najazdu: Jack mówi, że Torin wyczuł tylko pięciu Breccan przekraczających granicę klanu, chociaż on sam widział ich dwa razy więcej obok zagrody Mirin. Wszystko wskazuje na to, że mają jakiś tajny sposób na przekraczanie granicy. Pięciu ściągnęło strażników i Torina do Elliotów, a reszta potajemnie przedostała się dalej.

Sidra przytaknęła, choć poczuła dziwne szarpnięcie w piersi na myśl, że zakłęcie w bliźnie Torina mogło go oszukać.

– Najazd miał być pokazem siły, ale myślę, że przy okazji również dywersją – kontynuowała Adaira. – Breccanie wykorzystali go, by odesłać nam porwaną dziewczynkę.

– Dlaczego ujawnili swój udział? – nie rozumiała Sidra. – Zamiast milczeć i dalej kraść nasze dzieci? Czemu w ogóle je porywali?

Adaira westchnęła, jakby cały czas dręczyło ją to samo.

– Nie wiem, ale moim zdaniem to wyraźny znak, że Breccanie nie chcą pokoju, chcą, żebym uderzyła, wzniciła wojnę. Nie mam wyjścia i muszę się do niej przygotować, działając bardzo ostrożnie. Nie mamy dowodu, że uwięzili nasze dziewczynki, choć pojawienie się Elizy tuż po najeździe było dość znaczące. Muszę znaleźć te dowody inaczej, a zanim w ogóle dojdzie do jawnego konfliktu, musimy ściągnąć zaginione dzieci do domu.

– Tak... – szepnęła Sidra. Bezpieczeństwo dziewczynek było sprawą najwyższej wagi. Nie odważyła się mieć na to nadziei, ale pragnęła uwierzyć w to, że Maisie mogłaby wrócić wkrótce do domu. Ta wizja prawie rzuciła ją na kolana, ale otrząsnęła się. – Co mam zrobić, Adi?

– Chciałabym, żebyś obejrzała Elizę. Wróciła do domu ze wstążkami we włosach i w czystej sukience; wygląda, jakby dobrze się nią opiekowano, ale chcę mieć pewność, że nikt się nad nią nie znęcał, że nie potraktował jej niewłaściwie. Nie potrafi powiedzieć, kto ją zabrał i gdzie była przez ostatnie tygodnie: bardzo by nam pomogło, gdyby poczuła się na tyle bezpiecznie, by o tym opowiedzieć. Jednak jej potrzeby są dla mnie najważniejsze, liczę, że pomożesz mi je zrozumieć.

Sidra milczała. Rzadko musiała badać dziecko pod kątem maltretowania, choć niekiedy się to zdarzało. Zawsze robiło jej się od tego słabo; teraz

musiała wyciągnąć rękę i oprzeć się o ścianę.

– Sid? – szepnęła Adaira, podchodząc do niej.

Uzdrowicielka wypuściła powoli powietrze, zamknęła oczy i próbowała odzyskać równowagę. Spojrzała w zatroskane oczy dziewcziczki i skinęła.

– Zrobię to dla ciebie. Zaprowadź mnie do Elizy.



– Nie wiem, co robić, Jack – wyznała Adaira. Chodziła tam i z powrotem w swojej komnacie, czekając, aż Sidra zbada dziewczynkę. Wszystko, co planowała, wszystko, do czego dążyła, rozpadało się w jej rękach.

– Chodź i spróbuj coś zjeść. – Jack siedział przy kominku, dokąd przyniesiono im tacę z podwieczorkiem. – Musisz jakoś podtrzymać swoje siły.

Wiedziała, że Jack ma rację, ale jej żołądek supłał się, gdy myślała, przez co przeszła Eliza, i zastanawiała się, gdzie są pozostałe dziewczynki.

Spróbowała wziąć kęs bułki, ale odłożyła ją i znowu zaczęła krążyć.

– Jeśli skrzywdzili tę małą... Pożalują, że się urodzili. Ja ich nauczę niewykradania dzieci. Spalę Zachód na popiół. Zrównam go z ziemią.

Jack stanął przed nią; wiedziała, że mówiła teraz jak Torin, kapitan, który zaginął, jej złość tylko się rozpałała. Poczwała chłodne dłonie męża na swojej twarzy.

– Wciąż potrzebujemy dowodów, że to oni. Ale w tej chwili możemy zrobić dwie rzeczy, Adairo – mówił spokojnie. – Po pierwsze, napisz do Moraya. Na razie nie wypowiadaj wojny, nie wspominaj w ogóle o Elizie, ale postaw ultimatum: dajesz mu jeden dzień na zwrot tego, co ukradł jego klan – w przeciwnym razie koniec z planami dalszego handlu, koniec z twoją wizytą. Po drugie, komponuję balladę dla duchów wiatru i wierzę, że ukończę ją bardzo szybko, jeśli poświęcę jej maksimum mojego czasu.

Adaira przyglądała mu się i serce waliło jej ze strachu i podniecenia.

– Nie chcę, żebyś grał dla duchów wiatru, Jack.

Zmarszczył brwi i opuścił ręce.

– Dlaczego? Są najpotężniejszymi duchami, zapieczętowały usta wodzie i ziemi; muszą wiedzieć, gdzie Zachód przetrzymuje dziewczynki. Jeśli je

przywołam, być może potwierdzą nasze przypuszczenia, a nam uda się sprowadzić dzieci do domu.

Adaira westchnęła; czuła się tak ciężka, jakby kości miała teraz z żelaza.

– Nie chcę, żebyś grał. To cię wyniszcza.

– A jednak właśnie dlatego wezwałeś mnie do domu, Adairo – przypomniał łagodnie. – Jesteśmy tak blisko rozwiązania tej tajemnicy... Proszę, użyj mnie i mojego daru, żeby znaleźć odpowiedzi, których potrzebujesz.

Czuła się rozdarta. Wiedziała, że Jack ma rację, ale nie chciała już ryzykować.

Rozległo się pukanie; Adaira odetchnęła z ulgą na widok Sidry.

– Jak ona się czuje?

– Z tego, co mogę stwierdzić – zaczęła Sidra – nie doznała żadnych fizycznych urazów. Dbano o nią, dobrze ją karmiono, pozwolono jej odpoczywać. Ale nie chce mówić o tym, co się stało, zupełnie jakby się bała, jakby ktoś wymusił na niej milczenie.

– Co zrobić, by poczuła, że nic jej nie grozi?

– Pozwolić jej być razem z rodziną. Niech poczuje, że wszystko znów jest bezpieczne i normalne, nawet jeśli rezydują w zamku, a z jej domu zostały zgliszcza.

– Dopilnuję tego. Bardzo ci dziękuję.

Sidra skinęła jej głową i chciała wyjść; Jack zerknął na Adairę, zobaczyła w jego oczach błysk ostrzeżenia.

– Sid, czekaj – powiedziała. Sidra zatrzymała się w progu. – Muszę ci powiedzieć o Torinie.

– Właśnie, gdzie on jest? – zapytała Sidra. – Miałam nadzieję, że tutaj z nim porozmawiam.

Adaira zawahała się i przemówił Jack.

– Nie jesteśmy pewni, gdzie on jest. Ścigał Breccan do Aithwood w czasie najazdu...

Sidra zbladła.

– Myślisz, że został ranny? Wzięto go do niewoli?

– Jeden ze strażników twierdzi, że widział, jak wybiegał z lasu – powiedziała Adaira. – Ale mgła bardzo utrudniła poszukiwania... Myślimy, że

jest ranny. Kazałam straży przeczesać północne wzgórza, dam ci znać od razu, jak go znajdziemy.

Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak Sid wychodzi bez słowa. Wszystko się rozpadało, a ona nie wiedziała, jak utrzymać to razem.

Kiedy Jack poszedł do siebie pracować nad balladą, Adaira siadła wreszcie przy biurku, przygotowała arkusz pergaminu i naostrzone pióro.

Nie wiedziała, czy to Moray urządził najazd; być może była to sprawa tych Breccan, którzy nie chcieli żadnych umów handlowych. Jednak teraz, gdy podejrzewała, że to Zachód kradł ich dziewczynki... W jej sercu płonął ogień i pokój na wyspie wydawał się naiwną iluzją.

Po co mieliby wykradać nasze dzieci?

Nie знаła odpowiedzi, mogła tylko przypuszczać, że życie poza granicą klanu było o wiele gorsze niż to, które знаła. Może córki Breccan umierały? Ale w takim razie dlaczego odesłali Elizę?

Adaira zanurzyła pióro w kałamarzu i zaczęła pisać ultimatum.



Torin leżał pośród ostu księżycowego, na wpół świadomy tego, co się z nim dzieje. Zamrugał i próbował się ruszyć, lecz lewa ręka odpowiedziała rozdzierającym bólem. Zmrużył oczy i przyjrzał się swoim ranom.

Na ramieniu miał dwa płytkie cięcia, z których sączyła się cuchnąca krew.

Cichy głos, wykuty w latach treningu, kazał mu wstać. Wstać, pójść i oczyścić te rany, zanim zaczną ropieć. Lecz Torin nie chciał, pragnął zostać tutaj, ukryty i bezpieczny w tym łanie ostów. *Nikt się tutaj nie zbliży, co najwyżej pszczoły, ważki i Adaira*, pomyślał z nutą rozbawienia.

Dlatego leżał tam, pośród kwiatów, otulony poranną mgłą.

Jakiś czas potem usłyszał, jak wiatr niesie jego imię.

– Kapitanie Tamerlain!

Jego ludzie wykrzykiwali je w kółko, raz po raz, gdacząc jak stado kwok; Torin czołgał się po ziemi, wciskał głębiej w osty, nie bacząc na igły: ponad wszystko nie chciał, żeby strażnicy odnaleźli go w takim stanie, żeby zobaczyli w nim tchórza, który uciekł, nie umiał nawet wstać, oczyścić ran i odzyskać miecza, który wypuścił z rąk niczym żółtodziób.

Leżał i modlił się, żeby oni wszyscy wreszcie odeszli. Przycisnął twarz do ziemi, zaciskał zęby od straszego bólu w ramieniu, próbował uspokoić umysł, ale cały czas myślał o tym, kiedy to zakłęcie przestanie działać. Jutro? Za kilka dni?

Musiał wstać. Wstać!

Wtedy ją zobaczył. Szła obok łąty ostów; jej ciemne włosy przykuły jego uwagę we mgle.

Sidra.

Od razu zaczął się do niej czołgać; nie widziała go, szła dalej, ale jej czarne włosy były jego znakiem we mgle – ona było jego ratunkiem – i Torin podniósł się, uwolnił się od ostów, wstał...

Zachwiał się, świat wirował, a mgła była zwodnicza. Stracił Sidrę z oczu i znów poczuł swoją ranę, ten strach i panikę, które kazały mu uciekać! A jednak to było niczym w porównaniu z tym, co poczuł, gdy rozchylił wargi, by zawołać jej imię.

Sidra!

Zabrzmiało mu w umyśle, z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Tylko głośnie cisza.

Spróbował jeszcze raz, nic to nie dało: stracił głos, nie mógł mówić – to właśnie zrobiło pierwsze zaklęte ostrze, tnąc go w ramię.

Potknął się o stertę luźnych kamieni, a one spadły w dół zbocza i choć Torin nie mógł mówić, skały zrobiły to za niego. Ich łaskot ściągnął Sidrę z powrotem, a on patrzył, jak znów pojawia się we mgle, jak jej oczy rozszerzają się na jego widok.

– Torin... – wykrztusiła i wyciągnęła do niego rękę.

Nie był w stanie utrzymać się na nogach; oparł się o nią, o kobietę, która nie sięgała mu nawet do ramienia, a jednak go podtrzymała.

Wcisnął twarz w jej włosy i zapłakał, ale nawet wtedy nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY



Sidra słuchała deszczu, stojąc przy kuchennym stole i zgniatając niekończący się stos ziół. Miażdżyła je od wielu godzin, aż jej ręce zdrętwiały i przygotowała wszystkie mieszanki, jakie umiała stworzyć. Nałożyła je na rany Torina. Ta na jego ramieniu goiła się szybko – płytka, niegroźna, przynosiła tylko strach i panikę. Ale rana na przedramieniu, ta, która odebrała mu głos... Sidra nie umiała powstrzymać powolnego, acz stałego krwawienia, a przecież zaczarowane obrażenia, nawet jeśli przynosiły dwa razy więcej cierpienia, przy odpowiedniej opiece goiły się znacznie szybciej niż zwykle.

Czego tutaj brakuje?, myślała z irytacją, odkładając tłuczek. *Prócz mojej wiary?* Wpatrywała się w zestaw suszonych ziół, które rozłożyła na stole, w świeże pęczki, zwisające z drewnianych belek. Patrzyła na dzbanek z miodem, miseczkę z masłem i słoiczek z oliwą. Brakowało czegoś, co uleczyłoby ranę i przywróciło głos, a ona nie wiedziała, co to jest.

Znużona, stworzyła na próbę nową maść i zaniosiła miseczkę do sypialni. Torin spał z lekko rozchylonymi ustami, jego długie nogi niemal wystawały z łóżka. Był bez koszuli, jego pierś unosiła się i opadała w głębokim, miarowym oddechu, ale Sidra wiedziała, że jej mąż wkrótce się obudzi. Wyciągnęła osiem igieł ostu z jego rąk i twarzy, pewnie śniły mu się koszmary mimo mocnego toniku nasennego, który podała mu kilka godzin temu.

Wyglądał tak bezbrinnie, tak młodo... Czy zostaliby przyjaciółmi lata temu, gdyby ich drogi kiedykolwiek się skrzyżowały? Pewnie nie...

Po cichu usiadła przy nim na łóżku, odkleiła mokry skrawek płótna i pokryła rany nową maścią. Wyczuwała zimny ślad magii w jego skórze i wyładowała frustrację na świeżym kawałku płótna, z pasją drąc go na paski. Ledwie skończyła opatrywać rany, a już opatrunek na przedramieniu nasiąkł krwią. Cięcie się nie goiło, było jeszcze gorzej. Sidra po raz pierwszy zadrżała ze strachu.

Co przegapiam?

Wtedy dopiero w pełni to zrozumiała – nie wiedziała, czy uda jej się wyleczyć Torina. Jej wiara była niczym rozbite lustro z ostrymi krawędziami, które bez ładu i składu odbijało lata jej życia.

Zakryła twarz, dysząc płytko, czuła zapach niezliczonych ziół na swoich dłoniach, tajemnic, które zawsze umiała wykorzystać, i pozwoliła, żeby prawda niemal ją zatopiła.

Nie wiem, jak go wyleczyć.

Deszcz padał, a Sidra siedziała przy Torinie. Sięgnęła po drewnianą figurkę Lady Whin; Maisie zostawiła ją przy łóżku kilka dni temu, ale ona wzięła ją do rąk po raz pierwszy. Pogładziła długie włosy Lady, dotknęła kwiatów, które rozkwitały z jej palców, jej uroczej twarzy.

Jakie wszystko byłoby łatwe, gdyby wiara była czymś namacalnym, jak ta figurka, gdyby Sidra mogła trzymać ją w rękach, obejrzeć wszystkie szczegóły, zobaczyć, jak składają się w całość. A jednak, czyż ziemia nie udowadniała swojej wierności rok po roku, nawet zimą, kiedy już zapadała w sen? Sidra zawsze wiedziała, że i kwiaty, i trawa, i owoce wrócą na wiosnę.

Ale nawet z tą świadomością nie miała żadnych modlitw, które mogłyby szeptać, i czuła w sobie tylko pustkę i wyczerpanie. Odstawiła figurkę, oparła się o wezglowie i przymknęła oczy; tylko na chwilę.

Drzemała, siedząc na łóżku, gdy Yirr, ich pies, szczerknął donośnie.

Wstała, miseczka po maści spadła na podłogę; ale Torin spał nadal. Sidra usłyszała, jak Yirr szczeka znowu. Ostrzegął.

Nagle pożałowała, że odesłała strażników. Siedzieli w izbie, kręcili się niespokojnie po podwórzu, kiedy ona zajmowała się ich kapitanem. Widziała strach i upokorzenie na twarzy Torina; chciał, żeby wszyscy odeszli, żeby nie widzieli go w takim stanie.

Sidra kazała im wrócić do Sloane, a teraz żałowała, że nie pozwoliła zostać choć jednemu.

Yirr szczekał nadal, Sidra weszła do izby. Było późne popołudnie i powoli zapadał zmrok, zobaczyła jednak błysk swojego noża na stole. Wzięła go do ręki i podeszła do drzwi.

Stała tam, wdychając zapach drewna, słuchając szczekania psa. Drzwi nie były zaryglowane, uchyliła je odrobinę i wyjrzała na zalane deszczem podwórze. Zobaczyła Yirra: siedział na kamiennej ścieżce prowadzącej do progu i szczekał na dwie szczupłe postacie, które stały tuż za furką.

Strach Sidry zniknął, gdy poznała Mirin i Frae.

– Cicho, Yirr – poleciała, otwierając szerzej drzwi. – Mirin? Wejdźcie do środka, schowajcie się przed deszczem.

Pies usiadł, wpuszczając gości, choć Mirin wydawała się ostrożna. Zdjęła kaptur mokrej peleryny i razem z Frae, przytuloną do jej boku, weszła do izby.

– Dobrze was widzieć – powiedziała Sidra, uśmiechając się łagodnie do Frae. – Jak mogę wam pomóc?

– Najpierw chciałam zapytać, jak się ma Torin. – Mirin zerknęła szybko w stronę sypialni. – Słyszałam, że został ranny.

– Dochodzi do siebie i odpoczywa. Zraniły go dwa różne ostrza.

– Zaczarowane?

Sidra przytaknęła; miała nadzieję, że nie widać po niej strachu.

– Dobrze, że ma ciebie, Sidro – powiedziała serdecznie Mirin. – Na pewno zdołasz mu szybko pomóc.

Przygnieciona brzemieniem swojej porażkiomal nie upadła na podłogę, na szczęście Mirin odwróciła jej uwagę. Podała złożony tartan, piękny zielony szal, w odcieniach mchu, paproci i jałowca, w kolorach ziemi, wszystkich roślin w jej zaniedbanym ogrodzie.

– Dla ciebie – powiedziała Mirin, wyczuwając zachwyt i zmieszanie Sidry.

– Jest piękny... Ale nie zamawiałam go. – Sidra wyciągnęła rękę i pozwoliła opuszkom palców musnąć miękkość wełny. Ledwie go dotknęła, a już wiedziała, że tartan jest zaczarowany.

– Torin go zamówił – wyjaśniła Mirin. – Przyszedł do mnie kilka dni temu i spytał, czy mogłabym zrobić dla ciebie szal. Jak sama wiesz, na utkanie magicznego tartanu potrzeba czasu, ale skończyłam go tak szybko, jak tylko mogłam.

– Ach tak... – Sidra nie wiedziała, czemu aż tak to ją zaskoczyło, jednak ta wiadomość ogrzała jej duszę niczym płomień. – Ja... dziękuję. Jest śliczny. – Przyjęła tartan, przycisnęła do piersi; musiała jakoś odwdziżyć się Mirin za pośpiech z tym zleceniem. – W takim razie przyjmij ode mnie eliksir, który pomoże ci wyzdrowieć...

Mirin skinęła głową, Sidra pospieszyła po buteleczkę naparu.

– Frae również ma coś dla ciebie. – Mirin pchnęła córkę do przodu.

Sidra ukucnęła i spojrzała na Frae. Dziewczynka patrzyła nieśmiało, w końcu wyciągnęła przykryte naczynie.

– Upiekłam ciasto dla ciebie i kapitana – powiedziała Frae. – Mam nadzieję, że będzie wam smakowało.

– Uwielbiam ciasto! – zawołała Sidra. – Torin również. Założę się, że zje całe, jak tylko się obudzi.

Frae rozpromieniła się, Sidra położyła oba podarunki na stole. Chciała dać coś dziewczynce w zamian i wybrała zaszuszonego pierwiosneka.

– To dla ciebie – powiedziała, wsuwając kwiatusek we włosy Frae. *Chrońcie ją*, modliła się Sidra, w nadziei, że duchy słyszą jej prośbę. *Czuwajcie nad tym maleństwem.*

Frae uśmiechnęła się i zarumieniła, a Sidra przypomniała sobie czasy, kiedy była w jej wieku, dni spędzone na pastwiskach, gdy pilnowała stada, splatała polne kwiaty.

– Zanim pójdziemy... – Mirin przerwała zadumę Sidry. – Czy możemy coś dla was zrobić?

– Tartan i ciasto w zupełności wystarczą – odparła szczerze Sidra. – Ale dzięki, że pytasz.

Patrzyła, jak tkaczka z córką odchodzą; deszcz ustał, słońce przebiło się przez chmury i Sidra zostawiła otwarte drzwi, wpuszczając do chaty powietrze splukane deszczem.

Otuliła się szalem, trochę za dużym jak na zwykły tartan, ale dzięki temu czuła się bezpiecznie. Sięgnęła po łyżkę i usiadła przy stole, próbując placka Frae. Cierpkie jagody rozplływały się na języku, przywołując długie lata z babcią, pełne buszowania pośród wzgórz i lasów.

Zamknęła oczy, słodko-gorzkie wspomnienia... Nie chciała zatracić się w tych dawnych czasach, wróciła do terażniejszości, do stołu zawalonego ziołami, które w jej rękach stały się bezsilne.

A potem pomyślała: *jak mogę odzyskać moją wiarę? Jak mam go uleczyć?*



Torin wiedział, że śni – patrzył na ludzi, których zabił.

Widział śmiertelne rany, które zadał. Poderżnięte gardła i rozplątane piersi, strzaskane kości i trzepoczące serca, i krew, wszędzie krew, i ciągle te same

prośby. *Nakarm nasze żony, dzieci i ukochane, wszystkich, których zostawiliśmy, bo niedługo nadejdzie północny wiatr, niosąc lód, głód i ciemność w swoim oddechu.*

– Nie są moją rodziną! – wołał ze złością Torin. Był zmęczony tymi snami, poczuciem winy, które wywoływały. – Trzeba było zostać na Zachodzie, trzeba było pomyśleć, nim najechaliście niewinnych ludzi na mojej ziemi. My też mamy żony, dzieci i bliskich, których musimy nakarmić i chronić, tak samo jak wy tam, u siebie.

– Czemu nas zabiłeś? – spytał jeden z nich.

– Jeśli odbierasz życie – dodał inny – musisz zadbać o tych, których naznaczyłeś przemocą.

Torin się irytował. Rozmawianie z martwymi było frustrujące, patrzenie w oczy ich zjawom przygnębiające, nawet jeśli wiedział, że to był sen. Nie powinien przejmować się ich słowami, on wykonał tylko swoją pracę, swoje zadanie. Oni najeżdżali, rabowali, wtargnęli na jego ziemię, on jedynie bronił swojego klanu, tak jak go wychowano. Dlaczego miał się czuć winny?

I wtedy sen się zmienił, jednak sześć zjaw zostało, jakby były przykute do jego życia. Stał na łące i z niewyraźnego obrazu wyłoniła się Sidra: szła do niego w swojej cynobrowej sukni ślubnej, z kwiatami polnymi w długich czarnych włosach. Wstrzymał oddech, za chwilę będzie jej ślubował... Duchy stłoczyły się wokół niego, one też ją widziały.

– Śmiało, wyznaj jej swoje winy – rzekł jeden. – Powiedz jej o nas!

– Głupcze! Naprawdę wierzysz w to, co ci mówi? Że mogłaby kochać człowieka z krwią na rękach? – syczał inny.

– Nie rozumiesz, że niedługo przejrzy na oczy i nas zobaczy? – stwierdził ostatni. – Gdy połączy swoje życie z twoim, będziemy ją nawiedzać, tak jak nawiedzamy ciebie!

Zamknął oczy, a gdy znów je otworzył, Sidra wciąż szła, a on zobaczył krew na swoich rękach, nie swoją krew, krew, której nie mógł zetrzeć. Sidra wyciągnęła do niego rękę i nieśmiały uśmiech zagościł na jej twarzy.

Zbudził się gwałtownie.

W pierwszej chwili nie rozumiał, gdzie jest. Patrzył w sufit, a łóżko pod nim wydawało się zbyt miękkie jak na jego pryczę w koszarach. Ale potem poczuł zapach ziół – dzikiej, wspaniałej ziemi – który przywodził na myśl Sidrę. Był w domu.

Nie próbował mówić, pazur utkwiał mu w gardle, niewoląc jego głos; Torin rozejrzał się, szukał Sidry. Cięcie na ramieniu wciąż pulsowało, karmiąc irracjonalne lęki.

Podniósł głowę z poduszki i zobaczył ją, pracowała przy stole. Słyszał, jak zgniata zioła, i odprężył się, dopóki nie przypomniał sobie własnego snu.

Powoli podniósł się z łóżka; zrobiło mu się słabo, a świat zawirował; Torin poczekał, aż wszystko się uspokoi, i dopiero wtedy poszedł boso do kuchni.

Sidra wyczuła jego obecność. Odwróciła się, otwierając szeroko oczy, i pomyślał, że zaraz zbeszta go za to, że wstał z łóżka. A on tylko chciał być blisko niej... Zobaczył na niej tartan, który zamówił, owinęła się nim jak szalem. Jednak Torin poprosił, żeby był dłuższy, i teraz brzegi przeszkadzały jej w pracy.

– Powinieneś być w łóżku – powiedziała, patrząc na niego.

Torin wyciągnął rękę i delikatnie pociągnął tartan; Sidra pozwoliła mu spaść, choć zmarszczyła brwi w zakłopotaniu.

– Mirin go przyniosła. Przepraszam, myślałam, że jest dla mnie...

Torin cierpiał za każdym razem, gdy mówiła *przepraszam*; brała odpowiedzialność za tyle rzeczy; bał się, że pewnego dnia ją to złamie. Otworzył usta, przypomniał sobie, że nie może mówić, i rozumiał, że będzie musiał wyrazić to w inny sposób. Bez słów.

Potrzebował czegoś, co zepnie tartan.

Przeszedł do wolnego pokoju, gdzie pod ścianą stała jego dębowa skrzynia, przeszukał swoje szaty i znalazł zapasową broszkę, złoty pierścień z paproci z długą szpilką. Kiedy wrócił do kuchni, spocony i zmęczony, zobaczył, że Sidra przerwała pracę; jej policzki pokrywały rumieńce, oczy wpatrywały się pusto w stół.

Wydawała się zagubiona, a potem zaskoczona, kiedy Torin wziął ją za rękę i odwrócił tak, żeby stała twarzą do niego.

– Powinieneś być w łóżku! – zawołała ponownie i zabrzmiało to tak, jakby miała się rozplakać.

Torin zaczął składać tartan, dokładnie tak, jak składał zawsze swój, otoczył ją nim, przełożył przez jej pierś i spiął tuż przy prawym ramieniu.

Tak, pomyślał. Był dla niej idealny.

Odsunął się, by przyrzeć się dziełu Mirin. Sidra spojrzała na niego, wciąż zdezorientowana, dopóki Torin nie położył dłoni na jej piersi, tam, gdzie materiał zapewniał jej ochronę. Wyczuł zakłęcie w splocie, trzymające mocno jak stal; dotknął jej mostka, gdzie została kopnięta, gdzie siniaki nie chciały się zagoić, jakby jej serce roztrzaskało się pod skórą i kośćmi.

Zrozumiała.

Wciągnęła powietrze i podniosła na niego wzrok, a on znów pożałował, że nie może mówić. Ich ostatnia rozmowa wciąż tłukła mu się w głowie, nie chciał tego dystansu, jaki między nimi powstał.

Niech mój sekret strzeże twojego serca, pomyślał.

– Dziękuję – wyszeptała Sidra, jakby go usłyszała.

To przywróciło mu nadzieję; siadł przy stole, zanim ugięły mu się kolana. Zobaczył ciasto z wyjedzonym środkiem, z łyżką w naczyniu. Wskazał ziejącą dziurę, uniósł brwi.

Sidra się uśmiechnęła.

– Środek to najlepsza część.

Nie, brzegi, pomyślał i wziął łyżkę, żeby zjeść chrupkie miejsca, które zostawiła.

Był w połowie, kiedy rozległo się szczeknięcie, a zaraz po nim pukanie do otwartych drzwi. Torin odwrócił się i ucieszył się na widok Adairy.

– Siad, Yirr – powiedziała Sidra do psa. Siadł posłusznie.

Adaira ostrożnie minęła *collie* i podeszła do Torina, z lekkim uśmiechem na speszonej twarzy.

– Proszę, proszę! Siedzi sobie przy stole i je placek! – żartowała. – Kto by pomyślał, że wczoraj zostałeś ranny!

To brzmiało lekko, ale Torin wiedział, jak jest zmartwiona. Nie chciał, żeby zwątpiła w niego jako kapitana, i odsunął krzesło obok siebie. Adaira siadła, od razu zerkając na wyżarty placek.

– Mogłeś mi zostawić chociaż kawałek – wymruczała.

Przysunął naczynie do niej i wzięła kilka kęsów, przymykając oczy, jakby nic nie jadła od wielu dni. Gdy skończyła, odłożyła łyżeczkę i uważnie przyglądała się Torinowi.

– Jak się masz, kuzynie?

Wyciągnął rękę do Sidry, prosząc, by mówiła za niego.

– Rana na ramieniu goi się szybko – powiedziała. – Ale ta niżej jest o wiele bardziej uparta, niżbym chciała. Jednak mam nadzieję, że jeśli dziś będzie odpoczywał, do jutra poczuje się znacznie lepiej.

Adaira spojrzała na jego opatrzone przedramię, na krew plamiącą płótno.

– Dobrze. Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że dostajesz czas wolny, żeby się wyleczyć i odpocząć. Tymczasowo przejęłam dowodzenie nad strażą i wysłałam wsparcie na granicę klanu, żeby wspomóc strażników. Jeśli Breccanie znów spróbują się przedrzeć, złapiemy ich, więc jeśli ból w dłoni się odezwie, nie reaguj. Zrozumiałeś mnie, kapitanie?

Torin skinął niechętnie głową.

– Druga sprawa, którą chciałam omówić, jest o wiele bardziej złożona. Myślisz, że mógłbyś pisać?

Torin zerknął na Sidrę; szybko poszła do szafki, znalazła arkusz pergaminu, kałamarz oraz pióro.

– Napisałam dziś rano do Moraya Breccanina – zaczęła Adaira. – Postawiłam mu ultimatum: ma zwrócić to, co jego klan ukradł Elliotom, a jeśli nie, o handlu może zapomnieć. Otrzymałam już odpowiedź – lecz nie od niego.

Wyciągnęła list z wewnętrznej kieszeni peleryny, wręczyła go Torinowi.

Rozłożył papier i próbował czytać, ale słowa się rozlewały. Skupienie wzroku na eleganckim piśmie zajęło mu kilka sekund.

Droga Adairo!

Pragnę Cię przeprosić za najazd, do którego doszło na Twoich ziemiach poprzedniej nocy. Nic o nim nie wiedziałam, co zupełnie mnie nie usprawiedliwia. Dopilnuję, by skradzione przedmioty i zwierzęta zwrócono, i niezwłocznie wymierzę sprawiedliwość sprawcom.

Mamy nadzieję, że wymiana, którą nam zaproponowałaś, będzie kontynuowana, chociaż staje się jasne, że niektórzy członkowie mojego klanu nie do końca zrozumieli wagę Twojego zaproszenia. Postaram się wpłynąć na ich poglądy.

Jeśli możesz spotkać się ze mną jutro w południe, przyniosę skradzione dobra na granicę klanu przy północnym drogowskazie. Poinformuj, proszę, kapitana swojej straży, że będę musiała wejść na krótko na Wasze

terytorium, żeby zwrócić zasoby. Jeśli się zgadzasz, przyślij mi odpowiedź, a ja poczynię przygotowania.

Z poważaniem,

Innes Breccan

Lairdess Zachodu

Torin sięgnął po pergamin, który Sidra przed nim położyła, w głowie mu się kręciło. Zaczął pisać: *To dziwne, Adi. Lairdess Zachodu nigdy nie próbowała zadośćuczynić za poprzednie najazdy. Nie ufam jej. Ale jak tylko uniósł pióro, jego pismo stało się nieczytelne.*

Wpatrywał się w ten atramentowy chaos z rozpaczą; Adaira dotknęła jego ramienia.

– W porządku, kuzynie. Wyobrażam sobie, że nie akceptujesz tego spotkania.

Torin pokręcił głową. *Breccanie zachowują się dziwnie. Zgadzą się na pokój, dają nam to, co mają najlepszego do zaoferowania, potem nas najeżdżają, a potem próbują nas przeprosić i udobruchać.* Jeśli Zachód prowadził jakąś grę, Torin jej nie rozumiał, ale miał złe przeczucia.

– Moim zdaniem, choć ta propozycja jest dziwna, jutrzejsze spotkanie z Innes jest bardzo ważne – powiedziała Adaira. – Nie tylko chcę odzyskać to, co zrabowano Elliottom, jest również kilka spraw, które muszę wyprostować. Jack jedzie ze mną, a ja...

Torin gwałtownie zaczął wskazywać siebie.

– Tak, biorę kilku strażników – dorzuciła Adaira.

– Nie – powiedziała Sidra, obserwując gesty Torina. – On chce iść z tobą.

– Jesteś ranny!

Nieważne. Przyłożył pięść do serca. *Proszę tylko o to, żebym mógł stać obok ciebie. Wziąć w tym udział.*

Adaira wpatrywała się w niego. Wyglądała na wyczerpaną, jakby nie spała w nocy; w jej oczach było tyle smutku i to zaniepokoiło Torina. Nie widział jej w takim stanie od śmierci matki.

– Zatem dobrze – odezwała się w końcu. – Możesz pójść ze mną, pod warunkiem że jutro będziesz czuł się lepiej.

Skinął głową. Myślał, że to koniec wizyty, lecz Adaira zwróciła oczy na Sidrę, niezdecydowana.

– Powiedziałaś mu, Sid?

Torin spojrział na kuzynkę, potem na żonę, Sidra się skrzywiła.

– Nie. Chciałam poczekać, aż poczuje się lepiej.

Torin ściągnął brwi. Adaira westchnęła i spojrzała mu w oczy.

– Chodzi o Elizę Elliott. Znalazła się.

Słuchał zszokowany, gdy Adaira opowiadała mu, co się zdarzyło.



Jack siedział przy biurku w swoim dawnym pokoju i przy świecach komponował balladę dla wiatru. Z każdą kolejną nocą spał coraz bardziej niespokojnie i próbował przekonać matkę, żeby zabrała Frae i przeniosła się do zamku, dopóki nie zrobi się bezpieczniej.

Ale rozmowa zawsze wracała do tego samego punktu – do krosien. Mirin nie mogła ich zostawić nawet na kilka dni – tkactwo było przecież jej źródłem utrzymania. A jeśli pozwoli, by zawładnął nią strach przed Breccanami, nigdy nic nie zarobi.

Przerwał na chwilę, pozwolił odpocząć dłoni i oczom. Ręka drętwiała od wielu godzin pisania, głowa pulsowała tęnym bólem; potrzebował snu, ale jeszcze bardziej pragnął tej muzyki.

Kiedy ktoś zapukał do jego drzwi, zmarszczył brwi i odwrócił się na krześle.

– Proszę.

Weszła Mirin z dirkiem na swojej dłoni.

– Przepraszam, że ci przerywam, Jack, ale jest coś, co chciałabym ci dać.

Wstał i podszedł do niej, z zaskoczeniem patrząc na ostrze. To był jej dirk, ten zaczarowany, który zawsze nosiła przy swoim pasie.

– Twój dirk?

– Nigdy nie był mój, Jack. Ta klinga zawsze należała do ciebie. Jest prezentem od twojego ojca. Kazał mi przysiąc, że ci go dam, gdy osiągniesz pełnoletność, ale byłeś wtedy daleko na kontynencie. Wręczam ci go teraz w prezencie ślubnym.

Patrzył na nią długo, potem spojrzął na dirk. Nigdy się z nim nie rozstawała, przez całe lata zawsze nosiła go przy boku – prostą broń z nikłym blaskiem magii.

Po chwili wahania ujął rękojeść, wysunął z pochwy wąskie ostrze. Stał pochwycała jego odbicie, Jack przyglądał jej się zaintrygowany.

– Nosi w sobie zakłęcie – stwierdził. – Jakie?

Mirin przechyliła głowę.

– Nie wiem. Twój ojciec nigdy mi nie powiedział, a ja właściwie nigdy go nie używałam.

Twój ojciec. Po raz pierwszy Mirin wypowiedziała te słowa tyle razy w jednej rozmowie, a Jack nie wiedział, co ma z tym zrobić. A jeśli w ten sposób zapraszała go do zadania pytań, które pogrzebał w sobie lata temu?

Wsunął dirk do pochwy.

– Mamo... – Zawahał się, nagle onieśmielony zerknął na Mirin. – Czy mój ojciec... czy on cię skrzywdził? To dlatego wysłałaś mnie na kontynent? Żeby ci o nim nie przypominał, kiedy na mnie patrzyłaś?

Mirin pochyliła się i wzięła jego dłoń; ten czuły gest zszokował go w pierwszej chwili.

– Nie, Jack... Ty i Frae poczęliście się z miłości. – Umilkła, Jack słuchał jej ochryplego oddechu. – Kochałam twój ojca, tak jak on kochał mnie.

Kochałam. Powiedziała to w czasie przeszłym i Jack o nic więcej nie pytał – inaczej niż kiedyś, kiedy domagał się odpowiedzi, zniecierpliwiony, rozgoryczony, zły. Delikatnie ścisnął jej palce, a Mirin, nim go puściła, uśmiechnęła się do niego, smutnym, szczerym uśmiechem.

– Widzę, że pracujesz – powiedziała lżejszym tonem, wskazując na plamy atramentu na jego palcach.

– Tak, nowa ballada.

– Nie mogę się zatem doczekać, aż ją usłyszę. – Mirin odsunęła się. – Nie będę cię dłużej odrywać od muzyki.

Jack chciał powiedzieć, że wcale od niczego go nie odrywa, że chce, żeby została, żeby rozmawiali jeszcze przez chwilę, nadrobili wszystkie stracone lata...

Ale wyczuwał, że się czymś martwiła, była niespokojna – i zbyt dumna, by się do tego przyznać.

Wysunęła się z pokoju, zamykając za sobą drzwi, a Jack stał i oglądał dirk.

Wiedział, że nigdy nie zapyta Mirin o imię swojego ojca, ale teraz miał inny sposób, by poznać prawdę.

Właśnie trzymał go w rękach: klingę wykutą ze stali i zaklęcia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY



Sidra obudziła się w pustym łóżku. Leżała przez chwilę, gdy oczy przyzwyczajały się do świtu. Widocznie Torin wrócił do swojej pracy... Przesunęła dłonią po jego materacu, był zimny, jakby nie było go tu już jakiś czas.

Wstała z ciężkim sercem i włożyła pończochy. A gdy weszła do izby, ze zdumieniem odkryła, że w palenisku płonie ogień, w kociołku bulgocze owsianka, a w czajniku parzy się herbata. Jednak Torina nigdzie nie było... Sidra ściągnęła brwi, wyrzała przez okno: na podwórzu były tylko rośliny, tańczące w porannej bryzie.

Podeszła do tylnych drzwi i uchyliła je.

Był tam, klęczał w ogrodzie. Przyglądała mu się przez chwilę, zaskoczona, aż zrozumiała, że Torin w jednej ręce trzyma kociaka, a drugą pieli grządki. Wyrывał wszystkie chwasty, którym pozwoliła wyrosnąć w ziołach i warzywach, rzucał je na stertę. Sidra zerknęła w dół, drugi kociak wczepiał się w jej pończochę. Pozostałe zebrały się na schodku, gdzie Torin postawił dla nich miskę z mlekiem.

Nie wiedziała, co o tym myśleć, popatrzyła na niego i znów się uśmiechnęła.

Nie usłyszał otwieranych drzwi i spokojnie pielil dalej, w końcu odstawił kotka na ziemię, zebrał wszystkie chwasty i podszedł do krawędzi ogrodu, gdzie przerzucił chwasty przez kamienny murek. Rozbawił ją, ona zawsze nosiła chwasty na kupkę w dół wzgórza. Wyszła na zewnątrz, żeby się przywitać.

Torin zobaczył ją, kiedy wracał, uśmiechnął się kącikiem ust, jakby zawstydzony, że przyłapano go na pracy w ogrodzie.

– Wcześniej wstałeś – odezwała się w nadziei, że usłyszy jego głos.

Podniósł tylko brudną rękę – rana na przedramieniu nadal krwawiła. Z ciężkim sercem zaprosiła go do środka.

Torin umył ręce i siadł przy stole, poddając się jej zabiegom. Rozcięcie na ramieniu zasklepiło się w ciągu nocy, pozostawiając po sobie chłodną bliznę – cięcie strachu. Ale rana, która odebrała mu głos i słowa, wciąż się jątrzyła; Sidra z niepokojem nałożyła na nią nową maść i ponownie ją opatrzyła.

– Może powinnam ci znaleźć innego uzdrowiciela – powiedziała, zbierając zakrwawione kawałki płótna.

Torin od razu chwycił ją za koszulkę i mocno pokręcił głową. Wierzył w nią absolutnie, pewnie nawet nie dopuszczał myśli, że być może nie przywróci mu głosu... Chcąc odwrócić jej uwagę, wstał i podał owsiankę.

Poprosił gestem, żeby usiadła, i napełnił jej miskę sycącą potrawą.

– Nie wiedziałam, że umiesz ugotować owsiankę. – Uśmiechnęła się.

Torin zrobił ruch ręką, jakby chciał powiedzieć: *który wyspiarz nie umiałby jej ugotować?*

Pachniała trochę spalenizną, ale Sidra dodała śmietany i trochę jagód i wmusiła w siebie kilka łyżek, zanim on skosztował swojej. Skrzywił się, ale zjadł wszystko do czysta.

Wrócił mu apetyt, pierwszy raz robił różne rzeczy w domu – chciał jej dowieść, że już czuje się lepiej, żeby pozwoliła mu towarzyszyć Adairze podczas spotkania.

Razem umyli miski i kociołek z przypalonym dnem, ubrali się i Sidra poprosiła Torina, żeby znów upiął jej tartan. Potem ona czytała stare uzdrowicielskie zapiski babci, a Torin wrócił na podwórze, zdecydowany uwolnić wreszcie ogród od chwastów. Zostawił otwarte tylne drzwi, więc od czasu do czasu zerkał na nią, pieląc kolejne grządki.

Przyglądała mu się, myśląc, jak bardzo zmienił się w ciągu ostatnich kilku dni.

Zamknęła oczy, kiedy ból w środku niej zapulsował, jakby weszła na ostrze miecza.

Przed czterema laty mu ślubowała. Postanowiła połączyć swoją przyszłość z Torinem, bo wiedziała, że z nim życie będzie dobre. Miała w Maisie małą towarzyszkę, miała własną zagrodę, gdzie ojciec i brat nie mieli już nad nią władzy, miała swój domek uzdrowicielki i podwórko, żeby uprawiać wszystko, co kochała. Czowała się jak u siebie, bo Torin rzadko tu bywał, co Sidra na początku lubiła.

Ale przychodził zawsze, gdy go potrzebowała, wystarczyło, że stanęła w swoim ogrodzie i wymówiła na wietrze jego imię, a on pojawiał się, kiedy tylko szept wiatru go odnajdywał, gdy rozpoznał jej głos, niezależnie od tego, czy wiatr powiał z północy, południa, wschodu czy zachodu. Czasem musiała czekać godzinami, ale zawsze nieodmiennie przybywał.

Pamiętała wiosenny wieczór, gdy go wezwała, a on zjawił się zaledwie kilka chwil po tym, jak wypowiedziała jego imię. Przybył ze zmierzwionymi włosami i niespokojnymi oczami, myślał, że coś się stało. Nie, nic się nie stało: byli tylko oni, we dwoje w cichej chacie, wino z kwiatów bzu i jej luźna koszulka, gotowa zsunąć się w każdej chwili.

Ale nawet wtedy to nie była miłość, lecz jakby głód.

Sidra nigdy nie spodziewała się takiej namiętności, o jakiej śpiewali bardowie – takiej, która rozpalala krew. Ufała Torinowi, choć wiedziała, kim jest i co robi, ale nigdy nie liczyła, że jej mąż pokocha ją tak, jak Donellę.

On i Donella byli jednym umysłem, on i Sidra byli przeciwieństwami: on zabijał, ona uzdrawiała.

Sidra otworzyła oczy, zamrugła, usiłując skupić się na słowach babci. Przeczytała recepturę maści, potem zapiski o tym, jak leczyć kaszel; zamknęła książkę.

Jak mogę go uzdrowić, skoro sama siebie nie uzdrowiłam?

Musiała powiedzieć Torinowi, jak się czuje. Musiała być z nim szczerą, ujawnić mu swoje najsłabsze punkty... I zdała sobie sprawę, że się boi.

Bała się takiej otwartości, nie wiedziała, jak on zareaguje. Czy zechce złamać przysięgę? Czy pozwoli jej odejść? Czy chciałby żyć z nią dalej, nawet jeśli mieliby żyć tylko we dwoje?

Myśl o odejściu wywołała w niej taki ból, że musiała wreszcie przyznać: tak, ostrze dosięgło serca, a ona nie umiała wyleczyć takiej rany.

Zobaczyła błysk przy stole – ukazała się Donella w całym swoim pięknie, a Sidra zeszywniała. Zjawa nigdy jej nie odwiedzała, gdy Torin był w domu. I Sidra nie wiedziała, co o tym myśleć. A co, jeśli zajrzy do środka? Czy wtedy ją zobaczy?

– Donello... – Sidra mówiła cicho, żeby jej słowa nie wyszły poza izbę.

– On się boi, Sidro – odezwała się Donella tak cicho, jakby jej głos miał zamilknąć na zawsze, jakby jej błędząca dusza znalazła wreszcie spokój.

– Czego? – Sidra mogła myśleć, że zna odpowiedź, ale wolała spytać. Może Donella widziała coś, co jej umykało.

– Że cię straci, najpierw twoje serce, a potem ciało. A jeśli pójdziesz za mną do grobu, on umrze niedługo później. Jego dusza odnalazła się w twojej, on należy i będzie należał do ciebie, nawet po uządleniu Śmierci.

Sidra zarumieniała się, krew w niej buzowała.

– Nie wiem nawet, czy on chce ze mną zostać – wyszeptała po chwili. – Nawet nie mogę... Nie potrafię go uzdrowić, kiedy potrzebuje mnie najbardziej.

– Najpierw musisz uzdrowić siebie, Sidro – powiedziała Donella i gdy uzdrowicielka wpatrywała się w nią rozszerzonymi oczami, zjawa rozpląnęła się z westchnieniem.

Sidra nie chciała teraz rozmyślać nad tymi pożegnalnymi słowami; przyrządziła im drugie śniadanie, co Torin przyjął z wdzięcznością, i jedli w promieniach słońca na ganku z tyłu, patrząc, jak kociaki ganiają się na ścieżce.

– Wkrótce znajdę im dom – powiedziała, ignorując ściśnięte gardło.

Torin położył jej dłoń na kolanie. *Nie trzeba, jest w porządku*, odczytała w jego dotyku i w jego oczach.

Skinęła i siedzieli tak jeszcze przez chwilę w milczeniu i promieniach słońca.

Kiedy Adaira przyszła po Torina, Sidra stała na podwórzu z psem i patrzyła, jak się oddalają. Ich świta zniknęła wkrótce pośród wzgórz, jadąc na północ, a Sidra stała jak posąg, dopóki popołudnie nie przyniosło nagłej burzy.

Zmoczona deszczem suknia wyrwała ją z tego transu.

Odwróciła się, żeby wejść do środka, ale bez Maisie i Torina dom wydawał się strasznie pusty. Próbowwała zignorować głos w swoim umyśle, który kazał jej spojrzeć w głąb siebie, zaakceptować wszystko, co ujrzy w sobie.

Uzdrowić siebie.

Pójdę do Graeme'a, pomyślała. Zamknęła drzwi i ruszyła do wzgórza, a Yirr posłusznie truchtał za nią. Graeme będzie umiał odwrócić jej uwagę historiami o kontynencie...

Ale stanęła jak wryta pośrodku wrzосу i serce jej waliło.

W tym miejscu rozbiła się jej wiara, tu została zaatakowana, tutaj doświadczyła podłości świata. Usłyszała w głowie ukochany głos, jakby niósł go wiatr, i babcia powiedziała: *Idź do miejsca, w którym zaczęła się twoja wiara.*

Sidra stała w burzy, aż deszcz ukrył jej łzy, i nie poszła do Graeme'a, co byłoby najłatwiejsze. Posłuchała głosu swojej babci, odwróciła się i razem z Yirrem poszła na południe, w mglistą dolinę.



Adaira czekała na opuszczonej północnej drodze, prowadzącej na Zachód. Stary drogowskaz był wyblakły i poszarzały, jednak wciąż stał, mimo wieków zapomnienia. Wysokie do pasa chwasty wyrastały z ubitej ziemi, wyznaczając granicę klanu ciernistymi łodygami i żółtymi kwiatami.

Otaczał ich Aithwood, pozwalając Adairze na jedynie wąski wgląd w ziemię Breccan. Z miejsca, w którym stała, Zachód niczym nie różnił się od Wschodu – gęstwina sosen, jałowców, dębów i jarzębin, dywan paproci. Jakie to uczucie postawić stopę na ziemiach swojego wroga? Czy Breccanie naprawdę cieszyliby się z jej przybycia, czy Moray ją oszukiwał?

Wciąż nie miała od niego wiadomości, prawdopodobnie matka dowiedziała się o najeździe i przeczytała ultimatum Adairy.

Zachowanie Innes było zastanawiające, do tej pory pozwalała na przemoc i rabunek.

A co ty byś zrobiła, gdyby twój klan głodował zimą?, zapytała siebie Adaira, wpatrując się w zakręcającą zachodnią drogę i czekając na przybycie Innes. *Co byś zrobiła, gdyby twoi ludzie byli żądni krwi, a ich dzieci przymierały głodem, kiedy nadchodził lód?*

Nie wiedziała – ale na pewno nie krałaby dzieci klanowi, który ją karmił.

Nie знаła opinii Torina, ale Jack był nieugięty w kwestii zatajenia informacji o zaginionych dzieciach.

– Jeśli Innes wie – powiedział jej tego ranka – to jest współwinna i nie będzie naszym sprzymierzeńcem w tej sprawie, nawet jeśli dziś chce odkupić winy swojego klanu. Najlepiej byłoby przekonać się o tym w inny sposób i odebrać nasze dziewczynki z zaskoczenia.

Na przykład urządzając najazd.

Adaira prawie się roześmiała, wyobrażając sobie Tamerlainów przekradających się na Zachód. A jednak ta wizja była pociągająca i nawiedzała ją każdej nocy.

Czuła, że słowa Jacka są rozsądne, i choć sama wolałaby kierować się emocjami, wiedziała, że musi być cierpliwa i mądra. Priorytetem było dobro porwanych dzieci, Adaira nie chciała, żeby stała im się krzywda, nie chciała, żeby przeniesiono je w inne miejsce.

Musiała zachowywać się tak, jakby niczego nie podejrzewała.

Przybyli wcześniej; Jack i Torin stali za nią na drodze, dziesięciu innych strażników stacjonowało w lesie, jednak w zasięgu wzroku. Nie spodziewała się potyczki, ale najazdu latem również się nie spodziewała.

Pot spłynął jej po plecach; w lesie było cieplej, wiatru prawie nie było.

W końcu usłyszała nadjeżdżających Breccan: spokój lasu zakłóciły tętent kopyt i terkotanie wozu. Zacisnęła dłonie.

I chwilę później po raz pierwszy ujrzała Innes Breccan.

Lairdess Zachodu jechała na wielkim koniu i była ubrana jak strażnik: wysokie buty z cholewkami do kolan, tunika, skórzana kamizelka i niebieski tartan. Już niemłoda, koncentrowała moc wokół siebie, niczym burza. Srebrna przędza w długich blond włosach kontrastowała ze złotym diademem, wąska twarz przykuwała wzrok, tatuaże oplatały szyję, pokrywały wierzch dłoni i palców. Zatrzymała konia tuż przed granicą klanu, jej przenikliwy wzrok spoczął na Adairze. Przyglądała jej się długą, ciężką chwilę, jakby oceniała przeciwnika.

Adaira stała nieruchomo, nie pokazując po sobie żadnych emocji, ale całe jej ciało wibrowało napięciem. Patrzyła na swojego wroga, nemezis swojego klanu, stała z nią twarzą w twarz, i dzieliło je ledwie kilka kroków.

Może przyszła tu, by mnie zabić, pomyślała Adaira, chociaż Innes była nieuzbrojona; skórzana pochwa przy pasie była pusta. *Być może stanie się to początkiem wojny.*

Wóz zatrzymał się z tyłu, podobnie jak strażnicy. Było ich tylko trzech, ale być może w lesie ukrywało się znacznie więcej. Innes zsiadła z konia i podeszła bliżej Adairy.

– Dziedziczko – przemówiła głębokim, ochrypłym głosem.

– Pani – odpowiedziała Adaira.

– Przywiozłam większość tego, co zostało zrabowane – odparła. – Nie udało się jednak odzyskać żywego inwentarza. W ramach zadośćuczynienia mogę zaproponować jedynie złote monety.

Czyżby krowy i owce Elliottów już zarżnięto? Adairę przeszył dreszcz, skinęła głową.

– Monety na razie wystarczą.

– Czy mogę przejść na twoją stronę? – spytała Innes, przesuwając wzrok na Torina. Musiała rozpoznać w nim wojownika, a skoro był uzbrojony i stał tuż za Adairą, również kapitana.

– Tylko ty dostajesz pozwolenie – odpowiedziała Adaira.

Innes skinęła głową i podeszła do wozu. Wzięła skrzynię załadowaną workami z ziarnem i przeszła przez granicę klanu. Postawiła ją u stóp Adairy, wróciła po kolejną skrzynię i kolejną; trzy skrzynie, pełne zapasów Elliottów, wróciły na ziemię wschodniego klanu. Następnie stanęła twarzą w twarz z Adairą i wyjęła sakiewkę z monetami.

– Mam nadzieję, że to wystarczy.

Adaira zajrzała do sakiewki, wypełnionej złotem po brzegi, i skinęła głową. Monet było aż za dużo.

Hojność Innes wydawała się zaskakująca i Adaira nie wiedziała, jak ją potraktować. Czy skrucha była szczera, czy zwiastowała jedynie kolejną zdradę?

Jakby czytając w jej myślach, Innes powiedziała:

– Mam nadzieję, że błąd mojego klanu zostanie wybaczony i że będziemy mogli kontynuować handel, który proponowałam.

– Rozmawiałam z Morayem o wymianie. – Adaira spojrzała na strażników towarzyszących Innes. – I liczyłam, że go dzisiaj zobaczę.

– Mój syn dyscyplinuje ludzi, którzy najechali twoje ziemie. – Głos Innes stał się chłodniejszy. – W przeciwnym razie towarzyszyłby mi.

Adaira czuła niepokój; to spotkanie wciąż mogło się źle skończyć...

– My również pragniemy pójść dalej w handlu i jest pewna rzecz, którą chcielibyśmy dostać od twojego klanu.

– Nazwij ją, dziedziczko, a osobiście przyniosę ją na następną wymianę.

Adaira uniosła szklaną fiolkę: czerwony kwiat wciąż nie zwiędł, złoty połysk na płatkach zalśnił w słońcu. Obserwowała uważnie twarz Innes, kobieta uniosła brwi.

– Twój klan pragnie kwiatu Orenny? – zapytała.

– Rośnie na Zachodzie?

– Rośnie. Choć dla nas jest zupełnie bezużyteczny, duchy u nas są słabe.

– W przeciwieństwie do duchów na Wschodzie – zauważyła Adaira. – Jeśli możesz dostarczyć nam koszyk kwiatów, przyniosę wszelkie zasoby, jakich twój klan może potrzebować przed zimą.

– Dobrze zatem – powiedziała Innes. – Zbiorę dla was te kwiaty; daj mi trzy dni i spotkajmy się na ponownej wymianie w wybranym przez was miejscu.

– Zgoda.

Innes wróciła na swoje ziemie, dosiadła konia, skłoniła się Adairze na pożegnanie i pokłusowała; strażnicy podążyli za nią z pustym wozem.

Adaira wypuściła drżący oddech i odwróciła się dopiero wtedy, gdy poczuła, że jest bezpieczna, ale nawet wówczas Torin chronił jej plecy. Jack, który do tej pory stanowił jedynie milczące wsparcie, od razu znalazł się przy niej. Zaczekała, aż wyjdą z lasu i podejną do koni, które pasły się spętane pod wiazem, i dopiero tam się odezwała:

– Teraz mam przynajmniej jeden dowód.

Jack zmarszczył brwi.

– Jaki?

Spojrzała mu w oczy i podniosła Orennę.

– Moray Breccanin mnie okłamał.



W Sloane Jack odłączył się od Adairy i podjechał do kuźni. Dirk wisiał u jego boku, a serce waliło mu jak oszalałe, gdy czekał na rozmowę. Una była bardzo zajęta z kilkoma czeladnikami, wśród których była również jej własna córka; właśnie pompowała miechy i przynosiła matce narzędzia.

– Wybacz, że ci przerywam – powiedział, gdy Una znalazła wolną chwilę, żeby z nim porozmawiać. – Wszystko u was w porządku?

Uniosła brwi; popołudniowe światło wydobyło srebro w jej czarnych włosach.

– Oczywiście, że tak. Z czym przychodzisz?

Podał jej dirk.

– Chciałbym wiedzieć, kto zlecił ci wykonanie tego ostrza. Czy pamiętasz imię? To mogło być lata temu.

– Pamiętam wszystkich moich klientów i wszystkie moje klingi – Una oglądała dirk. – I obawiam się, że nie mogę zdradzić ci imienia, którego szukasz, Jack.

– Czemu?

Spojrzała na niego swoimi czarnymi oczami.

– Ponieważ to nie ja wykułam to ostrze.

Ściągnął brwi.

– Jesteś pewna?

Zaśmiała się, ale wyczuł, że pytanie ją zirytowało.

– Czy pamiętasz każdą pieśń, którą skomponowałaś? Rozpoznałbyś instrument, na którym kiedyś grałeś?

Twarz Jacka zalał rumieniec.

– Wybacz mi, Uno. Nie chciałem cię urazić.

– Nie poczułam się urażona. – Oddała mu dirk.

– Myślałem...

Czekała, a on westchnął.

– Jesteś najlepszym kowalem na Wschodzie – mówił dalej. – A człowiek, który kazał wykuć to ostrze... Wierzę, że chciał, by stworzyły je najwprawniejsze ręce.

– Nie przeczę, to doskonała robota. – Spojrzała znowu na dirk. – Ale to nie ja ją wykonałam.

– Czy istnieje sposób, by odkryć, jaki czar się w niej kryje?

– Istnieje, Jack. I nie będzie polegał na patrzeniu.

Zrozumiał. Wsunął dirk do pochewki.

– Tak myślałem. Dziękuję za pomoc, Uno.

Patrzyła, jak ruszył w stronę ulicy.

– Uważaj na siebie, Jack.

Podniósł rękę, dziękując za ostrzeżenie, ale myśli miał niespokojne. Gdyby dirk wykuto na Wschodzie, Una by go знаła.



Na resztę popołudnia zaszył się w swojej komnacie w zamku; nie spotkał Adairy na korytarzach; pewnie była z ojcem.

Zdejmując tartan, Jack spostrzegł, że wymsknęły się z niego nitki i wełna zaczęła się rozplatać. Patrzył na to z niedowierzaniem, przesunął palcem po wzorze. Część zaklęcia zniknęła, wełna zaczęła tracić swój magiczny połysk. Usiadł ciężko przy biurku; sekret, który jego matka wplotła w tartan, wychodził na jaw. Próbował skupić się na pracy, ballada dla wiatru była prawie gotowa, jednak jego umysł krążył wokół pytań i wątpliwości; w końcu wyjął dirk i obejrzał jego wąskie ostrze w gasnącym świetle słońca.

Nigdy nikt go nie zranił zaklętą bronią i Jack wcale nie chciał doświadczać tego teraz, zwłaszcza po tym, co stało się Torinowi. Ale skoro ojciec kazał zrobić ten dirk dla niego... Jack musiał się dowiedzieć, musiał odkryć, jakie zaklęcie się w nim kryło. Ręce mu drżały, gdy wstał od biurka i podszedł do ognia na kominku.

Małe nacięcie, zdecydował, pamiętając, jak szybko goją się takie rany. Płytką raną na przedramieniu.

Odetchnął i zrobił minimalne nacięcie tuż nad nadgarstkiem. Dirk był ostry; załśnił w ogniu, gdy wchodził w skórę, krew pojawiła się od razu, jasna jak letnie wino.

Czekał, aż pojawi się czar, a krew kapała na kamienie między jego butami. Czekał, ale nic się nie działo. Nie pragnął rzucić się do ucieczki, nie bał się, nie stracił głosu. Nie czuł w sobie rozpacz, niczego mu nie odebrano: ani wspomnień, ani spokoju, ani pewności siebie.

Jack wpatrywał się w skaleczenie i swoją krew ze zdumieniem i irytacją.

Rozległo się pukanie do ukrytych drzwi.

– Jack? – Głos Adairy przeniknął drewno. – Jack, mogę wejść?

Zamarł, nie wiedząc, co ma jej odpowiedzieć. Schował dirk za plecami.

– Wejdz.

Otworzyła drzwi i weszła do komnaty. Zdążyła się już przebrać po spotkaniu z Innes: rozpuściła włosy, nieokiełznane spadały teraz swobodnie na jej plecy, włożyła prostą czarną suknię. Zauważyła jego sztywną postawę, jego wahanie, jego ręce schowane za plecami.

Zbliżyła się.

– Coś przede mną ukrywasz?

I właśnie wtedy Jack odkrył czar klingi. Już miał ją zbyć, chciał się czymś wykręcić, ale dirk kazał mu mówić prawdę i słowa same wypadły z jego ust.

– Tak. Zakłęte ostrze.

Jeśli ta bezpośrednia odpowiedź ją zaskoczyła, Adaira nie dała tego po sobie poznać. Położyła mu dłoń na ramieniu, przesunęła palcami w dół, aż do broni ściśniętej w jego palcach. Pociągnęła go za rękę i patrzyła na dirk, na skrwawioną krawędź stali.

– Co zrobiłeś? – szepnęła.

Nie miał wyjścia, musiał odpowiedzieć zgodnie z prawdą:

– Jak głupiec skaleczyłem się, żeby odkryć, jaki czar się w nim kryje.

Wzięła go za drugą rękę, zobaczyła krwawiące przedramię.

– A więc to ostrze prawdy? – powiedziała, popatrzyła mu w oczy i zobaczył w nich wesołość. – Wiesz, że dopóki twoja krew nie zaschła, na wszystko, o co zapytam, musisz mi odpowiedzieć z brutalną szczerością?

– Wiem aż za dobrze.

Trawił go strach, spodziewał się, że Adaira zada mu wszystkie niewygodne pytania. Jednak kiedy cisza się pogłębiła, przypomniał sobie, jak często go zaskakiwała, jakby nigdy nie trzymała się założonych przez niego ram, zawsze je niszczyła.

Ujęła rękę dirka i rozcięła sobie dłoń. Wezbrała krew, Jack chciał się gniewać, lecz Adaira przemówiła pierwsza, głosem ostrzejszym niż jakiegokolwiek ostrze.

– Nie chcę żadnych tajemnic między nami, Jack.

Patrzył na swoje nacięcie, na jej ranę, i myślał o przysiędze krwi, którą często składano na ślubach, najgłębszej i najsilniejszej więzi, kiedy rozcięte dłonie łączyły się i krew się mieszała. On i Adaira nie złożyli takiej przysięgi i będą mogli zrobić to dopiero wtedy, gdy zdecydują się pozostać małżeństwem po upływie ich ślubów.

A jednak widząc krew Adairy, gotowość do tego, żeby odkryć się tak samo jak on, rana za ranę... Atmosfera między nimi zaczynała się zmieniać.

– Chciałam pomówić o spotkaniu z Zachodem, Jack – powiedziała. – Ale nim to zrobię... porozmawiajmy jak rozdzieleni na wiele lat starzy przyjaciele, którzy próbują odzyskać miniony czas. Powiedz mi o sobie coś, czego nie wiem, a ja zrobię to samo.

Siadła na fotelu przed kominkiem, Jack podsunął sobie krzesło i zajął miejsce naprzeciw niej. Nieważne, o czym będzie mówił, chciał na nią patrzeć.

Przez chwilę milczał, nie wiedząc, od czego zacząć, ale gdy słowa popłynęły, było tak, jakby otworzył szeroko ledwie uchylone drzwi i jakby światło wlało się do środka.

– Gdy byłem mały, najbardziej na świecie pragnąłem stać się godny klanu i znaleźć w nim swoje miejsce. Dorastanie bez ojca tylko podsycało te uczucia, a ja tak bardzo pragnąłem przynależeć. Największym zaszczytem było dołączenie do Straży Wschodu i udowodnienie moich sił Torinowi.

– To już wiem – powiedziała Adaira, ale się uśmiechnęła. – I być może to jest coś, co nas najbardziej łączy: kiedyś marzyliśmy o tym samym.

– Tak było. Ale czasem odkrywasz, że twoje miejsce i twoje przeznaczenie są inne, niż myślałeś. Kiedy wysłano mnie na kontynent, dusiłem się z goryczy i złości, myślałem, że Mirin nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Po tym jak tęsknota za domem trochę zelżała, zacząłem zadomawiać się na uniwersytecie i przysiągłem sobie, że już nigdy nie postawię stopy na Cadence. A jednak wyspa powracała do mnie we wszystkich snach, oglądałem jej wzgórze, góry i jeziora, czułem zapach ziół w warzywniku, słyszałem plotki unoszące się na wietrze. Nie potrafię powiedzieć, kiedy sny zaczęły zanikać, kiedy zdołałem sam siebie przekonać, że teraz przynależę gdzie indziej. To się chyba stało w trzecim roku nauki, kiedy miałem pierwszą lekcję gry na harfie. Kiedy przesunąłem palcami po strunach, żal i gniew, które cały czas we mnie płonęły, w końcu przygasły i zrozumiałem, że naprawdę mogę dowieść, ile jestem wart.

– Tak też się stało, bardziej – powiedziała Adaira.

Uśmiechnął się do niej.

– Teraz ty powiedz mi o sobie coś, czego nie wiem, żono.

– Brzmi jak wyzwanie. – Zapadła się głębiej w fotel, założyła nogę na nogę. – Obawiam się, że moje życie rozgrywa się na oczach wszystkich.

– Ale jesteśmy dwojgiem starych przyjaciół, którzy odzyskali się po latach – przypomniał Jack. – Przez dekadę dzielił nas ocean i bardzo wiele kilometrów.

– W takim razie zacznę w tym samym miejscu. Moje największe pragnienie było identyczne jak twoje: chciałam wstąpić do straży i walczyć u boku Torina. Był dla mnie jak starszy brat, a odkąd pamiętam, tęskniłam za rodzeństwem. Widziałam, że strażnicy byli dla siebie niczym bracia i siostry, niczym rodzina, i chciałam być tego częścią.

Jednak mój ojciec szybko położył kres tym marzeniom: dla jedynej dziedziczki przynależność do straży stanowiła zbyt duże zagrożenie. Postanowiłam wtedy zostać uczennicą Ailsy, od rana do wieczora trenować z nią konie. Ale kiedy jeden ze stajennych upadł i złamał kark, moja mama zakończyła i to. Byłam ich jedynym żyjącym dzieckiem i bardzo wielu rzeczy mi zabroniono. Mama widziała we mnie tę złość i próbowała ją złagodzić w jedyny znany sobie sposób: zaczęła mnie uczyć gry na harfie, licząc, że odnajdę się w muzyce. I chociaż, podobnie jak było z tobą, uciszyło to trochę burzę, tylko pogłębiło mój żal.

Byłam młoda i dzika i gardziłam lekcjami, których próbowała mi udzielić. Muzyka nie słuchała się moich rąk, a ja myślałam tylko o straży, do której nie mogłam się przyłączyć, i rumakach, na których zabroniono mi jeździć. I to jest coś, czego najbardziej teraz żałuję: że zmarnowałam te wszystkie chwile spędzane z moją mamą. Czasem w ogóle nie mogę patrzeć na jej harfę, tak bardzo chciałabym cofnąć czas, postępować inaczej. Gdybym tylko mogła porozmawiać z samą sobą sprzed lat, och, jakbym tej dawnej sobie nagadała! Nigdy nie myślałam, że tak szybko stracę mamę i że będę tęsknić za tamtymi lekcjami z nią, za muzyką, którą próbowała przekazać.

To, co ci teraz mówię, Jack, z trudem przechodzi mi przez usta. Rzadko opowiadam o tym, czego żałuję, co mnie boli – jestem przyszlą lairdess, nie powinnam rozwodzić się nad takimi sprawami. Ale wiem też, że trzymanie języka za zębami i milczenie może być tym, czego najbardziej żałujemy. Dlatego powiem ci tak: czasem patrzę na ciebie i słyszę w głowie ostrzeżenie: *on odejdzie po roku i jednym dniu; wróci na kontynent, za którym tęskni jego serce.*

Mówię sobie, że powinnam się strzec, nawet teraz, gdy zostaliśmy połączeni. A jednak jest we mnie inna część, która wierzy, że możemy coś razem stworzyć. Że nawzajem się uzupełniamy, że właśnie mamy się ścierać, zderzać się i utwierdzać. Że pozostaniemy związani tym, co jest bezimienne i sięga głębiej niżli przysięgi, związani aż do końca, gdy wyspa zabierze moje kości do ziemi, a moje imię stanie się jedynie wspomnieniem wyrytym na nagrobku.

Jack wstał. Hipnotyzowała go, musiał coś zrobić, zanim wyleje się z niego prawda, zanim wyzna, jak jego uczucia do niej splotły się ze wszystkim – jego marzeniami, aspiracjami i pragnieniami. Chciał ją też zapewnić, odpowiedzieć bez słów i podszedł do swojego biurka, gdzie stała butelka brzoźowego wina.

Nalał im i podał Adairze kielich, czując jej zimne palce. Ona też wstała, ich oczy znalazły się w jednej linii. Dzieliło ich kilka centymetrów. Pili za swoje rany, za swoje żale i nadzieje, za przeszłość i za to, jak decyzje podjęte w życiu sprowadziły ich z powrotem do siebie.

– Moje serce nie tęskni za kontynentem – rzekł w końcu. – Chyba już o tym wspominałem, Adairo, że tam nie wrócę.

– Chociaż od początku mówiłeś, że to właśnie kontynent jest twoim domem.

Jack chciał jej powiedzieć, jak tam usychał, obumierał, kawałek po kawałku. Nie rozumiał tego, póki nie powrócił na Cadence i nie znalazł swojego miejsca. Tutaj mógł zapaść korzenie i pozwolić im rozejść się głęboko.

Zamiast tego wyszeptał:

– Tak, ale kiedyś myślałem, że dom to po prostu miejsce; cztery ściany i dach, pod którym śpisz. Myliłem się. Dom to ludzie, ci, których kochasz, i może nawet ci, których nienawidzisz. – Uśmiechnął się, widząc, jak jego słowa prześliznęły się po jej skórze, wywołując rumieniec.

Adaira odstawiła swój kielich, spojrzała na niego intensywnie.

– Wiesz, że kiedyś cię nienawidziłam?

Zaśmiał się, a dźwięk rozlał się w jego piersi, ciepły i bogaty jak wino.

– Myślałem, że mówimy tylko to, czego nie wiemy.

– Tamtego wieczoru dziesięć lat temu cieszyłam się, że odpływasz – wyznała. – Stałam na wzgórzu o zmierzchu i patrzyłam, jak wchodzisz na

pokład łodzi, patrzyłam tak długo, aż nie mogłam cię już zobaczyć, i poczułam triumf, że mojego wroga nie będzie już na wyspie. Pokonałam cię i wygnałam: nie będziesz kradł moich ostów, karmił mnie atramentem ani wrywał wstążek z moich warkoczy. Możesz sobie wyobrazić mój szok, kiedy zobaczyłam cię te kilka tygodni temu. Po tych wszystkich latach wmawiania sobie, że jesteś moją nemezis, że nienawidzę cię nawet teraz, dziesięć lat później... nagle poczułam radość.

Jack odstawił kielich i przesunął się bliżej. Rana na ręce zaczynała swędzieć; goiła się szybko i wkrótce ta chwila minie. Delikatnie dotknął palcami złotego światła, które kładło się na jej policzku.

– Chcesz powiedzieć, że cieszyłaś się na mój widok, Adairo?

– Tak. – Jej oddech przyspieszył pod jego pieśczętą. – Cieszyłam się, że coś we mnie ożywa po latach pustki i chłodu. Nigdy nie myślałam, że ty to sprawisz.

Zupełnie jakby wykradła słowa z jego ust – i teraz chciał je odzyskać.

Dotknął jej ust swoimi w lekkim pocałunku; smakowała niczym ciemnoczerwony owoc, niczym letnie jagody, które rosły dziko na wzgórzach. Chwyła go za tunikę i przyciągnęła bliżej, teraz dzielili ten sam słodki oddech. Powietrze trzeszczało, gdy ich szaty elektryzowały się między nimi, Jack całował ją delikatnie, spijał jej westchnienia i zapamiętywał jej usta... i szybko poczuł silny ból w klatce piersiowej, zapragnął więcej; przytłoczyło go to, ona, jej bliskość, uczucia, które w nim wzbudziła. W jaki sposób coś tak delikatnego jak muśnięcie warg mogło rozbrzmiewać w jego ciele taką agonią?

Ona też musiała to czuć; puściła go, delikatnie się odsunęła. Twarz miała opanowaną, oczy spokojne, ale usta nabrzmiałe od pocałunku; oblizwała wargi, jakby chciała przechować jego smak.

– Jesteś głodny? – spytała.

Jack patrzył na nią, niepewny, o jakim głodzie mówiła, i chwilę później ucieszył się, że nic nie powiedział, gdy stwierdziła:

– Myślę, że nasza następna rozmowa będzie smakować lepiej z talerzem haggis.

Już zapomniał, że mieli omówić spotkanie z Innes; patrzył, jak podchodzi do drzwi i prosi służącego o kolację tutaj, do pokoju, potem chwyta biurko i przesuwa je do kominka. Jakby buzowała w niej niespożyta energia –

podczas gdy on był zupełnie sparaliżowany i zamrożony, jakby zaczarowany ich pocałunkiem. W końcu pomógł jej przenieść stół i dwa krzesła; jego nuty nadal spoczywały na wypolerowanym dębowym blacie. Adaira zajrzała do nich i chociaż nie umiała ich odczytać, studiowała je intensywnie.

– To pieśń dla wiatru? – zapytała z szacunkiem.

– Tak jest.

– Już skończona?

– Nie całkiem.

Odetchnął z ulgą, kiedy przyniesiono kolację. Nie wiedział, czy z uwagi na jego zdrowie Adaira zabroni mu grać, czy też nie, nawet jeśli czuł się dobrze. Czasem pojawiały się bóle głowy i sztywniały mu palce, ale trzeba by wielu lat, żeby go to zabiło.

Jack uprzątnął stół i usiedli naprzeciw siebie nad parującymi talerzami haggis, ziemniaków i zieleniny, z chlebem i garnuszkiem masła pomiędzy nimi. Zauważył to, dopiero gdy dolewał im wina: że rana przy nadgarstku się zagoiła i zakłęcie prawdy zniknęło, zostawiając jedynie chłód i ślad na skórze. Jednak gdy spojrzął na Adairę, zrozumiał, że słowa i emocje, którymi się dzielili, pozostały. Uczucia wisiały nad nimi niczym gwiazdy, czekając na kolejną chwilę, żeby zapłonąć, a on czuł to oczekiwanie w sobie, wibrujące, drżące jak struna.

– O czym chciałaś powiedzieć, Adairo? – spytał.

Obdarzyła go półuśmiechem.

– Najpierw zjedz, Jack.

Posłuchał, chociaż widział, że jej samej jedzenie przychodzi z trudem. Spojrzała na swoją dłoń i na zimną bliznę i wypila swoje wino do dna.

– W porządku – przemówiła w końcu. – Mam plan, jak odzyskać nasze dziewczynki.

Jack odłożył widelec i spojrzął na nią uważnie. Miał przeczucie, że jej pomysł mu się nie spodoba, ale milczał, czekał na wyjaśnienia. Dlatego pytanie, które zadała, kompletnie go zaskoczyło.

– Mógłbyś skończyć jutro pieśń dla wiatru?

– Czy to znaczy, że prosisz mnie, żebym zagrał?

– Tak. Lecz pod jednym warunkiem, Jack.

Jęknął.

– Jakim?

Wyciągnęła szklaną fiolkę z Orenną, postawiła przed nim.

– Zjesz ten kwiat, zanim zaczniesz grać.

Od kilku dni nosiła ze sobą ten kwiat, nie mogąc się zdecydować, kiedy go użyć. Przyjrzał mu się, tak pozornie niewinnemu w tym szkłe, i zapytał:

– I czemu miałbym to zrobić?

– Rozmawiałam z Sidrą – powiedziała. – Zjadła jeden. Mogła zobaczyć królestwo duchów, zyskała nienaturalną siłę, szybkość i świadomość. Myślę, że Orenna uchroni cię przed skutkami ubocznymi gry.

Jack westchnął.

– A jeśli podziała na mnie jakoś inaczej? Jeśli w ogóle nie zdołam zagrać?

– To nie zagrasz. Poczekamy, aż jej działanie ustąpi, i zagrasz o własnych siłach, z tonikiem i maścią w pogotowiu – odparła. – Miałeś rację, Jack. Wiatr wie, gdzie są nasze dzieci. Jeśli nam powie, będziemy mogli je uratować.

– I myślisz, że zrobimy to po tym, jak Innes Breccan dostarczy nam dużo kwiatów i dzięki nim przekroczymy granicę klanu niezauważeni?

– Tak.

Ścisnął mu się żołądek i zdjęty grozą uzmysłowił sobie, ile rzeczy może pójść źle. Wyobraził sobie ludzi przemykających się przez Zachód jak cienie, to, jak zostają schwytani, uwięzieni i być może zabici.

– A co, jeśli się mylisz, Adairo? – spytał łagodnie. – Jeśli kwiat Orenny wcale nie pomaga przejść przez granicę?

– Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, bo jak inaczej Breccanie mogliby to robić? Jeśli kwiat daje podwyższoną świadomość i łączy nasz świat ze światem duchów... to czemu nie?

– W takim razie czemu nie użyli Orenny wcześniej, przy poprzednich najazdach? – protestował Jack. – Moim zdaniem wykorzystują go dopiero od kilku tygodni i wyłącznie po to, żeby porywać dzieci.

– A ostatni atak? – nie zgodziła się z nim Adaira. – Twierdzisz, że widziałeś więcej Breccan, niż naliczył ich Torin.

Bard westchnął i odchylił się na krześle. Jego siostra widziała Breccanina, jak stał tamtej nocy w ich ogrodzie, a on martwił się, że Frae będzie następną;

mieszkali tak blisko granicy klanu...

– Może nie wiedzieli o kwiecie Orenny aż do teraz? – podsunęła Adaira. – Tak czy inaczej, czy to kwiat im pomagał, czy nie, chcemy zapytać wiatr, gdzie są dziewczynki, a potem przekraść się na Zachód i je odebrać.

– W takim razie gotujmy się do wojny, Adairo. Bez względu na to, dlaczego Breccanie porywają dzieci ze Wschodu, wściekną się, gdy odkryją, że użyliśmy przedmiotu ich handlu do podstępu i oszustwa.

– Nie sądzę, bym mogła zawrzeć pokój z klanem, który kradnie dzieci – oznajmiła.

Skinął, ale lodowaty chłód przebiegł mu po kręgosłupie. Jak mogłaby wyglądać wojna na Cadence? Czy Tamerlainowie mieli szanse wygrać z klanem wojowników? A jeśli przegrają, co wtedy stanie się z Adairą?

Jack patrzył na nią, zagubiony w tych strasznych myślach.

Światło ognia tańczyło na jej twarzy, a kiedy patrzyła na niego, jej oczy lśniły jak dwa ciemne kamienie szlachetne. Słońce zaczynało zachodzić, ale Jack nie zdawał sobie sprawy, że dzień już dogasa. Jeszcze godzinę temu on i Adaira byli w innej rzeczywistości, w rzeczywistości, w której czas przestał płynąć. Teraz gnał niespokojnie i minuty wymykały im się jedna po drugiej.

– Jeśli tego właśnie pragniesz... – powiedział. – Będę z tobą.

Wstała i podeszła do niego, poczuł delikatną pieczęć jej palców w swoich włosach.

– Dziękuję – odetchnęła. – Teraz już pójdę; słońce zachodzi i wiem, że wracasz do Mirin. Ale jeśli będziesz gotowy grać jutro, wiesz, gdzie jestem.

Poszła do siebie, zanim zdążył powiedzieć choć jedno słowo. Zostawiła Orennę, Jack schował fioletkę do kieszeni i zaczął pakować swoją muzykę.

Nad tym, co się dziś wydarzyło, mógł pomyśleć dopiero wtedy, kiedy szedł do Mirin.

Myślał o Frae, o jej szepcie w ciemności: *z tyłu na podwórku stoi Breccanin*. Może przybył, żeby wykraść mu młodszą siostrę. A może... stał tam, żeby w razie potrzeby odeprzeć najazd?

Myślał o matce, upierającej się, by pozostać w zagrodzie, na którą zapracowała, mimo zagrożenia, jakie niesła bliskość granicy. Tyle razy pytał ją o swojego ojca, a Mirin nigdy nie zdradziła mu zupełnie nic.

Szedł przez wzgórza i wyjął dirk. Jedyne namacalne dziedzictwo, ponieważ nie otrzymał po ojcu ani nazwiska, ani żadnej ziemi, nic, poza jedną jedyną klingą z zaklęciem prawdy – jakby ojciec Jacka przewidział te wszystkie tajemnice i kłamstwa, w których wychowa się jego syn.

Nigdy by nie uwierzył, że to możliwe, a jednak Torin twierdził, że Breccanie przekraczają granicę niezauważeni, zaś Adaira – że porywają dzieci ze Wschodu. Skoro teraz przedostawali się potajemnie, być może robili to już wtedy, dawno temu, gdy matka Jacka żyła samotnie na obrzeżach Wschodu?

Gdy był mały, zawsze się zastanawiał, czy natknął się kiedyś na swojego ojca na miejskim rynku, na trakcie, w sali zamkowej, czy spotkał go, nie wiedząc, że to on. Wszystkie jego pytania pozostawały zawsze bez odpowiedzi... Aż do teraz.

Zastanawiał się, dlaczego jego ojciec nigdy się do niego nie przyznał. Teraz już wiedział.

Jego ojciec był Breccaninem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY



Torin wracał do domu, tęsknił za Sidrą. Spotkanie na granicy klanu poszło lepiej, niż się spodziewał, i po raz pierwszy od dawna poczuł nadzieję. Jeśli Innes Breccan faktycznie dostarczy im kwiaty Orenny, to zbliżą się o krok do odnalezienia Maisie i innych dziewcząt. Może za kilka dni weźmie córkę w ramiona, może już niedługo przywiezie ją do domu!...

Musiał tylko uzbroić się w cierpliwość. Odetchnął, powoli i głęboko, żeby uspokoić serce.

Zsiadł z konia i zostawił go przy bramie. Kiedy go nie było, spadł tu deszcz; podwórko lśniło w słońcu. Zauważył, że Yirr nie pilnuje drzwi, i poczuł niepokój. Wszedł do środka i otworzył usta, żeby zawołać Sidrę.

Głos nie chciał powrócić. Rana wciąż bolała.

Kapitan przełknął ślinę i przeszukał pokoje, potem tylne podwórze – może Sidra wróciła do ogrodu? Szedł między grządkami, ale tutaj też jej nie było. Stał chwilę pośród strzelistych łodyg, bujnych kwiatów i warzyw dojrzewających na grubych pnączach, wyczuł ślad żony pośród zielonych żywych istot ziemi, wśród dzikich kwiatów.

Chwilę później już biegł do Graeme'a, ale tam też jej nie było.

Wrócił na podwórze niespokojny i zrozumiał, że nie ma pojęcia, dokąd mogła pójść. Ta świadomość ścięła go z nóg. Padł na kolana obok ziół i znów pomyślał o ich ostatniej rozmowie, o tym, co do niej mówił, ostro, gniewnie i dumnie.

Powiedziała, że kocha nawet jego ciemne strony, a on jej nie odpowiedział. Nigdy nie powiedział jej, co czuje, a teraz nie miał już takiej szansy.

Ale zmuszony do milczenia zauważył, jak chwasty zarosły ogród, zauważył smutek w oczach Sidry, jej wyczerpanie. Cierpiała i chciał pomóc jej znieść ten ból, tak jak ona pomogła jemu.

Spojrzał na swoje dłonie ze smugami ziemi, pokryte brudem i bliznami.

Co wybierzesz dla swoich rąk, Torin? Słowa, które go uraziły. Słowa, które pozostały w nim żywe, choć próbował je zdławić, zdusić. Słowa-nasiona, które kiełkowały w nim, budząc nowe życie.

Pomyślał o swoich snach, widmach ludzi, których zabił.

Chciał się zmienić.

Dosiadł konia. Nie wiedział, dokąd jedzie, jechał bez celu, słuchając wiatru i badając ziemię pod sobą. Przypomniawszy sobie ten dzień, kiedy poznał Sidrę. Kiedy spadł z konia.

Skierował ogiera na południe i pojechał do najspokojniejszego miejsca na wyspie – tam, gdzie Sidra się urodziła. Do doliny Stonehaven.



Sidra po raz pierwszy odwiedziła grób swojej babci w dolinie. Klęczała i rozmawiała z trawą, ziemią i kamieniami, noszącymi ślady kobiety, która ją wychowała. Zatrzymała się przy grobie matki, choć nie miała o niej żadnych wspomnień. A potem opuściła cmentarz i poszła do chaty, w której dorastała.

Ziemia naznaczona była wspomnieniami, Sidra przechodziła przez nie, jedno po drugim. Najpierw strumień, gdzie siedziała ze swoim milczącym ojcem, łowiąc ryby z wartkiego nurtu. Potem sad, gdzie przeżyła swój pierwszy pocałunek. Pastwiska, na których z bratem pilnowali owiec. I wreszcie warzywnik, gdzie po raz pierwszy odkryła swoją wiarę w duchy ziemi. Godziny, które spędziła tutaj u boku babci, z rękami w ziemi. To tutaj poznawała sekrety ziół i potęgę jednego nasionka. Ta ziemia była świadkiem, jak z dziecka stawała się dziewczynką, potem kobietą; Sidra miała nadzieję, że poczuje się tu jak na spotkaniu z bliskim przyjacielem.

Chata wyglądała tak samo, jak pamiętała, ojciec i brat pilnie wykonywali swoje obowiązki. Warzywnik wyglądał strasznie, nieuporządkowany i zachwaszczony; drzewa w sadzie ugięły się pod ciężarem owoców, owce nadal wędrowały po wzgórzach jak strzępki chmur. Jednak z bólem w sercu Sidra poczuła, że to miejsce nie było już dla niej domem.

Yirr zaskomlał obok niej.

Położyła mu rękę na łbie, ale on patrzył na owce, więc puściła go, żeby pobiegał. Sama przeszła przez furtkę i stanęła przy warzywniku, oglądając bałagan. Ukłękła.

Ziemia była wilgotna, suknia nasiąkała wodą, kiedy Sidra zaczęła wyrywać chwasty, oglądać je.

Chwast to tylko roślina, która wyrosła nie na swoim miejscu, powiedziała jej kiedyś babcia. Traktuj je życzliwie, nawet jeśli są uciążliwe, mogą stać się wiernym sprzymierzeńcem wśród duchów.

Sidra się uśmiechnęła. Chwast w jej ręku, z małymi białymi kwiatuskami, wyglądał pięknie. Nie знаła jego nazwy, więc schowała go do kieszeni, żeby później go zbadać.

Przesuwała się dalej, zbierając dojrzałe owoce, zrzucając gąsienice podgryzające liście. Ziemia wcisnęła się pod paznokcie, spódnica była ubłocona, a do Sidry powracały wspomnienia.

Przypomniła sobie, ile razy jej brat Irving zgubił się na wzgórzach, gdy był mały, a ona nie, nigdy, bo we włosy miała wplecione kwiaty, a w sercu ufność. Na szczytach czy w dolinach, zawsze czuła się bezpiecznie. Przypomniła sobie pory obfitości, kiedy ogród przynosił wielkie zbiory, a ona nigdy nie była głodna ani nie pragnęła jedzenia. Przypomniła sobie, jak Senga po raz pierwszy pozwoliła jej samodzielnie opatrzyć ranę, jak dzień po dniu rana zasklepią się pod troskliwą opieką Sidry, zupełnie jakby jej dłonie czyniły magię.

Wspomnienia zbliżały się do terażniejszości, chciała je odepchnąć, nie wracać do tego bólu, ale im głębiej wkładała ręce w ziemię, tym jaśniej płonęły myśli.

Przypomniła sobie, jak zjadła kwiat Orenny, jak otworzył jej oczy. Jak potem poszła na wzgórze i zobaczyła zgnieciony wrzos. Widziała, jak duchy płakały, kiedy upadła, i obejmowały ją, kiedy leżała nieprzytomna. Przypomniła sobie zdradzieckiego ducha jeziora i tego drugiego – płonąca smugę złota – który zmuszał ją, żeby wypłynęła, wybiła się na powierzchnię, wróciła do swojego czasu.

– Zawsze, kiedy czułam się samotna – wyszeptęła do ziemi – byłeś ze mną. A ja nie umiałam cię zobaczyć, ponieważ ból zmącił mój wzrok. Nie wiem, co zrobić z takim bólem. Nie wiem, jak go unieść.

Oddaj to ziemi, dziecko. Zdanie, które Senga mówiła do niej tak wiele razy...

Sidra wstała i się zachwiała. Szopa nadal stała w rogu podwórza, drzwi oblepione były pajęczynami. Weszła do środka: wszystko wyglądało

dokładnie tak jak wtedy, kiedy odeszła. Nasiona wciąż leżały w małym woreczku, wzięła garść i zaniósła z powrotem do ogrodu.

Ze złością wbijała palce w ziemię, a ta była dość silna, żeby znieść jej gniew, kiedy darła glinę. Oddała swoje *mogłaś walczyć mocniej* ziemi, paznokciami żłobiąc w niej bruzdy.

– Walczyłam tak mocno, jak tylko mogłam, i wciąż jestem silna – powiedziała.

Upuściła nasiona w bruzdy i oddała słowa *zawiodłaś Torina i Maisie*. Tych myśli trudniej było się pozbyć. Wciąż czekała i nie mogła wiedzieć, czy się doczeka. Czekala, aż Maisie wróci do domu, a to mogło nie nastąpić. Czekala, by się dowiedzieć, czy Torin kocha ją tak, jak ona kochała jego.

Smutek i żal uniosły się, ale ona patrzyła na upuszczone nasiona i myślała o ziemi, deszczu i czasie, które miały je przekształcić.

– W miłości nie ma porażki – powiedziała, zasypując bruzdy; żyzna gleba wchłonęła część jej smutku. – A ja kochałam bez miary.

Teraz jestem już uzdrowiona.

Klęczała, patrząc na obsiany rząd, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu.

Usłyszała, jak tylne drzwi chaty otworzyły się z hukiem, jej brat, Irving, wyszedł na zewnątrz, patrząc zdumiony na obcego psa, który zaganiał jego owce.

– Jest mój – powiedziała Sidra, a on drgnął i dopiero teraz zauważył ją klęczącą w ogrodzie.

– Sidra? – spytał Irving, mrużąc oczy.

Wiedziała, jak okropnie wygląda, przemoczona i ubłocona, z rozczochraną szopą włosów czarnych jak noc. Ostatni raz widzieli się lata temu.

– Byłam w dolinie i pomyślałam, że odwiedzę ciebie i ojca.

– Ojciec jest kilometry stąd, na pastwisku – powiedział Irving, zerkając na Yirra spode łba. – Wróci dopiero po zmierzchu.

– Rozumiem. – Sidra wstała. – W takim razie już sobie pójdę.

– Nie bądź niemądra. – Brat uśmiechnął się do niej łobuzersko. – Nie chcesz pomóc przy łuskaniu fasoli?



I tak oto znalazła się na tym samym krześle przy tym samym kuchennym stole, jak wtedy, gdy przyjechał Torin. W tej samej chacie, o tej samej porze dnia i porze roku. Brakowało jedynie słońca i jej babci. Ale Sidra mogła przymknąć na to oko, pomyśleć, że czas zatoczył koło, i to była ta sama chwila, w której Torin, ze zwichniętym barkiem, zapukał do jej drzwi. Chwila, która zmieniła ich oboje, a oni nic o tym nie wiedzieli.

W powietrzu znów zatrzeszczało, Sidra poczuła mrowienie w opuszkach palców, tak jak tamtego dnia, dawno temu, jakby przejeżdżała dłońmi po wełnie, po niewidzialnym splocie. Coś miało się zmienić, a ona nie wiedziała co, ale wyczuwała to w kościach.

Torin zapukał do drzwi tak jak zawsze, trzy razy, twardo i nagle.

Irving sapnął. Wyłuskał dwa razy mniej fasoli niż Sidra i już miał wstać, kiedy powiedziała:

– Ja otworzę.

Brat zaczął protestować, ale musiał zobaczyć w niej migotanie tej dziwnej energii, bo zamknął usta i opadł na ławkę.

Nie wstała jednak, a Torin zapukał jeszcze raz, mniej natarczywie.

Podeszła i otworzyła drzwi.

Torin wpatrywał się w nią długą chwilę – chwilę, która nie wymagała słów. Sidra usłyszała, jak ławka zaszurała o podłogę, gdy Irving spytał:

– Kto przyszedł? Torin?

– Tak – odpowiedziała po chwili, przypominając sobie, że jej mąż nadal jest pozbawiony głosu. – Czemu przyszedłeś? – zapytała go szeptem.

Torin wyciągnął do niej rękę w niemym zaproszeniu.

Wiedziała, że jeśli teraz przejdzie z nim przez próg, ta nieznana zmiana stanie się faktem. Przez chwilę obawiała się tego, bo przeczuwała, że droga czeka ją trudna i prowadzić będzie przez łyżę, ból w sercu, cierpliwość i bezbronność. Nie widziała, dokąd zmierza, ale nie chciała też pozostać w miejscu, w którym zaczęła, w stagnacji i bierności.

Ujęła jego dłoń i przeszła przez próg, zamykając za sobą drzwi.

Yirr leżał w kałuży błota i ział, zadowolony po bieganiu z owcami. Zerwał się i ruszył za Sidrą i Torinem przez wysoką trawę do sadu. Powietrze pachniało zapomnianymi, zgniłymi owocami, Sidra zatrzymała się pod konarami, wiatr poruszył jej włosy.

– Nie chciałam, żebyś się o mnie martwił – powiedziała. – Przyszłam do doliny na grób babci, chciałam zobaczyć dom. Wróciłabym długo przed zmierzchem.

Torin patrzył jej w oczy i dostrzegła w nich lęk. Chciał jej coś powiedzieć i poczuła jego frustrację, gdy otworzył usta, ale mógł tylko westchnąć. Zauważył ziemię pod jej paznokciami i chwast, który wysuwał główkę z kieszeni jej spódnicy.

Delikatnie położył dłoń na jej piersi i wiedziała, że chciał, by się otworzyła. Spuściła wzrok na trawę, zawahała się.

– Nie wiem, od czego zacząć, Torinie – odezwała się. To było takie dziwne, ciągle czekała, aż on coś powie, nie docierało do niej, że ta chwila należała w całości do niej. Podniosła na niego oczy pełne łez. – Jak na pewno już wiesz, zawsze mocno wierzyłam. Ale może nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak głęboko wiara wplotła się w moje życie – i że pękła, kiedy ten człowiek zabrał Maisie, kiedy uderzył mnie i cisnął we wrzosa, jakby moje życie nic nie znaczyło.

Torin ujął jej dłoń; jego ręka była tak ciepła, jakby płonął w nim ogień.

– Niemal każdej nocy, gdy starałam się zasnąć – mówiła dalej – powtarzałam sobie, *powinnaś walczyć mocniej. Powinnaś być silniejsza. Zawiodłaś i Torina, i Maisie. Zawiodłaś jako matka i jako żona, a teraz jeszcze jako uzdrowicielka. Co ci pozostało?* Uwierzyłam w te słowa. Zasiały we mnie tak wiele zwątpienia i bólu... Nie wiedziałam, jak je wykorzenić.

Torin wciągnął gwałtownie powietrze, popatrzyła na jego twarz i ujrzała udrękę. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją pobitą i zakrwawioną – jakby ktoś wbił w niego ostrze.

– Teraz wiem, że te słowa to kłamstwa – powiedziała i głos jej się załamał. – Wiem też, że nie może być słabości w żałobie, w smutku, czy nawet w złości. Ale zawsze chciałam dowieść, że jestem ciębie godna, a po stracie Maisie zaczęłam kwestionować wszystko, co wiedziałam o sobie. Kim byłam i kim jestem. Kim chcę się stać.

Zaczęła płakać, nie wstydząc się ani swoich łez, ani tego, jak dygotała. To było oczyszczenie i chciała, żeby popłynęło bez przeszkód.

Torin objął ją mocno, wcisnął twarz w jej włosy i czuła, jak jego pierś drży, kiedy płakał. Wspólnie opłakiwali dziecko, które stracili.

W końcu Sidra odchyliła się, żeby spojrzeć na jego moką twarz i zaczerwienione oczy.

– I wreszcie... – Otarła swoje policzki. – Ciężko mi to przyznać, ale już wiem, że zbudowałam swoje życie na czymś, co może mi być odebrane, i się boję. Niczego bardziej nie pragnę, niż żeby Maisie wróciła do nas do domu, a jednak nikt nie może tego obiecać. I co wtedy nam zostanie? Patrzymy na świat zupełnie inaczej i teraz nie wiem... nie wiem, czy jest w nim miejsce dla nas razem.

Torin oddychał teraz szybciej; wziął jej rękę i położył na swojej piersi, wsuwając jej dłoń pod zakłęcie tartanu, żeby mogła poczuć bicie jego serca. Ukazywał jej swą bezbronność. Stała z nim pod drzewami, zamknęła oczy i poczuła rytm jego życia.

Zaczął padać deszcz, delikatny szept płynął przez sad.

Torin oderwał jej dłoń od piersi, splótł ich palce, a ona wyczuła jego determinację. Chciał spróbować tego z nią, tylko we dwoje. Jeśli mieliby razem stworzyć swoje własne miejsce, chciał to zrobić. Torin oparł czoło o jej czoło i tak stali, dzieląc to samo powietrze, te same myśli.

Przesunął dłonią po jej policzku, lśniącym od kropel deszczu jak od łez.

Wróc ze mną do domu.

Skinęła.

Deszcz padał mocniej, gdy Torin szedł z nią na podwórze jej ojca, gdzie czekał koń. Pomógł jej wsiąść i sam siadł za nią.

Drogi w dolinie nabrzmiewały błotem, Torin prowadził ich ostrożnie przez wzgórze, Yirr biegł z tyłu. Gdy wrócili do swojej chaty, popołudnie przetopilo się już w wieczór, a na niebie nadal wisiła burza.

Oboje przemokli do suchej nitki.

Sidra weszła do izby. Nigdy nie pogodzi się z tym, jak tu pusto bez Maisie – zawsze czuła to najmocniej w chwili powrotu. Odchrząknęła, szukając czegoś do zrobienia, zastanawiając się, czy powinna najpierw rozpaścić ogień w palenisku, czy się przebrać. Nim zdążyła podjąć decyzję, poczuła na sobie uważny wzrok Torina.

Stał bez ruchu z lnianymi włosami przyklejonymi do czoła, a ona zrozumiała, że czeka na jej polecenie.

Podeszła do niego, obawiając się pożądania, które poczuła, dopóki nie zobaczyła tego samego na jego twarzy.

Palce Sidry powędrowały do broszy na jego ramieniu, odpięły ją. Tartan spłynął w dół pod jej dłońmi, a ona już znalazła sprzączki przy tunice, rozpięła jedną po drugiej. Zdjęła z niego pas, miecz i tunikę, nawet zabłocone buty, a on zrobił to samo z jej ubraniem, choć minęło już trochę czasu, odkąd ją rozbierał. Niecierpliwe dłonie zaplątały się we wstążki gorsetu i Torin zasapał sfrustrowany.

Sidra uśmiechnęła się i czuła w sobie taką lekkość, jakby to znów był ich pierwszy raz.

Zajęło jej chwilę poluzowanie supła, który zrobił, i ledwie zdążyła odsunąć palce, kiedy Torin ściągnął z niej suknię i koszulkę, rzucając jej ubrania na podłogę tuż obok swoich.

Przywarł do niej i wędrował palcami po jej skórze, jakby zapamiętywał każdą jej linię, każdą krągłość. Gdy krzyknęła cicho, jego usta pochwyciły ten dźwięk i spoczęły na jej ustach jak pieczęć. Smakowały deszczem i solą.

Zaniósł ją do łóżka.

Razem zapadli się w pościel; on całował jej szyję, dolinki obojczyków, a jego ciało, takie ciepłe, przynosiło pocieszenie i komfort. I może po raz pierwszy nigdzie się nie spieszył. Wiedziała, że miał niezliczoną ilość ważnych rzeczy do zrobienia, ale tej nocy wybrał ją.

Światło dnia dogasało. Sidra chłonęła zapach jego ciała – wełny i skóry, gliny, potu niekończącej się pracy i lekkiego podmuchu wiatru – i wydawał jej się taki znajomy i ukochany, jakby znalazła dom w najbardziej niespodziewanym miejscu.

Przyciągnęła go bliżej, głębiej, w pokoju panowała już ciemność, ale wciąż mogła dojrzeć jego twarz, zachwyt w oczach... Wkrótce potem nie widzieli już nic, ale czuli, oddychali i poruszali się jak jedno. Ich serca były szeroko otwarte i widziały wszystko, nawet w ciemności.



Obudziła się przed nim; przyśniła jej się dziwna ścieżka na wzgórzach i wiedziała, że teraz musi ją znaleźć. Zsunęła się cicho z łóżka, wzięła z szafy czyste ubrania. Torin miał kolejny koszmar tej nocy; nie wiedziała, co widział podczas snu, ale się martwiła.

Wzięła pusty koszyk, swój nożyk, włożyła tartan i wysokie buty; opuściła dom.

Światło przedświtu było mleczno-błękitne.

Wyszła z gospodarstwa na wzgórze i ruszyła błotnistą ścieżką, niepewna, dokąd zmierza. Odważyła się jednak zboczyć z drogi we wrzosi, głębokie po kolana, żeby znaleźć ścieżkę ze swoich snów. Szukała lekarstwa dla Torina.

Prawie przegapiła smugę kolcolistu, która kwitła przed nią jak nitka złota; przystanęła zdumiona. Przypomniała jej ścieżki oglądane w królestwie duchów, podążyła więc jej krętym szlakiem, ostrożnie, by nie zmiądzzyć kwiatów butami.

Wstęga doprowadziła ją do jaru, sunęła wzdłuż skalnej ściany i dotarła aż do wilczomleczka.

Łodygi rośliny były krótkie i czerwone, a ogniste płatki przywodziły na myśl kwitnące w zatoce anemony. Wilczomleczył słynął z tego, że mścił się na tych, którzy go rwali, powodując bolesne pęcherze na dłoniach śmiałków.

Stała wpatrzona w piękną, monstrualną roślinę, wypuściła z płuc powietrze i zaczęła wspinać się z koszykiem i nożem. Jednak kolcolist syczał i protestował i Sidra zrozumiała, jakiej zapłaty od niej zażądano – miała zerwać i zanieść wilczomleczył gołymi rękami. Porzuciła koszyk i nóż i wspinała się dalej.

Gdy już do dotarła do rośliny, bez wahania wyciągnęła rękę – ból poczuła od razu, jak tylko zacisnęła palce na pierwszym kwiatku. Krzyknęła, lecz nie puściła, ciągnęła, aż udało jej się oderwać kwiat; ból płonął, jasny, intensywny, jakby podpaliła dłoń. Dygocząc, chwyciła kolejny i nie mogąc się powstrzymać, znowu krzyknęła z bólu.

Jej ręce cierpiały za Torina, jej głos rozbrzmiewał donośnie, bo on stracił swój.

I jeśli uważała, że wie, jak głęboko sięgała jej miłość do niego, myliła się.

Docierała o wiele głębiej, niż sądziła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI



Kiedy następnego ranka Jack przybył do zamku z harfą w ręku, Adaira wiedziała, że jest gotów do gry. I niespodziewanie pokłócili się o duchy.

– Myślisz, że możemy im ufać? – zapytał Jack rozdrażniony, jakby coś go trapiło.

– Zaufaliśmy innym – odparła, patrząc na jego ściągnięte brwi. Wyglądał na zmęczonego; czy w ogóle spał tej nocy?

– Zgadza się. I za pierwszym razem prawie utonęliśmy, a za drugim omal stałem się trawą.

– Żadne duchy nie są bezpieczne. – Czuła, jak wzbiera w niej złość. – Zawsze istnieje ryzyko, że nas skrzywdzą lub oszukają. Czego innego możesz się spodziewać, tańcząc z żywiołem?

Nie odpowiedział, a jej irytacja osłabła.

– Nie chcesz zagrać dla wiatru, stary wrogu? Jeśli zmienisz zdanie... zrozumiem.

Opuścił ramiona, jakby się poddał.

– Oczywiście, że chcę.

Co się dzieje?, chciała go zapytać, ale odezwał się pierwszy.

– Masz rację. Po prostu jestem zmęczony. Chodźmy, póki mamy jeszcze dużo światła.

Poprowadziła go na zbocza Tilting Thom, najwyższego szczytu na wyspie. Droga w górę była wąska i stroma, ale według niej było to najlepsze miejsce, żeby śpiewać całym sercem dla wiatru. Szedł tuż za nią, słyszała jego ciężki oddech; odwróciła się i ujrzała strach na jego twarzy, gdy przy każdym kroku przywierał do skalnej ściany. Dopiero teraz pojęła, że Jack ma lęk wysokości.

– Czy to mądry wybór? – spytał. – Wiatr może nas zdmuchnąć z klifu.

– Mógłby – odpowiedziała. – Ale wierzę, że tego nie zrobi.

Spojrzał na nią, jego twarz była niepokojąco blada.

– Chodź. – Wyciągnęła do niego rękę. – Wkrótce zrozumiesz, dlaczego wybrałam to właśnie miejsce.

Jack ujął jej dłoń i pozwolił się prowadzić, ale dodał:

– Ale wiesz, Adairo, że powietrze w górach jest inne i to może wpłynąć na mój głos.

Nie wpadła na to i teraz już nie chciała się do tego przyznać. Odetchnęła, powietrze było ostre i zimne, smakowało drzewnym dymem, jałowcem i morską solą. Uśmiechnęła się do Jacka i prowadziła go dalej w górę ścieżki. Kiedy była młodsza, przychodziła tu bardzo często, zwykle sama, czasem z Torinem.

W połowie drogi na Tilting Thom dotarli do szerokiej półki, idealnej, żeby tam usiąść i podziwiać widoki. Za nią znajdowała się niewielka jaskinia w skalnych trzewiach góry, w której gromadziły się cienie. Jack puścił dłoń Adairy i zatrzymał się tuż przy wejściu do zagłębienia, jak najdalej od krawędzi.

Jednak Adaira stanęła na rozgrzanym słońcem gzymsie i powiedziała:

– Popatrz tylko, Jack. Co widzisz?

Podszedł niechętnie, stanął za jej plecami; czuła jego ciepło, gdy patrzył razem z nią.

Pod niskimi warstwami chmur wyspa rozpościerała się przed nimi plamami zieleni i brązu, z ciemnymi basenami jezior, srebrnymi żył-

kami rzek i niskimi murkami otaczającymi pastwiska, ze skupiskami domków, lasów i skał. Ten widok zawsze, nieodmiennie robił na Adairze wielkie wrażenie.

Jack już wiedział, dlaczego chciała przywołać duchy właśnie tutaj.

– Stąd widać Zachód – rzekł.

Widzieli to oboje – fragment zachodniej połowy wyspy. Chmury wisiały nad nią, niskie i gęste, osłaniając ją niczym tarcza, ale w kilku prześwitach mogli dojrzeć plamy brązu i zieleni. Serce Adairy przyspieszyło: gdzieś tam, pośród tych prześwitów, były Annabel, Catriona i Maisie.

– Przywołamy duchy, patrząc na Zachód – powiedziała. – Jesteś gotów?

Przytaknął, ale widziała, że targają nim rozterki i wątpliwości. Wiedziała, że był bardziej niż godny, by zagrać własną kompozycję dla żywiołów wyspy,

i miała nadzieję, że jego talent przebije się przez wahanie. Adaira już pokochała głęboki tembr jego głosu, zręczność palców, trącających struny.

– To twoja chwila, Jack – powiedziała. – Jesteś godny pieśni, którą śpiewasz, duchy to wiedzą i chętnie zgromadzą się u twoich stóp.

Skinął głową, wątpliwości go opuściły.

Jack wybrał sobie bezpieczne miejsce, z jaskinią tuż za plecami, usiadł i wyjął harfę. Słońce tańczyło na jego twarzy, a wiatr muskał mu włosy.

Adaira usiadła tuż obok niego, patrzyła na szklaną fiolkę w jego dłoni; odkorkował ją drżącymi palcami.

– Mam nadzieję, że to zadziała – mruknął. – Nie chciałbym wspinać się tu po raz drugi.

– Jeśli nie, sam wybierzesz miejsce na następny raz – obiecała.

Zerknął na nią z nieodgadnioną miną i nie wiedział, jak mocno biło jej serce, kiedy wkładał do ust kwiat Orenny.



W pierwszej chwili nie poczuł żadnej zmiany, jednak kiedy oparł harfę o lewe ramię i zaczął grać, poczuł moc w swoich rękach i zobaczył nuty w powietrzu – rozchodziły się złotymi pierścieniami szeroko wokół niego.

Teraz już nie bał się wysokości. Czuł pod sobą całą głębię góry, świadom wszystkiego, co żyło w obrębie szczytu, na jej skalistych zboczach i głęboko w jej sercu, pożyłkowanym jaskiniami. Wyczuwał obecność Adairy jak tańczący płomień i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

Przyglądała mu się uważnie; mógł zobaczyć własną muzykę, rozświetloną w jej oczach.

– Jak się czujesz, Jack?

Prawie się roześmiał.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

Dłonie już nie bolały, palce mogłyby grać całą wieczność.

Dał sobie jeszcze chwilę, by przywyknąć do tej gry bez wysiłku, obserwować, jak muzyka pieści bryzę; w końcu poczuł przemożną chęć dołączenia głosu do nut i rozpoczął swoją pieśń dla wiatru.

Śpiewał kolejne wersy, pewnie trącając struny. Śpiewał dla południowego wiatru z jego obietnicą obfitych zbiorów. Śpiewał do wschodniego, niosącego obietnicę siły w walce. Śpiewał dla zachodniego wiatru o uzdrowieniu i dla północnego o przebaczeniu.

Nuty wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały jak wzgórza daleko pod nim. I choć wiatr niósł jego muzykę i głos, duchy powietrza nie odpowiadały.

A jeśli nie przybędą?, zastanawiał się Jack z dreszczem niepokoju. Dostrzegł, że Adaira stoi.

Wiatr zdawał się czekać na jej ruch – chciał, żeby wyszła mu naprzeciw. Stała teraz mocno na skale, a Jack grał dalej, pod osłoną kwiatu Orenny. Dwa razy grał już dla duchów i dwa razy prawie zapominał, że jest człowiekiem, że nie należy do ich królestwa. Tym razem trzymał się mocno rzeczywistości i patrzył, jak duchy odpowiadają na wezwanie.

Południowy wiatr zjawił się jako pierwszy. Przybył z westchnieniem i ukazał się w postaci mężczyzn uformowanych z podmuchu i kobiet z ognistymi włosami – czerwonymi i bursztynowymi z pasemkami błękitu. Wielkie pierzaste skrzydła wyrastały z ich pleców niczym skrzydła ptaków, a każde ich uderzenie przynosiło podmuch ciepła i tęsknoty. Jack smakował nostalgię, którą przyniosły, pił ją jak słodko-gorzkie wino, jak wspomnienia ciepłych miesięcy sprzed lat.

Duchy wschodniego wiatru zjawiły się jako następne, w kłębach liści, z włosami jak roztopione złoto i skrzydłami jak skrzydła nietoperzy – długimi i spiczastymi, o barwie zmierzchu, niosącymi zapach deszczu.

Zachodni wiatr utkał się z szeptów. Włosy jego duchów miały barwę późnej nocy, były długie i obsypane gwiazdami. Skrzydła z księżycowym wzorem wydawały się pożyczone od ćmy, trzepotały miękko, wywołując zachwyty i strach, a powietrze migotało na ich brzegach jak sen, jakby w każdej chwili mogły się rozplątać. Pachniały dymem i goździkami, trzepotały w oczekiwaniu i nie mogły odlecieć, urzeczony muzyką Jacka.

Półowa duchów patrzyła na niego, zauroczona pieśnią, a półowa obserwowała Adairę wielkimi oczami, wypełnionymi światłem.

To ona, szeptały niektóre z nich.

Jack opuścił nutę i nadrobił to szybko, odsuwając niepokój na bok; jego paznokcie krzeszały iskry na mosiężnych strunach.

Ponownie zaśpiewał zwrotkę dla północnego wiatru.

Gdy najsilniejszy z wiatrów odpowiedział wreszcie na wezwanie Jacka, niebo pociemniało, a w oddali zadudniły grzmoty. A gdy wyłonił się z przędzy chmur i kłujących porywów, powietrze stało się lodowato zimne. Odpowiedział na muzykę, rozdzielając się na mężczyzn i kobiety o białych włosach, w strojach ze skóry z ogniwami srebrnych pajęczyn. Ich skrzydła były przejrzyste, pożyłkowane jak skrzydła ważki, we wszystkich kolorach, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Duchy przybyły niechętnie, patrzyły wyzywająco; ich oczy kłuły Jacka jak igły.

Zaniepokoiła go ich reakcja: niektóre syczały na niego przez ostre zęby, inne czały się, gotowe zadać śmiertelny cios.

Pieśń dobiegła końca, cisza spotęgowała grozę chwili. Adaira wciąż stała przed widownią wezwanych duchów, a Jack był oszołomiony ich widokiem, świadomością, że mknęły obok niego na Wschodzie, że czuł ich palce we włosach, ich pocałunki, gdy wykradały słowa z jego warg, niosły jego głos w swoich dłoniach.

Przyglądał się im. Niektóre wydawały się rozbawione, inne zszokowane. Niektóre się lękały, inne czuły złość.

I w chwili, gdy Adaira zrobiła krok do przodu, by błagać je o pomoc, rozstały się, robiąc miejsce dla jednego z nich. Jack widział nitki złota w powietrzu; czuł, jak skała drży pod nogami, patrzył, jak skrzydła wiatrów południa, wschodu i zachodu ścieśniają się, jak duchy drżą i kłaniają się temu, który szedł na spotkanie z Adairą.

Był wyższy i potężniejszy od pozostałych, skórę miał jasną, jakby wykuł sam siebie z chmur, miał skrzydła w kolorze krwi, żyłkowane srebrem, a włosy długie i srebrzyste jak księżyc. Jego twarz była piękna i przerażająca, w oczach płonął ogień. W ręku trzymał włócznię, na jej grocie wiły się błyskawice; jego głowę wieńczyła korona z gwiazd, a im dłużej stał, schwytny muzyką Jacka, tym bardziej ciemniało niebo, tym głębszy dreszcz wstrząsał górą.

To był Bane, król północnego wiatru. Jack słyszał o nim tylko w opowieściach dla dzieci, w starych legendach, przepelnionych strachem i czcią. Bane przynosił burze, śmierć, głód. Był wiatrem, z którym nie chciałbyś się spotkać. Bard wiedział, że to on dzierżył odpowiedzi, których szukali, to on zapieczętował usta innych duchów, aby ukryć przed nimi prawdę.

Bane dał znak, by Adaira podeszła, a ona posłuchała.

Serce Jacka przyspieszyło ze strachu.

– Podejdz, śmiertelniczko. Przebiegle skłoniłaś barda, żeby mnie wezwał, a więc podejdz i przemów do mnie, bo długo czekałem na tę chwilę.

Adaira zatrzymała się w bezpiecznej odległości od wiatru, bardzo blisko krawędzi. Czy gdyby spadła, wiatr by ją złapał, czy tylko patrzył, jak rozbija się na skałach daleko w dole?

Jack powoli opuścił harfę, zaciskając palce wokół ramy.

– Nazywam się Adaira Tamerlain – powiedziała. – Jestem dziedziczką Wschodu.

– Wiem, kim jesteś – rzekł Bane głosem głębokim i zimnym jak jeziora w dolinach. – Nie marnuj swoich słów, Adairo, muzyka barda nie przytrzyma mnie długo.

Zaczęła mówić o zaginionych dziewczynkach; Jack zauważył poruszenie wśród wschodnich i południowych wiatrów, jak zerkały na siebie rozbawione. Zachodnie wiatry pozostały czujne, ale ich smutek był niemal namacalny.

Jack wstał powoli, uderzony myślą, że on i Adaira są pionkami w grze znudzonych duchów, że bezwiednie zrealizowali misterny plan Bane'a.

– Czy winę za zaginięcia ponoszą Breccanie? – zapytała Adaira. Stała tam, wysoka i dumna, lecz jej głos brzmiał krucho. – Czy to oni wykradli dzieci?

Bane się uśmiechnął.

– Zuchwałe pytanie, ale tak, odpowiem. – Zawiesił głos, jakby chciał, żeby Adaira błagała, by mówił dalej; gdy tego nie zrobiła, zmrużył oczy. – Owszem, to Breccanie wykradli dzieci.

Oto potwierdzenie, którego potrzebowali!... Jack poczuł całą gamę emocji, które parzyły go niczym ogień i lód. Ulga i przerażenie, strach i ekscytacja...

– W takim razie muszę cię spytać, gdzie one są – powiedziała spokojnie. – Wędrujesz po Wschodzie i Zachodzie, na Południu i na Północy i widzisz wszystko to, czego ja nie mogę. Widziałeś, jak Breccanie wykradli dziewczynki z moich ziem. Gdzie je znajdę?

– Co zrobisz, jeśli powiem ci, gdzie są dzieci? – zapytał Bane. – Czy wypowiedz wojnę, Adairo? Będziesz szukać odwetu?

– Myślę, że znasz moje plany.

Północny wiatr uśmiechnął się do niej, jego zęby lśniły jak kosa.

– Dlaczego tak zależy ci na tych dzieciach? Nie są twoim ciałem i twoją krwią.

– Ale nadal są pod moją ochroną.

– A jeżeli wolą żyć na Zachodzie? Jeśli są szczęśliwsze u Breccan?

Zaskoczył ją. Jack wyczuł, że nie wie, jak odpowiedzieć. Jej temperament rozbłysnął.

– Najszczęśliwsze będą ze swoimi rodzinami w domu, tam gdzie ich miejsce. Dlatego zapytam cię ponownie, północny wietrze: gdzie Breccanie ukrywają dzieci Wschodu?

– Śmiertelne dzieci żyją i są pod dobrą opieką – odparł Bane. – A żeby je znaleźć, nie musiałaś mnie przywoływać: ktoś z twojego klanu wie, gdzie ich szukać.

Jack zrobił krok w stronę Adairy, Orenna pozwalała poruszać się ukradkiem, nie zwracając uwagi duchów, ale mimo to słyszał huk w uszach, czuł na skórze uderzenia setek skrzydeł.

Adaira uniosła rękę.

– Kto? – zapytała ostro. – Kto z mojego klanu mnie zdradził?

Bane oparł się na włóczni, owiewając jej twarz swoim burzliwym tchnieniem, i wtedy jego migotliwe oczy znalazły Jacka.

Jack zamarł, przesyty lodowatym chłodem północnego wiatru. Widział nici złota otaczające ciało Bane'a, wszystkie ścieżki, jakie duch mógł obrać w powietrzu, jego niewysłowioną moc. Inne duchy przy nim wydawały się mdłe.

– Ciemnooka tkaczka, która mieszka na skraju Wschodu. Ona wie, gdzie są dzieci.

Jack poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy; Bane mówił o Mirin.

– Próbujesz nas oszukać? – odpaliła Adaira z oburzeniem. Nie chciała w to uwierzyć, a Jack poczuł ulgę, że starała się bronić jego matki. – Jakie masz na to dowody?

– Czy duchy mogą kłamać, śmiertelniczko? – sparował. – Właśnie dlatego związałem języki moich poddanych: żeby nie zdradzili tej prawdy, nim nastanie jej czas.

Milczała. Wiedziała równie dobrze jak Jack, że duchy kłamać nie mogą. Mogły przenosić plotki i kłamstwa, które wygłaszali śmiertelnicy, ale same nie były w stanie zmyślać, nawet jeśli bawiły się w jakieś swoje gry.

Bane skupił się tylko na niej, wyciągnął rękę, by dotknąć twarzy Adairy, a ona nie stawiała oporu. Stała cicha i nieruchoma, niczym błysk światła w jego wielkim cieniu.

– Chcesz iść ze mną? – zapytał, wplątując palce w jej włosy i boleśnie ciągnąc. – Wezmę cię na ręce i zaniosę do tych dzieci już teraz. Pod warunkiem, że się na to odważysz.

Jack patrzył z przerażeniem, jak Adaira rozważa tę propozycję; jej zarysy bladły, jakby miała rozwiać się w powietrzu, i furia przepaliła w nim strach.

Z harfą przyciśniętą do piersi, w jednej chwili znalazł się przy Adairze i chwycił ją za ramię. Czy to właśnie czuła, gdy patrzyła, jak on staje się ziemią? Obląkańczy strach, oburzenie, pragnienie do bólu kości?

– Adaira! – Głos Jacka rozdarł powietrze.

Poczuł ulgę, gdy spojrzała przez ramię, napotkała jego spojrzenie. Szarpnął ją i zrobiła krok do tyłu; Orenna dała mu siłę, mógł ją wyrwać z lodowego uchwytu Bane'a.

Północny król znów spojrzał na niego; inne duchy rozplynęły się, rozwiały w łopocie skrzydeł. Serce Jacka dudniło, gdy widział tę ucieczkę, wycofały się, jednak ich król stał twardo. Bane wyplątał palce z włosów Adairy, wzrokiem świdrował barda.

Jack dygotał od stóp do głów, jego zęby dzwoniły; łopot skrzydeł dmuchnął w niego wiatrem, Bane dzierżył topór, chciał oddzielić go od Adairy. Jej włosy spadły na twarz, popatrzyła na Jacka i zobaczył, jak ją to boli, jak zaciska zęby i patrzy ogromnymi oczami.

– Pozwoliłem ci zagrać, śmiertelny bardzie, ale nie nadwyreżaj mojej łaski: nie waz się grać ponownie – zagrzmiął Bane i uniósł swoją włócznię, na której tańczyła błyskawica. Nawet wtedy Jack nie puścił Adairy.

Północny król wystrzelił w harfę Jacka bełt białego żaru; światło uderzyło go w pierś jak strzał bicia, wyrzucając go w górę i w tył. W jednej chwili stał przy Adairze – w drugiej wzleciał w powietrze i spadł.

Rąbnął w skałę przy wejściu do jaskini i osunął się na ziemię. Ból przeszył mu żyły, gdy próbował oddychać, próbował patrzeć; usłyszał ostatnią metaliczną nutę harfy, gdy umierała, spalona i zniszczona.

– Jack!!!

Jej głos dobiegł z daleka, ale dłonie były tuż przy nim, próbowały go podnieść.

– Adaira... – wyszeptał głucho. – Zostań przy mnie.

Słowa odebrały mu resztkę sił. Czuł, jak jej zimne palce splatają się z jego płonącymi, jak próbuje go zatrzymać, ale on już się osuwał, głęboko w ciemność, gdzie nawet wiatr nie mógłby dotrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI



Obudził go dźwięk deszczu. Otworzył oczy, próbując powoli zorientować się, gdzie jest. Leżał na twardej podłodze jaskini, powietrze było zimne, zmierzchowe. Poza jaskinią szalała burza; deszcz tłukł gniewnie o skały, Jack czuł mżawkę na twarzy, w powietrzu wciąż unosił się zapach piorunów. Wzdrygnął się i wtedy poczuł ciepło u swego boku.

– Jack...

Odwrócił twarz: Adaira leżała obok niego, patrząc z troską. Nadal widział niejasno; zebrał wszystkie siły, podniósł rękę i potarł dudniące skronie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał. – Na Zachodzie?

– Na Zachodzie? Nie, w jaskini na Tilting Thom. Spałeś wiele godzin.

Przełknął ślinę. W gardle utkwiała mu jakaś drzazga, darła każdy oddech. Jack miał wrażenie, że jest mocno ranny.

– Godziny? – Spojrzał na nią. – To dlaczego mnie nie zostawiłaś?

– Nie pamiętasz ostatniej rzeczy, którą powiedziałaś? Prosiłeś, bym przy tobie została.

Wspomnienia pulsowały, wypełniając umysł bólem. Pamiętał swoją pieśń. Pamiętał wiatry, ukazujące się im, i każde szalone słowo, które północny król mówił do Adairy. Strach, jaki go ogarnął, gdy zrozumiał, że mogłaby odejść z duchem. Uderzenie błyskawicą, które odrzuciło go jak szmacianą lalkę. Ciemność, która nastąpiła, a w niej sny, barwne, żywiołowe.

Zamrugał i zobaczył ślady tych snów, jakby Bane przycisnął kciuki do jego oczu, mnożąc w nich kolory.

– Myślisz, że mógłbyś usiąść? – zapytała go delikatnie Adaira, a gdy skinął głową, wzięła go za rękę i podniosła.

Zobaczył zasłonę deszczu w otworze jaskini i szare, mamiące światło. Ujrzał w tym świetle swoją nieszczęsną harfę, leżącą przy jego stopach.

– Tak mi przykro, Jack – szepnęła Adaira z żalem.

Odwrócił wzrok od zniszczonego instrumentu. Czuł się tak, jakby coś w nim umarło, złamało się, odeszło w zapomnienie; z trudem ukrył wzbierające w nim emocje.

Adaira spojrzała w bok. Jej rozpuszczone, spowite mgiełką włosy zasłaniały jej pół twarzy.

– Co myślisz o tym, co powiedział?

Jack przypomniał sobie tamte bolesne słowa. Oskarżenie Bane'a było tak dzikie, że Jack wyśmiałby je – ale teraz wiedział, że jego matka kochała Breccanina.

Nie sądził, by Mirin wiedziała, gdzie są dzieci, ale coś wiedziała na pewno i kryła swoją wiedzę przez lata, wplatając ją w tartany, które tkła jemu i Frae.

Spojrzał na Adairę. Była blada, zaciśnięte usta tworzyły cienką linię. Martwił się, że prawda może zerwać tę cienką więź, jaką stworzyli. Opowiadając o tym, o co podejrzewa Mirin, musiałby opowiedzieć również o swoim ojcu.

– Wiatr mógł nas omamić – rzekł. – Lecz bez względu na wszystko proszę cię o jedno, Adairo.

Spojrzała na niego.

– O co tylko chcesz, Jack.

– Pozwól mi najpierw porozmawiać z matką. W cztery oczy. Jeśli coś wie, powinna odpowiedzieć mi szczerze.

Adaira nie odpowiedziała i Jack wiedział czemu: chciała iść stąd prosto do Mirin, uzyskać odpowiedzi jeszcze dziś. Jednak w końcu przytaknęła i wyszeptała:

– Masz moją zgodę.

Siedzieli jeszcze chwilę w milczeniu, dopóki nie wstrząsnęło nimi uderzenie chłodu. Burza wybuchła mocniej, deszcz chlustał w głąb jaskini, krople kłuły jak igły. W podmuchu wiatru rozległ się głos, dźwięk nieszczęścia, cichy okrzyk, niczym ostatni dech. Gdzieś na wyspie zgasło czyjeś życie, zdmuchnięte morderczą mocą północnego wiatru. Jack słuchał i włosy zjeżyły mu się na karku.

Adaira też musiała to słyszeć, bo wstała i patrzyła w burzę.

– Dasz radę zejść na dół? Martwię się, że nie było mnie zbyt długo.

Przytaknął i pomogła mu wstać. Świat wirował przez chwilę, Jack oparł się o ścianę jaskini. Patrzył, jak Adaira klęka i wsuwa jego harfę do futerału, zakłada go na plecy. Gdy wróciła do niego i podała mu rękę, przyjął pomoc.

Wsparł się na niej i razem podeszli do wyjścia; Adaira zatrzymała się przed strugami deszczu i spytała:

– Dlaczego po przebudzeniu spytałeś mnie, czy jesteśmy na Zachodzie?

Nagle znienawidził to, że zupełnie nie wiedział, co ona myśli. Czy podejrzewa go teraz, kiedy Bane rzucił między nich imię Mirin jak sidła?

Gdy jego ciało było z Adairą na Wschodzie, jego umysł przemierzał Zachód.

– Bo widziałem to w moich snach.



Szli wolno i ostrożnie, deszcz lał jak z cebra. Adaira trzymała Jacka po lewej, od strony ściany; bała się, że jeśli on się potknie, nie zdoła go utrzymać przed upadkiem za krawędź ścieżki. Rozgniewali północny wiatr i teraz Bane kazał im za to zapłacić. Kiedy walczył, by utrzymać się w pionie, gdy osuwał się z jękiem na kolana, była tuż obok. Nie chciała oddać go burzy, nie chciała go zostawić, by iść szybciej bez niego.

– Jestem z tobą – powiedziała, niepewna, czy Jack słyszy ją przez huk grzmotów i wycie wichru. – Nie zostawię cię. – A on wstawał, podnosiła go i szli dalej, a potem znów osuwał się na kolana, gdy siły słabły.

W jego brązowych włosach pojawia się odrobina srebra, lśniło przy lewej skroni, jakby w ciągu tego jednego dnia postarzał się o całe lata. Nie wiedziała, czy to wina muzyki, czy króla wiatrów; martwiła się. Nie mówiła, że na pewno uda im się wrócić na dół, bo nie wiedziała. Każda chwila wydawała się długa i mozolna, Adaira nie mogła pozbyć się chłodu, który wsączył się w nią w jaskini. Ulga prawie ją obezwładniła, gdy skalna ścieżka ustąpiła miejsca trawie i stanęli na płaskiej ziemi.

Pospieszyła z Jackiem do miejsca, w którym zostawili konie; serce waliło jej w piersi młotem, przerażona z trudem łapała oddech, a wiatr nie pomagał, szalejąc i przeszkadzając im na każdym kroku. Niemal krzyknęła ze złości, gdy zobaczyła, że ich konie spłoszyła burza.

– Zostaw mnie tutaj – jęknął Jack, wyczerpany, wisząc na niej. – Nie będę cię spowalniał...

– Nie, nie zostawię cię. Chodź, jeszcze tylko trochę.

Pociągnęła go w stronę drogi i właśnie pokonali wzgórze, gdy w mgiełce deszczu dojrzała zbliżające się sylwetki – strażnicy przemierzali wzgórze, szukali jej. Adaira przystanęła, czekała, aż któryś z nich zobaczy ją i Jacka.

Torin dopadł ich pierwszy; rozgniewany, ściągnął wodze i zatrzymał konia. Zsiadł szybko, mocno chwycił ją za ramię i potrząsnął.

Nadal nie mógł mówić, ale nie musiał. Deszcz spływał mu po twarzy, włosy złotymi nićmi przywierały do czoła, błoto oblepiło mu szaty. Był zły.

Nie powiedziała mu, gdzie planują zagrać dla wiatru; nie sądziła, że zajmie to tyle czasu i zakończy się straszną burzą.

Wszystko poszło nie tak, a jej brakowało już sił.

– Torin. – Adaira z trudem rozpoznała swój głos. – Torin, mój ojciec... – Nie umiała dokończyć. Patrzyła, jak jej kuzyn zmienia się na twarzy, jak furię zastąpił smutek. I wiedziała. Czowała to już w jaskini, słyszała w burzy. Przejście życia w śmierć, zemsta wiatru północy – ale teraz czekała, aż Torin to potwierdzi.

Przyciągnął ją i objął, trzymał mocno przy sobie.

Adaira zamknęła oczy, przywierając policzkiem do strażniczego tartanu.

Wiedziała już, że jej ojciec umarł.



Laird Alastair został złożony obok swojej żony i trójki dzieci na zamkowym cmentarzu, w nieubłaganym deszczu, wśród grzmotów i błyskawic. W klanie zapanował smutek, życie społeczności zastygło. Za to burza nie ustawała i drogi stały się strumieniami, zatopiło kilka niskich pastwisk.

Torin patrzył na to wszystko w milczeniu.

Patrzył, jak jego wuj zostaje pochowany w rozmokłej ziemi. Patrzył, jak Adaira stoi na cmentarzu, przemoczona, a jej oczy zdają się martwe. Klan zebrał się wokół niej; Torin nie słyszał, co mówiono, ale widział, jak Elliotowie podchodzą do niej z zapłakanymi twarzami. Jak Una i Ailsa ją przytulają. Jak Mirin trzyma Adairę za rękę, a Frae obejmuje ją w talii.

Odkąd stracił głos, zauważał rzeczy, które wcześniej mu umykały. Chwasty w ich ogrodzie, to, jak trudno ugotować owsiankę, pustkę w domu, gdy nie

było Sidry i Maisie, teraz północną burzę grasującą po Wschodzie, będącą pokazem siły i ostrzeżeniem. Torin czuł w kościach strach przed północnym wiatrem, wiedział, że muzyka Jacka musiała rzucić wyzwanie królowi.

Godzinę później Torin zastał kuzynkę w bibliotece. Ścisnęła filiżankę herbaty, jakby nadal nie mogła się ogrzać; na palcu wskazującym błyszczał sygnet lairda. Włosy miała jeszcze wilgotne, ale już przebrała się w suche rzeczy i siedziała w ulubionym fotelu Alastaira, twarzą do ognia na kominku.

Torin zamknął drzwi, nie odrywając od niej wzroku; usłyszała, że wszedł, ale nie odezwała się, wciąż patrzyła w płomienie.

Podszedł bliżej i usiadł obok niej. Słuchał łoskotu burzy za oknami, spojrzał na swoją rękę. Rana, która odebrała mu głos, prawie się zagoiła, dzięki samozaparciu Sidry i wilczomleczeni. Stosowała go trzy razy dziennie i za każdym razem czuł, jak ciepło maści wsącza się w rozcięcie, zamykając je milimetr po milimetrze.

Wkrótce znów będzie mógł mówić – ale co wtedy powie?

Spojrzał na kuzynkę – udręczoną, smutną, przygniecioną brzemieniem – i nie mógł tego znieść. Kiedyś próbowałby ją od tego uwolnić, lecz teraz była lairdess i najlepsze, co mógł zrobić, to nieść ten ciężar z nią.

Siedział razem z nią w tej delikatnej ciszy.

Gdyby jego życie nie zostało nagle zatrzymane przez cięcie zakłętego ostrza, na pewno by przemówił, na pewno gniewałby się, zastanawiał, co Adaira z Jackiem zrobili, że ściągnęli burzę, dlaczego nie mówiła, co takiego powiedziały im duchy wiatru. Zasypałby ją pytaniami i żądał odpowiedzi. Mówiłby to wszystko, żeby wypełnić tę głośną ciszę – ale teraz był już mądrzejszy i rozumiał więcej. Wagę każdego słowa, które wygłosił, to, jak rozpływały się w powietrzu. Większość z nich była bez wartości i teraz miał to na uwadze.

Żałował wielu rzeczy w swoim życiu i nie chciał, żeby było ich więcej.

– Torinie... – przemówiła w końcu Adaira. – Jeśli zawezwę cię, żebyś ruszył ze mną na wojnę... Poprzesz moją decyzję?

Zawahał się. Spodziewała się, że zgodzi się natychmiast; Adaira spoglądała na niego, drżąc z niepokoju.

Myślał o duchach ze swoich snów. Widział je każdej nocy – wszystkich tych Breccan, których zabił. Rodziny, które po sobie zostawili. Teraz, gdy oglądał ich twarze i słuchał ich lamentów, wymianę między klanami

postrzegął jako możliwość odpokutowania za swoje czyny. Nie mógł przywrócić im życia, ale mógł sprawić, że wdowy, sieroty i kochankowie znajdą się pod opieką.

I mimo to skinął Adairze głową, nawet jeśli miały nim sprzeczne uczucia.

– Bane potwierdził nasze podejrzania: to Breccanie wykradli dzieci – oznajmiła Adaira. – Dziewczynki żyją i są pod dobrą opieką, ale wciąż nie wiemy, gdzie są przetrzymywane.

Torin zacisnął pięści. Chciałby ruszyć w tej chwili, przekroczyć granicę klanu i sprowadzić Maisie do domu; z trudem nad sobą zapanował.

Adaira musiała wyczuć tę niecierpliwość.

– Jest jeszcze kilka rzeczy, które muszę zrobić, zanim będziemy mogli zakraść się na Zachód i odnaleźć nasze dziewczynki – powiedziała, a serce Torina przyspieszyło. – Poproszę twojego zastępcę, żeby zlecił Unie wykucie tylu mieczy i toporów, ile tylko zdoła przygotować w tajemnicy. I żeby poprosił Ailsę o przygotowanie najlepszych koni, Ansel o strzały i cisowe łuki, a Sidrę o toniki i lecznicze okłady. Wszyscy strażnicy mają trenować, ostrzyć swoje miecze i nosić zaczarowane tartany tak jak zbroje. Musimy szykować się na konflikt, kiedy sprowadzimy dzieci do domu.

Skinął jeszcze raz. Zgadzał się z nią. Musiał być cierpliwy i zaufać osądowi Adairy.

Siedział jeszcze przez chwilę; w jego umyśle wirowały obrazy Maisie. Miał ją odzyskać po to, żeby wszcząć wojnę.



– Co ci się stało w dłonie? – spytał Jack.

Sidra szykowała dla niego tonik. Przez ostatnie dwa dni bardzo wyglądał bardzo źle: blada skóra, przekrwione oczy, schrypnięty głos, drżące dłonie. Siedział w swoim łóżku w zamku, obserwując jej pracę.

Martwiła się o niego i tę potężną magię, którą czynił i za którą tak dużo płacił. Nie powinien robić tego tak często; Sidra zastanawiała się, jak mu to powiedzieć.

– Zbierałam mściwą roślinę – wyjaśniła. Poparzenia i pęcherze na jej dłoniach goiły się powoli, za to rana Torina została już prawie wyleczona. Napotkała spojrzenie Jacka i podniosła do jego ust leczniczy napar. – Masz,

wypij wszystko. Tym razem za bardzo się forsowałeś, Jack. Musisz uważać na to, o czym mówiłam: jak długo władasz magią i jak bardzo jest ona zawiła. Musisz też pozwolić sobie na dłuższy odpoczynek, tak jak robi to twoja mama ze swoimi splotami.

Jack jęknął na to upomnienie.

– Wiem... Ale widzisz, nie miałem zbyt dużego wyboru.

Nie wiedziała, co miał na myśli, a on nic więcej nie powiedział; upił łyk lekarstwa i się skrzywił.

– Przepraszam. – Sidra opuściła kubek. – Wiem, że jest gorzkie.

– Gorsze paskudztwa piłem na kontynencie – odparł, a ją ucieszył humor w jego głosie.

– Tęsknisz za tym życiem? – spytała.

Zamyślił się, a ona martwiła się, że go uraziła, póki nie powiedział:

– Nie. Tęskniłem, gdy wróciłem na Cadence, ale to wyspa jest moim domem.

Uśmiechnęła się i zastanawiała, czy bard zostanie już na zawsze mężem Adairy... Pomyślała, że tak. Zostawiła mu maść i tonik na później, a wtedy ją zaskoczył:

– Co wiesz o Banie, Sidro?

Spojrzała w okno, burza nadal wyła za szybą.

– O królu północnego wiatru? Obawiam się, że niewiele, poza tym, że trzeba przygotować się na najgorsze, gdy zacznie wiać.

Jack milczał, a Sidra, pakując koszyk, przypomniała sobie historię, którą często opowiadała jej babcia.

– Wiem niewiele... – zaczęła. – Ale jedna z moich ulubionych legend pochodzi z czasów sprzed jego panowania, gdy na wyspie królowały duchy ognia.

– Opowiedz mi ją – poprosił łagodnie Jack.

Sidra siadła na stołku obok łóżka.

– Nim Bane doszedł do władzy na północy, a granica klanów podzieliła wyspę na Wschód i Zachód, Ash był uwielbianym władcą ognia. Był hojny i ciepły, pełen światła i dobroci i podlegały mu wszystkie duchy, nawet duchy wiatru, wody oraz ziemi. Wszystkie z wyjątkiem jednego: Ream, Pani Morza,

zawsze go nienawidziła. Ją tworzyły przypyływy, a jego iskry, i zawsze, gdy się spotykali, groziło to katastrofą.

Pewnego dnia Ash odkrył, że ktoś z jego dworu podpalił starożytny gaj; ogień pożerał drzewa i znajdujące się w nich ziemskie duchy. Zrozpaczony udał się na brzeg, tam, gdzie Ream mieszkała w morskiej pianie, i wezwał ją na pomoc. Jednak ona najpierw chciała zobaczyć go na kolanach, gotowego poddać się wodzie. Ash zrobił to bez wahania, choć wiedział, co z tego wyniknie: ukląkł przed nią i pozwolił, by fala go obmyła. Znaczna część jego mocy przemieniła się w dym i opuściła go, ale wciąż klęczał mimo bólu, jaki zadawała mu woda.

Kiedy Ream zobaczyła odporność swego wroga, jej szacunek wzrósł i wezwała swoich rzecznych towarzyszy, by powstali i zalali płonący gaj. Ugasiła pożar, zaś Ash wycofał się do swojego miejsca na niebie. Do tej pory panował nad słońcem za dnia, ale teraz był tak słaby, że musiał wybrać noc, gdzie jego stłumiony ogień mógł płonąć wśród konstelacji, a rządy nad słońcem i światłem dziennym przejęła Cinder, jego siostra bliźniaczka.

Zaś Ream, która od wieków nienawidziła ognia, zaczęła dostrzegać jego piękno i chciała, żeby płonął stale, nawet gdy zostaje z niego jedynie żar. To dlatego morze jest często tak łagodne w nocy: ogień gwiazd i księżycy kładzie się na falach, a Ream pamięta, jak jej dawny wróg stał się jej przyjacielem.

Na twarzy zasłuchanego Jacka rozlał się uśmiech, na policzki wrócił rumieniec.

– Rozumiem, że gdy Ash stracił swoją moc, Bane powstał, by zająć jego miejsce?

– Tak. – Sidra wstała. – Choć myślę, że musiało upłynąć wiele lat, nim północny wiatr stał się zagrożeniem. Babcia mówiła, że przez pewien czas wszystkie duchy były równe, co odzwierciedlało się w równowadze panującej na wyspie.

– Ciekawe, jakie to uczucie...

Sidra pomyślała o tym samym. Jak wyglądałaby zjednoczona Cadence? Czy to w ogóle było możliwe?

Teraz już tego nie wiedziała i zrobiło jej się jeszcze smutniej.

Nakazała Jackowi pozostanie w łóżku i odpoczynek i sama udała się do następnego pacjenta.

Gdy skończyła obchód, zrobiło się późno, a ją dopadło zmęczenie. Wyszła na dziedziniec, z ulgą witając koniec burzy: powietrze było chłodne i spokojne, nieliczne gwiazdy świeciły przez smugi chmur, kamienie były śliskie od deszczu. Sidra nastawiła się na powrót do domu po ciemku.

Zbliżała się do bramy, kiedy rozpoznała Torina w świetle latarni. Stał przy swoim wierzchowcu i patrzył na nią, gdy szła w jego stronę.

Prawie zapytała go, co tu robi – tak rzadko widywała go stojącego beczynn timer – ale wtedy on wziął jej koszyk i podstawił kolano, żeby pomóc jej wsiąść na konia.

Wstrząśnięta zrozumiała, że czekał, by ją zabrać do domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY



Torinowi znów śniła się krew.

Pierwszy zwiadowca Breccan na jego służbie, Torin zabił go cztery lata temu, długim cięciem w gardło.

Zabójcza rana nadal była, rozcinała szyję mężczyzny, ale on tego nie zauważał, nie czuł, że jego życie dobiega końca. Krew spływała po niebieskim tartanie, a Breccanin patrzył na Torina.

– Czy wobec tego zajmiesz się nimi? – rzekł i jego głos brzmiał jasno pomimo rozciętych strun głosowych.

– Kim? – spytał Torin, wpatrzony w dzieło swoich rąk. Rana wywołała obrzydzenie, Torin sięgnął po miecz, ale nie znalazł go przy boku.

– Żoną i córkami – wyszeptał Breccanin i nagle wszystkie te osoby zjawiły się wokół niego. Kobieta o jasnych, posiwiałych włosach, zapadniętej twarzy, jakby głodowała, trzy małe dziewczynki z włosami w kolorze lnu, miedzi i miodu. Wszystkie zaczęły szlochać na widok krwi i rany, kobieta przypadła do męża, próbowała palcami zamknąć rozcięcie.

– Będą głodne tej zimy, kiedy powieje północny wiatr i nadejdzie lód. – Głos Breccanina zachrypł, już dogasał. – Będą głodować, jeśli ich nie nakarmisz, Torinie.

Rozsypał się w popiół, przelatując przez palce swojej żony. Jego córki rozszlochały się jeszcze bardziej.

– Tatusiu! Tato!

Trzy głosy wbiły się w Torina jak trzy ostrza. Potrzebował uzdrowicielki, szukał wzrokiem Sidry we mgle.

– Sidra? – zawołał, ale nie było odpowiedzi. Pojął, że miał w sobie rany, które sam musiał uleczyć, i popatrzył zgnębiony na swoje dłonie. Pomyślał o tym, co niedawno mu powiedziała: *Co wybierzesz dla swoich rąk, Torin?* Jego oczy napełniły się ze łzami. – Sidra – powiedział żalobnym, pełnym

wstydu głosem, jego serce płakało. – *Sidra* – powtórzył i obudził się, a dźwięk jej imienia wyrwał się z jego ust, przerywając ciemność i milczenie.

Leżał w łóżku, wstrząśnięty i zlany potem; było tuż przed świtem, najzimniejsza i najsamotniejsza godzina. Torin znał ją aż za dobrze.

Spróbował jeszcze raz szepnąć jej imię; głos, dawno nieużywany, brzmiał ochryple.

– Sidra?

Zbudziła się.

Siadła na łóżku, dysząc ciężko, jakby i ją dręczył straszny sen.

– Torin?

Zsunął się z łóżka i poszedł do izby, czując Sidrę za sobą. Zapaliła świecę i patrzyli na siebie w tym słabym świetle.

Torin, nadal drżąc, usiadł przy stole; przejechał dłońmi po twarzy.

– Muszę ci coś wyznać, Sid.

Wyczuł jej lęk, gdy szepnęła:

– Chcesz, żebym najpierw zaparzyła herbatę?

– Nie. Chodź do mnie, proszę.

Odstawiła świecę i patrzyła nieufnie szeroko otwartymi oczami. Stała pół metra od niego, koszulka zsuwała się jej z ramienia.

Nie mógł znieść tej odległości, wyciągnął ręce, położył dłonie na jej talii. Tak bardzo pragnął schować w niej twarz, ukryć się; powstrzymał się, nawet gdy zrobiła jeszcze jeden krok i stanęła pomiędzy jego kolanami.

– Popełniłem w życiu wiele błędów – zaczął. – Ale nie chcę pozwolić, żeby teraz mnie pokonały. Nigdy ci tego nie powiedziałem i nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo pragnę mówić ci tę prawdę przy każdym wschodzie i zachodzie słońca, dopóki nie straciłem głosu – Urwał. Zaszło mu w gardle i pragnął móc się jej napić. – Kocham cię, Sidro, i moja miłość do ciebie nie zna granic.

Nic nie mówiła, ale dotknęła jego włosów i ten czuły gest napełnił jego oczy łzami.

– Mówiłem ci, z czym się zmagam – kontynuował. – I ciągle pamiętam naszą ostatnią rozmowę. Byłem zły z powodu wymiany i pokoju, do którego dążyła Adaira. Byłem zły, bo przez nią czułem się winny tego wszystkiego, co

zrobiłem. Kiedy powiedziałaś mi, że leczyłabyś ранego Breccanina... wybuchł we mnie protest, z którym nie umiałem sobie poradzić. Widziałem tylko terror najazdów, które odpierałem, myślałem o nocach, które oddałem bezpieczeństwu na Wschodzie zamiast tobie. Czułem ból w moich starych ranach. Dlatego nie mogłem widzieć, że masz rację. Ty umiesz dostrzec w naszych wrogach ludzi w potrzebie – widzisz więcej niż ja, Sidro. I dlatego przepraszam. Przepraszam za to, co powiedziałem ci tamtego dnia, i przepraszam, że nie słuchałem, kiedy mówiłaś.

– Torin... – powiedziała bez tchu.

Czekał, co jeszcze powie, i czuł, jak serce mu się zapada. Delikatnie posadził ją sobie na kolanach, jej oczy znalazły się na wysokości jego własnych, a ich oddechy się zmieszały.

– Kiedyś – zaczęła miękko – przyglądałam się Maisie i myślałam, kim się stanie za pięć, dziesięć, trzydzieści, pięćdziesiąt lat. Myślałam o tym, jak będzie wyglądało jej życie na naszej Cadence. Myślałam o dziedzictwie, które jej przekażę. Czy będzie czuła strach i nienawiść, to, czego nas uczono, to, co my zasialiśmy w niej? A może będzie współczuć? Może zechce słuchać, uczyć się i zmieniać?

– Chcę dla Maisie życia, które będzie lepsze niż moje własne – zgodził się Torin, jakby ich córka spała w drugim pokoju. – Chcę się zmienić. Ale moje kości są stare, serce samolubne, a duch zmęczony. Patrzę na siebie i spoglądam na ciebie, i widzę dwa różne marzenia. Ja jestem śmiercią. A ty, Sidro... – Dotknął jej twarzy tak delikatnie, jakby mogła się rozwiać pod jego palcami. – Ty jesteś życiem.

Zamknęła oczy, przyjmując jego pieśczętę, a kiedy odsunął dłoń, popatrzyła na niego i wyszeptała:

– Czy to znaczy, że nie możemy istnieć jako jedno?

Czekał na to pytanie. Pragnął jej odpowiedzieć jeszcze tam, w sadzie, kiedy mówiła o tym, jak są różni.

– Nie – rzekł. – To znaczy, że bez ciebie jestem niczym.

Zadrżała, a jego dłonie znalazły się na jej biodrach; kusił go, by przyciągnąć ją bliżej. Ale wciąż miał jeszcze dużo do powiedzenia.

– Powiedziałaś mi, że czujesz się tak, jakbyś zawiodła mnie i Maisie. – Ścisnęła mu się krtań. – To nieprawda. Nigdy nie zawiodłaś ani mnie, ani naszej córki. Wiem, że teraz wszystko się zmieniło, i chcę, żebyś wiedziała:

jesteś wolna i możesz wybrać to, czego pragniesz. Jeśli zechcesz pójść własną drogą, to uznam nasze śluby za zerwane i pozwolę ci odejść. Ale jeśli w twoim sercu jest miejsce dla mnie... Czy zostaniesz ze mną?

Sidra położyła dłonie na jego twarzy; jej oczy lśniły jak rosa, a głos był ciepły niczym letnia noc.

– Tak – szepnęła.

Schylił głowę i pocałował pęcherze na jej dłoniach. Ból, który przyjęła za niego, przesywał go do głębi duszy.

Byli ze sobą, gdy świt wkradł się w okna. Torin trzymał Sidrę w tym lawendowym świetle, sunął dłońmi po jej nagich plecach, śledził łagodny spadek jej ramion.

Nie potrafił opisać tego, co do niej czuł, ale ta potęga mogłaby rozerwać mu kości, otworzyć go i obnażyć. Wciąż miał w sobie miejsca, których się wstydził, nie był gotów pokazać jej swych najgłębszych mroków, pozwolić, by dotknęła skrwawionych dłoni... I wtedy otworzył oczy, i ujrzął ją, zobaczył, jak jest z nim połączona, z jego teraźniejszością, z jego bólem, z jego przeszłością. Jak chciała spleść z nim swój własny los.

– Torin... – wyszeptała; czarne włosy rozsypały się na ramionach, gdy się poruszała.

– Sidra...

I nigdy żaden dźwięk nie wydawał się słodszy.



Jack martwił się, że jeśli dzisiaj nie porozmawia z Mirin, Adaira zrobi to za niego. Obudził się z bólem głowy, ale najgorsze dolegliwości już ustąpiły. Przemył twarz i ubrał się, włożył tartan pomarszczony po ulewie na szczycie. W wełnie pojawiła się dziura, jak gdyby tajemnica ukryta we wzorze szybko się ujawniała; Jack poczuł się nieswojo. Założył tartan na siebie tak, żeby ujawnić zniszczenia; Mirin od razu zobaczy, co się stało, i zrozumie, dlaczego musiał z nią porozmawiać.

Spakował zniszczoną harfę i zarzucił ją sobie na plecy. Nie wiedział, co zrobić z instrumentem, ale nie chciał, żeby leżał przy nim niczym wyrzut sumienia. Jego znajomy ciężar niósł pocieszenie, a choć uszkodzony, nadal był jak tarcza; Jack czuł się teraz gotowy na wszystko, co mógł przynieść ten dzień.

Adairę zastał w bibliotece; siedziała przy biurku ojca, przed nią leżały książki i papiery, mnóstwo połamanych piór. Na jej dłoni błyszczał sygnet ojca, spostrzegł go od razu, bo Adaira rzadko nosiła biżuterię, tylko na jej szyi wisiała połówka złotej monety.

Wyglądało na to, że nie spała; zatrzymał się, niepewny, co powiedzieć. Ostatnie dwie noce spędził na zamku i nie tylko dlatego, że Sidra mu nakazała – chciał być blisko Adairy. Wysłał strażnika, żeby strzegł Frae i Mirin zamiast niego; nie chciał ryzykować.

– Wyglądasz lepiej – zauważyła Adaira, przesuwając po nim wzrokiem. Spostrzegła harfę, ale nie skomentowała. – Idziesz rozmawiać z Mirin?

Skinął głową i widział, jak wrze w jej umyśle. Chciała ściągnąć dzieci do domu. Przełożona z powodu śmierci Alastaira wymiana z Innes miała odbyć się jutro – kwiat Orenny powinni mieć przed wieczorem, wtedy też powinni znać miejsce przetrzymywania dziewczynek.

– Poślę po ciebie, gdy już skończę – powiedział.

– Dobrze. Dziękuję – odparła i wróciła do papierów.

Jack przyglądał jej się przez chwilę. Prawie nie rozmawiali od śmierci lairda; Jack chciał zagrać lament w sali po pogrzebie, żeby pocieszyć klan, ale był zbyt chory. Chciał przejść nocą do komnaty Adairy, być z nią w smutku, ale za bardzo się niepokoił, żeby wejść tam bez zaproszenia.

W końcu jedynie leżał w swoim łóżku i wmuszał w siebie toniki Sidry w nadziei, że mu pomogą.

Adaira nie podniosła wzroku znad biurka, a on wyszedł, kierując się prosto do stajni, gdzie poprosił o najłagodniejszego konia i powolnym kłusem udał się do matki.

Przywitała go w drzwiach, jakby wiedziała, że do niej przyjdzie.

– Nie potrzebujemy tu straży w nocy, Jack – powiedziała. – Choć doceniam.

Jack zsiadł z konia i szedł przez podwórko.

Nie chciał prowadzić z nią tej rozmowy – to były ostatnie chwile jego niewiedzy. Gdy minuty przerodzą się w godzinę, pozna prawdę o swoim pochodzeniu i o tym, co zrobiła jego matka, a to go zmieni.

– Muszę porozmawiać z tobą bardzo poważnie, mamó – powiedział.

Czoło Mirin przecięła bruzda, gdy spostrzegła zniszczony tartan, wydobytą z niego tajemnicę. Przesunęła wzrokiem po twarzy Jacka. Chyba dopiero teraz naprawdę go zobaczyła, widziała jego wyczerpanie i srebro, które zdobiło jego włosy, jakby dotknął go palec śmierci.

– Jack! – zawołała Frae, prześlizgując się obok matki i podbiegając do niego na podwórku. – Myślałam, że już nigdy nie wrócisz!

– Miałem sprawy do załatwienia w Sloane, ale wrócę. Teraz chcę cię o coś zapytać, Frae. – Kucnął przed nią i poczuł, jak bolą go kolana. – Muszę porozmawiać z mamą sam na sam. Myślisz, że mogłabyś zostać na podwórku?

Frae otworzyła szeroko oczy, wyczuwała napięcie między nim i Mirin.

Matka skinęła i dziewczynka uśmiechnęła się do brata.

– Dobrze – powiedziała, unosząc procę. – A czy potem ze mną poćwiczysz?

– Tak. Jak już skończymy, to do ciebie przyjdę. Tylko proszę, nie opuszczaj podwórka.

Frae pomknęła w stronę obórki, do krów. Jack wstał, czekał, aż Mirin zaprosi go do środka.

Zrobiła to; jej twarz była blada.

Czuł się tak, jakby nie był w domu od wieków. Zaraz po wejściu zamknął wszystkie okiennice.

– Zostaw jedną otwartą, żebyś widziała Frae – powiedziała ostro Mirin.

Zerknął na matkę.

– Nie chcesz, żeby tę rozmowę pochwycił wiatr. Ani żeby Frae ją usłyszała.

Mirin zacisnęła dłonie na swojej sukni.

– O co chodzi, Jack?

Zatrzasnął ostatnią okiennicę i wskazał Mirin otomanę. Siadła niechętnie, a on zajął krzesło naprzeciw niej i postawił harfę na podłodze. Słuchał oddechów matki, zatrzymujących się na sieci tajemnic i kłamstw, które w sobie chowała.

Spojrzał na nią i spytał:

– Czy istnieje możliwość, że to mój ojciec porywa dzieci?

Zamarła, popatrzyła mu prosto w oczy; zobaczył w nich szok, jakby nigdy nie przyszło jej to do głowy.

– Twój ojciec? Nie, Jack. – Ale jej głos cichł, jakby zaczynała widzieć to, co i on. – Nie, to nie może... on by nigdy...

Krew się w nim burzyła, ale nadal usiłował mówić spokojnie.

– Ukrywałaś ten sekret przez wiele lat, mamó. Nigdy nie rozumiałem dlaczego i bardzo długo miałem ci za złe twoje milczenie. Teraz już rozumiem, wiem, dlaczego nie chciałaś wyjawić tej tajemnicy, ale nadszedł czas, aby ją rozwikłać. Muszę znaleźć zaginione dzieci, a odpowiedź leży w twojej przeszłości.

– Ale to by znaczyło... – Nie dokończyła, Jack zrobił to za nią.

– Że Annabel, Catriona i Maisie zostały porwane przez Breccan i wywiezione na Zachód.

Klan nic o tym nie wiedział, Adaira, Jack, Torin i Sidra trzymali to w tajemnicy.

Mirin zamknęła oczy, jakby te słowa ją uderzyły, a Jack zaczął mówić, jakby opowiadał starą balladę.

– Dawno temu pokochałaś swojego największego wroga, człowieka z Zachodu. Nie wiem, jak przekroczył linię klanu niezauważony przez Wschód, ale zrobił to, a ty dochowałaś jego tajemnicy aż do teraz. Doprowadziłaś do tego, że wszyscy uwierzyli, że jestem bękartem niewiernego człowieka ze Wschodu, a prawdę wplotłaś w tartan, bo tkanina nigdy by cię nie zdradziła i nie potępiła. Kiedy wysłano mnie na kontynent, musiałaś znów go zobaczyć, bo na świat przyszła Frae. Moje i jej życie przeciwstawiały się wszystkiemu – Wschodowi, Zachodowi i nienawiści, która kwitnie pomiędzy nimi. Nie miałaś wyjścia, musiałaś wychować Frae tak, jak mnie, jako Tamerlaina bez ojca.

Mirin uniosła powieki. Twarz miała bladą, lecz jej oczy patrzyły na niego niczym dwie czarne otchłanie. Splotła dłonie, żeby ukryć ich drzenie.

– Zgadza się, mamó?

– Tak, Jack. Twój ojciec jest Breccaninem. Ale on nie wykradałby dzieci ze Wschodu.

– Skąd to wiesz? – spytał ostro. – Dziewczynki znikają, przepadają bez śladu, ktoś zabiera je na Zachód. A jeśli to mój ojciec stoi za tym wszystkim,

bo stracił dwójkę własnych dzieci?

– Nigdy nie porwałby dziecka. – W głosie Mirin zadźwięczało żelazo. – Twój ojciec to dobry człowiek, najlepszy, jakiego kiedykolwiek znałam, i kochał ciebie i Frae na odległość, żebyście wy mogli być ze mną, żebyście nie musieli dzielić swojego życia.

– Ale przeszedł na ziemie Tamerlainów bez ostrzeżenia – wytknął Jack. – Złamał prawa wyspy i przychodził do ciebie, raz po raz. A to oznacza, że w granicy klanu jest wyrwa, że Breccanie o tym wiedzą i używają tej wiedzy przeciwko nam, porywają nam dzieci jedno po drugim. Wykradają córki niewinnych ludzi.

Mirin potrząsnęła głową, jej oczy lśniły od łez.

– Twój ojciec nie zrobiłby tego, Jack.

– Kiedy ostatni raz go widziałas, mamu? Miesiąc temu? Rok temu? Ile czasu minęło, od kiedy z nim rozmawiałaś? Czy jest tym samym człowiekiem, którego znałaś? A co, jeśli się zmienił? – Czy lata zapierania się ukochanej, własnych dzieci, samego siebie mogły w końcu doprowadzić go do furii i do szaleństwa? Czy lata bycia tak blisko, a jednocześnie tak daleko od rodziny mogły sprawić, że w końcu nie wytrzymał?

Po policzku Mirin spłynęła łza. Otarła ją szybko i powiedziała:

– Minęło prawie dziewięć lat, odkąd widziałam go po raz ostatni. Przyjechał mnie odwiedzić kilka dni po narodzinach Frae, żeby wziąć ją na ręce po raz pierwszy i ostatni. Tak jak kiedyś trzymał ciebie jako niemowlę.

Przerwała, przełknęła jeszcze więcej łez. Jack czuł, jak jego serce zastyga, jak całe jego ciało skupia się na słowach Mirin.

– Nie chciałam zakochać się w nim, tak jak i on nie chciał się zakochać we mnie. Połączyła nas dziwna konieczność, a miłość rozkwitła między nami cicho, ale głęboko. Kiedy zrozumiałam, że noszę cię w swoim łonie... byłam przerażona. Nie wiedziałam, jak miałabym wychować dziecko będące jednocześnie Wschodem i Zachodem. Twój ojciec zdecydował, że uciekniemy. Porzucimy wszystko i zaczniemy nowe życie na kontynencie. Ale bardzo trudno opuścić wyspę bez wiedzy ducha czy śmiertelnika.

Pierwszą próbę udaremnił wiatr; burza nie pozwoliła nam odpłynąć od wybrzeża, fale rozbiły na skałach naszą małą łódź, którą twój ojciec chciał wiosłować do kontynentu. Minęło kilka tygodni, twój ojciec pracował nad

nową łodzią, ukrywał ją w jaskini. Uczyliśmy się rytmu Straży Wschodu i Zachodu, patrole były dla nas stałym zagrożeniem.

A jednak to nie strażnik udaremnił nam drugą próbę, lecz jeden z sąsiedzkich psów musiał wyczuć zapach Zachodu, jaki twój ojciec zostawił na wzgórzach. Za bardzo bałam się próbować po raz trzeci – w końcu złapano by nas w trakcie ucieczki – i postanowiłam, że wychowam cię samotnie na Wschodzie jako Tamerlaina, a twój ojciec będzie trzymał się z daleka. Tak też zrobiliśmy, jednak wyjechałeś do szkoły... a moja samotność stała się przejmująco dotkliwa.

Jack wiedział, że dlatego przyszła na świat Frae, i z milczenia matki zrozumiał, że tym razem to ona przekroczyła granicę klanu.

– Spotkałaś się z moim ojcem na Zachodzie – powiedział. Szalony, impulsywny, odważny czyn. Minęło wiele czasu, odkąd ktoś z klanu dobrowolnie przeszedł na Zachód, a jednak Mirin to zrobiła i nie została złapana.

Musiała więc znać sekret przekraczania granicy klanu.

– Udało mi się – wyszeptała. – Nietrudno było znaleźć twojego ojca, jest opiekunem Aithwood i mieszka w głębi lasu po zachodniej stronie, przy rzece, która płynie na Wschód. Rzeka łączy nas oboje jak srebrna nić; podążyłam za nią do jego chaty i znalazłam go tam, jak spokojnie przeżywał swoje życie, tak jak ja swoje, w smutku i nadziei, rozmyślając o sobie i o życiu, które moglibyśmy dzielić, gdyby historia naszych dwóch klanów potoczyła się inaczej.

– Jak przeszedłaś na Zachód? Jak mój ojciec przeszedł na Wschód? W ten sposób? Użyliście kwiatów Orenny?

Mirin nie spuściła oczu i Jack zobaczył w nich opór, który płonął jaśniej niż ogień. Nie chciała mu powiedzieć; całe jej jestestwo sprzeciwiało się wyjawieniu tego sekretu.

– Mamo – błagał. – Mamo, proszę cię. Jeśli chcesz pomóc tym dziewczynkom wrócić do domu... Muszę wiedzieć, jak się tam przedostać.

Podniosła się i odeszła od niego, ale nie miała dokąd się wycofać.

Jack wstał powoli.

– To nie kwiat – powiedziała w końcu, zwracając się w jego stronę. – To rzeka. Twój ojciec odkrył jej sekret przez przypadek. Pewnej jesiennej nocy został ranny i pilnie potrzebował pomocy. Stracił sporo krwi

i zdezorientowany ruszył z nurtem w dół rzeki, myśląc, że doprowadzi go do domu. Był wstrząśnięty, gdy zrozumiał, że znalazł się na Wschodzie, nie wzbudzając alarmu. Uznał, że to musi być rzeka, że to ona go osłoniła. Doprowadziła go do mojego gospodarstwa, zapukał do moich drzwi, prosząc o pomoc. Szybko pojęliśmy, że to nie tyle rzeka, co krew w wodzie zapewniła mu niewidzialność.

Przypomniał sobie noc najazdu, gdy widział Breccan, jak jechali wzdłuż doliny rzeki, niezauważeni. Słowa Ream, Pani Morza dźwięczały mu w uszach.

Strzeż się krwi w wodzie.



Frae zagoniła krowy do obórki i usłyszała mamę i brata. Nie mogła wyłowić słów, ale mówili podniesionymi głosami, jakby się kłócili.

Zaniepokoiła się. Nie chciała, żeby się kłócili, nie chciała słuchać, więc w końcu wyszła na podwórko z tyłu, trzymając procę w ręku.

Słońce wreszcie przebiło się przez chmury. Ozłacało rzekę i dolinę; Frae patrzyła, jak migocze woda, płynąc na wschód. Pamiętała, że nie powinna opuszczać podwórka, ale chciała poćwiczyć, zanim przyjdzie do niej Jack.

Wymknęła się przez tylną bramę i pobiegła na brzeg rzeki. Woda przybrała od deszczu, Frae ostrożnie wyjmowała z niej kamienie. Cel wciąż był w trawie i Frae zaczęła strzelać. Spudłowała dwa razy, lecz za trzecim trafiła.

– Tak! – zawołała, skacząc w górę.

Postanowiła, że strzeli jeszcze tylko trzy razy i wróci na podwórko; pobiegła pozbierać swoje kamienie. Mężczyznę, który stał za nią nad brzegiem rzeki, zauważyła dopiero wtedy, gdy było już za późno.

Znieruchomiała. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, był niebieski tartan – przybysz był Breccaninem. Drugą – jego przemoczone buty, jakby szedł rzeką; i jeszcze rozciętą rękę.

– Nie powinno cię tu być – powiedziała, robiąc krok do tyłu.

– Wiem – odparł głębokim głosem. – Jak masz na imię, dziewczynko?

Ścisnęło jej się gardło, czuła, że kolana jej się trzęsą, spojrzała w górę wzgórza; widziała stąd dach swojego domu.

– Jak masz na imię? – spytał znów Breccanin.

Wystraszona Frae zdała sobie sprawę, że jest bliżej niej, choć wydawało się, że zrobił tylko jeden krok. Czy to był ten sam, który stał na tylnym podwórku przed najazdem? Raczej nie, ten tutaj był wyższy i mocniejszy.

– Frae... Fraedah.

– Piękne imię. Chciałabyś odwiedzić Zachód, Fraedah?

Teraz już naprawdę się bała. Dłonie miała zimne, a serce waliło jej tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Nie wiedziała, dlaczego ten Breccanin tu stoi, ale chciała, żeby sobie poszedł albo żeby zjawił się Jack...

– Raczej nie – powiedziała Frae i ruszyła w górę wzgórza.

Breccanin był przeraźliwie szybki: chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

– Posłuchaj mnie, Fraedah. Jeśli pójdiesz ze mną spokojnie, nic się nie stanie, ale nie mogę tego zagwarantować, jeśli będziesz walczyć. Dlatego bądź mądrą dziewczynką i chodź.

Strach Frae był niczym sieć, która spętała jej nogi. Z przerażeniem wpatrywała się w nieznanego i pojęła, że on zrobi, co będzie chciał. Zabierze ją na Zachód, czy jej się to podobało, czy nie...

– Jack! – krzyknęła spanikowana, próbując wyrwać rękę. – Jack!

Przypomniała sobie, że w jednej ręce ma procę, w drugiej kamień. Odwróciła się i rzuciła kamieniem w twarz Breccanina. Trafił go w nos. Mężczyzna jęknął i puścił ją, a ona rzuciła się do ucieczki, myślała, że jest szybka, że...

– Jack! – zawołała, gdy Breccanin znowu ją złapał.

Nie był już delikatny. Jedną ręką zakrył jej usta, drugą podniósł i zaczął nieść w stronę rzeki.

Frae walczyła. Szarpała się, kopała i gryzła jego dłoń, ale Breccanin nie chciał jej puścić. Przeważenie ostrzejsze niż nóż cięło ją od środka.

Słyszała plusk wody, gdy Breccanin niósł ją w górę rzeki; oczy zasłonił jej tartanem, a do ust wcisnął knebel.

Upuściła procę Jacka do rzeki.



– Jack? – Mirin dotknęła jego ręki. – Jack, co chcesz zrobić z tym, co ci powiedziałam?

Bała się tego, jak zachowa się klan. Gdyby wyszła na jaw jej miłość do wroga... Zniszczyłoby to jej życie.

Zniszczyłoby to jego i Frae.

Jackowi serce tkwiło w gardle, kiedy wyszeptał:

– Jeszcze nie wiem, mam. – Spojrzał na nią, przypominając sobie słowa Bane'a, króla wiatrów. – Nie mogę powiedzieć ci, skąd to wiem, ale poinformowano mnie, że zapewne wiesz, gdzie na Zachodzie trzymane są nasze dzieci.

– Co takiego? – Drgnęła. – Ja... nie mam pojęcia, Jack.

Uznał, że herbata pomoże im obojgu przebrnąć przez tę rozmowę. Musiał zająć czymś ręce, zastanawiał się, jak sformułować kolejne pytania. Gdy usłyszał stłumiony krzyk, właśnie nalewał sobie i Mirin gorącego naparu.

– Słyszałaś? – przerwał jej i odstawił czajnik.

Mirin zamilkła.

– Nie... Co to było, Jack?

Pomyślał, że to mogła być Frae, i przebiegł go dreszcz. Podszedł do okna, otworzył okiennicę. Widział kury w obórce, ale jego siostry nigdzie nie było.

Może poszła na podwórko z tyłu?

Ruszył do drzwi, gdy znowu to usłyszał, teraz wyraźniej – wołała go, a on poczuł, jak w żyłach zamarza mu krew. Razem z Mirin pobiegli do ogródka. Ani śladu Frae.

– Frae?! – krzyknął, depcząc warzywa. – *Frae!*

Był już prawie przy bramie, kiedy ruch w dolinie przykuł jego uwagę. Jack zatrzymał się: Moray Breccanin niósł Frae w górę rzeki.

Mirin krzyknęła przeraźliwie, Jack patrzył rozszerzonymi oczami. Serce mu się ścisnęło, najpierw w szoku, potem w straszliwej furii. Prawie stanął w płomieniach, gdy wyskoczył przez furtkę i widział, jak jego siostra próbuje się uwolnić, walczy i kopie.

Jack zrobił trzy kroki, zanim Moray go zobaczył – Breccanin niewiarygodnie prędko poruszał się w górę rzeki, w cieniu Aithwood, a Jack

zatrzymał się pośród traw, porażony.

Był za słaby; nie miał szans dogonić Moraya przed granicą klanu, skoro ten najpewniej połknął jeden z kwiatów Orenny.

Myśli Jacka wzbierały, splątane rozpaczą i przerażeniem.

Nie pokonam go siłą, pomyślał i wtedy go olśniło.

Odwrócił się i popędził z powrotem do ogrodu, łapiąc Mirin za rękę, kiedy próbowała przebiec obok niego.

– Znajdź pasek tartanu – polecił, ciągnąc ją z powrotem do domu.

– Co ty robisz? – zawołała, prawie się na niego rzuciła. – On ma Frae! Puść mnie, Jack!

– Posłuchaj mnie! – krzyknął, a Mirin zadrżała i popatrzyła na niego. – Weź mój tartan, podrzyj go na pasy i przyjdź do mnie na wzgórzu. Złapię go, ale musisz mi zaufać, mamó.

Przytaknęła. Jack puścił ją; gorączkowo szperała w koszach z tkaninami, a on poszedł po swoją harfę.

Połowa strun była zerwana, lecz połowa pozostała na miejscu, tylko pociemniała od sadzy. Jack, z harfą pod pachą, wyskoczył na tylne podwórko i biegł tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to nogi i płuca. W połowie wzgórza usiadł w trawie i drżącymi dłońmi próbował ująć zniszczoną harfę.

Nie wiedział, czy to się uda. Nie wiedział, jak będzie brzmiała muzyka płynąca ze zniszczonego instrumentu. Nie planował już nigdy więcej na nim grać.

Ale spojrzął na rzekę, tam, gdzie kryła się w Aithwood. Tam, gdzie zniknęła Frae.

Opanował emocje. Nie mógł sobie pozwolić na wybuch, na panikę, musiał przełknąć swój strach, gniew, niepokój, które piekły go niczym sól w ranie.

Musiał się opanować.

Zamknął oczy i poczuł ziemię pod sobą. Trawę na kolanach. Zapach gliny. Rozciągnął tę świadomość dalej, do głosu rzeki, do głębokich korzeni lasu.

Jego palce znalazły miejsce na strunach. Zaczął grać, a nuty wydostawały się dzikie i szalone, jakby pochodziły z żaru. Ostre i cynowe, ciężkie powietrze z udręczonym dźwiękiem, a Jack otworzył oczy, patrzył na rzekę.

Grał spontanicznie, muzyka wychodziła z niego jak oddech. Zaczął śpiewać dla duchów lasu i duchów rzeki. Dla trawy, gliny i dzikich kwiatów. Dla Orenny.

Przyprowadźcie ich do mnie.

Jack słyszał rytm w swojej głowie, grał w tym rytmie, nuty pojawiały się szybciej i szybciej, przecież Moray Breccanin mógł już być na Zachodzie... A jednak Jack grał dla duchów wokół siebie, oferując im wiarę, w dźwięki wplatając rozkaz.

Przyprowadźcie ich do mnie.

Czekał, wpatrzony w dal. Widział strumienie, migoczące w słońcu, i wygięte konary. Posłał swoje słowa esencji kwiatu o czerwonych płatkach z nitkami złota, rosnącego na suchej, nieszczęsnej ziemi. Śpiewał dla mocy, która niedawno go ożywiła, otworzyła mu oczy, pozwoliła sięgnąć wzrokiem poza swój świat.

Przyprowadźcie ich do mnie.

Jack czuł, że jego siły słabną. Ręce go bolały, w głowie pulsowało, z nosa sączyła się strużka krwi, która spłynęła na wargi. Zmuszał się, żeby grać i śpiewać dalej, chociaż prawie dotarł do kresu możliwości.

Paznokcie pękały, knykcie lśniły krwią, ale wytrwał w tym bólu i został wynagrodzony przez błysk ruchu.

Moray Breccanin wracał, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje, dopóki nie ujrzał Jacka śpiewającego na wzgórzu. Zdumienie ustąpiło miejsca gniewowi, ale moc, która pozwoliła Morayowi poruszać się z taką szybkością, przyciągnęła go w tej chwili do Jacka.

Jack nie patrzył na jego twarz, patrzył na Frae, która wciąż próbowała się uwolnić. Oczy miała zawiązane, ale kopała i drapała.

Poczuł jednocześnie smutek i dumę.

Grał dalej i śpiewał ochryłym głosem. Nuty zwalniały niczym ostatnie tchnienie przed śmiercią, ale muzyka wciąż pętała Moraya; ona gasła, a on przynależał do jej twórcy.

Breccanin przyniósł Frae wprost do stóp Jacka i dopiero wtedy bard powoli wstał. Mirin była tuż obok niego – zrozumiał, że była tu przez cały czas. Wyzywające spojrzenie Moraya spotkało się z jego własnym, zimnym i martwym.

– Puść moją siostrę – rozkazał.

Moray puścił ją, Frae rozplakała się, słysząc głos Jacka.

– Chodź do mnie, Frae. – Wyciągnął do niej rękę. Dziewczynka zerwała przepaskę, wyciągnęła knebel i podbiegła do niego. Czuł, jak drżała, i trzymał ją blisko siebie, nim objęła ją Mirin.

Moray parsknął.

– Nie mówiłeś, że jesteś bardem.

– Nie pytałeś.

Jack chciał wiedzieć wszystko, pytania w nim kipsiały, chciał, żeby Moray Breccanin odpowiedział na każde z nich.

Jeśli tylko przedtem Jack go nie zamorduje. To pragnienie rozsadało mu czaszkę, gdy Moray patrzył na niego bezczelnie.

Breccanin otworzył usta, zaczął mówić imię Adairy.

Jack nie wytrzymał, zamachnął się swoją harfą i uderzył Moraya w bok głowy.

Breccanin padł na trawę, w jego złotych włosach zaczęła się zbierać krew.

Jack patrzył na niego i zastanawiał się, czy właśnie zabił dziedzica Zachodu.

– Jack... – odezwała się niepewnie Mirin.

– Zwiąż mu ręce, mamó – poprosił bard. Opadł z sił, nie mógł już stać i powoli osuwał się na kolana. – Musimy zabrać go do środka i przywiązać do krzesła. – Harfa wypadła mu ze zdrtwiałych dłoni. – Wezwij Adairę.

To była jego ostatnia prośba, a potem padł z wyczerpania i leżał obok Moraya Breccanina.

Swojego wroga.

Swojego – w połowie – lairda.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY



Gdy Sidra usłyszała na wietrze głos Mirin, podążyła właśnie zachodnią drogą do pacjenta. Matka Jacka wzywała Adairę i zdawała się być zrozpaczona.

Uzdrowicielka ruszyła w stronę jej chaty, przyspieszyła kroku. Zaufała wzgórzom i zboczyła z drogi, Yirr biegł tuż za nią; ziemia przesunęła się dla niej, ścieśniając kilometry i spłaszczając skaliste zbocza, pchając ją do przodu ścieżkami jeleni pośród wrzosów.

Bała się. Gdy dotarła do furtki, wszystko wydawało się w porządku. Podeszła do drzwi.

– Mirin? Frae? – Zapukała i czekała, czując, jak się poci. W końcu otworzyła drzwi.

– Jest tu kto?

Kazała psu czekać na podwórzu i wkroczyła do środka.

W chacie było pusto, wszystkie okiennice były zatrzaśnięte, z wyjątkiem jednej; otwarte tylne drzwi wpuszczały strumień porannego światła. Sidra odstawiła koszyk z ziołami i powoli podeszła do drzwi.

Wyszła na próg i wstrząśnięta ujrzała, jak Mirin z Frae ciągną ciało przez ogród. Nie wiedziała, co bardziej ją zszokowało: niebieski tartan mężczyzny, jego związane ręce czy krew na sukni Mirin.

Mirin zabiła Breccanina, pomyślała, stojąc z otwartymi ustami. I teraz próbuje ukryć ciało.

– Mamo! – zawołała Frae, wskazując na Sidrę.

Mirin odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła ją.

– Błogosławione duchy! Możesz nam pomóc, Sidro?

Nie wahała się ani chwili.

– Tak. Gdzie go zabieramy?

– Do środka – wykrztusiła Mirin. Twarz miała czerwoną z wysiłku, włosy wymykały się z warkocza.

– Jesteś ranna, Mirin? – spytała uzdrowicielka, zerkając na zbroczoną krwią suknię tkaczki.

– Nie, to jego krew. Czy on... czy on nie żyje, Sidro?

Żona Torina uklękła i dokonała szybkich oględzin. Rana głowy wyglądała lepiej, niż myślała. Breccanin miał na dłoni płytkie nacięcie, które chyba zadał sobie sam. Sprawdziła jego puls; był powolny, ale mocny.

– Żyje – oznajmiła i wzięła go za kostki. – Pewnie zaraz się ocknie.

– Frae? – Mirin odchrząknęła. – Pobiegniesz do środka i zrobisz trochę miejsca w izbie? Ustaw na środku jedno kuchenne krzesło. I zamknij okiennicę.

Frae skinęła i pobiegła do domu.

Sidre przesyłał dziwny dreszcz, spojrzała na wysoki but Breccanina.

To on?

Nie wiedziała, czemu tak pomyślała, ale od razu ścisnął jej się żołądek. Miała na sobie zielony szal, który zamówił dla niej Torin, i czuła się bezpiecznie, a jednak rozboleła ją pierś.

– Sidra? – odezwała się cicho Mirin, przerywając jej myśli.

Sidra trzymała Breccanina za stopy, Mirin pod pachami i wspólnymi siłami z dużym trudem wnieśli go do domu. Był strasznie ciężki i sporo wysiłku kosztowało posadzenie go na krzesło; Sidra zasapała się, zanim wraz z Mirin zdjęły z niego tartan i odebrały mu broń.

– Przywiążesz mu kostki do krzesła? – Matka Jacka podała jej dwa paski plecionki. – Tak mocno, jak tylko zdołasz.

Sidra przytaknęła.

– Co się stało? – spytała.

– Ja... – Mirin przycisnęła rękę do czoła. – Jack źle się czuje. Musiałam go zostawić na wzgórzu, a teraz muszę pilnować Breccanina, dopóki nie zjawi się tu Adaira. Mogłabyś pójść do niego i zobaczyć, czy możesz mu jakoś pomóc?

– Tak. – Serce Sidry waliło mocno. Złapała koszyk i znów wyszła tyłem, idąc śladem, który Mirin i Frae zrobiły, ciągnąc Breccanina.

Jack leżał na trawie, a w jej głowie rozbłysły straszne myśli: Breccanin chciał ich napaść, Jack z nim walczył i zapewne został poważnie ranny... Sidra uklękła w trawie i odwróciła go.

Leżał na swojej harfie. Instrument był powykręcany i spalony, jakby trzymano go nad ogniem. Bard jęknął, gdy się znalazł na plecach.

– Adaira? – wykrztusił, otwierając na chwilę oczy.

Sidra dotknęła jego brwi.

– Nie, to ja, Sidra. Powiesz mi, co się stało, Jack? – Przygotowała szmatkę, żeby zetrzeć zaschniętą krew z jego twarzy i palców. Paznokcie miał połamane, wyszczerbione na krawędziach. To nie Breccanin wyrządził mu taką krzywdę. To magia.

– Zapłaciłem za muzykę więcej, niż mogłem... Tak jak wcześniej. Jestem po prostu... wyczerpany.

– *Jack...*

– Tak, wiem – szepnął. – Nie karć mnie, Sidro.

Ugryzła się w język i działała szybko, nie pytając już o nic więcej. Skupiła się na tym, co najpilniejsze, na uzdrowieniu Jacka.

– Możesz dać mi coś, co postawi mnie na nogi? – zapytał bard. Otworzył oczy i patrzył, jak uzdrowicielka przygotowuje tonik.

Zawahala się.

– Muszę być silny dla Adairy – dodał. – Daj mi swoją najmocniejszą miksturę.

– Jeśli to zrobię, Jack... Dojście do siebie zajmie ci później znacznie więcej czasu – ostrzegła. – Mogę dać ci coś takiego, ale przestanie działać za kilka godzin i może wzmocnić inne objawy.

– Przyjmuję to ryzyko. Ponieważ prawda jest taka, że... w domu mojej matki jest w tej chwili Breccanin, który może, ale nie musi być martwy.

– On żyje.

– Och, co za ulga – powiedział Jack, a Sidra ucieszyła się, że jego specyficzny humor powrócił. – Jeszcze zapłaciłbym życiem za zabicie dziedzica Zachodu.

Sidra znieruchomiała.

– Jest dziedzicem?

– Tak. – Jack z jękiem uniósł się na łokciach. – Chciał porwać Frae, a ja mu to udaremniłem.

Lodowaty dreszcz spłynął po plecach Sidry.

Więc to on.

Człowiek, którego właśnie pomogła wnieść do Mirin. To on ją zaatakował, kiedy biegła do Graeme'a. On porwał Maisie.

– Sidra? – spytał Jack zaniepokojony. – Co się stało?

Nie wiedziała, jak długo siedziała tak obok niego nieobecna, a teraz ledwo mogła mówić, z trudem oddychała. Jack jednak marszczył brwi, przyglądał jej się uważnie.

– To Moray zaatakował cię tamtej nocy – wyszeptał Jack.

Zawahała się, ale przytaknęła.

– Co za łajdak – warknął.

Skupiła się na ziołach, przygotowała tonik, który robiła dla strażników, żeby byli czujni, uważni w czasie długich nocy.

– Pij, Jack. Pomoże na wyczerpanie, ulży bólom.

Przyjął kubek i wypił. Siedzieli razem w trawie, milcząc przez kilka chwil. Sidra zastanawiała się, co ma zrobić – czy w ogóle chce rozmawiać z Morayem, spojrzeć mu w twarz; bard czekał, aż tonik zacznie działać.

Uzdrowicielka zauważyła, że nie jest już tak okropnie blady, a wzrok ma bardziej przytomny. Zbierała właśnie swoje zioła, kiedy usłyszała, jak ktoś biegnie.

I ona, i Jack odwrócili się i zobaczyli Frae.

– Jack! – zawołała głośno, zwalniając. Jack już stał na nogach, trochę chwiejnie, ale tylko Sidra to zauważyła.

– Co się stało, Frae? – Wyciągnął do niej rękę.

Dziewczynka odetchnęła z widoczną ulgą, że brat ma się lepiej. Zerknęła na Sidrę, potem znów na niego i powiedziała:

– Mama mnie przysłała. Ten Breccanin się ocknął.



Adaira powinna była przewidzieć, że w dniu, w którym Torin odzyska głos, rozpęta się istne piekło – kiedy Roban przyszedł z wiadomością, właśnie

oglądali razem mapy, tworząc plan uwolnienia dzieci.

– Usłyszałem twoje imię na wietrze, lairdess – rzekł. – Brzmiało, jakby wymówiła je Mirin.

Adaira oparła się ciężko o biurko ojca. Czekwała na wiadomość od Jacka, więc jeśli przywołała ją Mirin, coś poszło nie tak. Znowu. Czy kiedykolwiek życie znów stanie się w miarę spokojne i przewidywalne?

Pojechała do zagrody Mirin z Torinem i kilkoma strażnikami. Nie wiedziała, co ją tam czeka, ale widok Moraya Breccanina – przywiązanego do krzesła, zakneblowanego, z przepaską na oczach i zaschniętą krwią we włosach – był ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała.

Adaira zatrzymała się tak nagle, że Torin prawie na nią wpadł.

Rozejrzała się szybko i przede wszystkim znalazła Jacka; stał przy krosnach, za Morayem. Sidra siedziała na stołku obok niego, jakby oboje chcieli pozostać poza zasięgiem wzroku. Mirin była przy palenisku i trzymała w objęciach Frae.

– Jack, można cię prosić? – spytał Torin.

Bard skinął i Adaira poszła za nimi do jego sypialni, tam mieli porozmawiać. Sidra dołączyła do nich, zamknęli drzwi, zostawiając strażników w izbie, żeby pilnowali Moraya.

– Co się stało? – zapytała Adaira.

Jack opowiedział im, co się właśnie wydarzyło, lecz jego głos brzmiał dziwnie, jakby nie mógł złapać oddechu. Zauważyła, że jego ręce drżały lekko, paznokcie miał połamane. Nie wspomniał, że grał dla duchów, ale ona i tak świetnie to wiedziała. Wyglądało również na to, że coś ukrywa, mówił i zostawiał zdania niedokończone...

– Chciał porwać Frae – powiedział w końcu Jack i zachwiał się, jakby miał zaraz upaść.

Adaira wyciągnęła rękę, by go podtrzymać, Sidra odezwała się szybko:

– Musisz usiąść, Jack.

– Pomóż mi – poprosiła Adaira i razem z Sidrą dociągnęły go do łóżka.

Jack usiadł z jękiem, nad górną wargą pojawił się pot.

– Nic mi nie jest. Tylko trochę tu duszno, prawda?

Sidra zerknęła na Torina.

– Uchyliż okiennicę? On potrzebuje świeżego powietrza.

Torin posłuchał i Adaira poczuła, że i jej łatwiej teraz oddychać, kiedy chłodne powietrze wpadło do małego pokoju.

– Myślisz, że to on porwał inne dzieci? – spytał ostro Torin.

Jack zawahał się, spojrzął na Sidrę i Adaira już zrozumiała, już wiedziała, że Moray oszukiwał ją raz po raz. Jej twarz się zaczerwieniła.

Torin zareagował jako pierwszy. Prawie wyrwał drzwi sypialni z zawiasów, gdy wpadł do izby. Jego wściekłość była jak błyskawica uderzająca w ziemię, Adaira mogła już tylko biec za nim. Jej kuzyn dopadł Moraya i zanim zdążyła go powstrzymać, jego pięść znalazła się na szczęce Breccanina.

Adaira stanęła jak wmurowana.

– Porwałś moją córkę – zagrzmiął kapitan. – Skrzywdziłeś moją żonę i dlatego zginiesz.

Kopnął Moraya w pierś, dokładnie w to samo miejsce, w które Breccanin kopnął wtedy Sidrę. Dziedzic Zachodu rąbnął plecami o podłogę ze stęgnięciem bólu, odjechał wraz z krzesłem do tyłu i zatrzymał się dopiero na otomanie.

– Adairo – wykrztusił Moray przez knebel.

Nie wiedziała, skąd Moray – wciąż z przepaską na oczach – wiedział, że ona tu jest, nie zdradzała przecież swojej obecności. Przeszył ją dreszcz, a Torin już szedł ku niemu, gotów zadać kolejny cios.

W końcu ruszyła, żeby interweniować, potrzebowała Moraya przytomnego i zdolnego do mówienia, lecz ubiegła ją Sidra.

Stanęła za Morayem, na linii wzroku Torina, wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Nie w ten sposób, Torin.

Adaira patrzyła, jak jej kuzyn ciężko oddycha; nigdy nie ustępował w walce i zdumiało ją, że się opanował i przyjął rękę Sidry. Przeszedł nad sapiącym Breccaninem, stanął pod ścianą, przytulając Sidrę do siebie.

Adaira potrzebowała chwili, żeby się uspokoić, a kiedy już wiedziała, że nie zdrzży jej głos, zwróciła się do strażników:

– Czy dwóch z was może postawić krzesło?

Strażnicy wykonali jej polecenie i znów mogła siedzieć z Morayem twarzą w twarz. Breccanin oddychał ciężko, z kącika ust ciekła mu krew. W izbie nagle zrobiło się gorąco i ciasno. Adaira podeszła bliżej zachodniego dziedzica. Serce biło jej bardzo szybko, ale twarz miała chłodną i opanowaną – to coś, czego nauczył ją ojciec, kiedy przychodziło do wymierzenia sprawiedliwości.

Ściągnęła przepaskę z oczu Moraya, widziała, jak jego twarde zmarszczki się wygładzają. Wpatrywał się w nią tak, jakby wierzył, że ona go uratuje.

– Nim usunę knebel – zaczęła – chcę, żebyś wiedział, że zabijamy Breccan, którzy wedrą się na Wschód w złych zamiarach. Jesteś na moich ziemiach nieproszony i niespodziewany, zapewne po to, by mnie zdradzić albo skrzywdzić mój klan. Będę zadawała pytania i spodziewam się szczerych odpowiedzi. Jeśli mnie zrozumiałeś i się zgadzasz, skinij głową.

Oczy Moraya płonęły niebezpiecznie, lecz przytaknął.

Adaira wyciągnęła mu knebel z ust, Moray zakasłał. Torin przyniósł swojej lairdess krzesło, by usiadła przed Breccaninem. Już miała zająć miejsce, gdy wysunął się Jack.

– Pani? Czy mógłbym coś zasugerować?

– Proszę – powiedziała, chociaż nie musiał jej nic tłumaczyć. Odpiął swój dirk, ostrze prawdy, i podał jej. Adaira stanęła przed Morayem.

– Chcesz poderżnąć mi gardło, nie dając mi szansy na wypowiedź? – zapytał Moray. – Byłoby szkoda, ponieważ mam historię, którą chciałabyś usłyszeć.

Adaira zignorowała jego sarkazm oraz własną ciekawość i oznajmiła:

– Dopóki twoja krew nie przestanie płynąć z rany zadanej tym ostrzem, będziesz zmuszony odpowiadać na wszystko, o co spytam, szczerze i zgodnie z prawdą. Zrobię nacięcie, bo inaczej mógłbyś mnie okłamać. – Nacięła mu skórę tuż poniżej kolana. Moray nie zareagował; ukłucie ostrza nie było dla niego niczym nowym.

Adaira w końcu usiadła, patrząc na niego; kątem oka widziała, jak krew spływa strużkami po jego nodze i butach.

– Dlaczego jesteś na Wschodzie, Morayu Breccaninie? – spytała.

Obnażył zęby, nie chciał odpowiedzieć, ale zakłęcie już działało w jego krwi.

– By ukraść dziecko.

Spodziewała się tego, ale to wyznanie ugodziło ją jak cios. Z trudem przełknęła wzbierający w niej żar, chciała zachować trzeźwość umysłu i uwolnić się od emocji.

– Czy to ty ukradłeś inne dzieci Tamerlainów?

– Ja.

– Gdzie są nasze dziewczynki? – zapytała.

– W chacie opiekuna Aithwood.

Adaira zauważyła, że Jack się poruszył. Opierał się o ścianę obok drzwi do swojej sypialni, ale spojrzał na Mirin, która nadal stała z Frae przed paleniskiem. Tkaczka wyglądała blado, Adaira postanowiła porozmawiać z nią później.

– Gdzie to jest?

– W górę rzeki, za granicą klanu, głęboko w sercu lasu.

Torin drgnął, lecz Adaira uniosła rękę, bezgłośnie go powstrzymując.

– Ostatni najazd urządzono wyłącznie po to, żeby w tym zamęcie oddać porwane dziecko, a ty brałeś w nim udział?

– W istocie.

– Dlaczego oddaliście tylko jedno dziecko?

– Chciałem ci pokazać, że jestem miłosierny i wszystkie moje działania są przemyślane – odparł Moray. – Wiedziałem, że już wkrótce odkryjesz, że to ja ukradłem dziewczynki, i że wzbudzi to twój gniew, musiałem ci udowodnić, że był powód tych kradzieży, a przede wszystkim, że dzieciom nie działa się żadna krzywda.

– Czemu je porwałś? Dlaczego ty i twój klan upadliście tak nisko, by kraść nasze córki?

Usta Moraya wykrzywił uśmiech.

– Tnij jeszcze raz, Adairo, ponieważ to, co mam ci powiedzieć... Chcę, żebyś miała pewność, że to prawda.

Siedziała chwilę bez ruchu, poważna i pełna obaw, ale miał rację: pierwsze cięcie już się goiło, więc zadała kolejne; tym razem głębsze, budzące grymas bólu.

– Słucham zatem – powiedziała. – Dlaczego?

Moray poruszył się, jakby siadał wygodniej i szykował się do dłuższej opowieści.

– W pewną burzliwą jesienną noc prawie dwadzieścia trzy lata temu – zaczął Moray – laird i pani Zachodu powitali na świecie swoje pierwsze dziecko, chłopca o włosach złotych jak przędza kukurydzy i głosie beczącej kozy. Nie urodził się sam, zaraz po nim na świat przyszło drugie dziecko, małeńka dziewczynka. Była dużo mniejsza od swojego brata bliźniaka, miała włosy białe jak oset i nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Moray urwał; Adaira przełknęła ślinę i powiedziała:

– Mów dalej.

Breccanin uśmiechnął się do niej i kontynuował:

– Wyglądała na zszokowaną, że przyszła na świat w taką noc, a moi rodzice trzymali ją, modląc się, żeby zapłakała, otworzyła oczy. Nie chciała. Trzy dni później do komnaty wszedł druid, żeby dać swoje błogosławieństwo noworodkom. Nie chciał pobłogosławić dziewczynki. *Jest słaba i chorowita*, rzekł. *Bardzo możliwe, że waszą prawdziwą córkę ukradły duchy. Wyznaczcie osobę, której ufacie, aby położyła to dziecko w miejscu, gdzie wiatr jest łagodny, ziemia miękka, ogień może zapłonąć w jednej chwili i gdzie woda śpiewa pieśń pocieszenia. W miejscu, gdzie zbierają się stare duchy – wtedy mogą wam zwrócić prawdziwą córkę, zrodzoną do wielkości zachodniego klanu.*

Moi rodzice naradzili się i doszli do wniosku, że istnieje tylko jedna osoba, której mogliby zaufać w tej wymianie – opiekun lasu Aithwood.

Był dobrym człowiekiem i mieszkał sam jeden w lesie. Był również lojalny wobec klanu i znał miejsce, w którym zbierały się duchy ziemi, powietrza, ognia i wody. Wziął Corę, moją siostrę, i zaniósł ją w głąb lasu. Tam miał ją zostawić, żeby duchy mogły znaleźć ją i przyjąć – w jego obecności nie mogłyby się ukazać i zamienić dzieci. Opiekun znalazł więc miękki materac mchu obok rzeki, gdzie wiatr szumiał w konarach, a ogień mógł pojawić się sam z siebie, i tam zostawił moją młodszą siostrę.

Niemal całe swoje życie wierzyłem w opowieść opiekuna o tamtym dniu: że zostawił moją siostrę na mchu, by ją zabrano, a gdy wrócił kilka godzin później, Cora zniknęła i nie było żadnego innego dziecka, które mógłby zanieść moim rodzicom. Całe lata moja rodzina i mój klan wierzyli w to, co powiedział: duch powietrza zabrał moją siostrę do swojego królestwa i tam ją

wychował, wiedząc, że nie zdoła przeżyć w śmiertelnym świecie. Znaleźliśmy w tej myśli bolesne ukojenie i czciliśmy wiatr, wierząc, że dziewczynka jest w nim.

Jednak tajemnice na wyspie nie dają się pogrzebać na zawsze, powracają w niezwykle sposób, uderzając w tego, który chciał je zachować.

W miarę upływu lat nabierałem coraz większych podejrzeń co do opiekuna. Jego lojalność wydawała się chwiejna – protestował przeciw atakom i odmawiał nam przejazdu przez Aithwood. Postanowiłem uważnie go obserwować. Zajął to kilka lat, ale w końcu złapałem go na granicy klanu, jak powracał na Zachód. Przedostał się na Wschód niezauważony, chciałem wiedzieć, jak tego dokonał.

Złamanie jego uporu zajęło kilka miesięcy, lecz w końcu przyznał się i poprzysiągł całkowitą wierność, a ja darowałem mu życie. Przy okazji dowiedziałem się, że opowieść o zniknięciu mojej siostry od początku do końca była kłamstwem.

Oto, co zdarzyło się naprawdę.

Co prawda zostawił Corę na mchu, jak mu kazano, ale jej płacz niósł się po lesie i ściągnął go z powrotem. Stał i patrzył, jak dzień zaczynał zamieniać się w wieczór, robiło się zimno, a duchy nie chciały po nią przyjść. Wkrótce jej płacz zwabił wilka; opiekun walczył z bestią i został ranny. Spływając krwią, postanowił wziąć moją siostrę na ręce i zanieść ją gdzie indziej. Stracił dużo krwi, zabłądził, w końcu uznał, że rzeka doprowadzi go do domu.

Wszedł w nurt i zaczął iść, nieświadomy, że obrał zły kierunek; jak twierdzi, nie zdawał sobie z tego sprawy aż do chwili, gdy drzewa się wycofały, a on znalazł się w nieznannej dolinie i pojął, że nie jest już na Zachodzie. Straż Wschodu nie zareagowała, a do niego dotarło coś strasznego.

Któremu z Tamerlainów zaniósł w pierwszym odruchu moją siostrę, nie wiem, nigdy nie podał mi nazwiska, ale myślę, że to ktoś, kto mieszkał blisko granicy. W ten sposób Wschód popełnił najgorszą możliwą zbrodnię: przyjął córkę Zachodu jako własną.

Zawsze zastanawiałem się, co myśleli sobie Tamerlainowie, którzy ją przyjęli. Może nie chcieli, żeby moja siostra dorastała tak blisko granicy, gdzie Zachód i jej prawdziwy klan mógłby pewnego dnia przemówić do jej krwi? Może nie wiedzieli, że jest ich największym wrogiem, dzieckiem zachodniego lairda? Opiekun nie chciał tego powiedzieć, a na moje pytanie, gdzie Cora

mieszka teraz na Wschodzie, uśmiechnął się tylko i odpowiedział: breccański druid rzekł kiedyś, że jest przeznaczona do wielkości na Zachodzie – musiał źle odczytać gwiazdy.

Początkowo mu nie wierzyłem, brałem to za słowa człowieka na wpół obłąkanego od samotności w lesie; postanowiłem jednak odnaleźć moją siostrę. A czy może być lepszy sposób niż przemierzanie Wschodu i słuchanie plotek, które niesie wasz wiatr?

Przychodziłem tu wiele razy, korzystając z sekretu rzeki i wzmocniony Orenną; poznałem wasze ziemie, słuchałem wiatru. Wkrótce dowiedziałem się o dziedzicze: jedynym żyjącym dziecku lairda. Nazwali cię Adaira, dziewczyno o włosach barwy księżycy i oczach w odcieniu morza. Pokochali cię. Pomyślałem, to nie może być moja siostra, lecz pewnego dnia cię ujrzałem. Wędrowałaś sama po wzgórzach i wiedziałem, że to jesteś ty, Coro.

– Dość! – huknął głos Torina. – Dość tych bredni! Trzeba przyznać, że umiesz łągać, Breccaninie! Ucisz go, kuzynko!

Adaira siedziała nieruchoma jak głaz, oddech miała płytki, a serce biło jej w gardle. Zignorowała jednak Torina i ból, który niosły słowa Moraya, i spytała, wytrzymując jego spojrzenie:

– Dlaczego więc porywałeś córki Tamerlainów?

– Chciałem powiedzieć ci o tym w czasie tamtego spotkania w jaskini – powiedział Moray. – Kiedy po raz pierwszy napisałaś do mnie o handlu, dało mi to nadzieję; to był znak, że jesteś gotowa wrócić do domu. Chciałem powiedzieć ci całą prawdę, żebyś zrozumiała, dlaczego pragnąłem zemsty. Dlaczego zdecydowałem się zadać cios sercom twojego klanu. Ale nie ja powinienem był o tym mówić. Porwałem waszą dziewczynkę w nadziei, że to zwróci uwagę wschodniego lairda, że dzięki temu zrozumie, co się dzieje, i wyjawi, kim naprawdę jesteś. Lecz on nie zrobił nic, więc zabrałem kolejną. Postanowiłem porywać je dopóty, dopóki ktoś na Wschodzie w końcu zdradzi sekret i wyzna prawdę. Nie sądziłem jednak, że to potrwa tak długo, że Tamerlainowie będą tak zawzięci i uparci. Nie sądziłem, że laird odejdzie, zabierając sekret do grobu. Nie sądziłem, że to ja będę musiał opowiedzieć twoją historię, patrząc ci w twarz, gdy będziesz ją poznawać. Ale taka jest prawda i tym właśnie jesteś: panią Wschodu, która urodziła się na Zachodzie.

Moray przerwał i dokończył łagodnie:

– Przybyłem, by zabrać cię do domu, Coro.

Adaira wmawiała sobie, że nic nie czuje i że weźmie Moraya do niewoli, lecz jego opowieść była jak cios – nie mogła ignorować sińca, jaki zostawiła. Ta historia była jak miecz i nie mogła nic poradzić na to, że właśnie przeciął jej serce na pół. Była jak zasłona zerwana z oczu i Adaira widziała teraz swą przeszłość z innej perspektywy, nawet jeśli była brzydka, absurda i straszna.

Opowieść Moraya Breccanina dobiegła końca i wszyscy czekali na to, co zrobi Adaira, zaś ona przypominała sobie duchy. *To ona*, mówiły, gdy widziały ją na brzegu i świętym wzgórzu. *To ona*. Wiedziały, kim jest naprawdę: dzieckiem Zachodu, wychowanym przez swoich wrogów. Być może duchy przyglądały się jej życiu miesiąc po miesiącu, rok po roku, oczekując tej chwili.

– Wrócisz ze mną do domu, Coro? – spytał ponownie Moray. – Jeśli tak, dzieci, które zabrałem, zostaną zwrócone ich rodzinom – całe i zdrowe. Tak jak opiekowano się tobą tutaj, na Wschodzie, my zajmowaliśmy się waszymi dziećmi na Zachodzie. Chodź, sestro! Tam czeka cię lepsze życie, wśród twoich ludzi, w miejscu, do którego należysz. Niech ta wymiana odbędzie się bez rozlewu krwi.

Torin podszedł do Moraya z tyłu i nie czekając na rozkaz Adairy zakneblował Breccanina mocnym szarpnięciem; Moray skrzywił się.

Ale cisza zadźwięczała jeszcze głośniejsze niż słowa i Adaira poczuła na sobie ciężar wszystkich spojrzeń. Mirin i Frae. Sidry i Torina. Strażników. Moraya. *Jacka*.

Nie wiedziała, co robić. Nie wiedziała, czy powinna uznać roszczenia Breccanina, czy je wyśmiać. Ale przecież krew ciągle płynęła, zbierając się na podłodze u jego stóp. Mówił prawdę... Adaira wstała.

– Torinie, eskortuj więźnia do lochów Sloane – zarządziła.

Stała z boku, kiedy Torin znów zasłonił oczy Moraya, odwiązał go od krzesła. Strażnicy otoczyli Breccanina i wywlekli go z chaty na podwórze, gdzie czekały konie.

Adaira podążyła za nimi; nie chciała patrzeć ani na Torina, ani na Sidrę, ani na Jacka. Nie chciała widzieć wątpliwości i podejrzeń w ich oczach, tego, jak ta wiadomość zmienia sposób, w jaki ją widzą.

– Adaira – szepnął Jack w jej włosy i delikatnie ujmując jej ramię, odwrócił ją w swoją stronę. – Dokąd idziesz?

Patrzyła na jego pierś, jego tartan; nie wiedziała, czy nosił swoją połówkę monety. Nigdy nie widziała jej na jego szyi i zastanawiała się, czy po prostu chował ją pod tuniką, czy też wolał jej nie nosić.

Teraz już nie miało to znaczenia.

Dotarło do niej, że będzie musiała zerwać ich *handfast* i pozwolić mu odejść, skoro nie była tą, za którą ją uważał. Jack nieumyślnie związał się z wrogiem... Prawda o własnym pochodzeniu powoli wżerała się w jej duszę, siejąc spustoszenie; wydłużała się lista rzeczy, które powinna zrobić, ale przede wszystkim musiała zamknąć Moraya w lochu.

– Eskortuję więźnia z Torinem – odparła bez emocji.

– Pozwól mi iść z tobą – rzekł Jack.

Nie chciała, żeby był obok niej. Chciała być sama, chciała szlochać i krzyczeć bez świadków. Zatopić się w bólu spowodowanym tym, że całe jej życie było kłamstwem.

– Zostań z mamą i siostrą – powiedziała, oblizując wargi. Czowała się sparaliżowana, złamana aż do samego rdzenia. – Powinieneś być z nimi po tym, co się stało, i sam musisz odpocząć. Najgorsze jest dopiero przed nami.

Wsiadła na konia i zebrała wodze; Torin czekał na jej skinienie i ruszyli na wschód, z Morayem Breccaninem w centrum ich zwartej formacji.

Adaira czuła na sobie wzrok Jacka, ale nie potrafiła odwrócić się i popatrzeć na niego.



Jack patrzył, jak Adaira odjeżdża, zupełnie odrętwiały, oszołomiony. Działanie toniku właśnie ustępowało, poczuł łomot w skroniach.

Nie miał pojęcia, co robić, ale wiedział, że chce być z Adairą. Przeciągnął dłońmi po twarzy, oddychając przez chwilę, podczas której myślał, żeby dogonić swoją żonę, biec za nią pieszo.

– Jack.

Odwrócił się do Sidry. Stała na podwórku za nim, z troską ściągając swoje ciemne brwi.

– Dla twojej mamy to wszystko było szokiem. Postawiłam czajnik na ogniu i zostawiłam napar uspokajający, ale myślę, że musisz z nią posiedzieć, póki nie poczuje się lepiej.

Nie pomyślał nawet o swojej matce, o tym, jak przeżyła to wyznanie Moraya; był zupełnie pochłonięty Adairą.

– Tak, tak, oczywiście – przyznał i pospieszył do środka.

Światło wciąż było słabe, ale widział Mirin: siedziała na podłodze przed paleniskiem, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa; Frae biegała wokół niej, próbując ją podnieść.

– Jack! – zawołała na jego widok. – Mamie coś się stało!

– Wszystko dobrze, Frae – uspokoił ją Jack. Delikatnie podniósł Mirin i posadził; popatrzył na Sidrę niepewnym wzrokiem.

Uzdrowicielka wzięła małą za rękę, uśmiechnęła się.

– Frae? Chcesz potowarzyszyć mi dzisiaj w pracy? Mam dwóch pacjentów, których muszę odwiedzić, niedaleko stąd. Potem możesz pomóc mi z ziołami, a później przygotujemy coś do jedzenia dla Jacka i twojej mamy.

Strach na twarzy Frae ustąpił zachwytowi.

– Och, naprawdę, Sidra?

– Tak, bardzo bym chciała, żebyś ze mną poszła. Pod warunkiem, że mama i brat ci pozwolą.

Jack zerknął na bladą twarz i szklane oczy Mirin. Chyba nie słyszała nawet jednego słowa.

– Oczywiście. – Zmusił się do uśmiechu. – Myślę, że to brzmi bardzo miło, Frae. Weź swój tartan.

Frae rzuciła się do sypialni, a Jack odetchnął z ulgą.

– Nie wiem, jak ci dziękować – powiedział, gdy Sidra włożyła mu do rąk jeszcze dwie fiołki.

– Nie masz za co. To dla ciebie: zażyj, gdy ból powróci – wyjaśniła i spojrzała na Mirin. – Trzymaj mamę w cieple i spokoju, zioła jej pomogą.

Frae wpadła z powrotem do izby z tartanem w ręku. Jack zawiązał go jej przy szyi i odprowadził siostrę do drzwi.

Przez chwilę poczuł strach, spuszczając dziewczynkę z oczu, ale Sidra od razu wzięła ją za rękę, a pies podążył za nimi niczym gorliwy strażnik.

– Wrócimy za dwie godziny – obiecała uzdrowicielka.

Skinął głową, poczekał, aż cała trójka zniknie mu z pola widzenia, i dopiero wtedy zamknął drzwi.

Odetchnął kilka razy, oparty o drewno; zmęczenie powracało, ale nie miał czasu na odpoczynek.

Wierzył w opowieść Moraya Breccanina, wierzył w każde słowo, ale widział w tej historii luki, które mogła wypełnić tylko jego matka.

Czajnik syczał.

Jack zdjął go z ognia i zaparzył herbatę, dodając do niej zioła, które dała mu Sidra.

Nalał dwie filiżanki herbaty i jedną podał Mirin – na szczęście mogła ją utrzymać – a potem przykrył kolana matki kocem.

Usiadł naprzeciw niej, zaczekał, aż Mirin weźmie kilka łyków.

Powoli powracała do życia i rumieniec rozkwitał na jej policzkach; Jack westchnął z ulgą.

– Mogę cię o coś spytać, mamó?

Mirin popatrzyła na niego. Siedziała przygarbiona, skulona, jakby z bólu, jednak głos miała spokojny i wyraźny:

– Tak, Jack.

Wziął oddech wraz z zapachem herbaty i naciągniętej na krosno wełny. Ile ta mała chatka na wzgórzu, zbudowana z kamienia, drewna i strzechy, widziała w swoim życiu? Co powiedziałyby ściany, gdyby mogły mówić? Jakich historii strzegły?

– Tamtej nocy, gdy opiekun Aithwood przekroczył granicę klanu z córką Breccan w ramionach... przyszedł wtedy do ciebie, prawda? – powiedział Jack. – Mój przyszły ojciec przyniósł malutką Adairę tobie.

Z oczami błyszczącymi od łez i dwóch dekad tajemnic Mirin wyszeptała:

– Tak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY



W Sloane zebrał się tłum.

Kordon ze związanym Morayem zbliżał się do zamku i Torin poczuł jeszcze większy niepokój. Przez całą drogę Adaira unikała jego wzroku; zerkał na nią co jakiś czas, a jej twarz wydawała się wykuta ze stali. Przejechali przez bramę.

Gdy Breccanin pojawił się na ulicach, w ludziach zapłonął gniew i rozchodził się jak ogień.

Torin wstrzymał konia, gdy Una Carlow przepchała się przez tłum, patrząc na Adairę.

– Czy to prawda, lairdess? – Głos kowalki ciął powietrze. – Czy to prawda, że jesteś córką Zachodu? Breccanką?

Adaira zbladła jak ściana. Spojrzała na Torina, a jego uderzyła straszna świadomość.

Uchylił okiennicę w sypialni Jacka, kiedy rozmawiali, a potem, rozwścieczony, zupełnie o niej zapomniał. Opowieść o pochodzeniu Adairy musiała się wysączyć przez tę szczelinę i dosięść wiatru. Nie tak Torin wyobrażał sobie przekazywanie prawdy ich klanowi... Padało coraz więcej pytań, pełnych szoku i nieufności. Torin błyskawicznie zawrócił konia, by zasłonić kuzynkę.

– Eskortuj Moraya do lochów – rozkazał najbliższemu strażnikowi. – Dopilnuj, żeby nie stała mu się krzywda.

Zrobiło się zamieszanie. Strażnicy ruszyli do przodu z Morayem, zmuszając ludzi do rozstąpienia się, Adaira siedziała nieruchomo na swoim koniu pośród narastającego zgiełku, a Torin torował sobie drogę do niej; jego ogier prawie stratował kilka osób.

Do Adairy precyzyjnie się teraz chłopcy Elliottów, starsi bracia Elizy.

– Przez cały ten czas wiedziałaś, że to Breccanie kradną nasze dzieci! – krzyczał młodszy, żyły wystąpiły mu na skroniach. – Wiedziałaś i potajemnie

handlowałaś z wrogami!

– No jasne! – prychnął starszy. – Oddawała im nasze dobra w nagrodę za to, że ukradli nam siostrę!

– To nieprawda! – zawołała Adaira, ale głos jej się załamał.

– Bratałaś się z naszymi wrogami!

– Czemu mielibyśmy ci wierzyć? Zrobiłaś z nas głupców i kłamałaś przez całe lata!

– Z kim tak naprawdę trzymasz?

Komentarze i pytania wzbijały się i wirowały jak wichur. Adaira próbowała odpowiedzieć, złagodzić niepokój i gniew ludzi. Ale ją przekrzykiwali.

Na duchy dołu, jęknął w duchu Torin. Klan wiedział o handlu, bo ten idiota Moray wspomniał o ich potajemnym spotkaniu. Ludzie znali tylko część prawdy i zwrócili się przeciwko Adairze, choć tak naprawdę chciała jedynie pokoju i dobra Tamerlainów.

– Cisza! – krzyknął Torin.

I zdumiony patrzył, jak tłum go posłuchał, jak ludzie patrzyli teraz na niego, a on nagle nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Mamy w lochach sprawcę porwań – zaczął. – Sprawcę, który działał na własną rękę, bez wiedzy i pomocy Adairy.

– A co z tym potajemnym handlem, w którym brała udział? – krzyknął Elliott. – Co ze sprawiedliwością dla naszej siostry? Dla innych dziewcząt, których wciąż nie ma?

– Sprawiedliwość zostanie wymierzona – rzekł Torin. – Ale najpierw musicie pozwolić mnie i waszej lairdess dotrzeć szybko i bezpiecznie do zamku, gdzie będziemy mogli dokończyć sprawę i sprowadzić do domu pozostałe dziewczęta.

Tłum rozstąpił się, robiąc przejście.

Adaira nadal siedziała nieruchomo. Torin sięgnął po jej wodze, poprowadził oba konie do przodu. Nie rozluźnił się nawet wtedy, gdy dotarli na bezpieczny dziedziniec zamku.

– Adi... – zaczął, patrząc, jak zsiada z konia.

– Nic mi nie jest, Torinie – odparła, bardzo blada. – Idź i zobacz, co się dzieje z Morayem. A potem przyjdź do biblioteki, chcę omówić z tobą pewne

sprawy.

Torin skinął głową i osobiście eskortował Moraya na dół, do najzimniejszej i najbardziej wilgotnej celi w podziemiach zamku.

Zapalono pochodnie, strażnicy przeszukali więźnia i znaleźli w cholewce buta ukryty dirk. Morayowi zdjęto opaskę z oczu i wyjęto knebel; rozejrzał się i zobaczył kamień, żelazo i słabe światło ognia.

Jego nadgarstki i kostki zostały przykute kajdanami do ściany.

– Chcę rozmawiać z Adairą! – zażądał, ale w tym momencie drzwi zatrzęsnięto i zaryglowano.

– Porozmawia z tobą, gdy zechce – odpowiedział mu Torin.

Wyzначył pięciu strażników do pilnowania i wyszedł z lochów.

Nareszcie, pomyślał Torin. Nareszcie znaleźli porywacza dziewczynek, a on wiedział już, gdzie jest Maisie. Nareszcie uwięził winnego w lochach. A jednak serce miał ciężkie jak z ołowiu. Dzień zaczął się nadzieją – odzyskał głos, rozmawiał z Sidrą, układał plany... A to jedno wyznanie zmieniło wszystko.

Adairę zastał przy biurku jej ojca. Pisała list.

Torin przez chwilę przyglądał jej się uważnie, jakby się spodziewał, że się zmieniła. Próbował odnaleźć wrogie ślady w jej twarzy, kolorze włosów, charakterze pisma... Ale nie, wciąż była jego kuzynką, tą samą Adairą, z którą dorastał, chroniąc ją i adorując. Miał gdzieś jej pochodzenie, kochał ją i zawsze będzie o nią walczył.

– Piszę do Innes – powiedziała, zanurzając pióro w atramencie. – Chcę, żebyś przeczytał potem ten list i go zatwierdził.

Torin przestąpił z nogi na nogę.

– Dobrze – powiedział, przeczuwając najgorsze. – Ale nie potrzebujesz mojego zatwierdzenia, Adi.

Dźwięk tego zdrobnienia zatrzymał ją. Torin czekał, aż Adaira odetchnie, aż popatrzy na niego i powie, co dręczy jej umysł... Ale ona po chwili znów zaczęła pisać.

Wkrótce skończyła, wstała i podała mu pergamin.

Droga Innes,

Dziedzic Zachodu wtargnął na Wschód w złych zamiarach. Nie miałam wyboru, musiałam sprowadzić Twojego syna do twierdzy, gdzie zostanie do czasu, aż uda nam się ustalić ważną sprawę między naszymi klanami. Chciałabym spotkać się z Tobą jutro o wschodzie słońca przy północnym drogowskaziu. Nie mogę Cię prosić, abyś przyszła sama albo bez broni, ale zależy mi, żeby nasze spotkanie było pokojowe. Nie chcę przelanej krwi ani straconych istnień, ponieważ tę kwestię podgrzewa ogień emocji.

Ufam, że jeśli spotkamy się twarzą w twarz, zdołamy osiągnąć porozumienie, które zadowoli nasze klany. Będę czekać na Ciebie jutro o świcie.

Z poważaniem,

Adaira Tamerlain

Lairdess Wschodu

Torin westchnął.

– Co to za porozumienie?

– Jeszcze nie wiem; chcę zobaczyć, jak bardzo Innes rozgniewa wiadomość, że jej syn i dziedzic jest uwięziony i winny kradzieży dzieci, a zaginiona córka żyje i ma się dobrze.

Torin badał jej twarz, gdy wpatrywała się w pergamin w jego rękach, i szepnął:

– Spójrz na mnie, Adi.

Spojrzała. I zobaczył w jej oczach strach, jakby spodziewała się odrzucenia.

– Nie obchodzi mnie, jaka krew w tobie płynie – rzekł. – Jesteś nasza i koniec.

Skinęła głową, ale widział, że nie znalazła w tym pocieszenia.

– Cokolwiek stanie się jutro, myślę, że musimy być gotowi na konflikt na granicy.

– Wyślę tam wsparcie. – Torin oddał jej list. – I, rzecz jasna, zatwierdzam, co napisałaś.

Adaira złożyła pergamin i zapieczętowała, wciskając w wosk swój sygnet z herbem Tamerlainów, a potem – jeszcze ciepły od wosku – zdjęła go z palca.

Torin poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy, gdy podeszła i podała mu złoty pierścień, czekała, aż go przyjmie.

– Co robisz? – rzucił ostro. – Nie chcę go.

– Nie mogę nadal stać na czele klanu, skoro nawet nie wiem, kim jestem.

– Jesteś Tamerlainem, Adi. I jedna szalona opowieść naszego wroga tego nie zmienia.

– Nie zmienia – przyznała smutno. – Ale przeszła już serca klanu i straciłam zaufanie ludzi. Ciebie będą słuchali, Torinie. Jesteś ich obrońcą, krwią z krwi. Po jutrzejszym spotkaniu z Innes i po zawarciu porozumienia ogłoszę, że przekazuję ci status lairda; mam nadzieję, że na Wschodzie znów zapanuje spokój.

Torin patrzył na nią i widział, jak kontury Adairy się rozmywają, zamrugał, nim łzy zdążyły spaść. Co to było za porozumienie, o którym ciągle mówiła? Dlaczego sama myśl o nim go przerażała?

– Proszę cię, Torinie – wyszeptała. – Włóż pierścień.

Wiedział, że miała rację. I nienawidził tego.

Nienawidził tego, że ich życie się rozpada, a on nie może zrobić nic, by to powstrzymać.

Nienawidził tego, że ona ustępuje.

I że teraz on będzie musiał nieść ten ciężar.

Ale spełnił jej prośbę, wykonał ostatnie polecenie swojej lairdess; wsunął pierścień na palec.



Adaira wycofała się do swoich komnat, zamknęła drzwi i w końcu opuściła gardę.

Osunęła się na podłogę i szlochała na dywanie, aż poczuła się zupełnie pusta.

Tak bardzo tęskniła za rodzicami, tak chciałaby z nimi porozmawiać...

Leżała i patrzyła, jak światło słońca przesuwają się po podłodze w miarę upływu godzin.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi i Adaira zmusiła się do wstania.

Otworzyła i ze zdumieniem ujrzała za progiem dwóch strażników. Pojawili się z polecenia Torina, żeby ją chronić? Zostali wyznaczeni, by mieć na nią oko, nie pozwolić wyjść?

– Przybyła wiadomość – oznajmił jeden z nich i podał jej pergamin.

Wiedziała, że to od Innes... Przyjęła list, zamknęła drzwi i złamała pieczęć. Odpowiedź lairdess Zachodu była zaskakująco lakoniczna.

Zgadzam się na Twoje warunki, Adairo. Zobaczymy się o świcie.

I.L.B.

Adaira wrzuciła list do ognia i patrzyła, jak obraca się w popiół, aż jej wzrok przykuł czerwony tartan na oparciu fotela do czytania. Lorna podarowała jej ten szal lata temu, poprosiła Mirin o wplecenie we wzór jednego z jej sekretów.

Adaira czuła się zmęczona sekretami, wykończona kłamstwami. Nienawidziła tego, że przez lata nosiła jedno z nich wokół ramion.

Chwyliła tkaninę, miękką i znoszoną po latach dawania ochrony przed wiatrem, hulającym na wzgórzach. Pociągnęła z całą furią i udręką, jaką czuła. Czar prysł i materiał rozdarł się w jej rękach.



Kiedy wsparcie przybyło, by pilnować rzeki w dolinie niedaleko domu Mirin, było późne popołudnie. Jack czuł, że musi porozmawiać z Adairą. Zostawił więc matkę i Frae pod ochroną Straży Wschodu i powoli przemierzał wzgórze prowadzące do Sloane, bo wciąż czuł się słabo. Umył się w pobliskim jeziorze, opiłował połamane paznokcie, ale w dłoniach nadal czuł drżenie. Ile czasu upłynie, zanim znów będzie mógł grać?

Cały ten dzień był dziwny, niemal jak ze snu, jakby jedna pora roku rozkwitła i umarła w ciągu kilku godzin.

Gdy wszedł do Sloane, cienie zgęstniały u jego stóp, a wieczór ulegał powoli ciemnej nocy.

Nie wiedział, czego ma się spodziewać, ale zaskoczył go nastrój wrogości w mieście. Szedł wśród plotek i szeptów, a większość z nich dotyczyła Adairy – tego, kim była i co klan chciał z nią zrobić. Niektórzy uważali, że od zawsze wiedziała, kim jest, i świadomie ich oszukała. Inni współczuli jej trudnej

sytuacji, jeszcze inni twierdzili, że powinna stanąć przed sądem i udowodnić swoją lojalność wobec klanu albo zrezygnować ze stanowiska lairdess jak najszybciej, ale dopiero gdy zapewni powrót trzech dziewczynek do domu.

Zaniepokojony poszedł głównym korytarzem do komnaty Adairy i odkrył, że stoją tam strażnicy. Nie wiedział, czy mieli ją chronić, czy raczej trzymać w zamknięciu; wślizgnął się do swojego pokoju i zarygłował za sobą drzwi, a następnie tajnym korytarzem podszedł do Adairy.

Staął pod pajęczynami i delikatnie zapukał w panel.

– Adaira?

Cisza. Gdy próbował w ciemności wymacać zamek, usłyszał, jak panel odskakuje, i padła na niego smuga światła – Adaira otworzyła mu drzwi.

Miała na sobie tylko cienki szlafrok, rozpuszczone, wilgotne włosy leżały na ramionach. Jack spał się; poczuł zapach lawendy i miodu na jej skórze, w rogu pokoju zauważył miedzianą wannę.

– Przeszkadzam? – spytał cicho, żałując, że zjawił się nie w porę.

– Właśnie skończyłam. Wejdz, Jack. – Odsunęła się, wpuszczając go do środka; bard przestąpił próg.

Zapanowała cisza. Jack nie mógł oderwać wzroku od Adairy.

Tyle chciał jej powiedzieć, a jednak to, jak teraz wyglądała, zaskoczyło go. Patrzył na rumieniec na jej policzkach, na mokre ślady, jakie zostawiły na szlafroku włosy. Śledził ją wzrokiem, gdy podeszła do ognia, bosą, nie patrząc na niego, nie odzywając się, jakby stała tu sama. Sięgnęła po butelkę wina na stoliku i nalała sobie kieliszek. Dopiero wtedy przerwała ciszę.

– Jak sądzę, życzysz sobie, żeby nasz *handfast* został unieważniony. Będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobię jutro rano.

– Dlaczego miałbym sobie tego życzyć? – odparował.

Ostry ton przyciągnął jej wzrok. Wpatrywała się w niego, dopiero teraz spostrzegając, jak wyglądał: że przyszedł do niej w swoim najlepszym ubraniu, tym, w którym jej ślubował.

– Nie wiedziałeś, że wychodzisz za wroga – oznajmiła.

– Nie – rzekł delikatnie. – Nie wiedziałem.

Zmrużyła oczy i napiła się wina.

– Za to ja wiem, że ludzie o mnie mówią i nie mówią dobrze. Powinieneś jak najszybciej się ode mnie odciąć, Jack. To nie może się dobrze skończyć.

Jack znalazł się przy niej, wziął ją za rękę; tym razem palce miała gorące, jakby płonęła w środku. Zauważył, że nie ma sygnetu, i ogarnął go niewypowiedziany smutek – pojął, że zdjęła go z własnej woli. Podniósł wzrok – stała przed nim sztywna, zmrożona, gotowa na odrzucenie.

– Pozwól im – rzekł. – Niech gadają. W tej chwili liczymy się tylko ty i ja. I to, co dla nas jest prawdą.

Zacisnęła powieki – kiedyś to ona mówiła mu te słowa, tamtej nocy, gdy uklękła przed nim i się oświadczyła.

– Przerażasz mnie, Jack.

– Czyżbym się za często uśmiechał?

Prawie udało mu się ją rozbawić.

– Nie, twoja reakcja na tę wiadomość. Powinieneś robić mi wyrzuty, nazwać mnie swoim wrogiem. Nie powinieneś trzymać mnie za rękę.

Splótł ich palce jeszcze mocniej, przyciągnął ją do siebie.

– Myślisz, że obchodzi mnie to, gdzie się urodziłaś, Adairo?

– Powinno.

– Czy robiłoby ci różnicę, gdybym to ja urodził się na Zachodzie?

Westchnęła.

– Może kiedyś, dawno temu – tak. Ale zmieniłam się i ledwie się rozpoznaję. Nie wiem już, kim jestem.

Jack przesunął palcami po jej policzku, uniósł jej podbródek, by na niego spojrziała.

– W historii Moraya Breccanina brakuje kilku fragmentów. Dość istotnych. Chciałbym, byś je poznała.

Przyglądała mu się w milczeniu. Czekwała.

– Opiekun Aithwood mógł oddać cię twoim rodzicom krwi tamtej fatalnej nocy – zaczął Jack. – Ale wtedy złamałby prawo: zabroniono mu przynosić cię z powrotem i bał się, że wtedy i ty, i on umrzecie.

Znalazł rzekę i szedł nią, brocząc krwią. Niósł cię w ramionach i chciał zabrać cię do swojego domu, by zastanowić się, co zrobić dalej. Drzewa poruszały nad nim gałęziami, woda prowadziła go w dół rzeki i chyba

wszystkie duchy, nawet gwiazdy, płonące wysoko w niebie, kierowały go na Wschód. Wszedł z rzeki w nieznaną dolinę, spojrzął w górę i zobaczył chatę na wzgórzu, w której światło ognia sączyło się przez okiennice. Nie wiedział, że mieszka tam samotna tkaczka, młoda i poślubiona tajemnicom, i że często do późnej nocy tka na krośnie.

Odważył się zapukać do jej drzwi, a ona wpuściła go pomimo niebieskiego tartanu i sinych tatuaży – trzymał na rękach niemowlę i prosił ją o pomoc. Mirin mówi, że w chwili, gdy cię wzięła w objęcia, jej serce podskoczyło z radości – że to było zupełnie tak, jakby nagle odnalazła zaginiony kawałek siebie. Breccanin pomyślał, że to dobra kobieta, która pokocha tę dziewczynkę jak własną córkę i zapewni jej troskliwą opiekę. Zostawił cię z moją mamą, wierząc, że już nigdy nie przekroczy tej rzeki.

Ale wrócił jeszcze tego samego dnia, żeby sprawdzić, jak się miewacie – ty i ciemnooka tkaczka. Poznał sekretną słabość granicy klanu, więc odwiedzał kobietę często, jakby sznur przywiązał go do tej chaty na wzgórzu, ciągnął na Wschód. Martwił się, bo byłaś bardzo mała, a mama nie wiedziała zbyt wiele o noworodkach. Nie miała innego wyjścia, musiała wtajemniczyć Sengę Campbell; uzdrowicielka zrobiła wszystko, żeby pomóc ci rosnąć.

I chociaż moja mama nie myślała o tym, żeby cię oddać, i trzymała w tajemnicy kilka tygodni, Senga powiedziała jej, że wszystko wskazuje na to, że Lorna Tamerlain będzie miała komplikacje przy zbliżającym się porodzie. Spytała, czy Mirin odda cię lairdowi i pani Wschodu, którzy tak bardzo pragnęli potomka. Moja mama się zgodziła.

Poród – tak, jak przewidziała uzdrowicielka – był długi i bardzo ciężki, a dziecko urodziło się martwe. Senga mówiła, że w komnacie wszyscy płakali, rozpaczali tak, jakby ich serca zostały ostatecznie złamane i nic nie mogło ich uleczyć. Opłakiwali nieżyjące dziecko, pogrążeni w bólu, a Senga bała się, że już nigdy się z niego nie podniosą. Ale wtedy Mirin przyniosła zakutane zawiniątko. Płakałaś, moja matka położyła cię na rękach wyczerpanej Lorny i w tej samej chwili ucichłaś zadowolona. Mirin mówi, że właśnie wtedy zrozumiała, że masz do nich należeć. Wszyscy, którzy byli w tej komnacie, postanowili, że utrzymają twoje pochodzenie w tajemnicy i pozwolą klanowi wierzyć, że jesteś rodzoną córką Lorny i Alastaira.

Należałaś do nich, w ślubach i miłości. Nie obchodziło ich, że jesteś z Zachodu – uzdrowiłaś ich i przyniosłaś radość. Wniosłaś śmiech i życie w ponure niegdyś korytarze zamku i całemu Wschodowi dałaś nadzieję.

A moja mama... uspokoiła się, choć z początku ogromnie za tobą tęskniła. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że zaledwie osiem miesięcy później będzie miała własnego syna.

Zrobił pauzę, zaskoczony drzeniem własnego głosu; Adaira podniosła rękę, położyła mu ją na policzku i Jack wiedział, że zaczyna go widzieć tak, jak i on widział ją. Nici, które ich łączyły.

– Mój ojciec był opiekunem Aithwood i przyniósł cię na Wschód, bo wiedział, że tu będziesz bezpieczna i kochana – mówił dalej i wyjawienie tego sekretu do końca przyniosło mu wyzwolenie. Z jego piersi spadł ciężki kamień; Jack zadrżał, czując przestrzeń, którą zostawił, czekając na wypełnienie. – Dzięki twojemu życiu powstało moje – nie przyszedłbym na świat, gdybyś urodziła się na Wschodzie. Jestem tylko wersem zainspirowanym twoim refrenem i będę podążał za tobą do końca, aż wyspa zabierze moje kości, a moje imię nie będzie niczym więcej niżli wspomnieniem na nagrobku – tuż obok twojego.

Adaira uśmiechnęła się, łzy błyszcząły w jej oczach. Czekał, aż przerwie ciszę, która zapanowała, tę jasną i upojną chwilę, która mogła stać się wszystkim. Czekał i wiedział, że mogą uznać ten dzień za swój, w pełni i bez ograniczeń, z całą jego krwią, bólem i tajemnicami. Z ranami, bliznami i niepewną przyszłością. On uznał już ten dzień za swój własny i czekał, aż wyboru dokona Adaira.

– Jack... – wyszeptała w końcu ciężkim od emocji głosem i objęła go.

Jack odetchnął i schował twarz w wodospadzie jej włosów.



Adaira poprosiła, żeby Jack został z nią tej nocy; nie wyczuła w nim żadnych oczekiwań, tylko ciche zadowolenie. Że może zostać w jej towarzystwie, odcięty od szaleństwa świata poza komnatą, choćby tylko na kilka rozgwieżdżonych godzin.

Wciąż myślała z zachwytem o jego słowach – słowach, które połączyły ich bardziej niżli wygłoszone wcześniej przysięgi.

Otworzyła okno, zapraszając do środka ciepłą, letnią noc.

Przez chwilę mogła się oszukiwać: patrzeć na pogrążoną w ciemności wyspę i wierzyć, że ojciec nadal żyje, że wciąż może go spotkać przy kominku w bibliotece, a jej matka siedzi obok niego ze swoją harfą,

wypuszczając spod palców kaskady nut. Przez chwilę była Adairą Tamerlain, która zawsze przynależała do tej ziemi.

Ale te myśli rozsypały się w popiół, gdy zrozumiała, że już nie chce takiego życia. Chciała prawdy. Chciała poczuć jej dotyk na swojej skórze, chciała ją wziąć w ramiona. Chciała uczciwości, nawet jeśli wbijała jej w duszę szpony.

Odwróciła się, widząc, jak Jack ją obserwuje; do komnaty wślizgnęła się ciepła bryza, poruszając jej białymi włosami.

– Dziwne uczucie – wyszeptała. – Nie wiedzieć, do której strony przynależę.

– Do obu – odpowiedział. – Jesteś Wschodem, tak samo jak Zachodem. Jesteś moja, tak samo jak ja jestem twój.

Szła do niego i spotkali się pośrodku komnaty, tam, gdzie cienie tańczyły na podłodze.

Jack rozwiązał pasek trzymający jej szlafrok, wsunął dłoń, muskając leciutko jej ciało, z czcią w oczach, zostawiając na skórze dreszcz. A potem pocałował ją mocno i z pasją, która wypełniła w niej całą pustkę, z namiętnością, której tak pragnęła – i wiedziała już, że oboje czują to samo. Zbliżali się do łóżka w rytmie swoich oddechów i zrzucanych ubrań, a ich imiona splatały się ze sobą, jakby czas miał się na nich skończyć. A potem Jack odsunął się lekko, żeby móc w pełni zobaczyć ją na łóżku, sunął dłonią po jej żebrach. Jego połówka monety złapała światło, wisiała na długim łańcuszku na jego szyi.

– Cokolwiek przyniosą nadchodzące dni, jestem z tobą – wyszeptał. – Jeśli chcesz odejść na kontynent, zabiorę cię tam. Jeśli chcesz pozostać na Wschodzie, też to zrobię. A jeśli zechcesz zapuścić się na Zachód, pozwól mi być u twego boku.

Nie mogła mówić, tylko skinęła głową, a Jack ucałował wnętrze jej dłoni, zimną bliznę po ostrzu prawdy. Teraz już zwolnił, jakby chciał delektować się każdą chwilą ich połączenia. Patrzył na nią, gdy odnalazł między nimi ten nowy rytm – pieśń, w której oboje mogli się zatracić, i było tak, jakby wydobywał muzykę z jej rdzenia.

Świece stopiły się do końca, w kominku ledwie tlił się żar, aż w końcu zostały już tylko konstelacje, księżyc i ciepły wiatr, ciche skrzydła

zachodniego ducha. Adaira i Jack – spełnieni i lśniący potem – zasnęli spleceni ze sobą w miękkiej pościeli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY



Frae śniła o rzece. Stała w niej, niepewna, czy powinna podążać za wodą w dół rzeki, czy raczej pójść pod prąd, żeby dotrzeć do domu. Widziała Moraya – z oddali zmierzał w jej stronę.

– Chodź ze mną, Fraedah – powiedział, a jej serce zatłukło się ze strachu.

Odwróciła się i pobiegła, ale woda spowolniła jej ruchy i dziewczynka wiedziała, że on ją złapie.

– Frae – warknął.

Bała się obejrzeć przez ramię, ale jego głos się zmienił, brzmiał dziwnie i dziewczynka pojęła, że sen się zrywa.

– Frae? Frae, zbudź się!

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą schyloną Mirin. Było ciemno i przez chwilę dziewczynka nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Ale usłyszała hałas za okiennicami, za ścianami ich domu, szcęk mieczy, krzyki i jęki. Chrapanie koni, uderzenia kopyt o ziemię. Odgłosy bólu i wściekłości.

– Mamo? – wyszeptała dziewczynka przerażona. – Mamo!

– Ciii – powiedziała Mirin, gładząc włosy Frae. – Pamiętasz zasady? – Wzięła ją za rękę i wyciągnęła z łóżka. Zaczarowany tartan Frae już położyła na ławie, miecz przypięła do pasa, jakby szykowała się na tę noc.

Frae czekała, aż matka zawiąże jej tartan na piersi, ale poczuła, że teraz było w nim coś innego, coś, czego nie umiała opisać; i pomyślała, że być może już nie jest zaczarowany.

Mirin bez słowa zaprowadziła Frae do izby, do kąta przy kominku, w którym migotał ogień. Dziewczynka siadła pierwsza, a matka odpięła miecz i usiadła przed nią jak tarcza. *To tylko sen*, pomyślała Frae, opierając się o plecy Mirin. A jednak nad ramieniem matki widziała cienie i światło ognia w pokoju, zaś gwałtowne dźwięki rozlegały się coraz głośniejsze, bliżej; Frae zaczęła płakać.

– Jesteśmy tutaj bezpieczne, Frae – powiedziała Mirin, ale głos miała schrypnięty i brzmiał w nim strach. – Nie płacz, kochanie. Jesteśmy silne i jesteśmy odważne. To się wkrótce skończy.

Frae chciała jej wierzyć, ale w głowie jej szumiało i mogła myśleć tylko o jednym: To tylko sen! Obudź się! Obudź...

Tylne drzwi otworzyły się z hukiem.

Breccańscy wojownicy włali się do domu jak powódź, niebieskie tartany miały kolor nieba tuż przed świtem. Frae przyłgnęła do Mirin i patrzyła, jak przeszukują dom. Zauważyli ją i matkę w kącie i miecz w rękach Mirin, lecz nie podeszli.

Frae rozpoznała kapitana Torina – po jego twarzy spływała krew, jakiś Breccanin przyciskał do jego gardła dirk.

To niedobrze. To bardzo źle, pomyślała Frae, i załkała, chowając twarz we włosach Mirin.

Wtedy w domu zrobiło się cicho i wszystko znieruchomiało, jakby zastygło w lodzie. Frae podniosła głowę, żeby zobaczyć, co się stało.

W komnacie stał wysoki mężczyzna, ubrany jak Breccanin, jednak było w nim coś innego. Twarz miał łagodniejszą, bardziej życzliwą, a włosy rude jak ogień, jak miedź. *Jak moje własne*, zrozumiała dziewczynka, ujmując koniec warkocza. Jego ręce były związane za plecami i Frae zastanawiała się, co takiego zrobił, że został więźniem własnego klanu.

Mężczyzna patrzył tylko na Mirin – z udręką.

Frae słyszała, jak matka wstrzymuje oddech i miecz wypada jej z rąk. Frae pociągnęła Mirin za koszulę, no przecież nie można upuszczać miecza!

– Mamo! – szepnęła szybko.

Ale zrozumiała, że jej matka jest bardzo daleko stąd: wpatrywała się w Breccanina, a Breccanin wpatrywał się w nią.

– Mirin... – rzekł mężczyzna głosem pełnym słodyczy, jakby wymawiał jej imię wiele razy wcześniej, jak szept, jak modlitwę... – Mirin.

Frae przeżyła szok. Więc się znali?

Mężczyzna popatrzył teraz na nią, na Frae, i teraz ona nie mogła oderwać od niego wzroku. W blasku ognia wyglądał inaczej, ale rozpoznała go – to on stał na podwórzu tygodnie temu, jego widziała, on wszedł do ogrodu ze swoim koniem i wpatrywał się w chatę przy świetle gwiazd.

Patrzył na nią i się rozpląkał. Szlochał głośno, jakby coś się w nim złamało; do oczu Frae też napłynęły łzy i nie wiedziała, czemu czuła się tak, jakby ktoś ją uderzył.

– Zobaczyłeś je – powiedział Breccanin z blizną na twarzy do rudowłosego mężczyzny: – Zgodnie z naszą umową. I legendy zapamiętają cię nie jako opiekuna, nie jako człowieka pełnego męstwa i siły, lecz jako głupca. Nazwą cię zdrajcą własnego klanu, Niallu Breccaninie. Człowiekiem, który nie dotrzymał przysięgi – rzekł i zwrócił się do stojących przy nim mężczyzn: – Zabierzcie go i zamknijcie.

Trzech wojowników otoczyło płaczącego mężczyznę, szarpnęli go i wywlekli z domu, nim Frae zdążyła obetrzeć łzy.

Zniknął, jakby nigdy go nie było.

Mirin drgnęła, jakby chciała pójść za nim; zaczęła pochylać się do przodu, wyciągnęła ręce, oddychała płytko. Frae ogarnął strach; złapała matkę za rękę, przytrzymała ją.

Breccanin z blizną na twarzy zaczął chodzić po izbie; obejrzał krosno Mirin, przesuwając po nim brudnymi palcami, spojrział na suche polne kwiaty pod sufitem, wreszcie na Mirin i Frae. Uśmiechnął się.

– Ten dom będzie w sam raz na wymianę. Wiatry działają tu tak samo jak na Zachodzie, prawda? Powiedz kapitanowi, żeby wezwał Corę. Czy powinienem nazywać ją na razie Adaira?

Torina postawiono na nogi i wywleczono przez frontowe drzwi na dwór.

Frae skuliła się w swoim kącie, trzymając się mocno Mirin. Matka płakała, dziewczynka bała się, ale pomyślała o Adairze i otarła łzy i nos. Słyszała wczoraj opowieść tego okropnego Breccanina, przywiązanego do krzesła. Słyszała każde słowo, choć z trudem udawało jej się wszystko razem powiązać.

Jedną rzecz wiedziała na pewno i ta świadomość otuliła ją jak ciepły tartan.
Adaira przyjdzie. Adaira ich uratuje.



Torin stał w ogrodzie Mirin, z ostrzem na gardle.

– Przywołaj ją – rozkazał mu Breccanin.

Torin nie potrafił sformułować jednej spójnej myśli. Krew ściekała mu z brody i czuł się oszołomiony, pokonany. Przeszli rzekę tak szybko, pokonali jego i strażników niemal bez wysiłku. Przygotował się na najgorsze, a oni ich zwyciężyli.

Ta klęska rozlała się w nim jak choroba, osłabiła od środka. Z trudem trzymał się na nogach.

– Przywołaj ją – powtórzył Breccanin, przyciskając dirk; Torin czuł ostrą stal na szyi.

Torin patrzył w gwiazdy i gdy poczuł, że obok nich płynie wiatr, wypowiedział jej imię i włożył w nie resztkę swojej nadziei.

– *Adaira...*



Adaira poruszyła się, niepewna, co ją obudziło. Jack leżał przy niej, oddech miał równie głęboki jak sen, jego ręka spoczywała na jej talii. Słuchała trzaskającej ciszy, patrząc, jak zasłony rozchylają się na lekkim wietrze w pogodną noc. Adaira poruszyła się leniwie, przesunęła nogą po nodze Jacka.

Prawie zasypiała, kiedy usłyszała to znowu: głos Torina. Wołał ją.

Zesztywniała.

Wiedziała, że Torin stacjonuje nad rzeką. Skoro ją wzywał, to Breccanie musieli przekroczyć granicę w nocy, nie zważając na jej umowę z Innes. Przybyli z zemstą.

– Jack – zawołała go, siadając na łóżku; jego ręka bezwładnie zsunęła się z jej brzucha. – Jack, zbudź się!

– Adaira? – wymruczał.

– Torin mnie wzywa.

Jack zastygł, słuchał, jak wiatr przynosi głos Torina po raz trzeci i ostatni.

– Jest na ziemi mojej matki? – spytał ochryple.

– Tak. Jedziemy tam natychmiast.

Jack zerwał się, w ciemności szukając rozrzuconych ubrań, Adaira zapaliła świecę i otworzyła szafę. Postanowiła przygotować się do walki: złapała wełnianą tunikę, skórzaną, nabijaną ćwiekami kamizelkę i zaczarowany brązowo-czerwony tartan. Przypinała go do ramienia, myśląc ze smutkiem, że

być może zakłada te kolory ostatni raz. Przełknęła ślinę i szybko zawiązała rzemienie pod kolanami.

– Gdy wchodziłeś, widziałeś strażników przy moich drzwiach? – Spojrzała na Jacka, który również skończył się ubierać i spojrział na nią.

– Tak.

– Mogą nie pozwolić mi wyjść.

– Mówisz poważnie? – zapytał z gniewem. – Nawet teraz, kiedy wzywa cię Torin?

Skinęła głową i gestem poprosiła, żeby stanął przy ścianie, poza zasięgiem wzroku, a potem odryglowała i otworzyła drzwi.

Jeden ze strażników się odwrócił.

– Czy możesz odsunąć się i pozwolić mi przejść? – zapytała.

– Dostaliśmy rozkaz dopilnować, byś została w swojej komnacie do odwołania – rzekł.

– Od kogo? Od mojego kuzyna?

Strażnik milczał, wolał nie odpowiadać. Nie musiał, i tak wiedziała, że Torin nie zamknąłby jej w tym pokoju. Uśmiechnęła się słabo do strażnika i zamknęła drzwi. Nie ufali jej i to zabolowało.

Jack już otwierał panel tajnych drzwi; złapała pelerynę, naciągnęła kaptur i poszła za nim do pokoju.

– Wątpię, czy wydadzą mi konia – powiedziała. – Ty idź do stajni, a ja wyślizgnę się z zamku; spotkamy się przy kuźni Uny.

Jack się zawahał. Czuła, że nie chce się z nią rozdzielać.

– Dobrze – powiedział jednak. – Znajdę cię tam. – Pocałował ją w czoło i wymknęli się na korytarz.

Biegli krętymi, cichymi korytarzami, aż w końcu się rozłączyli: Jack pobiegł do stajni, zaś Adaira do południowego skrzydła zamku. Wpadła do oświetlonego księżycem ogrodu, przemknęła bezszelestnie po ścieżkach; minęła drzwi prowadzące do wieży Lorny i dotarła do ukrytego przejścia w murze, porośniętego bluszczem.

Znaleźli je z Torinem, gdy byli dziećmi, pewnego długiego, nudnego lata; a raczej Adaira je znalazła i zgodziła się opowiedzieć o nim kuzynowi, gdy ten zauważył, że wymykała się z zamku, nie wzbudzając czujności straży.

Prowadziło do muru i kolejnych ukrytych drzwi, które miały ją wyprowadzić w pobliże kuźni.

Weszła do środka, rękami wymacując drogę w ciemności. Korytarz był wąski i zimny; powietrze pachniało wilgotną ziemią i kamieniami. Wreszcie uchyliła drzwi i wyszła na boczną uliczkę Sloane.

Kuźnia Uny stała pogrążona we śnie, Adaira zaczęła w cieniu na Jacka.

Przybył chwilę później na jej ulubionym koniu; odsunął się w siodle i Adaira usiadła z przodu.

Oddał jej wodze i objął ją mocno.

Przejechali senne uliczki, na których słała się mgła; wyjechali z miasta i zbczyli z traktu, wybierając drogę przez wzgórze. Tak jak na to liczyła Adaira, duchy przysły im z pomocą: cztery wzgórza przemieniły się w jedno, piętnaście kilometrów w pięć. Wschodni wiatr zjawił się za nią i Jackiem, wiał im w plecy, jakby byli żaglowcem na morzu, który musiał pchać.

Kiedy wreszcie zobaczyli w oddali światła Mirin, koń był już spieniony. Adaira zwolniła, próbując się uspokoić, pozwalając mu ochłonać. Przygotowała się mentalnie na to, co ją czeka, wygładziła splątane włosy. Nie wiedziała, co dokładnie zastanie w domu Mirin, ale jeśli wszystko rozegra się tak, jak zaplanowała... to mogła się nie obawiać. Zsiedli z konia pod dębem i podeszli do gospodarstwa pieszo.

Ręka Jacka odnalazła jej dłoń, spleli palce.

Adaira widziała ludzi na podwórzu: breccańscy wojownicy otoczyli chatę, a z boku, niedaleko obórki, stali Breccanie w pierścieniu oświetlonym pochodniami. Adaira zwolniła kroku. Napastnicy musieli pokonać Straż Wschodu. Nie widziała na ziemi żadnych ciał, widocznie wszystkich wzięto do niewoli.

– Stój – rozkazał jej jakiś głos, przerywając napiętą ciszę.

Adaira spojrzała na bramę i zatrzymała się; dwóch Breccan podeszło zdecydowanie, lecz gdy zobaczyli jej twarz w świetle księżyca, złagodnieli.

– To ona – odezwał się jeden z nich, opuszczając miecz. – Mamy ją przepuścić do drzwi.

Ruszyła znowu, ciągnąc za sobą Jacka, a spojrzenia Breccan ścigały ją niczym wiatr, czuła je we włosach i na ramionach. Dotarła do chaty i drżącą ręką dotknęła żelaznej klamki.

Otworzyła drzwi i weszła z Jackiem w blask ognia.

To, co zastała w środku, wstrząsnęło nią. Morze niebieskich tartanów. Mirin i Frae skulone w kącie. Torin na kolanach z dirkiem przy gardle.

Innes nie było i szybko stało się jasne, że dowodzi Breccanin z blizną na twarzy i matowymi jasnymi włosami.

– Cora – zwrócił się do niej i skłonił lekko. – Dobrze, że przyszłaś.

Adaira popatrzyła na niego chłodno.

– Gdzie twoja lairdess?

– Nie ma jej tu. Przybyliśmy rozmawiać z tobą, bo rozeszła się wieść, że przetrzymujesz naszego dziedzica w swoich lochach.

– O niczym nie będziemy rozmawiać – oznajmiła Adaira. – Wezwij swoją lairdess. Tę sprawę mogę omówić tylko z nią.

Breccanin uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby.

– Posłuchaj, Cora... To będzie prosta wymiana, bez rozlewu krwi.

Milczała; Jack przykląkł obok Mirin i Frae.

– Twój brat chce sprowadzić cię bezpiecznie do domu – mówił dalej Breccanin. – Jeśli uwolnisz go z lochów i pojedziesz za nim na Zachód, przyprowadzimy tutaj trzy tamerlańskie dziewczynki.

Torin zacisnął powieki i Adaira przyjrzała się mu. Strużka krwi spływała po jego szyi; kapitan wyglądał na pokonanego. Nigdy nie widziała go w takim stanie i drgnęła niespokojna.

– Nie będę z tobą negocjować. – Znów spojrzała na Breccanina. – Przywołaj Innes, mogę rozmawiać tylko z nią.

– Jeśli nie zgodzisz się na nasze warunki – wskazał ręką Torina – poderżniemy gardło twojemu kapitanowi.

– To by oznaczało, że poderżnęlibyście gardło lairdowi Wschodu – poinformowała go spokojnie Adaira. – Wtedy dopilnuję, żeby głowa Moraya została odesłana na Zachód przed wschodem słońca.

Breccanin ściągnął brwi; gdy dotarło do niego znaczenie słów Adairy, uśmiechnął się. Skoro oddała władzę, nie planuje zostać na Wschodzie. Zwrócił się do jednego ze swoich ludzi i polecił:

– Jedź na Zachód i przyprowadź ze sobą naszą lairdess.

Wojownik skinął głową i wybiegł.

Wydawało się, że czekają dłużej niż rok. Wszyscy milczeli, Adaira nie poruszyła się i nie odezwała. Stała niczym przykuta do podłogi, czekając na przybycie swojej rodzonej matki.

W końcu skrzypnęły drzwi, do środka weszła Innes w wojennym stroju.

– Co tu się dzieje? – spytała groźnie, lecz jej czoło rozpogodziło się, gdy ujrziała Adairę.

Spotkały się wzrokiem i cały świat przygasł, kiedy Adaira przyglądała się Innes, a Innes patrzyła na Adairę. Emocje wzbierały niczym fala zbliżająca się do brzegu.

Adaira opanowała się; łowiła te wszystkie cechy, które odziedziczyła po matce. Jej kolor włosów, ostre rysy, jej morskie oczy. Jak mogła nie dostrzec tego wcześniej, gdy spotkały się na północnej drodze?

– Wiedziałaś? – wyszeptała Adaira, nie mogła się powstrzymać. – Wiedziałaś, kim jestem, kiedy przybyłaś na spotkanie?

Na twarzy Innes widać było ból.

– Tak.

Wszystkie elementy stworzyły całość... Dlatego Innes tak szybko przeprosiła za najazd i podpalenie. Dlatego przywiozła skradzione dobro, płaciła złotem. Wiedziała, że Adaira jest jej zaginioną córką, i chciała nakłonić ją do pokoju.

– W takim razie wiedziałaś również, że Moray wykradza córki Tamerlainów? – ośmieliła się Adaira. – Że twój syn porwał i więził niewinne dzieci na Zachodzie, gdy ich rodzice opłakiwali je tu, na Wschodzie?

Innes zmarszczyła brwi; jej spojrzenie wystraszyło Adairę. Lairdess Zachodu spojrzała na Breccanina z blizną.

– O niczym nie miałam pojęcia. Czy to prawda, Derek?

Derek chyba wolałby zniknąć, lecz odpowiedział:

– Tak jest, pani. Moray pragnął sprawiedliwości dla ciebie i dla twojej rodziny. Dla naszego klanu...

Dostał w twarz: skórzany ochraniacz Innes uderzył go w usta. Derek zachwiał się, pociekła krew.

– Działaliście bez mojej wiedzy i zgody – oznajmiła lodowatym tonem, mierząc wzrokiem resztę wojowników. – Daliście się omamić mojemu synowi i zapłacicie za te zbrodnie. – Odetchnęła, znów spojrzała na Adairę. –

Przepraszam za ból, którego doświadczyliście. Dopilnuję, by córki Tamerlainów zwrócono o wschodzie słońca.

– Dziękuję – powiedziała cicho Adaira. – Prosiłabym również, żeby odsunąć klingę z gardła lairda Wschodu.

Innes spojrzała na tego, który trzymał Torina, takim wzrokiem, że wojownik od razu puścił kapitana. Adaira siłą powstrzymała się, by nie podbiec i nie podnieść kuzyna; patrzyła, jak Torin wstaje i podchodzi do niej, kulejąc, jak staje za nią.

– Pisałaś o ugodzie – odezwała się Innes.

Adaira przytaknęła.

– Moray wczoraj rano wtargnął na nasze ziemie i chciał porwać kolejne dziecko. Popełniał przestępstwa przeciwko klanowi Tamerlainów, dlatego, choć jest twoim dziedzicem... Wschód chce go zatrzymać w lochu, żeby odpokutował za swoje grzechy.

– Rozumiem – odezwała się Innes ostrożnym tonem. – Ale nie mogę wrócić do mojego klanu z pustymi rękami.

– Nie możesz – zgodziła się Adaira i pot wystąpił jej na czoło, gdy szykowała się, by wydać swoje oświadczenie. Nie mówiła o nim nikomu. Ani Torinowi, ani Sidrze, ani Jackowi. Coś, co przyszło do niej w chwili, gdy rozdarła swój stary tartan. Nie potrzebowała rady; wiedziała, czego chce, a jednak wciąż tak trudno było powiedzieć to na głos. – Jeśli dopilnujesz, by trzy dziewczynki powróciły bezpiecznie w ciągu godziny, ja pojedę z tobą na Zachód. Możesz przyjąć mnie jako więźnia albo jako córkę, którą straciłaś. Zgodzę się zostać i służyć tobie i Zachodowi tak długo, jak Moray pozostanie zakuty w kajdany na Wschodzie. Nie stanie mu się krzywda, ale to Tamerlainowie zdecydują, jak długo będzie uwięziony i kiedy będzie wolny.

Innes przyglądała jej się bez słowa, zaś Adaira czekała. Czy właśnie obraziła lairda Zachodu? Czy może Innes faktycznie rozważa jej ofertę? Cisza przedłużała się, w godzinę przed świtem wkradł się chłód. W końcu kobieta wyciągnęła rękę.

– Zgadzam się na twoje warunki. Uściśnij moją dłoń, Adairo, i przypieczętujmy to porozumienie.

– Pani! – zaprotestował Derek. – Nie możesz zostawić naszego dziedzica na Wschodzie, żeby siedział tam w kajdanach jak zwierzę!

Innes rzuciła mu szybkie, zimne spojrzenie.

– Moray działał bez mojej zgody i sam stał się kowalem swojego losu.

Derek wyciągnął swój miecz i Torin szarpnął Adairę do tyłu, gdy Innes zareagowała: światło ognia błysnęło na jej klindze, kiedy uniknęła cięcia Dereka i zadała mu śmiertelną ranę.

Adaira patrzyła z zimnym odrętwieniem, jak Derek z jękiem opada na kolana, a krew leje się z jego szyi. Padł na podłogę.

– Jeśli ktoś jeszcze chciałby się sprzeciwić... – Innes przesunęła wzrokiem po wojownikach – niech wystąpi.

Breccanie stali nieruchomo, patrzyli na Dereka, który wydawał ostatnie tchnienie.

Adaira usłyszała płacz Frae i szept Jacka, który ją pocieszał. Wpatrywała się w kałużę krwi na podłodze i myślała o tym, jakie życie czeka ją na Zachodzie.

– Zgadzam się na twoją ugodę, Adairo – powtórzyła Innes. W jednej dłoni ścisnęła miecz, drugą, splamioną krwią, wyciągnęła do Adairy i czekała, aż ta ją przyjmie.

– Nie musisz tego robić, Adi – powiedział głucho Torin, jego uchwyt na jej ramieniu był jak żelazo.

– Nie. Ale chcę, Torinie – odparła miękko. Nie wiedziała już, gdzie jest jej dom, skoro miłość Tamerlainów obróciła się w popiół. Nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce, ale wiedziała, że znajdzie tę odpowiedź, gdy zobaczy Zachód. Ziemię swojej krwi.

Torin puścił ją niechętnie.

Adaira wystąpiła do przodu i wyciągnęła rękę, ale zanim ich dłonie się spotkały, powiedziała:

– Chciałabym, żeby na wyspie zapanował pokój. Jeśli pojedę z tobą na Zachód, chciałabym, aby zaprzestano najazdów na ziemię Tamerlainów.

Lairdess patrzyła na nią, a jej oczy wydały się nagle stare i zmęczone. *Czyżby pokój był jedynie ułudą?*, pomyślała Adaira. *Czy to naiwne nadal mieć nadzieję?*

– Nie mogę ci nic obiecać, Adairo – odrzekła Innes. – Ale być może twoja obecność na Zachodzie, gdzie przynależysz, spowoduje zmianę, o której marzysz.

Na nic więcej Adaira nie mogła liczyć. Przytaknęła i serce jej przyspieszyło, gdy ujęła w dłoń rękę swojej matki. Mocną i twardą, szczupłą i pokrytą bliznami.

Straciły te wszystkie lata i nie mogły ich już odzyskać. Ale kim byłyby Adaira, gdyby nigdy nie opuściła Zachodu? Gdyby jej rodzice nie złożyli jej w ręce sił tej wyspy?

Zobaczyła siebie, naznaczoną błękitem i krwią. Zimną i ostrą. Zadrzała.

Innes to spostrzegła.

Opuściły dłonie, ale świat między nimi się zmienił.

Lairdess Zachodu popatrzyła spokojnie na wojowników Moraya, lecz w jej głosie zabrzmiało wzruszenie, gdy rozkazała:

– Macie oddać Wschodowi skradzione dzieci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY



Wschodzące słońce zastało Sidrę klęczącą na podwórku Graeme'a. Wiatr tego ranka milczał, światło narastało, wypalając ostatnie smugi mgły. Sidra cieszyła się tym bezruchem, patrzyła, jak świat budzi się wokół niej. Lecz gdy ujrzała ogród, posmutniała – ułuda zniknęła i widziała szkody, które wyrządziła tygodnie temu.

Zaczęła delikatnie wrywać chwasty i usuwać połamane łodygi. Chciała posiać nowe rośliny i właśnie szykowała glebę pod nasiona, kiedy usłyszała odległy dźwięk; Torin wołał jej imię.

– Sidra?

Wstała i się rozejrzała. Na podwórku była sama, z otwartych drzwi do domu Graeme'a płynął zapach śniadania, które szykował gospodarz.

– Sidra!

Głos Torina był teraz głośniejszy. Sidra przeszła przez furtkę, dotarła na szczyt wzgórza i spojrzała w dół, w stronę swojej ziemi.

Torin szedł do niej – z Maisie na biodrze.

Z piersi Sidry wyrwał się szloch. Zasłoniła usta brudną ręką, a Maisie już ją zobaczyła; miotała się i kopała, aż w końcu Torin postawił ją na ziemi.

Dziewczynka pobiegła w górę między wrzosami, Sidra skoczyła do niej, padła na kolana i otworzyła ramiona.

– Mój skarbie – szepnęła, gdy mała objęła ją za szyję. Pieściła loki dziecka, wdychając ich zapach, i myślała, że śni. – Niech no ci się przyjrzę, kochanie...

Patrzyła na twarz Maisie, zaróżowioną od chłodnego poranka. Oczy dziecka, duże i brązowe, nadal pełne były światła i ciekawości, w buzi brakowało kolejnego ząbka, mała musiała go stracić na Zachodzie... Sidra nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki dziewczynka nie położyła dłoni na jej policzku.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się przez łzy, przytuliła córkę do piersi, chowając twarz we włosach swojej dziewczynki. Wyczuła obecność Torina. Usiadł przy niej na ziemi, ogrzewając ją swoim ciepłem.

– Nie płacz, mamusiu – poprosiła Maisie, poklepując ją po ramieniu.

Sidra rozplakała się jeszcze bardziej.



Dzień, w którym dziewczynki wróciły do domu, był przepełniony błękitem.

Powietrze było ciepłe i delikatne, dzikie kwiaty rozwijały się we wschodzącym słońcu, wrzosa tańczyły w południowym wietrze z fioletową rezygnacją, fale na morzu były delikatne, jeziora lśniły, a rzeki płynęły spokojnie. Wzgórza były ciche, a drogi wydawały się złotą przedzą w zielonym tartanie, gdy Adaira jechała ze strażą, wioząc Catrionę do domu na wybrzeżu i Annabel do domu w dolinie.

Siedziała na koniu i z uśmiechem patrzyła na wzruszenie powitań, na łzy, śmiech i pocałunki. Czuła, jak ciężar zsuwa się z jej ramion. Tak właśnie powinno być zawsze... Miała nadzieję, że wyspa znowu odzyska równowagę. W każdym razie tutaj, na Wschodzie.

Rodzice dziękowali strażą za bezpieczne sprowadzenie córek do domu, nawet nie patrząc na Adairę, tak jakby już odeszła ze Wschodu; próbowała przełknąć ten ból. Myślała o tym, że gdyby nie ona, dzieci nigdy by nie skradziono, obarczała się winą za ból klanu, chociaż wtedy nie знаła prawdy.

Czy Lorna i Alastair planowali kiedyś wyjawic jej, kim jest naprawdę? Raczej nie, skoro zabrali tajemnicę do grobu. Pogłębiało to jej smutek, czuła się zdradzona i próbowała zepchnąć te uczucia w głąb siebie. Dzisiaj musiała zapanować nad sobą tak, jak Jack panował nad muzyką. Powinna podążać za nutami, które sama przecież napisała, nie pozwolić, żeby emocje wzięły nad nią górę.

Strażnicy eskortowali ją z powrotem do zamku. Do południa miała przywrócić spokój, oficjalnie przekazać Torinowi przywództwo nad klanem i się spakować. Innes będzie czekała na nią nad rzeką niedaleko domu Mirin w południe – wtedy wymiana zostanie dopełniona.

Stała w swojej komnacie, zagubiona. Spojrzała na pościel, nosząc ślady miłości z Jackiem, a okno, nadal otwarte, wpuszczało do pokoju cichy wiatr.

Co powinna ze sobą zabrać?... Powoli zaczęła pakować skórzaną torbę; trochę książek, kilka sukienek. I wtedy usłyszała pukanie.

– Proszę!

Torin otworzył drzwi, za nim weszły Sidra i Maisie.

Adaira krzyknęła cicho i upuściła torbę. Maisie podbiegła, a ona chwyciła małą w ramiona. Poczua się tak dobrze: dziewczynka przytulała się do niej tak, jakby nie obchodziło jej, kim była teraz. Nie, objęła ją rączkami za szyję i nogi zaplotła na jej talii; pęknięcie w sercu Adairy zostało uleczone.

– Kogo my tu mamy! – zawołała z uśmiechem. – Najdzielniejsza dziewczynka na całym Wschodzie!

Maisie uśmiechnęła się, ale szybko spoważniała:

– Mamusia powiedziała, że musisz odejść.

Uśmiech Adairy zgasł.

– Obawiam się, że ma rację.

– Na Zachód?

Adaira zerknęła na Sidrę i Torina, ale nie dali jej żadnego znaku, jak miałyby odpowiedzieć; zresztą wszyscy teraz improwizowali. Żadne z nich nie wiedziało, czego dziewczynki doświadczyły na Zachodzie, nawet jeśli wyglądało na to, że dobrze je traktowano.

– Tak, Maisie. Dlatego chcę cię o coś poprosić: zaopiekuj się mamą i tatusiem, kiedy mnie nie będzie. Myślisz, że mogłabyś to zrobić?

Maisie przytaknęła.

– Mam coś dla ciebie! – Wyciągnęła rączkę do Torina, a on włożył w nią zniszczoną, pozbawioną okładki książkę.

– Co to jest? – spytała cicho Adaira, biorąc podarunek do ręki.

– Opowieści – wyjaśniła Maisie. – O duchach.

– Ty je napisałaś, Maisie?

– Książka należała do Joan Tamerlain – rzekł Torin, przyciągając wzrok kuzynki. – Dał mi ją ojciec i pomyśleliśmy... Chcemy, żebyś ją miała. Ojciec twierdzi, że druga połowa znajduje się na Zachodzie. Może ją znajdziesz?

Adaira skinęła głową, przytuliła Maisie i ucałowała jej policzki.

– Dziękuję... Będę czytać co wieczór.

– Elspeth też polubi te opowieści – powiedziała Maisie, wierząc się.

Adaira postawiła ją na podłodze, zastanawiając się, kim był lub była Elspeth. Nie spytała; Sidra podeszła do niej z garścią fiolek.

– To na rany – wyjaśniała, unosząc fiolkę wypełnioną suszonymi ziołami. – Na sen... – Pokazała następną. – Na bóle głowy. I na skurcze.

Adaira uśmiechnęła się, przyjmując wszystkie cztery.

– Dziękuję, Sid.

– Jeśli będziesz potrzebowała tam czegoś jeszcze, daj mi znać, wyślę.

– Tak zrobię.

Sidra objęła ją równie mocno jak Maisie; Adaira zrobiła wszystko, żeby nie płakać.

– Klan zbiera się w sali – odezwał się Torin. – Będę tam czekał.

Adaira skinęła głową, Sidra puściła ją i wzięła Maisie. Dziewczynka pomachała na pożegnanie, nim zamknęły się drzwi, i Adaira poczuła wdzięczność za tę ciszę. Stała z książką i fiolkami w ręku. Płakała.

Ocierała łzy i wkładała te prezenty do torby, gdy usłyszała otwieranie panelu. Znieruchomiała. Zostawiła Jacka u Mirin, uznawszy, że powinien być w takiej chwili z matką i siostrą.

– Jack? – Bała się odwrócić i sprawdzić, czy to faktycznie on.

– Powiniennem zabrać ze sobą tę nieszczęsną zniszczoną harfę czy raczej nie? – spytał półzartem.

Odwróciła się – stał w jej pokoju i trzymał torbę.

– Co ty robisz?

Zamknął tajne drzwi.

– A jak ci się wydaje? Idę z tobą.

– Nie musisz tego robić – broniła się, chociaż w sercu poczuła ulgę.

Podszedł do niej na odległość oddechu.

– Nie. Ale chcę, Adairo.

– A twoja matka? A Frae? – wyszeptała.

– Obie są mądre i silne i przez kilka lat wspaniale radziły sobie beze mnie.

– Patrzył jej w oczy. – Będę za nimi tęsknił, a one za mną, ale to nie z nimi jestem związany. Należę do ciebie.

Adaira zadrżała. Chciała, żeby z nią pojechał, i jednocześnie na myśl o tym czuła dziwny niepokój. Nie potrafiła go nazwać, ale to było niczym ostrzeżenie.

– Myślisz, że odciągasz mnie od mojego życia tutaj. – Dotknął jej policzka opuszkami palców. – Zapominasz, że w połowie należę do Zachodu.

Jego ojciec był Breccaninem, przypomniała sobie Adaira. Jack miał korzenie po drugiej stronie granicy klanu, tak jak i ona. Zrozumiała, że chciał je odkryć.

– Dobrze. – Wzięła głęboki oddech. – Możesz jechać ze mną.

Jack uśmiechnął się, a ona pomyślała, że nigdy nie wyglądał bardziej promiennie. Widziała w nim jasne światło, niczym ogień płonący w ciemnej nocy...

Pocałował ją.



Tłum w sali czekał tylko na nią.

Adaira nie chciała tego przeciągać. Miała nadzieję, że zdoła powiedzieć wszystko spokojnie i jasno. I że – skoro dziewczęta bezpiecznie powróciły do domu, a Moray Breccanin siedział w lochach na dole – Tamerlainowie zechcą jej słuchać.

Torin czekał na podeście; podeszła do niego, Jack tuż za nią. Stała u boku kuzyna i spojrzała na morze twarzy.

– Moi dobrzy ludzie Wschodu – zaczęła drżącym tonem. – Historia, którą przyniósł wiatr, jest prawdziwa. Urodziłam się w rodzinie lairda Zachodu i jako niemowlę zostałam potajemnie przywieziona na Wschód. Alastair i Lorna wychowali mnie jak własną córkę, a ja nie znałam prawdy o swoim pochodzeniu, dopóki Moray Breccanin jej wczoraj nie wyjawiał. Z tego względu nie mogę wam dłużej przewodzić i oddaję władzę temu, kto jest was godny, a także silniejszy i mądrzejszy ode mnie. Torin nie raz dowiódł, że jest wyjątkowym przywódcą, i to on was poprowadzi, wierzę, że do znacznie lepszych dni. Zawarłam ugodę z Zachodem, porozumienie, które, mam nadzieję, przyniesie wyspie pokój. Moray Breccanin ma pozostać w kajdanach w waszym więzieniu, dopóki nie uznacie, że może odejść wolny. A ponieważ on jest na Wschodzie, ja muszę udać się na Zachód. Opuszczam was i chcę, byście wiedzieli, że nadal darzę was miłością i szacunkiem, nawet jeśli już

nigdy nie będzie mi dane żyć pośród was. Niech wam się dobrze powodzi i niech duchy błogosławią Wschód.

Szelest szeptów przebiegł po sali i Adaira nie mogła znieść widoku pobratymców. Niektórzy spoglądali smutno, inni z ulgą kiwali głową. Kiedyś kochali ją, czcili, uwielbiali, dziś patrzyli z przygnębieniem, wstrętem, niedowierzaniem.

Niewiarygodne, jak wiele może się zmienić w ciągu jednej doby.

Wypowiedziała ostatnie słowa i pierścień władzy znalazł się na dłoni Torina. Kuzyn szedł z nią przez podest w stronę tajnych drzwi, Jack deptał im po piętach; nim zdążyli wyjść, ktoś zawołał:

– A co z Jackiem? Bard jest teraz nasz. Zostanie?

Adaira zawahała się, zerkając na niego.

Jack otworzył szeroko oczy, ale odwrócił się i spojrzał na klan.

– Pójdę tam, dokąd pójdzie ona.

– I co, będziesz grał dla Zachodu? – zawołała ze złością jakaś kobieta. – Dla naszych wrogów?!

– Nie odpowiadaj, Jack – ostrzegł cicho Torin. – Idziemy.

Ale Jack stanął na progu i powiedział głośno:

– Będę grał dla Adairy i tylko dla niej.

Adaira nie ochłoneła jeszcze po jego odpowiedzi, gdy wyszli na dziedziniec, gdzie czekały osiodłane konie.

– Wyślesz mi wiadomość, gdy bezpiecznie dotrzesz na miejsce? – spytał Torin, kiedy znalazła się w siodle.

– Tak, dam ci znać. – Adaira zebrała wodze. Nie wiedziała, jak pożegnać się z Torinem, czuła się rozdarta. Kuzyn ścisnął jej stopę.

– Przepraszam, Adi – szepnął, patrząc na nią.

Popatrzyła mu w oczy, a w głowie jej huczało od tych wszystkich łez, które przełknęła.

– To nie twoja wina, Torinie.

– Zawsze będzie tu czekał na ciebie dom, mój i Sidry – rzekł. – Nie musisz zostawać na Zachodzie. Pewnego dnia Moray Breccanin zostanie uwolniony... Mam nadzieję, że wtedy do nas wrócisz.

Skinęła głową, choć jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak rozdarta i zagubiona. Tak bardzo chciałaby pochwycić jakiś przeblysłk swojej przyszłości!... Czy pozostanie przy swojej krwi, czy pewnego dnia Wschód przyciągnie ją z powrotem? A może już na zawsze opuści Cadence?

Ruszyła, Torin ją puścił.

Nie pożegnała się. Torin nigdy nie lubił pożegnań.

Gdy słońce dosięgało zenitu, Adaira i Jack ruszyli na wschodnie wzgórza – po raz ostatni.



Innes nie dotarła jeszcze do rzeki.

Zsiedli z koni i weszli do domu Mirin, żeby razem z nią i Frae poczekać na lairdess w środku.

Dywanik, na którym Derek wykrwawił się na śmierć, zwinięto i usunięto, ale nadal czuć było w powietrzu śmierć. Mirin otworzyła wszystkie okiennice, wpuszczając południową bryzę.

– Napijesz się herbaty, Adairo? – spytała Mirin. Twarz miała zapadniętą i popielatą, mówiła schrypniętym głosem. Adaira jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie i teraz przyglądała jej się zmartwiona.

– Nie... Dziękuję, Mirin – odparła.

Matka Jacka skinęła głową i wróciła do krosna, ale wydawała się zamrożona, nie mogła tkać. Frae przytulała się do Jacka; Adaira starała się nie patrzeć, nie słuchać, jak Jack przygotowuje siostrę na swoją nieobecność.

– Nie chcę, żebyś odchodził!... – Frae płakała i jej szloch wypełniał chatę, wypływał za okna. Czarna rozpacz w jasnym letnim dniu.

– Posłuchaj mnie, Frae – przemawiał łagodnie Jack. – Muszę być z...

– Czemu sobie idziesz? Dlaczego nie możesz zostać z mamą i ze mną? – Łzy zacierały słowa. – Obiecałeś, że będziesz tu całe lato, Jack, że nie odejdiesz!...

Adairę przeszywał ból, poczuła, że nie może oddychać, że ściany napierają, że się dusi; wysunęła się tylnym wyjściem, ciężko dysząc, zamknęła oczy, próbowała się uspokoić. Usłyszała jednak, jak Frae pyta: „Kiedy wrócisz?”, a Jack odpowiada z wahaniem: „Nie wiem, Frae...”, wywołując nową falę rozpacz, jakby dziecku właśnie pękło serce.

Adaira nie mogła tego znieść. Przeszła przez furtkę i usiadła w trawie, nie mogła stać.

Jeszcze godzinę temu była taka pewna, że Jack powinien pójść z nią, a teraz, gdy widziała, w jakim stanie jest Mirin, gdy widziała cierpienie Frae... Powinna przekonać go, żeby został. Klan chciał słuchać jego muzyki, rodzina go potrzebowała...

A ona da sobie przecież radę.

Zobaczyła Innes i trzech strażników na tle odległego lasu; konie przeszły rzekę i zbliżały się truchtem.

Oto i on, pomyślała Adaira, podnosząc się. Koniec i początek.

Serce tłukło się jej w piersi, gdy wierzchołek jej matki zatrzymał się na wzgórzu. Innes przesunęła po niej wzrokiem, jakby widziała ukrywane łzy.

– Czy jesteś gotowa jechać ze mną? – zapytała.

– Tak. Mój mąż Jack chciałby mi towarzyszyć, jeśli się zgodzisz.

Innes uniosła brew, ale jeśli ta prośba wywołała w niej irytację, pani Zachodu skrzętnie to ukryła.

– Oczywiście. Pod warunkiem, że jest świadomy, jak bardzo życie na Zachodzie różni się od tego na Wschodzie.

– Jestem i jadę z własnej woli – odpowiedział jej Jack.

Adaira odwróciła się; stał w ogrodzie z torbą przewieszoną przez ramię i zniszczoną harfą pod pachą. Mirin i Frae zostały na progu, odprowadzały go, dziewczynka szlochała w spódnicę matki.

Jack zbliżył się i wtedy Adaira zauważyła, że w Innes nastąpiła zmiana. Lairdess patrzyła na barda zimnymi, zwężonymi oczami.

Adaira się zaniepokoiła. Co się stało? Czyżby Innes wiedziała, że Jack był synem opiekuna lasów? Człowieka, który oddał Wschodowi jej córkę? Znowu powróciło tamto przecucie, niczym silna fala, która chciała zwalić ją z nóg. Czy Jack będzie bezpieczny, jeśli Breccanie odkryją jego pochodzenie? Już miała wziąć go na bok, uprzedzić, żeby nie wspominał o swoim ojcu, gdy Innes zsiadła z konia.

– Chciałabym zamienić z tobą słowo, Adairo – powiedziała powściągliwie, lecz twardo.

Adaira czuła, jak ugina się pod tym rozkazem, zobaczyła spichlerz dwa kroki dalej.

– Porozmawiajmy tutaj – zaproponowała, a Jack patrzył niespokojnie, jak szła do małego, okrągłego budynku.

Powietrze było ciepłe i pełne kurzu, Adaira pomyślała, że jakiś czas temu stała tutaj z Jackiem, a teraz miała tu rozmawiać z lairdess Zachodu. Jakże jej życie zmieniło się w ciągu kilku tygodni...

– Twój mąż jest bardem? – spytała cierpko Innes.

Adaira zamrugnęła zdumiona.

– Tak.

Innes ściągnęła brwi.



Jack czuł, że dzieje się coś niedobrego.

Poczuł to od razu, gdy Innes popatrzyła na niego tymi chłodnymi oczami, gdy przeniosła spojrzenie na harfę.

Czuł, a jednak starał się utrzymać nastrój gotowości, gdy przemierzał podwórze, czekając, aż lairdess i Adaira wyłonią się ze spichlerza. W końcu Innes wyszła, podeszła do konia i nie zaszczyciła Jacka nawet spojrzeniem, zaś Adaira przywołała go do siebie. Odłożył instrument, postawił torbę i podszedł do niej.

Zatrzasnęła drzwi, zamykając ich w tej cichej przestrzeni.

– O co chodzi? – spytał niespokojnie. – Co się stało?

Adaira spojrzała na niego, w jej oczach nadal był szok.

– Innes powiedziała mi, że muzyka na Zachodzie jest zabroniona.

Dwa pełne oddechy trwało, zanim Jack zrozumiał te słowa.

– Zabroniona?

– Tak. Żadnych instrumentów, żadnego śpiewu – wyszeptała Adaira. – Breccanie nie przyjmują bardów od ponad wieku i... chyba... chyba nie powinienes...

– Dlaczego? – przerwał szorstko. Wiedział, co zamierzała powiedzieć, i nie chciał tego słyszeć.

– Powiedziała, że to denerwuje duchy. Wywołuje burze. Powodzie. Głód.

Jack milczał, myśli mu się plątały. Wiedział, że magia płynie jaśniej w rękach śmiertelników na Zachodzie, ku zgubie duchów – odwrotnie niż na

Wschodzie. Granie dla duchów po tej stronie wyspy odbierało mu zdrowie. Jak by to było grać dla duchów Zachodu? Aż do teraz nie przyszło mu do głowy, że tam mógłby grać i śpiewać, nie ponosząc za to żadnych kosztów. Jakaż potęga mogłaby płynąć z jego rąk...

– W takim razie zostawię harfę – rzekł dziwnym głosem. – I tak nie mogę dobrze grać na zniszczonej.

– Jack... – Szept Adairy był pełen smutku. Bard poczuł w sobie chłód.

– Nie proś mnie, żebym tu został, Adairo.

– Jeśli pójdziesz ze mną, będziesz musiał zaprzeczyć temu, kim jesteś, żyć wbrew sobie. Nigdy nie zagrasz na żadnym instrumencie, nie zaśpiewasz nowej ballady. Nie tylko będziesz musiał wyrzec się swojej pierwszej miłości, ale również zostawić swoją matkę, która wygląda tak słabo, że martwię się, jak długo pożyje, zostawić siostrę, zdruzgotaną tym, że cię traci. Siostrę, która może skończyć w sierocińcu. Klan również pragnie, żebyś został, a i Torin na pewno byłby...

– Tamerlainowie nie wiedzą, że w połowie jestem Breccaninem – przerwał jej ostro. – Ich opinia o mnie i o mojej muzyce uległaby dość znaczącej zmianie, gdyby znali prawdę.

– A jednak na Zachodzie może być jeszcze niebezpieczniej, jeśli Breccanie odkryją, czym jesteś synem.

Nie odpowiedział.

Adaira westchnęła, smutna i zmęczona oparła się o ścianę, jakby nie mogła już dłużej stać; oddychała płytko. Jack uspokoił się, delikatnie przyciągnął ją do siebie.

– Ślubowałem ci – powiedział łagodnie, gładząc jej włosy. – Jeśli poprosisz mnie, abym został na Wschodzie, a sama wyjedziesz na Zachód... to będzie tak, jakbym utracił połowę siebie.

Wyrwało się z niej coś jakby jęk, jakby z całej siły walczyła, by nad sobą panować; Jack czuł, jak drżała.

– Boję się, że jeśli pójdziesz ze mną... w końcu zaczniesz mieć do mnie żal. Będziesz tęsknił za swoją mamą i siostrą, będziesz opłakiwał swoją muzykę. Nie mogę dać ci wszystkiego, czego potrzebujesz, Jack.

Jej słowa cięły jak miecz; powoli opuścił dłonie. Powróciły dawne uczucia, które nosił w sobie jako chłopiec, bez swojego miejsca, niechciany.

– Chcesz, żebym tu został? – spytał płasko. – Nie chcesz, żebym pojechał z tobą?...

– Chcę... *Pragnę*, żebyś był ze mną. Ale nie chcę, jeśli miałyby cię to zniszczyć.

Jack cofnął się o krok. Ból w piersiach miażdżył mu płuca, z trudem oddychał. Był zły, bo w tych słowach kryło się źdźbło prawdy. Chciał być z Adairą i nie chciał zostawiać Mirin i Frae. Nie chciał zrezygnować ze swej muzyki, rzucać na wiatr wszystkich lat dyscypliny, życia na kontynencie i nie potrafił zrezygnować z Adairy.

Zrozpaczony spojrzał jej w oczy, zobaczył, jaka jest opanowana. Tak jak pierwszego dnia, gdy ją ujrzał, tygodnie temu. Jej garda powróciła, emocje zostały poskromione. Ona już przyjęła tę rozłąkę i to już ich od siebie oddaliło.

– Jak sobie życzysz – wyszeptał.

Wpatrywała się w niego przez długą chwilę. Jack pomyślał, że zmieni zdanie. Może wcale nie czuła się tak zdecydowana i przekonana, może też poczuła kwaśny smak żalu i wyrzutów sumienia, które będą dręczyć ich przez lata...

Patrzył, jak otwiera usta i jak się powstrzymuje, jak odwraca się i ucieka ze spichrza, jakby nie mogła dłużej znieść jego spojrzenia.

Światło słońca wlało się do środka.

Jack stał w jego cieple, aż ból powrócił do piersi; wtedy wybiegł i szukał jej.

Adaira już siedziała na koniu, podążając za Innes i strażnikami w dół wzgórza. Wkrótce miała zniknąć w cieniu lasu. Jack powstrzymał się, żeby jej nie gonić, nie biec, nie znaleźć się za nią w siodle.

Stał w trawie i czekał, aż Adaira obejrzy się za siebie, aż popatrzy na niego jeszcze raz. Gdyby to zrobiła, pojechałby za nią na Zachód. Serce tłukło się w gardle, nie odrywał od niej wzroku, od wodospadu jej włosów, wyprostowanych pleców...

Jej koń wszedł do rzeki. Prawie była przy drzewach.

Nie obejrzała się.

Jack patrzył, jak jego ukochana znika w lesie, i sam zszedł w dół wzgórza, zatrzymał się dopiero w dolinie. Rzeka łapała go za kostki, kiedy do niej

wszedł, a on patrzył w stronę Zachodu, na Aithwood w promieniach słońca, na rozświetlone zakola rzeki...

I upadł na kolana w jej zimnej wodzie.

Chwilę później usłyszał za sobą plusk kroków i objęły go cienkie dziewczęce rączki – Frae przytuliła go, gdy rozpaczął.



Bujna zieleń wzgórz zmieniała się w zwiędłą trawę, paprocie zabarwiły się na brązowo, mech przypominał plamy bursztynu, a drzewa poza Aithwood rosły powykręcane, przechylone na południe. Dzikie kwiaty i wrzosa kwitły tylko w osłoniętych miejscach, gdzie wiatr nie mógł ich dopaść; góry wznosiły się, wycięte z bezlitosnej skały, jeziora były zastale. Tylko rzeka wydawała się czysta, wypływała z ukrytego miejsca na wzgórzach.

Adaira jechała u boku matki aż do serca Zachodu. Chmury wisały nisko, pachniało deszczem, który nie chciał spaść.

Zmierzała ku głodnej krainie, gdzie muzyka była zabroniona. Ziemiom, na których ona, Adaira, wydała swój pierwszy oddech.

Podmuch chłodnego powietrza przeczesał zimnymi palcami jej białe włosy.

Witaj w domu, wyszeptał północny wiatr.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

PODZIĘKOWANIA



Pamiętam, że dzień 22 lutego 2019 roku był zimny i ponury – był to również dzień, w którym usiadłam i zaczęłam pisać o zaklętej wyspie i ludziach, nazywających ją domem. Pisałam po raz pierwszy od miesiąca – nareszcie przerywając długą twórczą suszę – i nie miałam pojęcia, czym stanie się ta opowieść. Dlatego winna jestem dozgonną wdzięczność ludziom, którzy zainwestowali w moją pracę i we mnie, użyczyli swej magii, aby *Rzeka zaklęta* mogła stać się tym, czym jest dzisiaj.

Dziękuję Isabel Ibañez za czytanie tej książki rozdział po rozdziale w miarę jej powstawania, za długie godziny burzy mózgow i dodawanie mi otuchy, gdy chciałam zrezygnować – bez ciebie ta książka pozostałaby niechlujnym zarysem w moim laptopie. Zawsze będę wdzięczna za twoją przyjaźń i „twardą miłość”, jaką darzysz moje opowieści.

Dziękuję Suzie Townsend, wyjątkowej agentce. Pamiętasz, jak wysłałam ci ten rękopis i powiedziałam: „Nie mam pojęcia, co to właściwie jest”? W ogóle się nie przejęłaś i nawet gdy wciąż próbowałyśmy zrozumieć, gdzie powinna się znaleźć ta historia, wierzyłaś w nią i pomogłaś jej znaleźć najlepszy dom.

Podziękowania należą się również Dani Segelbaum i Mirandzie Stinson, które pomagały „za kulisami” i sprawiły, że moja podróż wydawnicza przebiegła gładko i bezproblemowo. Kate Sullivan, która przeczytała ten rękopis w jego pierwszym szkicu – twoje niesamowite spostrzeżenia wydobyły z tej historii to, co najlepsze, i upewniły mnie, że należy ją przenieść z działu *young adults* do książek dla dorosłych. Wspaniałej ekipie w New Leaf – dziękuję za całe wsparcie, jakie daliście mnie i moim książkom. Jestem zaszczyczona, że mogę być jedną z waszych autorek.

Vedika Khanna, moja niezrównana redaktorko – nie potrafię opisać, jak bardzo jestem wdzięczna i szczęśliwa, że ta książka trafiła właśnie do ciebie i że wydobyłaś z niej całą potęgę i magię. Dziękuję ci za wiarę w Jacka, Adairę, Torina, Sidrę i Frae i za pomoc w odnalezieniu serca ich historii.

Ogromnie dziękuję niesamowitym zespołom w William Morrow i Harper Voyager: Liate Stehlik, Jennifer Hart, Jennifer Brehl, Davidowi Pomerico, DJ DeSmyter, Emily Fisher, Pamelii Barricklow, Elizabeth Blaise, Stephanie Vallejo, Pauli Szafranski i Chrisowi Andrusowi. Czuję się wyróżniona, że mogłam cieszyć się waszą wiedzą i wsparciem przy tworzeniu *Rzeki...* Dziękuję Cynthii Buck za redakcję tekstu i pomoc w dopracowaniu rękopisu i Yeon Kim, która zaprojektowała fantastyczną okładkę – nic lepszego nie mogłam sobie wymarzyć. Nickowi Springerowi za stworzenie wspaniałej mapy, Natashy Bardon i mojemu niesamowitemu Voyager U.K. – to zaszczyt móc z wami współpracować i zobaczyć, jak ta historia wzbija się do lotu za oceanem. Dziękuję, że daliście mojej powieści idealny dom w Wielkiej Brytanii.

Tworząc swój świat, czerpałam inspirację z wielu książek i jestem głęboko wdzięczna następującym autorom i ich dziełom: *The Scots Kitchen* F. Marian McNeill, *Scottish Herbs and Fairy Lore* Ellen Evert Hopman, *The Complete Poems and Songs* Roberta Burns, *The Crofter and the Laird* Johna McPhee oraz *Tree of Strings: A History of the Harp in Scotland* autorstwa Keitha Sangera i Alison Kinnaird.

Moi kochani autorzy, którzy przeczytaliście wczesne egzemplarze i nie szczędziliście słów zachęty oraz wsparcia – napełniliście moją twórczą studnię wtedy, kiedy czułam się pusta. Dziękuję za waszą życzliwość i czas, za podtrzymywanie mnie swoimi historiami.

Drodzy czytelnicy, tu, w Stanach Zjednoczonych i poza nimi – wiem, że niektórzy z was są ze mną od samego początku, a niektórzy dopiero odkrywają moje książki. Dziękuję za całą miłość, jaką darzyliście moje historie.

I wreszcie dziękuję Rachel White za zrobienie mi zdjęcia w tamten bardzo zimny i wietrzny dzień. Głęboko cię podziwiam i jestem wdzięczna za ciebie i twoją przyjaźń.

Mojej rodzinie – tacie, mamie, Calebowi, Gabrielowi, Ruth, Mary i Luke'owi. Jesteście najbliższymi mi ludźmi i moją bezpieczną przystanią i nigdy nie zdołam zmierzyć mojej miłości do was. Dziękuję, Sierra, że zawsze domagałaś się psa w moich opowieściach. I tobie Ben: że wierzyłeś we mnie, kiedy ja przestawałam, i przeprowadziłeś przez trudne dni. Utrzymałeś moją lampę w czasie najciemniejszych i najdłuższych nocy i jestem szczęśliwa, że moje życie splotło się razem z twoim.

Dziękuję mojemu Ojcu w niebie: straciłabym serce, gdybym nie wierzyła,
że zobaczę Twoją dobroć w krainie żywych.

Soli Deo Gloria.

You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz